

ROCZNIKI T. P. N.
NA ŚLĄSKU

V

Cayl. Prot.

ROCZNIKI TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
NA ŚLĄSKU

ROCZNIKI

TOWARZYSTWA
PRZYJACIÓŁ NAUK
NA ŚLĄSKU

V

KATOWICE 1936
NAKŁADEM TOWARZYSTWA

S. 07

S. 69

S. 97

S.05

06.055.5



~~6386~~ / 5

35/K/56

Nr egz.: 000 55516

Niniejszy piąty tom Roczników wydaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku z opóźnieniem właściwie jako dwurocznik, obejmujący lata 1934 i 1935. Za to mamy już pod prasą także tom VI za rok 1936, który wyjdzie w krótkim odstępie czasu. Tam też będzie kronika „z umysłowego życia Śląska” za lata ubiegłe.

Podobnie jak poprzednie cztery tomy, chce nowy Rocznik przyczynić się do zaznajomienia szerszego ogółu ze Śląskiem, jego przeszłym i współczesnym życiem w oświetleniu obiektywnym. Temu celowi służy szereg artykułów z różnych dziedzin i z pod pióra różnych autorów, którzy sami odpowiadają za swe poglądy. Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku odpowiada natomiast za dobór tematów i autorów.

Jeżeli dotychczas celowo ograniczyliśmy się w naszych wydawnictwach do najszerzej pojętych tematów śląskich, jeżeli usilnie staramy się o skupienie dookoła Roczników wszystkich pracujących naukowo na Śląsku, to nie oznacza to bynajmniej jakiejś ekskluzywności. Dla naszych tematów radzi widzimy autorów spoza Śląska i chętnie przyjmujemy ich współpracownictwo. Rośnie zainteresowanie Śląskiem, zrozumienie jego roli w naszym życiu, liczba opracowujących tematy śląskie. Z radością witamy tak cenne publikacje Komitetu Wydawnictw Śląskich Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie i Instytutu Śląskiego w Katowicach (zwłaszcza jego pracę zbiorową o stanie i potrzebach nauki polskiej o Śląsku), oraz wszelkie inne przejawy inicjatywy zbiorowej czy prywatnej, która zmierza do lepszego poznania problematyki naszego regionu. Z radością też stwierdzamy coraz częstsze występowanie Śląska i Ślązaków w polskiej beletrystyce, gdyż i to — choć nie zawsze dostatecznie wiernie — dąży do spopularyzowania zagadnień śląskich w naszym społeczeństwie.

Działalności swej nie ograniczając do pracy wydawniczej, podjęliśmy w zebraniach dyskusyjnych inicjatywę w kierunku

ożywienia ruchu umysłowego na Śląsku; przedmiotem dyskusji były przede wszystkim zagadnienia kultury współczesnej. Rocz-
nik niniejszy jest pierwszy, który o przebiegu tych zebrań zdaje
sprawę. Powodzenie naszych „wieczorów katowickich” pozwala
mieć nadzieję na pogłębienie dyskusji, na przyciągnięcie do niej
nowych sił, a w następstwie — na rozszerzenie sprawozdań
z zebrań; nowym tym działem naszej działalności przekraczamy
granice Śląska i pragniemy przyczynić się do ogólnopolskiej
a nawet ogólnoswiatowej wymiany myśli.

K a t o w i c e, w październiku 1936 r.

Dr Wacław Olszewicz,
wiceprezes.

Ks. dr Emil Szramek,
prezes.



Bogusław Langman, Biust ks. pralata Skowrońskiego

KS. ALEKSANDER SKOWROŃSKI

OBRAZ ŻYCIA I PRACY NA TLE PROBLEMATYKI KRESÓW ZACHODNICH

WSTĘP

Donosząc o śmierci swego prepozyta ś. p. ks. prałata Aleksandra Skowrońskiego, zaznaczyła kapituła katedralna w Katowicach, że nieboszczyk, który umarł dnia 4. X. 1934 r. na swej siedzibie proboszczowskiej w Mikołowie w 72 roku życia a 46 kapłaństwa, był ongiś ideowym o pokroju machabejskim przywódcą duchowieństwa polskiego na Górnym Śląsku. Konkretniejsza ocena znaczenia ks. Skowrońskiego mieści się w znamienym powiedzeniu — nie wiadomo, kto je jako pierwszy tak sformułował — że ks. Skowroński ochrzcił polski radykalizm na Śląsku. Był tu naprawdę „solą ziemi”, bo surowiznę nacjonalizmu z wielką i wyrozumiałą miłością we walnej mierze sam uchrześcijanił. Trwałe znaczenie jego leży w dziedzinie myśli katolickiej na śląskim odcinku problemu narodowego, który wobec braku autorytatywnego rozstrzygnięcia nauczycielskiego urzędu Kościoła znajduje się jeszcze w stadium teoretycznej kontrowersji¹⁾, chociaż przez cały wiek 19 narzucał się europejskim politykom, filozofom i teologom i samemu Kościołowi z siłą elementarną. Wszak ruch narodowy we Włoszech sprzątnął Państwo Kościelne, a podczas wojny światowej rozsądził wszystkie trzy państwa zaborcze Polski, Austrię, Prusy i Rosję. Że pod naporem polskiego żywiołu narodowego państwo pruskie pękło w końcu i na Górnym Śląsku, stanowiło dla ś. p. ks. Skowrońskiego największą satysfakcję tu na ziemi.

Jeżeli więc dla wszystkich Polaków ciekawym być musi życie tak wybitnego kapłana kresowego, to u licznych przyjaciół dochodzi wdzięczny pietyzm dla jego czcigodnej postaci o tak dobrym sercu, o złotym humorze i wyjątkowych zaletach towarzyskich.

I. ZEWNĘTRZNE WARUNKI ŻYCIOWE I ZAŁOŻENIA PSYCHICZNE (1863—1908)

Aleksander Skowroński urodził się w Siemianowicach z rodziców nie-Ślązaków. Ojciec jego, Wojciech (ur. 1818), był synem rolnika i pochodził z Małobądza pod Będzinem, a matki Weroniki Eleonory z Walkiewiczów (ur. 1829) kolebka stała w Popowie (pow. częstochowski), gdzie jej ojciec był leśniczym. Przed grożącą mu służbą wojskową, która w Rosji trwała wtedy długie lata, uszedł Wojciech na bliski Śląsk pruski i zamieszkał w Laura-Hucie, gdzie znalazł zajęcie pierwotnie jako górnik, a później jako dozorca maszyn. W roku 1846 ożenił się, biorąc ślub kościelny w Michałkowicach. Z zapracowanego grosza wybudował sobie z czasem dwa domki czynszowe, jeden na kolonii Hugona, drugi na kolonii Wandy.

Aleksander przyszedł na świat na kolonii Hugona dnia 9 lutego 1863, krótko po wybuchu polskiego powstania styczniowego. Był piątym synem spośród siedmiorga rodzeństwa.²⁾ Później żartował nieraz, iż, pomiarkowawszy polskie powstanie, tak dokuczał matce, że musiała go wypuścić na świat. Nie znajdując upodobania w imieniu Cyryl, które chłopiec niby na świat sobie przyniósł, nazwali go rodzice Aleksandrem, wychodząc z mylnego założenia, że kalendarz pod datą 9 lutego wskazuje nie jednego świętego Cyryla (Aleksandryjskiego), lecz dwóch, Cyryla i Aleksandra.

¹⁾ cfr. Maurice V a u s s a r d, Enquête sur le nationalisme, Paryż (ok. 1925) — po polsku p. t. Nacjonalizm a katolicyzm, Poznań, nakł. Fiszer a i Majewskiego 1927.

²⁾ Kolejność rodzeństwa była: 1) Józef * 1847, † 1882; 2) Leopold * 1852, † 1919, 3) Wojciech * 1855 — żyje w Poznaniu, 4) Adam * 1859, † 1893, 5) Matylka (później Hatlapina) * 1861, † 1887, 6) Aleksander * 1863, † 1934, 7) Józefa (później Pietruszczyzna) * 1865, † 1923.

Pierwsze nauki pobierał zdolny chłopiec w laurahuckiej szkole ludowej. W 11. roku życia przyglądał się z bliska gwałtownemu rozpętaniu pruskiej walki kulturalnej w Siemianowicach najprzód około wikariusza ks. Wiktora Ganczarskiego, a w końcu także około osoby proboszcza ks. Hugona Stabika. Przebieg był taki:

Neoprezbiter Ganczarski otrzymał we wrześniu 1873 r. dekret wikariusza Siemianowic. Ledwie się tam zjawił, oświadczył starosta proboszczowi, że nowy wikary jest „gesperrt”, to znaczy, że oprócz cichej mszy św. nie wolno mu wykonywać żadnych funkcji duchownych, bo jest ustanowiony z pominięciem pruskiej ustawy z 11 maja 1873 o wykształceniu i ustanawianiu osób duchownych. Trzymano ks. Ganczarskiego jako księdza „majowego” pod dozorem policji, a protestancki komisarz policyjny Opitz uprawiał z osobistą przyjemnością nagonkę na niego, którą nazywał „Schwarzwildjagd”; wynagradzał nawet pewną protestantkę za każdy wypadek uchwytnej denuncjacji. Wytaczano ks. Ganczarskiemu jeden proces za drugim. Zaraz pierwszy skazał go za przekroczenie wspomnianej ustawy w 63 wypadkach na 63 talarów albo 13 dni więzienia. Drugi przyniósł mu karę 50 talarów albo 35 dni, trzeci 40 talarów albo 14 dni, czwarty 25 talarów albo 15 dni, piąty 80 talarów albo 30 dni, szósty 20 talarów albo 7 dni. Ks. Ganczarski odsiedział 62 dni w Bytomiu (1874), a 22 dni w Raciborzu (1875); na 80 talarów grzywny z procesu piątego złożyli się członkowie pewnego związku katolickiego.

Do wielkiego zbiegowiska i krwi przelewu doszło w sobotę przed niedzielą przewodnią 1874 r. By stwierdzić, kto przygotowuje dzieci do pierwszej komunii świętej, spinali się żandarmi po marach jak po drabinach pod okna kościoła. Ponieważ katolicka żona komisarza Opitza była zawczasu księży przestrzegła o grożącej ks. Ganczarskiemu nowej nagonce, uczył sam proboszcz. Że właśnie górnicy wracali z wypłaty, zrobiło się zbiegowisko, mimo, że ks. Stabik namawiał do rozejścia się, komisarz policyjny wywijał rewolwerem, a żandarmi grozili bronią. Nagle kilku chłopów chwyciło policjanta i zabiło go do krwi; wyrwawszy się, zranił kilku ze swej strony również do krwi. Pod wieczór zjawił się w Siemianowicach oddział piechoty i oddział konnicy, a nazajutrz, w niedzielę przewodnią po południu, zaarrestowano ks. Ganczarskiego na miejscu, a ks. pro-

boszcza w Michałkowicach, gdzie bawił w odwiedzinach u stryja, ks. Antoniego Stabika. Proboszcz i wikary spotkali się we więzieniu bytomskim, którego bramy były oblężone tłumami. Proboszcza skazano za rzekome naruszenie miru na 6 tygodni, ks. wikarego zwolniono po śledztwie miesięcznym. Tych, co napadli policjanta, skazano na więzienie do dwóch lat.³⁾

Ogólne podniecenie z tych zajęć udzieliło się naturalnie i wrażliwemu Aleksandrowi Skowrońskiemu, który już wtedy uświadomił sobie, że nie wszystkie zarządzenia władz państwowych są słuszne i sprawiedliwe.

Od jesieni 1876 aż do marca 1885 uczęszczał Aleksander do katolickiego gimnazjum św. Macieja we Wrocławiu, korzystając od trzeciej klasy począwszy z rocznego stypendium 150 marek, a później także z subwencji starszego brata Wojciecha, który wówczas zajmował już poważniejsze stanowisko w Poznaniu. Pomoc taka była tym potrzebniejsza, że ojciec w styczniu 1883 r. umarł, uległszy przy domu nieszczęśliwemu wypadkowi.⁴⁾ Wtedy bieda i wzgląd na rodzinę nieraz tak dokuczały gimnazjaliście, że myślał o odejściu z gimnazjum i o chwyceniu za kilof, zwłaszcza, że brat Leopold⁵⁾ zwlekał z ukończeniem

³⁾ Dr Seppelt, Bilder aus dem Kulturkampf in Schlesien, Schles. Volkszeitung, 28. VII. 1924.

⁴⁾ Matka dożyła lat sędziwych i umarła w 81 roku życia na probostwie w Ligocie, p. Biała, dnia 14. IV. 1909.

⁵⁾ Leopold Skowroński, ur. 14 listopada 1852 w Laurahucie, studiował po odbyciu gimnazjum w Bytomiu, gdzie złożył 1874 maturę, najprzód teologię (rok) w Bonn nad Renem, potem tamże i we Wrocławiu filologię aż do roku 1883. We Wrocławiu zdobył doktorat (1884) na podstawie dysertacji: *De auctoris Heerenii et Olympiodori Alexandrini scholis cum universis tum iis singulis, quae ad vitam Platonis spectant, capita selecta*. U Koebnera we Wrocławiu ogłosił przed promocją trzy rozdziały drukiem, rozdziały zaś IV i V pozostały w manuskrypcie. Jeszcze po dwudziestu latach z górną ogłosił w zbiorowej książce *Commentationes in honorem Augusti Reiffenscheidii* artykuł *De scholis Olympiodori* — dowód, że nie wyszedł z kontaktu z profesorami wrocławskimi.

Lecz główne jego zainteresowanie naukowe było skierowane ku problemom polskiej nauki. Kilkadziesiąt lat mroźczej pracy poświęcił obronie historyczności dynastii Popielów. Po jego śmierci pisał o tym A(nton) B(ederski) w „Dzienniku Poznańskim“ (1919, nr 287): „W roku 1888 ogłosił dr Beheim-Schwarzbach rozprawę o Popielu i Hattonie, biskupie w Moguncji, którego również jak Popiela miały zjeść myszy. Czymże były te myszy, co takich potentatów na tronie zjadały; czemuż Popiel i jego dynastia ma być — według

studiów. Minęła jednak depresja, pozostał we Wrocławiu i, będąc uczniem zdolnym i pilnym, zaczął zarabiać zamiast kilofem lub łopatą — udzielaniem lekcji i korepetycji. W r. 1885 zdał maturę z odznaczeniem bez egzaminu ustnego.

*

Już z niższej tercji czyli czwartej gimnazjalnej (1880) są poświadczane wcale udatne, na Eichendorffie wzorowane wiersze Skowrońskiego, powstałe z okazji wycieczki do Trzebnicy. Że są w języku niemieckim, nie wskazuje bynajmniej, że gimnazjalista był zarazony kiedykolwiek germanizacją, bo z notatnika jego wynika, że właśnie w r. 1880 poza licznymi wypisami z polskich autorów posiadał już na własność dzieła Malczewskiego, Mickiewicza, Korzeniowskiego i Słowackiego. W r. 1882 udzielił bratu Adamowi nagany za to, że nie wierzył w Polski zmartwychwstanie; w latach 1883 i 1884 nawracał studiującego

Schwarzbacha — historyczną bajką dlatego, że go myszy zjeść miały, a niemiecki biskup moguncki, którego ten sam los spotkał, jest osobą historyczną? Dla wyjaśnienia tej kwestii począł nieboszczyk zbierać material i zebrał go taką moc, jakiej może odtąd żaden zawodowy historyk nie widział. Dobrze by było, gdyby te nagromadzone materiały w odpowiednie dostały się ręce, ażeby serdeczna praca ś. p. Leopolda nie poszła na marne. — Swe uwagi do kroniki Galla w sprawie przejścia władzy dynastii Popielów w ręce dynastii Piastowskiej ogłosił drukiem po polsku i po łacinie.“ Dodać należy, że papiery pośmiertne dra Leopolda Skowrońskiego znajdują się u dra Wojciecha Skowrońskiego w Poznaniu, Podgórna 10.

Przez kilka lat utrzymywał się dr Skowroński z prywatnych lekcji, jakich w Poznańskim udzielał w charakterze nauczyciela domowego. W końcu osiadł w Bytomiu i należał 1898—1913 do zarządu tamtejszego Banku Ludowego. Był współzałożycielem (1892) i członkiem Tow. Literackiego, należał potem do zarządu Tow. Szerzenia Elementarzy Polskich im. ks. Engla (1900), opiekował się akademikami polskimi, brał udział we wszystkich zjazdach i naradach, gdzie chodziło o dobro ogólne, a w szczególności o sprawy oświatowe, założył w Bytomiu znacznym kosztem własnym czytelnię polską, miewał wykłady i odczyty i w ogóle nie odmawiał żadnej współpracy na niwie narodowej. Był to mąż na wskroś prawego i nieposzlakowanego charakteru, zahartowany i wygladzony w przeciwnościach, uczony nie tylko k książką — był chodzącą encyklopedią — ale i z doświadczeń życiowych. Szczerością i otwartością przekonań religijnych był wzorem dla wszystkich, co go bliżej znali. Żonatym nie był.

Będąc od 1913 na emeryturze, wyczekiwał podczas wojny powstania Polski, a potem przyłączenia do niej Górnego Śląska. Nie doczekawszy się, umarł 7 grudnia 1919 r. i został pochowany w rodzinnym grobie w Siemianowicach.

w Rumunii przyjaciela Pawła Włótkę⁶⁾ ze Siemianowic listownie na patriotyzm polski i zyskał od niego przydomek „der heissliebende Polensohn”, a zarazem szczere uznanie dla wyjątkowej jasności umysłu. W r. 1884 oświadczył bratu Adamowi, że z rodzeństwem korespondować będzie odtąd tylko po polsku; w tym samym roku podarował siostrze Zefli (Józefie) Rogera Pieśni Ludowe i załączył obszerną instrukcję do zrozumienia piękna pieśni gminnych. Wiadomo też, iż upierał się w gimnazjum stanowczo przy prawidłowej pisowni swego nazwiska, nie pozwalając jej przekształcić na Skowroński⁷⁾. Polskich flisaków na Odrze witał we Wrocławiu zawsze z radością i lubił ich zagadywać, dopóki na pytanie, dokąd jada, nie otrzymał kiedyś odpowiedzi bardzo drastycznej. A jakże znamienna jest następująca scena wakacyjna ze Siemianowic: stary Skowroński przygnębiony, bo nadchodzą wybory do sejmiku pruskiego, a na kopalni każą, pod groźbą utraty chleba, głosować na liberała. Dla polskiego ludu nie ma nadziei. Wtem podskoczył płomyk karbidowej lampy górniczej, przepaliwszy tłumiącą go przeszkodę; spostrzegłszy to, Aleksander

⁶⁾ Paweł Włóczka, ur. 23. I. 1864 w Laurahucie jako syn robotnika, wyemigrował podczas walki kulturowej z Prus, udał się śladem innych Górnoślązaków do Rumunii i wstąpił 1877 r. do seminarium duchownego w Bukareszcie, gdzie od razu celował w naukach. Wyświęcony 1886 r. na kapłana, objął profesurę w tymże seminarium bukaresztyńskim, którą piastował z małą przerwą aż do śmierci; wykładał filozofię i języki klasyczne. Biskup Zardetti uczcił go 1895 r. honorowym kanonikatem. Ks. Włóczka umarł 9. X. 1918 r. na zakażenie krwi i jest pochowany w Bukareszcie.

Najmłodszy brat, Alfred Włóczka jest kapłanem w Zgromadzeniu Słowa Bożego S. V. D. i wzbogacił niemiecką literaturę religijnym eposem „Der Einzige und ich“ (dwa nakłady) i szeregiem utworów — także dramatycznych — mniejszej wagi, wśród których zbiór wierszy „Knirpse“ doczekał się czterech nakładów.

⁷⁾ „Sieh, auch mich versuchte man auf mannigfache Weise in der deutschen Stadt Breslau zu germanisieren. Doch man vermochte aus dem Gimpel keine Nachtigall zu schaffen... Der Gimpel liess sich kein Federchen aus seinem Gefieder herausrupfen, damit er immer als solcher erkenntlich sei. Er geriet neulich in heftigen Streit, als sein Herr Lehrer den Haken über dem „n“ in seinem Namen nach zweijährigem väterlichem Ermahnen und häufigen Verstreichen von Neuem mit ganz roten Balken hinwegstrich und in die drohenden Worte ausbrach: „Kommen Sie mir nicht mit Ihren polnischen Demonstrationen!“ Und dies geschah vor dem Abiturium, und der Gimpel wird darauf bestehen, dass im Abiturientenzeugnis der Haken an Ort und Stelle bleibt.“ (Wyjątek z listu do Pawła Włóczki.)

zaczyna pocieszać ojca, że i sprawa polska wybuchnie jasnym płomieniem, gdy się tylko przeszkody przepalą. Stary Skowroński odzyskał otuchę i humor i wynagrodził synka uściskiem serdecznym.

Podczas wakacji marzył student o Krakowie i Częstochowie. Zachował się przypadkiem ołówkowy koncept listu d. d. Wrocław 14 listopada 1883, w którym 20-letni Aleksander opisuje Pawłowi Włóczyce, przyjacielowi studiującemu w Rumunii, wrażenia z Krakowa, tym ciekawszy, że żarliwe uczucia polskie oddaje po niemiecku; uczucia tam ujawnione promieniają przez całe życie ks. Skowrońskiego:

„Denke Dir, lieber Paul, ich war in den grossen Ferien in Krakau! Schon längst trug ich das sehnlichste Verlangen, die echt polnische Königsstadt zu sehen und an dieser für den Polen so heiligen Stätte meinen Polensinn zu beleben. Ich hatte nur wenig Geld, aber einen Empfehlungsbrief vom H. Pfarrer, der mir ein vortreffliches Unterkommen im Jesuiten-Kloster verschaffte. Die Stunden, die ich dort verbrachte, werden gewiss immer zu den schönsten gehören. Krakau machte auf mich einen sehr günstigen Eindruck. Mit wehmütigem Jubel stürmte ich den Wawel, der leider nicht mehr den Palast polnischer Könige, sondern die Kasernen österreichischer Soldaten trägt. Traurigen Blickes und mit beklemmter Brust schaute ich vom Wawel herab auf die träg dahinfließende Weichsel. Es schien mir, als ob auch diese trauere über das unglückliche Los Polens. Ode, leer war der Wawel, doch im Geiste schaute ich die Pracht und Herrlichkeit der Könige und das rege Tun und Treiben, welches einst hier geherrscht. Ach, Vergänglichkeit! — Wehmütig schlich ich weiter und betrat mit heiliger Scheu die Schlosskirche. Welcher Reichtum an Denkwürdigkeiten für den Polen! Hier die Kapelle mit dem silbernen Sarg des hl. Stanislaus, da die edle Gestalt des Unglückspropheten Skarga und dort das Monument des unsterblichen Sobieski usw. usw. In der Schatzkammer sah ich etliche Reichsinsignien, ehrwürdige Reliquien und prachtvolle Arbeiten von polnischer Königinnen Händen. Auch eine Standarte aus dem grossartigen heiligen Kampfe für die Freiheit Polens unter Kościuszko sah ich. Und weiter! — Ich stieg hinab in die Gruft polnischer Könige. Mein erster Blick fiel auf Kościuszkos Sarkophag! Welche Gefühle mein Herz dabei bewegten, kann ich Dir, teurer Freund, nicht angeben. O grausam ungerechtes Schicksal, warum hast du diesen Helden die Freiheit nicht erfechten lassen! Kaum war ich meiner mächtig! Ich hätte mich über den Sarg gestürzt, der die Hoffnung, den Stolz der Polen barg, und bittere Tränen geweint. Doch kalter Anstand verbot es. Hinter mir standen ja Leute, die nicht das Gefühl, die nur die Schaulust und Neugier hierher geführt. Und so begnügte ich mich, in heiliger Ehrfurcht den Sarkophag und den noch frischen Kranz zu berühren, welchen treue Söhne des Vaterlandes niedergelegt haben zum Beweise, dass Kościuszko noch in ihrem Herzen lebt. — Dann folgte ich dem

Führer von Grab zu Grab. Genauer sah ich mir nur noch den schönen Sarkophag des energischen, gerechten, eisernen Batory an. Beim Verlassen der Königsgräber trat ich noch einmal an Kościuszkos Sarkophag, und schon hatten alle die düstere Gruft verlassen; ich aber stand wie festgebannt da. Nur mit schwerem Herzen konnte ich mich von meinem Kościuszko trennen! — Auch die Mogila des Kościuszko besuchte ich. Es ist dies ein stattlicher kegelförmiger Hügel mitten in einem Fort. Ein einfacher roher Felsblock mit dem Namen Kościuszko befindet sich oben. Von hier hat man eine treffliche Aussicht auf die von der Weichsel umströmte Stadt. Wie natürlich, hatte ich auch hier meine eigenen Gefühle und Gedanken.

Noch vieles andere sah ich, doch will ich nur noch meinen Besuch des Museums für bildende Künste hervorheben. Treffliche allegorische Darstellungen fand ich hier. Ein Jüngling versucht die Fessel seiner Fittiche zu zerreißen, ein Krieger mit einer Streitaxt die Ketten seiner Füße zu zerhauen. Eine liebliche Gruppe stellte die Weichsel und den Wawel dar, Wawel als gebeugten königlichen Greis, sitzend auf einem Felsen, und die Weichsel als eine Tochter, eine zarte Jungfrau, die liebend um ihren sich abhärmenden Vater die Arme schlingt. Eine Statue voll Gefühl und Anmut. Auch eine Laokoongruppe eigener Art sah ich. Polonia war hier Laokoon, links und rechts der sterbende Krieger und der Schriftsteller, ihre Söhne. Auf dem Haupte eine Krone, auf Dornen ruhend, breitete sie schützend ihre Arme aus über den verwundeten Helden und den ihre Leiden, ihre Drangsale niederschreibenden Sänger. Wehmut erfasste mein Herz und heiliger Zorn über die — Schlangen, welche über sie, während sie am Altar der Freiheit ihre alten Vorurteile hinopferte und Gott für die eingetretene Besserung jubelnd dankte, Geifer speiend herfielen und erdrückten! Doch lass mich schweigen, Bitterkeit erfasst mein Herz..

Die Rückreise trat ich zu Fuss an, ich wollte Land und Leute kennen lernen. Und treffliche Beweise habe ich von der Güte unseres Landvolkes erhalten. Ich will sie hier nicht anführen, weil mir zu wenig Raum zu Gebote steht. Die Krakauer Reise, welche volle 5 Tage in Anspruch nahm, hat einen unauslöschlichen Eindruck auf mich gemacht. Den Rest der Ferien brachte ich in der Weise zu, dass ich bald Werke polnischer Literatur las, bald Fusspartien unternahm oder mit alten Schulkameraden, wie Pietruszka oder Mokrski, im Bienenhofe beim Glase Bier gemütlich plauderte..”

Student ucieszył się więc starym grodem wawelskim i okąpał się we Wiśle, po 50 latach z rozrzewnieniem nazywał chrztem narodowym. Mimo przestróg matki puścił się z powrotem pieszo wzdłuż toru kolejowego, nocując w drodze u strażnika toru.

Na rok przyszły przypada pielgrzymka do Częstochowy; ulegając prośbom matki, jechał koleją. Pełnię swych wrażeń i uczuć częstochowskich opisał przepięknie w „Głosach z nad

Odry" w 37 lat później, kiedy w roku 1920 po opatrnościowym „Cudzie nad Wisłą" brał udział w pierwszej masowej pielgrzymce Górnoślązaków na Jasną Górę. Klęcząc dnia 25 lipca 1884 r. po raz pierwszy przed „słodkim obliczem Maryi", ofiarował się Jej na służbę Jej Syna i błagał gorąco o wyjednanie łaski powołania do kapłaństwa. Zdecydowanie się młodzieńca o tak bujnej radości życiowej na teologię było dla wielu niespodzianką. Rumuński przyjaciel Paweł Włóczka wyobrażał sobie Aleksandra już jako ojca rodziny. Śmiał się z niego Skowroński: „Erschrick nur nicht, ich studiere Theologie!! Welch falsches Bild hast Du Dir da nicht von mir gemacht, als Du mich im Geiste umringt von einer munteren Schar Kinder als glücklichen Hausvater sahst! Du hast Unglück gehabt mit Deiner Fernsicht."

Po maturze odwiedzał Skowroński np. ks. Gregora w Bukowie⁸⁾, byłego wikariusza Siemianowic, i rówieśnika swego Antoniego Robotę⁹⁾, bratańca nauczyciela Filipa Roboty w Gostomi pod Prudnikami. W połowie października 1885 r. brał udział w zjeździe akademików polskich w Gnieźnie, który potem służył władzom pruskim jako główny powód przy rozwiązywaniu organizacji akademickich w kraju (1886). Jako akademik bywał też częściej w Krakowie a także w Zakopanem.

Zapisawszy się na wszechnicy wrocławskiej na wydział teologiczny, słuchał Skowroński teologii u profesorów: Baeumker (filozofia), Bittner, Friedlieb i Müller¹⁰⁾ (Nowy Testament), Koenig (dogmatyka i apologetyka), Krawutzky (moralna), Laemmer (historia kościelna i prawo kanoniczne), Probst (pastoralna i homiletyka), Scholz (Stary Testament). Poza tym uczył się 1886 na wykłady prof. Bobertaga o Wallensteinie Schillera, a od 1885 do 1887 bez przerwy na wykłady prof. Nehrunga z etnografii, mitologii i literatury słowiańskiej, zwłaszcza polskiej i rosyjskiej. Z dziejów polskiej literatury złożył u niego w styczniu 1886 magna cum laude egzamin dla uzyskania pewnego stypendium. Należał też do zgrzybiałego już Tow. Literacko-słowiańskiego, do Tow. Górnośląskiego, do Kółka To-

⁸⁾ cfr. RTPN I, 254—258.

⁹⁾ Nekrolog w Wiad. Diecezjalnych, Katowice 1929, poz. 48.

¹⁰⁾ Ks. dr Müller, który jako dawniejszy profesor religii przy gimnazjum św. Macieja znał zdolności A. Skowrońskiego, podniecał jego ambicję naukową i przedstawiał mu jako cel katedrę uniwersytecką.

warzyskiego i nawet do suchotniczej Societas Hosiana (Polnisch-Katholisch-Theologischer Verein).

Pod względem narodowym znajdowały się te organizacje wszystkie w stanie niedokrwistości, jak pisze w Kronice Śląskiej na 1886 r. Jan Kasproicz. Ze smutkiem patrzył bowiem młody poeta na to, jak trudno przychodzi młodzieńcom we Wrocławiu pozbyć się tych śladów, którymi piętnuje człowieka długowieczna niewola, pogarda, upodlenie. „Rozwijają się powoli; ponad mechaniczne przyswajanie sobie wiadomości, potrzebnych do egzaminów, rzadko który z nich się wznieś: samoistniejszą myśl, szersze poglądy posiada tylko mała nadzwyczaj garstka wybranych. Przy tym pozostaje im jako spadek smutnych stosunków, wśród których wzrosli, pewien rodzaj strachliwej pokory... wobec każdego autorytetu. Obierając sobie jeszcze stan, który sam przez się w wysokim stopniu wpływa na przytłumienie samodzielniejszych porywów, stan duchowny, nie dziw, że padają po największej części ofiarą czynników niemieckich, obdarzonych bardziej rozwiniętymi siłami intelektualnymi, większą energią i rzutkością.”

Nie obarczony dziedzicznie żadnym śladem pańszczyzny, należał Aleksander Skowroński bezsprzecznie do garstki „wybranych” i samodzielnych.

W Tow. Górnośląskim miał dnia 14 grudnia 1885 ciekawy odczyt o pieśniach gminnych, którego manuskrypt się zachował i chlubnie świadczy nie tylko o wielkim umiłowaniu przedmiotu i głębokim poetyckim wczuciu się weń, ale także o nadzwyczajnej znajomości polskiej literatury. Dalsze odczyty miał na tematy: W jakich postaciach lud sobie wyobraża zaraźliwe choroby (podług bajek zebranych przez K. Wł. Wojcickiego) — Karol Miarka i Górny Śląsk (podług artykułu z „Kłósów”, nr 759, 760, 762) — Podróż do Tatr.

Wszystkie polskie organizacje akademickie uległy w r. 1886 urzędowej likwidacji wskutek ministerialnego rozporządzenia, które pozostawało w związku z ogólnym zaostreniem pruskiej polityki antypolskiej w r. 1885¹¹⁾. Charakterystycznym pozostaje, że wspomniany wykład o Miarce wygłosił Skowroński dnia 20. V. 1887, a więc po urzędowym rozwiązaniu Tow. Górnośląskiego.

¹¹⁾ cfr. RTPN II, 147.

Kiedy „ucisk brutalnej żelaznej ręki nielitościwie gniótł polski lud”, stały się rugi pruskie, które aż do końca r. 1885 wydały z granic państwa z górą 30.000 Polaków¹²⁾, dla Skowrońskiego źródłem natchnienia prawdziwie poetyckiego. I w Bytomiu doręczono przeszło 40 rodzinom rozkaz wydalenia się z granic państwa pruskiego najdalej do 1 lipca, ponieważ nie mogły udowodnić, że są poddanymi pruskimi. Tylko górnicy, należący do knapszaftów i to do klasy z całkowitymi wpłatami, mogli pozostać aż do dalszego rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych. To właśnie ocaliło Skowrońskich.

Co naród cierpiał, ja odczuwałem.
Jam dzielił jego rozpacz i ból.
Jak oderwany liść wód nawałem
Tak żalem miotan był umysł mój.

Nad grobem ojca na starym cmentarzu w Siemianowicach zamieniły mu się nagle „znaki śmierci w znaki zmartwychwstania” (Kraśiński) i nabył niezłomnej wiary w Opatrzność Boską nad narodem:

Niech dni wróg liczy naszego bytu,
Niech głosi światu nasze skonanie —
Ja, wierząc w przyszłość naszego ludu,
Będę wciąż głosił: Tyś Zmartwychwstanie!

W tej chwili też spostrzegł Skowroński swoje pokrewieństwo duchowe z Zygmuntem Kraśińskim, który odtąd był mu najdroższym z wieszczów polskich. Jemu też zawdzięczał wczesne uwolnienie od skrupułów w przedmiocie obowiązków względem państwa pruskiego. Albowiem „Przedświt” Kraśińskiego utwierdził go na zawsze w przekonaniu, że narody jako przedpaństwowe twory Boże mają pierwszeństwo przed państwami, które są utworu ludzkiego. Ta subiektywna pewność ułatwiała mu później orientację w zawiłych nieraz stosunkach górnośląskich i różniła go zasadniczo od tak wybitnego skądinąd ks. Kapicy, który pod wpływem niemieckich moralistów był *contre coeur* skłonny uznać pierwszeństwo praw państwowych przed prawami narodowymi i stąd jeszcze 1904 r. zarzucał „Górnoślązakowi” publicznie tendencje do zdrady stanu.

Przy tak radykalnie narodowym nastawieniu teoretycznym był Skowroński jednak lojalnym poddanym państwa i

¹²⁾ Józef Buzek, Historia Polityki Narodowej Rządu Pruskiego wobec Polaków, Lwów 1909, str. 188.

z niemałą dumą nosił we Wrocławiu mundur pruski, służąc jako Einjährig-Freiwilliger w 11 pułku grenadierów (1886—1887). Ze służby wyszedł z kwalifikacją na oficera rezerwy. Kiedy go 1892 r. ks. dziekan Michalski posądzał o orientację wielkopolską, z oburzeniem napisał do Wrocławia: „Twierdzić o mnie, że przyznałem istnienie agitacji wielkopolskiej, jest to samo — co twierdzić o nauczycielu, że uczył, iż dwa razy dwa jest sześć... Jestem Polakiem, lecz tym samym bynajmniej agitator wielkopolskim. Dla uchylecia wszelkich nieporozumień oświadczam, że wyrazem „Polak” nie oznaczam upragnionej przynależności politycznej do kiedyś istniejącego, a teraz znowu oczekiwanego państwa polskiego, lecz tylko swoje narodowe pochodzenie. „Ich bin Pole, aber das schliesst loyale und royale Gesinnung nicht aus. Ich bin ein treuer preussischer Untertan und habe auch als Soldat in aller Ehrlichkeit den Eid der Treue meinem Kaiser abgelegt.”

Ze służby wojskowej zachował się niemiecki wiersz żartobliwy „Soldatenliebe”; w charakterze zaś pozostała Skowrońskiemu na zawsze żołnierska punktualność; był zwykle na miejscu w parę minut przed umówionym terminem. Szczególna akuratność jego i w tym się objawiała, że aż do lat sędziwych nigdy nie wygłosił mowy lub kazania, nie wypracowawszy konceptu najstaranniej na piśmie. Mnóstwo takich rękopisów zabrał po jego śmierci wikariusz mikołowski ks. Henryk Szlosarek.

Nie bez słuszności zauważono, że ks. Skowroński przez całe życie miał w sobie coś z wesołego studenta: lubił dowcipne towarzystwo, lubił zagrać w karty lub bilarda, a ponieważ *utnum laetificat cor hominis*, zapewniał, śpiewając: „winko kochane — będziemy cię pili wieczór *et mane!*” — choć w rzeczywistości starczyło nieraz ledwie na piwo, jak wtedy, gdy melancholijnie zapisał w notatniku: „w dniu 9 grudnia 1887 r. poszło na piwo do Haasego we Wrocławiu trzech zacnych Górnoślązaków, Urban, Kańtoch i Skowroński, a przeliczywszy wszystkie pieniądze, które mieli przy sobie, policzyli ich razem 65 fenigów.” — Kiedy po wojnie odnalazł się u ks. Lossa w Pawłowicach sztandar Tow. Górnośląskiego, rozrzewnił się ks. Skowroński i rozwijając sztandar czcigodny, wobec wszystkich go pocałował. To też założona 1931 r. w Krakowie śląska korporacja akademicka Vratislavia naprawdę nie mogła sobie obrać godniejszego ojca korporacji nad ks. Skowrońskiego; sprawiła tym

Aleksander Skowroński jako grenadier



Aleksander Skowroński jako wikariusz

radość jemu i sobie. Z okazji swego pięciolecia, gdy on już nie żył, wspominała szczegółowo uroczystość przy nadaniu mu barw korporacji. Chciano wtedy sprawić ks. Skowrońskiemu niespodziankę i odśpiewać pieśń jego przekładu (Im Krug zum grünen Kranze); ćwiczano jeszcze tuż przed zebraniem: „W oberzę pod wianuszkiem wciągnął mnie wina chłód — wędrowny tam spoczywał, przed nim stał świeży miód...” Nagle wszedł ks. Skowroński z uśmiechem na twarzy. Widząc, że z powodu jego zbyt punktualnego przybycia zaniechali śpiewu, podszedł wesoło, nucąc sam: „Siadłem przy jego boku, mój wzrok mu w oku tkwi...”, a rozentuzjasmowani studenci podchwycili dalej: „choć nigdy go nie znałem, znajomym był on mi”. W chwilę potem ks. Skowroński, który za niemieckich czasów nigdy nie nosił odznak korporacyjnych, z deklesem na głowie i przepasany trójbarwną wstęgą Vratslavii, przemawiał do młodzieży o służbie dla Boga i ojczyzny, jak to dawniej nieraz był czynił na zjazdach akademickich.

Ks. Skowroński opiekował się aż do samej śmierci nader wydatnie młodzieżą śląską i akademicką i gimnazjalną, nie szczędząc jej nigdy ani darów swego serca i umysłu, ani pomocy materialnej. Cieszył się wtórną radością, że pomocą wspieranej przez siebie młodzieży służył zarazem sprawie narodowej. Przez tę styczność z uczącym się młodym pokoleniem śląskim nigdy nie tracił związku z przyszlými działaczami polskimi, pełniąc dostępne w okresie niewoli obowiązki nieoficjalnego nauczyciela i wychowawcy, któremu tyle zawdzięczali wychowankowie.

Albowiem przy wszelkiej wesołości był Skowroński od młodu zdecydowanym wrogiem bezduszności i nie mógł patrzeć bez oburzenia na grzebanie ducha w materii. Gdy 1885 r. brał udział w zjeździe akademików polskich w Gnieźnie, zapisał do notatnika skargę na ludzi zmaterializowanych o przyziemnych tylko upodobaniach i wyraził pesymistyczną obawę, czy mrzonkami nie są jego ideały narodowe. Jaki czuł był wtedy jego nacjonalizm, dowodzi drobny na pozór szczegół, że w sierpniu 1888 podniósł na cmentarzu w Będzinie kwiatek, który zachował długo na pamiątkę z podpisem „z grobu Polki”.

Pochodzący również ze Siemianowic o 10 lat młodszy Wojciech Korfanty przyznał z okazji 70 rocznicy urodzin ks. Skowrońskiego w „Polonii”, jak wiele pod względem narodowym

zawdzięcza samemu przykładowi Skowrońskich: „Jako młody chłopiec podziwiałem złotowłosego, przystojnego młodzieńca, idącego w towarzystwie starszego brata, ś. p. Leopolda, w stronę Małej Dąbrówki. Bawiąc się z rówieśnikami, przystawaliśmy, szepcząc sobie: to akademik z Wrocławia, a ten drugi, to jego brat, doktor i wielki uczony! a obydwaj mówią między sobą po polsku i to tak jakoś pięknie po polsku! — Było to dla nas rzeczą nie do uwierzenia, że „panowie” mogą mówić po polsku. Tego jeszcze nikt we wsi nie widział i nie słyszał; samo się przez się rozumiało, że „pan” mówi po niemiecku. Głęboko się ludzie nad tym zastanawiali, dlaczego ci dwaj Skowrońscy, choć wyszli na panów, mówią po polsku. Z czasem coraz więcej naszych robotników rozumiało to i wyczytało w książkach, albo od takich panów jak Skowrońscy dowiadywało się. Tak rodziła się Polska na Śląsku.”¹³⁾

Za czasów akademickich związał się Skowroński serdeczną przyjaźnią z wesołym Józefem Katryniokiem¹⁴⁾, Budrysem zwanym, który z większym zapałem niż zdolnością redagował od czasu do czasu numer pisma historyczno-tragiczno-komicznego „Wszegryz” dla zabawy członków T. G. Drugim przyjacielem był Franciszek Miczek¹⁵⁾ z Miedźnej. Oprócz tego kolegował po przyjacielsku ze wszystkimi polskimi akademikami ze Śląska Górnego.

Ukończywszy studium teologiczne, wstąpił Skowroński na jesień 1888 r. do alumnatu czyli seminarium duchownego we Wrocławiu, aby się pod wytrawnym kierownictwem rektora ks. dra Ferdynanda Speila, wielkiego czciciela i kongenialnego biografą O. Karola Antoniewicza T. J., ostatecznie przysposobić do kapłaństwa i duszpasterstwa. Wszak od samej matury czuł w sobie sprężynę miłości do ludu polskiego na Górnym Śląsku i jemu chciał złożyć w ofierze bujną radość życiową, kierując się słowami Wincentego Pola:

¹³⁾ Polonia 1933, nr 2991.

¹⁴⁾ Józef Katryniok, * 1862 w Rogowach (pow. raciborski), złożył maturę w Gliwicach, słuchał teologii w Wrocławiu i został tamże 1888 wyświęcony na kapłana. Był kapłanem w Pszowie, Bytomiu, Piekarach i Król. Hucie u św. Barbary, gdzie na rękach ks. Skowrońskiego umarł przedwcześnie 28. IV. 1891. Pogrzeb miał wspaniały. Lud złożył samorzutnie 1200 marek na pomnik i fundację mszalną.

¹⁵⁾ Nekrolog w Wiad. Diecezjalnych, Katowice 1934, str. 403.

Urwij, synu, się z łańcucha,
 Co na tobie z rodu cięży,
 Co do ziemi cię ciemięży;
 A i wyleć w sfery one,
 Co w tych dziejach prześwielone
 Duchem Bożym dusz wybranych,
 W służbie ziemi i Kościoła
 Podniesionych, ukochanych.
 Bo w te sfery głos ich woła:
 Wyżej, wyżej! — coraz wyżej!!

Stuprocentowym uświadomieniem narodowym i bezsprzecznym powołaniem poetyckim przypominał Skowroński już jako kleryk ks. Konstantego Damrota, który 1867 jako diakon był wydał swój „Wianek z Górnego Śląska“, a z którego stygnącej dłoni on teraz jako jego epigon przejmował lutnię narodową na ziemicy piastowskiej.

Powodem do alumnackich wierszy Skowrońskiego stało się 18 walne zebranie górnośląskich Cäcilien-Vereinów w Raciborzu (30 września 1888), a potem ożywiona po śmierci reformatora muzyki kościelnej ks. Franciszka Witta (um. 2. XII. 1888) dyskusja publiczna na temat założonych przez niego związków św. Cecylii, które siłą rzeczy zagrażały śpiewowi ludowemu w kościele. Może od Skowrońskiego pochodzi już zasadniczy artykuł w sprawie śpiewu ludowego w kościele, ogłoszony w „Katoliku“ (1889 nr 10), a będący repliką na podobny artykuł w raciborskiej „Oberschles. Volksztg.“ (1889, nr 10). Autor stwierdza, że Caecilien-Vereine na Górnym Śląsku przekraczają swe zadanie i źle przysługują się Kościołowi, rugując polski śpiew ludowy, którego pod względem wychowawczym żaden artystyczny śpiew liturgiczny zastąpić nie zdoła. Pamiętne słowa ks. kanonika Fiecka, że „póty będzie lud górnośląski katolickim, póki będzie śpiewał swe godzinki, tj. póki zachowa śpiew polski“, łączy autor z lenartowiczowskim „póty serca, póki śpiewu“ i nazywając śpiew ludowy niejako termometrem życia religijnego pomiędzy ludem, kończy wrywkami z Lenartowicza:

Śpiewaj ludu polski, złoty
 Wypowiadaj swe tęsknoty!
 Jak się zrobisz cudzoziemcem...

— — — — —

W oczach będziesz miał wzrok wilczy,
 Będziesz milczał jak wilk milczy,
 Będziesz hydził ojce stare
 I mić będziesz obcą wiarę!

Wtem zaczęły dnia 16 marca 1889 r. wychodzić „Nowiny Raciborskie” i uderzyły od razu na alarm, że w Raciborzu ruguje się polski śpiew w kościele poddominikańskim. Pod wpływem tej wiadomości ułożył kleryk Skowroński swój wiersz o skowronku na niwie śląskiej, któremu nikt na zdradzie nie stoi i nikt nie gwałci dziełek.

A nas niemczą, nie zważając
 Na serc naszych jęki,
 Każą dziatkom śpiewać Bogu
 Obcych pieśni dźwięki.

Niech więc śpiewak skrzydlaty leci ku niebu, nucąc skargi pienia i zanosí przed tron Boga nasze zażalenia! — Tego samego wiersza ujęcie drugie, zatytułowane „Skarga Górnoślązaka”, ukazało się w „Nowinach Raciborskich” dnia 8 czerwca 1889¹⁶⁾ i tak się spodobało bawiącemu właśnie na Śląsku Stanisławowi Bełzie, że umieścił je w swych wrażeniach z podróży, ogłoszonych 1890 pod tytułem „Na Szląsku polskim”.

Wyświęcony dnia 27 czerwca 1889 r. na kapłana, otrzymał Skowroński z początkiem sierpnia tegoż roku dekret wikariusza przy kościele św. Barbary w Królewskiej Hucie, lecz już we wrześniu został przydzielony do nowego wtedy kościoła św. Jadwigi tamże. Przełożonym jego bezpośrednim był ks. kuratus Tylla¹⁷⁾, a współpracownikiem ks. dr Jan Nikel, późniejszy profesor dla Starego Testamentu przy uniwersytecie wrocławskim.

Trwały i ścisły kontakt młodego wikarego z górnośląską młodzieżą akademicką we Wrocławiu przyprawił go o wielką emocję, gdy stud. theol. Karol Myśliwiec¹⁸⁾ zorganizował

¹⁶⁾ Wybór Poezj (Mikolów 1933, str. 21) podaje mylnie, iż wiersz był w „Nowinach Raciborskich” drukowany 1890 r. Co do „Nowin Raciborskich” cfr. RTPN II, 149 nn.

¹⁷⁾ Nekrolog cfr. Wiad. Diecezjalne, Katowice 1930, poz. 164.

¹⁸⁾ Karol Myśliwiec, ur. 31. XII. 1866 w Sprzęcicach (pow. strzelecki) z pobożnych wieśniaków, odbył studia gimnazjalne w Opolu a teologiczne we Wrocławiu. Że od 1886 r. wszystkie polskie związki akademickie były urzędowo zlikwidowane, zorganizował stud. theol. Myśliwiec w czerwcu 1892 r. pod nazwą niemiecką nowe Tow. Akademików Górnoślązaków, które jako Wissenschaftlicher Verein Oberschlesischer Studenten przetrwało aż do 1899 r.

w czerwcu 1892 nowe Towarzystwo Akademików Górnoślązków, które pod niemiecką nazwą Wissenschaftlicher Verein Oberschlesischer Studenten przetrwało aż do 1899 r. Był to „młody Śląsk”, któremu Skowroński zaraz w „Gazecie Opolskiej” na przywitanie zaśpiewał:

Jak wiosenny sok umaja
 Świeżem liściem konar drzew,
 Tak twą młodzież dziś upaja
 Odrodzenia twórcza krew.
 Wiosna! Wiosna! odmłodzenie!
 Oto hasło, co nam brzmi.
 Zmartwychwstanie, odrodzenie,
 Jak nadziei gwiazdka lśni.

Wyświęcony 1894 r. na kapłana, pozostał Myśliwiec dla słabowitego zdrowia przez pewien czas u rodziców w Sprzęcicach, potem był wikarym w Kamieniu, miejscowości rodzinnej św. Jacka. a od jesieni 1895 kapelanem Sióstr Szkolnych u św. Wojciecha w Opolu. Tam umarł 3. V. 1897 r.

Sympatyczna postać ks. Karola Myśliwca, która niestety tylko jak meteor zabłysła na horyzoncie Górnego Śląska, była doskonałym wcieleniem ideałów ks. Damrota. Zdolny, pilny i pod każdym względem wzorowo przykładowy, odznaczał się ten kapłan szczególną żarliwością i dziecięcą tkliwością dla sprawy narodowej, której w nowo założonej (1889) Gazecie Opolskiej poświęcił po części pod pseudonimem Jan Pakuła, po części jako „Górnoślązak” mnóstwo artykułów, krwią serdeczną napisanych. Niektóre wyszły jako odbitki osobno, np. „O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków”.

Govliwym nauczycielem ludu na Śląsku Górnym nazywa go encyklopedia Macierzy Polskiej, a Tow. Akademików Górnoślązków, przez niego założone, narzekając w wspomnieniu pośmiertnym, że zgasła w sobie ś. p. Karola Myśliwca, kapłana w Opolu, jedna z najjaśniejszych świec na ołtarzu oświaty ludowej. Jako kapłana-patriotę uczcił go redaktor Gazety Opolskiej Bronisław Koraszewski piękną sylwetką w „Świetle” bytomskim, wyliczając najważniejsze artykuły nieboszczyka i kończąc wierszowanym życzeniem:

Ptaszek nad grobem niechaj Ci nuci,
 Że w śląskiej ziemi wiosna powróci,
 Że duch Ślązaków zbudzi się dzielny,
 Że naród polski jest nieśmiertelny;
 Bo póki na swych ojczystych łąkach
 Takich ma wodzów w zacnych kapłanach,
 Widać, że Pan Bóg nam błogostawi,
 A choć doświadcza, jednak wybawi.

Także jedyny brat ś. p. ks. Karola, gospodarz Franciszek Myśliwiec w Sprzęcicach (ur. 1868), stał w życiu polskim powiatu strzeleckiego zawsze w pierwszych szeregach. 1936 r. obrano go prezesem dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech.

Tej samej radości dał upust w „Nowinach Raciborskich” wierszem „Już nam widno!”, przerobionym potem na „Ha! już świta!”

Choć na siłach nam nie zbywa,
 Nie lękaj się, Śląsku młody!
 W ludzic drzemie moc olbrzyma,
 Obudzi się do swobody!
 Witaj świt! błogi świt!
 Zwiastujesz nam lepszy byt!

I staremu Damrotowi w Pilchowicach, który już chciał zamilknąć, „jak ptacy leśni, których zima zaskoczyła”, rozpogodziło się czoło i zakrzętał się około drugiego, pomnożonego wydania swych wierszy „Z Niwy Śląskiej” (1893), które poprzedził dedykacją:

Wam, koledzy z lat minionych,
 Tobie, młodzi górnośląska,
 Poświęcona ta spóźnionych
 Domorosłych kwiatów wiązka.

W nastroju wiosennym musiało ks. Skowrońskiego i to potwierdzić, że już nawet w gimnazjach powstawały polskie zakonspirowane kółka samokształceniowe. Niech opowie o tym Wojciech Korfanty, główny inicjator takiego kółka w Katowicach, którego na kilka miesięcy przed maturą właśnie za tę pracę wydano z gimnazjum: „Jako uczeń wyższej klasy gimnazjalnej razem z drugim kolegą odwiedziliśmy w Król. Hucie ks. wikarego Skowrońskiego. Założyliśmy wtedy tajne kółko polskie w gimnazjum katowickim. Było nas tylko siedmiu, aczkolwiek blisko połowa uczniów była pochodzenia polskiego. Męczyła nas myśl, jak zbudzić w nich uszpioną duszę polską i jak pozyskać ich dla polskości. Długie godziny spędzaliśmy w pokoiku szczytowym jednego z kolegów na odludnym przedmieściu, radząc nad sposobami zbliżenia się do naszych nieuświadomionych narodowo kolegów. Próby zainteresowania ich naszą wielką tajemnicą, różne sposoby podchodzenia do nich napotykały na trudności wprost do niepokonania. Trzeba było zachować nadzwyczajną ostrożność, bo każdy z nas wiedział, że w razie zdradzenia się groziło nam wydalenie ze szkoły i zamknięcie przed nami wszelkich uczelni w Prusiech. A i w wewnętrznym życiu naszego kółka mieliśmy do zwalczania trudności niemałe. Książek polskich mieliśmy niewiele i nie wiedzieliśmy, skąd je wziąć i jakie wybrać. Wszak czytaliśmy książ-

kę polską przeważnie przy pomocy słownika polsko-niemieckiego, bo zasób naszych słów polskich był nader szczupły. W owych kłopotach udaliśmy się do ks. Skowrońskiego. Ks. wikary wyprowałził nas dla swobodnej rozmowy do jakiegoś ogródka restauracyjnego w części miasta, zwanej ówczas „Kalina”. Był to dzień powszedni i byliśmy sami. Młody wikary zaczął nam wtedy mówić o Polsce, jako o rzeczy wzniosłej, nieomal świętej, dla której trzeba ponosić wielkie ofiary. Być Polakiem, to znaczy być wyznawcą, bojownikiem, gotowym do każdego poświęcenia! — Oczy błyszczały nam, serca się rozgrzewały pod wpływem słów, pełnych wiary, że Polska będzie, a my wszyscy ją budować musimy. Wiele rad i wskazówek udzielał nam zawsze ten pogodny i wesoły młody ksiądz o sercu, pełnym gorącej wiary w zmartwychwstanie Polski.”

Pod egidą proboszcza bytomskiego ks. Bonczyka, ojca duchownego tak zwanych Alojzjanów, powstawały tymczasem także coraz nowe związki katolickiej młodzieży polskiej. Po Bytomiu (1871), Laurahucie (1886), Lipinach (1886), Kochłowicach (1890), Rudzie (1890), Radzionkowie (1890), Piekarach (1890), Starych Reptach (1891), Chorzowie (1891), Rybniku (1891) — przystąpiono 1892 r. na skutek nowej odezwy ks. Bonczyka w „Katoliku” (1892, nr 70) do założenia towarzystw św. Alojzego także w Karbie, Miechowicach, w Królewskiej Hucie u św. Barbary i u św. Jadwigi, w Dębie, w Kamieniu, w Szombierkach, a w roku następnym jeszcze w Świętochłowicach, Zabrze, Bielszowicach, Dębieńsku, Starym Bieruniu, Biskupicach i Zaborzu. Aby tysięcznym rzeszom młodzieńców, skupionych pod sztandarem św. Alojzego, ułatwić cześć dla tego świętego patrona, ułożył ks. Skowroński 1892 r. pięknie wierszowany komentarz do obrazu św. Alojzego.

Elegancki, bujnowłosy, choć czasem krewki, to zwykle pogodny ks. Aleksander Skowroński nie był komediantem, jak się niektórym zdawało, i nie był próżnym zarozumialcem i bonwiantem, o co go nawet dziekan Michalski urzędowo posądzał, ale był to o wielkim hartie ducha idealista, który z poetycką intuicją doskonale wyczuwał tętno życia religijnego i narodowego na Górnym Śląsku.

Wczesny dowód samodzielnej myślenia i rzadkiej odwagi złożył pod koniec 1892 r., kiedy jako jedyny kapłan dekanatu mysłowickiego odmówił podpisu pod publiczny zbiorowy protest

kleru tego obwodu przeciwko „Nowinom Raciborskim”. Podłoże sprawy było takie:

Za inicjatywą wrocławskiej „Schles. Volksztg.” powstała w listopadzie 1892 ogólna nagonka przeciwko „Nowinom Raciborskim”, które centrowcom wszak od samego początku były solą w oku. W nrze 95 były „Nowiny Raciborskie” — bez podania źródła — powtórzyły za jakąś gazetą lwowską, która sprawę już była przekreśliła, ciężki zarzut przeciwko księciu-biskupowi wrocławskiemu Koppowi, oparty rzekomo na wspomnieniach księdza prof. Brzezińskiego, filipina z Poznania. Treścią zarzutu było, że książę-biskup tak długo dokuczał pierwszej generałce Zgromadzenia Służebniczek Bogarodzicy-Dziewicy Elżbiecie Szkudłapskiej w Porębie (pod Górą św. Anny), która nie umiała po niemiecku, aż zrezygnowała z przełożenia, po czym kazał obrać przełożoną Niemkę. W rzeczywistości był ks. Brzeziński zgodnie z prawdą przypisał taki nacisk germanizacyjny rządowi pruskiemu, a nie biskupowi wrocławskiemu. Skoro się „Nowiny Raciborskie” na pomyłce spostrzegły, prosta była rzecz natychmiast, a księcia-biskupa Koppa kilkakrotnie przeprosiły. W nrze 104 ogłosiły też spóźnione znacznie sprostowanie ks. dziekana Józefa Głowackiego¹⁹⁾ z Wysokiej, który

¹⁹⁾ Józef Głowacki (pisywał się zwykle Glowatzki, ale z okazji jego złotego jubileuszu kapłaństwa umieszczono nazwisko na dzwonie wysockim jako Glowacki), syn urzędnika pocztowego, ur. 10. III. 1847 w Leśnicy pod Górą św. Anny, pracował po maturze przez pewien czas na poczcie, zanim zdecydował się na teologię. Wyśw. 1870 r., był wikarym w parafii Gościec (Goschütz, pow. sycowski), a potem w Biskupicach u ks. Pressfreunda; od 1879 r. administrował osieroconą parafię Wysoka (pow. strzelecki), gdzie po walce kulturalnej został proboszczem (1888 r.). Był od 1889 r. dziekanem dekanatu strzeleckiego, od 1890 r. kuratorem SS. Służebniczek Maryi w Porębie pod Górą św. Anny, od 1902 r. komisarzem biskupim. Na 50-lecie kapłaństwa otrzymał breve papieskie z pralaturą domową Jego Świątobliwości.

By lepiej przysłużyć się kongregacji SS. Służebniczek Maryi, był od 1898 r. aż do czasów powojennych posłem do parlamentu niemieckiego i do sejmu pruskiego. W Berlinie kilkakrotnie domagał się publicznie polskiej nauki religii dla Górnego Śląska i piętnował w imieniu partii centrowej bezwzględną germanizację pruską, której jednak sam uległ zupełnie. Trzymając się kurczowo sztandaru centrowego, pozostał politykiem o partyjnym tylko znaczeniu. Pomysł ks. Kapicy o nadpartyjnej centrali duchowieństwa górnośląskiego dla uzgadniania stanowiska księży w ważnych sprawach bieżących (1906), wypaczył od razu na instytucję centrową, której sam przewodniczył (cfr. RTPN. III, str. 39—41).

był biskupim komisarzem Zgromadzenia. Lecz „Schles. Volkszeitung” odmawiała im wciąż charakteru katolickiego i wezwała księży do wystąpienia przeciwko nim z ambony.

Kler dekanatu myślowickiego z dziekanem Michalskim z Lipin na czele podpisał wskutek tego zbiorowy protest przeciwko „Nowinom”, zapowiadając, że będzie przed nimi przestrzegać z ambony i w towarzystwach. Jedyne ks. wikary Skowroński u św. Jadwigi w Królewskiej Hucie odmówił podpisu i uzasadnił to tym, że aczkolwiek również potępia napaść „Nowin Raciborskich” na księcia-biskupa wrocławskiego, uważa jednak deklarację kleru 1) za zbytęcną, skoro „Nowiny”, otrzymałszy odprawę w „Schles. Volksztg.”, już przeprosiły księcia-biskupa, 2) za bezcelową, jako że tylko reklamę robi „Nowinom”, 3) za niebezpieczną, bo podkopuje powagę duchowieństwa, a *tertius gaudens* jest socjalna demokracja, 4) jest przeciwny traktowaniu sprawy na ambonie, skoro „Nowiny” nie znajdują się jeszcze na indeksie książek zakazanych, 5) zastrzeżę się przeciwko moralnemu naciskowi na tych księży, co waha ją się podpisać, 6) uważa za nieodzowne, by przed ogłoszeniem solidarnych deklaracji zwoływano najprzód konferencję kleru, na którejby się każdy mógł wypowiedzieć pro i contra. — Ksiądz dziekan Michalski był oburzony wyłamaniem się młodego wikariusza z pod solidarności dekanalnej i zażalił się we Wrocławiu, przy czym zarzucał ks. Skowrońskiemu p. i. orientację wielkopolską i radził go przenieść jak najdalej od górnośląskiego obwodu przemysłowego.

Trwale zasługi zaskarbił sobie jako kurator przez z górą 45 lat kongregacji SS. Służebniczek Marii w Porębie, którą przejął z trzema a pozostawił z 211 klasztorami, podzielonymi na trzy prowincje. Jak wiadomo, założycielem Zgromadzenia SS. Służebniczek Marii jest Wielkopolein Edmund Bojanowski (1814—1871); trudności z władzami austriackimi i pruskimi rozbiły dzieło Bojanowskiego na cztery gałęzie z samodzielnymi domami macierzystymi: w Porębie pod Górą św. Anny, w Dębicy — Mp., w Starejwsi — Mp. i w Pleszewie — Wkp. Działalność ks. Głowackiego odnosiła się bezpośrednio tylko do kongregacji z siedzibą w Porębie. Wdzięczna kongregacja, otwierając 1930 r. swój wielki szpital nowoczesny w Strzelcach, nazwała go imieniem ks. prałata Głowackiego. Dla Franciszkanów na Górze św. Anny był ks. Głowacki syndykiem apostolskim i rendantem kalwarii; był też kaznodzieją kalwaryjskim aż do lat sędziwych.

Ks. prałat Głowacki umarł dnia 24. V. 1936 r. na swym probostwie w Wysoce pod Górą św. Anny w 90 roku życia a 66 kapłaństwa i został pochowany w rodzinnym grobowcu w Leńnicy.

Osobista rozmowa odważnego wikariusza z ks. kanonikiem Speilem we Wrocławiu i następna piśmienna obrona zajętego stanowiska z tym zapewnieniem, że za przekonanie swoje chętnie poniesie każdą ofiarę i każde cierpienie, załagodziły znacznie ostrze sprawy, lecz nie powstrzymały natychmiastowego wysiedlenia ks. Skowrońskiego z obwodu przemysłowego. Zadekretowano go do Łącznika w powiecie prudnickim, gdzie proboszczem był ks. Fryderyk von Woysky. Od niego, jak od dziekana Leona Knappego otrzymał świadectwo bardzo chlubne, kiedy się 1893 r. zgłaszał do egzaminu proboszczowskiego. Po jedenastu miesiącach przeniesiono go do Solca (Altzülz) pod Białą (Zülz). I tamtejszy proboszcz, ks. radca i emerytowany dziekan Hoffmann, nie mógł się go nachwalić i traktował go jak syna. Po jego śmierci (1894) zawiadował ks. Skowroński osieroconą parafią aż do nadejścia jej nowego proboszcza ks. Roberta Engla.²⁰⁾

*

Polskim człowiekiem sztandarowym na Górnym Śląsku był wtedy emerytowany major pruski Juliusz Szmula, od roku 1885 poseł z okręgu starobytomskiego na sejm pruski i do parlamentu niemieckiego. (RTPN II, 305—307.) Gdy sprowadzano na Wawel zwłoki Mickiewicza (1890), on w pochodzie reprezentował Górny Śląsk. Maćkowski nazywał go Parnellem śląskim. Popularność jego i dobry stosunek z redaktorami polskimi były solą w oku hrabiemu Ballestremowi, głównemu na Śląsku przywódcy centrowemu, który postanowił, przy nowych wyborach już nie dopuścić Szmuli do kandydatury. Szmula oświadczył, iż w takim razie starać się będzie na własną rękę o głosy wyborców i rywalizować z oficjalnym kandydatem centrowym i że, jeżeli przejdzie, — oprze się o Koło Polskie. Bezskutecznie próbował poróżnienie zażegnać poseł Letocha²¹⁾, który w liście do

²⁰⁾ cfr. RTPN. II, 27—28, nota.

²¹⁾ Paweł Letocha, syn rzeźnika Antoniego Letochy i Marianny z Wrodarczyków, żony jego, ur. 17. I. 1834 w Radzionkowie, odbył śladem dwóch braci Piotra i Franciszka, którzy zostali księżmi, studia gimnazjalne w Gliwicach; potem słuchał prawa we Wrocławiu i Berlinie. Praktykował kolejno w Wrocławiu, Głubczycach, znów w Wrocławiu, w Gnieźnie, Bydgoszczy, znów w Gnieźnie, w Poznaniu, Berlinie, Beeskowie, Storkowie i znów w Berlinie. Od 1882—1903 był posłem do parlamentu niemieckiego z okręgu Katowice-Zabrze, a równocześnie posłem do sejmu pruskiego. Tam przyznał

ks. Norberta Bonczyka z dnia 25 stycznia 1893 referuje o tym w sposób, który wyjaśnia więcej, aniżeli całe tomy późniejszych gazet:

Deutscher Reichstag.

Berlin, 25. I. 93.

Hochwürdigster Herr Pfarrer!

Vom Herrn Pfarrer Konietzko, an den ich über den Ballestrem-Szmula'schen Conflict in diesen Tagen geschrieben habe, werden Sie bereits erfahren haben, dass meine Versuche, den Conflict durch vermittelnde Rücksprache mit dem Herrn Grafen beizulegen, als gescheitert anzusehen sind, weil Herr Graf B. kurz und bündig erklärte, dass es einer, Seitens des Herrn Szm. auch bereits durch den Abgeordneten v. Strombeck versuchten, Vermittlung zwischen ihm und Szm. an sich insofern nicht bedürfe, als er des Herrn Majors Szmula's Ehrenhaftigkeit niemals auch nur angezweifelt habe, dass er aber — unbeschadet dieser Ehrenhaftigkeit — gleichwohl Herrn Szm. zur weiteren Vertretung des oberschlesischen Volkes aus den von ihm in Beuthen beim Herrn Pfarrer Schirmeisen entwickelten Gründen, die er in allen Punkten aufrecht halte, nicht für geeignet halte, in seiner Wiederwahl vielmehr grosse Gefah-

się w słynnej mowie, wypowiedzianej 24. I. 1884 w obronie robotników górniczych i hutniczych, publicznie do pochodzenia polskiego, odpierając zarazem pogardliwe lekceważenie Górnosłazaków jako „dumme Wasserpollacken“. Na podstawie statystyki kryminalnej bronił wtedy swych rodaków przed obelżymi wyzwiskami, jak: oberschlesischer Spitzbube, oberschlesischer Lump, verrottetes Gesindel; domagał się dla nich lepszej zapłaty, protestował przeciwko wyzyskowi ich siły roboczej i wykazał nieznośne stosunki w t. zw. knapszaftach. Tym ściągnął na siebie zarzut kapitalistów, jakoby podburzał lud przeciwko chlebodawcom. Wobec wrogiej postawy generalnego zarządcy majątków hr. Schaffgotscha Erbsa w Bytomiu oświadczył, że nie będzie dalej posłował, nie chcąc narażać wyborców na utratę chleba, gdyby mimo nacisku z góry mieli głosować na niego. Po kompromisowym załatwieniu sprawy posłował jednak dalej do sejmu, lecz już nie z przemysłowego okręgu bytomskiego, ale z rolniczego okręgu strzeleckiego. Kasprowicz, który 1885 r. pisał o stosunkach górnosłaskich do „Kraju“. dochodził do słusznej konkluzji, że centrowy komitet prowincjalny, nie mogąc usunąć niemiłych sobie posłów Letochę i Szmulę na drodze jawnej, pragnął zwichnąć im nogę przez postawienie ich kandydatur w okręgach nowych i niepewnych, mianowicie Letochę, obeznanego z sprawami robotniczymi, postawiono w agrarnym okręgu strzeleckim, Szmulę zaś, który był obszarnikiem, postawiono w hutniczym okręgu bytomskim, skąd dotychczas posłował Letocha. Obaj jednak rozszerzyli wskutek tego tylko swoją popularność; obu też uczciło Tow. Górnosłaskie we Wrocławiu nadzwyczajnym członkostwem honorowym.

Zwyciężony 1903 r. w ściślejszych wyborach do parlamentu przez młodego Korfantego (cfr. RTPN. III, str. 28), wycofał się Letocha całkiem z polityki. Emerytowany jako tajny radca sprawiedliwości, umarł 5. II. 1911 w Kozielszy i został na własne życzenie pochowany w Radzionkowie.

ren nicht bloss für die Wahlkreise, sondern für ganz Oberschlesien und für das Centrum als solches, dessen Fahne er hoch zu halten habe, erblicke und daher seine etwaige Kandidatur bei der Aufstellung der Kandidatenliste in Breslau *mit aller Entschiedenheit* bekämpfen werde.

Bei dieser positiven Erklärung des Grafen Ball., der selbst der Führer des Centrum ist und als solcher von dem katholischen Deutschland angesehen und sehr hoch geschätzt wird, halte ich die Szmula'sche Kandidatur für überaus bedenklich und — die ganze Situation für geradezu kritisch.

Denn Sz. will sich nicht bei Seite schieben lassen, sich vielmehr bei Nominirung eines anderen Centrums-Kandidaten als Gegenkandidaten selbst aufstellen bezw. von den für ihn eintretenden polnischen Blättern aufstellen lassen.

Er sagte mir das unumwunden, als ich ihm auf sein Befragen über den Erfolg der Vermittlungsversuche vorgestern mittheilte, dass Graf B. die von ihm in Beuthen gegen seine Kandidatur erhobenen Bedenken aufrecht erhalte u. seine etwaige Kandidatur demnächst auch bekämpfen würde. Auf meinen weiteren Vorbehalt, dass er durch seine Kandidatur gegen einen *Centrumskandidaten* unendliches Unheil schon umdeshalb anrichten würde, weil dann zwischen dem Volke und den Geistlichen, welche wahrscheinlich für den Centrumskandidaten eintreten, also ihn (Herrn Szm.) bekämpfen würden, eine verhängnisvolle Kluft geschaffen würde, dass ihm ferner sein etwaiger Sieg über den Centrumskandidaten die Reihen des Centrums verschliessen würde, dass endlich die etwa unter seiner Führung aus Männern, wie Dr. Drozdek u. Gleichgesinnten — falls diese in anderen Kreisen gegen Centrumskandidaten aufgestellt und etwa gewählt werden sollten, zu bildende obereschlesische Volkspartei wegen ihrer unbedeutenden Zahl (doch höchstens 8 Abgeordnete) für Oberschlesien nichts erreichen, wohl aber die bisherigen Errungenschaften und das noch zu Erreichende in Frage stellen, daher für Oberschlesien und unsere dortigen Landsleute voraussichtlich verhängnisvoll werden könnte, — erklärte Herr Szm., dass für die Folgen nicht *er*, sondern *seine Gegner* verantwortlich sein würden; er habe treu zum Zentrum gehalten und nach seiner besten Ueberzeugung im Betracht des obereschlesischen Volkes gewirkt, er wolle und würde dies auch weiter thun. Würden ihm die Reihen des Centrums verschlossen, dann gebiete ihm sein Gewissen, ausserhalb des Centrums für das obereschlesische Volk zu dessen Heil und Frommen weiter zu arbeiten in Gemeinschaft mit gleichgesinnten Männern, die sich allerdings — weil vom Volke gewählt und getragen — als obereschlesische Volkspartei betrachten und geriren und — wenn noch zu schwach — den Polen anschliessen und dadurch diese stärken würden.

Herr Major Sz. hat dadurch die von ihm und den künftigen obereschlesischen Beglückern verfolgten Ziele *klar* gelegt und die einzuschreitenden Wege hinreichend präcisirt. Es sind dies Ziele und Wege, auf welchen *ich* nicht fogen kann, weil für mich die Verfolgung derartiger Tendenzen gleichbedeutend ist mit einem Verrath an Oberschlesien und an unserer heiligen Sache. Ich habe mich seiner Zeit dem Centrum zur Verfügung gestellt, bin als Centrumsmann gewählt u. als solcher gleich-

sam eingeschworen, ich halte zu unserer Fahne fest, muss daher die eventuelle Abbröcklung vom Centrum, wie dieselbe in Oberschlesien inscenirt wird, verdammen.

Ich habe mit mir gekämpft, ob ich Ihnen bezw. durch Ihren Mund auch den anderen Herrn Geistlichen diese mehr *vertraulichen* Expectorationen des Herrn Majors mittheilen soll und zu der Mittheilung mit Rücksicht auf die vertrauliche Natur der zwischen dem Herrn Major Sz. und mir stattgehabten Unterredung überhaupt berechtigt bin; — eine innere Stimme sagt mir: thue es! Handle ich unrecht, dann geschieht es im Dienste des oberschlesischen Volkes und meiner lieben Landsleute, — einzig und allein zu dem Zwecke, Sie und die anderen Herrn Priester als die geborenen Führer des Volkes über die kritische Situation möglichst aufzuklären, damit Sie bei den zu fassenden Beschlüssen das Richtige treffen — zum Wohl des oberschlesischen Volkes und zum Segen unserer heiligen Kirche. Das walte Gott!

Dixi et salvavi animam meam!

Mit vorzüglichster Hochachtung

sehr ergebener

Letocha.

P. S. Aus Klugheit und um des lieben Friedens willen dürfte sich eine Beschlussfassung etwa folgenden Inhalts rechtfertigen:

„Die katholische Geistlichkeit des alten Beuthener Kreises hat nach eingehender Berathung beschlossen, ihrem bisherigen Vertreter im Landtage u. Reichstage die Mandate des Weiteren anzuvertrauen und denselben als ihren Kandidaten aufzustellen, vorausgesetzt, dass Herr Sz. die *schriftliche* Erklärung abgibt, dass er fest und unentwegt zum Centrum hält und etwaige Versuche zur Bildung einer sog. oberschlesischen Partei oder zum Anschluss der oberschlesischen Abgeordneten an die polnische Fraktion mit aller Entschiedenheit bekämpfen wolle und bekämpfen werde.“

Eine solche *schriftliche* Erklärung muss auch dem Herrn Grafen B. genügen und wird ihm genügen, wenn er sieht, dass die *Geistlichkeit hinter Szm.* steht. Will Herr Sz. die Erklärung nicht abgeben, dann ist er verdächtig und gefährlich u. hat sich die Folgen selbst zuzuschreiben.

List ten, który znajduje się obecnie u ks. Szramka, rzuca ciekawe światło na faktyczne wysłanie pierwszego pościa z Górnego Śląska do Koła polskiego, co nastąpiło w roku 1903 pod hasłem: precz z Centrum!

Do ugody z hrabiem Ballestremem nie doszło, a przy wyborach do parlamentu dnia 15 czerwca 1893 odniósł ludowy kandydat Szmula za pomocą „Katolika” świetne zwycięstwo nad oficjalnym kandydatem centrowym, dziekanem i komisarzem biskupim ks. Leopoldem Nerlichem, proboszczem piekar-

skim. Wynik wyborów wywołał u ludu niesłychany entuzjazm, który wyładowywał się w pieśniach triumfalnych, w kołach duchownych zaś przerażenie, które zacnego ks. dziekana Michałskiego w Lipinach przyprawiło o nagłą śmierć.²²⁾ Ważyły się polityczne wpływy centrowego kleru z jednej a polskiego triumwiratu Koraszewski-Mačkowski-Napieralski z drugiej strony.

Ks. Skowroński znał wszystkich trzech redaktorów osobiście i żył z nimi w rzeczowej przyjaźni, ale „ukryty” w powiecie prudnickim, tylko par distance był świadkiem zwycięstwa Szmuli. Lecz w sercu jego kipiło. Ułożył wtedy wiersz „Powrót do ojczyzny”, osnuty na przeżyciu ks. Biedermana, proboszcza w Gostomi (Simsdorf) a dawniejszego wikarego w Piekarach: weteran z pod Ostrołęki wraca po 40 latach tułaczki przez Piekary do ojczyzny i znajduje śmierć we fałach Brynicy, zastrzelony przez patrol kozacki. Ks. Skowroński opromienił tragiczną śmierć weterana własną radością, jaką wtedy przeżywał: naprzód, krzyknie starzec, hura! — Już na wstępie dał upust swym uczuciom patriotycznym:

O miłości, ty pod niebem
Nie znasz nic droższego w świecie,
Nad ojczyzny miłą glebę,
Nad zagrody własnej kwiecie.

By ich bronić — dasz sił lwicy,
By wysławiać — słów anioła,
Do nich spieszyć — piór orlicy,
Z nich się cieszyć — ócz sokoła.

Ty niewiastę robisz mężem,
Męża zdobisz sławą blizny,
Uczysz władać młódz orężem,
Siły podwajasz siwizny.

Niebawem zawrzała walka wyborcza na rubieżach polskości w prudnickim. Tamtejszy poseł centrowy do parlamentu proboszcz Śmicza ks. Józef Cytronowski złożył w listopadzie 1893 mandat, nie mogąc znaleźć odpowiedniego zastępcy w duszpasterstwie. Przy wyborach uzupełniających wysunął „Katolik” kandydaturę gospodarza Franciszka Strzody z Wierzchu (Dt. Müllmen) przeciwko oficjalnej kandydaturze centrowej właściciela dóbr Delocha. Między nimi odbył się dnia 25 stycznia 1894 wybór ścisły, w którym Strzoda otrzymał 7565 głosów

²²⁾ cfr., RTPN, II, 305—407.

a Deloch tylko 2746, mimo że za Delochem było się publicznie oświadczyło 30 księży, a za Strzodą tylko jeden proboszcz prudnicki ks. Gerntke. Ks. von Woysky, jako prezes centrowego komitetu wyborczego na powiat prudnicki, był nieszczęśliwy, że partia jest rozszczepiona. Ostatecznie przepisano Delocha ex post na konserwatystę, a Strzodę przyjęto do partii centrowej, choć „Goniec Wielkopolski” reklamował go już dla Koła Polskiego.

Rozłam partii centrowej ujawnił się i w tym, że jedna część prasy centrowej z Schles. Volksztg. na czele przypisywała winę zamieszania redaktorom polskim, gdy druga jej część, zwłaszcza Neisser Ztg. i Neustädter Ztg. twierdziła: „Der Wirrwarr kommt vom Zentrum” i winiła zarząd własnej partii, że za mało uwzględnia słuszne życzenia wyborców polskich. O autorstwo podobnego artykułu w Neustädter Ztg. posądzała Schles. Volksztg. na podstawie rzekomych informacji z kół duchownych ks. Skowrońskiego, który się musiał tłumaczyć w kurii wrocławskiej. Stwierdziwszy kategorycznie, że nic nie ma wspólnego z inkryminowanym artykułem w Neustädter Ztg., bronił się z widoczną goryczą — był właśnie wrócił z pogrzebu brata Adama — przed niesłusznym podejrzywaniem przez niektórych konfratrów, jakoby on był namówił Strzodę do kontrkandydatury i w porozumieniu z polskim centralnym komitetem wyborczym w Poznaniu sprowadził Napieralskiego do powiatu. Koniec wynurzeń jego, który nieco przypomina samoobronę św. Pawła, stanowi znamienne *documentum temporis*:

„Meine einzige Sünde oder vielmehr die des lieben Schöpfers ist, dass ich als Pole geboren bin. (Was ich unter Pole verstehe, das habe ich in der Rechtfertigungsschrift anlässlich der Denunziation seitens des verstorbenen Hr. Erzpriesters Michalski klargelegt.) Pole zu sein genügt aber in Oberschlesien, um als Sozialdemokrat, Aufwiegler, Vaterlandsverräter, Aussätziger etc. etc. betrachtet, verdächtigt und gemieden zu werden. Ich habe weder in Königshütte, noch in Lonschnik, noch hier in Altzülz als politischer Aufwiegler, sondern lediglich als Seelsorger gearbeitet, und niemand kann mir nachweisen, dass ich Kanzel oder Beichtstuhl durch Politik entweiht oder auch nur eine Spur einer Aufwiegelung des Volkes an den Orten meiner Tätigkeit hinterlassen hätte. Ich war 3½ Jahr Beichtkind und Liebling des verstorbenen Hr. Erzpriesters Michalski, und er hat mir seine Liebe durch teure Geschenke bewiesen, bis ich es gewagt, anderer Ansicht zu sein als er. Noch am 4 Dezember 1893 erklärte mir Hr. Pfarrer Zaruba aus Komornik, dass sich mein Herr Pfarrer v. Woysky lobend über mich ausgesprochen und mich einen bra-

ven, eifrigen Priester genannt hätte. Auch in einem Schreiben an den verstorbenen Rath Hoffmann stellte mir Hr. Pfarrer v. Woysky das beste Zeugnis aus, sodass mich der Hr. Rath wie seinen Sohn behandelte und geüssert hat, er sei glücklich, auf seine alten Tage in mir einen so braven Kaplan bekommen zu haben. Ich führe dies hier nicht an — Gott weiss es — um mich zu loben, sondern lediglich um zu beweisen, dass man meine priesterliche Tätigkeit nicht anzugreifen wagt und sie im Gegenteil lobend anerkennt. Wenn ich nun als Priester, soweit das menschliche Auge es beurteilen kann, keinen Anlass zur Klage gebe und auch ausserhalb der Kirche mir eine politische Aufwiegelung der Gemeinde nicht nachgewiesen werden kann, so muss ich mich verwundert fragen: warum verfolgt man mich? In Beantwortung dieser Frage kann ich mich leider der Ueberzeugung nicht verschliessen, dass jetzt von vielen zur Wertschätzung eines Priesters nicht sein Eifer um das Heil der Seelen, nicht das gegenseitige Vertrauen und das cordiale Verhältnis zwischen ihm und seiner Gemeinde, sondern lediglich seine politische Gesinnung als Maßstab angenommen wird."

Odtąd czuł się ks. Skowroński odosobnionym i dużo cierpiał z tego powodu. Poetyckim osądem tego nastroju są wiersze: „Biedne serce“, „W krzyżu zbawienie“ i „Uczucia przed zimą“, gdzie młody autor narzeka, że wiew rzeczywistości chłodny mrozi ideałów rój; dlatego ukrywać je musi w sercu z nadzieją, że kiedyś nadejdzie znowu wiosna lepszych, miłszych dni.

W grudniu 1894 przeniesiono ks. Skowrońskiego w charakterze administratora do Szymiszowa w pow. strzeleckim. Ponieważ go gnębiące poczucie osamotnienia i tu nie opuściło, udał się, jakimś instynktem wiedziony, do schorzałego już ks. Damrota i dopiero z tej wizyty zaczerpnął nowej otuchy. Niech sam opowiada:

„Było to w styczniu 1895 r., a więc krótko przed śmiercią ks. Damrota, kiedym się razem z przyjacielem Miczkim, kapłanem w Rybniku, puścił w dzień nader slotno-śnieżysty do Pilchowic, aby tam w klasztorze Braci Miłosiernych odwiedzić ks. Damrota, którego dotąd jeszcze osobiście nie znałem, ale dla jego prac na niwie ojczyznej wielce ceniłem. Szukałem u niego pociechy w politycznych prześladowaniach, na jakie byłem parę miesięcy przedtem publicznie i prywatnie narażony. Byłem bowiem gorącym zwolennikiem świeżo na Górnym Śląsku powstałego ruchu narodowego, który, trzymając się coprawda jeszcze w ramach organizacji centrowej, stanowczo jednak upominał się o szczeropolskich posłów do parlamentu. Oficjalne centrum we Wrocławiu a niestety i księża zwalczali namiętnie te wolnościowe odruchy ludu polskiego, który instynktem, właściwym konającymu, odczuł zgubny zwrot w polityce centrowej, która po częściowem zlikwidowaniu walki kulturalnej szukała wbrew najżywotniejszym interesom ludu polskiego stałej przyjaźni ze rządem pruskim. Zapalczywe walki wyborcze około kandydatur pp. ma-

jora Szmuli, Radwańskiego, Roboty, Strzody były wyrazem głęboko już sięgającego rozłamów między ludem a jego opiekunką, partją centrową. Co do mnie to, solidaryzując się odrazu z ruchem ludowym, ściągnąłem na siebie nienawiść centrowych gazet, a nawet i księży konfratrów, którzy przez całą walkę kulturalną tak ściśle żyli się z partją centrową, że nie mogli odrazu pojąć, że nowe prądy mają rację bytu w nowo wytwarzających się warunkach politycznych. Rząd pruski bowiem poczynił niemieckim katolikom folgować, całe ostrze zaś walki kierować przeciw Polakom. Było mi wiadomo, że ks. Damrot nie tylko sympatyzował, ale wprost przez artykuły popierał nowopowstałą orientację ludu. Przygnębiony prześladowaniem, pośpieszyłem więc do ks. Damrota, szukając u niego pociechy i zachęty do wytrwania na raz obranej drodze politycznej.

I nie omyliłem się. Przyjął nas nader serdecznie i wyraził niedwuznacznie swoją radość z naszego przybycia. Wiedząc z gazet, że mnie prześladowano w gazetach i nawet przez księży bojkotowano, pocieszał mnie i zachęcał do niezachwianej obrony ludu. Centrum niemieckie, tak się wyraził, stało się macochą dla polskiego ludu i nie ma wyrozumienia dla jego dążeń polsko-narodowej. Wy, bracia młodzi, gotujcie się na dalsze prześladowania. Na miejscu przestarzałego centrum musi młoda generacja wziąć w ręce swoje obronę ludu. Smutno, że nawet księża nie chcą zrozumieć te nowe prądy, bo swoją opozycją zniechęcają do siebie lud wierny. Jednemu z takich duszpasterzy, który przez całą walkę kulturalną był szczerym obrońcą ludu (ks. Engłowi), zwróciłem uwagę na błąd, który popełnia, zwalczając razem z „Schles. Volkszeitung” zdrowy ruch narodowy, i pisałem mu jako dobremu przyjacielowi: *es tut mir lang schon weh, dass ich dich in der Gesellschaft seh*. No, ale trudno, starzy księża nie mogą się tak prędko otrząść od przestarzałych formułek politycznych. Do was, bracia młodzi, należy przyszłość. Tu zwrócił uwagę na wiersz w Gazecie Opolskiej, leżącej przed nim na stole, zatytułowany „Uczucia przed zimą”. Dziwnie harmonizowały te wiersze z ponurością dnia śnieżystego i z beznadziejnością stanu zdrowia ks. Damrota:

*Przeraziłwiewie na zagrodzie
Kracze szare stado wron, -
Stygnie życie już w przyrodzie,
Już się zbliża błądy zgon.*

— — — — —
*Ach przyrodo, tobie jeszcze
Zwierzam się dziś z bólem mym,
Wszak i tobie zimne dreszcze
Mroźną piersi lodem swym.*

My starzy musimy ustąpić — lampka życia mego dogorywa — dni moje policzone. Krakanie wron zwiastuje mi śmierć. Wy zaś, bracia młodzi, nie zważajcie na krakanie politycznych kruków i wron, choć was zadrasną mściwymi szponami; one przed zbliżającą się wiosną pierz-

chnąć muszą, zima minie, wiosna wróci. Pracujcie dla ludu, a nastaną lepsze dni!

Długośmy tak rozmawiali. Często musiał przerywać rozmowę, bo mu co chwila zabrakło w piersiach tchu. Mimo to nie chciał nas puścić, widocznem było, że pragnął w nas wlać swego ducha i wiarę w lepszą przyszłość. Głębokie wrażenie zrobiły na nas odwiedziny u tego szlachetnego obrońcy i miłośnika ludu. Niestety już parę tygodni później musieliśmy z bólem serca stanąć nad jego grobem. Ale jego duch nie przestał nas ożywiać."

Pokrzepiwszy w ten sposób własnego ducha, zaczął ks. Skowroński patrzeć na świat z nowym optymizmem, zwłaszcza że w październiku 1895 przy wyborach uzupełniających w okręgu pszczyńsko-rybnickim znowu przeszedł popularny kandydat Radwański (12.447 głosów), zwyciężając oficjalnego, lecz niedobranego kandydata centrowego barona Huenego (4501 głosów). Wtedy nasunęło się ks. Skowrońskiemu pyszne porównanie ludu śląskiego z Laokoonem, który ostrzem oświaty narodowej zwycięsko przecina duszące go cielsko węża germanizacji.

Śląski ludu, Laokonie,
Hej do broni, do oręża!
Podnieś śmiało twoje skronie,
Przetnij mężnie pasma węża!

— — — — —
Polskim jesteś, Bóg tak zrządził.
Polskim zostań zawsze, wszędzie.
Jeszcze nigdy Bóg nie zblądził,
Jak On zrządził, niech tak będzie!

Po przyjacielsku radzi ks. Skowrońskiemu proboszcz bytomski ks. Schirmeisen, by przestał zajmować się publicznie sprawą polską, a postara mu się o intratne probostwo w obwodzie przemysłowym. Reakcją jest wiersz:

Za podły mi świat i jego rozkosze,
By do nich me serce się rwało.
Za hardo me czoło ja noszę,
By w pyle się ziemi czolgało.

I niepozorne dwa obrazki na pulpicie stają się dla niego gwiazdami przewodnimi:

Dwa obrazki na pulpicie
Jak przewodnich gwiazd promienie
Światłość ślą w burzliwe życie,
Krzepią wciąż moje sumienie.

Jeden przedstawia mi Pana,
 Od szatana kuszonego,
 Drugi Piotra, u kolana
 Zbawiciela, tonącego.

Kuracja Szymiszów stała się w r. 1895 parafią, a kuratus proboszczem. Lecz gdy 1896 r. nagle umarł proboszcz Ligoty pod Białą ks. Kolbe, ubiegał się ks. Skowroński o Ligotę, liczącą razem z przynależnymi do niej gminami Górka (Ernestinenberg), Otok i Radostyń coś ponad 2000 dusz. Wskutek parcelacji tamtejszego dworu był patronat rozbity na nabywców parceli i słusznie żartował sobie ks. Skowroński, że ma przeszło dwustu patronów. Uzyskawszy solidarną ich prezentę, stał się we wrześniu 1896 r. proboszczem w Ligocie i pozostał tam aż do 1921 r. na zachodniej rubieży terenu etnograficznie polskiego, opromienionej dodatnim wpływem katolickiego seminarium nauczycielskiego w Głogówku, które jako jedyne miało tu aż do 1872 r. w programie naukę języka polskiego.

Wiecznotrwałym pomnikiem proboszczowskiego urzędowania ks. Skowrońskiego w Ligocie jest tamtejszy nowy kościół pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa, wystawiony obok starej, wilgotnej i już całkiem niedostatecznej świątyni pod tym samym wezwaniem. Dnia 29 czerwca 1908 r. poświęcił jako proboszcz kamień węgielny, a 31 maja 1909 dzwony nowego kościoła. Poświęcenia gotowej już świątyni dokonał 14 listopada 1909 ks. dziekan von Woysky, a konsekracji sufragana wrocławski ks. biskup Augustyn dnia 16 czerwca 1912 r. Serce ks. Skowrońskiego wezbrało dumną radością:

Zabrzmi z białej wiczy dzwonie,
 Chorągiewki powiewajcie!
 Snujcie się z kadzielnic wonie,
 Wy, organy, dźwięcznie grajcie!

Projekt nowego kościoła ligockiego pochodził od znanego na Śląsku architekta Ludwika Schneidera z Wrocławia, robotami kierował budowniczy Heda, ligoczanin, główny ołtarz rzeźbiono w Nysie, malowidła wykonał według pomysłu ks. Skowrońskiego solidny, lecz mało oryginalny artysta R. Richter z Kłodzka.

Prawdziwym klejnotem są trzy witraże w absydzie, wykonane w Düsseldorfie według kartonów Włodzimierza Tetmajera z Krakowa: środkowy przedstawia św. Stanisława, wywołującego Piotrowina z grobu; prawy (po stronie Ewangelii) apo-

stołów Słowian św. św. Cyryla i Metodego na tle krajobrazu ze starą lipą słowiańską i drewnianym kościółkiem na wzór św. Jadwigi w Pszczynie; lewy (po stronie lekcji) scenę z Gal. 2, 14, jak św. Paweł interpeluje św. Piotra: „*quomodo gentes cogis judaizare?*”

Kompozycja witraży zawiera w sobie głęboką myśl. Słusznie zauważył po śmierci ks. Skowrońskiego Jerzy Langman w „Głosie Narodu”: „W tych barwnych szklach miał być wyrażony wiew z Polski, miał być nakaz do pracy narodowej na tym granicznym odcinku, jakim było prudnickie, miał być tam i nieodparty argument, że droga, którą idzie społeczność Skowrońskiego, jest nie tylko godziwą, ale jedynie mądrą.” Myślą przewodnią witraży ligockich są — poza czią dla odwiecznego patrona parafii, słowa św. Pawła: *quomodo gentes cogis judaizare?* (Gal. 2, 14). Od ks. Bartelmusa w Białej miał ks. Skowroński stary miedzioryt włoski, przedstawiający według obrazu Guida Reni św. Pawła w dyspucie ze św. Piotrem, a podpisany właśnie: *quomodo gentes cogis judaizare?* W tej scenie z dziejów apostołskich upatrywał ks. Skowroński swój program kapłana i patrioty. Liczne jego pisma do kurii wrocławskiej i do konfratrów niemieckich były górnośląską parafrazą słów pawłowskich: *quomodo gentes cogis judaizare?* — Święci Cyryl i Metody są słowiańskim wcieleniem zasady św. Pawła: *omnibus omnia* — i historycznym protestem przeciwko niemczeniu przez Kościół. Z licencją poetycką interpretował ks. Skowroński narodowo nawet środkowy obraz: św. Stanisław na tle gotyckiego sklepienia z podniesionymi, jak prorok, rękoma Piotrowinę wskrzeszając, wskrzesza narodowość w ludzie śląskim.

Przez zamówienie tych witraży dla Ligoty stał się ks. Skowroński prawdziwym pionierem sztuki polskiej. W Ligocie pozostały również kartony Tetmajera, ujęte w tryptyk jako tło sedyliów po stronie Ewangelii.

Przy budowie nowego kościoła w Ligocie odczuł ks. Skowroński brak kroniki miejscowej i nabrał ochoty do dziejopisarstwa parafialnego. Ku badaniu starych nazw miejscowych było go popchnęło już pośmiertne dzieło ks. Damrota, czego dowodem artykuł „Über die Entstehung und Bedeutung der Ortsnamen Solec-Altzülz und Biala-Zülz” w Neustädter Ztg (1901 nr 277). Przy pisaniu kroniki parafialnej ks. Skowroński ugrzązł niestety w poszukiwaniu wiadomości z czasów dawnych



Kartony Włodzimierza Tetmajera w Ligocie (pow. prudnicki)

i wskutek tego nie zdążył opisać ciekawego okresu własnego urzędowania i duszpasterstwa. Złożony teraz w Bibliotece Publicznej im. Józefa Piłsudskiego w Katowicach rękopis, zatytułowany „Material zur Ellguther Pfarrchronik, gesammelt vom Pfarrer Aleksander Skowroński anno 1908” — zawiera poza znakomitą dyspozycją tylko 30 stronice o patronacie i patronach oraz 22 stronice o proboszczach (aż do 1893 r.). Cała reszta grubej książki in folio, to karty próżne. Mimowoli przypomina się Papini, który, drwiąc z historyków, co mają oczy na karku lub na ramionach, radzi pisać historię na opak, od terażniejszości ku przeszłości, i twierdzi, że tylko postępując wstecz, historia stanie się prawdziwą nauką, bo tylko wtedy postępuje według złotej reguły: od wiadomego do mniej wiadomego — ku niewiadomemu²³).

Wprawdzie ks. Skowroński skrupulatnie przechowywał polityczną korespondencję, koncepty i szkice własnych pism i wierszy, ważne numery gazet śląskich i pozaśląskich — i zwłaszcza po ukazaniu się życiorysu a potem nawet kazań, mów i odez w ks. Kapicy, dawał do zrozumienia, że i jego praca polityczna i literacka nie zasługuje na zapomnienie, ale sam już nie czynił żadnych wysiłków dziejopisarskich. Więc nie w tym kierunku jego znaczenie. Daleko poza granice własnej parafii nabrał on znaczenia jako myśliciel, pisarz i działacz.

By ocenić wkład jego myśli i energii w bieżące wtedy sprawy górnośląskie, trzeba uprzytomnić sobie ówczesną problematykę.

II. PROBLEMATYKA ÓWCZESNA I JEJ NASWIETLENIE PRZEZ OTWARTY LIST KS. ROSSOCHOWITZA

Z geopolitycznego położenia Śląska wynikają zagadnienia socjologiczne, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Zasadniczo rozwiązać może te problemy tylko uniwersalny Kościół katolicki, którego główny filozof, genialny Tomasz z Akwinu, aczkolwiek nie mógł wszystkiego przewidzieć, jednak wszystko powiedział, bo spoglądając z najwyższych szczytów metafizycznych wiedzy ludzkiej na naturę bytu, rozwiązał z góry takie nawet zagadnienia, które dopiero po wielu stuleciach miały zaj-

²³) Gog, Kraków 1934, str. 58—62.

mować umysły²⁴). Aktualizacja tej *philosophia perennis*, która odznacza się przedziwnym umiarem w poglądzie na świat i życie, dokonuje się na przestrzeni okręgu ziemi i w czasie wieków wśród zaciętych nieraz zmagania z prądami skrajnymi.

Tak było i na Górnym Śląsku po walce kulturalnej. Sytuacja była tu ciekawa, lecz zawiła. „Książd z Krakowa” (o. J. Badeni T. J.), który 1889 r. opisał w Przeglądzie Powszechnym swoją wycieczkę na Górny Śląsk, i Stanisław Bełza, który cenne spostrzeżenia i wrażenia swoje z tego samego roku ogłosił w broszurze „Na Szląsku polskim” (1890), zauważyli mniej więcej powierzchownie ogólnonarodową stronę problemu. W gruncie rzeczy narzucała się sprawa polska na Górnym Śląsku lub zaczynała się narzucać pod postacią czworaką: 1) jako sprawa duszpasterska i religijno-wychowawcza ze względu na związek z czwartym przykazaniem Bożym i na ważność ojczy-stego języka dla duszpasterstwa; 2) jako kwestia etnograficzna i kulturalno-narodowa ze względu na językowy, obyczajowy i kulturalny związek Ślązaków z resztą narodu polskiego; 3) jako kwestia partyjna ze względu na stosunek do Centrum z jednej a do Koła Polskiego z drugiej strony; 4) jako sprawa wybitnie polityczna lub państwo-twórcza z uwagi na podstawowe znaczenie dla ewentualnego przyłączenia Śląska do przyszłej Polski.

Ks. Skowroński miał odegrać rolę we wszystkich czterech kierunkach: ad 1) przez wybitną akcję w obronie nauki religii w języku ojczystym, ad 2) jako współzałożyciel Tow. dla szerzenia elementarzy polskich, czasowy prezes Tow. Pomocy Naukowej, a później jako prezes Tow. Oświaty im. św. Jacka, ad 3) jako t. zw. chrzciciel polskiego radykalizmu na Śląsku i głosiciel solidarności kleru z ludem na platformie narodowej, ad 4) przez drogowskazową postawę w plebiscycie.

Ówczesną mentalność kleru w stosunku do wszystkich tych spraw wiernie oddaje i całą problematykę doskonale naświetla „list otwarty do redaktorów Polaków-nie-Ślązaków na Górnym Śląsku i do rodaków górnośląskich”, napisany 1894 r. przez weterana z walki kulturalnej ks. Augusta Liboriusza Rossochowitza, proboszcza w Jesionie²⁵). Powód do tego ciekawego

²⁴) cfr. Henryk Romanowski, Aktualność Filozofii Tomistycznej. Warszawa 1931.

²⁵) August Liboriusz Rossochowicz, ur. 1838 w Rychtalu, wyśw. 1869, był najprzód wikarym w Oleśnic. Zadekretowany w lipcu 1873 jako wikariusz

wynurzenia się był taki: gdy miał zacząć wychodzić centrowy Kuryer Górnośląski, a więc na jesień 1893, zapowiedział to ks. Rossochowitz w Żyrowie, należącej do jego parafii, wyraził, za które go poseł major Szmula zaskarżył o zniesławienie. Według „Katolika” (1893, nr 111) miał powiedzieć mniej więcej, że Napieralski i Szmula chcą przywrócić Królestwo Polskie. Nie doszedłszy do porozumienia ze Szulą, rozprowadził na łamach „Kuryera Górnośląskiego” (1894, nr 47 do 55) obszernie te myśli, które był krótko tylko poruszył w Żyrowie.

Ks. Rossochowitz pyta najprzód, skąd się wzięli owi redaktorowie na Górnym Śląsku, kto ich powołał, kto ich zrobił wodzami ludu, czego chcą, jakich środków używają, by dojść do celu, nareszcie jakie muszą być owoce ich siewu. — Z góry im zarzuca, że jako nie-Ślązacy²⁶⁾ wywołali tu „na obczyźnie” ruch i niepokój, przenosząc tu słowo „narodowość”, którego on sam od nich się nauczył. „Lud górnośląski rozumie pod tym

powiatowy do Wodzisławia, ucierpiał dużo wskutek pruskich ustaw majowych. Już we wrześniu tegoż roku doręczono mu zakaz państwowy. Ponieważ uprawiał dalej duszpasterstwo, a potem jako kapelan hr. Saurma Jeltsch pod Olawą czy to w kaplicy zamkowej, czy to w rodzinnym Rychtalu często celebrował, dostał się siedmiokrotnie przed kraty sądowe w Rybniku, Namysławie, Lublińcu i Olawie i został mimo apelacji skazany na z górą cztery miesiące więzienia, które w głównej części odsiedział w Oleśnie od stycznia do maja 1875. W lipcu tegoż roku doręczono mu zakaz przebywania w rejencji opolskiej i wrocławskiej. Wobec tego przyjął posadę duszpasterską w Green Bay w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i pozostał tam do roku 1884, ścigany w Prusiech 1875 i 1877 r. listami gończymi, bo miał jeszcze nie odbytych dwanaście dni kaźni więziennej. Gdy 1881 przyjechał na Śląsk w odwiedziny, aresztowano go natychmiast i wypuszczono dopiero po złożeniu odpowiedniej grzywny. Wróciwszy 1884 do kraju, zawiadował najprzód parafią w Dziadowej Kłodzie (Kunzendorf) pod Sycowem, skąd we wrześniu 1888 przeniósł się jako proboszcz do Jesiony; tam umarł 1896. — cfr. Dr. Seppelt, Bilder aus dem Kulturkampf in Schlesien, Schles. Volksztg. z dnia 10 sierpnia 1924.

²⁶⁾ Gdyby ks. Rossochowitz dłużej był pożył, byłby w 10 lat później wyczytał w „Gazecie Opolskiej” (1905, nr 102) taką uwagę pewnego księdza Górnoślązaka, dawniej centrowca: „Gazety centrowe wrzeszczą na redaktorów gazet polskich, że to przybłądy z Poznańskiego, a one mają tak samo redaktorów przybyłych z innych stron, np. p. Neise z „Neisser Ztg” jest Hanowerczykiem, p. Feldhuss z „Oberschles. Volksstimme” jest Westfalczykiem, p. Holthoff, który był w „Oberschles. Volksztg.” a przy opuszczeniu Górnego Śląska kpił sobie z „Ostelbien”, jest Nadreńczykiem, a jakim landsmanem jest p. Bürkner z „Schles. Volkszeitung”, nie wiem. Onym wolno się rozpościerać między nami Polakami na Śląsku — polskim redaktorom nie!”

słowem jedynie mowę polską, ale w tym słowie leży wiele, wiele więcej. Pod narodowością polską ja rozumiem nie tylko mowę polską, ale owe usposobienie umysłu, jakie jest pomiędzy Polakami, więc nie tylko mówić po polsku, ale też i myśleć, czuć, żyć, mieć obyczaje i pragnienia, jak i Polacy myślą, czują, żyją i jakie oni mają obyczaje i pragnienia. W Poznańskim ojczyzna nade wszystko, potem dopiero wiara nasza katolicka — a pod ojczyzną oni rozumieją nie naszą terażniejszą ojczyznę, lecz starodawne Królestwo Polskie." Potem zarzuca ks. Rossochowitz „Nowinom Raciborskim", „Katolikowi" i „Gazecie Opolskiej", że sięją niezgodę, niepotrzebnie rozróżniając katolików polskich od katolików niemieckich. Razi go zapowiedź „Nowin Raciborskich" (1893, nr 141), że wszelkimi siłami będą się tutaj starały, by węzeł narodowy z resztą braci zadzierzgnąć jak naj-silniej. Razi go, gdy, pisząc o koloniach w Afryce, mówią, że „Niemcom" w Afryce niekoniecznie się powodzi. Więc „Niemcom", a nie nam, którzy do kraju niemieckiego należymy! — Razi go, gdy gazety polskie, wskazując na Dolny Śląsk, który się i zniemczył i zlutrzył, twierdzą, że w mowie polskiej naj-pewniej się zachowa ta perła między religiami prawdziwa, jaką jest religia katolicka. „Święta Jadwiga była Niemką, po polsku nie mówiła, a również jest naszą patronką! Czy nasz lud tak ma być „oświecony", jak w Księstwie i w Polsce, gdzie każdego Niemca mają za lutra?" Dalej zarzuca „trójprzymierzu gazet", że podkopuje wpływ proboszczów i cytuje słowa jednego z redaktorów do pewnego mecenasa: „Księża, jeżeli się w czas nie zreflektują, wielce na wpływie stracą. Czasami robią wrażenie całkiem zaślepiionych. Krytyki jakiegokolwiek znieść nie mogą, podług mego zdania nie ma już na niektórych innej rady, jak publiczna krytyka." — Drugi stwierdził: „Gdy inni, którzy przewodnikami ludu być powinni, od tego posłannictwa się cofnęli, lub mylnie je pojmują, gdy lud polski na Śląsku we walce o święte prawa swoje ujrzał się opuszczonym, na redaktorów spadł trudny obowiązek przewodztwa." Jakiś korespondent z Nowych Hajduk zaś zapowiadał, iż przyjdzie czas, że księża ze wstydem zawołają: „Pokonani jesteśmy na nasze zesromocenie, lecz w tym wina nasza, bośmy opuścili lud, a przez to lud nas opuścił." — Czy ojciec ma robić to co dzieci chcą, albo czy dzieci mają słuchać ojca? — Czy pasterz ma tam iść, dokąd go owieczki prowadzą, albo czy owieczki mają się stosować do

woli pasterza²⁷⁾). Ks. Rossochowitz wzywa gazety polskie, aby wymieniły choć jedno prawo ludu, którego by duchowieństwo nie broniło. Co do mowy polskiej, zapewnia: „Nie myślę, że pomiędzy nami jest jeden ksiądz, który by podał rękę na to, aby wam mowę waszą odbierano. My nie zaprzeczamy, że rejencja przez szkołę chce zaprowadzić u nas niemiecką mowę. My nad tym ubolewamy i z naszej strony wszystko czynimy, co czynić możemy, aby w szkole na nowo nauka w polskim języku była udzielana. My nad tym więcej ubolewamy, niż owi panowie, bo nikt nie poznaje lepiej, jakie owoce wykształcenie dzieci waszych w obcym języku przynosi, niż ksiądz. Owi redaktorowie nie mają pojęcia, jak trudno teraz jest dla księdza, udzielać tym dzieciom dobrego przygotowania do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. Od początku teraz musi zacząć naukę katechizmową, bo to, czego się dzieci w szkole nauczyły, leży w pamięci, ale nie w sercu. O, jak bardzo ubolewa ksiądz przy tej nauce, że dzieci ani nie umieją czytać w tym „katejmusie”, który on im dopiero dać musi w rękę. Gdyby rodzice przynajmniej im pomagali uczyć się z tej książeczki, dla nich najważniejszej, ale i tego częstokroć nie masz, chociaż gazeta nasza „Kuryer” w każdym numerze pisze: „ojcowie i matki, uczcie polskie wasze dzieci po polsku, a jedynie po polsku wiary świętej katolickiej!”

Ponieważ redaktorom chodzi o to, by Górnoślązaków jak najściślej przywiązać do braci nad Wartą, nad Wisłą i nad innymi rzekami, które płyną przez dawniejsze Królestwo Polskie, nie uznawają za dostateczną obrony ludu przez centrowców. Zamiast np. podziękować hr. Ballestremowi, że niedawno temu w sejmie pruskim domagał się nauki polskiej także dla Ślązaków,

²⁷⁾ Sugestia biblijnego obrazu o pasterzu i trzodzie była ogromnie silna. Ulegali jej liczni księża centrowi, ulegli też niektórzy księża polscy, którzy całą odpowiedzialność w sprawach narodowych zwalali na księży, jako pasterzy ludu. W grudniu 1905 zapewniał ks. Skowroński centrowców, że duchowieństwo górnośląskie nie da się wziąć za poganiaczy ludu do miszmaszu niemiecko-katolickiego, a równocześnie zastrzegali się księża centrowi, iż nie dadzą się nadużyć do napędzania ludu katolickiego ku wodom wszechpolskim. Aleć nawet jeszcze wobec plebiscytu przekonywał jakiś kapłan odezwą: Ein Wort an Oberschlesiens Priester (Neisser Ztg. 1920, nr 96) — swych konfratrów, że na mocy słów biblijnych o pasterzu i trzodzie są zobowiązani, prowadzić swych parafian do urny pod hasłem „za Niemcami“. Wspólnym założeniem tych pasterzy „in omnibus“ było, że kapłan, jak zresztą każdy akademik, ma większą świadomość swego postępowania, wspólnym zaś błędem przeoczenie słów Chrystusa, że królestwo Jego nie jest z tego świata (Jan 18, 36).

zarzuca mu „Gazeta Opolska”, iż dla „Prusaków polskiego języka” żądał sprawiedliwości z tego powodu, by „niesumien-
nym agitatorom przeszkodzić w agitacji”. A chociaż dr Porsch „przez swoje powtórne mowy palmę odniósł w obronie nauki polskiej na Górnym Śląsku”, to jednak, piszą „Nowiny”, iż mowa jego różniła się ogromnie od mów posłów Szmuli i Letochy, „a różniła się zwłaszcza pod względem ciepła i uczucia”.

Podburzaniem ludu nazywa ks. Rossochowitz mieszanie się gazet do duszpasterstwa, zwłaszcza ich protestowanie przeciwko wygłaszaniu tu i ówdzie kazań niemieckich. „Czy to ksiądz sumienia nie ma?” Jeżeli zaś gazety się dokładają, by w kościołach naszych tylko po polsku śpiewano, to nie znają przepisów kościelnych, które każą śpiewać podczas uroczystej mszy świętej i przy błogosławieństwie po łacinie, a jeżeli śpiew polski ginie i przy innych nabożeństwach, to nie z winy księży, lecz właśnie z winy redaktorów polskich, którzy agitacją swoją uniemożliwiają rządowi koncesję polskiej nauki i śpiewu. „Ze słów ministra wynika, że tak długo, póki agitacja tej trójki nie przestanie, w szkołach naszych wszystko przy starym zostanie.” — Jeżeli zaś dzieci po polsku śpiewać nie umieją, a nie mają śpiewaków, którzy by mogli albo chcieli nasze piękne pieśni śpiewać, czy ksiądz krzywdzi prawo, gdy pozwala dzieciom przy szkolnej mszy świętej śpiewać po niemiecku?

Jest prawdą, że redaktorowie polscy nauczyli lud żądać do parlamentu i sejmu posłów, co umieją po polsku, by mogli zdać sprawozdanie z obrad. Nauczyli też domagać się posłów z prostego stanu, bo panowie rzekomo nie znają potrzeb ludu. Mimo to zwalczało duchowieństwo kandydaturę majora Szmuli, bo każdy, co przez polskich redaktorów użyć się daje, by przy wyborach podbić naszych starych doświadczonych posłów, jest podejrzany, że idzie pod ich chorągwią i popiera owe cele, „na które my się nigdy zgodzić nie możemy”. — „Pragniemy, by posłowie umieli po polsku i radujemy się, iż mamy p. Letochę, dra Stephana i ks. Wolczyka, ale trzeba też inne względy mieć na uwadze, i nonsensem jest żądać, iżby poseł koniecznie musiał umieć po polsku, skoro w Berlinie toczą się sprawy po niemiecku. Dla wdzięczności stawiamy za kandydatów do sejmu i parlamentu owych starych posłów, którzy się podczas walki kulturalnej w obronie naszego Kościoła odznaczali i ofiary ponosili... Jeżeli oprócz tych starych, doświadczonych posłów ma

być wybrany kto inny, to *ceteris paribus* zawsze ma być posłem ten, co mówi po polsku, albo pochodzi z prostego ludu. Ale duchowieństwo nie gwałci praw ludu, jeżeli dla lepszej obrony poleca także panów, bo to nie obojętnie, czy się za naszą sprawą ujmuje jaki książę i hrabia, albo prosty człowiek. Ten ostatni musi o wiele więcej odznaczać się bystrością rozumu i mową, aniżeli pan wysokiego rodu, jeżeli słowa jego nie mają padać jak iskry do wody."

Ks. Rossochowitz kończy swój list otwarty takim okrzykiem: „Niech żyje nasz kochany Górny Śląsk, niech żyje nasza mowa polska, niech żyją nasze górnośląskie obyczaje, niech żyje to państwo, do którego należymy, a niech giną wszelkie usiłowania, które mają za cel przerobić nas na ludzi, co mają marzenia, o których my nigdy nie myśleli ani myśleć nie będziemy!"

Przez długie wywody ks. Rossochowitza ciągnie się jak nić czerwona z jednej strony żal z powodu kwestionowania politycznej hegemonii kleru, a z drugiej obawa przed t. zw. agitacją wielkopolską.

Jeżeli dla porównania rzuci się okiem na stosunki w Poznaniańskim i na Pomorzu, to stwierdzić wypadnie, że tamtejsze duchowieństwo po krótkich doświadczeniach podobnych do tych, które kler śląski miał zrobić ze Szmulą i Korfantym, wcześniej i szybko zorientowało się w kierunku narodowym. Szczególnie instruktywną w tym względzie jest napisana w duchu Cieszkowskiego broszura nieznanego autora XIX z Prus Zachodnich „Zgoda Duchowieństwa z Narodem", wydana nakładem samego pisarza w Poznaniu czcionkami Ludwika Merzbacha 1871. Powodem broszury był zdumiewający fakt, że w 1867 r. „greby koszeby od Kościerzyny" wybrali instynktownie posłem do sejmiku Rzeszy północno-niemieckiej obywatela Jackowskiego zamiast polecanego przez księży kandydata duchownego, ks. kanonika Herzoga, Niemca. Ponieważ „Duch tchnie, kędy zechce, najczęściej w maluczkich" — przestrzega autor kapłanów przed zarozumiałością w takich sprawach. Przypomniawszy, że podczas Vaticanum najwięksi myśliciele niemieccy, najutalentowańsi książęta Kościoła, biskupi orleański i diakowski, nie poznali się na prawdzie, którą skromniejsi, mniej głośni i mniej

sławni odgadli — kończy autor napomnieniem: „Strzeżcie się, aby wam nie poszło jak waszym poprzednikom w urzędzie, faryzeuszom i doktorom, pilnujcie się, aby o was nie powiedziano, że jako tamci zabili Sprawiedliwego, tak ci Sprawiedliwości powstać nie pozwalają”.

Gdyby ks. Rossochowicz był tę broszurę przeczytał, jak ją przestudiował młody ks. Skowroński, byłby obiektywniej i spokojniej patrzył na stosunki górnośląskie. Wprawdzie zupełnego światła nabiera rozwój tych stosunków dopiero na dalszym tle wydarzeń włoskich, dokonanych pod egidą Giobertiego i Cavoura, które Rzym kościelny radykalnie oddzieliły od Państwa Kościelnego i tym samym były zapowiedzią dla całego świata, że Kościół wszędzie będzie musiał likwidować t. zw. katolicyzm polityczny, a dążyć do katolicyzmu religijnego jako do celu sobie właściwego. Na uniewinnienie kleru górnośląskiego służyć musi fakt, że z doniosłości wydarzeń włoskich wtedy ani we Wrocławiu ani nawet w Rzymie nie zdawano sobie jeszcze jasno sprawy.

Nowy książę-biskup Kopp, nie z diecezji wyrosły, sam się od razu nie orientował dostatecznie w zawiłych stosunkach tu-tejszych, a choć pilnie śledził ich rozwój, czynił to jako dyplomata, by rozpoznać układ sił, a nie z punktu widzenia przede wszystkim duszpasterskiego (cfr. załącznik II: Poufny okólnik o niemieckich nabożeństwach i kazaniach). Jeszcze w 10 lat później, gdy wydał słynny okólnik przeciwko „Górnoślązakowi” (3 czerwca 1903), nie zdobył się na żadne słówko potępienia dla germanizacji, a ze zimnym sercem pomiął milczkiem krzywdę miliona swych diecezjan, zwracając się z rażąca jednostronnością przeciwko narodowym wybujałościom tylko Polaków. Jeżeli mówił, że mowa i narodowość nie są najwyższymi dobrami człowieka, miał słuszość w teorii, lecz chybił w praktycznym zastosowaniu tej prawdy, albowiem rzeczy, obojętne *sub specie aeternitatis*, mieć mogą i często miewają olbrzymią wartość w porządku naturalnym, np. uczuciowym. *A gratia supponit naturam, non destruit naturam, sed eam elevat et sanctificat.*

Aleć za Leona XIII i w Rzymie zwracano jeszcze więcej uwagi na zmienne konstelacje polityki światowej, aniżeli na nowoczesne problemy duszpasterskie. To było jednym z powodów głośnego swego czasu wystąpienia ks. kardynała Puzyny

z Krakowa na konklawe w r. 1903 przeciwko kandydaturze byłego sekretarza stanu kardynała Rampolli.

W takich warunkach stał się Górny Śląsk terenem doświadczalnym dla ciekawego procesu unormowania się stosunku duszpasterstwa do demokratycznej polityki dnia. Proces ten zaczął się przejętym z walki kulturalnej monopolem kleru do przewodnictwa politycznego a skończył się na wydaniu przez komisarza apostolskiego dla Górnego Śląska dekretu z 21. XII. 1920 o wstrzymywaniu się księży od agitacji plebiscytowej.

Zmiana papieża (1903) zaznaczyła się niebawem także we Wrocławiu. Najpóźniej w związku z zaczepieniem przez ks. kardynała Koppa ważności ślubu Korfantego doszły do Rzymu — choćby tylko w replice ks. Mikulskiego z Krakowa — pogłoski, że: *Emint. Pr. Eppus Vrat. benedictionem matrimonii Illmo D. Adalberto Korfanty ex causis mere politicis denegavit* — i że: *insuper vehementissime dolendum, quod inter clerum Borussiae inveniantur non pauci sacerdotes catholici, qui malum imminens non perspicendo in germanisationis nequam negotio regimini favorem operamque praestant, non gregem suum, sed semetipsos pascentes, non ea quae Dei sunt sed ea quae sunt mundi quaerentes etc.* — *prout conquesti sunt s. Paulus Ap., s. Gregor M., s. Joannes Chr. etc. — ita ut promeruerint a regimine Borussico laudem suspectam, publice ipsis enuntiatam.* Wtedy Pius X z pominięciem kurii wrocławskiej ku wielkiemu zaniepokojeniu ks. kardynała Koppa zasięgnął ściśle poufnych informacji od laików, np. od adwokata Józefa Faltina w Strzelcach i od generalnego dyrektora dra Bernarda Stephana w Bytomiu²⁸⁾. Fakt nie ulega żadnej wątpliwości, bo mieszkający wtedy na probostwie w Załężu redaktor „Gazety Katolickiej” ks. dr Stanisław Stephan został przez generalnego dyrektora Stephana w Bytomiu zaproszony do współredakcji żądanego z Rzymu sprawozdania poufnego o sytuacji na Górnym Śląsku.

I gdzie indziej skończyła się historia t. zw. politycznego katolicyzmu przesunięciem inicjatywy politycznej w ręce świeckie, np. we Francji, a najjaskrawiej przed naszymi oczyma w powojennych Niemczech, gdzie wszyscy duchowni przywódcy centrowi w r. 1933 wycofać się musieli z życia politycznego,

²⁸⁾ Informację zawdzięczam ks. prałatowi Kubisowi w Załężu. — Co do gen. dyr. Stephana cfr. RTPN III, str. 14, nota.

a nowy konkordat niemiecki na wzór konkordatu włoskiego zabrania duchowieństwu należenia do stronnictw politycznych w ogóle.

Jest to oczywiście zmienny według okoliczności przepis dyscyplinarny, przewidziany w prawie kanonicznym, które mówi o osobach duchownych: *Senatorum aut oratorum legibus ferendis, quos deputatos vocant, munus ne sollicitent neve acceptent sine licentia Sanctae Sedis in locis ubi pontificia prohibitio intercesserit; idem ne attentent aliis in locis sine licentia tum sui Ordinarii tum Ordinarii loci in quo electio facienda est.* (can. 139 § 4).

W każdym razie dziś rozdziela się wszędzie coraz wyraźniej akcję ściśle katolicką od polityki dnia, tak dalece i konsekwentnie, że nawet świeccy naczelnicy Akcji Katolickiej, która jako taka wchodzi w sam konkordat niemiecki, nie mogą być naczelnikami stowarzyszeń politycznych, a koła Akcji Katolickiej nie mogą być kołami politycznymi.

III. DOMAGANIE SIĘ NAUKI RELIGII W JĘZYKU OJCZYSTYM W LATACH 1872—1900

Chroniczny aditus ad pacem po walce kulturalnej bez rzeczywistego dojścia do zupełnej zgody i przyjaźni dyplomatycznej pomiędzy Berlinem a Watykanem skazywał zwykłe interwencje Kościoła w obronie uciskanych Polaków z góry na niepowodzenie, zwłaszcza, że rząd pruski a limine odrzucał wszelką możliwość pogodzenia się z myślą wskrzeszenia lub utrzymania polskiej narodowości, owszem uważał za obowiązek najprzedejniejszy przeciwdziałać z całą stanowczością i wszelkimi środkami odnośnym dążeniom w obrębie granic pruskich i bezpośrednio ich bliskości²⁹⁾. W jesieni 1904 r. oświadczył kardynał sekretarz stanu Merry del Val, wysłuchawszy obszernego referatu ks. dra Stephana o stosunkach górnośląskich, że dyplomaci pruscy zwykli w szorstki sposób urywać rozmowę, ilekroć Stolica Apostolska zaczyna z nimi mówić o położeniu Polaków w Prusiech.

²⁹⁾ Cfr. G e f f c k e n, Preussen, Deutschland u. die Polen seit dem Untergang des polnischen Reiches. Ein geschichtlicher Rückblick vom Standpunkte moderner Staatsethik. Berlin 1906.

Ponieważ brutalne zarządzenia pruskie dotyczyły Śląska tak samo jak Wielkopolski i Pomorza, raniły one prawo naturalne na przestrzeni od Pucka do Pszczyny i stworzyły wbrew intencjom rządu silny kontakt uczuciowy na całej tej linii. Kościół zaś, jako najwyższy na ziemi stróż moralności, nie mógł pozostać bezczynnym wobec tak oczywistego gwałcenia prawa przyrodzonego przez Prusaków, zwłaszcza że wkraczało brutalnie w dziedzinę duszpasterską. Pius IX skarżył się zaraz w encyklice z 21 listopada 1873 przed całym światem, że *elementa religiosae institutionis in nonnullis regni (borussici) partibus materna lingua tradi prohibentur*. Zaś książę-biskup wrocławski Henryk Foerster już w okólniku z dnia 6 kwietnia 1873 zapewniał, że religijne wykształcenie dzieci polskiego języka jest dla niego przedmiotem szczególnej troski, gdyż niemiecka nauka szkolna, jako że niezrozumiała, pozostać musi bezskuteczną dla serca i woli. Wzywał więc duchowieństwo diecezjalne, by zajęło się polską nauką religii, a jeżeli samo zadaniu nie podołało, niech pozyska pobożnych ludzi świeckich do tego dzieła miłosierdzia. W końcu oświadczył gotowość do pomocy pieniężnej, jeżeli trzeba gdzie w ubogich parafiach nająć na ten cel osobny lokal.

Księża postępowali sumiennie i szczerze według tej arcy-pasterskiej wskazówki i ujmowali się przy każdej sposobności za językiem polskim, żądając go przynajmniej dla nauki religii. Prowodyrem w tych duszpasterskich usiłowaniach kleru był ruchliwy proboszcz Wierzchu (Dt. Müllmen) w powiecie prudnickim ks. Robert Engel, który zyskał przydomek kanclerza polskiego za to, że na każdym górnośląskim wiecu katolickim wysuwał jako *ceterum censeo* sprawę szkolną i przedkładał rezolucję z żądaniem polskiej nauki religii.

Petycję 8000 rodziców polskich, uchwaloną dnia 12 września 1881 r. w Leśnicy, wręczył ministrowi kultu ks. Ludwik Edler, proboszcz bujakowski i b. książęco-biskupi inspektor szkolny III okręgu bytomskiego. Większego rozgłosu nabrała rezolucja z roku 1883, uchwalona dnia 11 września na zgromadzeniu katolików w Królewskiej Hucie (załącznik I). Domagała się: 1) aby w szkołach górnośląskich dzieci nie-niemieckie pobierały na przyszłość także naukę polskiego czytania i pisania, 2) aby dlatego nauczyciele, w seminariach górnośląskich dla

szkół górnośląskich przeznaczeni, tak byli przysposobieni, by mogli udzielać dzieciom nauki w języku polskim, 3) iżby nadto dla dzieci, mówiących po polsku, upoważnieni przez Kościół nauczyciele wykładali naukę religii we wszystkich oddziałach szkolnych w języku ojczystym i aby dzieci wyłącznie w tymże języku uczyły się na pamięć pacierza, katechizmu, historii św. i pieśni kościelnych, t. j. wszystkiego, co winny umieć na pamięć, wiedzieć i rozumieć.

Pod rezolucję zebrał lud samorzutnie 52.870 podpisów; donosząc o tym, prasa podkreślała, iż ludzie nie podpisywali pod namową polskich agitatorów, ani pod naciskiem kleru. Księża zwrócili się dnia 14 listopada 1883 r. do księcia-biskupa Roberta Herzoga osobnym pismem, w którym zgubne skutki germanizacji w taki sposób opisują:

„Mamy przed oczami smutne objawy pielęgnowanej od roku 1872 germanizacji po polsku mówiącej młodzieży. Polskie dzieci oddalają się coraz więcej od religii i nabożeństwa z tego powodu, ponieważ uczą się religii w niemieckiej, a więc obcej mowie. Tylko z wielką trudnością i niedostatecznie można je przeto przygotować do sakramentów św. w języku ojczystym, do którego mają prawo przyrodzone i boskie. Przychodzą do kościoła i są jak obce w swoim własnym kościele; nie mogą brać udziału żywego w nabożeństwie, bo nie potrafią modlić się na książkach, ani śpiewać w języku ojczystym. Z głębokim smutkiem wypowiadamy *nasze przekonanie, że jeżeli w szkole nauka religii nie zostanie wnet uporządkowana, jak Boskie prawo przepisuje, natenczas wiernemu katolickiemu ludowi na Ślązku grozi niebezpieczeństwo, że dorastająca młodzież stanie się niewierną wierze ojców i że stanie się łupem niedowiarstwa, przewrotnych nauk, zdziczenia i niemoralności.*”

Wspomnianą masową petycję wręczył dnia 28 listopada 1883 r. ministrowi poseł Letocha. Gdy dodatkowo wręczał potem jeszcze dwa arkusze podpisów, dołączył nry 488, 490, 494 i 500 „Schl. Volksztg.“, gdzie ks. Józef Gregor (anonimowo) pod tyt. „Einige Urteile über den Wert und die Eigentümlichkeiten der oberschlesischen Volkssprache“ zbijał gruntownie zarzuty raciborskiego „Oberschles. Anzeiger“, podające mowę górnośląską jako t. zw. wasserpolnisch w publiczną pogardę. Rozprawa ks. Gregora została prawie dosłownie przetłumaczona na łamach Kuryera Poznańskiego (XII, nr 222) i Dziennika Poznańskiego (XXXVI, nr 90). Petycję popierał też poseł Zaruba z Ostroga pod Raciborzem, były nauczyciel ludowy, wykazując ujemne rezultaty obecnej nauki szkolnej, przy czym zastrzeżał

się przed „okropnym” zarzutem wprowadzania agitacji wielkopolskiej na Górny Śląsk³⁰).

Minister Gossler, wspomniawszy jednak znowu o agitacji wielkopolskiej, odpowiedział, że kazał sprawę zbadać, lecz okazało się, że nawet polscy katolicy są zdania, iż Górnoślązacom polskim nie możnaby zrobić większej krzywdy, jak gdyby nie uczono ich od początku po niemiecku; zresztą brak nauczycieli polskich. Dlatego domagał się poseł Zaruba w szkolnej sekcji wieca katolickiego w Raciborzu 1891 r. energicznych kroków celem uzyskania obowiązkowej nauki języka polskiego wzgl. morawskiego w seminariach nauczycielskich.

Katolickim posłom z Górnego Śląska Letosze i Zarubie dzielnie wtórował kolega z Wielkopolski ks. dr Florian Stablewski, późniejszy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, karcąc rząd za krzywdzącą nieustępliwość wobec słusznych żądań Górnoślązaków, lojalnych zawsze ponad wszelką wątpliwość. Uwadze ministra, iż Górnoślązacom nie możnaby większej wyrządzić krzywdy, jak przeszkadzając rządowi w germanizacji, przeciwstawił pytanie, czym większą wyrządza się krzywdę tamtejszej ludności, czy ułatwieniem naturalnego rozwoju, czy germanizacją.

„Chciałbym kiedy ujrzeć na oczy takich nauczycieli, co — jak ten, którego sprawozdanie czytał nam p. minister — lepszego spodziewają się skutku z nauki religii w języku niemieckim dla polskiego dziecka.” Gratyfikacje i remuneracje niełada odgrywają rolę przy sprawozdaniach takowych; lecz w rzeczy samej jest to niemożliwe, bo sprzeczne z naturą. Straszaki zaś wielkopolskiej agitacji są tylko środkiem politycznym do odwracania uwagi od sedna sprawy. System Falkowy nie był zdrową reformą, ale raczej nosi piętno rewolucji pedagogicznej. W słowach kolegi Zaruby brzmiała boleść milionów Górnoślązaków. — Jeżeli rządowi wbrew wszelkim względom pedagogicznym chodzi o to, aby jedna narodowość i jeden język był w Prusiech, niech pamięta, że plemię słowiańskie posiada wielką zdolność odporu, że Górnoślązacy, którzy już przed sześciu wiekami znajdowali się pod silnym wpływem niemieckim, że mieszkańcy zachodnich Prus, którzy także już pod panowaniem zakonu krzyżackiego niemiecki znosili ucisk, do dnia dzisiejszego narodowość swą zachowali. A jednak różnorodność narodowości żadnego nie czyniła wyłomu w potęgde pruskiej. Czyliż państwo pruskie w czasach najcięższych, za wojen napoleońskich, nie znalazło właśnie na Śląsku siły oporu? Czyż Polacy w ostatnich zwycięskich wojnach Niemiec nie

³⁰) cfr. Głos posłów katolickich w sejmie pruskim w sprawach górnośląskich. Król. Huta, nakł. „Katolika”, 1884.

przelewali hojnie swej krwi, nie spełniali rzetelnie wszystkich obowiązków? Tem przykrzejsze wrażenie robią germanizacyjne tendencje rządu i publicystyki niemieckiej, które w niczem nie zgadzają się z zasadami chrześcijańskimi, zachowawczymi i monarchicznymi, bo te polegają na poszanowaniu przyrodzonego Boskiego prawa i na poszanowaniu monarchji jako przedstawicielki i obrońcy prawa, nawet słabszych. Polacy mają prawa, zagwarantowane przez królów pruskich. „My tak lekce nie cenimy poręczeń, a sądzimy, iż w czasie, w którym wszelakie prawo wstrząsanem i zagrożonem jest od dołu, godziłoby się tem więcej, z góry dawać dobry przykład uszanowania prawa.”

A może panom zależy na tem, aby inne wśród nas zapanowało usposobienie! Bo ilekroć przychodzimy do ministrów z prośbami i żalami, ilekroć w kraju odbywają wiece i nadsyłają tu zażalenia, juźci zaraz mówią: Nie inaczej — to agitacja. Gdy zaś milcząc zakładamy ręce, to znowu słychać: No, przecież zadowoleni jesteście z rządów!...

Smutne refleksje nasuwa fakt, że równocześnie, gdy u protestanckich Mazurów i Litwinów językowi ojczystemu w nauce religji obszerniejsze dano pole, katolickim Górnoszlązakom i Polakom w Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich usułują ten język zupełnie wyrugować lub znacznie ograniczyć. Rodzice w wielu wypadkach gotowi byli dowieść świadkami, że ich językiem ojczystem był język polski. Daremnie! Opierając się na nazwiskach, przerzucono ich dzieci jako Niemców do niemieckiego oddziału nauki religji. Gdyby tak miało się dzieć dalej, byłoby doprawdy słusznie, by odrazu wyznaczono znawców, którzyby rozstrzygali kwestję, do jakiej narodowości należeć mają dzieci z małżeństw mieszanych polsko-niemieckich. Wówczas kolega Virchow mógłby bodaj z większą pewnością orzekać o narodowości dzieci tych ze stanowiska fizjologii i etnografji na podstawie tego, jakie kształty czaszek przeważają.”

Na mowę ks. dr. Stablewskiego odpowiedział w imieniu rządu radca ministerialny Kügler, zaznaczając, iż rząd pruski uważał sprawę języka niestety zbyt długo za wewnętrzną sprawę Kościoła. Na wszelkie zarzuty, jakie Polacy podnoszą przeciwko szkole pruskiej, rząd zważać już nie będzie i będzie robił swoje.

Prasa liberalna oburzała się nad rzekomą agitacją za językiem polskim i nad niedopuszczaniem na Górnym Śląsku języka niemieckiego do nauki religji. Jakiś górnośląski korespondent berlińskiej „Post” radził rządowi, w odpowiedzi na petycję zaprowadzić obowiązkowe niemieckie szkoły powtarzające (obligatorische Wiederholungsschulen) dla młodzieży męskiej aż do zaciągnięcia jej do wojska, a dla żeńskiej do roku siedemnastego. Poza tym powinien rząd uniemożliwić, „dass Kinder, die im

Deutschen soweit vorgebildet sind, dass ihnen der Religionsunterricht mit Erfolg in deutscher Sprache erteilt werden kann, den Beicht- und Kommunionunterricht in polnischer Sprache erhalten. Das hiesse geradezu alle gewonnenen Resultate aus der Hand lassen. Mag man slawischerseits über Härte schreien, geschrien wird sowieso." — Z drugiej strony domagał się na centrowym zebraniu w Gliwicach w r. 1885 proboszcz Ziemieć k. Franciszek Kirchniawy, by żądano polskiej szkoły w ogóle, a nie tylko polskiej nauki religii.

Na łamach „Schles. Schulzeitung” silili się tymczasem usłudni pedagodzy na absurdalny dowód, iż właśnie na najniższym stopniu dwujęzycznej szkoły ludowej absolutną koniecznością jest niemiecki język wykładowy. Nazywali to „fundamentale Darlegungen betreffend den Deutschunterricht in utraquistischen Schulen”. Nauczyciel F. Kreis z Herminenhütte nazywał to (1887) pedagogicznym unicum, a kler bez wyjątku uważał przez cały czas postulat nauki szkolnej w języku ojczystym za aksjomat moralny.

*

Rządy diecezji wrocławskiej objął był właśnie (1887) nowy książę-biskup Jerzy Kopp, który poprzednio, gdy był biskupem Fuldy, jako pełnomocnik Watykanu był się przyczynił do likwidacji walki kulturalnej i stworzenia wspomnianego już *aditus ad pacem*. Odtąd przez niespełna 30 lat (umarł 1914) kierował duszpasterstwem na Śląsku.

Polscy diecezjanie witali nowego arcypasterza z zaufaniem, któremu Bronisław Koraszewski zwięźle dał wyraz następującym wierszem powitalnym³¹⁾, kiedy książę-biskup w 1888 roku był zapowiedział swój przyjazd do Królewskiej Huty:

WITAJ BISKUPIE!

Gdy nam od trudów opadają ręce,
I tysiąc wrogów wyje ponad uchem,
Gdy krew nam kipi w tytanicznej męce
I ogniem dyszy pod grozy obuchem:
Ku Tobie patrzym, ku złotej jutrzence,
I przed Kapłanem, przed miłości duchem,
Wołamy mężni, choć targani bólem:
My nie zginiemy, bo Chrystus nam Królem!

³¹⁾ „Górnoślązak“, Król. Huta 1888, nr 72.

O Ty nas prowadź, Ty księżę kapłanów,
 I sztandar jasny trzymaj w świętej dłoni,
 A my wśród grobów i świeżych kurhanów
 Z drżących rąk naszych nie opuścim broni
 I w tym zamęcie gromów i bałwanów
 My z Chrystusową koroną na skroni
 Kochać będziemy skarby naszej wiary
 I polskiej mowy ulubione czary.

Bo mowa polska, oto tarcz z metalu
 Dla sług pokornych rzymskiego Kościoła,
 Na której ścięta jak czerwień koralu
 Krew męczenników, krew ojców dokoła,
 Bo to tarcz święta, za którą bez żalu
 Padają w boju zakrwawione czoła,
 Bo polska mowa, to wiary obrona:
 Gdy ona zginie, to i wiara skona.

Z drugiej strony starał się rząd pruski pozyskać nowego księcia-biskupa zaraz dla dzieła germanizacji. Na razie miał powodzenie.

Dowodem tego dwa poufne okólniki nowego biskupa do dziekanów d. d. Iohannesberg, 6 sierpnia 1890 r.; jeden dotyczył niemieckich nabożeństw niedzielnych i kazań, drugi przygotowawczej nauki do spowiedzi i komunii św. Oba okólniki przytaczamy dosłownie jako załącznik II choćby z tego powodu, że niedawno temu Leonhard Müller w dziele „Nationalpolnische Presse, Katholicismus und kath. Klerus, ein kirchen- und zeitungsgeschichtlicher Ausschnitt aus den Tagen des Grosskampfes zwischen Deutschtum und Polentum in den Jahren 1896—1899” (Wrocław 1931, str. 209), podał w wątpliwość, czy takie okólniki w ogóle wyszły. Pierwszy jest ciekawy, bo pozostawia *ad arbitrium parochorum* sprawy, które teraz gdzieś niegdzie np. w Polsce są konkordatem (art. XXIII) zastrzeżone konferencji całego episkopatu krajowego; lecz w skutkach donioślejszy był drugi.

Nasamprzód zakazał bowiem księżę-biskup używać katechizmów polskich do nauki czytania polskiego, gdyż popieranie interesów językowych nie należy do zadań Kościoła, a więc także nie do zadań sług Kościoła. Potem zarządził, iż 1) w każdej parafii trzeba utworzyć dwa oddziały, jeden niemiecki, drugi polski, 2) dzieci, które zdaniem proboszcza mogą z pożytkiem brać udział w nauce niemieckiej, należy razem z dziećmi rodziców niemieckich uczyć w oddziałach niemieckich (znamien-

ny jest tu dodatek: „wobei ich davor warnen möchte, die Fälle mangelnden Verständnisses des Deutschen zu sehr zu verallgemeinern“, 3) i takie dzieci, co ani po polsku, ani po niemiecku dobrze nie rozumieją, lepiej będzie przyłączyć do oddziału niemieckiego, który im przypomni naukę szkolną. — W końcu było polecenie dla kleru, by młodych ludzi, co za pracą wychodzą do niemieckich stron, uzdalniał do spowiedzi niemieckiej.

Dekanat toszecki ze starym ks. Bannertem na czele oświadczył wtedy biskupowi, iż księża byliby wkrótce pasterzami bez trzody, gdyby chcieli postępować według tych wskazań. „Kurier Poznański” zaś poświęcił krytycznej analizie drugiego okólnika księcia-biskupa Koppa aż trzy numery (1890, nr 240—242). Przytaczamy choć zakończenie tych wywodów jasnych i — *salva reverentia* — odważnych:

„Summa summarum: Te pięć punktów robią na nas wrażenie, że w diecezji wrocławskiej zdecydowano się na to, aby Kościół szedł ręką w rękę z dzisiejszym prądem szkolnym, który nawet taka „Schlesische Schulzeitung” potępia, a w nauce religji, w spowiedzi św. nawet popierał germanizacyjne dążności władzy szkolnej. — Bolesno nam i przykro bardzo to powiedzieć, i wahałiśmy się długo, czy to tak jasno i wyraźnie powiedzieć w piśmie politycznem katolickiem, ale sumienne przekonanie nasze nie pozwala nam tego taić, a zniewala nas nazwać rzecz po imieniu. — Biedny ludzisko polski na Górnym Śląsku, biedne twoje dziatki! Z rozkazu księcia-biskupa Koppa duchowieństwo będzie was tak germanizowało, jak was germanizują sądy, urzędy i szkoła. Głód duchowy najstraszniejszy, głód na polu kościelnem zagraża pacholetom waszym. Matki katolickie! Gdy dzieci wasze wołać będą chleba, gdy żądać będą prawd wiary w ojczystym języku, kapłani z rozkazu Biskupa mają im dawać węża lub podjadka w języku obcym niezrozumiałym, aby się dalej toczyła robota germanizacyjna, rozpoczęta w szkole, aby się duchowieństwo nie naraziło na nierozumny zarzut i podejrzenia nieprzejednanych wrogów polskości i katolicyzmu!

Biedne matki, biedne dzieci! Pan Jezus, dając przykład i wzór sługom swoim, przytulał do siebie i błogosławił dziatki żydowskie w ich ojczystym języku — a nie zważał na to, o co go podejrzewać i co mu zarzucać będą rzymscy setnicy lub prokuratorzy. Czy namiestnik śląskiego Kościoła tak samo każe czynić kapłanom swoim i sługom Chrystusa z dziatkami polskimi?”

Zorientował się książę-biskup i dla wyprostowania linii kościelnej, która tymi okólnikami, zwłaszcza drugim, była dotkliwie nałamana, uruchomił za pośrednictwem wspomnianego ks. Roberta Engla nową masową petycję z Górnego Śląska o przywrócenie do szkoły nauki w języku polskim. Akcję popie-

rał cały kler i zebrano 126.000 podpisów. Sam książę-biskup wziął sprawę pod swój wysoki protektorat i wręczył w sierpniu 1892 r. petycję osobiście ministrowi. Zrobiło to w rządzie pruskim nader przykre wrażenie, zrozumiano jednak stanowisko księcia-biskupa i oceniano je „als endgültige Ablehnung einer grundsätzlichen oberhirtlichen Intervention in der oberschlesischen Polenfrage”³²). „Vossische Zeitung” powątpiewała nawet o niemieckim usposobieniu biskupa i wytykała mu, że odgrywa dziwną rolę „in der oberschlesischen Polenbewegung”; ledwie że nie posądziła go o udział w agitacji wielkopolskiej.

Wszak „Katolik” obchodził właśnie (9 lipca 1892) swoje 25-lecie i patrzył z zadowoleniem na widoczne postępy sprawy narodowej:

Dziś rocznica, więc się godzi
Rzucić okiem wkoło siebie,
Czyli nasze życie wschodzi? —
Świt czy mrok na naszym niebie?

Gdy wiosenne słonko śniegi roztopiło,
W pole spicszy rolnik, w zmięklej ziemi brodzi;
A gdy mu się pole runię zzieleniło,
W górę wzrok podnosi: Bogu Chwała — wschodzi!

Wzrok nasz, jako siewców duchowego ziarna,
Między szląskim ludem dziś po zwiadach chodzi;
Bada, czy zielona czyli ziemia czarna,
W którą ziarno padło? — Bogu chwala — wschodzi!

Gdy rychło na niebo spojrzysz: jeszcze mroki
I półcienie same twoje oko wita...
A wtem promień tryśnie w oddali głębokiej,
Rozjaśnieje niebo! Świta już, już świta!

I patrzeć ku niebu wychodzimy zrana,
Świtem przyszłość ludu, czy mrokiem podbita?
I składamy ręce i sławimy Pana:
W duchu, sercu ludu: Świta już, już świta!

Więc gdy świta, więc gdy wschodzi,
Tośmy dnia nie zmarnowali!...
I my bowiem — rzec się godzi —
Świt budzili, ziarno siali!...

Masowe petycje z Górnego Śląska, wręczone rządowi w r. 1892 przez samego księcia-biskupa wrocławskiego, stanowią naj-

³²) cfr. K ü s t e r, Die polnische Irredenta in West-Oberschlesien, Berlin 1931, str. 18.

większy na zewnątrz wysiłek Kościoła katolickiego na Śląsku w obronie przyrodzonego prawa Polaków, gwałconego przez szkołę pruską. Skoro i ta akcja pozostała bez skutku, uważała kuria wrocławska wszelkie dalsze ze swej strony poczynania w tym kierunku za bezcelowe, zwłaszcza że na dobre rozpętała się niebawem walka polityczna i poruszyła obok pedagogicznej strony sprawy językowej całokształt zagadnienia narodowego, wobec którego publiczne zajęcie stanowiska było znacznie trudniejsze, a która oprócz tego wybujałościami swymi na plan pierwszy wysunęła problem autorytetu i przeszła tym samym na płaszczyznę państwowo-polityczną. — Zresztą solidarność księży samych nie ostała się wobec wielkich pokus rządu pruskiego. Nacisk z tej strony stał się systematycznym od 1896 r., gdy do regencji opolskiej przybył, nazwany później niemieckim sumieniem Górnego Śląska, dr Rudolf Küster, który jako asesor, a potem jako radca regencyjny utrzymywał tu przez 22 lata ciągłość pracy germanizacyjnej i ze szczególną przezornością starał się pozyskać dla niej choć część kleru katolickiego.

Kwestia językowa pozostała oczywiście wciąż aktualną. „Katolik”, który 1891 r. był rozdał 600 nagród pomiędzy dzieci, co się czytać i pisać po polsku nauczyły, w roku swego jubileuszu przeznaczył na ten cel nagród 2000. Napieralski (Robotnik Michał od Bytomia) ułożył nawet osobny wiersz, uderzający już lekko w ton Mardocheusza (Est. 13, 8—1), który w 30 lat później tak silnie a dla Küstera tak przeraźliwie dźwięczy u ks. Zięglera (cfr. RTPN. IV, str. 252). Oto ułożony przez Napieralskiego „Śpiew górnośląskich dzieci” na melodię: Serdeczna Matko:

O ojcie w niebie! Dajeś mi bez miary
Tak wielkie skarby i tak piękne dary:
Wiarę prawdziwą, mowę, jakich mało,
Serce gorące, by Ciebie kochało!
Spraw, Ojcie Panie, pomóż miłosierdzie,
Bym te Twe skarby chował zawsze wiernie.

O Ojcie w niebie! Taką piękną ziemię
Dajeś, by polskie w niej mieszkalo plemię —
By z niej szła w górę, jak dymy Ablowe,
Cześć Ci, spowita w naszą polską mowę —
Spraw, Ojcie Panie, niechaj i na dalej
Kaźde z nas dzieci po polsku Cię chwali!

O Ojcie w niebie! Broń nas od spodenia,
Od zdrady wiary, mowy lub imienia;

Racz mnożyć męstwo, miłość i nadzieje
 I stałość, której nic w nas nie zachwieje —
 My dziatki polskie żebrzem łaskawości:
 Dopomóż mowie polskiej do wolności!

(„Katolik“ 1892, nr 115).

W lutym 1893 r. przytoczył major Szmula w sejmie słowa nauczyciela Urbana z Kobiora, który w Neisser Zeitung był zawołał: „Kiedyż nauczyciele w Prusiech odważą się powiedzieć ministrowi, iż szkoła, w której nauczyciel i dzieci się nie rozumieją, nie jest żadną szkołą! Skasujcie tę szkołę, która jest osobliwością, a której podobnej nie ma ni w krajach cywilizowanych, ni dzikich, bo zanim, niedawno temu, pewien nauczyciel poszedł do Kamerunu, nauczył się najprzód mowy kame-ruńskiej, chociaż tam dzieci będzie miał tylko tuzin.”

Tymczasem zaczął w roku 1893 nakładem Ferd. Hirta w Wrocławiu wychodzić pod tytułem „Die zweisprachige Volksschule” osobny miesięcznik do wentylowania specjalnych trudności pedagogicznych w szkołach z dziatwą dwujęzyczną. Tytuł był nieściśły a powinien był właściwie brzmieć „Die fremdsprachliche Volksschule”, bo chodziło o wyrobienie najlepszej metody nauczania dziatwy języka obcego (niemieckiego) z całkowitym pominięciem jej języka ojczystego. Miało to nastąpić drogą pogładową przy równoczesnym zarzuceniu wszelkich tłumaczeń w ojczystym języku dziecka³³). Czasopismo było przeznaczone nie tylko dla nauczycieli wszystkich wschodnich prowincji Prus, lecz także dla Reichsland Elsass-Lothringen, a nawet dla kolonii afrykańskich, a omawiało też sposoby nauczania w podobnych warunkach za granicą, np. we Francji. Przez kilka lat regularnie dodawano „Das Kindergärtchen” i „Literarische Beilage”³⁴).

³³) Zdaniem ks. Michała Przywary cofa ta metoda dziecko niemieckie znowu do piersi matki i niemowlęctwa, a szkoła staje się dla niego niańką bez miłości, która je karmi obcą strawą. (Pogląd na wywody broszury X. Skowrońskiego, rękopis w bibliotece im. J. Pilsudskiego w Katowicach.)

³⁴) Głównym redaktorem był aż do roku 1910 Fr. Rzeznitzek, inspektor szkolny w Pszczynie, potem w Raciborzu, a następnie dyrektor seminarium w Rogoznie (Rogasen) i Wschowie (Fraustadt). Od roku 1911 podpisywał za redakcję profesor seminaryjny A. Volkmer w Pilchowicach. Współredaktorami byli z początku rektor J. Jelito z Król. Huty i P. Odelga, nauczyciel głuchoniemych w Raciborzu, potem zamiast A. Jelity, nauczyciel z Chojnic P. Hinz, a jeszcze później (1911) przystąpił do redakcji rektor P. Kaboth z Mogilna. Siedemnaście roczników drukowano u Lindnera w Raciborzu, następne u Nischkowskiego w Wrocławiu.

Sensację przyniósł rok 1894. Otóż w „Schles. Schulzeitung” (nr 12) pojawił się artykuł: Sollen die polnischen Schüler in den preussischen Schulen den Religionsunterricht in deutscher oder polnischer Sprache erhalten? — Autorem był 34-letni nauczyciel wrocławski Josef Schink, absolwent seminarium w Głogówku, urodzony w Babicach pod Raciborzem. Schink polemizował z katolickim punktem widzenia Bogedaina i innych i domagał się całkowitego usunięcia polskiego języka ojczystego z nauki religii. Powstało ogólne poruszenie, tym większe, że król pruski natychmiast odznaczył młodego pedagoga orłem właścicieli des königl. Hausordens von Hohenzollern, którym Schinka w lipcu 1894 roku uroczystie udekorowano w katolickiej szkole ludowej nr XVIII w Wrocławiu. — Przeważały niesmak i oburzenie, że poniża się szkołę „zur Handlangerin der jeweiligen Politik”.

Kiedy w osobie proboszcza Starych Budkowic (powiat opolski) ks. Pawła Gerndtkego znalazł się jeden jedyny kapłan, który zdawał się podzielać poglądy Schinka i towarzyszy i niefortunnie zaznaczył to na łamach liberalnej „Schles. Zeitung”, zebrał się dnia 6 listopada 1894 r. na zew komisarzy biskupich i dziekanów kler górnośląski w Gliwicach i pod przewodnictwem ks. komisarza Strzybneho z Raciborza stwierdził jednogłośnie, iż duchowieństwo górnośląskie uważa uwzględnienie języka ojczystego w nauce religii za konieczne i ubolewa nad odmiennym stanowiskiem ks. Gerndtkego z Starych Budkowic i potępia je. — Pruski minister kultu jednak operował teraz już argumentem, że miarodajni księża są całkiem zadowoleni z obecnego sposobu uczenia religii.

Dotychczasowa solidarność kleru górnośląskiego w tak ważnej sprawie była niestety odtąd faktycznie złamana i nie było już pełną prawdą, o czym ks. Bonczyk jeszcze w roku 1893 słusznie był zapewniał nowo kreowanego kardynała Koppa: *bilingues sumus, sed concordēs*. Tym więcej zależało teraz od stanowiska rodziców. Do nich to zwrócił się ks. Skowroński gorącą odezwą, która się kończy takim pięknym porównaniem: „Bądźcie przekonani, że zasady religii, w obcym niezrozumiałym języku wygłaszane, są jak delikatne roślinki, w suchym niepłodnym piasku zasadzone; jak te nie mogą się rozwijać, ale muszą zwiędnąć — tak i zasady religijne nie zakorzenia się

w sercu dziecięcym. Mowa ojczysta jest dla nauki religii rosą niebieską, ona ją zwilża i orzeźwia. Zwiędnie jako siano i wyschnie serce dzieciak waszych, jeżeli rześista wilgoć mowy ojczystej nie będzie go orzeźwiała. Dlatego, rodzice, zaklinam was na miłość Boga, uczcie dzieci czytać i pisać po polsku!" („Katolik”, 1897, nr 76.)

A jednak był kler na punkcie zaufania ludu bardzo czuły. Kiedy na początku r. 1898 umarł proboszcz pszowski i poseł na sejm, popularny ks. Augustyn Wolczyk, a „Katolik” w wspomnieniu pośmiertnym wyraził życzenie, by jak najwięcej było takich kapłanów, podrażniło to kilku księży z ks. radcą Schirmeisenem w Bytomiu na czele do tego stopnia, że nie tylko sami w Schles. Volkszeitung protestowali przeciwko rzekomemu sianiu przez „Katolika” niezgody pomiędzy duchowieństwem a ludem, ale zmobilizowali ogółem 256 kapłanów górnośląskich do podpisania odezwy i przestrogi d. d. Bytom, 24 lutego 1898 r. Na ogół dziwiono się nieproporcjonalności przyczyny i skutku i posadzano podpisanych 256 księży o przesadną niechęć dla „Katolika” i solidarną próbę przysporzenia wpływu „Gazecie Katolickiej”.

Żeby wobec tego dać dowód solidarnej życzliwości kleru dla słuszných żądań polskiego ludu, wystosowano za zgodą i aprobatą ks. kardynała Koppa niebawem nową zbiorową petycję duchowieństwa górnośląskiego (Katholische deutsch und polnisch sprechende Seelsorgs-Geistlichkeit Oberschlesiens) do rządu o przywrócenie polskiego języka do szkół powszechnych (załącznik III). Okoliczności były dla takiej nowej akcji kościelnej o tyle korzystne, że wybory do parlamentu w roku 1898 odbyły się na ogół spokojnie. Petycja była datowana Bytom, w styczniu 1899 r. i podpisana przez cały kler górnośląski z małymi tylko wyjątkami. „Katolik” uznał, że z trzech przyczyn zasługa kleru jest wielka: najprzód dlatego, że całe duchowieństwo petycję podpisało, po wtóre, że ją właśnie teraz wysłało, a po trzecie, że ją taką wysłało. Nazywał petycję aktem wielkiej rozważi i uczciwości i zapewniał, że w historii ludu polskiego na Śląsku zapisze się ona niezatartymi głoskami ku pomnożeniu szacunku i miłości ludu dla księży.

W Berlinie poparli petycję przy obradach etatowych posłowie ks. Głowatzki, dr Faltin, dr Porsch i ks. Stanke, ostatni

w imieniu morawskiej ludności powiatu raciborskiego. Szczególne wrażenie zrobiło, gdy dr Porsch ministrowi zwrócił uwagę na sprawozdanie z IX kontynentalnej konferencji misyjnej w Bremie z maja 1897 r. i odczytał z memoriału, jaki wydział niemieckich ewangelickich towarzystw misyjnych na podstawie tych obrad z 1897 r. wystosował był o szkołach misyjnych do wydziału kolonialnego w ministerstwie spraw zagranicznych, zdanie następujące:

„Musimy potępić usiłowania, by w niemieckich kolonjach uczynić język niemiecki zapomocą szkoły językiem panującym i zaprowadzić go nietylko jako przedmiot nauki, ale jako język wykładowy w szkole, a to nietylko ze względu na ich bezskuteczność, lecz, co więcej, dlatego, że krzywdą jest narzucać krajowcom język obcy kosztem ich własnego i wynaradawiać ich tym sposobem. Prawdziwym pożytkiem może nauka obcego języka stać się dla tubylczej ludności kolonialnej tylko na podstawie prostego, lecz gruntownego wykształcenia elementarnego w języku ojczystym. Chcieć uczyć tubylców europejskiego języka bez gruntownego wykształcenia elementarnego w ich własnym języku, uważamy także za ciężkie naruszenie zdrowych zasad pedagogicznych, ponieważ zamiast istotnego wzbogacenia ducha zyska się przez to tylko zewnętrzną tresurę i pretensjonalne, pełne zarozumiałości, wykształcenie pozorne, które jest równie wstrętne, jak moralnie zgubne.”

„Fiat applicatio!” — kończył dr Porsch. „Jeżeli to rzeczowo odnosi się do kolonii, to jeszcze więcej odnosi się to rzeczowo do Górnego Śląska. A jeżeli administracja szkolna uznaje za obiektywnie słuszne żądania nasze, które zestawilo jak jeden mąż całe duchowieństwo, to uważam za wskazane, by bez względu na agitację, która się odbywa faktycznie albo rzekomo, wydobyla z nich rzeczowe jądro i usunęła je z dyskusji. To leży nie tylko w interesie religijnego wykształcenia młodzieży, ale także w interesie państwa, któremu przez te wywody miałem zarazem zamiar przysłużyć się.”

Minister Bosse odpowiedział ustnie, a dnia 29 marca także na piśmie w tym sensie, że co innego kolonie, a co innego Górny Śląsk, gdzie każde ustępstwo rządu byłoby wyzyskane na korzyść narodowo-polskiej agitacji. Zresztą zrobił minister w r. 1879 dla Górnego Śląska koncesję, by na wnioszek udzielano na wyższym oddziale polskiego czytania i pisania, a nie stawiono wtedy ani jednego wniosku, przeciwnie upominano się o pomnożenie lekcji w języku niemieckim. Zadaniem szkoły nie jest pielęgnowanie obcego języka, lecz języka niemieckiego (der

vaterländischen, für jeden Deutschen unentbehrlichen deutschen Sprache). Ponadto wykazały nowe dochodzenia, że szkoła niemiecka także w nauce religii osiąga swój cel, a to najlepiej tam, gdzie kler usiłowania rządu w tej dziedzinie ze zrozumieniem radośnie sam popiera.

Odpowiedź Bossego nie tylko była dotkliwą aluzją do przełamanej faktycznie solidarności duchowieństwa, lecz oznaczała rządowe zlekceważenie kleru w ogóle. Słusznie zauważyła berlińska „Germania”, że autorytet władz państwowych odniósł zwycięstwo nad autorytetem całego duchowieństwa górnośląskiego, które zostało przez ministra potraktowane jako *quantité negligible*.

IV. SPÓR O POLITYCZNĄ HEGEMONIĘ KLERU

Walka kulturalna była dla Górnego Śląska okresem polityki nad-narodowo-katolickiej pod wyraźną hegemonią kleru. Głównym w tej walce dowódcą katolików śląskich był zdolny i ruchliwy ks. dr Adolf Franz (ur. 1842, um. 1916), który w latach 1872—73 redagował Schles. Volksztg., 1873—77 Schles. Kirchenblatt, 1878—1881 „Germanię”, 1875—1882 posłował z okręgu Münsterberg-Frankenstein do sejmu pruskiego, a 1876—1892 z okręgu Strzelce-Koźle do parlamentu niemieckiego; powołany 1882 jako kanonik do Wrocławia, był prawą ręką księcia-biskupa Roberta Herzoga. Gdy mu nowy książę-biskup Kopp oświadczył, iż rządzić będzie sam, zrezygnował 1893 z kanonikatu i, mianowany protonotariuszem apostolskim, opuścił Wrocław i Śląsk, by żyć wyłącznie pracom naukowym.³⁵⁾

Głównym organem polityki katolickiej na Górnym Śląsku był „Katolik” Karola Miarki, w ogóle najstarsza gazeta katolicka na Górnym Śląsku, dwa razy, 1879 i 1892 r., odznaczona i wyróżniona szczególnym błogosławieństwem papieskim. Wszak dopiero podczas walki kulturalnej powstały obok „Katolika” centrowe gazety niemieckie³⁶⁾.

Słusznie zauważył młody, lecz wnikliwy Jan Kasprowicz w swej Kronice Śląskiej 1886 roku, że „walka kulturalna, zwró-

³⁵⁾ cfr. Jungnitz, Prälat Adolf Franz. Ein Lebensbild. Wrocław 1917.

³⁶⁾ cfr. RTPN III, 28, nota 22.

cona w swych zasadniczych ideach przeciw Kościołowi, nie mogła wychować szermierzy narodowych; mogła tylko wychować ludzi, którzy, chwytając w celu obrony Rzymu za każdą broń, która im wpadnie pod rękę, potrafili także znaleźć dawno zardzewiałą szablę — sprawę polską na Śląsku. Zaczęto agitować, a rozbudzającymi się gdzieniedzie objawy antyniemieckimi zaczęto niby chustą czerwoną straszyć Bismarcka, jak wiadomo, bardzo wrażliwego na wszystko, co nosi nieszczęśliwą nazwę „polnisch”. Tymczasem pokorny ludek polski, od wieków prowadzony na pasku autorytetu, biegł na oslepek za swymi przywódcami i mniemanymi przyjaciółmi, tracił dla nich częstokroć chleb u protestanckich lub żydowskich wyborców i wysyłał sporą liczbę „swoich” do parlamentu. Wiadoma rzecz, że dzięki Polakom górnośląskim partia środkowa zyskała 20 najgorliwszych szermierzy, tym gorliwszych, że — w przeważnej części posiadających i imię arystokratyczne i wielki zapas — czynniki, z którymi Kościół katolicki związany jest najściślej wężły”.

Po częściowym przynajmniej zlikwidowaniu walki kulturalnej około roku 1880 zaczęła się wspólna dotychczas polityka katolików górnośląskich rozdzielać na dwa kierunki, jeden polski z „Katolikiem”, drugi niemiecki z „Schles. Volksztg.” na czele. Redakcje obu gazet były zależne od decydującego jeszcze dłużej stanowiska księży.

Bardzo nie na rękę było księżom górnośląskim, że właścicielem „Katolika” był ks. Radziejewski, Wielkopolanin³⁷⁾. Trafne są uwagi Kasprowicza o „Katoliku” ówczesnym: „zapełnia on swe łamy oprócz krótkich artykułów wstępnych, streszczających zwykle obrady sejmowe, krótkimi korespondencjami ze wszystkich prawie okolic Górnego Śląska. Uważny czytelnik znajdzie w tych miniaturowych sprawozdaniach mimo arcy-pobożnej zaprawy w tym rodzaju, że ludzie w tej a tej wsi nie chodzą do kościoła, lub jeżeli idą, to kaszlą podczas kazania, że się nie zapisują do różańca, tańczą po karczmach itp. niejedno pociągnięcie pióra, malujące smutne materialne położenie ludu, zwłaszcza w okolicach hutniczych i niejedną wzmiankę o ucisku, jakiego się dopuszczają urzędnicy i chlebobdawcy na swoich podwładnych pod względem moral-

³⁷⁾ cfr. RTPN II, 33, nota 26.

nym, zakazując im mówić po polsku, zabraniając im niewinnych zabaw i stowarzyszeń polskich i tym podobnych „antykulturowych zachcianek” polskiego ludu. Szczera obrona tej uciemiężonej pod każdym względem ludności oraz polskość „Katolika” była oddawna solą w oku tym panom. Zarzucając mu publicznie buntowanie klas niższych przeciw posiadaczom i „agitację wielkopolską”, postanowili ci przedstawiciele śląskiego katolicyzmu zabić „Katolika” i zastąpić go innym piśmidłem, które też od nowego roku wychodzi. Naturalnie, że w tej agitacji przeciw organowi ks. Radziejewskiego prym trzymał ks. Franz; sekundowały mu w godny sposób takie osobistości, jak ks. Philippi i ks. Widera. Charakterystycznym i dosadnie świadczącym o usposobieniu tutejszego kleru było wyrażenie ks. Widery, zwrócone do kanonika Franza: „Herr Kanonikus, verschaffen Sie uns nur einen tüchtigen Redakteur, und wir werden schon das Unsrige tun” — i rzeczywiście, jak wzmiankowałem powyżej, słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami. Od nowego roku bowiem zaczęto wydawać w Katowicach nowe pismo „Monikę”, połączoną nierozzerwalnym węzłem z „Aniołem Stróżem”, mające zastąpić Katolika.”

Kasprowicz stanowczo przecenił rolę „Moniki” ks. Sarnesa (wychodziła 1886—1888) i mimowoli skrzywdził pobożnego wydawcę, ale dobrze wyczuwał napięcia, wśród których miały się dalej rozwijać sprawy polityczne na Górnym Śląsku: z jednej strony dążenie kleru i zarządu partii centrowej do uniezależnienia się od wpływu „Katolika”, z drugiej strony dążenie „Katolika” i w ogóle ruchu polskiego do emancypacji od centrum.

Kasprowicz pisał swe korespondencje ze Śląska pod wrażeniem zjazdu katolików śląskich w Gliwicach (1885) i stwierdził, że nie brakło tam epizodów, „w których dzielni szermierze germańskiej kultury naciągali swe łuki przeciw bezbronnym Słowianom”. — Ostatni wspólny wiec katolicki odbył się w roku 1891 w Raciborzu (cfr. RTPN. II, 151—152), a ostatnim świętem zgody polsko-niemieckiej był jubileusz „Katolika”, który w r. 1892 obchodził swe 25-lecie. Lecz biorący udział w tej uroczystości księża górnośląscy i przywódcy centrowi byli zaskoczeni (wurden stutzig) mnóstwem nieznanym im uczestników z Poznania, Krakowa i Lwowa. Zaczęli więc coraz mniej ufać „Katolikowi” i — nie szczędząc ofiar pieniężnych — zabezpieczać swój wpływ polityczny zakładaniem własnych gazet pol-

skich. Były to po kolei: „Gazeta Górnośląska Ludowa” w Raciborzu, „Kuryer Górnośląski” w Raciborzu i w końcu „Gazeta Katolicka” w Królewskiej Hucie.

Założona 1892 r. „Gazeta Górnośląska Ludowa”, którą redagował b. urzędnik pocztowy W. Retzlaff, Wielkopolein, była raczej streszczonym tłumaczeniem niemieckiej gazety centrowej „Oberschles. Volksztg.” w Raciborzu, aniżeli organem samodzielnym. Wobec wzrastającego wpływu „Nowin Raciborskich” nie doszła do żadnego znaczenia. Przy należytych wyzykaniu „Gazety Górnośląskiej Ludowej” w walce z nadchodzącym niebezpieczeństwem wielkopolskim zawadzało centrowcom pewnie także pochodzenie Retzlaffa z Ostrowa. Ton pisma był skrajnie ugodowy. To też „Gazeta Opolska” (1893, nr 49) pisała z ironią: „Ta gazeta nieustannie by wołała: „cicho, ludku, cicho! Trzeba ulegać rządowi. Choć cię germanizacja boli, nie krzycz, bo byś popsuł humor rządowi, rząd by się na cię gniewał. Cicho tylko, za naszym wstawieniem rząd się już udobrucha i porzuci tobie, jako wiernemu psu, kość w polskim sosie umoczoną — a ty, uszczęśliwiony nią, ani nie uczujesz, jak cię dalej będzie germanizował. Ta wiwisekcja dokona się na tobie bez boleści, bo ja będę ci podawała środki usypiające.” — W takim duchu pisałaby zawsze ta uczciwa „Górnośląska Gazeta Ludowa”, ażeby nareszcie po jakich 20 latach wyszła w obwódce czarnej z pośmiertnym napisem: Lud polski na Górnym Śląsku zasnął snem śmiertelnym. Długo się męczył i szamotał, aż nareszcie, przeze mnie uspiiony..., bez widocznych znaków boleści oddał polskiego ducha.”

Po frapującym zwycięstwie Szmuli w Bytomskim (15 czerwca 1893) padł popłoch na wodzów centrowych nie tylko w obwodzie przemysłowym, ale także w Raciborskim, skoro i tam na kandydata „Nowin Raciborskich” Filipa Robotę oddano 5749 głosów, a ksiądz Frank przeszedł tylko dzięki poparciu przez liberałów. Panowie niemieccy, którzy dawniej swoich polskich lub morawskich robotników katolickich pędzili na wybory przeciwko centrum, teraz z obawy przed „niebezpieczeństwem wielkopolskim” wozili ludzi pełnymi furami do lokali wyborczych, by ks. Frankowi pomóc do zwycięstwa. Słusznie powtórzyły „Nowiny Raciborskie” za pewnym wiarusem, iż Robota przepadł, bo „lud polski nie posiada kazalnicy, ani spowiednicy, nie ma po swej stronie ani wójta, ani nauczyciela, ani żandarma”.

Ale słusznie też zapowiadały, że ludowi polskiemu wybory te do reszty otworzyły oczy. „Lud polski poznał dziś doskonale swych niemieckich współwyznawców i ich udaną życzliwość dla polskości. Liberałowie i masoni są tym panom miłsi, niż polscy katolicy. Wołają oni płaszczyć się przed dawniejszymi wrogami, niż ludowi polskiemu przyznać chociażby odrobinę tych praw, jakie mu się słusznie należą.”

Wskutek masowego odpływu ludności słowiańskiej, polskiej i morawskiej, był w Raciborzu polityczny monopol partii centrowej najdotkliwiej poderwany, a nienaturalny dla katolickiej partii sukces liberałów był mocno żenujący. Aby się pozbyć tak kompromitujących a na dłuższą metę niemożliwych sojuszników, podjęto próbę odzyskania politycznego kontaktu z ludem przez założenie nowych gazet centrowych w języku polskim i morawskim.

Już w dwa tygodnie po swej klęsce wyborczej zaprosił komisarz biskupi i dziekan ks. Leopold Nerlich z Piekar konfratrów na piątek, dnia 7 lipca 1893 do Bytomia na konferencję, której celem było „die Gründung eines polnischen Tageblattes für den hierseitigen Industrie-Bezirk”. Zaproszenie tym uzasadniał, że ostatnie wybory wykazały konieczność założenia polskiej katolickiej gazety dla tutejszych okręgów, a cały kler, z wyjątkiem ks. wikarego Wlotzki w Bytomiu, wita projektowane przedsięwzięcie z całego serca. Uradzono jednak trochę inaczej. Albowiem zamiast założyć zależną od centrum gazetę polską w obwodzie przemysłowym, zlikwidowano w Raciborzu „Górnośląską Gazetę Ludową” i w tymże Raciborzu uchwalono wydać niebawem nowe gazety o silniejszym zabarwieniu narodowym, ale bezwzględnie lojalne, jedną po polsku, drugą po morawsku.

Na czele komitetu wykonawczego stanął komisarz biskupi i dziekan ks. Wilhelm Strzybny, staruszek prawie 70-letni, proboszcz na Starejwsi pod Raciborzem, centrowy „Hauptmann und Zugführer” na odcinku raciborskim. Na redaktora gazety polskiej pozyskano nowego proboszcza w Dziergowicach ks. Wiktora Lossa³⁸⁾. Nowa gazeta miała tytuł „Kuryer Górnośląski, Pismo duchowieństwa i ludu polskiego na Szląsku”. Pod nagłówkiem figurowało hasło centrowe: prawda — wolność —

³⁸⁾ cfr. RTPN IV, 250—254.

prawo. Pierwszy numer nosi datę Racibórz, dnia 8 września 1893. Gazeta wychodziła raz, potem, od października począwszy, trzy razy na tydzień. Kierunek był jasno określony we wstępnej odezwie (cfr. załącznik III). Pod adresem „Nowin Raciborskich” odezwał się Kuryer zaraz w numerze drugim: *hic vobis et bellum et pacem portamus; utrum velitis, sumite!* — obierzcie spokój albo wojnę!

Od pierwszego października 1893 wychodził w Raciborzu także tygodnik dla Morawian p. t. „Katolické Nowiny pro lid morawsky w Pruském Szlezsku. Jedine w morawské řeči vycházejici nowiny w Německu. Za pravdu, swobodu a prawo”. — Redaktorem był ks. administrator Jureczka. „Katolické Nowiny”, to morawski odpowiednik do „Kuryera Górnoszląskiego” i do „Oberschles. Volksztg.”.

W numerze 4. oświadczył „Kuryer” we własnej obronie, że dopóki 1) walka kulturalna zupełnie i ostatecznie zakończoną nie będzie, 2) prawodawstwo nasze zasad chrześcijańskich całkiem nie przyjmie — tak długo też duchowieństwo w sprawach tych religijno-politycznych, wypełniając jedynie swój obowiązek kapłański, przewodnictwa żadną miarą zrzec się nie może i nigdy nie zrzeknie.

Uporczywe i tak usilne podkreślanie politycznej hegemonii kleru miało swoją przyczynę w chlubnej tradycji z czasów walki kulturalnej, kiedy to kapłani naprawdę byli powołanymi wodzami ludu, „die geborenen Führer des Volkes”, bo chodziło o obronę samego Kościoła przed zakusami Bismarcka. Ponieważ wtedy książę-biskup wrocławski był na wygnaniu, nabył kler wielkiej ruchliwości i samodzielności w sprawach publicznych, które wychodziły daleko poza ramy duszpasterstwa parafialnego. Ta świetna tradycja politycznej solidarności z ludem odurzała cały kler i utrudniała mu cofnięcie się do normalnego duszpasterstwa parafialnego, które do bieżącej polityki nie miesza się wcale, dopóki polityka nie wchodzi zaczepnie w dziedzinę kościelną. Po zlikwidowaniu walki kulturalnej zostały wprowadzić sprawy katolickie aż do zapewnienia szkoły wyznaniowej i swobody ruchu dla zakonów wciąż aktualne w Prusiech, ale ustępowały powoli miejsca pałacej coraz bardziej kwestii społecznej i wzmagającemu się ruchowi narodowemu; były to wprawdzie sprawy niższego rzędu, ale bezsprzecznie pilniejsze.

Mimo to pozostawali księża przy swoim *ceterum censeo*, że jedyną partią dla kleru i ludu górnośląskiego jest Centrum, które uchodziło za dogmat polityczny, gdy w rzeczywistości było, jak każda partia, tylko instrumentem politycznym. Żeby jakiś kapłan nie był centrowcem, uważano wtedy za rzecz niemożliwą; tylko ksiązę-biskup Kopp nie podzielał tej ciasnoty partyjnej. Ludowi odmawiano samodzielności *in politicis*, tak że starsi duszpasterze błędnie tłumaczyli sobie i innym, że „Volk kommt von folgen”. Chcieli więc księża wtłoczyć parafie w kadry stronnictwa centrowego, mylnie utożsamiając dyscyplinę kościelną z karnością partyjną. Był to błąd pastoralny, polegający na przeciąganiu autorytetu duchownego na dziedzinę niewłaściwą. Co innego bowiem szczytne *regimem animarum*, gdzie chodzi o *unum necessarium*, które bezwzględnie musi być zabezpieczone wśród najróżnorodniejszych warunków życia doczesnego, które jako czynnik nadprzyrodzony nie jest zależne od fluktuacji politycznych, a co innego kierownictwo polityczne, gdzie sprawy doczesne — przeważnie *causae indifferentes* w pojęciu Kościoła — usiłuje się prowadzić zwycięsko do celów naturalnych poprzez trudności i przeszkody tego świata.

W tych zmiennych sprawach jest dla kapłanów na miejscu elastyczne dostosowanie się według zasady i przykładu św. Pawła: *omnibus omnia factus sum, ut omnes facerem salvos* (1 Kor. 9, 22).

*

Buntowanie się ludu przeciwko oficjalnym kandydatom centrowym i ostentacyjne przeprowadzenie Szmuli jako popularnego kontrkandydata spowodowało próby reorganizacji stronnictwa centrowego pod kątem widzenia demokratycznym. Dokonywało się to w etapach aż do roku 1906.

Dnia 28 września 1893 przyjęło zgromadzenie mężów zaufania śląskiego centrum we Wrocławiu tymczasowy statut wyborczy; postanawiał on, że powiatowe komitety wyborcze delegują po trzech deputowanych z zastępcami do zgromadzenia mężów zaufania, które na zaproszenie prowincjalnego komitetu zbiera się najpóźniej w tydzień po wypisaniu wyborów do parlamentu lub sejmu i rozstrzyga wszelkie sprawy stronnictwa, ustanawia ostatecznie kandydatów i obiera komitet prowincjonalny. Głos doradczy przy tym mają obecni i dawniejsi posłowie

do parlamentu i sejmu śląskiego partii centrowej oraz śląscy komisarze biskupi wzgl. arcybiskupi i dziekani (§§ 5—7).

Sprawa była pilna, bo na 31 października 1893 były wyznaczone wybory do sejmu pruskiego. Ale właśnie w Raciborzu, gdzie wychodziły aż trzy gazety centrowe, morawska, niemiecka i polska, przyniosły te wybory dla centrum klęskę sromotną i bardzo upokarzającą, bo utraciło tam na rzecz liberałów oba swoje dotychczasowe mandaty. „Neisser Ztg.” poddała stosunki raciborskie miazdzącej krytyce w dodatku swym niedzielnym z dnia 12 listopada 1893. Zarzucała ks. komisarzowi Strzybnemu fuszerkę polityczną (Pantscherei) i guwernementalizm, umizganie się wielkim panom (Herumscharwenzeln bei den freikonservativen grossen Herren), ignorowanie życzeń ludności i lekceważenie wyborców — i twierdziła, że zdradził partię z nierozsądnej nienawiści do Polaków. Z postępowania ks. Strzybnego można rozumieć rozrost agitacji polskiej. Dekretuje się ponad głowy wyborców, jak mają wybierać, a kto nie chce słuchać, przedstawiany jest jako buntownik przeciwko autorytetowi i przeciwko duchowieństwu.

Cały okres następny jest wypełniony próbami zatrzymania ruchu polskiego w ramach i korbach stronnictwa centrowego. W każdym numerze „Kuryera Górnoszląskiego” było teraz tłustymi literami umieszczane napomnienie: „Ojcowie i matki, uczcie polskie wasze dzieci po polsku, a jedynie po polsku wiary świętej katolickiej!” Lecz wysiłki centrowe znamionowało chroniczne i bezradne zakłopotanie. Co ks. Kapica w r. 1906 w Żorach stwierdził publicznie o centrowcach, prawdą już było w r. 1893: „die Führer haben, warum sollen wir das leugnen, die Leitung, ja den Kopf verloren”.

Nowej porażki doznało Centrum w powiecie prudnickim przy uzupełniających wyborach do parlamentu. Oficjalny kandydat centrowy Deloch otrzymał 3896, a ludowy kandydat, gospodarz Strzoda, 3419 głosów. Przy ściślejszych wyborach dnia 25 stycznia 1894 r. uzyskał Strzoda 7565 a Deloch tylko 2746 głosów, chociaż odezwę za Delochem było podpisało trzydziestu księży, a odezwę za Strzodą tylko jeden. Tym księdzem był proboszcz Prudnika ks. Gerntke. Berlińska „Post” wzywała wtedy ks. kardynała Koppa, że powinien „mit eisernem Willen und rücksichtsloser Energie Disziplin und Staatsfreundlichkeit unter den in sich selbst zerfallenden Klerus hineinbringen”. —

„Köln. Volksztg.“ zaś winiła zarząd partii centrowej, że znowu za mało uwzględnił sentyment i życzenia polskich wyborców.

Długo jeszcze rozpisywały się gazety centrowe na temat „Zur Lage in Oberschlesien“. — „Schles. Volksztg.“ (nr 78) pisała np., że ostatnie wybory odbyły się pod hasłem: hie Klerus — hie Posener Redakteure! — i mówiła już o dwóch partiach, klerykalnej i redaktorskiej.

Miarodajnym redaktorem na G. Śląsku był wciąż Adam Napieralski. Wpływ „Katolika“ rósł w oczach. Celowość jego taktyki niepokoiła przywódców centrowych, którzy się zlekli, gdy na horyzoncie pola walki zjawiło się naraz widmo Polski, która nie zginęła, a walka z dotychczasowej obrony Kościoła w granicach Prus przechodziła niepostrzeżenie we walkę o prawne podstawy panowania pruskiego na Śląsku polskim. Czy to nie refleks dalekiej wtedy przyszłości, jeżeli „Schles. Volksztg.“ z okazji swego 25-lecia (1894, nr 170) już w tonie prawie że plebiscytowym pisze:

„Nicht die „Schles. Volkszeitung“ hat sich geändert, sondern der „Katolik“ und durch ihn und seine späteren journalistischen Nachtreter in Oberschlesien die dortigen, ehemals so friedlichen Verhältnisse. War doch die „Schles. Volksztg.“ noch vor zwei Jahren, da der „Katolik“ sein Silberjubiläum feierte, in der Lage, ihn beglückwünschen zu können. Damals wehte noch so etwas von dem Miarkaschen Geiste über ihm, der unter der oberschlesischen „Volksbewegung“ ganz etwas anderes verstand, als was die Herren Posener Redakteure in Oberschlesien heute darunter verstehen. Allmählig ist auch der „Katolik“ — erst vorsichtig lavierend, dann aber immer deutlicher und bestimmter — aus dem bewährten Miarkaschen Kurs, dessen Devise war: „Oberschlesien den Oberschlesiern“, in den neuen geraten, der die „Verteidigung der Muttersprache und der Rechte des oberschlesischen Volkes“ dahin auslegt, dass er dasselbe, anstatt an seiner wirtschaftlichen und sittlichen Erziehung zu arbeiten und mitzuwirken, zu politischen Kannegiessern herانبildet, indem man seine Phantasie mit den „glorreichen Bildern einer grossen Vergangenheit“, an der Oberschlesien und sein Volk seit nun sechshundert Jahren höchst unschuldig sind, erhitzt und es schliesslich zum harten Kampf um's Dasein, wie ihn der Ernst des Lebens zumal heutzutage erheischt, unfähig macht. Die „Volksbewegung“ in Oberschlesien, für die heute der „Katolik“ und Genossen „kämpfen“, führt nach — Krakau, aber nicht nach Deutsch-Piekar, St. Annaberg, Pshaw und Trebnitz. Sollte die Politik des „neuen Kurses“ in Oberschlesien — was der Himmel verhüten möge! — jemals die Oberhand gewinnen, so würde sie in demselben Jammer enden, wie s. Z. jene der allzuviel politisirenden Szlachcizen ausserhalb Oberschlesiens. Und darum wird die „Schles. Volksztg.“ wie bisher, unbekümmert um alle Angriffe auf den „Renegaten“, allzeit

unentwegt an dem alten, bewährten Miarka'schen Kurse festhalten: „Oberschlesien den Oberschlesiern“, den sogar der „Kurier Pozn.“ im vorigen Jahre in einer schwachen Stunde als den allein richtigen bezeichnet hat.”

Odąd Centrum jako stronnictwo niemiecko-państwowe patrzyło coraz sceptyczniej na ruch polski i, potępiając zawsze germanizację w zasadzie, pobłażliwym było dla niej w praktyce, spodziewając się od niej załagodzenia niebezpieczeństwa polskiego dla integralności wschodnich granic Prus.

Łudzono się gdzieniedzie, że centrowy program zatrzyma i opanuje ruch polski. Raciborski adwokat P(aweł) A(lbers) np. pisze w książce „Oberschlesien, Land und Leute” (str. 27): „Ich glaube, dass diese Differenz bloss eine ephemere und bereits im Erlöschen begriffene ist, weil das Centrum, den Grundsätzen der Gerechtigkeit folgend, sich stets als ein Vorkämpfer der Muttersprache erwiesen hat”. — Ale piękna dewiza centrowa: za prawdę, wolność i prawo — rozumiała pod wolnością swobodę kościoła, a nie usamowolnienie i polityczne uwłaszczenie Polaków. To wychodziło poza jej ramy. W rzeczy samej rozsądził z naturalnego prawa wypływający ruch polski nie tylko stronnictwo centrowe, ale w dalszym rozwoju także granice państwa pruskiego, podobny do wezbranej rzeki, która żywiołową siłą łamie sztuczne zapory. Tymczasem szedł prąd tego ruchu pod ziemią, a tylko od czasu do czasu dał się słyszeć jego szum pomrukliwy.

Wielki rumor był znowu w roku 1895 z okazji uzupełniających wyborów do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Dnia 15 czerwca 1895 umarł w Buchwald pod Libawą na Dolnym Śląsku Tadeusz Konrad, rolnik z zawodu, pochodzący z Neurode w hrabstwie kładzkim, który od 1879 r. zastępował powiaty Pszczyzna i Rybnik w sejmie pruskim, a od 1893 r. także w parlamencie niemieckim, należąc do stronnictwa centrowego. Komitet powiatowy z ks. dziekanem Philippi na czele oświadczył się za kandydaturami rektora Latacza z Katowic dla sejmu, a barona Huenego z Mahlendorf dla parlamentu. Napieralski zaczął ważność tej uchwały, twierdząc, że choćby nawet komitet był legalny, to uchwały jego powinny być zatwierdzone przez właściwych wyborców na zebraniach publicznych. W ten sposób chciał prze-forsować kandydatów popularniejszych. Stała się do walki przedwyborczej powaga zsiwiałego w polityce centrowej ks. Philip-

piego i stojącego za nim całego kleru — przeciwko Napieralskiemu. „Kuryer Górnośląski” pisał, że ani czytelnicy, ani korespondenci „Katolika” nie są jeszcze ludem katolickim. Jeden ksiądz zastępuje nieraz więcej katolików, aniżeli cały „Katolik” ma czytelników (nr 101). Chyba mają się komitet i przewodnicy zamiast do ustawy centrowej stosować do „Katolika”. Lecz byłoby bankructwem stronnictwa, gdyby się uznało redakcję „Katolika” za najwyższą władzę centrową. W końcu zarzucał „Kuryer” zwolennikom „Katolika”, że „są politykami innego stronnictwa, narodowego, a nie członkami stronnictwa katolickiego, bo takowe trzyma się księży, słucho ich i popiera” (nr 103). — „Kto bez komitetu wyborczego i bez duchowieństwa podejmuje się zgromadzeń wyborczych, ten prowadzi lud od starego dobrego porządku w nierząd” (nr 101). Gdy „Katolik” w polemice wspominał o ptaku, co własne gniazdo kala, odpowiedział ks. Loss: „Naszym gniazdem jest ta nasza śląska ziemia, a Polska dawnych wieków jest państwem zagranicznym, nie naszą ojczyzną. Przez pół tysiąca lat zapominaliście, panowie, o nas, a teraz chcielibyście nas z miłości pozjadać. Na co te figle? Polacy śląscy są Polakami na swojej ziemi niezależnymi i takimi pozostaną... a więc co do ptaka, gniazda i t. d. na przyszłość więcej ostrożności, inaczej musielibyśmy także się chwycić artylerii. Kończymy na melodii: Tu ma ojczyzna, to mój Śląsk kochany!” (nr 102). Ma się wrażenie, że się czyta artykuł plebiscytowy.

Burzliwy przebieg miało zebranie wyborcze w Żorach dnia 8 września 1895, na którym kandydat na sejm rektor Latacz miał się przedstawić wyborcom. Przewodniczyli ks. dziekan Philippi z Łąki i ks. dr Kremiski z Rybnika. Polscy uczestnicy, których było przeszło 200, odrzucili kandydaturę Latacza na znak protestu przeciwko germanizacyjnemu systemowi szkolnemu i ogłosili kandydaturę adwokata Radwańskiego z Pszczyny. Dnia 12 września przeszedł mimo to rektor Latacz, co należy tym tłumaczyć, że wybory do sejmu odbywały się pośrednio przez t. zw. walmanów i publicznie.

Inaczej poszło przy bezpośrednim i tajnym wyborze do parlamentu niemieckiego dnia 24 października 1895 r. Oficjalnym kandydatem centrowym był szambelan papieski i rycerz maltański baron Huene, wielce zasłużony około rozwoju kas Raiffeisena i dlatego „królem rolników” zwany, lecz Niemiec.

Kandydatem „Katolika” był znowu adwokat Radwański, rodowity polski Górnoszlązak. Daremnie zaklinał „Kuryer Górnoszląski” (nr 123): „Niechaj każdy pamięta, że hańbą i wstydem jest, opuszczać starą chorągiew i starych przewodników; niechaj nikt nie stanie się mizernym zbiegiem, lecz niech patrzy na przykład dzielnego wodza ks. dziekana Philippiego, który, zestarzały we walce za wiarę, wolność i prawo, tak smutnych od wielu już doznał podziękowań. Jego się trzymajcie!” — Z drugiej strony równocześnie odezwał się w „Gońcu Wielkopolskim” głos, że komitet poznański powinien już rozciągnąć działalność swoją na Górny Śląsk, by go uwolnić od licznych księży germanizatorów. Radwańskiego nazywano już kandydatem polsko-narodowym. „Goniec Wielkopolski” był zdania, że ośmiu posłów z Górnego Śląska powinnyby należeć do Koła Polskiego.

Radwański odniósł świetne zwycięstwo, otrzymawszy 12.447 głosów; miał o 7946 głosów więcej aniżeli Huene, ale pozostał w partii centrowej. Mimo to księża nie przestali przestrzegać lud przed polskim ruchem narodowym. Myśleli nawet o zbiorowym podaniu do biskupa o urzędową obronę zagrożonego, ich zdaniem, autorytetu duchownego. „Der gesamte Klerus muss auftreten, ohne Ausnahme, und muss diese Hetzblätter verwerfen und muss den hochwürdigsten Diözesanbischof bitten, dass er mit seiner bischöflichen Gewalt das Ansehen seiner Geistlichen gegenüber dieser Art von Zeitungen schützt. Wir sind treue Freunde der polnischen Oberschlesier und werden immer eintreten für die Rechte der Muttersprache, aber wir können als Preussen nicht mit den Herren aus Posen auf den Auen Grosspolens wandeln.”

Na zebraniu polskich robotników chrześcijańskich w Królewskiej Hucie miał ks. kapelan Flaszka dnia 24. XI. 1895 r. głośny swego czasu wykład o dwóch nieprzyjacielach ludu górnoszląskiego: hakatystach i agitatorach wielkopolskich. Pod przewodnictwem tego samego ks. Flaszki uchwalili wtedy niemieccy mężowie katoliccy Królewskiej Huty protesty przeciwko „Katolikowi”, „Gazecie Opolskiej” i „Nowinom Raciborskim”, grożąc tym pismom biskupem i papieżem. Wtedy pisał ks. Skowroński, iż mylą się centrowcy, jeżeli myślą przez ubicie gazet stłumić zdrowy ruch narodowy. „Gdy się zatka wszelki otwór palącemu się ogniu, to on piec rozsadzi.” — „Gdyby się udało naszym przeciwnikom ubić gazety, wierne wierze i ludowi, to niezado-

wolenie ludu wybuchnie tym gwałtowniej nie w „Kuryerze Górnośląskim”, ale w socjaldemokratycznej gazecie.”

„Panowie, komuż to i na czem się opierając, chcecie udowodnić, że nasze polskie gazety szerzą niedowiarstwo? Ja tak samo jak wy czuję się powołanym do krytykowania gazet pod względem wiary i obyczajów, bo jestem także księdzem i czytam już od przeszło piętnastu lat „Katolika”. Oto ja jestem innego zdania co wy. „Katolik” był ulubionym gościem w domu moim i będzie nim nadal, bo w nim jeszcze nie dostrzegłem kacerstwa. Jeżeli niekiedy występuje przeciw temu i owemu księdzu, to tylko, aby się bronić przed jego zaczepkami. Kto publicznie drugiego zaczepia, ten musi być przygotowany na publiczną odpowiedź, boć każdemu, a więc i redaktorowi polskiej gazety, przysługuje prawo obrony. Mnie nie przyjdzie na myśl, walczyć przeciw polskim gazetom, owszem wdzięczny im jestem, bo zawdzięczam im wydoskonalenie się w mowie ojczystej; — gdyby inni szli za moim przykładem, nie mówiliby do ludu łamaną polszczyzną. — Dalej, nie jest to grzeszna lekkomyślność, do sporu czysto politycznego i narodowego mieszać najwyższe władze Kościoła katolickiego? Czyż już przypuszczenie, że ks. kardynał albo Ojciec św., źle i jednostronnie poinformowani, mogliby potępić słuszne pragnienia ludu, nie podkopuje ich powagi? Wara wam, panowie, od tych osób, do nich nie tylko niemieccy mernerzy, ale i polski lud ma i musi mieć zaufanie, boć oni są jego pasterzami. Nie wolno ich we walce politycznej wciągać do jednego obozu. Cóżbyście, panowie, powiedzieli, gdyby lud wraz z gazetami protestował przeciw wam i wołał o pomoc do ks. kardynała i Ojca św.?

Nareszcie, czyście sobie już przedstawili skutki tej walki z gazetami i z ludem, po ich stronie stojącym? Zakazujecie ludowi czytać „Katolika” — a podawacie mu „Kuryera”. Cóż przez to zyskacie? Lud jest przywiązany do „Katolika”, bo widzi w nim dzielnego swego obrońcę już od przeszło 25 lat. Przedewszystkiem robotnicy tak hut jak kopalń trzymają się oburącz „Katolika”, gdyż dobrze wiedzą, iż „Katolik” ich zorganizował i jest im najlepszym doradcą. Niemasz pisma na Górnym Śląsku, któreby tak gruntownie znało i tak dokładnie i jasno traktowało sprawę robotniczą na fundamencie chrześcijańskim, jak właśnie „Katolik”. Teraz wy chcecie zatrzeć filarami powagi „Katolika”, wmawiając w lud, że to gazeta zła, której trzeba odebrać błogosławieństwo Ojca św.? Panowie, czyż nie widzicie, że pod gruzami „Katolika” i wy pogrzebani zostaniecie? Dziękujemy Bogu, że mamy wśród niebezpieczeństw, grożących robotnikom od socjalnych demokratów, pismo szczerze katolickie, które cieszy się zaufaniem ludu i oddala od niego zarazę. Gdyby powaga „Katolika” runęła — czyż zdołacie na jego gruzach inną powagę postawić? Zaiste, że nie, bo jeżeli wzmówicie w lud, że „Katolik”, jego 25-letni obrońca, jest zdrajcą, to lud, mniemając, że został zawiedzionym, nie tak łatwo obdarzy inną gazetę swoim zaufaniem. Nie łudźcie się nadzieją, że lud będzie „Kuryera” czytał lub inną gazetę jemu podobną. „Katolik” podaje ludowi wino; „Kuryer”, wyjąwszy spraw religijnych, podawał dotąd ludowi

wodę. Czyż myślicie naprawdę, że lud, zasmakowawszy wina, będzie na wasze życzenie wodę pił? Nie, a jeżeli go gwałcić będziecie, porzuci i wino i wodę, a będzie szukał gorzałki, by się nią upoić w nieszczęściu. Że zaś tę gorzałkę już palą dla ludu, o tem przedewszystkiem muszą wiedzieć przewodnicy w obwodzie górniczo-hutniczym. Żle się więc bawicie, panowie, na waszych zgromadzeniach. Walka z gazetami i z ludem nie jest igraszką; tu chodzi nie tylko o zdrowe życie ludu, ale i o naszą powagę. „Katolik” jest w istocie najlepszym przyjacielem i obrońcą ludu; zachwiać jego powagę znaczy wystawić i lud i duchowieństwo na wielkie niebezpieczeństwa.”

*

Ciągłe niepowodzenia centrowe na G. Śląsku spowodowały publiczną dyskusję nad zasadniczą kwestią, czy duchowieństwo w osobach dziekanów lub przynajmniej komisarzy biskupich ma nadal należeć do centrowych mężów zaufania *ex officio*, albo z wyboru tylko. Na prowincjalnym zgromadzeniu delegatów we Wrocławiu (29 listopada 1894) zwyciężyła teza pierwsza, której bronił dziekan i komisarz biskupi ks. Philipp z Łąki oraz redaktor „Kuryera” ks. Loss, nad tezą drugą, której bronił adwokat Grzymek z Nysy.

Nie tajono się też z krytyką „Kuryera Górnośląskiego”. Małą poczytność tego pisma i niechęć do agitacji za nim tłumaczono nieodpowiednią redakcją. Dostyc osamotniony ks. Loss nie dorównywał znakomitej i zgranej trójce polskich redaktorów, mianowicie Maćkowskiemu, Napieralskiemu i Koraszewskiemu. Zresztą od roku 1895 był Racibórz już nieaktualny jako miejsce wydawnictwa, skoro złamany więzieniem pruskim i grzywnami Maćkowski opuścił był to miasto (1894), a sprzedał „Nowiny Raciborskie” (1895) Janowi Eckertowi, który je redagował znacznie łagodniej.

Na wiosnę 1896 r. zlikwidowano więc „Kuryera Górnośląskiego” i założono w Królewskiej Hucie „Gazetę Katolicką”, której pierwszy numer wyszedł dnia 25 maja 1896 r. 112 numerów redagował spokojny ks. Adolf Hytrek³⁹⁾, potem za redakcję podpisywał aż do końca czerwca 1897 sam ks. radca Łukaszczyk w Królewskiej Hucie, zaprowadzając ton trochę żywszy i więcej polemiczny; następnie prowadził redakcję przez pół roku A. Kwiatkowski, po nim łagodny, lecz narodowo zupełnie uświadomiony Adolf Ligoń, potem od 1900 r. Stanisław Czer-

³⁹⁾ cfr. RTPN II, 3, nota 2.

niejewski z Częstochowy, dotychczasowy wydawca suchotniczej „Gwiazdy Piekarskiej” (1888 do 1900). Prawdziwie wybitnym redaktorem był dopiero ks. dr theol. et phil. Stanisław Stephan⁴⁰⁾ (1903—1905).

⁴⁰⁾ Stanisław Stephan, ur. 7 V 1867 w Bralinie jako jedyny syn gospodarza, odbył studia gimnazjalne u św. Macieja we Wrocławiu, gdzie celował we wszystkich przedmiotach i był primus omnium (1879—88). Jako żak wrocławski (Chorknabe) napoił się na całe życie przedziwnym czarem liturgii kościelnej. Po jednym semestrze teologii we Wrocławiu został przyjętym do Germanicum w Rzymie i uczęszczał tam przez 7 lat na Gregoriana, zyskując 1891 doktorat z filozofii, a 1895 z teologii. U jezuickich profesorów, do których należał także Billot, nabrał wielkiej dyscypliny umysłu. Z wiecznego miasta posyłał nicjeden artykuł do „Katolika”. Wyświęcony 28 X 1894, otrzymał pierwszą posadę duszpasterską w Opolu, gdzie świeżym proboszczem był ks. Kasper Wrzodek. Neoprezbiter dawał od razu poznać pełen inicjatywy zapal kapłański i rwał się do aktualnych problemów społecznych. Powołując się na encyklikę Rerum Novarum, głosił potrzebę, by księża z zakrystii wyszli pomiędzy lud, udzielając się w organizacjach i w prasie.

Niebawem zraził sobie władze pruskie mową o położeniu Ojca św., wygłoszoną na zebraniu robotników katolickich w Opolu w uroczystość św. apostołów Piotra i Pawła 1896. Zakończył bowiem zwrotem, że u nas, by zostać mocno przy Kościele, trzeba zachować mowę polską i obyczaje polskie, a „ponieważ po polsku teraz w szkołach nie uczą, sami uczyć dzieci po polsku pisać, czytać, mówić, śpiewać; bo po niemiecku mówić jest potrzebne — ale polską mowę utracić jest hańbą i grzechem... Bądźcie katolikami, jeżeli będziecie Polakami!” Skutkiem było przeniesienie do Berlin-Weissensee (1896), gdzie pozostał jako kuratorem do roku 1901, zadziwiając wszystkich ruchliwością w związku z budową kościoła parafialnego. Powszechnie lubiany, kandydował w socjalistycznym Berlinie przy wyborach dla Centrum tylko, by skupić głosy katolickich robotników i przeszkodzić ich oddaniu socjalistom. Przykrego zawodu doznał w przejętym dobrowolnie kierownictwie zakładu im. Leona XIII w Berlinie (1901—03), którego finansowego upadku mimo swej obrotności nie zdołał powstrzymać.

Za namową ks. prob. Kubisa w Załężu, który go znał z Opoła, gdzie byli razem kapelanami, i za zgodą ks. kardynała Koppa powierzono ks. Stephanowi w kwietniu 1903 r. redakcję „Gazety Katolickiej”, aby ją wzmocnić w walce z „Górnoślązakiem”. Oprócz tego miał się ks. Stephan zająć scalaniem parafialnych organizacji robotniczych na Górnym Śląsku. Jako redaktor „Gazety Katolickiej” w okresie najtrudniejszym, bo największego roznamiętnienia politycznego, był ks. dr Stephan poniekąd mózgiem górnośląskiego kleru o orientacji centrowej. Głośną książką „Der Beuthener Prozess im Lichte der Wahrheit” (Król. Huta 1904, str. 320), zdemaskował tajną dotychczas pracę Narodowej Demokracji na Górnym Śląsku i ściągnął na siebie taką nienawiść redaktorów „Górnoślązaka”, że przy uzupełniających wyborach do sejmu pruskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim namówili polskich wyborców, że przy wyborach ścisłych pomiędzy ks. Stephanem (Centrum) a szkolnym inspektorem Rzeźniczkim (Freikonservativ) głosowali raczej za pruskim rządowncem i hakatystą, aniżeli za ks. Stephanem, który wskutek tego przepadł. Kolo Polskie piętnowało takie postępo-

Równocześnie z założeniem „Gazety Katolickiej” próbowano osłabić „Katolika” przez kurię wrocławską; akcja ta spowodowała zasadniczą wymianę zdań pomiędzy ks. kardynałem Koppem a redakcją „Katolika” (cfr. załącznik IV).

wanie osobną rezolucją z 27 X 1904. — Poza redakcją „Gazety Katolickiej” pracował ks. Stephan od listopada 1903 także jako generalny sekretarz Związku Chrześcijańskich Robotników Polskich na Górnym Śląsku, którego generalnym prezesem był ks. dziekan Schmidt w Katowicach. Organem Związku był „Poradnik”, wychodzący co niedzielę w Katowicach, a redagowany nominalnie przez Franciszka Borysa z Królewskiej Huty. Związek obejmował coś około 20 towarzystw robotniczych, stojących pod dozorem księży parafialnych. Z założonym przez Napieralskiego Związkiem Wzajemnej Pomocy nie prowadził ks. Stephan żadnej polemiki. „Poradnik” stał i upadł z ks. Stephanem (1904).

Po klęsce żorskiej stracił ks. dr Stephan mir polityczny u ks. kardynała Koppa i musiał wrócić do duszpasterstwa, by objąć rozległą parafię Pasewalk na Pomorzu (1905). W krótkim czasie wybudował tam dwa nowe kościoły w Strassburgu i w Torgelowie. Nie mogąc wskutek wspomnianej mowy opolskiej pracować na rodzinnym Śląsku, a mając też drogę zamkniętą do Koła Polskiego, stał się ks. Stephan apostołem polskich robotników w diasporze. Podczas wojny wydawał dla nich w Pasewalku polski tygodnik religijny, nie zapytawszy o zgodę komendy generalnej. Od sądu wojskowego uratowało go natychmiastowe przeniesienie do Marklisy na Dolnym Śląsku, gdzie pozostał proboszczem od 1915 do 1925. Na zapytanie, czyby nie chciał przejść do nowo tworzącej się diecezji katowickiej, dał swego czasu odpowiedź odmowną.

Mimo silnej już astmy sercowej zaczął ks. Stephan w Marklisie uprawiać z zdumiewającą płodnością nowy dział pracy literackiej; zanurzył się bowiem całkowicie w ulubionych od dawna studiach liturgicznych i stał się głównym przodownikiem ruchu liturgicznego w Niemczech, a pośrednio i w Polsce. Jego książki były nieraz i dla kapłanów rewelacyjne. Znane hasło Piusa X: *Omnia instaurare in Christo* — przejęte od św. Pawła (Eph. 1, 10), tłumaczył ks. Stephan na podstawie greckiego oryginału jako wcielenie i włączenie wszystkiego stworzenia w mistycznego Chrystusa przez liturgię. W tym sensie rozwinął pod naporem gruntownej a znakomicie zdyscyplinowanej wiedzy teologicznej w ostatnim 10-leciu swego pracowitego życia fenomenalną działalność wydawniczą, naukową i popularyzacyjną, która zniewala do głębokiego szacunku dla jego eradycji, otwartego i wnikliwego umysłu, mrówczej aż do samego końca pilności i żarliwego zapału dla świętej sprawy. Jego znakomite wydawnictwa liturgiczne o olbrzymich nieraz, bo milionowych nakładach sypały się jak z rogu obfitości tak, że byłby mógł nimi stale zatrudnić całą nowoczesną drukarnię własną. W Marklisie powstał osobny Verlag für Liturgik.

W roku 1926 zrezygnował wprawdzie ks. Stephan z probostwa w Marklisie i, odznaczony tytułem dziekana honorowego, osiadł jako emeryt w Pokoju (Karlsruhe) pod Opolem, lecz o spoczynku jeszcze nie myślał. Opublikował pierwszy tom kompletnego brewiarza po niemiecku, drugi wykończył w manuskrypcie, wydał podręcznik liturgiczny dla nauczycieli, zaczął wydawać dla kapłanów czasopismo *Liturgie und Leben* w nakładzie odrazu 20.000 egzemplarzy — i jeździł z wykładami po kongresach i zjazdach krajowych i zagra-

Następny rok 1897 upłynął na naradach porozumiewawczych i reorganizacyjnych. Wobec przykrych dla Centrum doświadczeń przy wyborach politycznych w okręgach bytomsko-tarnogórskim, opolskim, raciborskim, prudnickim i pszczyńskorybnickim odbyli śląscy posłowie centrowi dnia 4 maja 1897 w gmachu parlamentu w Berlinie poufną konferencję z zastępcami niemieckich i polskich gazet centrowych, aby na przyszłość uniknąć podobnych nieporozumień i niezgody. Poseł Letocha przewodniczył, a ks. Stanke z Hulczyna był sekretarzem. Uchwalono najprzód wnioski do najbliższego zebrania mężów zaufania w sprawie zmiany statutu organizacji wyborczej, zwłaszcza by komitety wyborcze w językowo mieszanych okręgach były utworzone, ile możliwości, podług liczebnego stosunku wyborców niemieckich i polskich wzgl. morawskich. Oprócz tego uchwalono pewne wytyczne dla gazet celem uniknięcia na przyszłość zbytniego zaostrenia polemiki. Gazety niemieckie miały nie występować przeciwko dążeniom Polaków i Morawian do zachowania języka ojczystego, a w szczególności do szkolnej nauki religii w języku ojczystym. Wyrażono jednak przekonanie, że zbyt silne akcentowanie stanowiska narodowego nawet w granicach konstytucji kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo dla życia religijnego i gospodarczego i psuje zgodne życie katolików polskich, niemieckich i morawskich. W końcu ustalono, że polemika przy ew. zwalczaniu pojedynczych osób, zwłaszcza księży i centrowych posłów, ma być ściśle rzeczowa.

Wskutek tego odbyły się wybory do parlamentu w r. 1898 spokojnie za wyjątkiem okręgu opolskiego, gdzie oficjalny

nicznych. Podczas serii wykładów liturgicznych we Wrocławiu zmarł nagle nad swym konceptem dnia 29 X 1926 w klasztorze Bonifratrów. Pochowany jest we Wrocławiu.

Spuścizna literacka po ks. Stanisławie Stephanie i cały nakład liturgiczny w Marklisie przeszły po jego śmierci na opactwo benedyktynów w Grüssau, O. Othmar Spöth O. S. B. poświęcił ks. Stephanowi w czasopiśmie *Cacilia, Zeitschrift für kath. Kirchenmusik* (Gliwice 1928, nr 5-6) p. t. *Erzpriester Dr. Stanislaus Stephan, Ein grosser Volksliturgiker* — dosyć obszerne wspomnienie, w którym wlicza bodaj wszystkie jego wydawnictwa liturgiczne.

Przy małym wzroście był ks. dr Stanisław Stephan osobistością bardzo wybitną. W iście katolickim zapale młodzieńczym tłumiony od razu przez rząd piuski, a w danej chwili nie zrozumiany i nie poparty przez odpowiedzialnych przywódców tubylczego ludu polskiego, musiał niezwykle bogatymi talentami swoimi obracać przeważnie poza Śląskiem i przekazał w końcu obfity dorobek swój do skarbcza kultury niemieckiej zamiast polskiej.

kandydat Wolny, który 1893 był jako ludowy kandydat świetnie zwyciężył barona v. Huene, teraz poniósł klęskę w konkurencji z niedoścignionym w popularności majorem Szmulą.

*

Pełny ufności nastrój ówczesny ilustruje wiersz ks. Skowrońskiego „Góra Chełmska”, ułożony z okazji zjazdu akademików górnośląskich, który się dnia 14 września 1897 r. odbył w Kędzierzynie:

Jak tve skały bazaltowc,
Góro Chełmska, nie zaginą —
Tak i prawa narodowc
Śląska nigdy nie przeminą.

Jak twa skała — zawsze trwała
Śląska młódz tu zgromadzona,
Zawsze harda, — mężna, twarda,
Walczyć będzie niezwalczona.

Górá narodowa sprawa!
Górá zmartwychwstania wiara!
Przyjaciolom trzykroć — sława!!!
Przeciwnikom trzykroć — wara!!!

Na pocztówce z widokiem Góry św. Anny posłano ten wiersz z Kędzierzyna majorowi Szmuli, posłowi i dzielnemu obrońcy ludu.

V. W OBRONIE NAUKI RELIGII W JĘZYKU POLSKIM

Odmowna odpowiedź ministra Bossego na zbiorową petycję duchowieństwa — diesen Gewissensaufschrei des Klerus — popchnęła ks. Skowrońskiego do czynu. Porozumiewszy się z Napieralskim, postanowił zorganizować samopomoc przez szerzenie elementarzy polskich. Na 11 listopada 1900 zwołano do Bytomia wiec, który, unikając naumyślnie wyrazu „narodowość”, stwierdził, że skoro rząd pruski nie chce uwzględnić przyrodzonych praw ludności polskiej, zebrani uważają za swój obowiązek, w interesie najwznioślejszych skarbów, religii i języka ojczystego, uczyć dzieci w domu czytania i pisania polskiego, obojętnych i mniej gorliwych nakłaniać do tego obowiązku i pracować nad tym, aby w każdej rodzinie polskiej na Śląsku znajdował się elementarz polski. Dla ułatwienia tej pracy wybrano komitet, który utworzył towarzystwo pod nazwą Tow. dla

szerzenia elementarzy polskich im. ks. Engla. Celem towarzystwa było „szerzenie elementarzy polskich na Śląsku, aby dopomagać do religijnego wychowania dzieci i przyczyniać się do zachowania języka ojczystego”. Każdy członek miał płacić 10 fenigów miesięcznie i starać się o to, żeby członkowie jego rodziny umieli czytać i pisać po polsku. Oprócz tego było jego powinnością szerzyć jak najwięcej elementarzy i dopilnować, by z nich należycie korzystano. Przewodniczącym obrano jednogłośnie ks. Skowrońskiego.

Ten Pfarrer Engel-Fibel-Verein był solą w oku rejencji opolskiej i wrocławskiej, które natychmiast prosiły ks. kardynała Koppa o zakazanie księżom wszelkiej współpracy i wprowadziły tym kurię wrocławską „in peinliche Verlegenheit”. Wobec tego złożył ks. Skowroński wprawdzie przewodnictwo, które objął jego brat dr Leopold w Bytomiu, lecz nie przestał usilnie popierać cele Towarzystwa, a dnia 31. III. 1902 prosił nawet ks. kardynała o uznanie, że członkowie tej organizacji — frei von Byzantinismus und Strebertum — prowadzą z energią i osobistymi ofiarami dzieło wybitnie charytatywne i zbożne. W odpowiedzi z dnia 23. V. 1902 oświadczył jednak ks. kardynał, iż ze względu na wynikające stąd kłopoty nie może pozwolić (güttheissen) na rozdzielanie polskich elementarzy przez kapłanów i wyraził nadzieję, iż się i ks. Skowroński od tego powstrzyma na przyszłość.

Rozpowszechnianie polskich elementarzy w związku z nauką religii nie pozwoliło zasnąć zainteresowaniu publicznemu dla arcyważnej kwestii, w jakim języku należy uczyć religii. Wobec postępów germanizacji trzeba było już nawet niektórych kapłanów przekonywać, że nauka religii w języku ojczystym jest postulatem prawa przyrodzonego i zdrowego rozsądku. Temat ten często wentylowano na konwentach duszpasterskich. Z takiej pracy konwentowej powstała w r. 1902 broszurka ks. Skowrońskiego: In welcher Sprache muss der Religionsunterricht erteilt werden? — którą autor skromnie charakteryzował jako „Blumenlese von kirchlichen Dekreten und Aussprüchen hervorragender Männer”. Ale w tym samym roku okazała się wcale nie powierzchowna replika pod tytułem „Warum erteilt ein Teil des oberschlesischen Klerus den Beicht- und Kommunionunterricht in deutscher Sprache? Eine Erwiderung auf die Schrift des Pfarrers Skowroński. Von Richard Rassek, Pfarrer

in Komornik, Kr. Neustadt OS. — Wywodami obu należy zapoznać się szczegółowo.

Ks. Skowroński zaczyna od stwierdzenia, że pruska racja stanu jest owiana pogańskim duchem filozofii Hegla. Walka kulturalna jest według powiedzenia Mallinkrotda z dnia 25. IV. 1874 walką wiary chrześcijańskiej z filozofią niechrześcijańską. Walka spowodowała chwalebne odrodzenie Kościoła katolickiego w Niemczech, lecz nie jest jeszcze skończoną; jest dopiero *aditus ad pacem*, cichaczem idzie walka dalej (*schleichender Kulturkampf*). Zgubną jej pozostałością są szkolne zarządzenia ministra Falcka, które wychodzą ze założenia, że nauka religii nie wypływa z urzędu duchownego, lecz należy do zadań państwa. Według Leona XIII należą dzieci do państwa tylko pośrednio przez rodzinę, a pierwsza troska o ich wychowanie należy do ojca rodziny, nie do państwa. Rodzice też decydują o języku, w jakim ma być udzielana ich dzieciom nauka religii. Państwo pruskie zarządza jednak mimo protestów polskich rodziców szkolną naukę religii w języku niemieckim a wywiera nacisk nawet na Kościół, aby służył germanizującemu bożkowi państwowemu, przekreślając siebie jako instytucję boską. Ponieważ Kościół na mocy swego boskiego elementu nie może nigdy pozwolić się poniżyć do roli *ancillae Agar* i wystugiwać się jednej narodowości, stara się państwo wykorzystać element ludzki w kościele i nakłonić poszczególnych kapłanów, aby germanizację popierali lub jej przynajmniej nie przeszkadzali. I zapomnieli niektórzy księża słowa św. Pawła: *fratres, non sumus ancillae filii, sed liberae* (Gal. IV, 31) i stali się służalcami germanizującego bożka państwowego. Wobec znacznej natarczywości inspektorów szkolnych i nauczycieli, z jaką starają się nakłonić dzieci polskie do zgłoszenia się na przygotowawczą naukę do spowiedzi w języku niemieckim, sama bierność proboszcza w tej sprawie zapewnia zwycięstwo pogańskim tendencjom rządu. Proboszcz jako *canis mutus* staje się zerem, a nauczyciel względnie rząd „*devorant plebem meam sicut escam panis*” (Ps. 13).

Po tym wstępie, który wywołał najwięcej sprzeciwu, wykazuje ks. Skowroński, że nauczania religii w języku ojczystym domaga się 1) Pismo św., 2) Kościół katolicki, 3) zdrowy rozsądek i niezarażona hakatyzmem pedagogika — i omawia

w końcu 4) stanowisko kapłana wobec takiej nauki. Ad 4) stwierdza najprzód, że trzeba pouczyć rodziców o zasadach Kościoła co do nauki religii w języku ojczystym i stanowczo zwalczać ich fałszywe w tym przedmiocie pojęcia i względy. Potem przestrzega przed pozostawieniem decyzji dzieciom, które przecież stoją pod silnym germanizatorskim wpływem nauczyciela; duszpasterz powinien prowadzić owieczki, a nie na odwrót. Następnie zwraca się do kapłanów samych z apelem, by w językowej kwestii nauki przygotowawczej do Sakramentów świętych nie kierowali się wygodą i nie zadowalali się mechanicznym powtarzaniem nauki szkolnej, lecz postępowali sumiennie, choćby z osobistym poświęceniem, według zasad Kościoła, t. j. uczyli w języku ojczystym⁴¹). W końcu porównuje autor germanizatorskie tendencje rządu pruskiego z usiłowaniem Antiocha, które wywołało bohaterski opór makabejczyków (I. Mach. 1, 43, 46; 2, 18, 19; 3, 43).

Nadchodziły gratulacje od różnych konfratrów. Ks. proboszcz Henryk Ring z Jedłownika wyraził przekonanie, że broszurka wybawi wielu jakby od zmory.

Na czoło całej rozprawy był ks. Skowroński jako motto postawił słowa św. Augustyna: *Disputare contra id, quod universa ecclesia sentit, insolentissimae infamiae est*. A jednak w tym samym roku wyszła drukiem, a to nawet w dwóch wydaniach, broszurka dla publicznego usprawiedliwienia tych kapłanów, którzy mimo przypomnianych przez ks. Skowrońskiego jasnych zasad Kościoła udzielali w polskich okolicach Górnego Śląska naukę przygotowawczą do Sakramentów św. przeważnie

⁴¹) Apelując do sumienia konfratrów, ks. Skowroński nie uwzględnił należycie ich osobistych trudności językowych, które z roku na rok rosły, a na Śląsku Opolskim wciąż rosły. Wszak kuria wrocławska była się w ciągu wieków całkiem zniemczyła, a ponieważ ponadto stała pod śledczym dozorem rządu pruskiego, który czasem był bardzo dokuczliwy, nie mógł książę-biskup uzupełniać zaniedbań pruskiej szkoły i mimo chronicznego braku t. zw. utrakwistów, słabo dokształcał swych kapłanów w języku polskim. Kiedy zaś Górnoślązacy samorzutnie łączyli się w kółka polskie, wietrzyły władze pruskie wszędzie „agitację wielkopolską” i nalegały na biskupa, by te kółka jako zbyteczne rozwiązał, co też z takim uzasadnieniem nastąpiło np. w listopadzie 1906 r. Były więc polskie trudności językowe przez długi czas nie tyle po stronie dziatwy, jak po stronie uczącego kapłana, który w takich warunkach uciekał się oczywiście do niemieckiego.

(vorzugsweise) w języku niemieckim. Autorem był ks. prob. Ryszard Rassek z Komornik w pow. prudnickim.

Na wstępie wytyka autor ks. Skowrońskiemu brak miłości braterskiej, później jeszcze uprzedzenie i brak obiektywności i zastrzega się przed zarzutem, że najemnikami państwa są ci kapłani na Górnym Śląsku, którzy w nauce przygotowawczej do sakramentów św. posługują się i wobec polskich dzieci języka niemieckiego. Nie odmawiając słuszności historycznym wywodom ks. Skowrońskiego, porównuje go jednak z Don Kiszotem i mniema, że kościelnej zasady o nauce religii w języku ojczystym nie należy tłumaczyć zbyt literalnie, bo litera zabija, a duch ożywia. Właściwym sensem tej zasady wydaje mu się być, że trzeba się zastosować do okoliczności oraz faktów dokonanych i posługiwać tym językiem, który prowadzi najszybciej do celu. Faktem zaś jest, że dziecię szkolne na Górnym Śląsku posiada z domu tylko bardzo skromny zasób pojęć i polskich wyrazów religijnych, skoro rodzice nawet przy najlepszej chęci nie mają czasu do jego wychowania gruntowniejszego. Za to pracuje szkoła rzeczywiście przez parę lat nad religijnym pouczeniem i wychowaniem dziecka, a czyni to — słusznie, czy niesłusznie, lecz faktycznie po niemiecku z pomijaniem języka ojczystego tak, że dziecko w 11 lub w 12 roku życia już przynosi na naukę przygotowawczą do spowiedzi znaczny zasób pojęć religijnych w nierozzerwalnym związku ze słowami niemieckimi. To stanowi, zdaniem ks. Rasska, na ogół lepszy i pewniejszy fundament dla kościelnej nauki religii, aniżeli zasób religijnych pojęć dziecka, związany z wyrazami polskimi. Autor podkreśla w dopisku do II wydania jeszcze raz, że w tym tkwi sedno sprawy i dodaje: *amicus mihi Plato, sed amicitior veritas*. Cała reszta obszernych wywodów ks. Rasska już nie jest istotna, że mianowicie 1) polska nauka religii poniża autorytet szkoły, 2) kapłan nie jest na to, by uczyć zaniedbanego języka, 3) trzeba brać wzgląd na przyszłość dziecka, które dostanie się może w okolice całkiem niemieckie.

Oparta o tradycję kościelną teza ks. Skowrońskiego, że kapłan w nauce musi językowo nawiązać do rodziny, choćby z ignorowaniem niezgodnej z nią szkoły, spotkała się publicznie z antytezą ks. Rasska, że kapłan powinien w nauce religii językowo nawiązywać do szkoły, choćby z ignorowaniem niezgodnej z nią rodziny. Ks. Skowroński podkreślał zasadę z pewnym

lekceważeniem okoliczności; ks. Rassek zaś w imię tych okoliczności znieważył zasadę i przejdzie do historii jako *laudator peccatorum* (Ps. 10, 3).

Kuria wrocławska urzędowo podtrzymywała zasadę nauki religii w języku ojczystym, lecz również oficjalnie zalecała uwzględniać stan faktyczny i tworzyć wszędzie także oddziały niemieckie. Rejencja zaś opolska, zwłaszcza tamtejsza sprężyna narodowo-niemiecka w osobie radcy dra Rudolfa Küstera⁴²⁾, czekała cierpliwie na żniwo germanizacji, jakie musiało bujnie wyrastać z tolerowanej metody ks. Rassa.

Tymczasem toczyła się, rozpoczęta przez ks. Skowrońskiego, publiczna dyskusja dalej aż do lat powojennych. Po stronie ks. Skowrońskiego, który w marcu 1904 r. ogłosił w „Dzienniku Śląskim” jeszcze serię artykułów na temat: Księża katolicy a dozór miejscowych szkół, oświadczyli się zaraz ks. Jan Kapica, ks. Jan Kudera, ks. Michał Przywara⁴³⁾, ks. Henryk Ring⁴⁴⁾, a przede wszystkim ks. Franciszek Ziegler, który, aczkolwiek sam Niemiec, przewidywał jednak lepiej od kurii wrocławskiej ogólny zanik pietyzmu i moralne zdziczenie jako nieunikniony rezultat germanizacji. To też wciąż na nowo podnosił jak prorok swój głos ostrzegawczy, że germanizacja demoralizuje lud, bo systematycznie podrywa ważną cnotę natural-

⁴²⁾ cfr. K. Kaisig, Rudolf Küster. — „Oberschlesien“, r. 17, str. 65-72. Na uwagę zasługuje ciekawy szczegół, że Küster był po kądzieli spokrewniony z Henrykiem Geffcken, profesorem prawa publicznego i autorem książki: „Preussen, Deutschland u. die Polen seit dem Untergang des polnischen Reichs.“ (Berlin 1906.)

⁴³⁾ cfr. (Ks. Józef Niedziela) Ś. p. Książd Michał Przywara — w jednodniówce „Ze Śląska Polskiego“, Opole 1917, str. 19—25. Papiery pośmiertne ks. Przywary są złożone w Śląskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Piłsudskiego w Katowicach; pomiędzy nimi znajduje się krytyczny rozbiór wywodów ks. Rassa pod niecisłym tytułem: Pogląd na wywody X. Sk(owrońskiego).

⁴⁴⁾ Ks. Henryk Ring, proboszcz w Jedłowniku pod Wodzisławiem, był synem nauczyciela i najwyraźniej za szkołą polską. „Wenn doch auch einer ersten und dartin wollte, dass auch in dem profanen Unterricht in einer fremden Sprache Verstand und Charakter des Kindes leidet, dass das Kind in den acht Jahren nicht soviel Deutsch lernt, wie nach dem alten System in einem Jahre. Nach dem alten System unterrichteten die Lehrer 5—6 Jahre ausschliesslich polnisch, das eine letzte Jahr deutsch, wie mein seliger Vater. Die Kinder lernten gern deutsch, und lernten in einem Jahre mehr, wie jetzt in acht Jahren. Aber dass Gott erbarm, wie jetzt mit den Kindern aufgespielt wird!“ — Tak pisał 31 XI 1902 r. do ks. Skowrońskiego, dziękując mu za broszurkę o nauce religii w języku ojczystym.

nego pietyzmu; on też w końcu zaczął popularyzować modlitwę Mardocheusza jako środek przeciwko germanizacji⁴⁵).

*

Kiedy w r. 1906 szerzył się w Poznańskim strajk dzieci szkolnych, a równocześnie ks. arcybiskup Florian Stablewski orędziem z 14 października udowadniał konieczność nauki religii w języku ojczystym i zaznaczał, że w danych warunkach nie pozostaje nic innego, jak uzupełniać szkolną naukę religii nauką religii w domu i w kościele, — wściekały się sfery pruskie, lecz w społeczeństwie polskim zabłyśła, złudna niestety, nadzieja, że za odważnym przykładem arcybiskupa Stablewskiego pójdą biskupi wrocławski i pelpliński i solidarnością swoją doprowadzą kościelną zasadę nauki religii w języku ojczystym do zwycięstwa. Dla uchwalenia odpowiedniej petycji do ks. kardynała Koppa miał się w Katowicach odbyć dnia 6 listopada 1906 wielki wiec, zwołany przez 10 księży, na którym główny referat miał wygłosić ks. Skowroński. Wprawdzie ks. kardynał Kopp zakazał wiec z obawy przed rozszerzeniem się strajku szkolnego na Górny Śląsk, lecz pozostał rękopis przygotowanej mowy ks. Skowrońskiego.

Nie ma tam ani wzmianki o strajku szkolnym; nie ma też apelu do uczucia lub namiętności, „gdyż wiem, że łzawy żal serca wasze ściska, gdy tylko o szkole i męce duchowej waszych dzieci wspomnicie”. Mówca chciał tylko wskazać na prawną, naukową i moralną podstawę zamierzonej petycji, by wykazać, „że nie żebrzemy o jakąś łaskę ze strony rządu pruskiego, lecz żądamy stanowczo tego, co nam się słusznie należy”. Następują dowodzenia z prawa przyrodzonego, zwłaszcza familijnego, z prawa kościelnego, a w końcu i państwowego (traktatów, przyrzeczeń królewskich i konstytucji).

Na przewrotny zarzut „Schles. Ztg.” (z dnia 27. X. 1906), że katolicka nauka religii w niemieckim języku jest przecież zawsze katolicką nauką religii, odpowiada ks. Skowroński świętym argumentem ad hominem, wykorzystując dowcipnie świeżą wtedy sensację pseudokapitana z Koepenick: „Z niemiecką nauką religii dla polskich dzieci ma się akurat tak, jak z działalnością fałszywego kapitana w miejskiej kasie koepenickiej. Ten opryszek był ubrany w czapkę, mundur i szablę kapitana;

⁴⁵) cfr. RTPN IV, 250—254.

żołnierze ślepo go słuchali jako kapitana, nawet policja i burmistrz uważali go za kapitana — a jednak nim nie był, tylko prostym oszustem. A dlaczego? Bo nie posiadał królewskiego patentu na oficera. Podobnie nauka religii w niemieckim języku dla polskich dzieci ma wszelkie pozory prawdziwej nauki katolickiej, w rzeczywistości zaś nią nie jest, bo brak jej patentu czyli uznania przez Kościół katolicki, który jedynie jest kompetentny w sprawach religijnych. Jak fałszywy kapitan pod pozorem obrony sprawiedliwości okradł kasą miejską, tak fałszywy sposób udzielania religii w języku obcym, zamiast pogłębiać w dziełkach religijność i moralność, przyczynia się do upadku tychże skarbów. Fałszywego kapitana przez aresztowanie uczynili nieszkodliwym dla społeczeństwa; spodziewajmy się, że ten sam los zasłużony spotka pseudonaukę religii w obcym języku, którą cały świat cywilizowany uważa za szkodliwą i pożądania godną."

Uzasadniając dalej petycję w imię zdrowej pedagogiki, cytuje ks. Skowroński obok znanej tezy ks. Bogedaina, że język ojczysty powinien być w szkole tchnieniem, wszystko ożywiającym, miazdzące słowa, jakie o pruskim systemie szkolnym wypowiedział na zjeździe katolików w Moguncji ks. kanonik Knecht: „Gdyby stosunki nasze nie były w zupełności zdeprawowane, wszyscy pedagodzy niemieccy, wszyscy, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie o wychowaniu i o rzeczach szkolnych, czy oni są radykalnymi czy konserwatywnymi, wszyscy musieliby głośno protestować przeciw próbie niebezpiecznej, którą się robi przez naukę religii dla dzieci w języku, który nie jest ich językiem ojczystym. To jest zbrodnią niestychaną przeciw pedagogice i niestychanym szaleństwem."

Załatwiając się w końcu z hakatystyczną wymówką, że rząd teraz żadnych ustępstw w dziedzinie szkolnej czynić nie może, gdyż oznaczałoby to kapitulację przed agitacją wielkopolską, powtarza ks. Skowroński, że t. zw. agitacja wielkopolska jest tylko zupełnie uprawnioną obroną ludu przed eksterminacyjną polityką rządu względem Polaków, i przypomina restrykt pruskiego ministerstwa Altenstein-Hardenberg z r. 1822: Religia i język są to najwyższe świętości narodu. Władza, która „pozwała sobie zaczepiać te świętości, rozgorycza i znikczemnia naród i tworzy sobie niewiernych i złych poddanych". Tę samą

myśl rozwija dalej niemiecki filozof Maks Nordau, gdy pisze: „Zgwałcony naród staje się wrogiem śmiertelnym swego prześladowcy, gryzie z wściekłością rękę, która go krępuje i krzyczy o pomoc, że nie wolno mu mówić — a stara się ze siłą rozpaczy rozwalić budowę państwową, która mu nie jest przytułkiem, lecz nieludzkim więzieniem. Walka o mowę jest inną formą walki o życie. Narodowi, któremu chcą zabrać język ojczysty, przysługuje prawo samoobrony.”

Po drugiej stronie zabierał najczęściej głos sam ks. Rassek, od 1908 r. proboszcz Tarnowskich Gór. Wtórowali mu czasem były nauczyciel ks. prob. Feja z Kleszczowa (Kleuschnitz) pod Niemodlinem, który miał parafię od dawna całkiem ziemczoną, i ks. Jaschik. Razi u nich wszystkich zupełny brak zrozumienia dla cnoty pietyzmu, dziwnie tolerowany przez kurję wrocławską.

Pamiętać trzeba, iż wtedy były namiętności narodowe najbardziej rozpalone. Na mocy kagańcowego § 12 niemieckiej ustawy o stowarzyszeniach z 8. IV. 1908 r. odmówiły władze 1909 r. przemówień polskich nawet na zjeździe katolików Rzeszy Niemieckiej we Wrocławiu. W rezolucji o szkole wyznaniowej podkreślił jednak ten wielki wiec: „Es muss auf das Entschiedenste verlangt werden, dass in der Volksschule die Erteilung des Religionsunterrichts in der Muttersprache zu geschehen hat. Anderfalls ist der Erfolg dieses Unterrichts in Frage gestellt, was sowohl im Interesse der Religion und Sittlichkeit, wie der Heranbildung treuer Mitglieder der Kirche und guter Staatsbürger tief zu bedauern ist.”

Ks. Rassek starał się tę rezolucję doprowadzić do absurdu przez wskazanie na konsekwencję, że język ojczysty trzeba by reklamować dla nauki całej, jeżeli ma w ogóle mieć sens w nauce religii, bo religia stawia wymagania maksymalne a nie minimalne. Lecz zamiast osłabić rezolucję wieca wrocławskiego, sprowokował redakcję tak poważnego pisma jak *Historisch-politische Blätter* do wyciągnięcia właśnie ostatniej konsekwencji i żądania dla Polaków w Niemczech polskiej szkoły w ogóle. W artykule „Glaube und Nationalität” (Schl. Volksztg. 1911, nr 251) nazwał niepoprawny ks. Rassek „eine rein agitatorische Kraftleistung” tezę, że germanizacja demoralizuje, na co mu otwartym listem cięcie odpowiedział ks. Ziegler jeszcze

raz, że język ojczysty w szkole jest postulatem zdrowego rozumu i naturalną podstawą wszelkiego wychowania.

Z niezwykłą siłą wznowiła się zasadnicza dyskusja na ten temat w krytycznym roku 1912, który przyniósł politykom polskim tyle rozczarowania⁴⁶⁾. Nikt z polskiej strony nie prowadził statystyki udziału dziatwy w polskiej czy niemieckiej nauce przygotowawczej do sakramentów św., chociaż dr. Piotr Hylla z Katowic był publicznie do tego zachęcał⁴⁷⁾, biorąc za punkt wyjścia obliczanie ks. dra Stephana w znanej książce o procesie bytomskim na str. 211 do 213. Nie ulegało jednak wątpliwości, że maleje frekwencja w oddziałach polskich. Pewien kapłan (ks. Jan Kudera) winił przeważnie księży: „Rodzice, szkoły, stosunki też mogą być winne, ale jednak dopiero w drugim i trzecim rzędzie. Najwięcej grzeszą księża (*ceteri peccaverunt in tenebris, ego autem in luce*), bo oni świadomie sprzeciwiają się przepisom Boga i Kościoła i wszelkim zasadom zdrowego rozsądku⁴⁸⁾. Gdy ks. Kapica zaprotestował i trzeźwo zaczął analizować stosunki⁴⁹⁾, zarzucił mu ten sam autor, iż niepotrzebnie zadawa przez to sprawie polskiej ciosy, aż się człowiekowi serce ściska. Ksiądz Kapica przyznał bowiem, że logiczna argumentacja ks. Rasska jest ostra jak nóż i rozwiązała wątpliwości całemu szeregowi kapłanów i wielu rodzicom; lecz dodał, iż u przeważnej części duchowieństwa i rodziców nóż ten jednak nie zdoła poprzecinać niezliczone węzły delikatne, któremi natura ludzka się trzyma miłości do własnego języka ojczystego i petyzmu. Wszak takie decyzje robi się nie rozumem, lecz sercem⁵⁰⁾.

Kiedy ks. Rassek w swej odpowiedzi okazywał szacunek dla ciepłego serca wielkiego miłośnika ludu, odezwał się w „Neisser Ztg.” (1912, nr. 277 i 278) były nauczyciel ludowy ks. Feja, który się sprawą interesował tylko teoretycznie, bo miał parafię już dawno zniemczoną: weg mit aller Gefühlsmeierei! Skoro nawet polska prasa regularnie przyznawa, że dziatwa polska coraz widoczniej traci kontakt z polskością, skoro księża

⁴⁶⁾ cfr. RTPN. II, 49—54.

⁴⁷⁾ „Głos Śląski“ 1906, nr 41.

⁴⁸⁾ „Dziennik Śląski“ 1912, nr 253.

⁴⁹⁾ cfr. RTPN. III, 52.

⁵⁰⁾ „Schles. Volksztg.“ 1912, nr 556.

przy polskiej nauce religii coraz częściej uciekać się muszą do tłumaczeń niemieckich, to chyba jasnym jest, zdaniem ks. Feji, że kościelna nauka przygotowawcza powinna się już odbywać z reguły po niemiecku. Przecież decyduje siła poznawcza dziecka, za którą idzie wola; uczucie zaś stanowi najsłabszy fundament dla życia religijnego i powinno być zignorowane. Na wstępie i na końcu swego artykułu zastrzega się ks. Feja przeciwko „piekielnej teorii” polskiej prasy i niektórych kapłanów, którzy grożą zaraz wiecznym potępieniem tym rodzicom i księżom, co się za niemiecką nauką religii oświadczają. Prasie, zdaniem jego, w ogóle nic do tego, bo nauka religii nie jest sprawą polskonarodową, lecz religijną i kwestią psychologiczno-pedagogiczną.

W następnym roku 1913 zabrał głos jeszcze raz ks. Rassek, już nie w dyskusji, która była wyczerpana, lecz wyraźnie jako apolegeta germanizacji na łamach rocznika „Ostland, Jahrbuch für ostdeutsche Interessen” artykułem „Schule und Kirche im Sprachenkampfe der Ostmark”. Sam tytuł zdradza upośledzenie Kościoła i odwrócenie dawnego porządku rzeczy, w którym szkoła była *appendix exercitii religionis*, a tu zaraz pierwszym zdaniem katolickiego kapłana jest scharakteryzowana bez zastrzeżeń jako *politicum*. Dziwiono się, że cenzura kościelna nie reaguje na wywody ks. Rasska. Wiadomym było tylko prywatne powiedzenie ks. kardynała Koppa, iż nie wierzy, by się znalazło na Górnym Śląsku trzech kapłanów, coby podzielali zdanie ks. Rasska.

Ks. kardynał-dyplomata, który kilkakrotnie był wyraził swe ubolewanie, że kler diecezjalny tak mało umie czytać pomiędzy rządkami, był więc aż do śmierci (umarł 4 marca 1914) przekonany, iż duchowieństwo pozostało całkiem odporne wobec zakusów germanizacyjnych. Gdyby był pożył o dwa tygodnie dłużej, byłby się o czymś innym przekonał. Bo dnia 15 marca 1914 miało miejsce obrzydliwe zajście w kościele św. Pawła w Moabit pod Berlinem. Czterdziestka dzieci polskich, przygotowana przez osoby prywatne i wyegzaminowana przez kapłanów, miała wraz z rodzicami o godzinie, uzgodnionej z rządcą kościoła, przystąpić po mszy do pierwszej komunii św. Lecz zamiast podać wiernym Chleb Żywota, wypędzono około 2000 Polaków z kościoła za pomocą policji. Gdy potem jeszcze próbowano zwalić winę na lud polski, stawiał ks. Skowroński jako ksiądz XYZ prasie centrowej publicznie dwa pytania, zacyto-

wawszy najprzód znane ustępy z ewangelii św. Łukasza 19, 45 i św. Marka 10, 14. „Przedstawmy sobie w duchu, że w owej krytycznej chwili, gdy z jednej strony stali na stopniach ołtarza księża niemieccy i policjanci, uzbrojeni w pałasze i rewolwery, a z drugiej strony płacząca dziatwa polska, pragnąca Jezusa utajonego w Przenajświętszym Sakramencie — że więc w tej chwili byłby się Jezus we widzialnej postaci ukazał w kościele św. Pawła. Teraz się pytam: Kogo byłby Jezus w świętym gniewie powrozami ze świątyni wychłostał — a kogo byłby miłosiernie przytulił do swego Boskiego Serca?”⁵¹⁾

Wybuch wojny i jej przebieg trzymały uwagę publiczną na frontach. Skoro jednak nie zmieniało się nic w polityce germanizacyjnej, podjęło założone pod jesień 1917 r. Tow. Oświaty im. św. Jacka z ks. Skowrońskim na czele, zaniechany od kilku lat temat na nowo i wydało, w odpowiedzi na sofistyczne wywody ks. Rasska i ks. Feji, z początkiem roku 1919 broszurę „Das Recht auf die Muttersprache im Lichte des Christentums. Eine zeitgemässe Erörterung mit besonderer Berücksichtigung der Verhältnisse in Oberschlesien”. Broszura wyszła pod pseudonimem Makkabaeus. Inicjatorem był ks. dr Szramek, który zebrał materiał i podał ogólną dyspozycję; szczegóły opracował ks. Józef Czempiel, podówczas administrator w Miedznej, a ks. Skowroński zrewidował gotowy manuskrypt, na kilku miejscach go uzupełniając.

Zainteresowanie broszurą było powszechne. Nietylko ks. Zieglerowi była „ze serca napisana”. Rodzony berlińczyk ks. Otto Peukert, proboszcz w Międzyborzu (Neumittelwalde) pod Sycowem, który z mozołem dopiero na miejscu był się nauczył po polsku, zapewniał z własnego doświadczenia: „Das ist ganz sicher: der germanisierte Pole gibt immer ein grosses Stück seines katholischen Seins und Denkens hin”. Dlatego sądził, że żaden kapłan katolicki o nieskażonym idealizmie i wierny obowiązki, choćby był całkowicie niemieckiego usposobienia, nie przyłoży ręki, by pomóc germanizować bodaj jedno dziecko polskie. „Tut er es dennoch, so fehlt ihm entweder die nötige intellektuelle Fähigkeit, die Sachlage richtig zu beurteilen — oder aber es sind nicht ideale Motive, die ihn treiben.” Ważne zastrzeżenie zrobił ks. Maks Hahnel z Schönwalde pod Fran-

⁵¹⁾ „Gaz. Opolska“ 1914, nr 47.

kenstein, kiedyś proboszcz w Pstrążnie, który wyraził ubolewanie, że niestety ludowi po wielkiej części już nie zależy wcale na języku ojczystym (cfr. RTPN IV, str. 38); a gdy ktoś jest całkowicie zniemczony, nie może mu kapłan narzucać pozbytego języka ojczystego. Język ojczysty wszak nie jest potrzebny do zbawienia!

Nieznany recenzent w „Schles. Volksztg.” (1919, nr 283) podzielał zdanie wrocławskiego moralisty ks. prof. Renza, że obrona dóbr narodowych jest wprawdzie prawem, lecz nie nakazem natury, a tym mniej pozytywnym przykazaniem chrześcijańskim, wskutek czego rezygnowanie z tych dóbr nie jest niemoralne a stać się może nawet obowiązkiem. Zresztą uważał recenzent całą broszurę za polską próbę zamieszania pojęć, a jako rzekomą herezję piętnował jej myśl zasadniczą, że narodowość ma pierwszeństwo przed przynależnością państwową. Jest to filozofia o państwie specyficznie niemiecka, która uważa narody za surowe tworzywo, a dopiero państwa za twory o wysokiej wartości.

Tym czasem był socjalistyczny rząd w Berlinie z d. 31 grudnia 1918 wydał reskrypt, że po polsku mówiąca dziatwa w kraju ma całą naukę religii pobierać w języku polskim. Książe-biskup wrocławski podał to zarządzenie do wiadomości kleru i dodał: „Ich begleite diese Neu-Ordnung mit dem herzlichen Wunsch, dass sie zur Vertiefung der religiösen Bildung und Erziehung in Kirche, Schule und Haus segensreich beitrage, und mit der Bitte an den hochwürdigen Pfarrklerus, zu der dem Bedürfnisse der Gemeinden entsprechenden segensreichen und friedlichen Durchführung dieser neuen Ordnung nach bestem Können mitwirken zu wollen. *Salus animarum suprema lex esto!*” W praktyce jednak rozbiła się sprawa raz o brak nauczycieli z językiem polskim, a po wtóre o niechęć i opór ich, skoro byli już zanadto utwierdzeni w systemie germanizacyjnym i w poglądowym sposobie nauczania bez pomocy języka ojczystego. Zresztą rejencja opolska ten opór cichaczem podsyciała. Kiedy pewien kapłan w „Schles. Volksztg.” (19. XII. 1917) publicznie wskazywał na zgubne owoce germanizacji (Die Germanisierung in Oberschlesien und ihre Früchte), słusznie wymienił na pierwszym miejscu rozłam pomiędzy Kościołem a szkołą i fakt, że księża i nauczyciele są sobie obcy i już się nie rozumieją wzajemnie.

Bardzo boleśnie doświadczył tego właśnie ks. Skowroński jako proboszcz. Kiedy bowiem w marcu 1920 z ambony wezwał rodziców, by na podstawie zarządzenia ministerialnego i biskupiego domagali się zaprowadzenia w nowym roku szkolnym polskiej nauki religii dla swych dzieci, rzucali nauczyciele odnośne petycje rodziców do kosza, a miejscowy kierownik szkoły, który był — nota bene — zarazem organistą, w inspirowanym przez siebie artykule w „Neustädter Ztg.” (1920, nr 75) nazwał zachętę ks. Skowrońskiego nadużywaniem ambony i zwołał dla tej sprawy na Boże Ciało wiec publiczny w Ligocie, na który nawet z daleka przybyli niemieccy agitatorzy plebiscytowi. Ks. Skowroński wprawdzie opanował wiec, lecz nie mógł przeszkodzić powodzi artykułów na ten temat. Najfatalniejszym okazał się misternie ufryzowany, zdaniem ks. Skowrońskiego przez miejscowego organistę i kierownika szkoły Goy'a i kolegów jego wystylizowany a przez obcego całkiem sekretarza partii centrowej w Głogówku Jana Trinschek tylko podpisany list otwarty do ks. Skowrońskiego, jaki się ukazał najprzód w „Neustädter Ztg.” (1920, nr 135), a potem także w „Schles. Volksztg.” (1920, nr 287). Artykuł nie przedstawiał przebiegu zebrania, nie wspominał też o urzędowym ogłoszeniu z ambony w związku z rozporządzeniem księcia-biskupa, a tylko niby zasadniczo zarzucał ks. Skowrońskiemu, że, uszczuplając a nawet gwałcąc prawo rodziców, sam jako ojciec duchowny chce decydować, w jakim języku mają dzieci pobierać naukę religii w szkole, a to nie z pobudek kościelnych, lecz plebiscytowych.

Ks. Skowroński pozostawił niestety ten list otwarty bez odpowiedzi. Musiał to odpokutować przewlekłą i obszerną a dla obu stron nader przykrą korespondencją z wybitnym i pobożnym literatem z zakonu redemptorystów o. drem Röslerem w Grüneiche pod Wrocławiem, który, ogłaszając w „Theologisch Praktische Quartalschrift” (Linz, 1920, nr 4), artykuł „Seelsorge und Nationalismus”, zacytował ów list otwarty jako „ein beschämendes zeitgeschichtliches Dokument dafür, was der nationale Fanatismus aus dem Seelsorger macht”. Na szczęście nie wymienił ks. Skowrońskiego i przeto mimo nalegań tegoż nie poczuwał się do obowiązku publicznego odwołania, a proponował tylko apelację do trybunału duchownego, albo kontrowersję literacką na łamach „Linzer Quartalschrift”. Obie

alternatywy odrzucił ks. Skowroński, cytując co do pierwszej słowa św. Pawła: *mihi pro minimo est, ut a vobis iudicer aut ab humano die* (1. Cor. 4, 3), drugą jako, zdaniem jego, bezcelową. Sednem tej listownej a na wysokim poziomie utrzymanej kontrowersji było pytanie, kto decyduje o tym, który język jest ojczystym; ks. Skowroński twierdził, że kapłan, odpowiedzialny także za rodziców, — o. Rösler przyjmował, że tylko rodzice. Ostatnie słowo ks. Skowrońskiego było: „ich überlasse Sie Gott und Ihrem Gewissen!” Praktyka kościelna zaś — bodaj nie tylko we wrocławskiej diecezji — była zawsze taka, że, podkreślając zasadę nauki religii w języku ojczystym, pozostawiano konkretną decyzję rodzicom.

Po zmianie suwerenności na wschodniej części Śląska Górnego trwała na pozostałych przy Prusiech resztówkach dzielnic etnograficznie polskich, a zwłaszcza na Śląsku Opolskim, mimo przyznania w konwencji genewskiej (1922) polskim rodzicom prawa do szkoły mniejszościowej jako *jus ad rem* — dalej rozterka pomiędzy polskimi rodzinami z jednej a szkołą niemiecką z drugiej strony. Gdyby Górnoszlązacy mieli takie prawo od roku 1872, szkoły polskie istniałyby wszędzie; ponieważ że otrzymali dopiero po pięćdziesięciu latach głodowania narodowego przy konsekwentnej germanizacji, mało z niego korzystają, jako ludzie wycieńczeni, którzy już wcale nie sięgają po ofiarowany im pokarm. Tylko kilku księży starało się uratować choć naukę religii w języku polskim, albo przynajmniej przygotowawczą naukę do sakramentów św. „O naukę religii w języku ojczystym” upominał się w r. 1931 sędziwy ks. Karol Koziołek z Grabiny, „Ważność nauki religii w języku ojczystym” podkreślał w r. 1932 jeszcze raz ks. prob. Jan Melc z Starego Koźła na walnym zebraniu Polskiego Katolickiego Tow. Szkoln. na Śląsk Opolski. Równocześnie zabrał się z inicjatywy instytutu für Auslandkunde w Monasterze gruntownie do tematu ks. dr Teodor Grentrup S. V. D. w obszernej pracy „Religion und Muttersprache”, która teoretyczną dyskusję bodaj zamyka⁵²⁾.

W praktyce był rozwój taki, iż na Śląsku Opolskim, na terenie, gdzie przy plebiscycie dnia 20 marca 1921 było głosów 269.755 za Polską, z różnych powodów mało i coraz mniej rodziców zgłaszało i zgłasza dzieci do polskiej szkoły lub choćby na

⁵²⁾ cfr. RTPN. IV, 281.

polską naukę przygotowawczą do sakramentów św.; gdy równocześnie we województwie śląskim były masowe zgłoszenia nawet polskich dzieci do niemieckich szkół mniejszościowych. Polskie władze szkolne unieważniły 1926 r. takich wniosków 7069 i spowodowały skargę organizacji niemieckich przed Ligą Narodów. Dla rozstrzygnięcia zasadniczej kwestii, które dziecko jest mniejszościowe, Liga Narodów zarządziła 12. III. 1927 r. egzamina przed neutralnym ekspertem i wydelegowała na Śląsk inspektora szkolnego z Genewy Waltera Maurera. Na podstawie egzaminów Maurera pozostało spośród zakwestionowanych 7069 dzieci 4933 ostatecznie w szkole polskiej, lecz wskutek nowego protestu Niemców dostał się cały zatarg przed Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze, celem ostatecznego rozstrzygnięcia interpretacyjnego. Wyrok tego Trybunału z 27 kwietnia 1928 r. orzekł, że prawo uczęszczania do szkoły mniejszościowej daje obiektywny fakt przynależności do mniejszości, ale ten obiektywny fakt ma być stwierdzony wyłącznie przez odpowiednią deklarację rodziców, której władze nie mają prawa kwestionować ani sprawdzać.

VI. WIDMO AGITACJI WIELKOPOLSKIEJ

W fizyce istnieje prawo, według którego płyn w naczyniach połączonych dąży zawsze do równego w obu naczyniach poziomu. Agitacja wielkopolska na Śląsku była objawem tego samego prawa w polityce, przy czym rząd pruski przeciwdziałał równoczesnym przelewem na Śląsk tendencji niemieckich. — Już w 1848 r. zdawało się niektórym, że „lud górnośląski przychodzi do siebie, jak gdyby z długiego przebudzony letargu” i poznaje, „że punkt ciężkości dla niego nie we Frankfurcie i Berlinach, nie w żadnym poczuciu niemieckim, lecz w Polsce i usiłowaniach zgębnionego narodu naszego”. — Lecz jedna jaskółka nie stanowi jeszcze o wiosnie⁵³).

Wiosna nastąpiła tu naprawdę dopiero po walce kulturalnej wbrew intencjom Bismarcka, który wszak w porywie szczerości zdradził, iż tę walkę zaczął tylko ze względu na jej silny przysmak antypolski. Widząc się w nadziejach zawiedzionym i czując teraz, iż „bezprawie jego spada na ciemność jego” (ps.

⁵³) cfr. RTPN. II, 23—26.

7, 17), zaczął Bismarck straszyć opinię niemiecką niebezpieczeństwem polskim, a to zanim wyszła broszura Z. Miłkowskiego o obronie czynnej i o skarbie narodowym (Paryż 1887) i w ogóle przed założeniem (1886) tajnej Ligi Narodowej w Warszawie. O agitacji wielkopolskiej zaczął Bismarck mówić w 1884 r., gdy akurat Stefan Rogoziński naukową prowadził ekspedycję do gór Kamerunu. Wtedy była agitacja wielkopolska jeszcze czczym urojeniem, lecz z czasem stała się doprawdy rzeczywistością o wielkiej dynamice. W dziwny sposób spełniły się tu w polityce pruskiej słowa Goethego: „Die Geister, die ich rief, die werd' ich nun nicht los!”

Z wielkim oburzeniem zastrzegali się w roku 1884 posłowie Zaruba i ks. dr Stablewski przed zarzutem rządu, iż uprawia się na Śląsku agitację wielkopolską. Oburzenie ich było szczerze i obiektywnie uzasadnione. Albowiem „grosspolnische Agitation” było wtedy *parole convenue*, by zbuntować ludność niemiecką przeciwko najśluszniejszym i najskromniejszym żądaniom ludności polskiej, było inwencją polityczną *ad usum* księcia Bismarcka, było chorągiewką czerwoną, którą torreadorzy niemieccy szczuli rozjuszonych byków opinii publicznej na Polaków.

Gdy jednak w roku 1889 zaczęły wychodzić znakomicie redagowane przez Wielkopolanina Jana Karola Maćkowskiego „Nowiny Raciborskie” i okazały się poważnym czynnikiem politycznym, niezależnym od wszechwładnej dotąd partii centrowej, gdy równocześnie (1889) objął redakcję opartego o chwalebłą z walki kulturalnej tradycję centrową „Katolika” po ks. Radziejewskim znowu Wielkopolanin Adam Napieralski, żurnalista i polityczny gracz doskonały, a rok później założył również Wielkopolanin pełen idealizmu Bronisław Koraszewski „Gazetę Opolską”, także niezależną od Centrum, przypomniał sobie ks. Kasper Wrzodek w Opolu, że w 1863 r. zagadnął go w zakrystii jakiś nieznamy polski pan: połączcie się z nami! — i że pod koniec lat 70-tych ówczesny redaktor „Kurieria Poznańskiego” ks. Kantecki zwrócił się do niego jako do kolegę z Tow. Literacko-Słowiańskiego we Wrocławiu o opinię, czy wysłanie agitatorów politycznych z Poznańskiego na Górny Śląsk byłoby wskazane w tym celu, by lud tutejszy odbić od Centrum a pozyskać dla Koła Polskiego. Zaczęto więc i w centrowych szeregach mówić o „grosspolnische Gefahr”, który to

frazes nabrał z czasem wielkiego politycznego znaczenia, zwłaszcza, że przebąkiwano już coś o polskim skarbie narodowym, który popiera i na Śląsku prasę polską. Aby po polsku oddać, o co chodziło, trzeba użyć dwóch wyrażen, raz „wielkopolski” na oznaczenie przyływu Poznańczyków i ich idei na Górny Śląsk, a potem „wszechpolski” na podkreślenie działalności Ligi Narodowej, wcale wtedy jeszcze nie rozpoczętej na terenie Prus, ale już uchwytej w Kongresówce.

Chociaż Wielkopolska była tak samo pruską prowincją jak Śląsk, uważano ją tu poniekąd za zagranicę. Nie było pomiędzy prowincjami bariery celnej, a chciano postawić barierę ducha. Albowiem o Polakach z Poznańskiego wiadano, że są według wyrażenia się Bismarcka „Untertanen auf Kündigung”, gdy tymczasem na Śląsku, który nie z Polski, lecz z Austrii był przeszedł pod berło pruskie, a który podczas „wiosny ludów” za biskupa miał b. oficera pruskiego Diepenbrocka, panowało usposobienie prawdziwie poddańcze, z którego się nawet chlubiło jako z „stramm preussischer Gesinnung”. Ostatecznie streszczała się różnica poglądów w tym, że w prowincji poznańskiej większość obywateli uważała rządy pruskie za uzurpatorskie i tymczasowe, w śląskiej zaś prowincji dominowało przekonanie, iż te rządy są legalne. Stąd wynikało różne pojmowanie w sumieniu obowiązków obywatelskich.

Jak bardzo zależało rządowi pruskiemu na ideowym rozgraniczeniu Polaków śląskich od Polaków poznańskich, ilustruje fakt, że nawet SS. Służebniczki Maryi — jak wiadomo, założyły tę kongregację ziemianin wielkopolski Bojanowski — musiały swe domy na Śląsku oddzielić (1897) od domów w Wielkopolsce i zorganizować w Prusiech dwie prowincje zakonne z osobnymi domami macierzystymi w Porębie pod Górą św. Anny i w Pleszewie.

Okoliczność, że widmo „grosspolnische Gefahr” zjawiło się na Śląsku właśnie podczas ugodowej ery następcy Bismarcka Capriviego (1890—94), mocno zaniepokoiło Niemców i zmuszało redaktorów polskich do wielkiej ostrożności. Albowiem rozchodziło się nie tylko o sprawę taktyczną, lecz o poważny problem moralny i polityczny, wynikający z kolizji świadomych obowiązków narodowych z obowiązkiem lojalności względem państwa pruskiego. Mówiono później o dwóch ideologiach, które

się zderzyły⁵⁴). Jedna była polska i miała za punkt wyjścia naród, druga była niemiecka a raczej pruska, założona na państwie. Obie były konserwatywne, lecz nie na tej samej płaszczyźnie i nie w tym samym znaczeniu. Polska skłaniała się do tradycjonalizmu po myśli Goethego: was du ererbt von deinen Vätern hast, erwirb es, um es zu besitzen; pruska była zachowawcza w znaczeniu oportunistycznym: *tene, quod habes*. W konserwatyźmie narodowym Polaków leżała tendencja obronna wobec państwa pruskiego, a z państwowego konserwatyźmu Prus wynikała zaczepność wobec narodu polskiego, która się zamieniła nawet w zachłanność. Instrumentem politycznym tych ideologii było po jednej stronie Koło polskie, po drugiej stronie rząd pruski i niemiecki oraz niemieckie partie zachowawcze z Centrum na czele.

Śląsk do „zaboru” pruskiego historycznie nie należał. Kiedy więc nawet przywódca centrowców śląskich hr. Ballestrem zaczął mówić o wielkopolskiej agitacji na Śląsku, ukazały się w „Kuryerze Poznańskim” (1892, nr 229 i 232) dwa zasadnicze artykuły „Do hr. Ballestrema”, które znakomicie analizowały ten zarzut, a które od razu przypisywano nowemu arcybiskupowi gnieźnieńsko-poznańskiemu Florianowi Stablewskiemu. Autor, stwierdziwszy na wstępie, że frazes o wielkopolskiej agitacji na Śląsku jest nonsensem w znaczeniu, w jakim go teraz używają, gdyż o jakiejś wielkopolskiej polityce lub wielkopolskich tendencjach w historii nic nie słyhać, wnioskuje z faktu, że nawet hr. Ballestrem mówi o wielkopolskiej agitacji na Śląsku, iż wódz centrowy stoi zupełnie pod wpływem strategii, która tego wyrażenia używa do podkopania nie politycznych jakichś interesów, ale wprost do podkopania prawem Bożym uprawnionych warunków życia narodowego. Zachodzi nieporozumienie, którego wyjaśnienie leży w interesie stron obydwóch:

„Śląsk nigdy wielkopolskim nie był — o wielkopolskiej polityce nikt tam nie słyshał nigdy — ale Górny Śląsk był polskim przez język swój i narodowość swoją, choć niemniej wiernie pruskim w politycznym znaczeniu tego słowa. Jak zaś był polskim, tego dowodem, że przez wiele lat najważniejsze publikacje religijne, które na Śląsku wychodziły, w Mikołowie i w Wrocławiu u Bogumiła Korna, rozchodziły się po całym Księstwie Poznańskim, że Śląsk dla tych publikacyj był ogniskiem.

⁵⁴) cfr. „Dziennik Poznański” 1917, nr 187.

Z „Nauki Wiary” Ontruppa, wydanej u Bog. Korna, uczyły się po gimnazjach całe generacje młodzieży poznańskiej, ze „Śpiewnika” radcy szkolnego Bogedaina na Śląsku uczyły się wszystkie generacje dawniejsze śpiewów kościelnych w obydwóch naszych archidiecezjach. Ślązacy, jak radca kanonik Busław, dla języka polskiego tudotąd bywali powoływani itd. itd. Więc Górny Śląsk był polski.

Ale nikomu nie śniło się „politycznej” idei polskiej przeszczepiać na Górny Śląsk... W roku 1848 on jeden nie dał się wciągnąć w wir rewolucyjny, co mu też wszyscy pruscy patryjoci policzyli na karb jego zasług. Dlaczego? Język dla niego nie był żadną polityczną dźwignią, tylko dziejową spuścizną po ojcach, środkiem chwały Bożej. Kochał więc ten język swój polski, tym językiem śpiewał pieśni na chwałę Boga — i nim wysławiał też monarchów, których się czuł wiernym poddanym... „Ty Polaku!” było obrazą dla Ślązaka, bo bywało, że Polaka nie można było sobie inaczej przedstawić jak w postaci rewolucjonisty.

Bismarckowi dopiero należy się palma w tem, że ten spokojny lud górnośląski, jeden z najlojalniejszych i najpowszechniejszych rządowi całej monarchji, w uczuciach swoich się zachwiał. Gdy przyszły jeden po drugim reskrypta, wyganiające język polski ze szkoły, gdy ukochanych jego pieśni kościelnych przestano uczyć po szkołach, gdy w niezrozumiałym języku poczęto uczyć religji, gdy dziecko z starej książki do nabożeństwa po ojcach już nie uczyło się czytać w szkole, — wtedy ten lud górnośląski odczuł to jako największą krzywdę, a nawet jako największe niebezpieczeństwo dla wiary... Zagwi agitacji przeciwko rządowi nikt inny nie rzucił do Śląska, nikt inny nie wstrząsnął zaufaniem do rządu, jak książę Bismarck. Gdyby Górnemu Śląskowi było dozwolono, tak samo jak dawniej, rozwijać się w życiu kościelnem przez szkołę na podstawie ukochanego języka, Śląsk Górny najmniej sprawiałby kłopotu rządowi ze wszystkich prowincyj pruskich.

Śląsk więc Górny co do języka swego jest polski, niektóre jego powiaty nawet pod tym względem są bardziej polskimi, aniżeli niektóre powiaty Księstwa, bo liczą do 94-ch a nawet do 96% ludności polskiej, i ma prawo niezaprzeczone do swojego języka, do utrzymania go w szkole i kościele. Rząd w dobrze zrozumianym interesie własnym winien nie obrażać uczuć tego ludu przez odbieranie mu sposobności pielęgnowania tego języka, ponieważ przez to najlepiej utrzyma albo przywróci zachwiane przywiązanie jego do siebie, przez to najlepiej zabezpieczy go od socjalistycznej propagandy, tylko bowiem przez utwierdzenie podstaw religji w tym ludzie utwierdzi się tama przeciwko socjalizmowi na Górnym Śląsku. Ta tama się przerywa w młodem pokoleniu przez niedostateczne przygotowanie w religji w obcym języku, przez szkołę elementarną, która nie wychowuje, lecz tresuje, przez nauczycieli, którzy nie umieją przemówić do ludu jego językiem, nie umieją poruszyć i uderzyć w struny serca tego ludu, aby go skutecznie utwierdzić w prawdziwie religijnych i konserwatywnych zasadach.

Takie jest położenie Śląska. Wciągać Śląsk w koło pracy i usiłowań politycznych Polaków, po roku 1772 przyłączonych do państwa

pruskiego, uważamy za niewłaściwe i nieuprawnione. Inne jest prawno-polityczne stanowisko nas Polaków, a inne Śląska. Śląsk, przeszło 500 lat oderwany faktycznie i prawnie od pnia dawnej monarchji polskiej, od dawniejszego jeszcze czasu pod wpływem niemieckim — nie może być uważanym przez nas jako usprawiedliwiony okręg politycznej pracy w rozumieniu naszym. Nie ma on żadnej żywej tradycji historycznej w ludzie, nie ma żadnych aspiracyj politycznych — i dlatego wszelkie identyfikowanie stanu Śląska z stanem zaboru po roku 1772 jest zupełnie nieuprawnione i fałszywe. Znaczyłyby to ni mniej ni więcej, jak chęć nowych zdobyczy — i tu mógłby książę Bismarck słusznie z ironją powiedzieć: *Vexilla regis prodeunt*⁵⁵⁾. Nasza myśl polityczna wspiera się na świadomości wielkiej przeszłości naszej, owianej i ożywionej tchnieniem literatury tak, iż każdy z nas czuje się Polakiem w każdym tętnie swojego serca, którego to uczucia Ślązak nie zna i do którego budzić sztucznie i agitacyjnie nam go nie wypada, gdyż go nigdy nie miał. Przed 600 laty bowiem idea narodowości w dzisiejszem znaczeniu i rozumieniu nie istniała.

Gdyby zatem dzisiaj lud górnośląski wbrew Centrum chciał wybierać posłów polskich, którzyby chcieli poza sferą swojej prowincji szukać punktu oparcia politycznego, a więc wstąpić do Koła polskiego, przekonani jesteśmy, że Koło polskie nie mogłoby i nie miałoby prawa przyjąć ich do swego grona, albowiem stoi na zupełnie innem prawno-politycznym stanowisku.

Jesteśmy też zupełnie przeciwko temu, aby z pośród nas wychodziła jakaś agitacja polityczna w jakimkolwiek kierunku na Śląsku (której też niema, gdyż np. „Katolik” pracuje tylko w zakreślonych przez nas ramach), — jesteśmy temu przeciwni z zasady i ze względów praktycznych, oddalibyśmy bowiem tem najgorszą przysługę polskiej ludności na Śląsku.

„Śląsk dla siebie!” — niech to będzie hasłem Śląska, ale i wskazówką dla nas. Narodowość polska na Górnym Śląsku ma prawo bytu, bo jest, a to, co jest z woli Bożej, tego nie wolno ręce ludzkiej niweczyć. Każde gwałcenie natury mści się na polityce, która to usiłuje. Rozwój moralny i materialny Górnego Śląska stoi w ścisłym związku wzajemnym z życiem języka ludu polskiego tamże. Wszystkie próby germanizacyjne dzieją się kosztem normalnego rozwoju umysłowego i religijnego. Każdy więc mąż stanu, czy świecki czy duchowny, kapłan czy biskup, najbardziej w duchu niemieckim utwierdzony, stojąc wśród tego ludu, tej potrzebie nie będzie zamykał serca i ręki.

Ale ostrzegamy przed fatalnem wyrażeniem „grosspolnische Agitation”, której na Śląsku niema, a jeżeliby jaka była, to na nasze poparcie liczyć nie może. Jeżeli zaś jaki kapłan albo mąż serca gorącego, który się uzałił tego biednego ludu (jak mówi Pismo) stara się o utrzymanie

⁵⁵⁾ W 1886 r. był Bismarck w sejmie pruskim powiedział: „Die Tatsache, dass die Polen von sich sagen können: Vexilla regis prodeunt, unsere Fahnen rücken vor — die ist ja ganz unzweifelhaft.“ Reden (wyd. Reclama) XI, s. 145.

języka tego ludu z tak świętych i czystych pobudek, jakie wyluszczyliśmy, wtedy nietylko każdy Górnoszlązak, jakim jest i hr. Ballestrem, ale każdy mąż prawy przyznać musi, że tem spełnia swój obowiązek, a dalekim jest od tego, czem jak widmem starają się straszyc wszystkich, którzy wielkość i całość państwa mają na oku i sercu — od „grosspolnische Agitation”.

Podaliśmy artykuł „Kuryera Poznańskiego” w tak dokładnym streszczeniu, ponieważ oddaje on bodaj najwięcej ówczesny stan rzeczywisty, uwypuklając zarazem załączki dalszego rozwoju, który potem logiką wypadków torował sobie drogę i porwał w żywy prąd ruchu narodowego także Śląsk mimo wszelkich zastrzeżeń teoretycznych. Częste przytaczanie tego artykułu przez Niemców nawet w okresie plebiscytowym na dowód, że Polska nie ma prawa do Śląska, było bez znaczenia wobec faktycznej zbiorowej woli ludu, narodowo już dostatecznie uświadomionego, by woleć się oświadczyć za przyłączeniem do Polski, aniżeli za pozostaniem przy niepoprawnym państwie pruskim, które mimo wszelkich przestróg uważało za swoje zadanie tępic Polaków.

Wobec przytoczonego artykułu „Kuryera Poznańskiego” uspokoiły się pruskie koła rządowe i były stale przeciwne rozciąganiu antypolskich zarządzeń i praw wyjątkowych na teren śląski. Dyrektor ministerialny Althof np. oświadczył rejencyjnemu radcy Küsterowi z Opolą, że wyjątkowe zarządzenia celem zasilenia niemczyzny na G. Śląsku mogłyby w opinii publicznej wywołać mylne wrażenie, „als ob dieser Bezirk von uns der historischen Teilungsmasse des alten polnischen Reichs gleichsam nachträglich zugeschlagen werden sollte”⁵⁰). To też jest powodem, że sławna książka prof. Ludwika Bernharda o kwestii polskiej Śląskiem nie zajmuje się wcale.

Udobruchało się także Centrum. Przez usta dra Porscha stwierdziło, że kwestia polska na Śląsku jest wyłącznie językową. Gdy „Orędownik” (1893, nr 14) temu przeczył i twierdził, że agitacja polska istnieje i wzrasta i przelewa się na Prusy Zachodnie, Górny Śląsk i Warmię, zaczęła „Neisser Zeitung” narzekać: „Biada nam, gdyby jasny puklerz centrowy, na który dotąd nie padł ani cień niewierności względem króla, monarchii i ojczyzny, miał zostać splamiony, jeżeliby już słu-
sz-

⁵⁰) Cytowane u Küstera, Die poln. Irredenta in West-Oberschlesien, Berlin-Wilmersdorf 1931, str. 17.

nie wątpić można o wierności naszej, albo tych, co z nami walczyli. Narodowa agitacja jest zbrodnią, popełnianą na ludzie górnośląskim, na wszystkich katolikach śląskich i na Kościele katolickim w Prusiech." Wobec tego major Szmula dnia 18 lutego 1893 oświadczył w sejmie z naciskiem: „Mości Panowie! otóż ja was zapewniam, że agitacji, jak ją owe gazety (centrowe) pojmują, a więc agitacji, któraby zmierzała do oderwania Śląska od Prus i do odbudowania Polski na Górnym Śląsku, nie ma. Nie ma też u nas ludzi, którzyby byli tak nierozsądni, tak głupi, takimi wariatami, by w istnienie tej agitacji wierzyli. Człowiekowi, któryby taką agitację szerzył, drzwi by pokazano. A więc jest to oszczerstwem, jeżeli ktoś twierdzi, że na Górnym Śląsku agitacja wielkopolska istnieje."

Szmula miał słuszość najzupełniej. Bo nawet jeszcze podczas wojny światowej mało kto na Śląsku wierzył w połączenie Śląska z powstającą Polską. Lecz nie mniej słuszości mieli ci, co wywodzili ruch polski na Śląsku z konstytucji pruskiej i przypisywali mu znaczenie pozytywne. Trafny pod tym względem artykuł ukazał się w berlińskiej „Kath. Volkszeitung” (1894, nr 65). Nieznany autor twierdzi, że agitacja wielkopolska na Górnym Śląsku nie pochodzi z Poznania lecz z konstytucji i nie zniknie, dopóki nie zniknie konstytucja. Pozornie tylko pochodzi ona z Poznania, bo tam się więcej aniżeli na Śląsku znalazło ludzi do zaspokojenia potrzeb, wynikłych z konstytucji. Skoro się wita społeczne ruchy niemieckie jako zdrowy objaw demokratyczny, to trzeba też polską agitację narodową oceniać dodatnio, bo bez niej byłaby polska ludność pozostała martwym członem społeczeństwa i uległa wpływowi wywrotowemu. Jeżeli zaś społeczne poruszenie na Śląsku nabrało pozorów narodowych, to nie trzeba szukać winy w Poznaniu, lecz pamiętać, co powiedziała „Neisser Ztg.”, że bałagan pochodzi z Centrum (aus dem Zentrum ist der Wirrwarr gekommen).

Przy demokratycznym ustroju państwa i nastrojach ludu, który w ogromnej większości był katolicki, stał się jednak polityczny konflikt polsko-niemiecki nader zawiłą i trudną kwestią sumienia i należał też przed forum Kościoła katolickiego. Rozwiązanie było subiektywnie jasnym dla bardzo niewielu. Przeważnie pozostawało wątpliwym, a ponieważ *in dubio melior est conditio possidentis*, miało państwo pruskie na Śląsku z góry

silną pozycję w sumieniach swych poddanych, zwłaszcza księży. Kościół katolicki na Śląsku respektował tę pozycję i bronił jej nawet, czym ściągnął na siebie polski zarzut prusofilstwa. Ale jako uniwersalna w czasie i przestrzeni instytucja nadpaństwowa i nadnarodowa nie czynił tego bezwzględnie, co mu z drugiej strony przysporzyło zarzutów polonofilstwa. Wszak Kościół katolicki jest bezwzględnie konserwatywny tylko w rzeczach istotnych, gdy chodzi o prawa lub prawdy Boże. Wszędzie indziej jest względny w konserwatyźmie swoim i wcale nie lęka się historycznych zmian ni ewolucyjnych ni rewolucyjnych. Za wzorem apostołów napomina wprowadzić chrześcijan, by byli poddani zwierchności w sumieniu (Rom. 13, 5 — I Petr. 2, 18), ale stąd nie wynika bynajmniej, że władcom wolno robić z poddanymi, co im się żywnie podoba. Przecież i oni podlegają Bogu i mają wielką za postępowanie swoje odpowiedzialność. Obowiązkowa lojalność poddanych będzie często tylko cierpliwością aż do czasu żniwa, o jakim mówi Ewangelia, kiedy to okaże się wciąż na nowo, że „die Weltgeschichte ist das Weltgericht“ — i na pewno nastąpi rozdzielenie kłólu od pszenicy (Mat. 13, 24—40). — Choć nieraz bezkarnie uchodzi tu na ziemi zbrodnia pojedynczej osoby, to nigdy nie uchodzi bezkarnie wina całego narodu lub państwa; niechybnie spotka ich kara tu, bo t. zw. dusza zbiorowa jest tylko przenośnią i w rzeczywistości nie istnieje tak, żeby ją na drugim świecie czekać mogła nagroda lub kara.

Korelatem obywatelskich obowiązków są prawa obywatelskie. Filozofowie prawa mówią o „Gegenleistung des Staates“⁵⁷⁾, a filozofia moralności⁵⁸⁾ zgodnie z nimi streszcza obowiązki państwa jako obronę na zewnątrz, ochronę prawną wewnątrz i urzędzenia o użyteczności publicznej. Lecz gdy etyka liberalizmu uznaje tylko prawo pozytywne, etyka chrześcijańska domaga się ochrony w pierwszym rzędzie dla prawa przyrodzonego, do którego należy cały kompleks praw narodowych. Skoro państwo ignoruje te prawa, albo je krzywdzi, gwałci, łamie i depce, wtedy staje się z ustalonego przez Boga opiekuna napaśnikiem i tym samym osłabia własne prawo żądania lojalno-

⁵⁷⁾ Ihering, Der Zweck im Recht, wyd. V. Lipsk 1916, tom II, str. 430.

⁵⁸⁾ Cathrein, Moralphilosophie, Eine wissenschaftliche Darstellung der sittlichen, einschliesslich der rechtlichen Ordnung. Freiburg i. Br. wyd. V. 1911, tom II, str. 530.

ści. Według św. Augustyna *remota iustitia quid sunt regna nisi magna latrocinia?* (Civ. Dei IV, 4). A z objęć opryszka każdy stara się odruchowo wydostać. Może go powstrzymać wielka siła opryszka, lecz nie wiąże go z nim żadne prawo.

Niesprawiedliwością prowokuje państwo swych obywateli do porachowania się z nim. Takie porachunki mogą oczywiście doprowadzić do katastrofy. To miał na myśli ks. Bonczyk, gdy w „Górze Chełmskiej” mówi pod adresem królów:

Podwiel wasze poddaństwo do Boga się modli
W swym języku, w swej wierze, nigdy się nie spodli,
Iżby rękę zbroiło w grzesznem uniesieniu.
Lecz kto w herostratowskim czynic, w zaślepieniu
Podkopuje, kto targa groble oceanu,
Ginie, dom swój, kraj niszczy, a przyszlemu panu
Pozostawi pustynię.

Herostratów państwa pruskiego szukać należy po stronie pruskiej. Albowiem ruch polski na Śląsku nawet w najradykałniejszej swej tendencji w tym właśnie miał moralne uzasadnienie i uprawnienie, że państwo pruskie nie tylko chronicznie zaniedbywało swe elementarne obowiązki względem poddanych polskiej narodowości, ale stało się dla nich wyrafinowanym napastnikiem, gwałcicielem a w końcu śmiertelnym wrogiem w ważnej dziedzinie spraw narodowych. Skuteczna samoobrona zaś jest odruchem naturalnym i moralnie dozwolonym, choćby przy tym *per accidens* napastnik zginął.

Duchowieństwo górnośląskie w większej części nie uświadomiło sobie zawczasu tego elementarnego zmagania się praw natury z naporem brutalnego prawa pozytywnego Prus. Nie ma się co dziwić, skoro nawet arcybiskup Stablewski w Poznaniu z przerażeniem przekonał się dopiero w roku 1903, że idzie o życie narodu polskiego⁵⁹). Kler, choć ujmował się wciąż za ludem polskim, nie wyciągnął z bezskuteczności tych usiłowań konsekwencji, iż rządy pruskie, uporczywie i świadomie niesprawiedliwe, tym samym tracą podstawę moralną. Każdy wiedział, że *iustitia fundamentum regnorum*, ale każdy wzdrygał się przed stwierdzeniem, iż notorycznie niesprawiedliwe rządy pruskie ten fundament opuściły, opierając się cynicznie już na samej sile brutalnej. Nawet tak bystry umysł, jak ks. Kapica, długo nie mógł w sumieniu zgodzić się na radykalny wniosek,

⁵⁹) Łukomski, Arcybiskup Stablewski, Poznań b. r. str. 151.

że Prusacy przez narodową niesprawiedliwość względem Polaków utracili prawo do rządzenia nimi.

Księża chcieli bronić i narodu i państwa, przekonani, że poza socjalną demokracją, na którą już 1891 r. wskazywali „kłamczozbija” ks. Tomasz Kulka i ks. Lubecki, czyhają na powierzony ich opiece lud katolicki przede wszystkim dwaj niebezpieczni nieprzyjaciele, z jednej strony germanizatorski triumwirat Hanemann-Kennemann-Tiedemann (H. K. T.), a z drugiej strony polski triumwirat Napieralski-Mačkowski-Koraszewski. Tylko, że tych dwóch wrogów zwalczali nierównie. Wskazując raz po raz na ostateczną obojętność spraw językowych i narodowych, nie zdobyli się na równoczesny wniosek, że dla religii i przynależność państwowa jest ostatecznie *causa indifferens*. Błędnie traktowali w końcu lojalność dla państwa jako obowiązek bezwzględny, chociaż to państwo w ich oczach przekształcało się systematycznie na śmiertelnego wroga polskości i w zaślepieniu swych rządców parło uświadomionych polskich poddanych w tym kierunku, że za naturalnym instynktem musieli znaleźć i w praktyce do swej obywatelskiej lojalności zastosować moralną zasadę: *lex positiva non obligat cum gravi incommodo*. Publicznie na ten temat dyskutowano w gazetach górnośląskich przed wyborami do konstytuancy niemieckiej w styczniu 1919 r. artykułami: Czy Polak grzeszy, gdy nie idzie na wybory?

Ogół kleru przy kłopotliwej kolizji obowiązków decydował się jednostronnie na obronę pozytywnego prawa Prus i, ku zdziwieniu np. socjalistów, nawet po walce kulturalnej, która przecież była próbą pochłonięcia Kościoła katolickiego przez protestanckie państwo pruskie, śpiewał bez widocznych zastrzeżeń: „Ich hab' mich ergeben mit Herz und mit Hand dir, Land voll Lieb' und Leben, mein deutsches Vaterland”. Taką postawę porównywano do niewolniczego całowania ręki, co biła niesprawiedliwie. Tę dziwną ociążałość duchowieństwa śląskiego w orientowaniu się w sytuacji politycznej należy po części przypisywać podświadomemu wpływowi protestantyzmu, który, wyrwany z szerokich kręgów uniwersalizmu katolickiego, pełza po ziemi jako Landeskirche i kurczowo trzyma się poszczególnych państw opiekuńczych, by nie ulec rozkładowi jak w Ameryce, gdzie tego oparcia nie ma. Dla uniwersalnego, nadnarodowego i nadpaństwowego Kościoła katolickiego takie oparcie do

egzystencji nie jest potrzebne, choć zgodna współpraca z państwem jest mu zawsze pożądana.

Oddani państwu pruskiemu, księża górnośląscy musieli do polskiego ruchu narodowego ustosunkować się ujemnie w tej chwili, gdy ten ruch, ich zdaniem, przekroczył granice lojalności. Z całą szczerością popierali go, dopóki sprawa polska była kwestią językową czyli wychowawczą, lecz z małymi wyjątkami odwrócili się od niego ze smutkiem, skoro nabierał charakteru politycznego w szerszym znaczeniu, czyli wszechpolskiego. Stąd pochodzi, że mnóstwo było pomiędzy klerem Polaków etnograficznych, a stosunkowo mało Polaków politycznych.

Wobec wielkiego wpływu duchowieństwa musiał się z tym faktem liczyć każdy trzeźwy polityk. Jeszcze w 1905 r. pisał „Orędownik” (nr 55): „Sytuacja jest taka, że odpowiedzialność na Górnym Śląsku spoczywa dziś nie na gazetach, ale na księżach, stojących za „Gazetą Katolicką” i za Polskim Komitetem Wyborczym.” W uwzględnieniu tego ważnego czynnika szukać należy klucza do zrozumienia ostrożnej zawsze polityki Napieralskiego i Koraszewskiego, pomnych na mądrą radę ks. Dambrota, że „dla nas jedyny sposób *cunctando procedere* w słowach, żądaniach i czynach, aby nie przeholować, liczby nieprzyjaciół nie pomnożyć, a życzliwych lub trwożliwych nie zrazić”⁶⁰). Odstrasżający przykład przeholowania na wszystkie strony upatrywano w kapłanie-demaگو X. Stanisławie Stojałowskim, wybitnie zdolnym redaktorze „Wieńca i Pszczółki”, który właśnie wtedy (1890), pozbawiony probostwa w Kulikowie (pow. żółkiewski), przeniósł się był do Cieszyna i stąd namiętnie kierował ruchem chłopskim w Galicji⁶¹).

Stąd już łatwo zrozumieć stanowisko ks. Skowrońskiego. Jak Szmula i ogół księży, tak i on zastrzegł się przed podsuwaniem ruchowi polskiemu zamiarów w sensie wszechpolskim. Ale stanowczo był za agitacją narodową celem zrównania uświadczenia narodowego na Śląsku z uświadczeniem w Poznańskim. W „Gaz. Opolskiej” (1893, nr 13) pisał: „Bóg stworzył lud śląski polskim; czyżby tedy lud, przyszedłszy raz do świadomości narodowej, miał popełniać coś grzesznego, niedozwolone-

⁶⁰) cfr. RTPN. II, 151.

⁶¹) cfr. Feldman, Stronnictwa i programy polityczne w Galicji 1846—1906. Kraków 1907, II, 235—264.

go, rozbudzając w sobie i pielęgnując ducha polskiego, zwłaszcza jeżeli budzenie tego poczucia narodowego jest jedynie skutecznym środkiem do utrzymania języka polskiego, który wystawiono na zgubę i tępienie? — Lud na Górnym Śląsku był polski, jest polski i chce pozostać polskim. Że zaś z tego niektórzy nie są zadowoleni, na to wcale a wcale zważać nie możemy. W szumnych frazesach mówią i piszą oni (centrowcy niemieccy) o obronie mowy ojczystej — ale o Górnoszlązakach jako Polakach, to ani słyszeć nie chcą. Ja myślę, że kto chce mieć świeże, zielone liście na drzewie, ten musi też chcieć, żeby to drzewo było zdrowe i miało ożywczy sok w sobie. Narodowość jest korzeniem — język liściem. Zabiegi około zabezpieczenia mowy polskiej, to nasza wielka agitacja, a że ona wzrasta, to może być tylko naszą chlubą. Nikczemny ten naród, mówi niemiecki poeta, który nie wyteża ostatnich sił dla zachowania swej godności. Naszą winą nie jest, że ta agitacja stała się wielką, ani winą t. zw. obcych agitatorów wielkopolskich, lecz jedynie winą rządu i tych ludzi i pism, które nieustannie obrażają lud w najświętszych jego uczuciach."

Oczy całej myślącej Polski, która przez Stanisława Szczepanowskiego⁶²⁾ narzekała na niedołęstwo jako na grzech narodowy, zwracały się wtedy na Górny Śląsk i nie mogły się nadziwić, że przy powszechnym gdzie indziej bezrobociu politycznym na Śląsku Pruskim taki panuje ruch. Ks. Stanisław Stojałowski np. pisał pod pseudonimem „Warszawiak” w lwowskiej „Gazecie Narodowej”, piętnując nieczynność w Cieszyńskim:

„Na Śląsku pruskim pracuje się i robi. Zaczął ś. p. Karol Miarka; po nim przyszli inni i pracując w tym samym duchu, doprowadzili dziś do tego, że samo pismo „Katolik” ma przeszło 19 tysięcy czytelników; pisma zaś „Nowiny Raciborskie” i „Gazeta Opolska” mają ich po 3 do 4 tysiące; więc razem mają one przeszło 25 tysięcy czytelników na jeden milion ludności polskiej! Czyż więc Śląsk pruski nie prześcignął Galicji, w której zapewne nie tylko ludowe, ale wszystkie pisma polskie razem, zaledwieby nabierały 25 tysięcy odbiorców. To jedno. A dalej ważniejsze: lud polski na Śląsku górnym ma towarzystw bez liku, w każdym mieście po kilka, które same się utrzymują i ruch narodowy szerszą w coraz szersze koła. Ma on swoje towarzystwo Pomocy Naukowej, związki robotnicze, śpiewackie, przedstawień amatorskich i t. d. A co najważniejsze: ten lud przy wyborach mimo ogromnego nacisku, z ambon nawet szerzonego, wybiera swoich kandydatów do parlamentu, żąda od nich

⁶²⁾ Myśli o odrodzeniu narodowym, Lwów 1903, 211.

dokładnej znajomości języka polskiego, a o swoje prawa w szkole i wszędzie dobija się z niezłomną energją i wytrwałością.⁶³⁾

Tak samo Feliks Koneczny, kreśląc dla książki zbiorowej na rzecz gimnazjum polskiego w Cieszynie (1895) „kilka myśli o Śląsku”, zachwycał się naprężeniem woli i hartem Górnoszlązaków i wytykał inteligencji polskiej leniwą apatyczność wobec ludowego ruchu na Śląsku⁶⁴⁾. Czynną odpowiedzią na ten zew i niespodziewanie silną reakcją na prowincjonalną politykę górnoszląską było przerzucenie ruchu wszechpolskiego na Górny Śląsk przez Narodową Demokrację, co via Berlin otwarcie nastąpiło w roku 1901⁶⁵⁾.

Prasa krajowa i zagraniczna nie przestawały pisać o agitacji wielkopolskiej na Górnym Śląsku, przy czym gazety niemieckie, nie wyłączając centrowych, popadały już nieraz w ton prawie że plebiscytowy. Ponieważ w artykułach zapuszczano się czasem w najdziwaczniejsze domysły, poświęcił ks. Skowroński kwestii polskiej na Górnym Śląsku cały szereg artykułów zasadniczych i ogłosił je w „Dzienniku Poznańskim” (1901, nr 238—243).

Zastanawiając się nad istotą kwestii polskiej na Górnym Śląsku, odrzuca on dwa skrajne o niej pojęcia, jedno hakatystyczne, które widzi w niej więcej aniżeli w sobie zawiera, przypisując Górnoszlazakom dążności ku oderwaniu Śląska od Prus, drugie centrowe, ścieśniające kwestię do kwestii wyłącznie językowej, — i stwierdza, że kwestia jest zagadnieniem narodowym. Treści jej nie stanowi agitacja wielkopolska czyli wskrzeszenie dawnej Polski, ani też obrona jedynie języka polskiego, „lecz pod kwestią polską na Śląsku trzeba rozumieć obronę odrębnej narodowości i języka polskiego naszego ludu. A w tej walce o byt nasz narodowy nie odwołujemy się, jak Polacy w Księstwie, na tradycje narodowe, na ustawy kongresu wiedeńskiego, na królewskie manifesty i przyrzeczenia — lecz jedynie na nigdy się nie zmieniające prawo boskie, przyrodzone i nadprzyrodzone, o którym nie można powiedzieć, że nie jest warte szeląga.”

⁶³⁾ Warszawiak (Ks. Stojalowski), Ze spraw śląskich, odbitka z „Gazety Narodowej”, Lwów 1895, 3—4.

⁶⁴⁾ Dla Szląska, Lwów 1895, 113—115.

⁶⁵⁾ cfr. Jan Ludwиг Popławski, Przełom na Górnym Śląsku (Przegląd Wszechpolski 1901).

Po takim określeniu istoty kwestii polskiej na Śląsku zastanawia się ks. Skowroński nad stosunkiem polskich Górnoślązaków a) do rządu pruskiego, b) do Polaków w Księstwie, c) do Centrum niemieckiego.

Ad a): „O lojalności i rojalności naszej nikt prawie wątpić nie może. Górnoślązacy jako obywatele pruscy biorą chętnie na siebie i wypełniają z wielką sumiennością obowiązki, wynikające z ich przynależności do państwa pruskiego. Ponieważ zaś obowiązkom jako korrelat odpowiadają zawsze prawa, dlatego Górnoślązacy mogą i muszą bronić swych praw tak narodowych, jak obywatelskich... Niestety rząd naszych praw narodowych uznać nie chce... Polityka rządu pruskiego wobec Polaków tak w Księstwie jak na Górnym Śląsku jest systemem, mającym na celu tępienie narodowości polskiej. Ten system niestety, nie ludźmy się wcale, nigdy się nie zmieni, gdyż jest wynikiem i postulatem genazy państwa pruskiego. Państwo to powstało ze zmieszania się krwi słowiańskiej i niemieckiej, z pochłonięcia żywiołu słowiańskiego przez niemiecki; ten proces jeszcze się nie skończył, germanizacja dzisiejsza jest tylko dalszym trawieniem i rozkładem żywiołu słowiańskiego w żołądku germańskim. Cóż wynika z tego? Oto ponieważ polityka rządu pruskiego względem Polaków nie jest chwilowem tylko usposobieniem kół rządowych, ale tradycją i systemem, dlatego muszą Górnoślązacy uznać za aksyomat, za pewnik polityczny, że ze strony rządu pruskiego nigdy nie mogą się spodziewać ulgi i wymiaru sprawiedliwości w sprawach narodowych, że dlatego nic nie zdola ich ocalić od zguby narodowej, jak tylko własna żywotna siła, własna intensywna praca nad budzeniem świadomości narodowej wśród mas ludu. Niech ta praca będzie cicha, lecz konsekwentna i wytrwała. Niech Górnoślązacy, raz przyłożywszy rękę do pluga narodowego, nie oglądają się ni za laską ni nielaską rządu pruskiego, bo czy się ruszamy, czy śpiemy, rządowi pruskiemu zawsze pozostaniemy żywiołem obcoplemiennym, o którym on wciąż swe *ceterum censeo* powtarzać będzie. Karmić lud nadzieją, że od jego zastosowania się do chwilowych żądań rządu może zawisnąć jaka ulga i jakie ustępstwo w sprawie polskiej, jest niebezpiecznem, bo lud usypiającem marzeniem. Starajmy się przez żywą agitację narodową, przez budzenie ducha polskiego jedynie o to, abyśmy się stali niestrawnymi w żołądku germańskim... Obrona zaś bytu narodowego musi się zawsze opierać na prawach z konstytucji nam przysługujących i nie powinna w niczem przekraczać granic legalnych.”

Ad b): „Tak Śląsk jak Księstwo stanowią prowincję tegoż samego państwa, żywotne interesa tak Polaków w Księstwie jak na Górnym Śląsku są przez to samo państwo pruskie zagrożone. Spodziewać więcby się należało, że Polacy tych prowincji wspólnie będą bronili swe prawa — a jednak między temi prowincjami istnieje mur chiński przeszkód i przesądów, nie pozwalający na spólną odporną działalność wobec natarczywości germańskiej. Aby ten przedział nadal zachować, może być tylko w interesie rządu pruskiego według wypróbowanego hasła rzymskiego: *Divide et impera...* A jednak obecnie niema rady, nie można zburzyć

tego muru chińskiego. Nazwałem ten przedział murem przesądów. Trzeba atoli przyznać, że te przesady istnieją jedynie w głowach wykształconej, więcej już wynarodowionej inteligencji śląskiej, która utraciła w szkołach poczucie narodowe; lud zaś prosty nie odczuwa odrazy do Polaków z Księstwa, owszem żywi do nich przywiązanie, jak to poświadczyć mogą wszyscy, którzy się na Górnym Śląsku osiedlili i między ludem pracują. Zdrowy instynkt zachowawczy ludu odgadł tu lepiej prawo natury, które jednocy pokrewne żywiły, aniżeli narodowo wykoślawiony umysł wykształconych... Niemniej jak przesady nie pozwalają obecnie faktyczne stosunki i przeszkody w obydwóch prowincjach na ogólne działanie w obronie narodowości zagrożonej... Polacy w Księstwie posiadają tradycje narodowe i polityczne poczucie narodowe, podczas gdy Górnoszlązacy nie wystąpili nigdy w historii jako śląsko-polskiej całości politycznej i dlatego też nie mają tradycji narodowych, nie mają polskiej ojczyzny. Sztucznie zaś wpajać ludowi górnoszląskiemu takie tradycje i budzić w nim poczucie polityczno-narodowe, nie uchodzi; żądać zaś od Polaków z Księstwa, aby się dla politycznej asymilacji z Polakami na Śląsku wyrzekli swych tradycji, również jest niepodobieństwem. Dalej ruch narodowy na Śląsku jest ludowym, demokratycznym, kwas narodowy, w ludzie pracujący, idąc z dołu, zakwasza wyższe warstwy; w Księstwie przeważnie... z warstw wyższych przecieka poczucie narodowe do warstw ludowych. Nadto i ekonomiczne stosunki Księstwa są inne jak Górnego Śląska i sprzeciwiają się dlatego wspólnej politycznej akcji. Niemaż więc obecnie innej rady, jak osobno maszerować a wspólnie uderzać, gdzie chodzi o obronę narodowości. W interesie ludu polskiego w obydwóch prowincjach jest łagodzić te przeciwieństwa a nie zaostrzać ich. Kto więc, uwzględniając obecne stosunki nasze, pracuje w duchu narodowym, musi nam być miłym, chociażby nie był rodowitym Górnoszlązakiem. Musimy się powoli po obydwóch stronach starać o to, aby zatrzeć dzielące nas przeszkody i uprawiać fundament wspólnego działania.” (Jeszcze 1918 r. żalił się ks. Skowroński, że politycy poznańscy znanym artykułem „Kuryera Poznańskiego” z 1892 r. postawili Ślązacom grzecznie krzesiło za drzwi.)

Ad c): „Z Centrum jesteśmy Górnoszlązacy jak najściślej zmięzłami przyjaźni połączeni. Od lat trzydziestu wybieramy naszych posłów pod hasłem centrowem i dla partji centrowej i nadal wybierać będziemy. Ta przyjaźń opiera się na tych samych religijnych, politycznych i socjalnych zasadach, a ze strony naszej jeszcze na przychylności, którą Centrum w sprawie językowej zawsze nam okazywało. Centrum broniło zawsze naszych praw językowych i nigdy jako takie nie odstąpiło od swych zasad w tej sprawie. Na wiccach katolickich pamiętało o nas w rezolucjach, w-sejmie upominało się o przywrócenie języka polskiego do szkół i wskazywało zawsze na smutne następstwa, jakie dla wiary i moralności ludu przez rugowanie języka polskiego wyniknąć muszą. Gdyby obrona języka polskiego polegała jedynie na mowach w sejmie i publicznych uchwałach, mielibyśmy w Centrum najlepszego obrońcę. Do zabezpieczenia atoli bytu narodowego potrzebujemy czegoś więcej, potrzebujemy praktycznej, energicznej, wytrwałej pracy i agitacji w do-

mu. Pod tym względem Centrum mało co albo zgoła nic nie czyni, a jesteśmy dość wyrozumiali, by nie żądać od Centrum rzeczy niemożliwych. Centrum bądźco bądź jest partją niemiecką, od Niemców zaś możemy się tylko spodziewać sprawiedliwości i bezstronności w sprawie polskiej — nigdy zaś czynnego pielęgnowania narodowego uczucia i języka polskiego. To jest naszym obowiązkiem i zadaniem... Wobec czynnej i zorganizowanej germanizacji nie pomagają mowy; czyny trzeba czynami odpierać. My musimy się czynnie w domu krzątać około zabezpieczenia bytu narodowego. Jeżeli tedy przyjaźń z Centrum ma dla nas być korzyścią, a nie raczej zgubą, nie powinno ono w niczem krępować naszej działalności narodowej. Niestety nie zawsze uznaje to Centrum śląskie, a co gorsze, tego nawet wielka część rodowitych Górnoślązaków nie może pojąć. Stąd to powstały ostatnie nieporozumienia i niezgody w obozie centrowym na Górnym Śląsku... Nie traćmy w uściskach przyjaźnych z Centrum samodzielności, nie poniżajmy się nigdy z stanowiska sprzymierzeńców Centrum do jego sług niewolniczych, nie ofiarujmy zdrowego własnego poglądu na sprawę naszą narodową na ołtarzu przyjaźni centrowej, trzymajmy się tego, co dobrego upatrzy rozsądek, a nie tego, co się przypodoba pasji mocniejszych sojuszników naszych. Pamiętajmy zawsze, że własny instykt zachowawczy lepiej musi poznać środki, prowadzące do zabezpieczenia naszego bytu narodowego, aniżeli nawet najszczęsza przyjaźń obcoplemiennego sojusznika. Przyjaźń z Centrum niech nam w walce o byt zabezpiecza plecy, ale pamiętajmy, że „bez serca, bez głowy i bez duszy plecy nic nie warto i że to jest ostatnia część ciała”. Nie zasypiamy w przyjaźni centrowej, nie myślmy, że, mając tak potężnego i szczerego sojusznika, nam już robić nic nie wypada, — owszem, plecy niczem, serce, głowa, dusza górą! Niech rozgoreje serce ludu gorącą miłością dla narodowości i języka polskiego, zdobywajmy głowy inteligencji polskiej dla obrony ciemniejszego ludu, starajmy się zachować ducha narodowego, a wtenczas idea polska na Górnym Śląsku nabędzie lotu, który ją unieść może do dzieł wielkich i twórczych!”

Emancypacja od Centrum wisiała poniekąd w powietrzu. Wszak „Katolik” zdobywał dla kandydatów ludowych jeden okręg wyborczy za drugim, a chociaż czynił to zawsze w łonie partii centrowej, to ostatecznie musiała nastąpić gruntowna rozprawa z Centrum i rozłam. Lecz miało się to odbyć bez gwałtownych wstrząsów, ewentualnie przez secesję posłów ludowych w Berlinie.

To też ks. Skowroński zląkł się niemało, gdy Liga Narodowa w tym samym roku 1901 wydała hasło: precz z centrum! — które Stanisław Bełza z Warszawy pochwycił zaraz broszurą o tytule: „My czy oni na Szląsku polskim?” — „Orędownik” (1905, nr 48) przyznał, że idea narodowa została wtedy rzucona w stosunki górnośląskie jak wybuchowa bomba bez należytej znajomości terenu.

VII. EMANCYPACJA OD CENTRUM, LECZ NIE OD
DUCHOWIENSTWA (1903—1905)

„Pobudkę wyborczą” Biedermanna (1901) i założenie „Górnoślązaka” dla polityki skrajnej witał ks. Skowroński z uczuciami mieszanymi. Niestłuchanie namiętny i bezwzględny ton „Górnoślązaka” raził go niemniej jak każdego innego kapłana. „Przyznaję, — mówił i pisał — że mi wystąpił rumieniec wstydu na czoło, że na naszym Górnym Śląsku znalazła się taka gazeta jak „Górnoślązak”, która bez zarumienienia się tak podłymi i szlachetnego Polaka niegodnymi środkami walczyć się ośmiela. To jest upadek!” Jeszcze w październiku 1903, gdy już wyraźnie i publicznie był się przyłączył do ruchu radykalnego — nie by się dać porwać, lecz owszem, by skuteczniej zwalczać jego wybujałości — protestował w „Neisser Ztg.” (nr 238) przeciwko nietaktownemu identyfikowaniu się „Górnoślązaka” z partią polską i przeciwko wykorzystywaniu przynależności kilku księży do partii na pokrywkę niecnej taktyki, napiętnowanej publiczną naganą ks. kardynała Koppa. „Protestuję jak najenergiczniej przeciwko temu, by Jego Eminencję wciągano w agitację wyborczą a duchowieństwo wygrywano jako kozereę przeciw osobie najprzewielebniejszego ks. biskupa. To nie jest po katolicku. Z przyłączenia się księży do narodowego ruchu bynajmniej nie można wysnuwać wniosku, iż zgadzają się na zapatrywania Górnoślązaka”. Jako prezes Tow. Ludowego pisał i zapowiadał wtedy: „Karcic będziemy (w Tow. Ludowym) błędy gazet polskich, jeżeli, występując w obronie praw narodowych ludu, nie będą zważały na obowiązki, jakie na nas ciążyą jako na katolikach prawowiernych. Ponieważ w przytoczonych artykułach „Górnoślązaka” dopatruję się takiego postępowania, przeto potępiam je jak najostrzej.” Na to oświadczenie jego w „Neisser Zeitung” wskazywała „Gazeta Katolicka” tuż przed słynnym procesem bytomskim, a redaktor Jan Jakub Kowalczyk odczuwał i nazwał to oświadczenie ks. Skowrońskiego „publicznym waleniem po głowie”.

*

Założenie 1902 r. Polskiego Tow. Wyborczego przy „Górnoślązaku” z całkowitym pominięciem duchowieństwa pogłębiło rozłam pomiędzy młodymi radykałami Korfantym i Kowal-

czykiem, za którymi stała Narodowa Demokracja, z jednej — a dotychczasowymi polskimi politykami na Śląsku, do których odtąd należał i ks. Skowroński, z drugiej strony.

„Gazeta Toruńska” (1902, nr 278) zarzucała partyzantom „Górnoślązaka”, że tylko umieją podszywać się pod najpopularniejsze hasła i zdolni są żniwić cudze zasiewy oraz zuchwale narzucać się na wodzów zastępom, które nie oni powołałi do szeregu i nauczyli władać orężem — i oświadczyła krótko i węzłowato, że: „Polska na Śląsku jest tam, gdzie stoją ks. Skowroński, p. Koraszewski i p. Napieralski oraz ich zwolennicy”. Powtarzana wtedy przestroga, że kto zamiast rozwoju domaga się skoków, naraża sprawę narodową na skръcenie karku, zgodną była z wytrawną radą J. Kraszewskiego z 1872 r., zalecającego w Programie Polskim odnośnie do Niemców: „nieprzyjaciela znać, wpatrywać się weń, ruchy swoje osłaniać, niepotrzebnych ogniów w obozie nie palić, walki nierównej nie wywoływać” — oraz z późniejszą radą ks. Damrota z 1893 r.: „*cunctando procedere* w słowach, żądaniach i czynach”⁶⁰).

„Dziennik Poznański” jeszcze pod koniec listopada 1903 pisał: „Czarnym punktem tegorocznych wyborów naszych jest Górny Śląsk, nie dlatego, iżbyśmy tam ponieśli stratę, lecz dlatego, że najzupełniej chybiły nadzieje. Pokazało się, że „Katolik” lepiej zna pole swego działania aniżeli młodzi ludzie dobrej woli, ale małej rozwagi i ci, co z daleka... popierali ich działalność. Znów się raz jeszcze pokazało, że jesteśmy lichymi politykami, że lubimy się przechwalać, więcej sobie obiecywać, aniżeli spełnić możemy.” — Wiadomo, iż na łamach krakowskiego „Czasu”, a potem w odbitce „W Sprawie Górnośląskiej” dr Feliks Koneczny w maju 1903 r. był podobne zdanie wypowiedział, mówiąc o marnotrawstwie sił narodowych i o dyletanctwie „Górnoślązaka”.

Aleć równocześnie stało się aktualnym znowu, co Stefan Garczyński w 1831 r. był wyraził wierszem:

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapalenie młody!
Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.
U niego czyny wszystkim, i nie patrząc końca,
Co tylko u nas widzi, chrzci, nazywa zdradą,
Jak ptak nocny, co nigdy znieść nie może słońca.

⁶⁰) cfr. RTPN. II, 151.

Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

To też wybory do parlamentu, wypisane na 16 czerwca 1903 r., zamieniły się w namiętną walkę, która sięgała aż do świątyni. Dnia 31 maja 1903 pisał „Górnoślązak” z goryczą: „Z kościołów naszych, gdzie na ołtarzach króluje miłość, uosobiona w Ciele i Krwi Zbawcy naszego, zrobili hale jarmarczne dla wrogiej nam polityki niemieckiej; ze spowiednic, które nam mają usunąć zawady ze szlaku, prowadzącego nas do Miłości, porobili budy jarmarczne, gdzie dają odpuszczenie grzechów za drogą cenę wyparcia się przekonań politycznych; z cmentarzy, miejsca wieczystego spokoju ojców naszych, porobili miejsca hałaśliwej i dzikiej agitacji politycznej.” — Już dnia 3 czerwca wyszło na lichą polszczyznę przetłumaczone orędzie ks. kardynała Koppa przeciwko „Górnoślązakowi”⁶⁷⁾, które sytuację znacznie zaostrzyło. Sprawcą niefortunnego orędzia był podobno ks. prob. Klaszka z Mysłowic. Na szczęście odprężył ogólne napięcie nadesłany do „Górnoślązaka” dyplomatyczny „List księdza-Polaka o ruchu polsko-katolickim na Śląsku”, śmiało charakteryzujący orędzie jako zamach centrowców na ruch narodowy, urządzony przez nadużycie dobrej wiary arcypasterza, który przecież sam nie znał gazet polskich, bo nie rozumiał języka polskiego i skazany był na pośrednictwo wrogów ruchu narodowego. Autorem listu był ks. Michał Przywara z Nowejwsi pod Sycowem.

Wybory z 16 czerwca dały partii „Górnoślązaka” 44.175 głosów, lecz ani jednego posła. W wyborach ścisłych (25 czerwca) nie przeszedł Jan Kowalczyk, który zdawał się mieć najlepsze widoki w okręgu Pszczyna-Rybnik, lecz za pomocą socjalistów zwyciężył w okręgu Katowice-Zabrze Wojciech Korfanty.

Między wyborami pierwszymi i drugimi doszło w Laurahucie do rozlewu krwi. W niedzielę, dnia 21 czerwca miał się tam na sali Ludwiga odbyć zapowiedziany z ambony polski wiec centrowy. Ledwie ukazał się na przepełnionej sali redaktor „Gazety Katolickiej”, ks. dr Stephan, zerwały się okrzyki: To czarny pierun! precz z nim! — precz z Centrum! — niech żyje Korfanty! — Proboszcz ks. Świder nie zdołał opanować sytuacji i musiał tylnymi drzwiczkami uciekać; za nim ks. dr Stephan.

⁶⁷⁾ cfr. RTPN. III, 30.

Nowa próba dostania się do sali nie powiodła się. Nawet policji nie słuchano i kogoś, co już był za opór aresztowany, uwolniono. Żandarmi zawezwali więc straż ogniową, ale lud przywitał ją gradem kamieni, poprzecinał węże, odpędził strażaków i zaciągnął sikawkę wśród okrzyków triumfalnych do sadzawki hutniczej wraz z końmi. Potem ruszył rozjuszony tłum przed probostwo, wybił wszystkie szyby, połamał płoty, wyważył wrota i dobijał się do księży, którzy myśleli, że ostatnia ich godzina nadeszła. Dopiero po 10-tej wieczorem uspokoili się fale namiętności i rozeszły się tłumy, zostawiając na miejscu zastrzelonego robotnika Taflarczyka i kilku rannych.

Niedługo po tych zajściach, bo dnia 1 lipca 1903, miał się w Bytomiu odbyć ślub Korfantego. Jeden z księży zaprotestował u ks. kardynała Koppa, wskazując na to, że zgorzenie wywołałby uroczysty ślub człowieka, którego zwolennikom odmawia się rozgrzeszenia. Ks. kardynał uzależnił decyzję od opinii 20 starszych proboszczów, których konferencja odbyła się 30 czerwca w Bytomiu i trwała dwie godziny. Stało na tym, że trzeba się zgodzić na ślub cichy, lecz ślub uroczysty miał być tylko pod warunkiem, że Korfanty odwoła swe niesłuszne zarzuty przeciwko duchowieństwu. Na darmo zażądał się Korfanty we Wrocławiu i u nuncjusza papieskiego w Monachium, a natychmiastowa próba uzyskania ślubu w Krakowie napotkała na opór tamtejszego kardynała Puzyny. Nie chcąc odwołać z obawy przed osłabieniem nowo zdobytej pozycji politycznej, a skargę do Rzymu uważając za beznadziejną, znalazł Korfanty jednak wyjście za pomocą ks. Władysława Mikulskiego, proboszcza przy kościele św. Krzyża w Krakowie, który, znając sprawę tylko z gazet polskich, myślał, że Korfantemu odmawia się ślubu w ogóle. Radził więc, by narzeczeni, choć już mieli pruski ślub cywilny, zamieszkali, każde osobno, na terytorium austriackim i obiecał, o ile *sponsa* mieszkać będzie w jego parafii, po upływie czasu, prawem przepisanego, udzielić ślubu kościelnego jako *parochus proprius ratione quasi-domicilii*. Korfanty zamieszkał w Zakopanem, a narzeczona jego Elżbieta Sprotówna przyjęła posadę nauczycielki języka niemieckiego w prywatnej szkole żeńskiej Heleny Kaplińskiej w Krakowie.

Korfantego nie było więc na Śląsku od początku lipca aż do jesieni 1903 r.

W tym właśnie czasie stworzył ks. Skowroński, który się już cieszył powszechnym poważaniem, w porozumieniu z Napieralskim pomost do zgody narodowej w postaci Polskiego Tow. Ludowego, nad którym przemyślał od dawna. „Illustracja Polska” w Krakowie przyniosła już w styczniu 1903 jego portret i zapowiadała artykułem Maćkowskiego, że od niego wyjdzie akt, mający zbliżyć duchowieństwo śląskie do ludu na podstawie narodowej. Krwawiło mu się bowiem serce na widok namiętnej kłótni pomiędzy rodakami. Uważał, że skończyć trzeba z dotychczasową polityką na własną rękę i odpowiedzialność poszczególnych redaktorów, skoro doprowadziła do rozszczepienia się ruchu narodowego na trzy odłamy 1) „Katolik”, „Dziennik Śląski”, „Gazeta Opolska” i „Nowiny Raciborskie”, 2) „Górnoślązak” i „Głos Śląski”, 3) „Gazeta Katolicka”. Przypominał, że niedobre jest panowanie wielu — jeden niech trzyma ster! Polskie Tow. Wyborcze nie umiało, niestety, skupić wszystkich stanów, skoro całkiem pominęło duchowieństwo. A ruch narodowy, żeby nie rozpuścić się w piasku kosmopolityczno-socjalnym, musi zostawić miejsce także dla kleru rodzimego, który ma czuwać, by ten ruch w krewkości swej nie zбочzył z drogi prawej i nie dostał się na pochyłość radykalną. Ks. Skowroński powoływał się przy tym na słowa ks. Antoniewicza: „kto Boga kocha, ten musi kraj swój kochać miłością, która zbawia i buduje, a nie miłością, która niszczy i burzy”. Skoro zgoda między dotychczasowymi kierownikami ruchu narodowego zdawała się na razie wykluczoną, dążył do organizacji, która by otwarcie stanęła na fundamencie religijnym i narodowym i stawiała sobie za zadanie łagodzić nieporozumienia i niesnaski z powodu wyborów powstałe i stać się łącznikiem wszystkich jednostek wpływowych, by skupić rozrzucone po Śląsku małe ogniki w jedno potężne ognisko narodowe.

Trzeba zaznaczyć, iż ks. Skowroński stał w pewnej mierze pod wpływem ks. Wawrzyniaka, który właśnie wtedy jako prezes rady nadzorczej „Kuryera Poznańskiego” przeprowadzał w redakcji tego pisma reorganizację pod kątem widzenia nie partyjnym, lecz narodowym a zarazem katolickim i energicznie przeciwstawiał się zakusom usunięcia kleru od wpływu na sprawy publiczne. Wskazując bowiem na przykład nieszczęsnych skutków takiej absencji duchowieństwa we Francji, gdzie księża, usunąwszy się od wpływu na bieg dziejów narodu, bezbron-

nym uczynili Kościół — porównywał ks. Wawrzyniak tych, co usiłują usunąć kler od wpływu na społeczeństwo, do Rzymian, gdy od Kartagińczyków żądali spalenia okrętów — wy-dania z ręki broni i sposobów obrony.

Podobną postawę zajął tu ks. Skowroński. Na konstytu-cyjnym zebraniu Tow. Ludowego (30. VII. 1903) oświadczył w Bytomiu: „Nie stoimy na żadnym programie partyjnym i nie chcemy zalecać albo zwalczać ni Centrum ni Koła Polskiego, czuwając tylko nad tym, by zasady kandydata odpowiadały wymogom tak katolickim jak narodowym”.

Polskie Tow. Ludowe dla katolików na Śląsku wytknęło sobie za cel: szerzenie oświaty, obronę i straż nad interesami katolickiego ludu polskiego na wszystkich polach życia publicz-nego. Siedzibą miały być Gliwice. Prezesem obrano inicjatora ks. Skowrońskiego; oprócz tego przystąpili do zarządu Julian Piechowski, Jan Eckert, Kazimierz Czapla, dr iur. Hylla, dr Antoni Jaworowicz, Tomasz Baron, dr Bogusław Parczewski, dr Marian Rożański, Antoni Sobociński, Franciszek Gracek, Juliusz Szaflik, Aleksander Lewandowski, Jan Mateja, Anto-ni Sieroi.

Ze wszystkich stron napływały słowa uznania. Maćkowski np. dziękował w liście z 2 sierpnia 1903 za „czyn zbawczy, któ-rego wraz ze mną z utęsknieniem co do Śląska wyczekiwała cała Polska, o ile nie hołduje dziecinno-karkołomnym urojeniom i frazesom lwowsko-wszepocholskiej junakierii”. Nawet „Gazeta Polska” w Warszawie poświęciła sprawie kilka artykułów. Centrowiec Faltin ze Strzelec pisał ks. Skowrońskiemu jeszcze dnia 4 października 1903 (przed wyborami do sejmu pruskiego): „Sie stehen jetzt an der Spitze der polnischen Bewegung und haben in Ihrer Toga die Lose über Tod und Leben der Abge-ordneten”.

Równocześnie z ugodowymi wysiłkami ks. Skowrońskiego radzili księża centrowi pod przewodnictwem ks. diekana Schmidta z Katowic na pastoralnych konferencjach w Gliwi-cach, jakie wobec radykalizmu polskiego zająć stanowisko. Po-zytywną stronę sprawy pozostawiono wnikliwemu redaktorowi „Gazety Katolickiej” ks. drowi Stanisławowi Stephanowi, który uznawał naturalne prawo ludu do dóbr narodowych i urzędowy obowiązek kapłanów do obrony tego prawa; interpretował nawet wspomniane orędzie ks. kardynała w tym sensie, że zachowanie

dóbr narodowych jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem, ilekroć ich porzucenie zagraża spełnianiu obowiązków wyższych (np. germanizacja — protestantyzacja!); wtedy mają przywódcy ludu obowiązek dbać o ich zachowanie, nawet, gdyby sam lud tego nie chciał. Ogół kleru interesował się jednak więcej stroną ujemną radykalizmu, bo był urażony jego tendencją: precz od centrum i precz od kleru! Dla przeciwdziałania zalecano obok nabywania akcyj „Gazety Katolickiej” utworzenie na Górnym Śląsku polskiego oddziału Volksverein i zakładanie związków robotniczych, jako też zorganizowanie wielkiej pielgrzymki do Rzymu.

Ks. Skowroński zdawał sobie sprawę, że ogół księży gładko myśli kategoriami kościelnymi i państwowymi, ale ma trudności z myśleniem kategoriami narodowymi. Wszak nawet t. zw. kanclerz polski ś. p. ks. Robert Engel nie mógł się przekonać o potrzebie ruchu narodowego *per se* i uważał postęp sprawy polskiej za możliwy tylko *per accidens* przy domaganiu się mowy polskiej w szkole w interesie religii. Ks. Skowroński jako pierwszy propagował solidarność kleru z ludem na platformie narodowej.

Bardzo znamiennej pod tym względem była jego przestroga: Wielebni księża-bracia! Ludu polski! Baczność! („Dziennik Śląski”, 1904, nr 31) — w której z oburzeniem reagował publicznie na przedruk w „Schles. Pastoralblatt” (1904, nr 3) artykułu z Deutsches Adelsblatt, wzywającego konserwatystów do sojuszu z Centrum. Dla księży było w danych warunkach, zdaniem ks. Skowrońskiego, jedynie zdrową polityką, dążyć do jak najsilniejszego sojuszu z ludem polskim; inaczej, czego Bismarck nie osiągnął walką kulturalną, osiągnie sojusz Centrum z konserwatystami, gdyż sprawi rozłam pomiędzy księżmi a ludem. „Że do tego rozłamu dąży polityka rządu, to się już niejednokrotnie pokazało. Nie protestanci konserwatyści, ale katolicki lud polski jest fundamentem, na którym my księża opierać się powinniśmy. Lud nasz polski tęskni gorąco za mężami niezłomnej woli, za kierownikami niezależnymi. Bądźmy takimi mężami a trzymajmy się zdala od sojuszu z konserwatystami, którzy nas poniżą na służalców systemu germanizacyjnego. W tak opłakania godnym zamieszaniu na Górnym Śląsku jest jedynym hasłem, godnym księdza katolickiego: z ludem trzymać, z ludem razem walczyć, z nim zwyciężyć albo zginąć!

Precz z sojuszem z rządowcami! Niech kierownicy centrowi nie narzucają nam się ze swoją niepotrzebną radą. My od sztabu generalnego centrowców w Wrocławiu nie potrzebujemy wskazówek, bo, będąc na miejscu, żyjąc między ludem, lepiej wiemy, jaką politykę uprawiać powinniśmy, aby lud nasz i wiara nasza nie poniosły szkody."

Lecz chociaż taka solidarność łatwo była do przeprowadzenia we wiejskich parafiach czysto polskich i chociaż Tow. Ludowe nie dało się opanować ani centrowcom z ks. Głowackim ani wszechpolakom z drem Hankem na czele, ledwie dwudziestka księży przystąpiła do Tow. Ludowego; cała reszta (c-a 400) oświadczyła się na cyrkularne zapytanie dziekanów pod koniec października 1903, że pragnie pozostać przy Centrum.

Przynajmniej wysiłki w kierunku pogodzenia Polaków samych nie były daremne. Pertraktacje zarządów Tow. Ludowego z jednej a Tow. Wyborczego z drugiej strony doprowadziły bowiem we wrześniu 1903 do zlania obu organizacji we formie Prowincjalnego Komitetu Wyborczego z tym, że „Katolik” zerwie z Centrum i przyłączy się do ruchu narodowego, Tow. Ludowe przestanie być władzą wyborczą, a dotychczasowe polskie Tow. Wyborcze rozwiąże się i poleci swym członkom wstąpienie do Tow. Ludowego. Dwa walczące dotąd obozy polskie połączyły się w jeden, który w deklaracji, zamieszczonej we wszystkich polskich pismach śląskich, zobowiązał się stanąć na gruncie programu Koła Polskiego i podporządkował się nowo stworzonemu Komitetowi Wyborczemu. Napieralski uzasadnił swój krok bardzo cenną broszurą: *Der „Katolik” und das schles. Centrum von 1889—1903.*

Zarząd Polskiego Komitetu Wyborczego dla Śląska ukonstytuował się jak następuje: 1) ks. Pendziałek Antoni z Boguszowic, przewodniczący, 2) dr. Stęślicki Jan Nepomucyn ze Siemianowic, zastępca przewodniczącego, 3) dr. Różański Marian z Gliwic, sekretarz, 4) Ligoń Adolf z Katowic, skarbnik. Delegatami do polskiego Komitetu Centralnego wybrano: ks. prob. Skowrońskiego z Ligoty i dra Hankego z Bytomia, a zastępcami tychże dra Różańskiego z Gliwic i dra Rostka z Raciborza.

Korfanty twierdził w 30 lat później, że Tow. Ludowe miało tylko ten cel, by służyć jako pomost dla „powrotu” ugo-

dowców do obozu narodowego. Jan Jakub Kowalczyk uzupełnia to przypomnieniem, że Korfanty uważał zgodę narodową z roku 1903, zawartą w jego nieobecności, za ujmę dla swego stanowiska politycznego i robił Kowalczykowi ciężkie zarzuty, że śmiał bez jego wiedzy wydać z rąk władzę i dobrowolnie dzielić się nią z Napieralskim. Tak staje się zrozumiałym, że Korfanty 1905 r. wystąpił z redakcji „Górnoślązaka”, zanim pismo przeszło na własność „Katolika” i założył w Katowicach 1906 r. własną gazetę p. t. „Polak”. Dopiero 1910 r. zawarł osobną zgodę z Napieralskim, przekonawszy się, że *nec Hercules contra plures*.

Tymczasem był Korfanty wciąż zaprzętny swym ślubem kościelnym. Dnia 5 października 1903 r. odbył się wprawdzie uroczysty ślub w kościele św. Krzyża w Krakowie, lecz ks. kardynał Kopp zaczął w Rzymie ważność tego ślubu, a proboszcz przy kościele św. Krzyża w Krakowie ks. Władysław Mikulski musiał się przed rzymską Kongregacją Soboru tłumaczyć, przy czym oczywiście nie omieszkał zwrócić Rzymowi uwagę na polityczne tło sprawy. Jego umiejętną replikę z dnia 3 lutego 1904 ogłosiło wiele gazet polskich *in extenso* w języku łacińskim. Kongregacja rozstrzygnęła w kwietniu, że ślub jest ważny, a choć we Wrocławiu i Krakowie schowano decyzję w aktach tajnych, to ks. Mikulski miał w ręku takie powiadomienie od swego adwokata w Rzymie:

Sac. Emmanuele Cerchiarl,
Avvocato presso la Sacra
Congregazione Romana.

Roma, 22. 4. 1904.

Adm. Rev. Dne!

Pergratum mihi est Tibi significare, Sacram Concilii Congregationem instantiam Eminentissimi nostri adversarii reiecit et matrimonium Dni Korfanty firmum manere statuisset, Sanctissimo hujusmodi resolutionem adprobante. Heri Sacra ipsa Congregatio Eminentissimis Cardinalibus Cracoviensi et Vratislaviensi ex officio resolutionem transmisit, et ita quaestio finita est.

(podpis)

Lecz publiczne zainteresowanie ślubem Korfantego było już przytłumione nową sensacją, jaką stanowił podwójny proces bytomski przeciwko „Górnoślązakowi”. Jedną skargę wniósł sam ks. kardynał Kopp, obrażony zarzutem „Górnoślązaka”, że konferencja dziekanów we Wrocławiu (19—20 paźdź. 1903)

pod jego przewodnictwem zajmowała się polityką, oraz ciągłym twierdzeniem „Górnoślązaka”, że kler jego diecezji nadużywa kościoła do celów politycznych. Drugi proces wytoczył „Górnoślązakowi” ks. proboszcz Ludwik Skowronek z Bogucic w imieniu własnym i 33 księży, obrażonych zarzutem symonii; *ex post* przyłączył się ks. kardynał i do tej skargi.

Powody do obu skarg powstały w agitacji przed wyborami do sejmu pruskiego (20 listop. 1903). Było bowiem dnia 19 października rzeczywiście polityczne zebranie dziekanów we Wrocławiu, lecz nie z inicjatywy i bez udziału ks. kardynała, który przewodniczył dziekanom tylko na oficjalnej i kościelnej konferencji, która się wtedy we Wrocławiu odbywała. Celem zebrania politycznego było zająć stanowisko wobec nowej sytuacji, wytworzonej przez założenie polskiego komitetu wyborczego. Pewien kapłan nazwał na łamach „Górnoślązaka” uchwalony wtedy cyrkularz pismem rewolwerowym i listem gończym, rozesłanym w tym tylko celu, by zwrócić uwagę regencji na odmawiających podpisu księży o polskiej orientacji. Przy tym twierdził „Górnoślązak” dnia 8 listopada, iż od mniej więcej 15 lat każdy zgłaszający się o probostwo wikary musi dać przed władzą świecką przyrzeczenie, że będzie popierać germanizację. W tym twierdzeniu upatrywali ks. Skowronek z Bogucic i jego współnicy procesowi obrażający zarzut symonii.

Sąd bytomski rozpatrywał najprzód skargę pierwszą, przy czym obrońca „Górnoślązaka” adwokat dr Zygmunt Seyda sam sprowadził na rozprawę ca 70 świadków odwodowych. Zeznaniom ich przysłuchiwał się delegat kardynała ks. radca Buchmann z Wrocławia, którego się przewodniczący m. in. zapytał, czy wolno penitentowi zeznawać, o czym ksiądz na spowiedzi z nim rozmawiał. Tenże ks. radca Buchmann interweniował na prośbę Korfantego u ks. kardynała; dnia 26 marca 1904 r. sąd stwierdził, że ks. kardynał Kopp wycofuje skargę. Po długich targach o odwołanie także drugiego zarzutu (symonii), które się w nrze 132 „Górnoślązaka” nareszcie ukazało we formie uzgodnionej, wycofali skargę także ks. Skowronek i towarzysze. O wspomnianym ks. Buchmannie wyraził się ks. kardynał w liście do ks. radcy Schirmeisena (12. IV. 1904), że się w sądzie zachował jak niemowlę.

Proces bytomski był moralnym zwycięstwem ruchu polskiego. Tego ogólnego wrażenia nie zdołała osłabić ani obszerna

i zresztą ciekawa książka ks. dra Stephana⁶⁸), założona jako apologia kleru górnośląskiego. Ks. Skowroński ubolewał, że *per accidens* ucierpiała przez proces powaga duchowna, ale był kontent, że złamany został nareszcie terror centrowych księży wobec ludu. Ponieważ jednak doświadczenia z procesu bytomskiego nie zostały zaraz przelane w formę urzędowego zarządzenia kurii wrocławskiej, poszły znowu w zapomnienie, jak dowodzą broszurki ks. Jana Kudery (Giovanni) „Oberschlesien und sein Clerus, Was Zeitungen innerhalb eines Monats darüber berichten” (Bytom 1912) i „Die Geistlichkeit in Gleiwitz-Lublinitz im Wahlkampfe 1918”. Broszurka druga, która wyszła jako manuskrypt, cytuje in extenso zażalenie polskiego Komitetu Wyborczego z powodu nadużywania ambony przez księży centrowych, wysłane do księcia-biskupa wrocławskiego z wyraźnym powołaniem się na świeżą wtedy encyklikę Benedykta XV *Humani generis* o kaznodziejstwie i wydane w związku z nią normy Kongregacji Konsystorialnej z dnia 28. VI. 1917, zwłaszcza normę 20, która brzmi: *concionatoribus tamen omnibus de re politica in ecclesiis agere omnino et absolute sit vetitum.*

*

Książka ks. dra Stephana o procesie bytomskim, która się ukazała drukiem we wrześniu 1904 r., stała się wydarzeniem politycznym przez to, że zdemaskowała tajną dotychczas pracę Narodowej Demokracji na Górnym Śląsku. Ks. Kapica był bowiem dostarczył ks. Stephanowi świeże wtedy dzieło Scriptora (Erazma Piltza) „Nasze stronnictwa skrajne”, a ks. Stephan hojnie z niego czerpał. Stąd powstała na niego wielka nienawiść w redakcji „Górnoślązaka”. Właśnie ta nienawiść doprowadziła niebawem politykę „Górnoślązaka” do absurdu przy uzupełniających wyborach do sejmku w okręgu pszczyńskorybnickim, które były z powodu śmierci centrowego posła dra Moritza z Pilchowic rozpisane na dzień 6 października 1904 r.:

Polskim kandydatem był ks. Antoni Pendziałek, proboszcz w Boguszowicach, a prezes Polskiego Komitetu Wyborczego na Śląsk; centrowym kontrkandydatem był ks. dr Stanisław Stephan; rządowym zaś kandydatem inspektor szkolny Rzeźnitczek. Ks. Pendziałek otrzymał tylko 84 głosy, ks. Stephan 290,

⁶⁸) Der Beuthener Prozess im Lichte der Wahrheit, Król. Huta 1904.

Rzeznitzek 318, a przy ściślejszych wyborach pomiędzy ks. Stephanem a Rzeznitzkiem przeszedł ten ostatni, zdobywszy głosów 345. Skandalem politycznym było, że o zwycięstwie rządowego kandydata rozstrzygnęło 27 polskich wyborców, którzy w obecności w Żorach dra Zygmunta Seydy a za namową redaktorów „Górnoślązaka” Kowalczyka i Piechulka głosowali ostentacyjnie na Rzeznitzka, „by centrowcom dać nauczkę”. Cała prasa polska piętnowała takie postępowanie — tylko „Górnoślązak” cieszył się na chwilę, że buta centrowców została poskromiona. „Katolik” pisał o hańbie i niedorzeczności, „Dziennik Poznański” o zupełnej niedojrzałości i dziecinnej zemście, „Głos Narodu” o zdradzie sprawy narodowej, „Dziennik Berliński” o bezbrzeżnej lekkomyślności i krańcowej bezradności. „Dziennik Berliński” zastosował do owych 27 polskich wyborców powiedzenie posła na sejm Czarlińskiego: „Nur die allergrössten Kälber wählen ihre Metzger selber”, co było zarazem aluzją do nazwiska obranego posła Rzeźniczka. Jeszcze po miesiącu pisał „Kraj” o krótkowidztwie polityki „Górnoślązaka”. Nadaremno przekonywał sekretarz Polskiego Komitetu Wyborczego dla Śląska adwokat dr Zygmunt Seyda z Katowic oświadczeniem z 14 października rodaków, iż Kowalczyk i Piechulek nie działali z osobistej nienawiści do ks. Stephana, ale chcieli tylko zrównoważyć głosy polskie, oddane na centrowca. Jego twierdzenie, iż klęska ks. Stephana ze względu na wyjątkowe warunki „odpowiada najzupełniej naszym intencjom”, a rządowiec Rzeznitzek jest mniejszym złem — zostało zdezwuowane rezolucją Koła Polskiego z dnia 27 października, ogłoszoną z podpisami ks. Szumana jako prezesa i dra F. Niegolewskiego jako sekretarza. Koło Polskie wyraziło ubolewanie nad faktem, że przez poparcie polskich wyborców pozyskał mandat członek partii szczególnie nieprzychylny dla narodowości polskiej, i potępiło raz na zawsze głosowanie na kontrkandydata partii centrowej tam, gdzie kandydat Koła nie ma widoków przejścia; w końcu ubolewało nad zaostrzonym tonem w stosunkach górnośląskich pomiędzy Centrum a ludnością polską.

Ks. Pendziałek oświadczył dnia 13 listopada przez gazety, że składa przewodnictwo w Polskim Komitecie Wyborczym i występuje z niego. W oczach ks. kardynała Koppa był także ks. dr Stephan po klęsce żorskiej „politisch erledigt”, choć

jeszcze przez parę miesięcy pozostał w redakcji „Gazety Katolickiej”. Potem, nie zdoławszy nawet zapłacić wszystkich kosztów druku za książkę o procesie bytomskim, musiał ustąpić z areny politycznej, a w sierpniu 1905 r. otrzymał dekret administratora w Pasewalku na Pomorzu.

Wypadek żorski przyczynił się do znacznego otrzeźwienia polityki górnośląskiej. Nawet „Górnoślązak” zaczął załamywać ręce nad „bratobójczą walką”. Napieralski użył porównania, że po bardzo hulaszczyczych zapustach politycznych nastąpił polityczny popielec z przyrzekaniem poprawy. Taki towarzysz broni „Górnoślązaka” jak „Głos Śląski” przyznawał: „Dwa najfatalniejsze błędy, jakie „Górnoślązak” w swych początkach popełnił, były te, że hałaśliwie wołał: precz z Centrum! — i że niemniej hałaśliwie wyznawał swoją wszechpolskość”. Teraz robiono lepsze dystynkcje; ks. dr Stephan zapewniał, iż rozróżnia Polski Komitet Wyborczy od wszechpolaków, a prasa wielkopolska wyznawała za „Orędownikiem”: „Pod wpływem ciągłego krzyku „Górnoślązaka”: precz z Centrum! — pod wpływem krzyków: ks. dr Stephan z swoją „Gazetą Katolicką”, to największy germanizator i hakatysta! — ulegliśmy wszyscy sugestii, że „Górnoślązak” sprawia szyki narodowców przeciw Niemcom-centrowcom ... „Górnoślązak” pisał dosłownie: przegnamy was, centrowcy, za ostatnie granice Śląska! I dziwić się, że szersza publiczność, uważająca „Górnoślązaka” za pierwsze pismo narodowe na Śląsku, uwierzyła mu wszystko na słowo, a więc i to, że na Śląsku ugania się z centrowcami Niemcami, a nie głównie z własnymi rodakami, centrowymi Polakami. Dopiero doświadczenie w Żorach wyprowadziło szerszą publiczność z tego obłądu... Na tym polegał u nas wszystkich kardynalny błąd w obserwacji i w ocenie spraw górnośląskich.”

Ten widoczny przewrót w górnośląskich nastrojach politycznych był właściwym powodem ogłoszenia nieważności wyboru Korfantego z roku 1903. Lecz zamiast zaszkodzić przez to sprawie polskiej, osiągnięto jej skrzepnięcie przez ponowny wybór Korfantego dnia 12 października 1905 r. Centrowcy postawili kandydaturę ks. Kapicy z Tychów, bodaj wtedy najpopularniejszego kapłana. Śpiewano: Hej katolicy, stójmy przy Kapicy, dzielny on obrońca będzie nam do końca! — Z Korfantego zaś szydzono, że „obiecał nam krowy tłuste a dał tylko słowa puste”. Mimo to przepadł ks. Kapica (9102 głosy), a

Korfanty zwyciężył świetnie (23.208 głosów) — co było dowodem namacalnym, że ruchu narodowego na Górnym Śląsku nie można już zlikwidować.

Przywódcy centrowi stanęli wobec zagadnienia, czy pakować teraz z Polakami ze względu na wspólnotę wiary, albo czy ze względów narodowych nie iść ręką w rękę z konserwatystami. Ponieważ zaś Centrum na Górnym Śląsku opierało się głównie na duchowieństwie, krystalizowało się coraz wyraźniej drugie zagadnienie, czy księża w ogóle mają jeszcze brać czynny udział w polityce.

Wobec tak rozszerzonej problematyki aktualnej zmalało znaczenie Polskiego Tow. Ludowego. Ks. Skowroński jako prezes prowadził wprawdzie przez pewien czas ożywioną korespondencję na wszystkie strony, lecz w końcu złożył przewodnictwo i za przykładem ks. Pendziałka wystąpił też z Komitetu Wyborczego, tłumacząc się odległością Ligoty od ośrodków ruchu politycznego, jakimi były wtedy miasta Bytom, Gliwice i Katowice.

Tow. Ludowe powoli zamarło, spełniwszy dobrze tylko jeden wielki cel doraźny.

VIII. KSIĘŻA NA FRONCIE PARLAMENTARNYM (1906—1907)

Ustąpienie ks. Skowrońskiego z prezesury Tow. Ludowego i z Komitetu Wyborczego nie oznaczało bynajmniej rezygnacji z czynnego udziału w życiu publicznym. Dowodem jest następujący, nigdzie, zdaje się, nie drukowany wiersz z tego czasu:

O życie idzie gra! Znasz śmierci próg? —
 Oziębłość rodzi sen — snu płodem bierność —
 Gdzie serca — czynu brak, zwycięża wróg.
 Nićności próchno tam — gdzie chłód i mierność.

O życie idzie gra! Znasz życia cud? —
 To zapal, męstwo, znoj — zwycięstwa wiara —
 Gdzie serca kipie krew, gdzie bój i trud —
 Tam w blasku życia niknie śmierci mara.

O życie idzie gra! Chciej, ludu, żyć!
 Czcij ojców twoich ród — i dźwięk twej mowy —
 Przystanie srożyć się twój wróg i wyc —
 Gdy, zmartwychwstając, dźwigniesz głaz grobowy.

Pełen zachwytu dla polskiego *élan vital*, chciał się proboszcz ligocki według sił przyczynić do zwycięstwa ruchu narodowego. Ponieważ radykalniejszy od niego, choć nie tak odważny, ks. Michał Przywara już dogorywał i niebawem umarł przedwcześnie (31. X. 1906), stał się ideowym przywódcą kleru o polskiej orientacji ks. Skowroński. Stojąc w przedniej straży czasu, posługiwał się nawet bajką polityczną.

Na zarzut bowiem, że Górnoszlązacy niewdzięcznie obeszlą się z centrum, już 1903 był w „Głosie Śląskim” (1903, nr 87) odpowiedział wierszowaną bajką o kurze i kaczątkach:

Żeś je wylęła — twą jest zasługą,
 Że zaś pływają — ich to naturą.
 Bierz stąd nauczkę — wcale nie długą:
 Kaczę — kaczęciem, kura zaś — kurą.
 Twym elementem grzędę, zagrody,
 Kacząt zaś były i będą wody!

Po klęsce wyborczej ks. Kapicy pisywał ks. Skowroński jako ks. XYZ na przełomie lat 1905—1906 mnóstwo artykułów do „Gazety Opolskiej” i podniecał nimi zasadniczą dyskusję z centrowcami. Berlińska deklaracja centrowych postów z dnia 16 lutego 1906 przeciwko pomysłowi politycznej abstynencji kleru⁶⁹⁾ dyktowała mu nową bajkę polityczną w pióro, a mianowicie:

„Wóz za ciężko naładowany ugrzązł aż po same osie w trzęsawisku. Konie wyteżyły wszystkie siły, aby go wyciągnąć z błota na drogę brukowaną. Lecz nadaremno! Konie, dysząc i trzęsąc się od nadmierne go zmęczenia, stoją nieruchome, oblane potem. Ludzie rozsądni, patrząc na to z litością, radzą surowemu furmanowi, by przecież zładował z woza ciężary, a tak ocalił konie i wóz. Inni znowu radzą wyprządz konie, aby przynajmniej one uratować, jeżeli wóz już ma utonąć w trzęsawisku. Lecz furman w wścieklej zapalczywości macha biczem i butnie odpowiada: głupstwo! na wozie się nic nie zmienia; szło dotąd, to i dalej pójść musi. Konie są nato, aby przy wozie były zaprzężnięte, trzeba je tylko polechtać biczem po grzbiecie, a wyciągną wóz. To jest ich przeklęta powinność, gdyż na wozie wiozą dla siebie ciężkie miechy owsa. — I nuż poczyna okładać konie biczem, że aż trzeszczą ich kości. Lecz nadaremno; utonęły zmęczone konie, utonął i wóz w trzęsawisku, a furman, z klątwą na ustach, opuścił miejsce nieszczęścia, gdyż był tylko najemnikiem, a wóz i konie należały do pana.

Wóz ciężko naładowany — to partja centrowa; zaprząg, wyteżający ostatnie swe siły — to księża; trzęsawisko — to Górny Śląsk;

⁶⁹⁾ cfr. RTPN. III, 34—36.

furman zaślepiony w zapalczywości — to sztab centrowy we Wrocławiu i jego potulni adjutanci, posłowie śląscy. Partja centrowa coraz to więcej tonie w błocie, a wszelkie wysiłki księży, by ją uratować, okazały się bezskutecznymi. Radzono nad tem, jakby samą partję zreformować i uruchomić, radzono także, aby księży usunęli się od działalności politycznej w partji centrowej, znieawidzonej u ludu, i tak ocalili swój wpływ na lud, potrzebny im do wypełniania obowiązków kapłańskich w kościele. Lecz furman, t. j. sztab centrowy we Wrocławiu, zwołał posłów i z gniewem zawyrokował: głupstwo! zmian nie będzie, centrum musi walczyć pod starą chorągwią. Księża pozostaną zaprzęgnięci przy wozie centrowym, bo bez nich wóz się z miejsca nie ruszy — i śmignął głośno biczem, a tym biczem była znana deklaracja posłów centrowych, która wszystko pozostawiła przy starem...

Kto chce być bezrozumnym koniem — niech słucha; ale niech się zastanowi nad tem, co będzie. Oto, gdy wóz i konie zatopiły się w błocie, furman z lekkim sercem opuścił miejsce nieszczęścia i pozostawił konie w konwulsyjnych drgnieniach, boć u pana jego jeszcze jest dużo innych koni. Tak też sztab centrowy, zaprowadziwszy księży na polityczne trzęsawisko i widząc wszystko stracone, ruszy tylko ramionami i pozostawi księży w ambarasie. Wszak jego pani centrowa jest bogata w mandaty i nie potrzebuje się oglądać na głupi Śląsk. O księżach zaś kronika centrowa sucho powie: zginęła stara gwardja, ale się nie poddała. Nikt zaś nie obliczy, ile nieszczęścia pod względem religijnym i materialnym wynikło dla naszego ludu z tej zarozumiałości partji centrowej na Śląsku, która zdaje się być sama sobie celem i zapominać o tem, że jej celem ma być dobro ludu, który jej niegdyś polecił obronę swych interesów. Czas największy, aby młoda gwardja księży zabrała się do pracy nie dla partji centrowej, ale wyłącznie dla ludu.”

To samo był dnia 20 marca 1906 w Żorach powiedział ks. Kapica na zebraniu centrowych mężów zaufania, by złożyć na końcu urząd przewodniczącego komitetu. Kassandrą w partii centrowej nazwał go wtedy ks. Skowroński:

„Jakaż różnica między zapatrywaniem ks. Głowackiego a ks. Kapicy! Ks. poseł Głowacki grzeszy powierzchownem traktowaniem kwestii górnośląskiej, podczas gdy ks. Kapica wniknął w same jądro sprawy i dlatego też jego mowa żorska ma coś tragicznego w sobie, czyni na słuchaczach wrażenie szamotającego się ducha zrozpaczonego, wrażenie uwięzionego sokoła, bijącego żelazne pręty klatki zranionymi skrzydłami. To mąż o bystrym rozumie, daj Boże, aby się ten sokół wyrwał z klatki centrowej i zabujał swobodnie nad Górnym Śląskiem. Deklaracja posłów a razem z nią ks. Głowacki pcha księży do walki z ludem, ale centrum samo, jako partja, nie chce przez reformy ułatwić księżom pracy pośród ludu i odzyskania utraconego wpływu i zaufania. Ks. Głowacki z butą odzywa się i na niej pokłada nadzieje partji centrowej. Ks. Kapica zaś, znając lepiej stosunki, woła rozpaczliwie: „przywódcy stracili kierownictwo, powiedzmy otwarcie, stracili głowę”. Ks. Głowacki:

przedstawił w sejmie liczbę księży, należących do polskiej partji ludowej, jako śmiesznie małą. Według mojej znajomości i mego obliczenia jest przynajmniej 43 księży, stojących już na fundamencie partji ludowej, a oprócz tego przynajmniej 47 księży, którzy naszemu ruchowi sprzyjają. Jeżeli się zważy, że jeden ksiądz-ludowiec zrównoważy wpływ dziesięciu księży centrowych, wtenczas walka młodej gwardji centrowej wypadnie dla niej niekorzystnie. Lepiej, jeżeli ta gwardja za radą ks. Abramskiego we walce rasowej odrzuci broń, a tak przynajmniej zachowa swój wpływ w sprawach religijnych... Zapewniam ks. Kapicę, że my księża ludowcy, których niepięknie zaczepił ks. Głowacki, walczymy z idealnych pobudek, za idealną sprawę, o dobro naszego ludu uciskanego, z któregośmy wyszli. I z tych to idealnych powodów życzę ks. Kapicy ze serca, aby jego szamotająca się dusza rozerwała pęta przynależności do partji centrowej, żeby w naszym obozie znalazł spokój serca, które w mowie jego żorskiej wydało taki bolesny — rozpaczliwy jęk.”

Historyczne znaczenie miał zwołany przez komisarza biskupiego ks. dziekana Głowackiego zjazd księży górnośląskich, który się odbył dnia 26 kwietnia 1906 w Kędzierzynie z referatami ks. Kapicy, ks. Skowrońskiego i ks. Rasska. Tematem było pytanie, czy księża mają jeszcze brać udział w polityce. Od wyborczej klęski ks. Kapicy (1905) nie schodziła ta sprawa z porządku dziennego. Deklaracja berlińska ujawniała zdanie polityków⁷⁰⁾, teraz mieli się wypowiedzieć duszpasterze.

Najprzód mówił ks. Kapica, który w Żorach przed miesiącem był złożył przewodnictwo w Komitecie centrowym; zakończył swój konkretnie ujęty i jasny referat wnioskiem, że dla uzgadniania sprzecznych poglądów księży trzeba by utworzyć górnośląską centralę kleru o celach pastoralno-wychowawczych a o kompetencji tylko egzekutywnej. — Ks. Skowroński wywołał od razu pewną sensację, gdy zaczął mówić w języku polskim (cfr. zał. VII). Naświetliwszy sytuację podobnie jak ks. Kapica, przestrzegał jednak przed złudną nadzieją, że się znajdzie jeszcze linia środkowa, na którejby politycznie pojednać można wszystkich księży. Radził rozejść się w zgodzie jak onegdys Abraham i Lot. Przy tym wyraził prośbę: „Jeżeli wspólny nieprzyjaciel uderzy na nas, to jak Abraham Lotowi spieszymy sobie wzajemnie z pomocą braterskiej miłości. Pozostanmy braćmi!”

Lecz odtąd już nigdy nie było solidarnej akcji duchowieństwa z dołu. Zresztą okazało się niebawem, że wszelka zbiorowa akcja kleru zależną jest od zgody biskupa.

⁷⁰⁾ cfr. RTPN. III, 31—39.

W marcu 1906 był złożył mandat górnik Królik, centrowy poseł do parlamentu z okręgu Bytom-Tarnowskie Góry, który 1903 był przeszedł jako kandydat ludowy przeciwko oficjalnemu kandydatowi niemieckiemu. Przy wyborach uzupełniających (12 czerwca) zwyciężył Napieralski (głosów 25.922) inspektora górniczego Musialika (głosów 7.763), centrowca, za którym był mocno zaangażowany proboszcz Tarnowskich Gór ks. Kokot. Świetne artykuły przedwyborcze ks. Skowrońskiego, ogłaszane w „Gazecie Opolskiej”, padały centrowcom na nerwy. „Schles. Volkszeitung” (nr 172), daremnie prowokowała dzielnego szermierza, „den geistlichen Freund des klerusfeindlichen Radikalismus”, by podniósł przyłbicę.

Ks. Skowroński nazwał ten numer „Schles. Volksztg.” smrodliwą bombą, która mu padła na biurko w czasie, gdy się rozkoszował balsamiczną wonią fiołków na pulpicie, a ponieważ była właśnie Wielkanoc, śmiał się: „To mi śmigus — ha, ha! ciekawy tylko jestem, czy w innych gazetach centrowych nie obudzi się sławne uczucie katolickie, gdy spostrzegą, że arcyklerykalna „Schles. Volksztg.” zamiast perfumowaną wodą miłosiernie leje księdza gnojówką”. Zacytowaawszy niemieckie przysłowie: -Wer schimpft, hat Unrecht! — ciągnął dalej swe „dumanie wiosenne”: „Postawiłem znowu... obalony bukciek fiołków na biurku i napawałem się jego wonnością. Naturalnie nabrały teraz moje dumania wiosenne cokolwiek politycznego zabarwienia — i dlatego z politycznego punktu widzenia patrzałem teraz na wiersz w dodatku „Orędownika”:

I zła jędza — zima mruczy i przeklina:
 Czas jej stąd uciekać, wybiła godzina,
 Próżno się szamoce, łupów tak jej szkoda!
 Daremne wysiłki: idzie wiosna młoda.

Tak, tak! Zła jędza centrowa mruczy i przeklina, gdyż dla niej wybiła godzina. Daremne wysiłki! Idzie wiosna młoda, idzie młoda gwardia! I spojrzałem w duchu na nasz ukochany Śląsk, a usta powtarzały dawniejszy wiersz:

Każde serce wciągnęło w siebie
 Nowych nadziei pełny wir,
 Czyżby na twem, Śląsku, niebie
 Wisieć miał wciąż smutny kir?

I ty powstać masz z niedoli!
 Nowe życie w tobie wre!

Dość już tego, co cię boli,
Dość tej wzgardy, co cię żre!

Jak wiosenny sok umaja
Świeżem liściem konar drzew,
Tak swą młodzież dziś upaja
Odrodzenia twórcza krew.

Wiosna! Wiosna! Odmłodzenie!
Oto hasło, co nam brzmi.
Zmartwychwstanie, odrodzenie.
Jak nadziei gwiazdka lśni!

Niech w zawiści gad wciąż syka,
Pełzać, sykać, gadów cel;
Skrzydłem dziarskiego orlika
Ty ku niebu duchem strzel!

Niech wyrodných serc łańcuchem
Opasują, dręczą kraj —
Ty go zerwij polskim duchem,
A zakwitnie — polski maj!

Kiedy „Schles. Volksztg.” po wyborach pocieszała swych czytelników, że to tylko chwilowe i przypadkowe zwycięstwo polskie, ks. Skowroński artykułem „Zaślepieni” (Górnoślązak, 1906, nr 140) przestrzegał przed złudzeniem i zastosował do „Schles. Volksztg.” słowa Krasieńskiego: „Ani pojęcia o nas nie masz. Nie wiesz, jakie kwiaty uczucia wydaje najrozdeptańsza ziemia w Europie, orana lemieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń — i nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomeków. Skoro los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie, że równi i ciż sami bólem bezmiernym.”

„Zaślepieni, nie mylcie się! Ruch narodowy nie może i nie złoży broni ni przed księżmi, ni przed samym biskupem, bo chodzi o najświętsze prawo narodu, o zabezpieczenie bytu. Przestańcie więc podżegać księży przeciw ludowi i wbijać klin między tradycyjną łączność ludu z księżmi. Popychano księży przy wyborach w Katowicko-Zabrskiem i Bytomsko-Tarnogórskiem do walki przeciwko ruchowi polskiemu, a teraz jak tam tak tu leżą księża na bojowisku jako trupy moralne i polityczne — a lud czuje do nich w sercu głęboki żal, bo widzi, jak węzeł przywiązania rozluźnia coraz więcej sprawa partyjna, centrowa... Ruch jako taki nie potrzebuje księży, bo spotęźniał bez nich a nawet wbrew ich woli — ale ludowi jest żal swych księży, których jeszcze kocha, a widzi ich w szeregach swych politycznych przeciwników. Czyż ma nadal pozostać ten rozłam między księżmi a ludem?.. Jak lud znalazł drogę do zupełnie legalnej partji ludowej, tak też i księża polscy przyłączą się z czasem, boć serce ich polskie pociągnie ich za owieczkami — i będzie jeden obóz zgodnych!”

Zwolennicy „Schles. Volksztg.” wstrząsali na to ramionami i dziękowali za smutną rolę, „Nachläufer und Schleppenträger der augenblicklichen Verirrung der Volksseele zu sein nach der Parole: ich soll ihr Führer sein, also muss ich hinter den Schreihälsen und Fanatikern herlaufen, und wenn es zum Abgrund geht!”

*

Na jesień tego samego roku 1906 wybuchnął w Poznańskim wielki strajk szkolny, w którym według obliczeń prof. Buzka udział brało 46.868 dzieci; gazety śląskie pisały o 70.000. Przejorny lecz odważny list pasterski ks. arcybiskupa Floriana Stablewskiego z dnia 14. X. 1906 w obronie nauki religii w języku ojczystym znalazł odgłos i na Śląsku, zwłaszcza że i tu zachodziły sporadycznie wypadki strajku szkolnego (cfr. Wincenty Ogrodziński, Strejk szkolny na Górnym Śląsku w roku 1906, Katowice, „Polonia” bez roku — ca 1931). Łudzono się nawet nadzieją, że i ks. kardynał Kopp da się nakłonić do publicznej obrony pacierza polskiego w szkole, pomny słów Izajasza 58, 1: *Clama! ne cesses. Quasi tuba exalta vocem tuam!* — By dla jego zachęty i podpory uchwalić odpowiednią petycję, miał się dnia 6 listopada w Katowicach na sali Reichshalle odbyć wielki wiec w sprawie religijnego wychowania dziatwy. Na wiec zapraszał komitet 10 księży z następującymi podpisaniami: ks. Paweł Brandys, prob. z Dziergowic; ks. Teodor Jankowski, prob. z Wielkiego Kotorza; ks. Jan Kapica, prob. z Tychów; ks. Tomasz Kulka, prob. z Chrzumczyc; ks. Antoni Pendziałek, prob. z Boguszowic; ks. dziek. Henryk Ring z Rybnika; ks. Władysław Robota, prob. z Gierałtowic; ks. Paweł Rogowski, prob. z Jendryska; ks. Aleksander Skowroński, prob. z Ligoty; ks. Józef Wajda, prob. z Kielczy. Główny referat miał wygłosić ks. Skowroński; oprócz tego mieli przemawiać ks. Robota z Gierałtowic i gospodarze Kupiec z Łąki i Kędzior z Grzawy.

Na kilka dni przedtem (24 paźdz.) odbyło się w Nysie zebranie mężów zaufania śląskiej partii centrowej, prawdopodobnie inspirowane przez ks. kardynała Koppa. Na wniosek komisarza biskupiego i posła ks. dziekana Głowackiego z Wysokiej stwierdzono i tam osobną rezolucją, że prawo udzielania nauki religii... przysługuje wyłącznie Kościołowi i że naukę w szkołach elementarnych należy udzielać dzieciom według woli ro-

dziców w języku ojczystym, a w końcu, że zjazd protestuje przeciw każdemu naruszeniu tego prawa przez organa państwowe.

Ks. kardynał Kopp, nie poinformowany może o szczegółowym programie wiecu katowickiego, obawiał się, że tam gwałtownie wybuchną narodowe namiętności, a w konsekwencji strajk szkolny ogarnie Górny Śląsk. W ostatniej chwili zobowiązał więc i ks. Kapicę i ks. Skowrońskiego do odwołania wiecu z tym, że wystarczy przecież rezolucja nyska.

Zakaz wywołał wielkie oburzenie; nazywano ks. kardynała Koppa prawą ręką rządu pruskiego i zaczęto mówić o kościele prusko-katolickim. „Dziennik Śląski” pisał: „Rząd i hierarchizm ci wdzięczni będą za ten krok biskupi. Z łez i bólu ludu naszego ta wdzięczność wrogów naszych płynie, płynie do stóp purpurata, do stóp rycerza orderu czarnego orła, do stóp męża, któremu inna wdzięczność, wdzięczność wiernych, winna być rozkoszą!” — Porównanie kardynała Koppa z arcybiskupem Stablewskim samo się narzucało. Rozgoryczenie wzrosło, gdy ks. Skowroński ogłosił w „Schles. Volksztg.” oświadczenie *ex post*, że do komitetu księży, zwołujących wiec, byli proszeni także ks. Schmidt z Katowic i ks. Loss z Pawłowic, którzy niestety odmówili; wynika jednak z tego, że komitet nie miał wcale zamiaru przeszczerzyć strajk szkolny na Górny Śląsk i ułatwić robotę tym, co trzymają w ręku sprężyny agitacji; właśnie dążono do wręcz przeciwnego celu, chciano bowiem ludowi, mocno wzburzonemu, polecić rezolucję nyską. — Podobne oświadczenie złożył na zebraniu księży w Kędzierzynie dnia 8 listopada ustnie ks. Brandys. Na łamach „Schles. Ztg.” potwierdził to nawet ks. Rassek, nazywając udaremnione wiec katowicki wynikiem „pożałowania godnej” rezolucji nyskiej, z którą kler niemiecki nie ma nic wspólnego.

Ks. kardynał Kopp zaraz podziękował ks. Skowrońskiemu za wielkie zaparcie się siebie i zapewniał go, że mu tej ofiary nigdy nie zapomni. Kazał też wydrukować w „Posłańcu Niedzielnym” (nr 45) orędzie arcybiskupa Stablewskiego. Lecz księża centrowi, z ks. Głowackim i ks. Schmidtem na czele, odsuwali się coraz więcej od konfratrów polskich. Z ostentacyjnym pominięciem autora myśli o centrali duchowieństwa tj. ks. Kapicy, założono z okazji posiedzenia wydziału śląskiej partii centrowej w Kędzierzynie dnia 8 listopada centralny

związek księży górnośląskich — jak „Katolik” pisał, celem politycznego skneblowania księży powrozem centrowym. Faktycznie udzielono zaraz nagany tym księżom centrowym, co byli wstąpili do komitetu, zwołującego wiec katowicki. Urażony tym ks. Kapica odezwał się dnia 12 listopada 1906 w „Schles. Volksztg.” obszernym oświadczeniem i twierdził, że fakta są głośną naganą tej polityki, której wyrazem jest nagana kędzierzyńska:

„Buntuję się przeciwko taktyce, która zaostrza istniejące przeciwieństwa pomiędzy duchowieństwem samem i pomiędzy księżmi a ludem i które doprowadzić musi do zupełnego osamotnienia kleru w polityce a może nawet w duszpasterstwie... Gdy dawałem swój podpis, stałem pod wrażeniem przekonania, że oprócz partji istnieje jeszcze inny, daleko szlachetniejszy węzeł, łączący kapłanów z kapłanami i duchowieństwo z ludem, t. j. sprawa katolicka. Gdy podpisywałem, wcale nie miałem uczucia „wykolejenia”. Nie, ja tylko czułem pod sobą zwrotnicę (Weiche), która mogła być dać polityce nieco inny kierunek, która mogła naprowadzić na politykę porozumienia, zbliżenia, przekonania, a nie gwałcenia, na politykę wypowiedzenia się i poznania wzajemnego. Dość tej polityki *ab irato*. Zarzuty nikogo nie nawróciły, obwinianie nikogo nie naprawiło. Nie wolno nam naśladować przeciwników w podsuwaniu zamiarów. Sprawy duszpasterskie nie mogą się solidaryzować z polityką. Naszym najwyższym celem nie może być partja, lecz dobro ludu. Drogi, wiodące do celu, mogły być różne. Jeżeli jedna droga okazała się mylną, należy wybrać inną. Co dopiero założone centralne towarzystwo dla duchowieństwa miało według mojego projektu być środkiem do pojednania księży pomiędzy sobą i księży z ludem. Pieczęć partyjna, którą na tym towarzystwie wyciśnięto, odsunie to towarzystwo od tych celów. Nie dosyć, że istnieje mur, rozdzielaający lud od duchowieństwa; zrywa się jeszcze wszystkie mosty pomiędzy kapłanami a kapłanami. Jeżeli zganione „wykolejenia” rzeczywiście nie zdarzą się więcej, będzie to tylko znakiem, że towarzystwo pozostało na jednym i tym samym miejscu. Na koniec zastrzegam się przeciwko przypuszczeniu, że oświadczenie moje zwraca się przeciwko osobom.”

Sam kardynał Kopp ubolewał wobec ks. Kapicy nad nietaktem ks. Głowackiego i pisał: „Ich meine, man sollte im Klerus keine Trennung zulassen und die Meinungen offen aussprechen lassen”. — Wzniósła myśl ks. Kapicy była z góry wypaczona, a rozłam pomiędzy duchowieństwem pogłębił się fatalnie.

Skoro księża polscy czuli się odtąd nieswojsko w towarzystwie swych konfratrów centrowych — jak *excommunicati vitandi*, mówił ks. Robota Władysław — uznali ks. Brandys, ks. Pendziałek, tenże ks. Robota, ks. Skowroński i ks. Wajda potrzebę osobnego związku księży polskich w tym celu, by otwarcie

przyłączyć się do ruchu polskiego i solidarnie z ludem bronić jego ideałów religijnych, narodowych, politycznych, kulturalnych i społecznych. Lecz tymczasem w połowie grudnia 1906 rozwiązano nagle parlament, ponieważ za mało był okazał zrozumienia dla niemieckiej polityki kolonialnej, i wobec nowych wyborów wypłynęły zaraz kandydatury duchowne do Koła Polskiego.

Widoki były dobre. Ogólne poruszenie opinii wielkim strajkiem szkolnym, zakaz wiecu katowickiego w sprawie religijnego wychowania dziatwy, śmierć arcybiskupa Stablewskiego (24. XI. 1906) krótko po wydaniu odważnego orędzia w sprawie nauki religii w języku ojczystym, otwarty list Sienkiewicza do cesarza niemieckiego w tej samej sprawie — stanowiły żyzne podłoże dla polskiej agitacji wyborczej z kandydaturami duchownymi. Pod koniec grudnia ukazała się równocześnie z odezwą polskiego komitetu wyborczego dla Śląska następująca odezwa księży, zredagowana przez ks. Skowrońskiego:

ODEZWA KSIĘŻY.

Rozwój spraw publicznych na Górnym Ślązku w ostatnich trzech latach spowodował stosunki, które gdyby dalej potrwały, tak sprawie Kościoła jak sprawie ludu wielkie szkody wyrządzić by mogły. Przedewszystkiem wskazujemy na pożałowania godny rozstrój pomiędzy duchowieństwem a ludem w sprawach politycznych, rozstrój podkopujący nie tylko zaufanie ludu do kapłanów, ale co gorsza, mogący wywołać wielkie niebezpieczeństwo dla wiary.

Nie może być zadaniem tej chwili badać, kto temu winien i jakie tego położenia są istotne przyczyny. Natomiast nowa polityczna sytuacja, przez rozwiązanie parlamentu stworzona, oraz nowe wybory zmuszają każdego człowieka dobrej woli, aby się zastanowił nad środkami, które przyczynić by się mogły do złagodzenia i poprawy wprost nieznośnych naszych stosunków. Tem więcej obowiązku działać w tym kierunku mają księża, mianowicie pochodzący z ludu.

Jeżeli stosunek księży do ludu oraz ich stanowisko w sprawach publicznych i nadal miałyby pozostać takim, jakim było w ostatnich trzech latach, natenczas sądząc z przeszłości, przewidzieć łatwo, iż nowe walki nie tylko nie złagodzą, nad czem bolejemy i na co słusznie się skarżymy, nie złagodzą, lecz pogorszą i niestety stan obecny niezawodnie na stałe utrwala. Lud coraz więcej będzie się oddalał od duchowieństwa i Kościoła. Walka bratobójcza potrwa dalej i przewidzieć trudno, dokąd lud zawiedzie. Z braku duchownych, gazety i świeccy przywódcy coraz większy wpływ na rozwój spraw wywierać będą, a księża skazani zostaną na bezczynność nie tylko polityczną, lecz w ogóle bezczynność na wszystkich polach życia społecznego. A wszystko to spr-

wi, iż katolicki lud coraz więcej politycznie, społecznie i ekonomicznie będzie słabł, z kąd szkody dla ogólnej sprawy katolickiej są nieuniknione.

Wobec tego, a także wobec okoliczności, że przeróżne usiłowania, zdążające do porozumienia pomiędzy ludem i duchowieństwem, ze względów partyjnych żadnego nie odniosły skutku, niżej podpisani księża uważają, że czas największy i pora sposobna uczynić krok stanowczy, który podług ich zdania może i powinien przyczynić się do poprawy położenia. Sądzymy, że obecnie jest obowiązkiem księży, przyjąć ofiarowane im przed lud mandaty do Koła polskiego.

Gdy się to stanie, nikt ze strony polskiej nie będzie mógł przeciwko księżom podnieść zarzutu, że się od wspólności z ludem usuwają. Stosunek gazet polskich do duchowieństwa się poprawi. Zaufanie zostanie odzyskane nie tylko dla kandydatów, lecz i dla ogółu duchowieństwa. Z zaufaniem do księży wróci przywiązanie do Kościoła. W ogóle zmniejszą się przeciwieństwa, spokój zawita znowu, po ludzku sądząc, do naszego społeczeństwa i stworzy możliwość pozytywnej pracy dla dobra ludu. Czeka ją zaś nas walka wyborcza odbyć się może spokojniej.

A co najważniejsza. Ruch polski rozwijał się dotąd bez udziału księży. Podnoszono przeciwko niemu lub przeciwko jego gazetom niejednokrotnie zarzuty, jakoby wrogie wobec Kościoła i państwa miał zamiary. Nie pora dociekać, czy wszystkie te zarzuty były słuszne czy niesłuszne. W każdym razie z chwilą, gdy księża do ruchu tego się przyłączą, stworzone zostaną, zdaniem naszym, dostateczne gwarancje, iż ruch ten w dalszym rozwoju pójdzie torami prawdziwie katolickimi i prawnymi.

Przyjęcie mandatów do Koła polskiego przez księży nie ma oznaczać i nie oznacza wzmożonej walki z partią centrową. Owszem uważamy, że ten krok przyczyni się do zbliżenia z dawną zaprzyjaźnioną partią tem więcej, ponieważ położenie partii centrowej w obecnej chwili wprost się domaga szukania sprzymierzeńców na podstawie katolickiej. Tem mniej oczywiście oznacza ono walkę z księżmi. Podane wyżej przyczyny wskazują, że chodzi nam o obronę i poprawienie położenia księży wobec ludu polskiego.

Przystępujemy do spełnienia naszego zadania z całą świadomością, jak bardzo ono jest ciężkie i trudne. Przystępujemy ze szczerą intencją i z czystym zamiarem służenia sprawie Kościoła i ludu. Wszystko, co nas na tej drodze spotka złego, nienawiści i podejrzenia, zniemiemy spokojnie w przeświadczeniu, że wypełniliśmy konieczny obowiązek względem świętej sprawy.

Szczęść Boże!

Podpisów było 13: ks. prob. Adamek z Popielowa; ks. prob. Brandys z Dziergowic; ks. prob. Dembończyk z Markłowic; ks. prob. Jankowski z Wielkiego Kotorza; ks. prob. Kapica z Tychów; ks. prob. Mainka z Łęczec; ks. prob. Pancherz z Działowejkłody; ks. prob. Pendziałek z Boguszowic; ks. prob. Pogrzeba z Lugnian; ks. prob. Wł. Robota z Gierałtowic; ks. prob.

Rogowski z Jędryska; ks. prob. Skowroński z Ligoty; ks. prob. Wajda z Kielczy. *Ex post* przyłączył się do odezwy jako czter-nasty ks. prob. Sauer (Żur) z Ligoty Turawskiej, Łużyczanin z pochodzenia.

Ponieważ i Centrum wysunęło, jak dotąd, kandydatury duchowne, miał świat widowisko niezwykle i dotąd na Śląsku niebywałe, że w tych samych okręgach kandydowało przeciw sobie dwóch kapłanów katolickich, jeden dla Centrum, drugi dla Koła Polskiego. W Opolskim wtedy ks. prob. Abramski ustąpił z komitetu centrowego, by nie musieć podpisać odezwy wyborczej przeciwko konfratrowi. Za późno próbował ks. kardynał Kopp ratować solidarność kleru i nadaremno, bo jednostronnie zabierał się do bloku polskich kapłanów, nie ruszając wcale duchownych kandydatów centrowych. Choć uległ chorujący właśnie ks. Kapica, to jego miejsce zajął zaraz ks. prob. Teodor Jankowski z Kotorza.

Ówczesne nastroje kurii wrocławskiej i kleru ilustrują najlepiej pisma, wymienione przed wyborami pomiędzy ks. kardynałem Koppem a blokiem księży polskich, którego duszą był proboszcz ligocki (cfr. załącznik VIII). Pismo z dnia 22 stycznia 1907 jest pysznym przykładem szczerości i odwagi kapłańskiej, a samo jedno treścią i formą doskonale charakteryzuje umysłową i moralną indywidualność ks. Skowrońskiego. Załączone zaś przemówienie jego, wygłoszone na wiecu przedwyborczym w Katowicach, niech służy na przykład wysokiego poziomu jego wymowy (załącznik IX).

Chociaż odezwy centrowe podpisane były przez 245 księży, a polskie tylko przez 14, przyniosły wybory 25 stycznia 1907 dla Centrum klęskę tak sromotną, że „Gazeta Katolicka” nie zdobyła się wcale na odwagę podania czytelnikom rezultatu. W Opolskim zwyciężył ks. Paweł Brandys z Dziergowic (11.507 głosów) ks. prob. Wolnego z Żelaznej (2550 głosów), w okręgu Bytom-Tarnowskie Góry zwyciężył Napieralski (26.414 głosów) hr. Henckel-Donnersmarcka (7961 głosów); w okręgu Katowice-Zabrze zwyciężył Korfanty (27.002 głosów) ks. prob. Skowronka z Bogucic (6575 głosów); w okręgu Pszczyna-Rybnik zwyciężył ks. Skowroński (20.038 głosów) ks. Lossa z Pawłowic (3205 głosów). Przy wyborach ścisłych zwyciężył jeszcze w okręgu Lubliniec-Toszek-Gliwice ks. Jankowski z Kotorza (14.314 gło-

sów) ks. dra Chrzęszcza z Piskowic (12.368 głosów); równocześnie przypadł niespodziewanie Siemianowski w okręgu Strzelce-Koźle, aczkolwiek przy wyborach pierwotnych miał więcej głosów (8497) aniżeli centrowy kandydat czołowy ks. komisarz Głowacki (7406). Z polskich kandydatów duchownych jedynie ks. Rogowski (5161 głosów) nie przeszedł w okręgu Kluczborek-Olesno, gdzie Centrum wcale nie kandydowało, a zwyciężył konserwatysta książę Hohenlohe-Oehringen (7381 głosów). W ośmiu okręgach, w których agitowano za Kołem Polskim, padło na polskich kandydatów 115.090, a na centrowców 46.653 głosów. Warto dodać, że w Prudnickim zwyciężył polski centrowiec gospodarz Strzoda z Wierzchu (10.235 głosów) nieoficjalnego centrowca niemieckiego ks. prob. Rasska z Komornik (3179 głosów).

Radość była wielka, lecz krótka. Kiedy lud wesóło rozchwytywał pocztówki z jego podobizną, ks. Skowroński sam musiał pić kielich goryczy. Na upomnienie kurii wrocławskiej, że przed przyjęciem kandydatury należało się zapytać władzy duchownej, był w swój otwarty sposób odpowiedział, że nie chciał odgrywać komedii, niegodnej siebie i władzy duchownej, skoro z góry było pewnym, że „eine rein deutsche Behörde” ustosunkuje się ujemnie do jego kandydatury dla Koła Polskiego. We Wrocławiu dopatrzono się w tym obrazie i oznajmiono odważnemu neopostłowi, że aż do odwołania jest zaskarżony. Suspensa trwała wprawdzie tylko 3 dni; przeprosiwszy kurię, otrzymał też urlop do posłowania i dyspensę od obowiązku rezydencji, ale ciągły miał kłopot z zastępstwem w duszpasterstwie tak, że jego urlop stał się iluzorycznym.

Przejęty godnością poselską, pragnął ks. Skowroński stałego zastępcy w parafii, aby w Berlinie móc pracować a nie pozować tylko. Powtarzał, że wyjeżdżanie do Berlina tedy owedy na 24 godziny obniża w oczach ludu godność posła. Należał w Kole Polskim do komisji petycyjnej, lecz musiał tę pracę złożyć, jak ks. Brandys swoją w komisji parlamentarnej i narzekał, że księża są w Berlinie statystami, inni aktorami. Nie mógł znieść zarzutu centrowego, że polscy księża-posłowie są tylko „parlamentarische Puppen”. W oczach parafian zaniedbywał obowiązki kapłańskie, w oczach wyborców — poselskie. Jako proboszcz czuł się łańcuchami obowiązków związanym

z parafią, a jako poseł porównywał się do drzewa, któremu starannie obcinają naokoło korzenie, aby upadło.

Upadek rzeczywiście nastąpił w grudniu tego samego roku i był dla wszystkich niespodzianką. Albowiem tuż przedtem był ks. Skowroński skruszył publicznie kopię w obronie Koła Polskiego, a to w takich okolicznościach: Wobec zbliżających się wyborów do sejmu pruskiego (1908) propagowano z obu stron kompromis polsko-centrowy. Lecz namiętności były jeszcze mocno wzburzone. Na zjeździe centrowym w Gliwicach dnia 23 paźdz. 1907 krytykował ks. kuratus Adamczyk z Goduli w bardzo ostrych słowach polską politykę narodową. Zarzucał jej, że gasi uczucia katolickie, że składa molochowi narodowemu zbyt wielkie ofiary, że waśni katolików, nawet parafian z duszpasterzami, że spowodowała szkaradne procesy, które księży, wiarę i sakramenta święte wystawiły na publiczne pośmiewisko (proces bytomski) i zaburzenia, które wielu biednych ludzi wtrąciły na długie lata do więzienia (krawale w Siemianowicach), że uniemożliwia cichą pracę społeczną, nawet świętą walkę przeciwko pijaństwu, temu najsroższemu wrogowi ludu górnośląskiego, itd. itd. Wniosek długiej mowy był ten, że na Górnym Śląsku tylko Centrum jest rękojmnią polityki i akcji katolickiej.

Między innymi dla odparcia tych zarzutów odbył się w Katowicach dnia 17 listopada 1907 wielki wiec polski, na którym przemawiali Napieralski, ks. Skowroński i Korfanty. Specjalnie wywodami ks. Adamczyka zajmował się ks. Skowroński. Załatwiwszy się z zarzutem, że Koło Polskie nie gwarantuje akcji katolickiej, wyliczył wszystkie grzechy centrowe, przeciwko Polakom popełnione. Wspominając np. za ks. Adamczykiem o molochu narodowym, podkreślił, że i centrowcy głaskają swego niemieckiego baranka narodowego tak, że po walce kulturalnej Polacy stali się dla nich żelazną kulą u nogi. Centrowcom dobrze mówić w pierwszym rządzie o religii w życiu publicznym, ponieważ ich narodowości nikt nie prześladowuje; nas chcą zniemczyć, wytępić, więc bronić się musimy. „Chcemy zgody i kompromisu, ale żądamy, by nas traktowano jako równych z równymi.”

Na samym wstępie był ks. Skowroński wywody ks. Adamczyka tak scharakteryzował: ile słów, tyle fałszywych przedstawień. Gazety centrowe zrobiły z tego: ile słów, tyle kłamstw

— i wywiązał się bardzo niesmaczny publiczny spór o słowa, który wkrótce wychodził wszystkim gardłem. Pod znamienym nagłówkiem: „Zróbmy koniec!” wzywał ks. Kapica do zgody. — Ks. Adamczyk starał się wprowadzić przez kurie wrocławską zmusić ks. Skowrońskiego do odwołania i przeproszenia, lecz nabawił się tylko urzędowej nagany za pogardliwy i niekapłański ton i za brak miłości we własnej deklaracji publicznej.

W toku tego sporu i w związku z ciągłą niemożnością uzyskania stałego zastępcy w parafii załamał się ks. Skowroński psychicznie i niespodziewanie złożył mandat. Zaskoczył wszystkich publicznym oświadczeniem pod adresem swych wyborców z datą Ligota pod Białą, dnia 9 grudnia 1907 tej treści:

„Z bólem serca widzę się zniewolonym do złożenia mego mandatu poselskiego. Jestem bez kapelana, a nie mam żadnej nadziei, żeby mi się udało wyprosić dla siebie zastępcę w duszpasterstwie podczas mej nieobecności w parafji, gdyż wszelkie staranne zabiegi pod tym względem doprowadziły tylko do smutnych i przygnębiających doświadczeń. Dla posła ludu polskiego nie ma zastępcy. Cóż zaś tak szanownym wyborcom jak i mnie może zależeć na mandacie, którego wykonać nie jestem w stanie! Wybierzcie sobie przeto posła Polaka, mniej odemnie dziwnymi stosunkami skrępowanego! Nie miejcie żalu do mnie, inaczej postąpić sobie nie mogę. Tam w Berlinie kują przeciw nam wyjątkowe prawa, — a ja, wasz poseł — niestety muszę siedzieć w domu. Jest to wprost nieznośne położenie. Dziękuję wam za zaufanie, przy wyborach mi okazane, i wyrażam me głębokie ubolewanie, że nie mogłem tak, jak tego gorąco pragnąłem, przez dzielną obronę naszych idealnych i materialnych dóbr w parlamencie stać się godnym tego waszego zaufania do mnie. Złożywszy mandat, nie przestanę atoli bronić ludu polskiego. Bóg z nami i z naszą sprawą świętą!”

Ks. Skowroński.

Nie po raz pierwszy składał kapłan-poseł mandat dla braku zastępstwa w duszpasterstwie; pamiętamy, że 1893 r. uczynił to bez rozgłosu proboszcz Śmicza ks. Cytronowski. Lecz krok ks. Skowrońskiego takie wywołał w prasie polskiej komentarze, że książęco-biskupi wikariat generalny we Wrocławiu dnia 13 grudnia nadesłał do „Katolika” sprostowanie, w którym przypominał stare przepisy diecezjalne o urlopach i zastępstwie kapłanów, a podkreślając chroniczny brak księży, zaznaczył, że żadnemu proboszczowi nie zakazuje się zastępować sąsiedniego proboszcza, jak istotnie ks. poseł Jankowski postarał się właśnie w ten sposób o zastępstwo.



Ks. Aleksander Skowroński jako poseł

Chociaż ks. Skowroński osobiście był przekonany, że się przyczynił do wyświelenia sytuacji i do ułatwienia dalszego postowania ks. Brandysowi i ks. Jankowskiemu, nikt jednak nie chwalił jego kroku, ani Napieralski, ani Korfanty; nawet dawniejszy redaktor „Gazety Katolickiej” ks. dr Stephan pisał z Pasewalku: „Toś tak hałasiał na księdza Kapicę, a tyś jeszcze gorzej zrobił... Trudno będzie publiczność przekonać, że (ten krok) był konieczny.”

Polską kandydaturę w okręgu pszczyńsko-rybnickim objął po ks. Skowrońskim proboszcz Kielczy ks. Józef Wajda⁷¹⁾, przeciwko któremu Centrum postawiło duchownego kontrkandydata w osobie ks. proboszcza Pawła Bojdoła z Radlina. Uzupełniające wybory dnia 23 stycznia 1908 przyniosły ks. Wajdzie 14.795 głosów i świetne zwycięstwo nad ks. Bojdołem (3011 gło-

⁷¹⁾ Józef Wajda, ur. 19 III 1849 w Nieboczowach, należał jako student do Tow. Literacko-Słowiańskiego we Wrocławiu (1873); ze względu na pruską walkę kulturalną otrzymał święcenia kapłańskie w czeskiej Pradze (1876). Był przez kilka lat kapelanem domowym u Chłapowskich w Czerwonejwsi (Wkp.), potem pracował jako wikariusz obwodowy w Wodzisławiu, a od 1885 w Kielczy (pow. strzelecki), gdzie też został proboszczem; podpisywał się po prostu: Kielcecki. — Po rezygnacji ks. Skowrońskiego obrany posłem do parlamentu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, przemawiał nieraz na wiecach politycznych, lecz w Berlinie zwykle milczał. Kiedy w marcu 1911 przemówił raz jedyny w parlamencie, czynił to z takim afektem, że wywołał prawdziwą sensację. Oto, co pisała wtedy Dt. Tagesztg.: „Mit einem Male entpuppte er sich als Redner von einem Temperament, dem kaum ein anderer im Reichstag gleichkommt. Das Wort Temperament ist eigentlich zu schwach. Auf der Tribüne stand ein Fanatiker, an dem jede Faser bebte. Keine Silbe ohne Geste, ohne dass er auch physisch die Stimmung, von der er beherrscht wurde, zum Ausdruck zu bringen suchte; er griff sich an die Haare, bog seinen Kopf in den Händen, faltete sie, rang die Hände, ballte sie zu Fäusten, schlug auf das Pult, drohte mit dem Finger, klatschte in die Hände. Bald stand er aufrecht, bald neigte er sich hierhin und dorthin, bald trat er einige Schritte zurück, die Hände weit vorgestreckt oder auf die Brust gelegt, als wollte er etwas abwehren oder beschwören, und das alles mit einer Schnelligkeit, einer Hast, wie man sie sich kaum vorstellen kann, wenn man den Redner nicht selbst beobachtet hat. Dazu wusste er seine Stimme zu modulieren u. namentlich — eine besondere Eigenart der Polen überhaupt — ein Tremolo anzuschlagen, das, wenn es in einer polnischen Volksversammlung geschieht, die Massen gleichfalls fanatisieren muss. Und der Inhalt der Rede selbst war durchaus geeignet, aufreizend zu wirken, ohne dass vielleicht die Absicht obwaltete; denn die Worte dieses Demagogen klangen so, als ob sie aus einem vollen Herzen kämen. Seine hagere Figur im geistlichen Gewande, sein hartes, wie aus Holz geschnittenes Gesicht, das den echten slavischen Typus trägt, vollendeten den Eindruck des personifizierten Fanatismus. Dieses Auftreten des Abg. Wajda war so eigenartig, dass sich ein immer grösser werdender Kreis von Abgeordneten um die Tribüne

sów), ale już sygnalizowały tendencję zniżkową głosów polskich, która w r. 1912 podyktowała Rzepeckiemu dla II tomu pobjudki wyborczej znamieny tytuł: *Naprzód, albo wstecz?*⁷²⁾.

Od 1912 r. zastępował okręg pszczyńsko-rybnicki w Kole Polskim ks. poseł Paweł Pośpiech⁷³⁾, który potem jako przedstawiciel ludności polskiej Górnego Śląska zasiadał już na ławie posłów pierwszego sejmku w Warszawie.

scharte, um diese neue, physisch und rethorisch interessante Erscheinung zu beobachten.“

Ustąpiwszy 1912 r. miejsca w Kole Polskim ks. Pośpiechowi, wysunięty został sędziwy już ks. Wajda po wojnie i podziale Górnego Śląska jeszcze raz jako poseł na sejmik prowincjonalny w Opolu, lecz niebawem przeniósł się na stronę polską i zamieszkał w Hajdukach u długoletniego kiedyś wikarego swego ks. Czempieła. Tam umarł 3 III 1923. Nad trumną przemawiał świetnie ks. Kapica.

⁷²⁾ cfr. RTPN. II, 316.

⁷³⁾ Paweł Pośpiech, ur. 22 I 1878 jako syn chałupnika w Kokoszycach pod Pszowem, wyśw. 20 VI 1903 w Wrocławiu, pracował jako kapelan w Orzegowie i Chrapkowicach, a w końcu jako wikariusz obwodowy w Jaworzu na Dolnym Śląsku. Obrany 1912 posłem do parlamentu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, wrócił na Górny Śląsk, nabył w Katowicach „Gazetę Ludową“ (cfr. RTPN. II, str. 319) i poświęcił się całkiem pracy politycznej. Ostre jego mowy parlamentarne przeciwko pruskiej polityce antypolskiej, śmiałe i świetne nie raz artykuły w „Gazecie Ludowej“, liczne przemówienia wiecowe, ciągły kontakt z mnóstwem polskich towarzystw w obwodzie przemysłowym i powiatach południowych, w ogóle nieprzerwana styczność z ludem i prawdziwy talent oratorski — sprawiły mu wielką popularność, którą po rewolucji niemieckiej (1918) sumiennie wykorzystał dla sprawy polskiej. Ponieważ Korfantego nie było wtedy na Górnym Śląsku, stał się tu ks. Pośpiech pierwszym politycznym heroldem Polski zmartwychwstałej. Na licznych i tłumnych wiecach zbijał początkowe niedowierzanie w przyłączenie Górnego Śląska do Polski silnym zwrotem retorycznym: „ja także nie wierzę, że będzie Polska na Górnym Śląsku, bo — wiem że jest!“ Polski sejm dzielnicowy w Poznaniu (3—5 XII 1918) powołał go w skład Naczelnej Rady Ludowej, a jako przedstawiciel ludności polskiej na Górnym Śląsku zasiadał także we Warszawie na ławie posłów pierwszego sejmku całej Polski odrodzonej.

Wyczerpany na zdrowiu i zniechęcony w końcu do świata i ludzi, wycofał się 1920 r. z życia publicznego i sprzedał „Gazetę Ludową“ Napieralskiemu, przeciwko któremu była swego czasu założona. Ostatnie lata mieszkał ks. Pośpiech w Pszczynie, gdzie umarł 26 III 1922, nie doczekawszy oficjalnego objęcia Górnego Śląska przez Polskę.

IX. NA FRONCIE KULTURY NARODOWEJ POPRZEZ WOJNĘ

Składając mandat poselski, zapewniał ks. Skowroński, że nie przestanie bronić ludu polskiego. Słowa dotrzymał. Ustępując z frontu parlamentarnego, nie ustąpił z polskiego frontu ogólnokulturalnego. Zaczął od dziedziny prawie że niepostrzeżonej, mianowicie od opieki nad polskimi studentami teologii we Wrocławiu. Potrzeba taka nasunęła mu się we własnej parafii, a to w okolicznościach ze wszech miar znamiennej.

Ks. Skowroński zauważył bowiem w r. 1907, że pochodzący z Ligoty student teologii Wiktor Zając podczas wakacji jakoś dziwnie unika probostwa. Wyszło na jaw, że dyrektor konwiktów teologów we Wrocławiu ks. kan. Steinmann był młodzieńcowi zakazał obcowania z własnym proboszczem. Podobny wypadek miał ks. prob. Brandys w Dziergowicach. Tymczasem instrukcja ks. kard. Koppa z dnia 25 listopada 1895 r. *de educandis convictoribus sacrae theologiae vacantibus* nakładała na proboszczów m. i. taki obowiązek: *tempore feriarum vestrum erit aliqua ratione vices superiorum convictus gerere et sacerdotii candidatis rectores et duces esse. Primum commendo vobis ex animo, eos quantum poteritis ad vos attrahere curamque eorum habere. Discant conversationem vestram omnibus huius mundi solatiis vanis caducisque praeferre. Catechesi puerorum adsint et nonnumquam in praeparandis puerorum animis vos adiuuare poterunt.* — Wtedy tylko wzgląd na studentów samych, którym nie chciał utrudnić sytuacji, powstrzymał ks. Skowrońskiego od większej kontrakcji.

Obszerne grawamina na ks. kan. Steinmanna wypracował jednak w r. 1912 z powodu wydalenia teologa Franciszka Dzieży, który poszedł na medycynę (1911) i warunkowego tylko przyjęcia do konwiktów dwóch maturzystów Teodora Obremby z Brzeżnicy (pow. prudnicki) i Jana Skrzypczyka z Knurowa (1912). Wszystkie trzy wypadki wiążą się z wydaleniem dziesięciu uczniów z gimnazjum gliwickiego (1911) po wykryciu tajnego kółka gimnazjalistów dla nauki języka i piśmiennictwa polskiego. Stud. theol. Dzieża otrzymał od ks. Steinmanna *consilium abeundi* właśnie dlatego, że śledztwo było ujawniło jego czynną przynależność do tajnego kółka gliwickiego przed maturą a styczność z nim po maturze. Obremba i Skrzypczyk zaś, kiedy,

złożywszy po wydaleniu z Gliwic maturę pierwszy w Wittstock, drugi w Salzwedel, zgłosili się 1912 r. na teologię, otrzymali od ks. Steinmanna najprzód odmowną odpowiedź z tym, że zgłosić się mogą ewentualnie do diecezji litomierzyckiej w Czechach, przy czym u Skrzypczyka dodano jako powód, że wskutek notatki w maturze o wydaleniu z Gliwic dla udziału w „polnische Bestrebungen” nie posiada wcale widoków na probostwo w diecezji wrocławskiej. Na ponowne wnioski o przyjęcie do konwiktu zostali obaj dopuszczeni tylko „versuchsweise”, aczkolwiek proces w sprawie gliwickiego kółka nie był wykażał nic karygodnego i chociaż Obrembie do matury z góry nie wpisano nic o relegacji a Skrzypczykowi notatkę *ex post* skreślono.

Z oportunistycznej taktyki ks. kan. Steinmanna, dyktowanej oczywiście względami na rząd pruski, wyłuskał ks. Skowroński umiejętnie zasadnicze sedno rzeczy i podpisał z dwunastką konfratrów (Adamek, Brandys, Długosz, Dziuba, Jankowski, Jendrzeczyk, Koziółek, Kulka, Kurpas, Robota, Sauer, Wajda) zbiorowe podanie na ręce ks. kardynała Koppa o bezwarunkowe przyjęcie Obremby i Skrzypczyka do konwiktu teologicznego i skreślenie nieuzasadnionego u nich dodatku „versuchsweise”.

W piśmie, które było wynikiem wspólnej redakcji, podnoszono ciężki zarzut, że ks. kan. Steinmann z czułością busoli reaguje na antypolskie napięcie elektryczne we wyższych regionach rządowych, a nieczułym pozostaje na głuchy pomruk w duszy ciemionego ludu polskiego. Co jemu wyrobnik polski i jego marzenia o szczęściu dziecka! Wobec poświadczonego powiedzenia ks. Steinmanna, że ks. kardynał nie potrzebuje kapłanów niedogodnych rządowi, pyta ks. Skowroński, czy kapłanów święci się jeszcze dla Kościoła katolickiego i dla wierneho ludu, albo dla rządu. Zachowanie się ks. Steinmanna uważał za tym więcej oburzające, że doszedłszy w diecezji jako przybysz do wysokich godności, wskazuje on dzieciom tego domu drzwi, posyłając je do Litomierzyc na wygnanie. Niezadługo będzie się polskim studentom teologii wskazywało Kamerun i Kongo! Lecz *si superbis impius, incenditur pauper* — od hardości bezbożnych płoną uciśnieni (ps. 10, 2). Zresztą przy takiej postawie dyrekcji konwiktu wrocławskiego nie można się dziwić,

że niektórzy kapłani płaszcą się potem przed rządem. A jeżeli samo uczenie się języka polskiego uchodzić będzie za zbrodnię, to jakże będą kapłani na Górnym Śląsku głosić słowo Boże? Wielu już teraz (1912) mówi z ambony po chacharsku („im Chacharen-Polnisch”). *Si nesciero virtutem vocis, ero ei cui loquor, barbarus et qui loquitur mihi barbarus...* Gdzież *aedificatio, exhortatio, consolatio?*.. *Etenim si incertam vocem det tuba, quis parabit se ad bellum? Ita et vos per linguam nisi manifestum sermonem dederitis: quomodo scietur id, quod dicitur? eritis enim in aera loquentes* (I Kor. 14, 3—11). Chyba że takim sposobem chce się właśnie ułatwiać germanizację ludu! Jak to mówi Uhland we „Wanderung”?

Ich ging zur Tempelhalle,
Da hört' ich christlich Recht;
„Hier innen: Brüder alle,
Da draussen: Herr und Knecht!“
Der Festesrede Giebel
War: Duck' dich, schweig dabei!
Als ob die ganze Bibel
Ein Buch der Kön'ge sei.

Zbiorowe grawamina polskiego kleru, które może ostatecznie wcale nie zostały wysłane, o których Wrocław jednak wiedział, odniosły ten skutek, że studenci Obremba i Skrzypczyk spokojnie mogli odbyć swe studia teologiczne; Skrzypczyk został po służbie wojskowej i wojennej kapłanem, Obremba zaś przeszedł podczas wojny na medycynę.

*

Ostatnie lata przed wojną stanowiły dla sprawy polskiej na Górnym Śląsku okres krytyczny. Wybory do parlamentu w r. 1912 przyniosły bolesne rozczarowanie⁷⁴⁾, a równocześnie wykazywała językowa statystyka kościelnej nauki przygotowanej do sakramentów św., pilnie śledzona z obu stron, zaskarżający wzrost germanizacji wśród młodzieży i dlatwy. Tak zwana bieda górnośląska polegała na tym, że było dużo hałaśliwej i nieraz kłótlivej polityki polskiej, a za mało podstawowej pracy oświatowej.

Ostentacyjne wystąpienie ks. Kapicy z Koła Polskiego (1912) rozpętało na nowo prasową dyskusję nad zagadnieniem

⁷⁴⁾ cfr. RTPN. II, 316; III, 49—54. IX.

narodowym. Ks. prob. Feja zaczął artykuł „Nationalitätsprinzip und Polentum” („Neisser Ztg.”, 1912, nr 176) uwagą, że ks. Kapica byłby sobie zaoszczędził niejedno rozczarowanie, gdyby się był trzymał pięknej zasady:

Weise ist es, beide Augen
Auf das Fördersame lenken —
Und in kluger Selbstverleugnung
Denken, was die Starken denken.

(Weber, Dreizehnlinden.)

Rozbierając potem krytycznie proces dobrowolnej germanizacji ludu, stwierdził ks. Feja najprzód, że oczywiście nie wolno stosować gwałtownego przymusu wobec języka, „dieser feinsten Emanation des nationalen Geistes”. Ale pamiętać trzeba, że 1) „obcy” język nie musi być zaraz wzięty jako „Lebensinhalt der Nation”, a może raczej być zwykłym środkiem porozumienia, 2) że język jest tylko wyrazem ruchu życiowego, a zdarzyć się może, iż wpływy duchowe, także religijne i polityczne, wiążą część ludności (des Volksstammes) o wiele ściślej z narodem obcym, aniżeli z własnym; wtedy język, który jest czynnikiem wyższej kultury, we walce dwóch dynamik duchowych zawsze i wszędzie odsunie i zwycięży język drugi.

Polacy są, zdaniem ks. Feji, obywatelami pełnowartościowymi, lecz wszystkie formy ich życia narodowego są już silnie zaprawione fermentem kultury niemieckiej i pod wpływem dziejowego rozwoju znajdują się w kierunku powolnej asymilacji, przy czym język niemiecki bez gwałtu lub przymusu zwycięsko przenika jako wyraz wspólnoty politycznej. Język polski zaś jest po rozbiórce państwa polskiego tylko faktem historycznym bez wszelkiego prawa, „sich politisch geltend zu machen oder unseren staatlichen Einrichtungen und im Recht bewurzelten kulturellen und zivilisatorischen Bestrebungen ausgesprochen feindlich entgegentreten”. Ta teza ks. Feji, że indywidualność polska nie daje żadnego prawa do podnoszenia pretensji rozwoju i rozrostu lub bytu nieograniczonego — była diametralnie przeciwna sumiennemu przekonaniu ks. Skowrońskiego lub ks. Kapicy, a dopiero w tym zaś z nimi się zgadzała, iż indywidualność polska nie może być odskocznią do ataków na podstawy istniejącej społeczności politycznej. — W końcu protest ks. Feji przeciwko łączeniu spraw narodowych z religią i jego przestroga przed polską praktyką, „den Nationalismus

zum praktischen Teile der Religion zu machen, die um Nationalheiligthümer als in sich abgeschlossene Schöpfungen gelagert wird" — były zlekceważeniem aksjomatu, iż *gratia supponit naturam, non destruit, sed elevat et sanctificat eam*. Dla Polaków była, jego zdaniem, powolna asymilacja narodowa z otoczeniem niemieckim jedyną gwarancją dla ich szczęśliwej przyszłości pod berłem Germanii; oświatowe wysiłki polskie charakteryzował jako obłudne próby przekonania ludu, że należy pływać przeciwko prądowi dziejów i prowokować opatrność Boską.

*

Prąd dziejowy ujawnił się przez wojnę światową, której Polacy wcale nie sprowokowali. W „Gazecie Opolskiej” (1917, nr 189) ukazała się następująca odezwa ks. Skowrońskiego, podpisana X. L., co czytać chyba należy: ksiądz Ligocki:

DALEJ BRACIA, DALEJ!

Stoimy u wrót nowego życia. Wojna światowa wstrząsnęła filarami dotychczasowego porządku. Cała Europa, przesycona dobrobytem, drzemała i dobrze jej było widocznie ze „zdobyczami” kultury, jakie już przyniosły ostatnie dziesiątki stulecia. A czyż myśli człowiek zamożny i samolubny o tem, że mogą być inni ludzie, którzy nie mają chleba i chodzą w podartem obuwiu? Europa miała co jeść i stroiła się pysznie. Cóż ją mogło obchodzić to, że tam gdzieś żyje naród, który był kiedyś potężnym i przed którym kiedyś padały inne mocarstwa na kolana. To było kiedyś, — o tem się coś słyszało na ławie szkolnej, że była przed dawnymi laty Polska, która nawet miała królów; dziś nie warto o tem mówić; co było, już nie będzie, a nawet nie może być!

Tak myślano i mówiono o Polsce przed wojną. Europa zapomniała o tej, która ją ocaliła przed zalewem hord tureckich, zapomniała o tej, co była „przedmurzem chrześcijaństwa” i grecko-rzymskiej kultury. Polskę pogrzebano w grób głęboki; rozebrano na trzy części i przydzielono do ościennych trzech państw. O powstaniu do samodzielnego życia marzyć nie mogła — marzyć jej nie było wolno.

Wszystko Polsce odebrano, króla, wojsko, rządy — lecz nadziei z serca wydrzeć sobie Polska nie pozwoliła. Pieszczanie się sławą przeszłości i marzenie o przyszłości, tylko to w zaciszu żałoby zostało dla ukojenia bólu po utracie majestatu. Z początku Polska chodziła po swoich cmentarzach, okryta kirem żałoby, niezdolna do codziennej pracy po utracie cennego skarbu wolności. Powoli zaschła rana, serce nabrało hartu i rozum wziął górę: nie podobna przecież wciąż płakać po zmarłych; nie podobna czekać na jutro z założonemi rękoma.

A trzeba było twardej pracy. W dzielnicy rosyjskiej rozpościerał się moskiewski nieporządek, celowo rozsiewany nieład, demoralizacja,

podszuczowanie wzajemnego w społeczeństwie niezaufania do siebie. W dzielnicy pruskiej podniósł głowę hakatyzm, który brutalną stopą deptał wszystko, co polskie, który nawet nie zawahał się przed wywłaszczeniem polskiej zagrody. Jedyne w Austrii głaskano Polaków, ale był to bodaj sposób najniebezpieczniejszy dla wynarodowienia żywiołu polskiego.

W zabranych dzielnicach wychowały się cztery pokolenia, które się zaledwie rozumiały w zbiorowej myśli. — Nas Ślązaków tak daleko odsunięto od pnia polskiego, że nas nasi bracia zaledwie poznali. — A jednak! czyż nie zadrgały z radości serca nasze, gdy z Warszawy wypędzono Moskala? Czyż nie zabrzmiał tryumfalny głos, gdy drut telegraficzny oznajmił światu, że Polska jest wolną? Czy nie wdziejesz na siebie odświętnej szaty, gdy przyszedł król polski włożyć koronę na głowę?

Więc nie szukaj w popiołach i zgliszczach spalonych i zwęglonych zabytków przeszłości — na bok z rumowiskiem, — niech stanie nowy gmach!

„Po tylu próbach, chwilę jeszcze jedną
Czekać i czuwać, bo czas nie daleki,
W którym Ojczyznę, matkę naszą biedną,
Z grobu wyniesiem, — by żyła na wieki!”

(*Konstanty Gaszyński.*)

X. L.

Ledwie były gazety górnośląskie w styczniu 1915 r. przedrukowały odezwę krakowskiego księcia-biskupa Sapiehy o pomoc dla dotkniętej i zniszczonej wojną ludności Polski, zaczął ks. Skowroński nie tylko przyjmować od parafian datki na ten szlachetny cel, ale też od razu sam zbierał u znajomych ofiary. Dowodem gorliwości fakt, że do końca lutego zebrał 8.200 marek, jak wynika ze sprawozdania, złożonego ks. kardynałowi Bertramowi, gdy ten także przystąpił do centralnego komitetu ratunkowego w Niemczech. Z tej sumy ks. Skowroński 7.700 marek był wysłał do Poznania, resztę zaś do Wrocławia. Kurialna kasa we Wrocławiu zebrała dla Polski 57.978 marek, zanim episkopat całych Niemiec wspólnym listem pasterskim z dnia 1 listopada 1915 r. zarządził we wszystkich diecezjach kolektę dla biednej ludności Polski.

Równocześnie z tą akcją kościelną, protegowaną i rzetelnie popieraną przez Benedykta XV, szła akcja Henryka Sienkiewicza, który w lutym 1915 r. ze Szwajcarii jako członek generalnego komitetu dla niesienia pomocy Królestwu Polskiemu, był wydał do cywilizowanych narodów świata żarliwą odezwę w imię solidarności ludzkiej, w imię narodu, pozostałego wier-

nym tej zasadzie i w imię Chrystusa. Na Górnym Śląsku przypomniano sobie ponadto hojne dary Królewaków, składane w roku 1879 na ręce Karola Miarki, gdy na Śląsku był nieurodzaj⁷⁵), i dojrzała myśl o jakiejś specjalnej akcji pomocniczej. W maju 1917 r. wydało więc grono młodszych, księży i świeckich, drukiem „Nowin” w Opolu jednodniówkę pod tytułem „Ze Śląska Polskiego. Książka zbiorowa autorów śląskich, wydana staraniem Komitetu Wykonawczego” z tym, że czysty dochód przeznaczono na głodnych i bezdomnych w Królestwie Polskim. Za redakcję podpisał Franciszek Kurpierz w Opolu. Rezultat był nadspodziewanie dobry.

Niezależnie od tej akcji odbyła się dnia 22 maja 1917 r. za inicjatywą ks. Kapicy poufna konferencja księży w Katowicach, przez endecką prasę niesłusznie podejrzewana o zamiary wyeliminowania wpływu Koła Polskiego ze Śląska. W rzeczywistości uchwalono taką rezolucję: „Zgromadzeni księża polscy uważają za konieczne, by wobec zapowiadającej się nowej orientacji całe duchowieństwo górnośląskie przez księdza biskupa wysłało petycję do rządu o zaprowadzenie do szkoły ludowej na Górnym Śląsku polskiej nauki religii i polskiej pieśni kościelnej, a jako podstawy, dwurocznego przynajmniej uczenia pisania i czytania polskiego. Oprócz tego uważają za potrzebną wspólną pracę oświatową dla ludu polskiego na wzór niemieckiego Volksverein für das katholische Deutschland i mają nadzieję, że taka wspólna praca utorować może drogę i do politycznej zgody.” Ks. Skowrońskiego nie było w Katowicach; nie było też ks. Głowackiego. Po ukończeniu zebrania polskiego zaproszono do siebie księży dekanatu myśłowickiego, którzy równocześnie w tym samym domu byli odprawili zwykłą konferencję pastoralną. Głębokie wrażenie zrobiło wtedy przemówienie ks. Lossa, który prawu pozytywnemu jasno przeciwstawił prawo przyrodzone. Mimo zgody zasadniczej nie doszło do wiążących uchwał.

Lecz pośrednio stało się zebranie katowickie impulsem do założenia największej polskiej organizacji oświatowej na Śląsku Górnym, jakim było Tow. Oświaty im. św. Jacka ze siedzibą w Opolu. Albowiem autorowie książki zbiorowej „Ze Śląska Polskiego”, ośmieleni jej powodzeniem, postanowili teraz za-

⁷⁵) cfr. RTPN. II, 332.

mienić komitet wykonawczy na trwale działające towarzystwo. Lecz zamiast wzorować się na niemieckim Volksverein, oparli się na programie akademickiej pieśni ks. Gregora „Długo Śląsk nasz ukochany”⁷⁰⁾ i nawiązali w ten sposób do polskiej tradycji miejscowej.

Prezesem obrano ks. Skowrońskiego, wiceprezesem ks. Leopolda Jędrzejczyka, proboszcza Boguszyc pod Opolem, sekretarzem Edwarda Rybarza z redakcji „Katolika”, zastępcą jego Józefa Rymera, prezesa Zjednoczenia Zawodowego, skarbnikiem Franciszka Kurpierza, kierownika banku w Opolu. „Gdym jako upatrzony ojciec chrzestny trzymał to nowo narodzone dziecko do chrztu, — zapewniał ks. Skowroński — nie zazdrościłem bynajmniej młodszej braci inicjatywy, owszem cieszyłem się z czynu dokonanego, a serce me wezbrało takimi samymi uczuciami, jak serce sędziwego Symeona, gdy, trzymając na ręku Zbawiciela, w zachwyceniu zawołał: „Teraz puszczasz sługę Twego Panie w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, światłość na objawienie poganów i chwałę ludu Twego izraelskiego.” Ponieważ Towarzystwo powstało w październiku 1917 r., ks. prezes nazywał jego członków październikowcami. „W październiku październą i przędą nici. Teraz i naszym hasłem musi być: kręć się, kręć wrzeczono, wić się tobie wić! — Wijmy, bez ustanku wijmy nici jedwabne, srebrne, złote, a potem tkajmy, bez ustanku tkajmy adamaszki i ałfasy, aby z nich dla naszego kopciuszka śląskiego wyrobić szatę odświętną, by się już śmiało mógł pokazać obok innych dzielnic polskich, pyszących się oświatą i kulturą narodową.” Dla członków z inteligencji miało Towarzystwo stać się miłym azylem, w którym by jednostki zdolne i chętne do pracy bliżej się zapoznać, wzajemnie się uzupełniać i zaгрzewać mogły; miało być dla nich ośrodkiem twórczości i pracy zbiorowej. Dla ludu zaś miało być prawdziwą macierzą. „Jej serce żywo pulsujące ma ciepłą odradzającą krew rozgałęzionymi arteriami przelewać w organizm ludu, tego ciepła pozbawionego. Ono (Towarzystwo) ma być kagańcem, rzucającym światło na mroki, zalegające nasze niwy, aby je z ciężkiego wiekowego snu budzić do nowego życia, kiełkowania, rozkwitu i rodzenia owoców. Towarzystwo ma stać się spichlerzem, dostarczającym duchowo

⁷⁰⁾ cfr. RTPN. I, 254.

zgodniałym zdrowego pokarmu, ma być strażnicą, czuwającą nad rozwojem umysłowości, paraliżującą wszelkie, duszy naszej szkodliwe, prądy i dążenia." Organem nowej organizacji był ćwierćrocznik „Głosy z nad Odry”, redagowany od samego początku przez ks. dra Szramka, aczkolwiek czasem kto inny za redakcję podpisywał.

Towarzystwo św. Jacka stało się szybko popularnym, a to nie tylko na Śląsku, lecz także na obczyźnie, nawet na frontach wojennych, skąd nadsyłano pełne zachwyty wiersze na cześć „Jackowych oraczy”. Umierający 4 stycznia 1918 r. w Raciborzu ks. Roman Rychel zapisał Tow. Oświaty na ręce ks. prezesa 15.000 marek; ks. Gregor z Tworkowa, który swego czasu już od Tow. Ludowego był się spodziewał jakiegoś czasopisma naukowo-popularnego, przekazał na fundusz wydawniczy 3000 marek⁷⁷⁾. Z końcem roku 1918 było członków założycieli 9 (po przynajmniej 500 mk każdy), honorowych 25 (po przynajmniej 100 mk każdy), zwyczajnych z roczną składką 12 mk 293, a nadzwyczajnych po 2 mk 1680.

Do rozrostu Towarzystwa nie mało się przyczynił świetny wykład ks. prezesa Skowrońskiego, wygłoszony w Opolu dnia 4 lutego 1918 r. na pierwszym walnym zebraniu, a potem pod tytułem „Oświaty kaganiec dla Śląska Polskiego” drukiem wydany w nakładzie 10.000 egz.; jako dodatek dołączono klasycznie prostą a serdeczną odezwę specjalną sędziwego już wtedy ks. Stanisława Radziejewskiego. Płomienne słowa ks. Skowrońskiego zaważyły tym więcej na losach organizacji, że Tow. Oświaty spotkało się niebawem ze systematycznymi szykanami władz pruskich, które się skończyły dopiero z wybuchem rewolucji niemieckiej⁷⁸⁾.

Zupełny przewrót opinii górnośląskiej sygnalizował wynik uzupełniających wyborów do parlamentu w okręgu Gliwice-Lubliniec (6 czerwca 1918 r.), w których Korfanty, otrzymawszy 4666 głosów więcej aniżeli centrowiec Benno Nehlert, z tryumfem wrócił na Górny Śląsk, przez ks. Skowrońskiego witany w „Nowinach Opolskich” wierszem na melodię „Heil dir im Siegerkranz”⁷⁹⁾.

⁷⁷⁾ cfr. RTPN. I, 257.

⁷⁸⁾ cfr. „Głosy z nad Odry“ 1920, str. 185 n.

⁷⁹⁾ cfr. RTPN. III, 57—58.

Zarząd Tow. Oświaty został zaskoczony szybkim wzrostem organizacji. Na domiar złego obaj sekretarze cichaczem się usunęli, bo zupełnie byli teraz zajęci pracą polityczną, jakiej Towarzystwo ze zasady nie uprawiało. W październiku 1918 r. uchwalono utworzyć sekretariat płatny i powierzyć go jednemu z młodszych kapłanów. Kuria wrocławska długo zaślaniała się brakiem kapłanów; lecz gdy ks. prezes Skowroński w sierpniu 1919 r. wniosek ponowił we formie petycji, podpisanej przez 80 księży górnośląskich, zgodziła się kuria po dalszych trzech miesiącach namysłu nareszcie choć na uboczne prowadzenie sekretariatu przez ks. dra Szramka w Mikołowie pod warunkiem, że jako sekretarz nie będzie uprawiał agitacji plebi-scytowej.

Długa zwłoka w decyzji kurii wrocławskiej tłumaczy się pierwszym powstaniem górnośląskim, które wybuchło w nocy z 16 na 17 sierpnia 1919, a przez Grenzschutz zostało stłumione krwią. Pod koniec sierpnia przybyła na Górny Śląsk komisja koalicyjna, by zbadać stan rzeczy i kres położyć orgiom Grenzschutzu. Ks. Skowrońskiemu cisnęła się wtedy do pióra po raz drugi skarga: Co naród cierpiał, ja odczuwałem. Jam dzielił jego rozpacz i ból. — Oto odezwa jego z dnia 30 sierpnia 1919 r., ogłoszona w gazetach:

MATKO POLSKO! NARODY!

W imię Boga nieśmiertelnego!

W imię Bożego Syna!

W imię Bożego Ducha!

Przed tym światem, co patrzy i słucha,

Jak się nasza krew tu łać zaczyna,

I wulkanem jęków świat przeraża,

Przed ziemią, co nas spotwarza,

Że już ojczyzny nie mamy,

Choć o nią się dobijamy,

Z mieczem w ręku. — — —

Tak woła polski lud na Górnym Śląsku, jak ongi regimentarz z manifestem w ręku w Barskiej fortecy, ostatniej nadziei w potopie tonącej ojczyzny.

Na sędzie wszyscy stajemy! Słuchaj nas, Matko-Polsko! Słuchajcie narody: Oto stoi przed wami lud górnośląski, ten nowoczesny Laokoon. Czyż nie widzicie, jak go wraz z dziatkami węże teutońskie żelazną opasują obręczą? jak im z paszczyki jad nienawiści bucha? Czyż nie słyszycie krzyku rozpaczliwego tego nad miarę udręczonego ludu? W mnogości swych cierpień porwał się lud do miecza, aby nareszcie przeciąć

mężnie dławiące go pasma węża i po pięciu latach nieznośnych katuszy dobić się wolności, swobody i pokoju i zadać koniec z niecierpliwością znoszonym udręczeniom ciała i duszy. Z ludu wyszło porywczo powstanie, tego się przed światem nie myślimy zapierać, bo podły byłby naród, któryby się nie odważył, wobec tak hańbiącego ucisku rzucić na szalę wolności krew swych najlepszych synów. Tej krwi męczeńskiej nie zmyje przebiegłość teutońska ze ścian i lochów więzień pruskich. Ta krew domagać się będzie przed trybunałem narodów połączenia Śląska z macierzą Polską tak długo, póki nie stanie się zadość jego jak iza naszym żądaniem narodowym.

Brutalna pięść żelaznego militarysty powaliła na ziemię lud, który znękany cierpieniami w rozpacz z gołą ręką rzucił się na przemożnego wroga — i stoi ten lud przed światem ukoronowany koroną, z jęków, łez i krwi splecioną, i wyciąga błagalnie krwawe dłonie o pomoc. I zajękła Macierz Polska na widok krwawych ran swych dzieciaków na Górnym Śląsku, lecz skrępowana traktatami pokojowymi i akcją przeciwbolszewicką na wschodzie, z bólem serca nie może przynieść natychmiast czynnej pomocy. A tu dalej militarysta jak upiór żłopie serdeczną krew ludu; magnat z kopalni i hut, wyjadając jego wnętrzości, chowa złoto skrwawione a przytem lży przed światem lud pracowity jako podły i leniwy, prasa zaś pruska przedstawia całe powstanie jako rozruch bolszewicki, aby usprawiedliwić okrucieństwa popełnione, wrogo usposobić koalicję dla ludu i wyludzić od niej mandat do dalszego tłumienia powstania. Świat ma wierzyć, że Prusacy na Śląsku zwalczają tylko bolszewizm, w rzeczywistości zaś chcą oni bagnietami szarpać wnętrzości polskiego ludu, aby w krwi utopić jego zapal dla wolnej Polski i zniechęcić go dla przyszłego plebiscytu.

Przeciw takim machinacjom zakładamy przed całym światem płomienny protest.

Koalicjo! Jak długo jeszcze zezwolisz na pastwienie się nad ludem naszym, który uwierzył w Twe wzniosłe hasła i wzdycha do wolności obiecanej? Czyż Cię nie wzruszy ofiara jego mąk? My żądamy przyspieszonej pomocy!

Ty zaś, ludu górnośląski, nie rozpaczaj! Polska Cię nie zapomni! Krew Twoich szlachetnych synów, tak obficie wylana, podniesie się jak krew Abła niewinnego przed tron Boga i wyjedna Ci Jego zmiłowanie. Wytrwaj — a wkrótce usłyszysz radosny dźwięk: Bóg był i jest!

Ponieważ przywódcy nasi siedzą albo za granicą albo w więzieniach pruskich, dla tego w ich imieniu i w imieniu księży polskich, współczujących z biednymi ofiarami powstania, odzywam się z tym protestem do Matki Polski i do wolnych narodów.

Wszystkich zaś wzywam do składek na rzecz ofiar powstania, które nasze gazety i Okręgowe Rady Opiekuńcze zechcą zbierać. Sam ofiaruję 200 marek na ten cel.

Dnia 30 sierpnia 1919.

Ks. Skowroński, prob. z Ligoty.

Nie uzyskawszy dla Tow. Oświaty sekretariatu z osobnym urzędnikiem, otworzył zarząd w roku następnym przynajmniej osobne biuro organizacyjne w Bytomiu z ks. prob. Ligenzą (z diecezji włocławskiej) na czele. Skoro dalszy rozwój Tow. Oświaty w ramach ogólnej pracy plebiscytowej był w ten sposób zapewniony⁸⁰⁾, złożył ks. Skowroński prezesurę, która dlań była zbyt uciążliwą dla wielkiej odległości Ligoty od obwodu przemysłowego, przy czym na decyzję jego wpłynęły też poważne kłopoty przedplebiscytowe we własnej parafii, położonej przecież na samej rubieży terenu plebiscytowego. Prezesurę w Tow. Oświaty objął ks. prob. Alojzy Koziełek z Szerokiej (pow. pszczyński), a ks. Skowrońskiego uczczono w uznaniu zasług nominacją na prezesa honorowego.

X. PLEBISCYT

Walkę Komitetu Narodowego Polskiego podczas wojny i w okresie paryskiej konferencji pokojowej o Górny Śląsk przedstawił na podstawie faktów i dokumentów Marian Seyda w „Przeglądzie Wszechpolskim” (1922, nr 7). Gdy dnia 7 maja 1919 r. wręczano Niemcom we Wersalu warunki pokoju, było niby postanowione, że cały Górny Śląsk ma przypaść Polsce w udziale. Ks. Skowroński był drętwy z radości; sztandar narodowy już czekał u niego wywieszenia w Ligocie. Niezdolny do wyśpiewania nadmiaru swych uczuć, rozkoszował się Manifestem Ludu Artura Oppmana, na który on pewnie zwrócił uwagę „Nowinom” opolskim (1918, nr 163).

MANIFEST LUDU.

Wzniósł głowę Naród nie zdziwiony:
 Jego Manifest w krwi mu grał!
 Klucz od ojczyzny rozwalonej
 Nie przemoc miała! — On go miał!
 Zawsze mu polskie grzmiało morze,
 Tatrzański orzeł leciał w grom,
 A zorze wolnych — Jego zorze,
 A cała Polska — Jego dom!

⁸⁰⁾ Nakład „Głosów z nad Odry“ wynosił pod koniec 1918 r. 2000; pod koniec 1919 r.: 12.000; pod koniec 1920 r. 24.000.

Płacisz, Ludu, haracz krwawy,
 Gryzłeś w milczeniu pięć do krwi,
 A dziś królewskie Twe dzierzawy
 Rozkaz narodów zwraca Ci.
 Jeszcze łachmanów swych dodzierasza,
 Jeszcze krwią ciekiesz z świętych ran,
 Ale już berło swe odbierasz,
 Ty! — Najjaśniejszy prawy pan!

Wyjdz z podłych ciemnic! Prosto w słońce
 Z dumą pradziadów obróć twarz,
 Po Batorowe Polski końce
 Hussarski duch Twój trzyma straż,
 Tyś się o działy nie targował,
 Wielkiej puścizny wierny stróż,
 A tę koronę, coś przechował,
 Teraz na skronie swoje włóż!

Śląsku Piastowy! Do Macierzy
 Przypadasz okrwawionych stóp!
 Poznańska Warto! grzmotem bieży
 Twój prąd, w graniczny wałąc słup!
 Gdańsku! przypomnij swą dostojną,
 Swą złotą przeszłość dawnych lat,
 Kiedy bandera z ręką zbrojną
 Chwałę Zygmunatów niosła w świat!

Manifest Ludu: cześć narodom,
 Intonującym Jutra śpiew,
 Braterstwo Wschodom i Zachodom,
 Czy niosły miłość nam, czy krew!
 W takie wzniesienia i godziny
 Gaśnie nienawiść, pęka broń, —
 Błysk!

Przebaczone wszystkie winy...
 I wyciągnięta Polski dłoń...

Radości uświadomionych Polaków odpowiadał z drugiej strony poprzez mętne fale rewolucji powojennej Niemców gniew. Dnia 14 grudnia 1918 opublikował ks. Skowroński jako „kwiat kultury niemieckiej” następujący list z namalowanym zamiast podpisu granatem ręcznym, trupią głową i kośćmi a adresowany: An den gutkatholischen Polenhetzer und Pfarrer Skowroński, Ellguth b. Zülz.

„Das nächste Mal fliegen Handgranaten; wir haben schon noch genug! Aber für das Blut, das fließt, seid nur ihr verantwortlich. Wir hätten bloß dabei sein sollen, verflucht ja! Wir hätten euch zu Marmelade geschlagen. Sagt uns nochmal, was Sünde ist; das nächste Mal werdet ihr

ja sehen, was Sünde ist! In spätestens einer Woche ist alles organisiert: wenn ihr noch ein einziges Mal von der Kanzel oder sonstwo über Polen oder Politik sprecht, brennt in par Tagen drauf die Pfarrei, und ihr werdet dazu so verdroschen, dass ihr nicht mehr laut beten könnt. — Wir sind jetzt schon 14 Soldaten; die Pfarreien in Ellguth, Simsdorf, Friedersdorf usw. sind doch voll Wein! Das Los hat schon über unsere Rollen entschieden. Kümmert euch um Seelen, nicht um weltliche Sachen! — Vorläufig schläft gut!"

Na drugiej stronie koperty widniało życzenie: Gott strafe die polnischkatholischen Pfarrer von Oberschlesien! — Że to nie były czcze pogrożki, tego są dowodem aresztowania ks. prob. Kuczki w Wysoce (pow. oleski) i ks. prob. Banasia w Lubowicach (pow. raciborski), oraz zastrzelenie (14. I. 1919 r.) ks. prob. Rudy w Marcinkach pod Bralinem, którego szczegółowy opis przyniosła w pierwszą rocznicę „Gazeta Opolska”.

Dnia 4 czerwca zdecydowała tymczasem Rada Najwyższa pod presją Lloyd George'a bez poprzedniego wysłuchania delegacji polskiej plebiscyt dla Górnego Śląska. Po zajęciu terenu plebiscytowego przez wojska międzysojusznicze objęła dnia 19. II. 1920 r. rządy na nim osobna Komisja z generałem Le Rondem na czele; rozpoczęła się agitacja plebiscytowa za Polską i za Niemcami, która często rozdzielała członków tej samej rodziny na dwa obozy namiętnie przeciwne.

Na zachodniej rubieży etnograficznej polszczyzny panowała na ogół drętwość i niska temperatura narodowa⁸¹⁾. W powiecie prudnickim wykazał wynik plebiscytu tylko 11,9%, a po odliczeniu emigrantów 16,7% głosów za Polską. Granica plebiscytowego obszaru przechodziła przez samą parafię ligocką; należąca do niej gmina Otok nie podlegała już głosowaniu ludowemu. Miasta Biała (Zülz) i Prudnik (Neustadt) leżały również poza obrębem plebiscytu. Szczególnie ruchliwym gniazdem agitacji proniemieckiej było nauczycielskie seminarium w bliskiej Biale. Lokalne wpływy ks. Skowrońskiego były osłabiane lub całkiem paraliżowane przez nauczycieli miejscowych. Właśny organista, kierownik szkoły Goy, był sprężyną roboty niemieckiej w Ligocie i politycznym denuncjantem proboszcza; mnóstwo artykułów w proniemieckich pismach plebiscytowych „Dzwon” i „Schwarzer Adler” albo w plebiscytowych dodatkach prasy lokalnej przeciwko ks. Skowrońskiemu — właśnie

⁸¹⁾ cfr. RTPN. II, 314.

w nim miało inspiratora. Niemiecka złość na ks. Skowrońskiego była tym większa, że często przemawiał na wiecach okolicznych i wyręczał poniekąd wysłanników polskiego komisariatu plebiscytowego, względem których ludność była więcej podejrzliwa.

Plebiscyt był w gruncie rzeczy sprawą sumienia. To też pod tytułem: Obowiązek sumienia — ogłaszano mnóstwo artykułów za Polską i za Niemcami. Czołowym moralistą plebiscytowym po stronie polskiej był ks. Kapica z Tychów; koło jego artykułów toczyła się zwykle dyskusja. Po stronie niemieckiej brali w niej udział spośród kleru i ks. Rassek i ks. Feja, a najdalej posuwał się ks. dr Nieborowski. Warto zanotować choć kilka tytułów tej publicznej korespondencji nader ciekawej: Rassek, Öffentliche Antwort eines oberschlesischen Geistlichen an seinen Confrater („Schles. Volksztg.", 30. IX. 1919) — Offener Brief des Erzpriesters Kapitza an Pfarrer Rassek („Schles. Volksztg.", 7. XII. 1919) — Feja, Doppelte Wahrheit und doppelte Moral („Mittelschles. Ztg.", 19. X. 1919) — Eine Antwort an Pfarrer Kapitza („Der Schwarze Adler", 22. X. 1919) — Kapitza, Hubertusburg — Versailles („Oberschles. Kurier", 24. X. 1919). — Na ks. Kapicę wylewała też swoją złość cała plejada agitatorów niemieckich.

Więcej zabawną niż ciekawą była kontrowersja jakiegoś laika, jak się okazało, rektora Osiewacza z Gliwic z ks. Kapicą⁸²⁾. Ponieważ rektor Osiewacz pochodził z Ligoty, odezwał się i ks. Skowroński na temat obowiązku sumienia, a to jako ks. XYZ na łamach „Nowin" opolskich (1919, nr 206). Najprzód charakteryzuje przeciwnika ks. Kapicy, nie wymieniając go tymczasem:

„Ów laik jest nauczycielem elementarnym w pewnym większym mieście obwodu hutniczego i pochodzi z polskiej nawskroś rodziny włościańskiej. Mimo to zionie nienawiścią do polskośći. O swoim bratanku, księdzu patrjocie polskim, wyraził się, że lepiejby było, gdyby się był stał szwaczem, niż polskim księdzem. Nauczyciel jego rodzinnej wioski zniechęcił dwa razy jego bratankę, iż odważyła się po polsku mówić, lecz ów laik nie bronil swej bratanki, za to obcuje najserdeczniej z owym hakatystą-nauczycielem i z nim razem agituje na wakacjach przeciw polskośći. O proboszczu polskim we swej rodzinnej wiosce rzekł: Od niego nie przyjmuję żadnego pozdrowienia, „ich hasse ihn". Mimo to w artykule swoim do „Schles. Volksztg." udaje wielkiego zucha katolickiego, gdyż pisze: „Walka w obronie wiary należy do najpiękniejszych cnót wia-

⁸²⁾ cfr. RTPN. III, 61.

ry katolickiej”. Tej cnoty atoli on nie posiada, bo gdy katolicycy nauczyciele z obwodu hutniczego dla obrony zasad katolickich szeregowali się w osobnych związkach katolickich nauczycieli, on krył się mężnie w liberalnym Vereinie i temu też mężstwu zawdzięcza, że stał się — aż rektorem. Niema co mówić! Teraz wywija mężnie chorągiewką katolicką, a „Schles. Volksztg.” przytula go do swego serca w tej samej chwili, kiedy liberalnego katolika, piszącego do protestanckiej „Schles. Zeitung”, zajadliwie zwalcza.”

Potem przystępuje do rzeczowego oświetenia jego wywodów, ufając, że jak Szaweł, tak i pan rektor przed bijącym światłem prawdy spadnie na ziemię ze swego źle osiódlanego konika teologicznego:

„W słowie napomnienia do katolików śląskich z dnia 8 marca pisze nasz ks. biskup w sprawie głosowania tak: „Każdemu wolno omawiać gruntownie i rzeczowo wszystko, co przemawia za i przeciw zmianie przynależności państwowej w przyszłości”, a 24 czerwca pisze: „Nikt nie może mi tego wziąć za złe, że z całego serca pragnę, ażeby Górny Śląsk, tak bogaty w skarby ziemi i obdarzony ludnością wiernie oddaną kościołowi, pozostał nadal w związku z resztą Śląska. Wszelako pozostawiam każdemu tak kapłanowi jak świeckiemu zupełną wolność przekonania i wypowiedzenia się co do tego, co leży więcej w interesie Górnego Śląska pod względem idealnym i materialnym.” Dwa razy więc w sprawie głosowania odezwał się książę-biskup do wiernych, lecz nie ośmielił się włożyć na nich jarzma obowiązku sumienia głosowania za Prusami, owszem pozostawił pod tym względem każdemu zupełną wolność. Gdyby Górnoślązakom religja i sumienie nakazywały głosować za Prusami, nigdy nie śmiałby biskup, jako stróż wiary, tego przemilczeć. Według biskupa tylko bogate skarby ziemi górnośląskiej, nie zaś wiara i sumienie przemawiają za łącznością Górnego Śląska nawet nie z Prusami, lecz tylko z resztą Śląska. Zresztą skarby przydadzą się i Polsce. Czymże tedy czynisz się tam, panie Rektorze? Czy widzisz lukę i we wywodach swego biskupa i chcesz go poprawiać i pouczać? Pozostań, proszę, przy nauczaniu żaków szkolnych.

Żeby sumienie nakazywało Górnoślązakom plebiscyt za Prusami, o tem mowy być nie może. W tym samym momencie, kiedy uprawnione władze państwowe Rzeszy niemieckiej i Prus zgodziły się na warunki pokojowe Wilsona, a mianowicie na § 13 opiewający, że wolna Polska ma obejmować wszystkie przez niewątpliwie polską większość zamieszkałe kraje, udzieliły one obcoplemiennym obywatelom „Exeat”, t. j. zwolniły te kraje od węzłów, łączących je z dawniejszym państwem, i dały im wolność łączenia się z resztą narodu według zasad narodowościowych. Św. Tomasz z Akwinu uczy: „że węzeł przyrodzonego pochodzenia jest pierwszym i trwalszym, gdyż odnosi się do samej istoty, podczas gdy inne związki z zewnątrz pochodzą i ustać mogą”. Węzeł więc przyrodzonego pochodzenia, który pojedyncze jednostki łączy z narodem, jest silniejszy, niż węzeł, który je łączy z państwem, gdyż pierwszy polega na

naturze i tak pośrednio na woli Bożej, — drugi zaś tylko na zewnętrznej, tymczasowej i przejściowej formie, która łączy ludzi nieraz różnej narodowości w jedną całość, państwem nazwaną. Stąd też Krasiński wnioskuje, że państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przypadkowym cząstek, a więc utworem miecza i podboju dyplomacji i ożenku. *Tu felix Austria nube!* Jedne narodowości są kreacją czyli utworem twórczej siły Boga i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, lecz narodowości upaństwowione jedynie tylko mogą być chrześcijańskimi. Dotąd tworzyły się państwa na przekór narodowościom przez rozćwiartowanie jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. Tak powstały i powiększyły się naprzykład państwa pruskie, austriackie i rosyjskie, które nie według praw Bożych, ale w interesie samolubnym rozćwiartowały żywą narodowość polską, wchłaniając jej części w swój organizm państwowy. Takie targnięcie się przeciwko prawdzie Bożej, prawdzie wiecznej jest świętokradztwem, nie uznanie zaś tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności jest religją. Na tem samem stanowisku, jakie określił Krasiński w przedmowie do „Przedświtu” w roku 1843, stanął Wilson w przedmowie do swych 14 punktów pokojowych. On oświadcza, „że czas grabieży, rozciągania krajów i tajnych traktatów, dawających pojedynczym rządóm możliwość osiągnięcia samolubnych korzyści, bezpowrotnie minął, z czego jako faktu uszczęśliwiającego, każdy, nie żyjący w kółku myśli martwych, już dziś się cieszyć powinien. My żądamy, tak woła, nowego porządku świata, któryby swobodne życie narodów strzegł i każdemu narodowi zapewnił prawo rozwoju swego życia własnego i każdy naród przed samolubną napaścią i ujarzmieniem chronił. Do tego celu muszą wszystkie narody dążyć, boć dotąd wskazuje wszystkich interes. Nasz program żąda pokoju świata, inny program jest niemożliwy.”

Tylko wolne narody mogą należeć do składu powszechnej ludzkości i zapewnić światu stały pokój i pchnąć ludzkość na nowe tory, prowadzące ją do dalszego rozwoju i rozkwitu idei ludzkości. Ta idea ludzkości musiała według Krasińskiego w narodowości polskiej, której krzywdą najsrodzej ludzkość pogwałcono, najsilniej zadrygnąć, najjaśniej zabłysnąć. Sumienie ludzkości, tak długo pogwałcone brutalną siłą wstecznych państw, obudziło się w czasie światowej wojny i z żywiołową siłą domaga się uzdrowienia organizmu ludzkości, któremu przez rozćwiartowanie narodowości polskiej na jednym z jego żywych członków głęboką ranę zadano. Ten krzyk sumienia ludzkości znalazł wyraz w 13 punkcie warunków pokojowych Wilsona.

Pod obuchem wojny światowej pękły obręcze państw beznarodowościowych, rozbiły się formy zewnętrzne, łączące różne narodowości w jednym państwie. Cóż więc dziwnego, jeżeli się teraz przyrodne uczucie miłości do własnego narodu silniej i głośniej odzywa, jeżeli odłamy narodów, pozbywszy się zewnętrznej formalnej więzi państwowej, przypominają sobie żywo przyrodzone węzły i dążą do upaństwowienia całego narodu. Dążyć do takiego nie znaczy sprzeciwiać się religji, skoro narody pochodzą od Boga, ale dać pierwszeństwo prawu przyrodzonemu nad prawem historycznym, prawem miecza lub dyplomacją gabinetową wy-

tworzonem. Stąd to łączą się w jedno narodowe państwo Rumuni, Czesi, Jugosłowianie, Włosi, Duńczycy, a nawet Niemcy austriacy pragną połączenia z resztą swego narodu, chociaż ich niedawno temu żelazna ręka Bismarcka wyrzuciła poza granicę Rzeszy niemieckiej. Nikt chyba nie odważy się odmówić im prawa do tego. Nas tylko Polaków na Górnym Śląsku chcieliby murem chińskim odłączyć od Matki Polski. Nie, panie Rektorze, i nam przysługuje to samo prawo, my bez najmniejszych skrupułów sumienia będziemy głosować za Polską, zwłaszcza odkąd nas państwo pruskie przez przyjęcie § 13 warunków pokojowych zwolniło od przynależności do Prus. Swój do swego, to zasada natury. Silniejszy jest węzeł przyrodzonego pochodzenia od węzła państwowego.

Na dalsze wywody laika z „Schles. Volksztg.” nie warto odpowiadać, gdyż jasno jest jak na dłoni, że religijne, narodowe, kulturalne i materialne interesa Górnego Śląska mogą tylko przez połączenie się z Polską być zapewnione. Na jedno zdanie p. Rektora chcę tylko jeszcze zwrócić uwagę. Oto on pisze śmiało: „Die Behauptung, dass der Protestantismus der katholischen Religion gefährlich werden könnte, ist durchaus falsch”. Tymczasem biskupi Prus w osobnym liście pasterskim, który w gody z ambony został odczytany, tak groźnie przedstawili to niebezpieczeństwo dla wiary naszej, że słuchaczów aż mrowie przechodziło; z powodu dwunastoletniej rocznicy św. Bonifacego zwrócili na tę straszną prawdę uwagę, że aż 75.000 dusz, a między nimi 40.000 dzieci, ginie rocznie dla Kościoła katolickiego w morzu protestanckim. Któż tu mówi prawdę, biskupi czy też pan Rektor, piszący do „Schles. Volksztg.”? Tego niebezpieczeństwa nie będzie dla Kościoła i naszych dzieci, gdy się przyłączymy do katolickiej Polski. Te nasze dążności uznać nawet muszą sprawiedliwi Niemcy za zupełnie słuszne. I tak pisze mi pewien proboszcz: „Co do mej osoby, jestem Niemcem i mego pochodzenia zmienić nie mogę. Życzę atoli polskim Górnoszlązakom połączenia z Polską.” Niestety wielu Niemców nie jest tego samego zdania, ponieważ zasklepieni w przestarzałych przesądach, nie chcą zrozumieć, jakie fundamentalne zmiany wytworzyły się dnia 11 października! Jakże tu zawstydzą rodowity sprawiedliwy Niemiec rodowitego Polaka, piszącego do „Schles. Volksztg.” przeciw Polsce.”

Nienawiść przeciwko ks. Skowrońskiemu rosła. Wspomniany organista i nauczyciel Goy z Ligoty zainicjował po śmierci ks. dziekana Bartelmusa w Białej (1919) pomiędzy kolegami akcję protestacyjną przeciwko zamianowaniu swego proboszcza dziekanem, chociaż ks. Skowroński pracował w dekanacie od 25 lat, a kler dekanatu jednogłośnie był za nim. Po dwukrotnym upomnieniu się otrzymał też ks. Skowroński dekret nominacyjny z dnia 30. IV. 1920, lecz dowiedziawszy się, że ks. kardynał Bertram nominację niechętnie podpisał, już dnia 1 września tegoż roku urząd znowu złożył, a gdy rezygnacji przyjąć nie chciano, dekret nominacyjny dwa razy z rzędu odesłał do

Wrocławia. Nie chciał być intruzem w dziekaństwie: „Ich müsste kein Gewissen und alle Selbstachtung verloren haben, wollte ich wie ein versklavter Simson die erzpriesterlichen Mühlsteine ohne gegenseitiges Vertrauen mühsam und freudelos weiter treiben”. Albowiem opozycja przeciwko niemu wciąż trwała i zwłaszcza w samej Białej (Zülz) coraz ostrzej się wyrażała w prasie lokalnej. Nominację ks. Skowrońskiego nazywano kokietowaniem Wrocławia z Polakami, a nieznośnym skandalem fakt, że Polak (Nationalpole) ma jako dziekan dozorować niemieckie kościoły, niemieckich księży, niemieckich wiernych, że „ein Deutschenhasser” ma rewidować księgi i kasy niemieckich kościołów, egzaminować niemieckie dzieci i odprawiać nabożeństwa dla niemieckich wiernych. Wprawdzie ks. Skowroński nie omieszkiał zwrócić uwagę we Wrocławiu, że taki *furor teutonicus* ze swoją ideologią musi doprowadzić do najsmutniejszych konsekwencji dla czysto niemieckiego księcia-biskupa, który jest postawiony nad 1,200.000 polskich katolików itd. — ale rosnące chmury niechęci kłębiły i zgęszczały się w miarę, jak się zbliżał plebiscyt. Wszak w powiecie o ludności etnograficznie polskiej, lecz bardzo mało uświadomionej narodowo tak, że polska agitacja napotykała wszędzie na opór, proboszcz ligocki uchodził za człowieka najniebezpieczniejszego.

Na uroczystość Narodzenia Matki Boskiej 1920 r. zorganizował ks. Skowroński także z Prudnickiego kompanię do Częstochowy, by ją przyłączyć do pierwszej wspólnej procesji górnośląskiej, liczącej coś około 10.000 uczestników. Wszak było właśnie po wojnie bolszewickiej i po świetnym zwycięstwie polskim pod Warszawą, które przeszło do historii jako „Cud nad Wisłą”.

Pełny gorącego uczucia opis tej pielgrzymki umieścił ks. Skowroński w „Głosach z nad Odry” (1920, str. 150—156). Gdy przechodził obok figury Dziewicy Niepokalanej na miejscu, gdzie dawniej stał spiżowy posąg cara Aleksandra II, pomodlił się w myśli: „Zdeptałaś, Niepokalana, potężną nogą głowę smoka moskiewskiego i uśmiechasz się miłuchną twarzyczką do wolnego narodu polskiego, tulącego się kornie do Twych stóp zwycięskich; kiedyż, ach kiedyż, Królowo, ubłagasz i nam Górnoślązakom wolność! Spiesz się, Królowo, bo już z wielką niecierpliwością tęsknimy za tą swobodą, niech nas już nie dziela zapory graniczne od krynicy Twych łask na Jasnej Gó-

rze." — Gdy po 37 latach stanął znowu przed cudownym obrazem, rozrzewnił się do łez. A gdy słyszał westchnienia i jęki rozmodlonego ludu, zdawało mu się, że w nich słyszy błagania wszystkich pokoleń, które w mroku ciasnej kapliczki kiedykolwiek zwracały oczy swe ku Maryi i błagały ją o opiekę i ratunek. Szczytne zaś tytuły, jakie godzinki nadawają Maryi: Ogromna czartu jesteś, w szyku obóz silny — Miasto pańskie i Bramo na wschód wystawiona — Wieżo utwierdzona Dawidowa, basztami i bronią wzmocniona — O mężną Białogłowo, Judyt wojująca — odzywały się silnym echem w jego duszy i stanowiły treść jego prośb, jakie składał za cały naród, a szczególnie za ukochany Górny Śląsk u stóp Jej ołtarza.

„Neustädter Ztg.” (26. IX. 1920) drwiła w swym dodatku plebiscytowym z tej pielgrzymki paszkwilem „Z panem proboszczem w Częstochowie”, a gdy ks. Skowroński piętnował to z ambony i wytykał autorowi przy tym liczne błędy językowe i ortograficzne, zareagował w „Der Schwarze Adler” (1920, nr. 79) wspomniany już rektor F. Osiewacz z Gliwic, ligoczanin z pochodzenia, listem otwartym, zarzucając ks. Skowrońskiemu nadużywanie ambony i bałamucenie ludu Częstochową, przy czym nie omieszczał wspomnieć o potwornej zbrodni Macocha. Ks. Skowroński publicznie odpowiedział w „Grenzztg.” (1920, nr. 290), wskutek czego rektor Osiewacz zaskarżył go o obrazę. Ks. Skowroński jednak odrzucił sąd pruski w Głogówku jako uprzedzony i skierował sprawę przed trybunał Komisji Międzysojuszniczej w Opolu, która skargę umorzyła.

Ważnymi datami w okresie plebiscytowym są dni: 21 listopada i 21 grudnia 1920 r. W pierwszy ukazało się rozporządzenie ks. kardynała Bertrama o postawie kleru w walce plebiscytowej, które, uzależniając akcję kleru od miejscowych proboszczów, faktycznie do 75% zorientowanych ku Niemcom, wywołało tak namiętną dyskusję publiczną i tak energiczne polityczne reakcje polskie, że Stolica Apostolska zamianowała niebawem w osobie ks. prałata Ogno Serra osobnego komisarza dla Górnego Śląska, który dnia 21 grudnia wydał nowy, mniej rażący dekret⁸³).

Na takim tle stał się list otwarty rektora Osiewacza do ks. dziekana Skowrońskiego wstępem do całkiem poważnej ak-

⁸³) cfr. RTPN. III, 69—72.

cji, która miała na celu usunięcie ks. Skowrońskiego z Ligoty. Akurat na Boże Narodzenie 1920 r. podpisali naczelnicy gmin Ligota, Górka (Ernestinenberg) i Radostyń oraz amtowny w Radostyni obłudnie wystylizowany szesnastostronny wniosek do ks. kardynała Bertrama, którego kwintesencją było: „Herr Skowroński hat sich hier als Priester unmöglich gemacht und muss umgehend durch einen unpolitischen Geistlichen ersetzt werden”. O piśmie, które poszło naturalnie ad acta, dowiedział się ks. Skowroński dopiero znacznie później, stwierdzając zarazem, że naczelnik Górki podpis dał dopiero i tylko pod terrorem urzędowym. Tymczasem żył ks. Skowroński w złudnej nadziei, iż w plebiscycie zwycięży znowu polski instynkt narodowy także w jego parafii. W polemicznej korespondencji z ks. Röslerem O. SS. R. pisał jeszcze 26 stycznia 1921 r., iż jak pod pruskim rządem bronił polskiej nauki dla polskiej diatwy, tak też bronić będzie w razie potrzeby niemieckiej nauki religii dla diatwy niemieckiej, „wenn mein geliebtes Oberschlesien sich endlich von der preussischen Tyrannei frei macht und an Polen anschliesst”.

Pod koniec lutego 1921 r. otrzymywał ks. Skowroński, przezywany „elender Volksverführer” i „Volksbetrüger” — jak zresztą wielu księży — mnóstwo pogrózek na otwartych pocztówkach z wyrazami największej wzdgardy „aus dem tiefsten Grunde deutscher Herzen”, podpisywane przez „einige, die dich bis in den Abgrund der Hölle wünschen und hassen”.

W cztery dni przed głosowaniem umieściła centrowa „Neustädter Ztg.” w swym plebiscytowym dodatku „Um unsere Heimat” jadowity artykuł „An Pfarrer Skowroński”, w którym zarzucała mu m. i. przekupstwo, jakoby od Polaków był pobierał łapówki (Schmiergelder). Twierdziła śmiało, że człowiek, który od niego kwity odbierał, jest w każdej chwili gotów przekupstwo mu udowodnić. Ks. Skowroński, wysledziwszy autora artykułu w osobie niejakiego Thalhofera, kierownika Reichsgetreidestelle w Prudniku, zawezwał go poleconym listem na pewną godzinę do sali karczmarza Hoinki, aby mu przed zgromadzoną parafią udowodnił przekupstwo; za to przyrzekł mu 150.000 mk, a drugie tyle owemu człowiekowi, co rzekomo posiadał kwity. Oczywiście nikt się nie stawił. Tylko amtowny z Radostyni Flieger oświadczył piśmiennie, iż ma dowody na to, że ks. Skowroński pobrał 75.000 mk łapówek; dowodu atoli

nigdy i nigdzie nie złożył. Ponieważ „Neustädter Ztg.” ks. Skowrońskiemu sprostowania nie umieściła, pomógł sobie tenże ulotką z dnia 11. IV. 1921 r. „An Herrn Thalhofer, Betriebsleiter der Reichsgetreidestelle Neustadt O. S.”, w której demaskował adresata jako płatnego agenta „Verband heimattreuer Oberschlesier” w Głogówku i jako pokątnego konsumenta naczelnika gminy Kiołtyki w Radostyni, inicjatora wspomnianej petycji do biskupa o usunięcie ks. Skowrońskiego z Ligoty. W ulotce jest też przygwożdżone niecne postępowanie ks. prob. Hübnera w Prudniku, który był petycję zaopiniował jako zręczną i umiarkowaną, prosząc o odbitkę dla swej teki historycznej. Do ks. Hübnera wprost zwrócił się ks. Skowroński dnia 7. IV. 1921 r. pismem tej treści:

Als vor vielen Jahren sich die Parochianen eines hakatistischen und auch sonst wenig einwandfreien Pfarrers in unserem Kreise an mich mit der Bitte wandten, ihnen eine Beschwerde gegen ihn für den Fürstbischof aufzusetzen, habe ich sie glatt abgewiesen mit der Bemerkung, dass es mir mein Standesbewusstsein verbiete, gegen einen Confrater hinterrücks zu intrigieren. Nicht wahr, wir Wilden aus dem Wild-Ost sind doch andere Menschen!

Ein deutscher Confrater war über die nichtswürdigen Hetzartikel der Neustädter Zeitung gegen uns polnische Priester entrüstet und gab mir den Rat, ich solle mich an Ew. Hochwürden als Mitglied des Aufsichtsrates für diese Zeitung um Abhilfe wenden. Ich habe es nicht getan und habe jetzt den Beweis, dass ich Sie richtig eingeschätzt habe. Jener Confrater sprach vor mir die Befürchtung aus, dass durch solche Hetze der Zentrums Presse der katholischen Sache und dem Zentrum selbst unabsehbarer Schaden zugefügt werde. Ich teile seine Ansicht. Die Zentrums Presse, welche ihre aus alter Zeit stammende hehre Devise „Für Wahrheit, Freiheit und Recht” in dieser Zeit mit ihren lügenhaften Artikeln mit Füßen getreten und die Massen im ständigen Alkoholdusel der Verhetzung gehalten hat, wird in der Folgezeit zum kommunistischen, bolschewistischen Absinth greifen müssen, um ihre Leser noch weiter bei sich als Anhänger zu erhalten. Die Herrn Lehrer, welche bis jetzt ausschliesslich in der Zentrums Presse mit ihren gehässigen Artikeln zu Worte kamen, werden das Zentrum in Oberschlesien nicht retten. Dem Zentrum gähnt das Grab entgegen. Fügen Sie auch diesen meinen Brief Ihrer „Geschichtlichen Sammlung” bei. *Olim et haec meminisse iuvabit.*

Hochachtungsvoll

Skowroński, Pfarrer.

Zaraz po plebiscycie ogłaszały obie strony zwycięstwo. Ks. Skowroński, idąc za popędem serca, wierzył prasie polskiej i nie posiadając się z radości, chodził w Ligocie pod Prudni-

kiem od domu do domu, wywijał rękoma i wołał: niech żyje Polska! — Była to jednak dla całego lewego brzegu Odry radość przedwczesna.

*

Po odbytym wielkim głosowaniu stanął potop plebiscytowej agitacji i zaczął się dokonywać powoli, lecz żywiotowo, nowy dział wód politycznych; fale polskie spływały na wschód, fale niemieckie na zachód; niejasną była tylko ostateczna linia nowego rozgraniczenia. Trzecie powstanie górnośląskie jest krwawą ilustracją tego procesu przełomowego.

Jeszcze przed wybuchem powstania nabrał ks. Skowroński bolesnej pewności, iż w Ligocie pozostać nie może. Ponieważ sąsiadowi jego, ks. prob. Długoszowi w Gostomi, już rzucano granaty ręczne na plebanię, wyjechali obaj dnia 27 kwietnia 1921 r. cichaczem do Bytomia, zapewniwszy parafiom zastępstwo prowizoryczne. Podczas właściwego powstania, na które patrzył w świetle Ksiąg Machabejskich, przebywał ks. Skowroński w Wiśniczu (pow. gliwicki), zamieniwszy się na razie z tamtejszym proboszczem ks. Steuerem, który także uchodzić musiał przed powstańcami, a który w końcu pozostał w Ligocie. Ówczesna martyrologia duchowieństwa polskiego, w której nie brak ani czynnych znieważeń (np. ks. Gaska w Zabełkowie 5. V. 1921), ani brutalnych uśmierceń (ks. Marks w Starym Oleśnie 11. V. 1921)⁸⁴⁾ — jest złożona w memoriale sekcji teologicznej Śląskiego Związku Akademickiego, wysłanym na początku sierpnia 1921 r. do Komisji Międzysojusznicej a publikowanym też w gazetach. Z załączonego tam spisu wynika, że 40 księży musiało wtedy uciekać przed Niemcami.

W Ligocie aresztowano dnia 26 maja krewniaczkę ks. Skowrońskiego Agnieszkę Hatlapównę i trzymano przez miesiąc w obozie koncentracyjnym w Chociebużu. W połowie lipca dostał się ks. Skowroński formalnie na bruk, bo ks. Steuer zabierał już swe meble z Wiśnicza do Ligoty i trzeba było szukać nowego schronienia dla siebie i mebli. Meble ks. Skowrońskiego zmagazynowano ostatecznie w suterenie probostwa w Małej Dąbrówce pod Katowicami. Przez cały rok prowadził ks. Skowroński — jak ca 30 innych konfratrów — życie tułaczę, pła-

⁸⁴⁾ Na podstawie opowiadań matki ks. Marksa opisał ostatnie jego chwile ks. Juliusz Bieniek w „Gazecie Ludowej” 1924, nr 263.

cząc nieraz jak Dante nad gorzkością chleba cudzego; żartobliwie nazywał tułaczkę okresem cudzołożenia, bo wciąż w cudzych łóżkach sypiał. Najlepiej się czuł u ks. Kupilasa w Lędzinach, któremu jeszcze po latach wyrażał w wierszykach karlsbadzkich wdzięczność za polską gościnność.

Ówczesne zniecierpliwienie licznych księży-uchodźców, których kanoniczne umieszczenie na polskiej części Śląska Górnego stanowiło najkłopotliwsze zadanie ks. Kapicy jako delegata biskupiego, znalazło na początku marca 1922 r. gorzszący wyraz w artykule „Polnisches Volk, hilf du uns!” — ogłoszonym w „Oberschles. Grenzztg.” (nr 51) i w „Kath. Volksztg.” (nr 44). Było to cierpkie votum niezauwania dla ks. Kapicy i nierealne w danych warunkach wysuwanie kandydatury ks. Skowrońskiego na stanowisko delegata. Oczywiście z tym artykułem rewolucyjnym świątły ks. Skowroński nic nie miał wspólnego.

Kiedy przez odejście ks. prob. Dworskiego na stronę niemiecką zawałował Mikołów, został ks. Skowroński za pośrednictwem delegata biskupiego ks. Kapicy proboszczem mikołowskim i już jako taki patrzył na wkroczenie wojsk polskich na Górny Śląsk. „Stałem obok Korfantego, gdy rynek katowicki napełniał się szykami naszego wojska z generałem Szeptyckim na czele. Zwróciłem się do Korfantego i rzekłem z łzami w oku: Wojciechu, ta jedna chwila wynagradza i osładza nam wszelkie trudy i prześladowania dla Polski” — tak powiedział na akademii w dziesiątą rocznicę przyłączenia Śląska do Polski.

Dnia 29 czerwca 1922 r. wkroczyło wojsko polskie także do Mikołowa, akurat w siedemsetną rocznicę pierwszej wzmianki historycznej o tym mieście. Gdy szwadron ułanów z generałem Horoszkiewiczem na czele stał na rynku, okolony rozentuzjowanym tłumem ludu, wygłosił ks. Skowroński z balkonu ratusza następującą mowę:

Panie Generale! Rycerze! Rodacy!

I stało się! Spełniły się nareszcie sny i marzenia narodowe o zmartwychwstać mającej i zjednoczonej Polsce, które żywił nasz największy wieszcz górnośląski, ks. Konstanty Damrot i którymi jak rosą niebieską pokrzepiał wędniejącą w niewoli duszę naszego ludu. Legł on w grobie z niezłomną nadzieją, że Polska zmartwychwstanie i nad Śląskiem znowu rządy obejmie, że godło Piastów zaświeci ze starych baszt, że Orzeł Biały swe skrzydła rozszerzy i że będzie jeden pasterz i jedna trzoda,

a nad Śląskiem zaświta swoboda! Nie omyliłeś się, cześć twoim popiołom! Oto staropolska ziemia piastowska, od pnia Macierzy odcięta, powraca dziś pod panowanie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Przychodzi Polska i bierze w prawną posiadłość drogocenną perłę górnośląską wraz z wiernym ludem, który mimo wieków rozłąki nie wynarodowił się i teraz skwapliwie tuli się do ciepłego serca prawej Matki-Polski. Przychodzi Polska i znajduje wszędzie drzwi otwarte, przyozdobione zielenią, i serca przepełnione niewymowną radością.

Nastrój zbiorowej duszy naszego ludu w tym pamiętnym roku da się chyba porównać z oczekiwaniem i naprężeniem umysłu w Litwie w roku 1812, kiedy to radośnie wołano: „Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami”. Kiedy to pod dowództwem sławnego generała Dąbrowskiego wkroczyło wojsko polskie na Litwę, aby ją oczyścić od Moskala. O owym roku śpiewał Mickiewicz.

Takim rokiem na wieczne czasy dla nas i potomności pamiętnym będzie rok 1922. Wszak i on obfity w zdarzenia, gdyż łączy Górny Śląsk na wieki z ukochaną Polską — i on nadzieją brzemienny, bo po wiekowej niewoli rozpościera Orzeł Biały swe skrzydła opiekuńcze nad Śląskiem: Polska przygarnia nas do swego łona macierzystego, aby otrzeć z ócz naszych łzy sieroce i stać się nam opiekunką wolności i swobody.

Zdaje mi się, że w tej chwili unosi się nad nami duch naszego rodaka, wieszczą Krasińskiego, który jakoby w jasnowidzeniu widział zmartwychwstanie Polski i który teraz do nas woła: „Chwila dawno przewidziana, będzie Polska w imię Pana! — Rzucać palmy — rzucać psalmy! Kwiaty na dół — pieśni w górę!

A więc sursum corda! W górę serca! Ciebie Boże wielbimy, żeś nam dozwolił dożyć dzisiejszej chwili, żeś spełnił prorocтва naszych wieszczów o zmartwychwstaniu Polski, któremi krzepili serca mdlejące w niewoli, żeś wysłuchał pokoleń błagania, zanoszone przed Twe ołtarze, żeś raczył nam wrócić ojczyznę i wolność. Brzmijcie pieśni dziękczynienia, bo łaskawy Bóg!

Ale i Tobie cześć, Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy, że przychyliłaś się do błagań licznych pielgrzymek Górnego Śląska na Jasną Górę i nas wróciłaś cudem na ojczyznę łono! Nie wypuszczaj już nigdy z pod Twej opieki nas, Ty Królowo Korony Polskiej!

Rzucać palmy — kwiaty na dół — pod stopy nadchodzącej miłościwej Matki Polski! Idź, o Polsko, idź, Aniele, w promienistym ciebie! Idź i rozsiewaj swe błogosławieństwa po łanach i niwach górnośląskich, ścielających swe kwiaty pod zwycięskie Twe stopy. Rzucajmy i my kwiaty na drogę przed wojskiem, w tryumfie wkraczającym. Polska przesyła nam najdzielniejsze swe syny, którzy, walecznymi piersiami zasłaniając Warszawę przed nawałnością bolszewicką, i nasz drogi Górny Śląsk ocalili. Witajcie nam na naszej ziemi śląskiej, która odtąd ma się stać i Waszą.

Szczególnie zaś Was, Rycerze, którzy zostaniecie tu między nami, witam serdecznie w imieniu tutejszego duchowieństwa i parafji katolickiej, a witam was słowy nieśmiertelnego naczelnika narodu Kościuszki, któremi on witał gości swych w Ameryce: „Oto mój domek nikczemny.

I wszystko, co w nim widzicie, niech wam będzie tak przyjemne, jak mi Wasze jest przybycie!" Skromna jest mięścina nasza. Widziałem wspaniałe przyjęcie wojska polskiego w Katowicach, i łzy radości stanęły w oczach moich, a duma święta rozpieła piersi moje — takiego na zewnątrz świętego przyjęcia Wam nasze miasto zgotować nie może, ale w miłości do was nie da się prześcignąć przez żadne miasto, bramy gościnne miasta i domów stoją otworem — a na oścież otwieramy Wam serca nasze! Witajcie! Niech żyje Polska, zjednoczona z Górnym Śląskiem! Wojsko polskie niech żyje!

Uroczystości zjednoczenia Śląska z Rzeczpospolitą ciągnęły się aż do drugiej połowy lipca 1922 r., bo wskutek odezwy, którą na pierwszym miejscu był podpisał Stefan Żeromski, łączono je w całym kraju z rocznicą grunwaldzką (15 lipca), by „najwspanialszy tryumf ducha polskiego uczcić razem z najświetniejszym zwycięstwem oręża polskiego”.

Na psychologiczną zagadkę wygląda fakt, że ks. Skowroński dla tak wielkiej radości narodowej nie znalazł własnego wyrazu poetyckiego. Lecz trzeba pamiętać, że radością serce mu rozpieająca zmiana suwerenności na wschodniej polaci Śląska, otwierała mu zarazem świeżą ranę, jaką temu sercu była zadała klęska narodowa na rubieży zachodniej. Wszak wychwalany przez dra Lutmana („Strażnica Zachodnia”, 1931, str. 360) „heroiczny” wysiłek ludu do zerwania ze swymi duszpasterzami — ks. Skowroński przeżył jako najboleśniejszy tragizm, skoro w jego parafii ten wysiłek ludu nie do Polski był skierowany, lecz właśnie ku Niemcom. Co przy wkroczeniu wojsk polskich na Górny Śląsk dr Rostek umiał o smutku i weselu wypowiedzieć prozą⁸⁵⁾, tego ks. Skowroński nie zdołał wyrazić poezją, bo radość była u niego paraliżowana bólem, że daremnych było 25 lat jego pracy narodowej w Ligocie. Nie umiając wyśpiewać równocześnie zwycięstwa i klęski, milczał — tak, iż, będąc wieszczem nadziei narodowej, nie stał się poetą jej częściowego spełnienia.

⁸⁵⁾ cfr. RTPN. II, 166.

XI. OSTATNIE LATA I ŚMIERĆ

Mikołów był dla ks. Skowrońskiego ostatnią stacją życiową. Chociaż we właściwym duszpasterstwie polegał tam poważnie na pracy swych wikarych, zaskarbił sobie jednak wielką zasługę przez bezinteresowny podział parafii na kilka nowych okręgów duszpasterskich, które wprawdzie po części były zapoczątkowane już poprzednio, lecz w dwóch wypadkach — Średnie Łaziska (1926) i Piotrowice (1931) — z jego powstały inicjatywy. Bezinteresowność, wyrażona np. wobec pierwszego duszpasterza Średnich Łazisk ks. Wojciecha Szoltysika słowami: *zabrałeś mi owce, bierz także ich wełnę!* — nie uzyskała jednak wyrozumienia w pszczyńskim urzędzie skarbowym; ks. Skowroński skarżył się bowiem aż do końca, iż na podstawie katastrof dochodowych z czasów, gdy do Mikołowa należały i Wiry i Gostyń i Podlesie i Panewnik i Piotrowice i Łaziska — wmawia i liczy mu się dochodów dwa razy tyle, ile co rok sumiennie sam podawał. — W Mikołowie wystawił ks. Skowroński parafialny dom związkowy i odnowił gruntownie kościół, który jako budowa należy do okazalszych świątyń Górnego Śląska; patronem kościoła jest św. Wojciech.

Przy kościelnym wyodrębnieniu Śląska polskiego we formie Administracji Apostolskiej (1922) dostał się ks. Skowroński jako jeden z najwybitniejszych przedstawicieli starszego kleru od razu do grona konsultorów, a kiedy po ustanowieniu nowej diecezji katowickiej grono konsultorów ustąpiło miejsca kapitułom katedralnej (1926), stał się archidiakonem czyli drugim dygnitarzem tej kapituły, a tym samym prałatem diecezjalnym z prawem do pierścienia. Piastował też od razu urząd komisarza biskupiego. W roku 1930 otrzymał jeszcze breve papieskie z domową prałaturą Jego Świątobliwości jako uznanie za długoletnią dzielną służbę w winnicy Pańskiej z wyraźnym podkreśleniem zasługi, że bronił *verbo et opere, scriptis et exemplis iura Dei et Ecclesiae*.

Przepiękne pismo uznania otrzymał ks. Skowroński z okazji 40-lecia kapłaństwa od ks. biskupa Lisieckiego:

Blakup Śląski

Katowice, dnia 22-go czerwca 1929 r.

Przewielebny i Kochany Księżu Prałacie!

Niezmiernie ubolewam, że z powodu Święta Papieskiego nie mogę Kochanemu Księdzu Prałatowi osobiście złożyć w Mikołowie najserdecz-

niejszych życzeń na 40-lecie Kapłaństwa. Niech mi tedy wolno będzie spełnić ten miły obowiązek piśmiennie.

Przewielebny i Kochany Ksiądz Prałat odznaczał się od zarania Kapłaństwa Swego w walce o dobro i prawa przyrodzone polskiego ludu śląskiego nieskazitelnością i czystością charakteru, szczerością serca i mimo najtrudniejszych warunków wybitną odwagą cywilną, jako prawdziwy wódz opuszczonego i błędzącego ludu naszego.

Cierpienia, jakich Księdzu Prałatowi w walce o wzniośle nasze ideały nie zaoszczędzono, osłodziła nareszcie wymarzona złota wolność, której Ksiądz Prałat był niezachwianym, o naturalne prawo Boże opartym bojownikiem. To też słusznie nie tylko liczny zastęp przyjaciół Księdza Prałata, do których i ja się zaliczam, ale również całe duchowieństwo śląskie, wpatrzone w czcigodną postać Księdza Prałata, z wielkiem zadowoleniem witało powołanie Waszej Przewielebności do Prześwietnej Kapituły śląskiej, której Ksiądz Prałat jest chlubą i ozdobą.

Szczególnie ja jako Biskup cieszę się, że męża o takich zaletach i zasługach zaliczać mogę do najbliższych swych doradców i przyjaciół.

Przez blisko pół wieku Przewielebność Wasza nie szczędziła trudu i ofiarnej pracy Panu Bogu na chwałę i duszom ludzkim na zbawienie. Niech Pan Bóg to wszystko wynagrodzi i użyty Księdzu Prałatowi jeszcze najdłuższych lat do dalszej taksamo owocnej pracy. Za wszystko dobre, co Ksiądz Prałat w życiu swoim zdziałał, wyrażam jako Biskup swoje gorące uznanie i podziękowanie, a na dalszą, z młodzieńczego serca płynącą pracę przesyłam Swe błogosławieństwo arcybiskupie.

† *Arkadiusz*, Biskup.

Po śmierci ks. infułata Kapicy (1930) objął ks. Skowroński w kapitule na mocy dekretu papieskiego prepozyturę, lecz od infuły już sam się wypraszał, by nową taksą nie nadwyręzać słabych finansów.

Nowo powstałe Państwo Polskie uczciło ks. Skowrońskiego w należyty sposób, nadając mu dekretem z dnia 2 maja 1923 r. krzyż komandorski orderu Polonia Restituta. Był jedynym kapłanem śląskim, który miał tego stopnia odznaczenie; to też nosił je z uprawnioną dumą. Ale pozostał świadomy, iż na restytucję Polski składała się praca całych pokoleń; na uroczystym obchodzie 100-nej rocznicy urodzin Pawła Stalmacha i Karola Miarki (1924) oświadczył w teatrze polskim w Katowicach publicznie, że, gdyby to było możliwe, order swój osten-tacyjnie przypiąłby Karolowi Miarce.

Wysoko cenił sobie także Miecze Hallerowskie, otrzymane *honoris causa* na pamiątkę wiernej służby dla ojczyzny w latach 1918—1920. Bywało, że przypiął sobie także odznaki Na-

rodowego Związku Powstańców i byłych Żołnierzy (1927) i Związku Uczestników Powstania Wielkopolskiego (1930).

Otrzeźwiająca polska rzeczywistość, która się w nowych warunkach dynamicznych układała niezawsze zgodnie z oczekiwaniami śląskimi, aczkolwiek utwierdzała ks. Skowrońskiego w zasadniczym optymizmie narodowym, sprawiła jednak, że publicznie już prawie wcale nie zabierał głosu. Gdy przy ingresie ks. biskupa Lisieckiego (1926) wyjątkowo przemawiał w Piekarach⁸⁰), musiał potrącić o spustoszenia, jakie wojna światowa uczyniła w religijnym i moralnym organizmie ludu, o brudnych prądach, nurtujących w jego zbiorowej duszy, o mętach, płynących przez chaty wieśniacze i domy robotnicze, przez huty i kopalnie, przez biura i salony, o żużlach i popiołach, przytłumiających iskrę wiary tak, że już mniej niż dawniej świeci i grzeje, o wywietrzalym katolicyzmie wielkiej części naszej inteligencji, o wyjałowieniu ducha młodzieży — ale wszystko z niezłomną wiarą w niedaleką sanację moralną.

Tymczasem doznał w samym Mikołowie przykrego zawodu jako prezes rady nadzorczej spółdzielni „Dom Polski”. Spółdzielnia była 1928 r. z jego inicjatywy powstała, by zapewnić miejscowym 30 towarzystwom polskim lokal odpowiedni; spostrzegłszy jednak, że do spółdzielni wnosi się ferment partyjny i starych działaczy miejscowych traktuje niesprawiedliwie, złożył 1929 r. urząd przewodniczącego w radzie nadzorczej i wystąpił nawet jako członek spółdzielni.

Pod względem politycznym sympatyzował ks. Skowroński konsekwentnie z stronnictwem narodowym i obozem Wielkiej Polski. Poczynań dyktatorskich nie mógł zrozumieć i przeciwstawiał im starą dewizę: *panem non fulmina!* — widniejącą na ścianie jednej ze sali królewskiego zamku w Warszawie. Tę dewizę zacytował też w przemówieniu powitalnym przy ingresie ks. biskupa Adamskiego (1930), przedstawiając nowemu pasterzowi teren działania w takich słowach:

„Znasz Ty tę ziemię, co z swych kruszców słyńc, gdzie marny kruszec w obcych ręce płynic” — tak śpiewaliśmy w niewoli i niedoli. Bogata jest ta ziemia, ale my sami ubodzy, boć ten Śląsk kochany, przez tyle wieków od macierzy Polski oderwany, był zawsze objektem nie miłości, ale wyzysku. To jest powodem, że nie możemy Ci oddać pałaca

⁸⁰) Powitalne kazanie ks. Skowrońskiego, wygłoszone w Piekarach dnia 30 X 1926 r., było drukowane w „Gościu Niedzielnym“ i „Polonii“.

godnego biskupa, nie mogliśmy Cię zaprowadzić do wspaniałej katedry. Dopiero jej fundamenty wylaniają się ze szarej mgły — ale daleko jeszcze do złotego nad kopułą krzyża, który tak gorąco pragnął ujrzeć ś. p. ks. biskup Lisiecki i to ową tęsknotę wyraził w tych wzruszających słowach: „Ślubuję Bogu Najwyższemu, że nie spocznę, póki nad diecezją naszą nie rozbłyśnie i katedry naszej nie uwieńczy święty krzyż Zbawiciela naszego”. Niestety, załamał się pod brzemieniem troski o budowę katedry, bo to zadanie przerasta siły jednego człowieka; tu musi przyjść na pomoc wspólny wysiłek całego narodu.

Czytałem gdzieś, że w Królewskim zamku w Warszawie jest wymalowany Orzeł Biały, co w swych szponach, nie, jak rzymski orzeł, wiązankę piorunów, ale snop złotych kłosów dzierży, a pod nim widnieje napis: „*Panem — non fulmina*” (Chleb — nie pioruny). Ten orzeł biały jest symbolem Polski, co, jak ślicznie mówi Krasiński w „Psalmie dobrej woli”, z piersi miłość sieje — świat ewangeliczny — symbolem tej Polski, która chlebem, wartościami moralnymi i kulturalnymi pragnie swych poddanych uszczęśliwić. Odkąd nasz Górny Śląsk oddał się pod opiekuńcze skrzydła orła białego, powstały tu, chętnie to z wdzięcznością uznajemy, wspaniałe dzieła kultury — ale nam przedewszystkiem leży na sercu budowa katedry i dlatego pragnąłbym, aby ten orzeł biały w zamku królewskim nieustannie przypominał Warszawie, że z chwilą objęcia Górnego Śląska a z nim razem nowej diecezji wzięła na siebie moralny obowiązek, pomagać nam budować katedrę, — aby tu w Katowicach stanął wspaniały pomnik połączenia Śląska z macierzą Polską, pomnik jak skała twardej wiary naszego ludu, a przez to zdobyła Śląsk jako klejnot nieoceniony dla korony polskiej. Ufamy, że Tobie, nasz Arcypasterzu, uda się zatknąć złoty krzyż na kopule nowej katedry.

W pieśni o Ziemi Śląskiej śpiewamy: „Gdzie ludek w sercu swój klejnot ukrywa, by poń nie sięgła żadna ręka chciwa”. — Tym klejnotem jest wiara żywa naszego ludu — i ten to klejnot przynosimy Ci w darze.

Gdy zgasły przedwcześnie ks. biskup Lisiecki Ojcu św. zwierzył się z tego, że jest pełen obawy, by się nie załamał pod ciężarem obowiązków w diecezji tak wyjątkowo trudnych, wtedy Ojciec św. rzekł do niego łaskawie: „Niech Ci to będzie wielką pociechą, iż takiego ludu Bóg Ci każe być pasterzem. Gdyśmy przed laty w sprawach kościelnych przebywali na Śląsku, głęboko byliśmy przejęci i zbudowani pobożnością i wiarą tego ludu i podziwialiśmy przywiązanie Ślązaków do Kościoła świętego; tedy też pokochaliśmy wierny lud śląski.”

Te słowa ojcowskiej miłości wlały pociechę do serca ks. biskupa Lisieckiego. Bądź przekonany, że i Ty, zetknąwszy się przy wizytacjach bliżej z ludem, będziesz z tego samego źródła wiary ludu czerpał siłę i pociechę — i jak Ojciec św. pokochasz ten lud nasz — a lud odwzajemni Ci się równą miłością. Serce za serce! Przynosisz nam w darze nie tylko swoje serce, ale, co masz po Bogu najdroższego, i serce Twojej matki-staruszki, która nie zawahała się towarzyszyć Ci do Katowic, która w tej chwili rozptywa się w modlitwach za Ciebie. Do tych modlitw Twojej matki przyłączamy się i my, błagając Boga, aby wspierał Swoją łaską siły Twoje; niech Najświętsza Panna z cudownych Piekar, której



Ks. prałat Aleksander Skowroński

dobrotliwej opiece wczoraj przy objęciu rządów diecezji się poleciłeś, wyjedna Ci jak najwięcej błogostawieństw, abys Twój odpowiedzialny rząd biskupi wykonał na chwałę Boga, na zbawienie dusz, Twojej pieczy powierzonych, i na dobro naszej kochanej Ojczyzny.

Linii duchowej ks. Skowrońskiego najbardziej odpowiadał biskup piński ks. Zygmunt Łoziński (um. 1932), który w roku 1930 zasłynął szczególnie odważnym listem pasterskim do korpusu oficerskiego o czci Józefa świętego i kulcie dla Józefa Piłsudskiego. Podobiznę ks. biskupa Łozińskiego umieścił ks. Skowroński na poczesnym miejscu pod starą grafiką włoską na temat: *Quomodo gentes cogis...?*

W r. 1927 dożył ks. Skowroński na tle nowych polskich warunków politycznych autorytatywnego a zgodnego z instrukcjami rzymskimi orzeczenia ks. biskupa Lisieckiego w kwestii, na Śląsku od walki kulturalnej wciąż aktualnej, czy i o ile księża mają brać czynny udział w polityce. W „Wiadomościach Diecezjalnych”, organie urzędowym katowickiej kurii biskupiej, był z początkiem września 1927 (poz. 117) ogłoszony dekret Św. Kongregacji Soboru *De actione politica* z dnia 26. II. wzgl. 15. III. 1927 r. Przeczywszy ten dekret, zapoczątkował ks. kanonik Brandys, proboszcz Michałkowic, naonczas senator Rzeczypospolitej, w połowie października poufną akcją celem ewentualnego zadokumentowania przez odpowiednie rezolucje zgodnej opinii duchowieństwa w sprawach bieżącej polityki. Przez niedyskrecję pewnego kapłana dostał się projekt tych rezolucji do gazet. Kiedy więc ks. senator Brandys trzymał jeszcze strzałę na cięciwie, by użyć porównania ks. Skowrońskiego, wywiązała się w gazetach niefortunna dyskusja, w której brali udział oprócz kilku księży także Korfanty i Napieralski. Polemice kres położył ks. biskup Lisiecki ściśle poufnym okólnikiem do kleru tej treści, że trzymać się należy zasady św. Pawła: *Omnibus omnia factus sum, ut omnes facerem salvos* (I Cor. 9, 22) i że odezwanie się do ogółu duchowieństwa bez zgody biskupa, jako też wyrażanie opinii kleru wobec wojewody i przemawianie w imieniu duchowieństwa w pismach publicznych bez zgody i wiedzy biskupa jest niedopuszczalne. W ślad za tym ks. senator Brandys wycofał swój projekt. Ks. biskup Lisiecki zaś nadpartyjne stanowisko swoje jeszcze raz urzędowo zaznaczył przed wyborami okólnikiem do duchowieństwa diecezji śląskiej w sprawie wyborów d. d. Katowice, 30. I. 1928.

Upadek gwiazdy Korfantego po przewrocie majowym (1926) napęlił ks. Skowrońskiego szczerą boleścią; wszak pochodził z tych samych, co on, Siemianowic i przez długie lata walczył o te same, co on, ideały. Boleść przeszła w oburzenie, gdy Korfantego dnia 25. IX. 1930 r. aresztowano i wywieziono do Brześcia nad Bugiem. Lecz nadużycie nazwiska ks. Skowrońskiego stanowiła ulotka: Wojciech Korfanty, Więzień Brzeski, Komisarz Plebiscytowy Polski, Wicepremier Rządu Rzeczypospolitej — wydana wtedy przez zarząd główny Katol. Towarzystwa Polek z nagłówkiem: Napisał ks. Prałat A. Skowroński, Mikołów. Ulotka, która uległa konfiskacie za ryzykowne zdanie, iż „gospodarz ziemi śląskiej wyeksmitowany został przez lokatorów przypadkowych” — przypawiła ks. Skowrońskiego o pewne trudności z władzami. Stąd też powściągliwość władz przy obchodzie jego 70-lecia, kiedy to żadna urzędowa osoba ani nie zabłysła obecnością, ani życliwym pismem go nie uczciła.

Mimo to przybrała uroczystość 70-lecia ks. Skowrońskiego (1933) rozmiary niezwykle. W prasie pojawiło się mnóstwo artykułów hołdowniczych, Związek Uczestników Powstania Wielkopolskiego (Koło Katowice) wręczył jubilatowi w uznaniu ofiarnej i bezinteresownej pracy dla Boga i Ojczyzny dyplom honorowy z odznaką Za Zasługę, Mikołów zamianował go swym obywatelem honorowym, brał tłumny udział w nabożeństwie dziękczynnym i uczcił go wspaniałym pochodem i uroczystą akademią. Osobną wieczornicę w hotelu Savoy w Katowicach urządził na cześć swego seniora Śląski Związek Akademicki. Z inicjatywy ks. dra Szramka wyszły drukiem jako „Wybór poezyj” wiersze ks. Skowrońskiego, piękny prezent spółki wydawniczej K. Miarki dla autora-jubilata, który przeznaczył dochód ze sprzedaży na rzecz miejscowych bezrobotnych.

*

Od roku 1910 dokuczał ks. Skowrońskiemu reumatyzm w dolnych kończynach; do tego dołączyło się później cierpienie wątroby. Pomocy szukał najprzód w Piszczanach, lecz najchętniej wyjeżdżał do Karlsbadu, ostatnio także do Krynicy i Truskawca. W pogodnym nastroju napisał w Karlovych Varach sporo wierszyków, np. (1913): *Hic in thermis — Ego vermis — Repo, — quaerens sanitatem. — Rheumatismi — Cata-*

clysmi — Docent vitae vanitatem. — O vis fontis — Aer montis — Aufer a me morbum dirum, — Ut cantare — Et laudare — Possim Deum semper mirum.

Ks. Skowroński lubił podgardle i zamiast na pegaza siadał nieraz na zabita świnie. Twierdził, że „Niemcy, ceniąc Schweine — na ich cześć dla rymu — dali nazwę Weine — napojowi swymu” a „Gambrinus, o dziwa — znając świńskie cnoty — wynalazł płyn piwa — na wurstabendbroty”. Wśród ogólnej wesołości grywał przy gościnnym stole na swej „świńskiej” lirze i deklamował Das Hohe-Lied vom braven Schwein. Będąc potem w Karlsbardzie na ostrej diecie, pocieszał się, że została mu przynajmniej tabaczka:

Karlsbad wszystko mi zabronił,
Co przyjemność sprawia ślinom,
A więc Cererem i vinum
I mięsiwo smaczne czarne.
Usznupany nos ochronił —
Więc zażywam — szczypt tabaki
I mam humor jaki taki.
Kicham na rozkosze marne.

Żartem przeklinał chorobę np. w Piszczanach:

Dass der Teufel Gicht und Rheuma
Und als Trank das Wasser hole,
Denn so lang in mir noch Pneuma,
Schwärme ich für Alkohole.

Wszak oddawna szydził z chudego ks. Karola Koziółka, sąsiada w Grabinie:

Cóż się dziwić, że Koziółek
W Grabinie nie tyje,
Kiedy wodą zamiast winem
Swój żołądek myje!

Z powodu abstynencji naciągał także ks. Kapicę. Widząc wspaniały dar Boży w każdej szklance piwa pilzeńskiego i w każdym kieliszku wina, czasem imitował przy picciu kurę, mówiąc à la Wilhelm Busch: Keinen Schluck tut das Huhn, — Ohne den Blick nach oben zu tun. — W Karlovych Varach drwił potem ze siebie i innych na tę samą modłę:

Mancher wackre Dauerzecher
Schwinget hier den Sprudelbecher.
Sie verdammen jetzt den Pils,
Weil der grause Arzt so will's.

Ach, ich werd' hier täglich blasser,
 Seh' ich all' das viele Wasser.

W domu opowiadał żartem, że w karlsbadzkim szprudlu tylko nogi mył, a do picia brał piwo pilzeńskie, lecz zaprzeczają temu wiersze, których tematem jest właśnie: Chorych zbawca — Zdrowia dawca — W świecie sławny — Cud przyrody — Starodawny — Wiecznie młody — Szprudla trysek. Chętnie byłby zostawał dłużej na kuracji, gdyby nie konieczność liczenia się z groszem:

Nad sobą lazur nieba,
 Pod oknem zapach bzu,
 Nic więcej mi nie trzeba,
 Jak błogo, mile tu!
 Wspomnienia prac, mozołów
 W dal porwał Tępy prąd.
 Choć miły mi Mikołów,
 Nie prędko ruszę stąd!
 Na, na — a kasy szwund!

Tym samym względem tłumaczy się fakt, że ks. Skowroński większych podróży nie robił; nawet nie był w Rzymie. Tylko w r. 1927 pozwolił sobie na udział w pielgrzymce do Lourdes przez Paryż a z powrotem przez Genewę. Ślad ówczesnych uczuć zostawił w wierszach „Moje prośby w Lourdes” i „Jezioro Lemańskie”. Jeżeli na wycieczce z Lourdes do San Sebastiano śpiewał na nutę epikurejską:

W Sebastjano wcześniej rano
 Miła duszka spod fartuszka
 Matki Boskiej wyzwolona
 I bez troski vina bona
 Chciwie pije: Niechaj żyje
 Cały pyszny, śliczny świat! —

to patrząc na cuda przyrody szwajcarskiej, korzył się przed pięknnością Boga i jako motto do wiersza o jeziorze lemańskim obrał słowo św. Pawła: teraz widzimy przez zwierciadło, przez podobieństwo, lecz wondrous twarzą w twarz (I. Cor. 13, 12).

Śmierć Bronisława Koraszewskiego (1924), który sercu jego był zawsze bliski, potem Adama Napieralskiego (1928), Józefa Rostka (1929), a zwłaszcza nagły zgon ks. biskupa Lisieckiego (1930), którego przy ingresie był osobiście w Piekarach witał, a z którym się był zaprzyjaźnił w podróży do Lourdes, wstrząsnęła ks. Skowrońskim głęboko. Gdy w tym samym

roku umarł ks. Kapica, choć odmienny w strukturze umysłowej, to jednak przyjaciel ideowy, a jako proboszcz tyski także sąsiad, oczekiwał w Mikołowie własnej kolei, dobrze wiedząc, że lada paraliżek może oznaczać koniec. Używszy blasku chwały ziemskiej obficie po raz ostatni z okazji swego 70-lecia, umarł nagle dnia 4 października 1934 r. i został uroczyście pochowany w kaplicy na cmentarzu mikołowskim, którą sam był sobie na to sporządził z napisem: *Resurrecturis*.

*

Kirem żałoby okryła się plebania, przezwana nieraz Hotel zum lustigen Prälaten, a miasto Mikołów zamieniło się na wielkie *Castrum doloris*, bo w pogrzebie brał udział cały Śląsk polski i opolski, nie tylko wszyscy, co nad szary poziom wyrastają, ale też nieprzeliczone tłumy ludu, organizacje, bractwa, zawody, ludzie od pługa, młota i kilofa, by złożyć ostatni hołd dobremu człowiekowi, wzorowemu i odważnemu kapłanowi, dzielnemu obrońcy prawa przyrodzonego, zasłużonemu bojuownikowi na froncie narodowym, wybitnemu obywatelowi. Kazanie nad trumną wygłosił po polsku i po niemiecku ks. prałat Paweł Brandys, jako długoletni współnik pracy i przyjaciel. Z górą 150 księży z diecezji katowickiej i wrocławskiej, przedstawiciele licznych kapituł katedralnych i metropolitalnych, kilku infułatów i dwóch biskupów — ks. biskup Adamski i ks. biskup Gawlina (ks. biskup-sufagan Bromboszcz bawił wtedy za granicą) — odprowadzało kochanego konfratra z żalem serdecznym do grobu z życzeniem, *ut post gesta et post festa coeli ei pateant*.

W „Głosie Narodu” napisał piękne wspomnienie pośmiertne Jerzy Langman, który jako osobistą cechę nieboszczyka podziwia głęboką dobroć serca i nigdy nie gasnący uśmiech do życia, a w końcu tak parafrazuje kościelną antyfonę *In paradysum*: „Niechże mu Bóg Dobry za ten uśmiech ku bliźnim, ku życiu — niebiańskim uśmiechem odpłaci. A za jego tęsknotę i walkę o polską modlitwę i mowę, o polski byt i państwo, o polską sztukę w kościołach, niech wyjdą mu naprzeciw anieli, tacy z obrazów Tetmajera, Mehofera czy Wyspiańskiego, co to pawie pióra w skrzydłach mają i polskim pasem kabaty krakowskie przepięte noszą, i polską pieśń nucąc, niech go do rajy wprowadzą!”

Wincenty Ogrodziński, który mu poświęcił pośmiertny felieton w „Polonii” (nr 3595) i artykuł w miesięczniku zawodowym „Szkoła Śląska” (1934, nr 12), podziwia u ks. Skowrońskiego szczerą i piękną kapłańską powołania, nieskazitelność w działalności publicznej, szlachetność natchnień poetyckich, czułość i stałość opieki nad młodzieżą i gorący a rozumny patriotyzm. Kończymy jego słowami o poezji nieboszczyka: „Twórczość ks. Skowrońskiego, przeważnie okolicznościowa, zaznacza się w dziejach poezji górnośląskiej nie tylko historyczną swą ważnością, skoro częstokroć była najlepszym wyrazem uczuć polskich Górnoślązaków, nie tylko dążnością do ciągłości tej poezji i podjęciem natchnień ks. Damrota, lecz także niezłomną postawą autora, który, jak mało kto, umiał się wprząść w służbę najwyższych ideałów, wiedząc, że wyznawać je przychodzi niełatwo, opiewać zaś godnie — niesłychanie trudno. Z ks. Skowrońskim odszedł ostatni poeta śląski, któremu wyższy nad hasło „sztuki dla sztuki” nakaz moralny porucił pełnienie „twardej Bożej służby”. Ponieważ zaś na nią nie tylko ochotnie się zgodził, lecz także podjął ją z wewnętrznej potrzeby własnego serca, przeto za ten czyn, więcej społeczny niż literacki, otrzymał nagrodę większą niż sława: „nie miał tu nieplakanej trumny”.

*

Dobry biust ks. Skowrońskiego z brązu, dłuta Bogusława Langmana z Krakowa, posiada kapituła katedralna w Katowicach. Szkoda, iż żaden artysta z Bożej łaski nie utrwał portretem pomnikowym także na płótnie postaci tak wybitnej a zarazem tak wyjątkowo miłej i pięknej.

Katowice

KS. E. SZRAMEK

ZAŁĄCZNIK I.

Petycja w sprawie nauki religii w polskim języku ojczystym, uchwalona na zgromadzeniu katolików w Królewskiej Hucie dnia 11 września 1883, a wysłana do pruskiego ministra kultu Gosslera z 52.870 podpisami.

Exzellenz!

Auf Grund der Bestimmungen des Herrn Ministers der Geistlichen, Unterrichts- und Medizinalangelegenheiten vom 28. August 1872 hat die Königliche Regierung zu Oppeln, Abteilung für Kirchen und Schulwesen, unterm 20. September 1872 die polnische Sprache aus den sogenannten utraquistischen Schulen Schlesiens gänzlich verbannt, selbst das Lesen und Schreiben wird von da ab nur in der deutschen Sprache gelehrt und geübt.

Die Kinder polnischer Zunge sind daher zum Lesen der Gebete, der heiligen Schrift und der Kirchenlieder in der Muttersprache nicht befähigt. Sie lernen freilich deutsch lesen und schreiben, und wird ihnen auch der religiöse Memorierstoff in deutscher Sprache eingeprägt, sie verstehen indessen das ihnen in fremder Zunge Eingeprägte so wenig, dass sie ausser stande sind, über den Sinn des ohne Verständnis Erlernen Rechenschaft zu geben. Namentlich fehlt bei dem deutschen Religionsunterricht dasjenige Verständnis, was zur Erlangung der christlichen Wahrheiten unumgänglich notwendig ist.

Aus der Schule entlassen, vergessen sie bei ihrem demnächstigen ausschliesslichen Umgang mit polnischsprechenden Leuten die in der Schule erlernten deutschen Brocken nach wenigen Jahre gänzlich. Sie sind den Analphabeten gleich zu achten, denn sie können zwar allenfalls noch deutsch lesen, sie verstehen aber das Gelesene nicht. Sie können auch vielleicht deutsche Buchstaben malen, sind aber anbetragt ihrer deutschen Sprachkenntnis nicht im Stande, ihre Sprachfertigkeit praktisch zu verwerten.

Weil sie polnisch nicht lesen können, deutsch aber nicht verstehen, sind ihnen Bibel und Gebetbücher verschlossen.

Um den bezüglichen Mißständen und der damit verbundenen Gefährdung der Jugend in religiöser und sittlicher Hinsicht vorzubeugen, hat nun die heute hier tagende Versammlung der Katholiken Oberschlesiens einstimmig beschlossen, bei Ew. Exzellenz wegen Wiederaufnahme des polnischen Sprachunterrichts in den sogenannten utraquistischen Schulen Schlesiens vorstellig zu werden. In Realisierung dieses Beschlusses erlauben sich daher die gehorsamst Unterzeichneten Ew. Exzellenz die ehrerbietige, aber dringende Bitte zu unterbreiten, hochgeneigtest zu bestimmen:

1) Dass künftig in den sogenannten utraquistischen Schulen Oberschlesiens die nicht deutschen Kinder auch im polnischen Lesen und Schreiben unterrichtet werden.

2) Dass zu diesem Behufe in den Schullehrerseminarien die Lehrer für sogenannte utraquistische Schulen im Polnischen so weit vorgebildet werden, dass sie den polnischen Unterricht zu erteilen im stande sind.

3) Dass der Religionsunterricht, soweit er von dazu ordnungsmässig berufenen Lehrern erteilt wird, den Kindern polnischer Zunge auf allen Stufen in der Muttersprache erteilt, und dass ihnen Gebete, Katechismus, Bibel, Kirchenlieder und überhaupt der sogenannte religiöse Memorirstoff nur in der Muttersprache eingeprägt werde.

Unsere Bitte ist gerecht. Denn wir verlangen in allgemeinen das, was bereits der slawischen Bevölkerung in anderen Teilen unseres grossen Vaterlandes gewährt worden ist.

So bestimmt die Verordnung des Oberpräsidenten von Preussen, Herrn von Horn, vom 24. Juli 1873 über den Unterricht in den von den Kindern polnischer und lithauischer Zunge besuchten Volksschulen der Provinz Preussen u. a.: a) die nichtdeutschen Kinder werden (auf der Oberstufe) auch im polnischen resp. lithauischen Lesen und Schreiben unterrichtet. Zweck dieses Unterrichtes ist, die Masuren und die Litthauer zum Lesen und Verstehen der Bibel und des Gesangbuches auch in ihrer Muttersprache zu befähigen; b) in der Religion einschliesslich des Kirchenliedes wird der Unterricht (auf der Unterstufe) den nichtdeutschen Kindern in der Muttersprache erteilt.

Sodann verordnet der Oberpräsident von Posen, Herr Günther, unterm 27. Oktober 1872 über den Sprachunterricht in von Kindern polnischer Zunge besuchten Schulen der Provinz Posen u. a.: a) das Polnische bleibt Unterrichtsgegenstand für die Kinder polnischer Zunge; b) der Unterricht in der Religion und im Kirchengesange wird den Kindern polnischer Zunge in der Muttersprache erteilt.

Endlich ist auch den Wenden für deren Volksschulen erst im Laufe des vorigen Jahres auf Bitten der Religionsunterricht, das Lesen und Schreiben in wendischer Sprache gestattet worden.

Was den Litthauern, Masuren, Wenden und den Polen im Posen-schen gewährt worden ist, das kann wahrlich auch uns Oberschlesiern erlaubt werden. Denn wir schmeicheln uns damit, zumindest ebenso gute Preussen und Patrioten zu sein, wie jene slawischen Stämme. Wir sind Preussen, deren Muttersprache die polnische ist, voll und ganz. Wir sind (gleich den deutschen Stämmen) mit dem Deutschen Reiche vereint, haben dafür Opfer gebracht und bringen sie stets.

Wir wissen sehr wohl, dass die deutsche Sprache für die oberschlesische Jugend zwecks besseren Fortkommens unumgänglich notwendig ist. Die deutsche Sprache möge daher auch weiterhin in unseren Schulen dasjenige Mass fördernder Pflege erfahren, welches notwendig ist, um auch die Kinder polnischer Zunge zur erfolgreichen Teilnahme an den Früchten der deutschen Bildung zu befähigen.

Wir verlangen daher für den polnischen Unterricht nur das Aller-notwendigste, ohne welches für Herz und Verstand unserer Kinder nichts erreicht werden kann. Zweck ist hauptsächlich: Dass auch die oberschlesischen Kinder, sowie die Masuren, Litthauer und Wenden, zum Lesen und Verstehen der heil. Schrift, der Gebetbücher und des Kirchenliedes in ihrer Muttersprache befähigt sind.

Unsere Bitte ist hiernach nicht bloss eine gerechte, sondern auch eine bescheidene.

Wir geben uns daher der Hoffnung hin, dass Ew. Exzellenz derselben huldvollst deferieren werden, und zeichnen uns mit dem Ausdruck der vorzüglichsten Hochachtung für Ew. Exzellenz als des preussischen Staates und des deutschen Reiches

getreue Unterthanen.

ZALĄCZNIK II.

Dwa poufne okólniki księcia-biskupa wrocławskiego Jerzego Koppa z roku 1890.

A) W sprawie niemieckich kazań i nabożeństw.

Johannesberg, den 6. August 1890.

Vertraulich!

Aus der mir vorliegenden Zusammenstellung der in den utraquistischen Pfarreien gegenwärtig üblichen deutschen Predigten ersehe ich mit Befriedigung, dass der Hochwürdige Klerus auch ohne besondere Anweisung und Anregung seinen pastorellen Pflichten gegen die deutschen Parochianen bislang gewissenhaft und nach Lage der Verhältnisse im Allgemeinen völlig ausreichend nachgekommen ist. Ich habe daher keine Veranlassung, den Eifer desselben noch besonders anzuregen und über die Erfüllung dieses Teiles seiner seelsorgerlichen Pflichten besondere Anordnungen zu treffen, sondern kann mit Sicherheit darauf rechnen, dass der Hochwürdige Klerus auch künftig den deutschen Parochianen nicht weniger, als den polnisch redenden seine treue Fürsorge zuwenden wird. Dabei kann ich es nur lebhaft bedauern, dass die deutschen Katholiken in manchen Pfarreien durch ihr Fernbleiben vom Gottesdienste und ihre kirchliche Lauheit ihren Seelsorgern wenig Trost gewähren und ihren polnischredenden Mitbrüdern Misstrauen gegen das Deutsche und Besorgnis für die katholische Religion einflößen; indes wird sich der Hochw. Klerus durch solche unerfreuliche Erfahrungen weder entmutigen, noch in der Erfüllung seiner Pflicht beirren lassen, vielmehr die deutschredenden Angehörigen seiner Gemeinden wiederholt ermahnen, die Mühen und Arbeiten ihres Seelsorgers durch ihre Gleichgültigkeit nicht zu vereiteln.

Dagegen erkenne ich in dem Wunsche einiger Commisariate, dass bezüglich des deutschen Gottesdienstes, soweit es die Verhältnisse gestatten, einige allgemeine Normen gegeben werden, nicht allein eine Berechtigung, sondern auch ein Mittel, den Hochw. Klerus gegen unberechtigte Ansprüche auf der einen, und Misstrauen und Verdächtigungen auf der andern Seite zu sichern. Ich habe daher im Nachstehenden dasjenige zusammengestellt, was ich auf Grund der vorliegenden Berichte und Tabellen für den deutschen Gottesdienst in den utraquistischen Gemeinden zur Beachtung empfehle:

1. Eine für alle Verhältnisse zutreffende Bestimmung, wie oft deutsche Predigt stattfinden soll, lässt sich bei der Verschiedenheit derselben nicht geben; es muss vielmehr dem gewissenhaften Ermessen des Hochw. Pfarrklerus überlassen bleiben, deutsche Predigt zu halten,

einzuführen und zu vermehren, sobald derselbe das Bedürfnis dazu in seinen Gemeinden wahrnimmt.

2. Im Allgemeinen ist festzuhalten, dass überall da, wo die deutsche Sprache von wenigstens $\frac{1}{4}$ der Pfarrangehörigen gesprochen und verstanden wird, regelmässig in beiden Sprachen gepredigt werden und das Vorlesen der Perikopen wie der Verkündigungen geschehen muss.

3. Damit an die Leistungsfähigkeit der Geistlichen, namentlich da, wo in grossen Gemeinden nur einer vorhanden ist, nicht zu grosse Anforderungen gestellt werden, empfiehlt es sich, beide Predigten, insbesondere die deutsche abzukürzen, sodass für die polnische $\frac{1}{2}$ Stunde, für die deutsche 20 Minuten hinreichen würden.

4. Wo die Zahl der des Deutschen mächtigen Parochianen über $\frac{1}{4}$ beträgt, wird ein periodischer deutscher Gottesdienst, d. h. deutsche Predigt mit deutschem Predigtliede genügen, wobei die Häufigkeit dieses periodischen Gottesdienstes mit der Zahl der deutschredenden Parochianen in Verhältnis zu bringen ist.

5. In allen Fällen, wo nur periodisch oder bei besonderen Gelegenheiten deutsche Predigt stattfindet, ist dieses, auch selbst dann, wenn die Ordnung feststehend ist, stets am Sonntage vorher von der Kanzel zu verkündigen.

6. Die deutschredenden Parochianen sind zu ermahnen, bei der deutschen Predigt nicht zerstreut in der Kirche umher, sondern tunlichst zusammenzustehen und zusetzen, damit das Absingen des deutschen Predigtliedes zur Erbauung gereiche, widrigenfalls dasselbe unterbleiben muss.

7. Letzteres wird auch der Fall sein müssen, wenn die polnische Predigt vor dem Hochamt und die deutsche unmittelbar nach demselben gehalten wird.

8. Ob es zweckmässig ist, die Pericopen und Proclamationen auch dann zugleich in deutscher Sprache zu verlesen, wenn keine deutsche Predigt stattfindet, muss in das gewissenhafte Ermessen des Hochwürdigen Pfarrklerus gestellt werden.

9. Wo es ausführbar ist, namentlich in den grösseren Städten und Gemeinden, hat für die Schulkinder ein besonderer Gottesdienst an den Sonn- und Festtagen stattzufinden, bestehend in einer stillen hl. Messe u. Homilie.

10. Der Hochw. Pfarrklerus wird auf besondere Wünsche seiner deutschredenden Parochianen, insbesondere wegen Abhaltung deutschen Gottesdienstes bei besonderen Gelegenheiten tunlichst Rücksicht nehmen.

11. Selbstverständlich wird durch diesen Erlass der in den Städten und grösseren Gemeinden bestehende reindeutsche Gottesdienst nicht berührt.

Ich beauftrage die Herren Erzpriester, diesen Erlass dem Hochwürdigen Archipresbyterats-Clerus vertraulich mitzuteilen und bei den jährlichen Visitationsberichten in separato unter Benutzung des anliegenden Schemas an mich zu berichten, inwieweit diese Normen in den einzelnen Pfarreien ihres Archipresbyterats Beachtung finden konnten.

Der Fürstbischof.

† Georg.

B) W sprawie niemieckich oddziałów przy kościelnej nauce przygotowawczej do spowiedzi.

Johannesberg, den 6. August 1890.

Vertraulich!

Bekanntlich ist von mir die polnische Übersetzung des Diözesan-Katechismus im Anschluss an den Schlußsatz meines Ausschreibens vom 20. Dezember 1888 veranlasst, wonach der Katechismus nicht allein zur Aneignung der Glaubenswahrheiten in der Schule, sondern auch zur Befestigung derselben in den Familien gebraucht werden soll, in letzteren jedoch ist, soweit die oberschlesischen Katholiken in Betracht kommen, die polnische Sprache grösstentheils vorherrschend. Nun ist aber zu meiner Kenntnis gebracht, dass an manchen Orten die polnische Katechismusausgabe von den Müttern und auch von Geistlichen dazu benützt werde, um polnischen Leseunterricht zu ertheilen. Da mir zunächst die nähere Angabe der Einzelfälle fehlt, so kann ich in eine Untersuchung derselben umsoweniger eintreten, als ich mich mit dem oberschlesischen Clerus in der Auffassung einig weiss, dass die Förderung sprachlicher Interessen nicht zu den Aufgaben der Kirche und somit auch nicht zu den Aufgaben der Diener der Kirche gehört. Ich will jedoch nicht unterlassen, darauf hinzuweisen, dass ein solches Verfahren, den Religionsunterricht zum Leseunterricht zu benutzen, nur geeignet sein würde, die Absichten der kirchlichen Obern zu verdächtigen und die Ziele des Religionsunterrichts zu verdunkeln, weshalb ich dasselbe weder von Seiten der hochwürdigen Geistlichkeit noch von Seiten der niederen Kirchendiener für zulässig halten könnte.

Was die Ertheilung des Religionsunterrichts, soweit derselbe in der Hand des Hochwürdigen Clerus liegt, angeht, so habe ich bislang keine Veranlassung gehabt, von meinem Vertrauen zu dessen Gewissenhaftigkeit und Pflichttreue das Geringste aufzugeben. Da jedoch immer von Neuem der Vorwurf erhoben wird, dass überall da, wo Deutsche sich nur nothdürftig polnisch ausdrücken können, sie sofort zu den Polnischredenden gezählt und dass dagegen Polnischredende, wenn sie auch der deutschen Sprache noch so mächtig seien, doch nicht für fähig gehalten werden, einem deutschen Religionsunterrichte in der Kirche wie in der Schule mit Nutzen zu folgen: so will ich diese Gelegenheit benutzen, die Grundsätze, welche bei der Ertheilung des Religionsunterrichts den geistlichen Religionslehrer in den oberschlesischen Gemeinden leiten müssen, noch einmal zusammenzustellen:

1. Der Beicht- und Communion-Unterricht ist den Schulkindern stets in 2 Abteilungen, einer deutschen und einer polnischen zu ertheilen.

2. Solche Schul Kinder, welche nach dem gewissenhaften Urtheile des Pfarrers dem deutschen Religionsunterricht mit Nutzen folgen können, sind wie die Kinder deutscher Eltern in der deutschen Abteilung zu unterrichten, wobei ich davor warnen möchte, die Fälle mangelnden Verständnisses im Deutschen zu sehr zu verallgemeinern.

3. Auch solche Schulkinder, welche weder deutsch noch auch polnisch verstehen, sind besser der deutschen Abtheilung anzuschliessen, insoweit in solchen Fällen wenigstens an den deutschen Schulunterricht mit Erfolg angeknüpft werden kann.

4. Besonders empfehle ich der pastorellen Fürsorge des Hochwürdigen Pfarrclerus diejenigen jungen Leute ihrer Gemeinde, welche während der Sommermonate in den deutschen Theilen der Monarchie Arbeit suchen. Dieselben sind zu ermahnen bezw. zu befähigen, dass sie sich den Gebrauch der deutschen Sprache wenigstens soweit aneignen, dass sie in deutscher Sprache beichten können, da ich ausser Stande bin, den wiederholt an mich herantretenden Anforderungen, utraquistische Geistliche in jene Gegenden zur Pastoration der polnischredenden Oberschlesier zu entsenden, zu entsprechen. Auch kann ich hierbei nicht übergehen, wie manche deutsche Pfarrer der westlichen Provinzen davon sehr unangenehm berührt sind, dass, während ein Theil der oberschlesischen Arbeiter durch Frömmigkeit und eifrige Beiwohnung des Gottesdienstes die deutschen Katholiken sehr erbauet, ein ebenso grosser Theil durch die in Worten und durch Fernbleiben an den Tag gelegte Missachtung des deutschen Gottesdienstes grosses Ärgerniss gibt. Diesem unkatolischen Benehmen wird der Hochwürdige Pfarrclerus durch eifrige Belehrung entgegenzutreten müssen.

5. Die sonntäglichen Kirchenkatechesen müssen sich an die sprachliche Befähigung der Kinder wie der Pfarrgemeinde anschliessen, weshalb es sich empfiehlt, dieselbe deutsch mit polnischer Erklärung, oder polnisch und deutsch zu halten. Ich weiss sehr wohl, welche Anforderungen hiermit an die übermässig in Anspruch genommene Zeit wie Kraft des oberschlesischen Clerus gestellt werden, und dass derselbe bei der unzulänglichen Besetzung der Seelsorgestellen oft nicht im Stande ist, den Wünschen und Anregungen seines eigenen seelsorgerlichen Eifers nachzugeben. Gleichwohl darf ich die Hoffnung hegen, dass derselbe jenen Vorwürfen nicht den geringsten Schein von Berechtigung geben werde. Wie weit diese Grundsätze, welche dem hochwürdigen Archipresbyterats-Clerus vertraulich mitzutheilen sind, Beachtung gefunden haben, wollen die Herren Erzpriester jährlich bei Einsendung ihrer Visitationsberichte separatim an mich berichten.

Der Fürstbischof.
Georg.

An
den Herrn Erzpriester...
Hochwürden
zu...

Für richtige Abschrift.

Deutsch Müllmen, den 27. August 1890.

Engel, Pfarrer.

ZAŁĄCZNIK III.

Odezwa, datowana Racibórz, dnia 8—23 września 1893 r., w sprawie „Kuryera Górnoszląskiego”.

Bracia Katolicy!

Pozdrowieniem wiernych: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odzywa się do Was nowy „Kuryer Górnoszląski”, wstępując po raz pierwszy pomiędzy lud katolicki, jako poseł i zwiastun wzajemnej miłości i zgody pomiędzy ludem i duchowieństwem. Wykazała się bowiem nieunikniona potrzeba, ażeby znowu i w pismach publicznych duchowieństwo i lud nawzajem się porozumiewali, wspólnie niezachwianie pracowali i walczyli za naszą wspólną świętą sprawę, za jedno nieugięte Centrum katolickie, za prawdę, wolność i prawo!

Według tego, co do celów naszych podpisani oświadczamy, że w „Kuryerze Górnoszląskim” bronić będziemy na każdym kroku wiary katolickiej ludu polskiego na Szląsku, jego charakteru polskiego i języka ojczystego w kościele, w szkole i w życiu publicznym, na podstawie zasad centrowych, jako wierni poddani Najjaśniejszego Pana Króla i Cesarza. — Nie chcemy obecnej niezgody, lecz żeby była zgoda między duchowieństwem i ludem, między parafianami i duszpasterzami. — Nie chcemy, żeby ludowi wzięto zaufanie do swoich księży, lecz chcemy, żeby duchowieństwo i lud ręką w rękę bronili Kościoła, wiary św., tronu i ludu.

W tej pracy opierać się będziemy na zasadach następujących: W sprawach wiary trzymać się będziemy jak najściślej nauk i przepisów św. Kościoła rzymskiego, omijając w „Kuryerze Górnoszląskim” wszystkiego, cokolwiekby się wierze lub dobrem obyczajom sprzeciwiać mogło, poddając się niniejszem nasamprzód Kościoła św. sądom i karności. — Wiarę uznajemy nie tylko za źródło osobistej religijności, ale za podstawę całego życia społecznego, prywatnego i publicznego. Wszystkie jego wyniki i objawy, ile tylko dotyczyć się mogą sumienia, według niej winne się kierować i stosować.

Co do charakteru ludu polskiego przyznaje „Kuryer Górnoszląski”, że istnieje prawdziwe pokrewieństwo szczepowe pomiędzy Polakami szląskimi i innymi, mimo różnic politycznych i innych. Aby polskość ludu szląskiego, a szczególnie górnoszląskiego, utrzymać i podnosić, pracować będzie „Kuryer Górnoszląski” nieustannie, oraz stopniowo i umiarkowanie. Ale niemniej też czcic będziemy samodzielność ziemi szląskiej, naszej drogiej ojczyzny, której odrębność i niezależność prawem wiekowem utwierdzoną widzimy i uznajemy.

Niechaj tedy te słowa, słowa duszpasterskie, pisane przeciw nikomu, ale do wszystkich braci Szlązaków, Górnoszlązaków, do wszystkich społeczeństw rodaków, piszących i czytających, wszystkich też znowu powściągną a nierozzerwalnie połączą w te same cele i zasady, do tej samej świętej nieugiętej pracy, do trwałego wspólnego boju i wspólnego zwycięstwa

za prawdę, wolność i prawo.

Wydział dla wydawnictwa „Kuryera Górnoszląskiego”:

- Ks. Wilhelm Strzybny, proboszcz w Starejwsi, dziekan, komisarz biskupi, przewodniczący;
 Ks. Edward Bolik, proboszcz w Rybniku;
 Ks. Józef Cytronowski, proboszcz w Smiczu i poseł do parlamentu;
 Ks. Rob. Engel, proboszcz we Wierzchu, zastępca przewodniczącego;
 Ks. Karol Kollar, proboszcz w Koźlu;
 Ks. Wiktor Loss, proboszcz w Dziergowicach, redaktor „Kuryera Górnoszląskiego”;
 Ks. Teodor Neumann, proboszcz i dziekan w Markowicach;
 Ks. Juliusz Olbrich, proboszcz w Dębju;
 Ks. Antoni Philippi, proboszcz i dziekan w Łące;
 Ks. Aleksander Schreyer, proboszcz i dziekan w Krzanowicach;
 Ks. Alojzy Taube, proboszcz w Izbicku;
 Ks. Edward Zaruba, proboszcz w Komornikach.

ZALĄCZNIK IV.

Zasadnicza korespondencja „Katolika” z ks. kardynałem Koppem w roku 1896.

1.

Breslau, den 10. April 1896.

Es ist vom heiligen Stuhle missfällig bemerkt worden, dass katholische Blätter den ihnen von Sr. Heiligkeit dem Papste erteilten apostolischen Segen regelmässig an der Spitze des Blattes anführen. Für ein katholisches Blatt ist die treukirchliche Haltung die beste Reklame und wird stets katholische Leser anziehen und gewinnen, weshalb auch grössere katholische Blätter z. B. die Germania von einer solchen kirchlichen Anerkennung keinen öffentlichen Gebrauch machen.

Im Einverständnisse mit dem Staatssekretariate Sr. Heiligkeit ersuche ich daher die verehrlichen Redaktionen der katholischen Zeitungen meiner Diözese, die Anführung des Apostolischen Segens, sowohl des erhaltenen als etwa künftig noch erteilt werdenden, künftig zu unterlassen. Ich habe aber nichts dagegen zu erinnern, dass dieses zur Vermeidung einer etwaigen Missdeutung allmählich geschehe.

Der Fürstbischof.

G. Card. Kopp.

An die

Redaktion des Katolik

G. K. 2311.

zu Beuthen O/S.

Buchmann.

2.

Johannesberg, den 1. August 1896.

Zu wiederholten Malen haben oberschlesische Geistliche ihr Bedauern darüber ausgesprochen, dass der „Katolik” die ehrenvolle Aufgabe, wel-

che das Blatt, treu seinem Namen, solange erfüllt hat, nämlich den Schutz und die Kräftigung katholischer Gesinnung und katholischen Lebens in Oberschlesien zu fördern, vernachlässigt, dagegen in einseitiger Wahrnehmung politischer Interessen eine verhetzende und das fromme ober-schlesische Volk aufreizende Tätigkeit gegen den katholischen Klerus entwickelt, sich in rein seelsorgerliche Angelegenheiten unbefugter Weise einmischt, kirchliche Handlungen und Verhältnisse in unehrerbietiger Weise kritisiert, kirchliche Gebräuche zu reformieren sich unterfängt und sich in jeder Weise bemüht, zwischen Klerus und Volk Misstrauen zu säen und den Einfluss des Klerus zu untergraben.

Wenn der „Katolik“ zu Zeiten hochgradiger politischer Erregung auf den ober-schlesischen Klerus die schuldige Rücksicht nicht immer genommen hat, so mag die Aufregung des Kampfes demselben zur Entschuldigung dienen. Allein die gegen den ober-schlesischen Klerus gerichtete agitatorische Tätigkeit setzt sich fort bis auf die Gegenwart; mir liegen die einzelnen Nummern des „Katolik“ vom 1. Jan. d. J. bis heute vor und finden sich in denselben wenigstens 27 schwere Angriffe auf den ober-schlesischen Klerus.

Die verehrliche Redaktion kann dieses Verfahren nicht mit einer angeblichen Vertretung politischer Interessen rechtfertigen, denn abgesehen davon, dass es sich in den oben angeführten Fällen um rein kirchliche Angelegenheiten handelt, deren Vertretung nicht die Aufgabe der politischen Presse ist, so stehen höher als alle irdischen Güter, seien sie auch noch so schätzenswert, die Güter des Glaubens und der Religion, und kann die Gefährdung dieser Güter niemals durch Wahrnehmung irdischer Interessen gerechtfertigt werden. Die verehrliche Redaktion kann aber nicht verkennen, welche Gefahren für den frommen, treu kirchlichen Sinn der ober-schlesischen Katholiken die Untergrabung der kirchlichen Autorität des Klerus und das beständige Ausstreuen von Misstrauen und Verdächtigungen gegen denselben in sich schliessen.

Ich würde meiner oberhirtlichen Pflicht nicht genügen, wenn ich diesem ganz unkatholischen Gebaren länger ruhig zusehen wollte; ich werde vielmehr nicht umhin können, die Leser des „Katolik“ über jene Gefahren aufzuklären zu müssen, wenn derselbe diese klerusfeindliche Agitation fortsetzen sollte.

Indess gebe ich mich der Hoffnung hin, dass diese Mahnung genügen wird, um die verehrliche Redaktion zu der schönen Aufgabe zurückzuführen, welche der „Katolik“ so lange Jahre und in schweren Zeiten ruhmvoll erfüllt hat.

Der Fürstbischof.

G. Card. Kopp.

An die
Redaktion des „Katolik“

zu

G. K. 4980.

Beuthen O/S.

Fischer.

3.

Beuthen O/S. den 1. Okt. 1896.

Eminenz!

Ew. Eminenz Zuschrift vom 1. August legt uns die Pflicht auf, auf die in derselben enthaltenen Ausführungen zu antworten. Es geschieht dies sowohl zur Beleuchtung von Ew. Eminenz Informationen, als auch zur Darlegung unseres prinzipiellen Standpunktes. Wir gehen dabei von der Voraussetzung aus, dass es der guten Sache nützlich und Ew. Eminenz nicht unerwünscht sein wird, die freie Meinung der Redaktion eines unabhängigen Blattes zu vernehmen.

Es scheint, dass man Ew. Eminenz über den „Katolik“ dahin informiert hat, dass derselbe ein kirchen- und klerusfeindliches Blatt geworden sei und demgemäss es als seine Aufgabe betrachtet, die Autorität des Klerus zu untergraben. Zur Begründung dieser Ansicht ist zwar in Ew. Eminenz Zuschrift auf 27 einzelne Artikel des „Katolik“ Bezug genommen, jedoch nur ganz allgemein, so dass wir zu unserem Bedauern weder in der Lage sind, die Ew. Eminenz vorgelegte Uebersetzung auf ihre Genauigkeit zu prüfen, noch die einem jeden Falle zu Grunde liegenden Tatsachen des näheren zu beleuchten. Es bleibt somit der unterzeichneten Redaktion nichts anderes übrig, als zu konstatieren, dass sie sich nicht bewusst ist, „sich in rein seelsorgerliche Angelegenheiten unbefugt eingemischt, noch kirchliche Handlungen und Verhältnisse in unehrerbietiger Weise kritisiert, noch kirchliche Gebräuche zu reformieren sich unterfangen, noch überhaupt eine verhetzende und das Volk aufreizende Tätigkeit gegen den oberschlesischen Klerus entwickelt zu haben.“

Es soll unsererseits nicht bestritten werden, dass wir uns gezwungen gesehen haben, mit einzelnen Geistlichen und ihrer Tätigkeit uns in unserem Blatte zu befassen. Ew. Eminenz wird jedoch nicht entgangen sein — falls jene Artikel in richtiger und vollständiger Uebersetzung vorgelegt worden sind, — dass sich unsere Kritik nicht gegen die kirchliche Tätigkeit der einzelnen Geistlichen als solche, sondern gegen die bewusste oder unbewusste Verquickung politischer Momente mit dieser Tätigkeit gerichtet hat. Das halten wir für unsere Pflicht und demgemäss für unser Recht, denn wo eine Pflicht vorliegt, da ergibt sich daraus auch ein Recht.

Der „Katolik“ ist ein Blatt für das katholische und polnische Volk. Seine Aufgabe besteht nicht nur darin, „den Schutz und die Kräftigung katholischer Gesinnung zu fördern“, sondern auch die polnische Nationalität des Volkes zu schirmen, für ihre Entwicklung in jeglicher Hinsicht einzutreten und sie gegen alle Schädlichkeiten und Beeinträchtigungen zu schützen, woher nur immer solche kommen mögen. In dieser doppelten Beziehung beruht unser Programm auf dem Gesetze Gottes, der sowohl die Kirche, als auch die Nationen mit ihren Rechten geschaffen hat.

Mit Ew. Eminenz sind wir der Ueberzeugung, dass die Güter des Glaubens die höchsten Güter des Menschen und in erster Linie zu erstreben sind. Aber es ist auch unsere weitere, unerschütterliche Ueberzeugung, dass die Muttersprache, der Kern der Nationalität, das beste Mittel ist, um diese Güter möglichst vollkommen zu erreichen. Daraus ergibt sich, dass

wir in bester Absicht unseren Teil zur Erreichung dieser Güter beitragen, wenn wir die Rechte der polnischen Nationalität in jeder Hinsicht und gegen jedermann wahren. Ausserdem ist die Verteidigung der polnischen Nationalität unsere Pflicht, weil die Nationalität an sich ein unveräusserliches, jedem Volke von Gott gegebenes Gut ist. Dasjenige, was auf dem Naturgesetze Gottes ruht, kann nicht im Widerspruch stehen mit demjenigen, was aus dem übernatürlichen Gesetz resultiert. Die Verteidigung der Nationalität kann nicht eine Verletzung des Glaubens sein.

Mit dieser Ueberzeugung stehen wir und das polnische Volk nicht allein da. Das deutsche Volk ist teilweise sogar bis zum Chauvinismus für seine Nationalität begeistert und tätig. Es stützt sich hierbei auf den Grundsatz: die Nationalität ist von Gott. Den Polen gegenüber wird dieser Grundsatz in praxi geleugnet und der polnischen Nationalität der Vernichtungskrieg erklärt und durchgeführt.

An dieser, für die katholische Kirche, — wie das Zurückgehen des Katholizismus in Mittel- und Niederschlesien beweist, — verhängnisvollen Arbeit beteiligen sich alle diejenigen, welche direkt oder indirekt, bewusst oder unbewusst zur Germanisierung des polnischen Volkes beitragen, oder es unterlassen, gegen die Entnationalisierung zu wirken, obwohl sie durch die Vorsehung hierzu gleichsam berufen sind.

Die Germanisierung ist der Urquell alles Uebels in Oberschlesien, und unser vollberechtigter Widerstand gegen dieselbe ist die wirkliche Ursache der bei Ew. Eminenz gegen uns erhobenen Klagen einzelner Geistlichen. Der „Katolik“ darf nicht untätig zusehen, wie einzelne Geistliche unter Missbrauch kirchlicher Mittel germanisieren. Diese Art der Germanisierung ist die gefährlichste und verderblichste. Wir würden also unsere Pflicht nicht erfüllen, wenn wir auch solchen Bestrebungen gegenüber das polnische Volk nicht verteidigen würden.

Die Germanisation des polnischen Volkes ist etwas Politisches. Wenn nun einzelne Geistliche germanisieren, so begeben sie sich damit auf politisches Gebiet. Die öffentliche Meinung hat aber ein Recht, sich mit jeder Art von Politik zu beschäftigen und zwar auch dann und umsomehr, wenn der Beichtstuhl und die Kanzel hierzu gebraucht, das heisst missbraucht wird. Es gibt Dinge, bei denen besonders in unseren Zeiten und unter unseren Verhältnissen nur die öffentliche Meinung und das Drängen des Volkes ein wirksames Mittel bietet. Das hat z. B. Papst Gregor der XVI erkannt und gegen den Klerus angewendet.

Niemand ist mehr davon überzeugt, als die Redaktion des „Katolik“, dass es zum Wohle des katholischen Volkes eines einmütigen Vorgehens des Klerus und der katholischen Presse bedarf. Weder der Klerus allein, noch die Presse allein können heute im öffentlichen Leben alles das erreichen, was zum Heile des Volkes notwendig ist. Niemand bedauert es deshalb mehr als wir, das dies gegenwärtig zum Teil nicht möglich ist und solange nicht möglich sein wird, als es geistliche Personen gibt, die ungehindert sich an der Germanisierung des Volkes beteiligen. Die Germanisierung bildet das Wesen des Kulturkampfes, den das polnische Volk durchzukämpfen hat und durchkämpfen muss, wenn es seine höchsten Güter, die Religion und die Nationalität nicht verlieren will.

Früher haben alle Geistlichen das polnische Volk der Regierung und sonstigen Germanisatoren gegenüber verteidigt, namentlich in der Kulturkampfszeit. Dies bildete den Kitt, der das Herz des Volkes mit der Geistlichkeit verband. Auf dieser Grundlage entwickelte sich auch das schönste und ungetrübteste Einvernehmen zwischen Geistlichkeit und polnischer Presse und speziell dem „Katolik“.

Wir sind den alten katholischen Grundsätzen und unserem Programm treu geblieben bis auf den heutigen Tag und haben uns durch keinerlei politische Rücksichten davon abbringen lassen. Diesem stetigen, treu innegehaltenen Fortschreiten auf dem einmal als richtig erkannten Wege, dem Festhalten an dem natürlichen und übernatürlichen Gesetz Gottes, verdanken wir das Vertrauen des polnischen Volkes in Oberschlesien.

Dasselbe oder gar noch höheres Vertrauen und bewundernswerte Liebe und Anhänglichkeit bringt das polnische Volk auch jenen Geistlichen bis heute unvermindert entgegen, die in Durchführung obiger Grundsätze allzeit treu zum Volke stehen und sich nicht im Gegensatz zur Volksseele setzen. Mit solchen Geistlichen stehen auch wir im herzlichsten Einvernehmen und wissen uns in der Beurteilung aller grundsätzlichen Fragen voll und ganz eins.

Hieraus ergibt sich, dass wir nicht gegen den Klerus als solchen und in seiner Gesamtheit „eine verhetzende Tätigkeit entwickeln, noch bemüht sind, seinen Einfluss zu untergraben, indem wir zwischen Klerus und Volk Misstrauen säen“. Nicht der „Katolik“ ist schuld, wenn eine Entfremdung zwischen einzelnen Geistlichen und dem Volke eingetreten ist, sondern diejenigen, die durch Germanisierung das Herz des polnischen Volkes schwer verletzen. Wir und das Volk unterscheiden ganz genau zwischen Religion und Kirche und dem politischen Gebaren einzelner Geistlichen bei Ausübung des geistlichen Amtes. Die Grundsätze der Kirche in Bezug auf die Nationalität sind dogmatisch und historisch klar. Die Kirche germanisiert nicht. Der einzelne Geistliche ist aber nicht die Kirche und kann irren. Es würde einer wirklich katholischen Zeitung unwürdig sein, wenn wir dieser einzelnen Geistlichen wegen katholische Grundsätze preisgeben würden. Grundsätze stehen immer höher als Personen, auch wenn es geistliche Personen sind.

Die katholische Gesinnung und das katholische Bewusstsein des „Katolik“ wird vom Volke anerkannt. Wir setzen eine Ehre darein, zu konstatieren, dass es kein zweites politisches polnisches Blatt gibt, welches in höherem Masse und intensiver für die katholischen und kirchlichen Interessen eintritt. Seitens verschiedener Blätter und Personen werden wir als „katholische Fanatiker“ bezeichnet. Jede neue Nummer des „Katolik“ bietet neue schlagende Beweise für seine unbedingt katholische Tendenz, und wir hoffen, dass dies selbst von denjenigen Geistlichen nicht wird bestritten werden können, die sich bei Ew. Eminenz über den „Katolik“ beklagt haben. Deshalb ist es völlig ausgeschlossen, dass die Katholizität des Volkes infolge der Lektüre des „Katolik“ Schaden leidet.

Wenn trotzdem einzelne Geistliche bei Ew. Eminenz Klage über uns führen und unter einer uns des näheren leider nicht bekannten Be-

gründung uns der Vernachlässigung unserer katholischen Aufgaben zeihen, so ist dies eben nur ein Beweis dafür, dass diese Geistlichen sich vor dem Versuche nicht scheuen, sogar Ew. Eminenz kirchliche Autorität zur Erreichung eines politischen Zweckes zu missbrauchen, nachdem es ihnen nicht gelungen ist, trotz Missbrauchs der Kanzel und des Beichtstuhles ihre politischen Ziele zu verwirklichen. Denn es sind lediglich politische Dinge, die eine Animosität gewisser Geistlichen gegen uns hervorgerufen haben. Man kann uns nicht verzeihen, dass wir bei den Wahlen nicht unbedingt einzelnen Geistlichen in politischen Dingen so folgten, wie in religiösen, da die Politik einzelner Geistlichen dem Volke zum Schaden gereichen musste.

Klagen gegen uns sind Ew. Eminenz seitens einzelner Geistlichen zugetragen worden. Leider ist aber Ew. Eminenz nicht bekannt, wie wir von geistlicher Seite angefeindet und bekämpft werden. Mit der Aufzählung aller, vom Volke uns unter den Ausdrücken höchster Entrüstung berichteten und von schärfster Kritik begleiteten Einzelheiten des gegen uns rücksichtslos geführten Kampfes wollen wir Ew. Eminenz verschonen. Wenn Ew. Eminenz aber wüssten, wie man gegen uns mit den grössten Waffen und in unchristlicher Weise vorgegangen ist und noch vorgeht, so würden Ew. Eminenz bei ununterbrochener Lektüre des „Katolik“ erst erkennen, wie sehr wir uns unseren Gegnern gegenüber christlicher Nächstenliebe und des Anstandes befleissigen. Sehr zahlreiche Zuschriften in dieser Materie sind unverwendet geblieben, sodass das Volk uns sogar den Vorwurf allzugrosser Rücksichtnahme macht und die sozialdemokratische Presse uns als die sklavisch ergebenden Diener des Klerus dem Volke vorstellt. Wir müssen uns auf öffentliche Angriffe auch öffentlich verteidigen. Oder sollten wir etwa der Welt das Schauspiel bieten, dass wir geistliche Personen wegen Verleumdung, Beleidigung und Geschäftschädigung vor die Schranken des Gerichts zitieren?

Die Rücksichtslosigkeit des Kampfes gegen den „Katolik“ wird um so greller durch die Tatsache beleuchtet, dass man die akatholische deutsche und die polnische sozialistische Presse im allgemein in Ruhe lässt, sodass diese die katholische Presse zum Schaden des katholischen Lebens überwuchert. Es ist gegen jene Presse im Verlaufe des letzten Jahrzehntes nicht so viel gepredigt und agitiert worden, wie gegen den „Katolik“ in jedem der letzten drei Jahre. Dem katholischen und polnischen Volke ist diese unwürdige und unkatholische Agitation zum Ekel geworden, wie uns viele Zuschriften beweisen. Wenn dann infolgedessen eine Entfremdung zwischen Geistlichen und Volk eintritt, so können wir dafür nicht verantwortlich gemacht werden, weil der betreffende Geistliche sich aus eigener Schuld in diese unangenehme Lage gebracht hat. Von einer Untergrabung des Einflusses des Klerus durch uns und aus uns selbst heraus kann demnach füglich keine Rede sein, zumal es sich immer nur um einzelne Geistliche handelt.

Wenn man uns mahnt, sehr sorgfältig auf die Befolgung katholischer Grundsätze zu achten, so erklären wir, dass es zu keiner Differenz gekommen wäre, wenn man diese selben Grundsätze auf der Gegenseite allzeit befolgt und hochgehalten hätte.

Wenn zwischen Katholiken Meinungsverschiedenheiten obwalten, so ist auf göttliche Grundsätze und Gesetze zu rekurrieren. Hier ist der gemeinsame feste Boden zu suchen. Das Gesetz Gottes muss entscheiden, wer auf Abwege geraten ist, wer seinen Weg zu korrigieren hat.

Die Frage der Germanisierung bildet die Differenz zwischen einem Teile des Klerus und dem oberschlesischen Volke und den Zeitungen des Volkes. Da es sich um die Nationalität handelt, so muss hier das Naturgesetz Gottes: „jede Nationalität ist von Gott“ — entscheiden. Die Konsequenzen dieses Gesetzes, wer schuld ist, wer irret, ergeben sich nach allen Seiten von selbst. Bei der Durchführung dieses Gesetzes ist der christliche Grundsatz anzuwenden: Was Du nicht willst, das Dir geschehe, das tue keinem anderen. Für das Volk und die Zeitungen des Volkes kommen noch die Sätze in Betracht: „Man muss Gott mehr gehorchen als den Menschen“ — „Wenn auch ein Engel vom Himmel herabstiege und würde anders lehren als Christus, so glaubet ihm nicht“. Das Pfingstwunder, die Gefühle des Heilandes gegenüber seinem Volke, sind hier auch Leitsterne für die Katholiken. Wenn alle Katholiken, Geistliche und Laien, in Bezug auf die Germanisation nach dem Gesetze Gottes verfahren werden, so wird volle Einigkeit zwischen Volk und Zeitungen und dem Klerus obwalten.

Die Güter des Glaubens und das Gut der Nationalität stehen nicht im Widerspruch, müssen vielmehr im Einklang sein. Diejenigen bringen hier Missklänge hinein, die das Gesetz Gottes missachten.

Nachdem diese ganze Angelegenheit vor Ew. Eminenz von beiden beteiligten Seiten auseinandergesetzt worden ist, wollen wir den Beweis unseres guten Willens dadurch geben, dass wir von nun an alle uns zugehenden Klagen über die strittigen Fragen Ew. Eminenz unterbreiten werden, indem wir zuversichtlich hoffen, dass Ew. Eminenz in Ausübung des oberhirtlichen Amtes denselben gerechte Erledigung angedeihen lassen und dadurch die Keime des Zwistes zwischen einem Teile des Klerus, dem polnischen Volke und uns aus der Welt schaffen werden.

Indem wir Ew. Eminenz für die Anerkennung der ruhmvollen Vergangenheit des „Katolik“ danken, versichern wir, dass wir jederzeit bestrebt waren und in Zukunft bestrebt sein werden, uns dieser Vergangenheit würdig zu erweisen.

In schuldiger Ehrfurcht

Ew. Eminenz

gehorsame Diözesanen

Redaktion des „Katolik“.

ZALĄCZNIK V.

Przemówienie ks. Skowrońskiego na zjeździe akademickim (wygłoszone prawdopodobnie w Kędzierzynie dnia 14. IX. 1897 r.).

Szanowni Koledzy!

Ze wszech stron naszego ukochanego Śląska pośpieszyliśmy tu do-
tąd, aby się wspólnie zabawić, wspólnie naradzić, jeden drugiego na

duchu podnieść i pokrzepić. Nie są te nasze zgromadzenia wynikiem jakiejś chęci zabawy — ale koniecznością, z instynktu zachowawczego wynikającą. Bo jeżeli wszędzie naokoło nas nieprzyjaciele się łączą i nad tem się naradzają, jakby najlepiej i najprędzej skutecznie swe hasło „Ausrotten”, to i my musimy się łączyć i nasze siły skupiać, aby móc im stawić opór i zniweczyć ich zamiary. Co nasz Czesław Lubiński o flisakach raciborskich, zwiedzających Wrocław, mówi: ale my se dycki śmiało — kupą do siebie trzymali, to nam Niemce pokój dali — to tyczy się i nas, i my musimy kupą do siebie trzymać, musimy się łączyć w silną jedność, a nieprzyjaciele nas nie pokonają.

Lecz w jakim celu musimy skupiać nasze siły? Oto hasłem naszym musi być: *Salus populi suprema lex esto!* Nasz ukochany lud górnośląski niechaj będzie celem naszej pracy; jego byt narodowy jest zagrożony, musimy więc być jego przewodnikami, jego obrońcami, jego rycerzami. My musimy walczyć z jego wrogami i oddalić od niego zgubę. Lecz walka zaćmiewa często bystrość rozumu, zapal za daleko nieraz walczących niesie — tak, że często nie zwycięstwo, ale porażka jest skutkiem walki. Dlatego każde wojsko regularne ma swoje sygnały, swe znaki, które każdy żołnierz znać musi, aby według nich iść naprzód, albo się cofać. I my w naszej walce duchowej musimy się trzymać takich znaków, jeżeli chcemy posunąć naprzód sprawę naszego ludu. A jakoż to brzmią te sygnały? Oto znajdujemy je w małym wierszyku naszego wieszca śląskiego: Niech przypomną prawdę starą, że nie cudem, ale trudem, miarą, wiarą i ofiarą zostaniemy wolnym ludem.

A więc t r u d, to pierwszy znak. Lecz nie myślcie, że tylko trud nad ludem — nie, przedewszystkiem trud nad sobą samym. Kto chce być przewodnikiem ludu, kto chce w pierwszych szeregach walczyć, musi pracować nad sobą samym, musi się wydoskonalać, musi od stóp do głowy być nieskalany. Na nas są skierowane oczy tak nieprzyjaciół jak ludu; jeżeli nieprzyjaciel wykryje na zbroi naszej plamkę, jeżeli lud pozna, że my lekceważymy jedno z jego najidealniejszych dóbr, wiarę albo mowę, wtenczas jesteście zgubieni, lud będzie nas uważał za średnio-wiecznych najemników, którzy nie z przekonania, ale dla podłego zysku walczyli. Świętą prawdą są słowa W. Pola, które tu z małą zmianą powtarzam: Już nam widno — już nam widno — Tak do ludu — jak do Pana — Iść się musi drogą jedną — tą, co nigdy nieskalana!

Drugim sygnałem jest m i a r a. Któżby mógł przeczyć, że nam miarę zachować potrzeba? Gdy się zewsząd słyszy rozdzierające słowo ucisku, gdy się widzi, jak ducha naszych dziątek trują, jak zohydzają naszych przedziadów, jak pogardzają naszym ludem, wtenczas czujemy coś na kształt gniewu Mojżesza, który skruszył Egipcjana, urągającego sobie z Izraelity. Wtenczas krew w żyłach naszych szybciej krąży i zdaje nam się, że, gdybyśmy mieli pioruny, siałibyśmy nimi naokoło nas. Lecz tu trzeba zimnej krwi, tu trzeba miary. Nie piorunami — ale chlebem, chlebem umiarkowanej nauki, mamy częstować tak przeciwników jak lud nasz. W polskiej kronice Lauterbacha z r. 1727 czytałem, że w jednej sali pałacu warszawskiego znajduje się symbol orła, trzymającego w swych szponach snop kłosów z napisem: *panem — non fulmina!*

Chleba, nie pioruny! Starorzymski pogański orzeł trzymał w szponach pioruny, nasz chrześcijański biały orzeł ma trzymać kłosy. Gdy walka się sroży i równowagę naszą na szwank wystawia, przypomnijmy sobie, że nie piorunami gniewu, ale chlebem umiarkowania i spokojnej nauki mamy działać na przeciwników. Pioruny niszczą — chleb nauki łagodzi żądze nieprzyjaciół i karmi nasz lud.

Trzecim sygnałem jest **w i a r a**. Wśród ogólnego rozprężenia społecznych stosunków wiara jeszcze najmocniej łączy jednostki i utrzymuje w nich idealne poglądy. Wiara jest fundamentem, na którym każda prawdziwie ludowa partja opierać się musi, jeżeli nie chce zboczyć z prawej drogi. Całe konsekwentne postępowanie i laury zdobyczy i zwycięstwa zawdzięcza partja Centrum jedynie wierze; to uznali nawet najzagorzalsi kulturnicy. Jeżeli my chcemy sprawę naszego ludu naprzód posunąć, to nigdy nie śmiemy ruszać i podkopywać tego fundamentu. „Uczyńmy nasz lud ludem katolickim — mówi ks. Antoniewicz w siódmym z Listów w Duchu Bożym — a uczynim go ludem polskim. Kto Boga kocha, ten musi kraj swój kochać miłością, która zbawia i buduje, a nie miłością, która niszczy i burzy!” W obronie ludu niechaj zawsze dźwięczy w uszach naszych ten sygnał: wiara! Kochajmy nasz lud miłością, która zbawia i buduje. Nie niszczy my w obronie jego powagi Kościoła, powagi księży, bo to nie może się obyć bez uszczerbku we wierze. Gdy nasz lud stoi mocno na jednym i tym samym fundamencie wiary katolickiej, nie kruszymy tego fundamentu, aby nie nastąpiło rozdwojenie, które tylko osłabić może nasze siły. Narodowość ceńmy wysoko, ale wiarę nadewszystko; budźmy uczucie narodowe, ale nie gaśmy uczucia religijnego. „Ziarno Boże kto posiewa, to syn ojców i ojczyzny — mówi W. Pol — Tu początek polskiej drogi — I to kamień jest węgielny — Co ma dźwignąć dom ubogi — I dać ziemi rok weselny”.

Nareszcie, szanowni koledzy, jeżeli chcemy być wolnym ludem, t. j. otrząść się z pęt snu letargicznego i germanizmu, potrzeba nam **c f i a r y**. Ze nasze dążności i zamiary są idealnymi i wzniosłymi, o tem nikt nie wątpi. Ale i ta prawda jest jasna i historją ludzkości potwierdzona, że przeprowadzanie ideałów w rzeczywistość nie odbyło się jeszcze nigdy bez ofiar. Jeżeli więc chcemy nasz ukochany lud dźwignąć pod względem świadomości narodowej, pod względem umysłowym i materialnym, to musimy ze siebie zrobić dla ludu ofiarę i wszystkimi siłami jemu się poświęcić. „Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy — woła Słowacki w III pieśni Beniowskiego — A drugie tu pół dla szczęścia zachowa. Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy, — I padnie kiedyś w popiół taka głowa”. — My pochodzimy z ludu, lud wyteżył ostatnie swe siły, wydał ostatni swój grosz, aby nas tem uczynić, czem jesteśmy. Bądźmy wdzięczni; ofiara ze strony ludu wymaga i z nas ofiary, poświęćmy nasze siły i zdolności temu ludowi, chociaż to dla nas jest często niebezpiecznem. Bądźmy atoli ostrożni i nie wydawajmy ze siebie nic, co nam tylko zaszkodzić a ludowi pomóc nie może. Dalej atoli trzeba ofiar ze strony ludu. Lud nasz jest bardzo ofiarny, a więc nie potrzebujemy dopiero w nim ofiarności budzić, nadajmy tylko tej ofiarności kierunek, który wyjdzie na korzyść narodowi. Zachęcajmy lud do popierania Pomocy

Naukowej i podobnych instytucyj, a szeregi jego obrońców będą się wzmacniać a siła odporna ludu się pomnażać.

Są to więc, szanowni koledzy, głębokie myśli, które nasz wieszcz i patrijota Lubiński w tych słowach zawarł, że nie cudem ale trudem — miarą, wiarą i ofiarą — zostaniemy wolnym ludem.

Wy czujecie to powołanie w sobie, być krzewicielami tych idei i wykonawcami tych myśli. Szczupła jest garstka nasza, ale nie lękajmy się, jeszcze nigdy nie wzięły wzniosłe zamiary swój początek z mas i ogółu, ale z głowy i serca pojedynczych ludzi. Ponieważ zaś lud, wśród którego pracować macie, jest z wami z tej samej krwi i kości, dlatego te idee łatwo przyjmą się w sercach ludu i poruszą całą masę i wydadzą pożądane owoce. Inteligencja nasza z ludem naszym — a nasze jest zwycięstwo, naszą przyszłość! W tej myśli podnoszę swój kubek i piję na zdrowie i pomysłność naszego ludu i jego kwiecica — akademików!

ZAŁĄCZNIK VI.

Petycja kleru górnośląskiego, wystosowana w styczniu 1899 r. do pruskiego ministra kultu Bossego w sprawie polskiej nauki religii w szkole.

Beuthen O/S., im Januar 1899.

Hochwohlgeborener Herr!

Hochgebietender Herr Staatsminister!

Ew. Exzellenz nachhaltiges Interesse erbitten wir für die folgende Vorstellung.

Die Tagesblätter vom Ende des vorigen und vom Beginn des jetzigen Jahres („Kreuz-Zeitung“ 1898 Nr. 608, „Schlesische Zeitung“ 1899 Nr. 1) brachten die Mitteilung, dass Ew. Exzellenz nach einem Besuche des nördlichen Ostpreussen den litauischen Bewohnern Zugeständnisse hinsichtlich der Berücksichtigung der litauischen Sprache in der Volksschule gewährt haben.

Ew. Exzellenz werden durch den Augenschein Sich überzeugt haben, dass die dortigen bisherigen Schulverhältnisse für die religiöse Erziehung nicht ausreichend waren. Aus demselben Grunde erlauben wir unterzeichneten, deutsch und polnisch sprechenden katholischen Seelsorgsgeistlichen Oberschlesiens uns, Ew. Exzellenz auch um hochgeneigte gleiche Berücksichtigung der sprachlichen Schulverhältnisse Oberschlesiens zu bitten.

Das oberschlesische Polnisch ist keine von dem sogenannten Hochpolnischen verschiedene Sprache. Es verdient nicht den mit dem Worte „Wasserpölnisch“ verbundenen Spottnamen. Es ist vielmehr nach der Trennung Oberschlesiens von Polen in seiner weiteren Entwicklung stehen geblieben, da ohne Anschluss an eine höhere Schule, ohne Verbindung mit polnischen sogenannten höheren Ständen, insbesondere mit einem polnischen Adel, es sich nicht weiter entwickeln konnte. Als im Laufe dieses Jahrhunderts die Industrie hierselbst einen so hohen Aufschwung nahm, hatte der Oberschlesier keine Gelegenheit und kein genügendes Wissen, die neuen industriellen und technischen Ausdrücke in seine Sprache zu übersetzen, und adoptierte darum deutsche Wörter, denen er

freilich eine polnische Struktur gab. Will man dies als oberschlesischen Dialekt bezeichnen, so ist dieser Dialekt von der polnischen Schrift- und Drucksprache noch lange nicht so weit entfernt, wie die vielfachen deutschen Dialekte auf dem platten Lande von dem Schriftdeutsch. Schrift- und Drucksprache ist aber auch in Oberschlesien gut polnisch und dieselbe wie in Posen, Warschau und Krakau; namentlich sind die Gebetbücher, biblischen Geschichten und Katechismen in reinem Polnisch gedruckt. Es wird den Kindern auch der religiöse Memorierstoff in reinem Polnisch eingeprägt, und befehligen sich auch deshalb die Priester, namentlich bei den Predigten und dem Beicht- und Kommunion-Unterricht eines reinen Polnisch. Wir können es daher nur als einen bedauerlichen Irrtum bezeichnen, dass die angebliche Grundverschiedenheit des oberschlesischen Polnisch von dem Schriftpolnisch zu der Annahme verleitet, als müsse das Kind der obersch. polnisch redenden Eltern beim Eintritt in die Schule erst das Schriftpolnische wie eine neue Sprache erlernen, um einem Religionsunterrichte in polnischer Sprache folgen zu können. Es ist das ebensowenig erforderlich, als dem Schulkinde in niederdeutschen Gegenden das Verständnis für den hochdeutschen Unterricht des Lehrers mangelt.

Indem wir aber die Bedeutung des oberschlesischen Polnisch hervorheben, leiten uns keinerlei politische Beweggründe; es gibt ja unter uns viele Priester, welche aus rein deutsch sprechenden Gegenden stammend und deutsch erzogen, auf Wunsch ihrer kirchlichen Oberen nur aus Rücksicht auf den oberschlesischen Priestermangel das Polnische erlernt haben, um sich in den Dienst der oberschlesischen Seelsorge stellen zu können. Wir unterbreiten vielmehr Ew. Exzellenz nur deshalb diese Petition, weil wir es täglich mit tiefem Schmerze und steigender Besorgnis ansehen müssen, wie bei den jetzigen oberschlesischen Schulverhältnissen unser oberschlesisches Volk in seiner religiösen Ausbildung zurückgeht, was dem Staate ebensowenig frommt, wie unserer Kirche.

Es ist nun einmal unumstößliche Tatsache, dass in den polnischen Familien Oberschlesiens nur polnisch gesprochen wird. Wenn auch die Männer, die beim Militär waren und jetzt unter deutschen Kollegen arbeiten, notdürftig das Deutsche verstehen, so ist dies zum allergrössten Teil nicht der Fall bei den Frauen, und von der Mutter lernt doch das Kind zuerst Gott kennen und beten. Statt an diese religiösen Begriffe u. Übungen des Elternhauses anzuknüpfen, unterbricht die Schule diese religiöse Entwicklung, da ja mit geringen Ausnahmen in der Unterklasse der Religionsunterricht nur deutsch erteilt wird. Die Eltern sind aber nicht imstande, ihren Kindern die nötige Nachhilfe im deutschen Religionsunterricht zu geben.

Wir leugnen nicht, dass die oberschlesischen polnischen Kinder, die ja grossenteils hochbegabt sind, den deutschen Memorierstoff rasch aufnehmen und glatt wiedergeben. Aber Ew. Exzellenz wird jeder oberschlesische Priester aufgrund seiner Erfahrung im Beicht- und Kommunion-Unterricht es aussagen müssen, dass dieser Stoff nicht in das volle Verständnis und in das Herz der Kinder gedungen ist, und dass wir bei diesem wichtigen Unterrichte uns auf das Allernotwendigste beschränken müssen und dabei nur Weniges erreichen.

Der grösste Teil von uns kann aber darin nicht mehr tun, da z. B. in dem Industriebezirke auf jeden von uns rund 7000 Gläubige kommen, und uns für den Beicht- und Kommunion-Unterricht nur die schulfreien Nachmittage des Mittwoch und Sonnabend offen stehen.

Die Schule darf uns bei diesem Beicht- und Kommunion-Unterricht der des Deutschen nicht mächtigen Kinder nicht helfen, und so sehen wir mit grosser Besorgnis unsere Jugend ins Leben treten, besonders in der jetzigen Zeit, wo die Sozialdemokratie so ausserordentliche Anstrengungen macht, hier in Oberschlesien Boden zu gewinnen.

Die Schule erreicht für die polnisch redenden Oberschlesier nicht ihren Zweck, wenigstens nicht im Religionsunterricht, in welchem wir uns zu einem Urteile für berechtigt halten, da nach dem Austritt aus der Schule die deutsche Ausbildung von den jungen Leuten bald vergessen wird.

Somit können wir das Ergebnis der jetzigen Einrichtung auf dem Gebiete des Religionsunterrichtes im folgenden zusammenfassen:

Die im Elternhause begonnene religiöse Ausbildung wird beim Eintritt in die Schule durch eine den Kindern völlig fremde Form unterbrochen, durch den kirchlichen Beicht- und Kommunion-Unterricht nur ungenügend gepflegt, und nach dem Austritte aus der Schule infolge des nicht entwickelten religiösen Verständnisses und sittlichen Pflichtgefühls bei dem jugendlichen Leichtsinne und falschen Freiheitsdrange vernachlässigt. Die Früchte dieser Zustände erntet die Sozialdemokratie.

Wenn ostpreussische Zeitungen jene Verfügung für Litauen als berechtigt erklärten, weil die Litauer immer gute Preussen waren, während die Polen ein Königreich Polen herstellen wollen, so müssen wir bemerken, dass ohne über Verhältnisse anderer Landesteile irgendwie urteilen zu wollen, jener Vorwurf das oberschlesische Volk nicht treffen kann, dass vielmehr das hiesige Volk immer loyal und königs- und vaterlandstreu war, und sich an den polnischen Aufständen von 1830, 1848 und 1863 in keiner Weise beteiligt hat. Wenn infolge der strengen Sprachverordnungen der 70-er Jahre einer nicht schlesischen Agitation es gelungen ist, in Oberschlesien eine polnische Bewegung anzuregen und zu unterhalten, so ist es doch allgemein bekannt, dass der grösste Teil der Oberschlesier in dieser Bewegung nicht nationale, sondern sprachliche Tendenzen erblickt und verfolgt, und dass insbesondere wir Geistlichen dieser Bewegung fern stehen, diese vielmehr sich gegen uns selbst richtet.

Wir unterbreiten demnach Ew. Exzellenz die gehorsamste Bitte, auch für Oberschlesien verfügen und verordnen zu wollen, was Hochdieselben für die litauischen Gegenden angeordnet haben, nämlich, dass die polnischen Kinder Oberschlesiens

1) auf der Unterstufe die biblische Geschichte und die nötigen Gebete in erster Linie in polnischer Sprache erlernen sollen;

2) dass die polnischen Kinder Oberschlesiens auch auf der Mittel- und Oberstufe im Lesen und Verstehen der polnischen Sprache unterrichtet werden, damit sie neben dem Unterricht in der deutschen Sprache den religiösen Memorierstoff, die Katechismusstücke und die Kirchenlieder auch in polnischer Sprache in sich aufnehmen können. Indem wir in unse-

ren Bitten noch nicht so weit gehen, als Ew. Exzellenz es den ostpreussischen Litauern zugestanden haben, sind wir der festen Ueberzeugung, dass eine solche Verfügung Ew. Exzellenz zum Wohle des Staates und zum Segen des oberschlesischen Volkes gereichen wird.

In tiefster Ehrfurcht

Ew. Exzellenz

gehorsamste katholische, deutsch- und polnisch-sprechende Seelsorgs-Geistlichkeit Oberschlesiens.

ZALĄCZNIK VII.

Referat, wygłoszony na zjeździe księży górnośląskich w Kędzierzynie dnia 26. IV. 1906 r.

KSIEŻA A RUCH NARODOWY.

U w a g a: Dnia 16. IV. 06 otrzymałem od ks. dziekana Głowackiego zaproszenie na zjazd księży, mający się odbyć 26. IV. 06 celem omówienia kwestji górnośląskiej, z prośbą o wypracowanie referatu. Odmówiłem tego samego dnia, gdyż nie spodziewałem się żadnych pomyślnych rezultatów — a zresztą wyznaczony był nasz konwent dekanalny na 26. IV. 06. Dzisiaj (25. IV.) rano o pół do dziesiątej otrzymałem list od ks. (Roboty) z prośbą, abym koniecznie przybył. Trzeba było pisać list do dziekana, zestawić kolekty, czyścić naczynia na święte oleje etc. etc. — nadto były zapowiedziane odwiedziny pewnego ks. dziekana — nie było więc czasu wypracować referat gruntownie; w paru godzinach musiałem się w przędkości z nim uporać, jeżeli chciałem przyjść w pomoc polskim księżom na zjeździe w Kędzierzynie. Referat jest napisany jednym rzutem pióra, byłem zdenerwowany, drżały mi ręce, a krew gwałtownie biła do głowy z rozdrażnionego serca. Jeżeli choć jednego zyskałem księdza lub umocniłem w przekonaniu o słuszności naszej sprawy, to będzie to wystarczającą zapłatą za fatygi i ból głowy.

Ks. Skowroński.

Nie może to ulegać żadnej wątpliwości, że ruch narodowo-polski był i jest zupełnie uprawnionym, gdyż prawem każdej narodowości jest, mieć przedstawicieli w najwyższych ciałach ustawodawczych, którzy, będąc z krwi i kości tego ludu, którego bronią, mogą prowadzić politykę narodową. Górny Śląsk jest polskim. Niestety dotychczasowi jego reprezentanci byli z nielicznymi wyjątkami w duszy Niemcami i jako tacy musieli przeszkadzać narodowemu odrodzeniu i pomyślnemu rozwojowi naszego ruchu. Jeżeli kielkująca idea narodowa miała się na Górnym Śląsku rozwijać, kwitnąć i owoce rodzić, tedy wywieszenie hasła „Precz z Centrum!” — było koniecznością dziejową, zwłaszcza że Centrum energicznie zwalczało budzącego się ducha polskiego, a posłów, sprzyjających temu ruchowi, usiłowało wyrugować ze swych szeregów, jak to pokazuje zwalczanie kandydatury p. majora Szmuli. Dlatego przewodnia myśl hasła „Górnoślązaka” była dobrą i zbawienną; szkoda tylko, że z początku wprowadzano ją w czyn w sposób gwałtowny i nie dający się nieraz

pogodzić z miłością chrześcijańską. Nieraz miało się wrażenie, jakoby pogańska idea Irydjona Krasińskiego znalazła wcielenie na Górnym Śląsku. Coprawda, jak Irydjona, rozpalala gorąca miłość do narodowości polskiej młodzieńczych kierowników „Górnoślązaka”, lecz niestety ta miłość uwydatniała się na zewnątrz w ujemnej formie, bo w nienawiści i burzeniu. Ugodzić w samo serce partji centrowej — zniszczyć polityczny wpływ księży centrowych na lud — podkopać byt „Katolika” i rozbić jego instytucje narodowe — to było według otwartego wyznania „Górnoślązaka” pierwszym jego celem, pierwszą jego robotą — a więc robotą negatywną, robotą zniszczenia. Chętnie przyznaję, że jeżeli wyswobodzenie ludu polskiego spod jarzma centrowego i usamodzielnienie narodowe miało być osiągnięte, to trzeba było koniecznie z drogi, prowadzącej do celu, usunąć wszelkie przeszkody; ale mimo to wszystko mogło się odbyć z umiarkowaniem i zastosowaniem chrześcijańskiej miłości. Ale „tej siły, co skłania, nad śmierć silniejszej siły ukochania” — nie było z początku w kierownikach ruchu narodowego.

Jest to nemezis historyczna, że właśnie „Górnoślązak”, który chciał zadać śmierć „Katolikowi”, zawdzięcza siłę ukochania swój dalszy byt. Aby świeżej rany nie rozdzierać, nie chcę się tu rozwódzić obszerniej nad namiętną polemiką pierwszych kierowników naszego ruchu, to tylko wyznaję, że nawet ja, „duchowny przyjaciel antyklerykalnego radykalizmu”, który od samego początku sprzyjałem myśli przewodniej ruchu narodowego, nieraz z oburzeniem odrzuciłem „Górnoślązaka” i „Głos Śląski”, gdyż obawiałem się obniżenia poziomu moralnego naszego ludu przez namiętną polemikę tych gazet. Czyż więc dziwić się można, że duchowieństwo dla nieodpowiedniej zewnętrznej formy nie mogło poznać uprawnionego wewnętrznego jądra sprawy i stanęło frontem przeciwko całemu ruchowi jako takiemu? Duchowieństwo, aby mówić z J. Klaczką o Irydjonie Krasińskiego, schodząc do głębi duszy narodu, dostrzegło tam ten prąd uczuć ponurych i dzikich i — zadrżało. Przelęknęło się tego patryjotyzmu, który się w znacznej części karmił nienawiścią; przelęknęło się tej miłości ojczyzny, mocnej jak śmierć, ale pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych. Czyż dziwić się można, że ks. Kapica w swej mowie żorskiej ubolewa nad niechęcią ludu dla księży? Lecz jeżeli chcemy sprawiedliwie ocenić spór z powodu podniesionego hasła „Precz z Centrum”, musimy także badać zachowanie się księży wobec naszego ruchu. Czyż duchowieństwo jest bez wszelkiej winy?

Niestety duchowieństwo w przeważnej części nie czuje po polsku. Dziwić się temu nie można. Jaki ksiądz — taki lud; ale odwrotnie można też powiedzieć: jaki lud — tacy i księża jego. Lud górnośląski nie był dotąd narodowo uświadomiony i dlatego też jego synowie po większej części nie wzięli z domu na wyższe szkoły wielkiej dozy polskiego ducha, a niemiecka nauka, niemieckie książki i pisma, niemieckie towarzystwa akademickie zatarły w nich resztę uczucia narodowego. Nadto mamy dużo duchownych, którzy z domu są Niemcami i dlatego dla polskiej sprawy są w najlepszym razie zupełnie obojętnymi. Takie duchowieństwo nie mogło się zapalać dla ruchu narodowego, nie mogło od razu pojąć uprawnionej jego myśli przewodniej, a utożsamiając mocą przywyknie-

nia Centrum z katolicyzmem, musiało wyklinać każdego, który się ośmielił zwalczać partję centrową. Lud zaś mniej wynarodowiony, czytający codziennie polskie gazety, przejął się prędeż duchem polskim, odgadł łatwiej ideę narodową ruchu i poszedł za świeckimi przywódcami, chociaż zresztą chętnie słucha głosu swego duchowieństwa. Tak stało się, że duchowieństwo, nim się spostrzegło, stanęło w sprzeczności z ludem i jego organizacją wyborczą. Podburzane codziennymi artykułami prasy centrowej, obawiającej się o swój byt na Górnym Śląsku, duchowieństwo występowało niestety coraz to namiętniej przeciw ruchowi, obwiniało lud o bałwochwalstwo narodowe, o socjalizm i rewolucję, odmawiało redaktorom pism narodowych miana katolików, rzuciło się na mocy listu pasterskiego ks. kardynała w żarliwą agitację przedwyborczą, odmawiało rozgrzeszenia osobom, czytającym nawet polskie szczerze katolickie gazety, listem pasterskim nie napiętnowane, i doprowadziło przez smutny proces bytomski tak daleko, że ksiądz kardynał przez cofnięcie oskarżenia przeciw „Górnoślązakowi”, wyparł się roboty księży. I tak *peccatum est intra muros et extra*.

Staralem się obiektywnie przedstawić obie strony i wskazać na ich błędy polityczne i osobiste. Teraz trzeba im dać adwokata, który ich ma bronić i wyszukać dla ich postępowania łagodzących okoliczności. Czyż można kierowników ruchu narodowego zupełnie potępić? Nie! Możemy potępić ich sposób walki, ich namiętność i brak umiarkowania, lecz trudno nie współczuć z nimi, nie uznać ich dobrego celu, którym było usamodzielnienie ludu na Górnym Śląsku. Słowami Irydiona do Kornelji można się tu odezwać do duchowieństwa w obronie ruchu: „Czy ty go potępisz, córo chrześcijan? On chciał, by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyste — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. Dotąd potęga nienawistnych ścisłała nas zewsząd. Daruj, że pałam miłością ku braciom uciśnionym.” Lud miljonowy na Górnym Śląsku dał kierownikom ruchu rozgrzeszenie, idąc za nimi do urny wyborczej — czyżby duchowieństwo po namiętnej walce nie miało łagodniej o naszym ruchu sądzić, a zwłaszcza ta część duchowieństwa, która z ludu wyszła i dla ludu dałaby sobie utoczyć krwi z samego serca? Czyż ma dalej trwać ten nieszczęsny rozłam między ludem a duchowieństwem?

Z drugiej strony czyż można potępić w czambuł duchowieństwo? Nie, tysiąc razy nie. Jeżeli błędziło, to przyznać trzeba, że błędziło w dobrej wierze. Duchowieństwo było we walce kulturowej nietylko na polu religijnem ale i świeckiem wyłącznym kierownikiem ludu, bo nie było jeszcze polskiej inteligencji. To był niezdrowy i niebezpieczny stosunek księży do ludu, gdyż cała odpowiedzialność za możliwe niepowodzenia ludu w dziedzinie politycznej i zarobkowej spadała wyłącznie na duchowieństwo. Lud poczynał też coraz to głośniej sarkać na księży, którzy mu nieraz samowładnie niemiłych przedstawicieli poselskich narzucali. A czyż duchowieństwo ma wyłączne prawo do kierownictwa ludu? Kościół jest jeden w swej głowie nieomyślnej i w nauce, ale jest rozmaity w swych członkach, a jego członki to narody, gminy, to rodziny, to osoby — a do tych członków narodowych należą i duchowieństwo. Ducho-

wieństwo wedle prawa bożego należy jako takie i ze swego powołania pod władzę kościelną — ale jako ludzie ze swym jestestwem doczesnym należą księża pod władzę narodową i jej prawom są jako obywatele podlegli. Jako obywatele mają też głos i prawo, ale równe każdemu innemu stanowi. To po części samowładne kierownictwo duchowieństwa górnośląskiego pragnął słusznie ruch narodowy złamać, a wymagało tego tak dobro ludu jak samego duchowieństwa, dobro ludu, aby mógł sobie według serca i potrzeb obierać politycznych przedstawicieli — dobro duchowieństwa, aby zdjąć z jego ramion w polityce interesów straszną odpowiedzialność za niepowodzenia na polu świeckim. Wzrost socjalnej demokracji w obwodzie przemysłowym można śmiało przypisać poczęści niezadowoleniu ludu z kierownictwa księży w sprawach społecznych. Przyznając chętnie, że kierownicy ruchu narodowego, domagając się także głosu i decydującego wpływu w sprawach witalnych interesów ludu, czynili to nieraz tak, jak gdyby chcieli ograniczyć działalność księży li tylko na służbie wewnątrz kościoła. Duchowieństwo jako dotychczasowy *beatus possidens* w kierownictwie mogło się lękać utraty wszelkiego wpływu na lud i dlatego namiętnie zwalczało ruch narodowy jako taki. A walka skończyła się porażką księży, gdyż lud ich opuścił.

I cóż dalej? Czyż ma trwać dalej ta walka duchowieństwa z ruchem narodowym i ściągnąć nieobliczone klęski na nasze niepokojem skołatanie społeczeństwo? Czyż nie zanoszą się na jakiś znośny *modus vivendi*? Przy dobrej woli z obu stron można się spodziewać spokojniejszych czasów na Górnym Śląsku, a przyznać trzeba, że ta dobra wola poczyna się już pokazywać tu i tam.

Nie da się zaprzeczyć, że w gazetach narodowych zapanował spokojniejszy, umiarkowańszy i przyzwoitszy ton; „Górnoślązak” nawet często się przyznał, że posunął się w rozognieniu walki wyborczej za daleko. Ruch narodowy pokazał, że nie tylko negatywnie, ale i pozytywnie umie pracować. On wyrwał lud z objęć socjalnej demokracji; bankructwo tego wspólnego wroga naszego jest jego chlubnym dziełem. Duchowieństwo odetchnęło swobodnie, gdy ta zmora spadła z jego piersi. W kierownictwie ruchu narodowego poczyna się już widocznie wyłaniać przeobrażenie umysłu w kierunku łagodnym i pojednawczym. Dowodem tego postawienie kandydatury p. Napieralskiego, który jest symbolem umiarkowanej polityki i siły pojednawczej. Działalność p. Napieralskiego w obozie narodowym doprowadzi do zgody między księżmi a ludem. A i samo kierownictwo — to mogą zapewnić — w każdej chwili jest gotowe przyjąć księży z otwartymi rękami, naturalnie nie jako wyłącznych przywódców, ale jako równych obywateli z równymi na polu świeckim. Jeżeli Korfanty bruździ jeszcze w „Polaku” i psuje — to jego samowładny wpływ w przyszłości zmaleje.

Ale i w przeciwnym obozie, obozie duchowieństwa, poczyna się pokazywać zbawienny zwrot w ocenianiu położenia na Górnym Śląsku. „Dla partji centrowej nie myślę się pokłócić z moimi polskimi parafjanami” — tak wyrzekł słusznie pewien ksiądz. Deklarację posłów, wzywającą księży do walki z ruchem polskim, nie podpisał poseł ks. Abram-

ski. Cóż z tego wynika? Oto gdyby nasz ruch narodowy posiadał rzeczywiście wszystkie anty, jako go z początku okrzyczano, gdyby rzeczywiście był antyreligijny, antyklerykalny, antypaństwowy, socjalistyczny i rewolucyjny, to każdy ksiądz z obowiązku musiałby go zwalczać, wszystko jedno, czy się pokłóci z parafjanami czy nie. Lecz księża przychodzą do jedynie słusznego przekonania, że walka na Śląsku jest przeważnie walką rasową i z tego punktu widzenia trzeba przyznać, że w danych okolicznościach ksiądz musi się usunąć od agitacji przedwyborczej, aby nie odepchnąć od siebie bądźto polskich, bądźto niemieckich parafjan. Jest to bardzo ważny i znamienny postępek w politycznym usposobieniu księży, bo stali się z namiętnych prześladowców ruchu narodowego — wyczekującymi widzami. Takie pojęcie kwestji górnośląskiej ułatwia niezmiernie stosunek księży do ludu. Jeżeli partja polsko-ludowa jest li tylko narodową, a przytem szczerze katolicką, jeżeli nie jest socjalistyczną i antypaństwową, to nie widzę zgoła żadnego powodu, dla któregoby ksiądz, czujący się w sercu Polakiem, nie miał się przyłączyć do obozu polskiego tak, jak nikt nie ma nic przeciw temu, aby ksiądz, w duszy Niemiec, pozostał nadal w stronnictwie centrowem, wybitnie niemieckiem. Równe prawo dla wszystkich. A jeżeli w łonie ruchu narodowego nie wygląda wszystko jeszcze prawidłowo, to właśnie dlatego, że dotąd duchowieństwo, stroniąc od niego, nie mogło wyrzucić zbawiennego wpływu na jego rozwój i ukształtowanie organizacji.

Zgromadziliśmy się tu, aby według zdania przewielebnego ks. dziekana wyszukać linię środkową, na którejby można pojednać wszystkie elementa księży. Takiej linii — nie ludźmy się dopiero — już nie znajdziemy. Linią środkową było dotychczasowe niemiecko-polskie Centrum. Takie mieszane Centrum zostało odrzucone i ze strony niemieckiej, jak to poznać można z kontrkandydatur Mittmanna w prudnickim, Vogta w opolskim, Antesa w Bytomsko-zabrzkim — i ze strony polskiej, jak to pokazuje cały ruch narodowy. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko tym dwom prądom politycznym i narodowym dać swobodę ruchu w ich kierunku.

Księża zaś polscy i niemieccy stanęli jak onegdys Abraham i Lot na rozstajnej drodze. Dotąd paśliśmy nasze polskie i niemieckie owieczki na wspólnem pastwisku partji centrowej. Pasterze nasi, gazety polskie i niemieckie, prowadzili ciągle spór między sobą. Abraham rzekł do Loty: „Niech, proszę, nie będzie swaru między mną a tobą i między pasterzami moimi a pasterzami twymi, ponieważ bracia jesteśmy. — Odejdź odemnie, proszę; jeśli w lewo pójdziesz, ja się udam w prawo — jeśli w prawo obierzesz, ja w lewo pójdę.” I nam księżom nie pozostaje nic innego do wyboru. Kto czuje się Polakiem i ma cywilną odwagę, ten niech idzie w obóz narodowo-polski; kto zaś jest Niemcem, niech zostanie nadal w partji centrowej. Rozejdźmy się — ale pamiętajmy zawsze, że braćmi jesteśmy. Dziś nikt nie może przewidzieć, która strona będzie Abrahamem czy Lotem. Jeżeli zaś wspólny nieprzyjaciół uderzy na nas, to jak Abraham Lotowi spieszymy sobie wzajemnie z pomocą w braterskiej miłości. Pozostajmy braćmi!

Co do mnie, to wiadomo już szanownym konfratrom, żem obrał obóz polski, a uczyniłem to nie lekkomyślnie, lecz po gruntownem badaniu sprawy. Do obozu polskiego ciągnęło mnie serce i przekonanie o jego uprawnieniu. Ruch ten jest koniecznością dziejową, on upaść nie może; a chociażbyście obecnym jego przywódcom mogli z rąk wytrącić ster, to podejmą go w ich myśli inni przywódcy. Ten ruch jest uprawniony i legalny, bo nie opiera się na jakichś chęciach wrogich dla państwa i Kościoła, ale na prawie narodowem, na prawie naturalnem, na prawie usamodzielnienia narodowego w ramach państwa i konstytucji państwowej. Jako cząstka tego ludu polskiego na Górnym Śląsku czuję w sobie głęboko obowiązek obywatelski, pomagać ludowi w jego usiłowaniach o lepszy byt narodowy. Odzywając się do mych konfratrów niemieckich z obozu centrowego, kończę słowami naszego Słowackiego:

*Bądź zdrów! — a tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa, na słońcach swych przeciwnych, bogi. —*

ZAŁĄCZNIK VIII.

Przedwyborcza korespondencja ks. Skowrońskiego z ks. kardynałem Koppem.

A)

Breslau, den 20. Januar 1907.

Ihre Ausführungen in Ihrer Kollektiv-Eingabe vom 17. d. M. kann ich nicht unwidersprochen lassen. — Der Pfarrer Brandys hat zwar seine Stellungnahme mir gegenüber erläutert, aber in keiner Weise ausreichend zu motivieren und zu rechtfertigen vermocht, noch auch die von mir dagegen erhobenen schweren Bedenken und Besorgnisse irgendwie widerlegt. — Sie sind als Priester nicht „Männer des Volkes“, sondern Männer Gottes, wie der Apostel seinen Schüler Timotheus nennt (I. Tim. 6, 11); ich kann Ihnen nur empfehlen nachzulesen, was er ihm darüber in jenem 6. Kapitel schreibt. — Dass Ihnen Ihre jetzige Stellungnahme Ihre priesterliche Pflicht anwiese oder dass sie im Interesse der Kirche liege, werden Sie vergeblich auch nur mit einem Scheine von Recht behaupten können; dagegen übernehmen Sie durch Ihr Vorgehen eine ausserordentlich schwere Verantwortung, und ich lege Ihnen alle Verantwortung für die Störung der Ordnung in der Diözese, für die Schädigung der ober-schlesischen Interessen voll und ganz auf Ihr Gewissen. — Alles Weitere behalte ich mir vor.

Der Fürstbischof.

G. Card. Kopp.

An

Herrn Pfarrer Skowroński

Hochwürden

Ellguth b. Zülz.

B)

Oppeln, den 22. Januar 1907.

Hochwürdigster Herr Cardinal-Fürstbischof!

Gnädigster Cardinal und Herr!

Auf die Vorstellungen Ew. Eminenz vom 20. Januar a. c. erlauben wir uns in tiefster Ehrfurcht Folgendes zu erwidern:

Wir wissen, dass wir als Priester „Männer Gottes“ sind, wir wissen aber auch, dass wir trotz dessen nicht aufgehört haben, als Menschen Glieder einer Nation zu sein, der gegenüber wir natürliche Pflichten zu erfüllen haben. Der heilige Thomas von Aquin schreibt in quaest. 26 art. 8: *Illi qui sunt nobis magis coniuncti, sunt ex charitate magis diligendi, tum quia intensius diliguntur, tum etiam quia pluribus rationibus diliguntur. Coniunctio naturalis originis est prior et immobilior, quia est secundum id, quod pertinet ad substantiam aliae autem coniunctiones sunt supervenientes et removeri possunt.* — Dieser in der Natur des Menschen begründete Drang zur Gemeinschaft (Leo XIII) hat uns bestimmt, uns der unterdrückten Stammesgenossen anzunehmen. „Der Bruder, unterstützt vom Bruder, gleicht einer festen Stadt.“ (Sprichw. 18, 19.) Die irländischen Priester haben unbeschadet ihres Charakters als „Männer Gottes“ stets mit dem unterdrückten Volke gehalten und gerade dadurch den Katholizismus in Irland vor dem Untergange gerettet. Moses, der „Mann Gottes“ im eminenten Sinne, nahm sich unter Verzichtleistung auf die Gunst des königlichen Hofes seines geknechteten Volkes an. Auch wir tun nichts anderes, wenn wir mit den machabäischen Priesterhelden denken: *Pugnumus pro populo nostro et sanctis nostris* (1 Mach. 3, 43). Selbst vorurteilsfreie Deutsche billigen unseren Standpunkt. So schreibt Pfarrer Reichel aus Hundsfeld am 13. I. 07 an Pfarrer Brandys: „Ihr mutiges Vorgehen erfüllt mich mit Freude; das ist der rechte Weg! Sich wieder an die Spitze des Volkes stellen und nicht, wie die Zentrumsanhänger, gegen dasselbe vorgehen.“

Ew. Eminenz meinen weiter, wir könnten auch nicht mit einem Scheine von Recht behaupten, dass unsere Stellungnahme im Interesse der Kirche liege: Infolge unserer Wirksamkeit mitten im Volke fühlen wir gewissermassen den Puls des Volkes schlagen und wissen, dass dasselbe seine Abneigung gegen die Zentrumspartei auf die Geistlichen überträgt, welche es von der Kanzel herab, im Beichtstuhl und durch öffentliche Agitation in der verhassten Partei gewaltsam zurückhalten wollen. In dem Masse aber, als das Vertrauen des Volkes zur Geistlichkeit schwand, wuchs zum Schaden der Kirche seine Hinneigung zur Sozialdemokratie. Erst die polnische Partei setzte dem Ansturm der Sozialdemokratie einen wirksamen Damm entgegen. Gewiss beklagen auch wir die anfänglichen Rücksichtslosigkeiten und temperamentvollen Verirrungen dieser Volksbewegung, aber schliesslich bricht sich jeder Strom unter Schäumen und Toben freie Bahn, ehe er ruhig zum Segen und Gedeihen dahinfließen kann. Gewaltig lastete der Druck der Zentrumspartei auf dem Volke, und da die Geistlichkeit mit ihrer Brust die Zentrumspartei deckte, so ist

es nur zu natürlich, dass sich diese Bewegung auch gegen die Geistlichkeit wendete. Im Wesen der Bewegung lag nichts Antikirchliches, dieses Moment ist erst *per accidens* durch den im Parteiinteresse unternommenen Widerstand der Geistlichen hinzutreten. *Cessante causa — cessat effectus*. Die polnische Partei hat ihre Existenzberechtigung durch die letzten glänzenden Wahlerfolge bewiesen und dargetan, wie tief sie im Volke Wurzel gefasst hat. Das polnische Volk in Oberschlesien ist mündig geworden, es kann die Verteidigung seiner heiligsten Interessen in seine Hände übernehmen und braucht sich nicht mehr am Gängelbande einer ihm der Nationalität nach fremden Partei führen zu lassen. Mit dieser Tatsache muss man nun einmal in Oberschlesien rechnen. Das Volk kehrt dem Zentrum den Rücken zu und wird zum grossen Schaden der Kirche mit der nivellierenden Wucht einer Dampfwalze über den Klerus hinweggehen, wenn sich derselbe in Parteiverblendung der Bewegung entgegenstellt. Niemand kann aber behaupten, dass es im Interesse der Kirche liege, wenn Volk und Klerus ihre eigenen Wege gehen und dadurch eine gänzliche Entfremdung herbeiführen.

In Berücksichtigung dieser Tatsache wollten wir durch die Einberufung der Kattowitzer Versammlung zwischen Volk und Klerus eine Verständigung und Einigung anbahnen. Alle Geistlichen ohne Unterschied der Parteizugehörigkeit sollten daran teilnehmen und dem Volke zeigen, dass sie seine Interessen auch öffentlich zu vertreten wagen. Das Volk freute sich unendlich über dieses Entgegenkommen von Seiten des Klerus. Doch da haben Ew. Eminenz, — ob wissentlich oder unwissentlich von Kattowitz aus falsch informiert — durch die Auflösung des einladenden Komitees dem Volke die Freude und dem Klerus die Möglichkeit eines Anschlusses an das Volk genommen. Als Folge davon machte sich im Volke eine tiefe Erbitterung und im Klerus eine wachsende Besorgnis bemerkbar. Die Zentrumspresse schrieb von einer Mache und Hetze der polnischen Zeitungen; doch wir können Ew. Eminenz versichern, dass die polnischen Zeitungen dazu gedrängt wurden. Auf den Redaktionstischen lagen ganze Stösse von Briefen aus dem Volke, deren Inhalt sich garnicht wiedergeben lässt. Ew. Eminenz können sich garnicht vorstellen, wie schwer Ihr Ansehen und der Einfluss des Klerus zum Schaden der Kirche gelitten hat. Auf der stürmisch verlaufenen Versammlung der Geistlichen in Kandrzin, welche sich mit der Kattowitzer Angelegenheit befasste, wurde Erzpriester Glowacki dringend gebeten, Ew. Eminenz endlich einmal *in Polonicis* über die wahre Stimmung in Volk und Klerus zu unterrichten. Er lehnte es ab. Es hat leider niemand den Mut, bei Ew. Eminenz anzustossen, und so ist es nicht blos der Könige Fluch, von Sklavnen bedient zu sein.

Noch haben sich die Wogen der Erbitterung über das Verbot der Kattowitzer Versammlung in den Volksmassen nicht beruhigt, da kam unerwartet die Auflösung des Reichstages. Sollte nun das aufgeregte Volk auch noch bei den Wahlen von den Geistlichen verlassen, durch Agitation für das verhasste Zentrum drangsaliert und zur Verzweiflung getrieben werden? Da entschlossen wir uns nach harten, inneren Kämpfen — im Interesse der Kirche, und das wollen wir vor Gott vertreten, mögen uns

auch Ew. Eminenz selbst den Schein des Rechtes dazu bestreiten — uns auf die Seite des treuen polnischen Volkes zu stellen, um dadurch Balsam in seine Wunden zu träufeln und sein geängstigtes Gewissen zu beruhigen und ihm zu zeigen, dass es noch nicht von Gott und den „Männern Gottes“ verlassen ist. Laut jubelte das Volk auf, und wiederum legte die Post auf die Redaktionstische ganze Stösse von Briefen, in welchen das Volk seinen Dank, seine Freude, seine grenzenlose Anhänglichkeit an die Geistlichen ausdrückt.

Doch da stört plötzlich die Seelenharmonie zwischen Volk und Klerus ein schriller Ton. Es verbreitet sich die Nachricht, dass Pfarrer Kapitzka aus — Gesundheitsrücksichten von seiner Kandidatur zurückgetreten sei. Pfarrer Kapitzka hat leider seine bessere Überzeugung Ew. Eminenz zum Opfer gebracht. Gott wolle geben, dass es das letzte Opfer wäre, das Ew. Eminenz verlangen; denn solche Opfer müssten sonst den Ruin der katholischen Kirche in Oberschlesien zur Folge haben. Wie verderblich der Rücktritt Kapitzkas auf die Massen des Volkes gewirkt hat, können sich Ew. Eminenz aus folgendem Briefe, den ich unmittelbar nach dem Bekanntwerden des Umfalls Kapitzkas vom Redakteur Siemianowski — Gleiwitz erhalten habe, überzeugen:

(Zamiast przekładu niemieckiego podajemy oryginał):

Straszne rzeczy spowodu ustąpienia ks. Kapicy. Lud tak oburzony, że nie da się tego wcale opisać. W ekspedycji u nas istne oblężenie, jedni wychodzą, drudzy wchodzą. W południe w czasie obiadowym wszedłem do ekspedycji, pełno w niej robotników; nietylko wyzywali ale wprost przeklinali Komitet, a najwięcej ks. Kapicę, że włosy stawały na głowie. Nie mogą darować mu zawodu. Użyłem wszystkich mych sił i całego mego wpływu, żeby ludzi uspokoić. Mówiłem im, że sprawa niebawem się wyjaśni, że ks. Kapica chyba poważne musiał mieć powody do cofnięcia się. Powoli uspokoiłi się, ale uważam, że nie można igrać z uczuciami i zapałem ludu, to rzecz strasznie niebezpieczna. Wielu świątlych robotników oświadczyło mi wprost, że po tym zawodzie nikomu już wierzyć nie będą, ani księżom, ani Komitetowi, i głosować będą na socjalistę Trąbalskiego. Konferowałem już z ks. Robotą, żeby go poprosić, by ks. Kapicę nakłonił do odwołania. Daj Boże, żeby się to udało. — Nie wiem, co wpłynęło na ks. Kapicę, że ustąpił. Ja mu tego nie pochwalam i struty jestem całą sprawą. Obawiam się, że spowodu jego ustąpienia najwięcej zyska socjalista, bo jest dziś wielu takich, co ani o ks. Chrzęszczu, ani o kandydacie polskim wiedzieć nic nie chcą i tylko na socjalistę hurmem chcą głosować. Pytam: do czego to doprowadzi, jak tak dalej pójdzie? Co stanie się z powagą duchowieństwa? Że tego nasi centrowcy rozumieć nie chcą, to jest wprost zagadką dla człowieka myślącego. O centrowcach lud nic wiedzieć nie chce; jeżeli straci zaufanie do księży polskich, jak teraz spowodu cofnięcia się ks. Kapicy, może to wywołać smutne a bolesne następstwa. Przecież tego nie można lekceważyć, tylko należy bardzo poważnie traktować. — Jeżeli Ks. Dobrodziej ma wpływ na ks. Kapicę, proszę serdecznie o to, żeby wpłynąć na niego, by rzecz jakoś została załagodzoną. — Spieszę się, bo w tem zamieszaniu

strasznie mało mam czasu. Na to tylko jeszcze zwracam uwagę, że lud był bardzo uradowany spowodu przystąpienia księży do ruchu naszego polskiego. Jestem przekonany, że Ks. Dobrodziej, jak i inni księża, wytrzymają na posterunku i kandydatur nie poskładają jak ks. Kapica. Na ludzie zrobiłoby to jaknajgorsze wrażenie, a wywołałoby inogło następstwa tak fatalne, że trudno brać za nie odpowiedzialność.

Piszę to wszystko w pośpiechu, ale proszę mi szczerze wierzyć, że stan rzeczy wiernie przedstawiłem. A więc: *caveant consules!*

*

Caveant consules! Mit den Gefühlen des Volkes lässt sich kein Spott treiben, zumal wenn der Geistliche diesen Spott treiben wollte. Und nun sollten auch wir, und dies noch in letzter Stunde, zurücktreten und Verat am Volke begehen? Wir können doch nicht alle — Gesundheitsrück-sichten vorschützen, wir müssen offen erklären, dass Ew. Eminenz uns dazu zwingen. Ein Sturm der Entrüstung würde sich erheben und den letzten Rest des Vertrauens zu Ew. Eminenz und zu dem Klerus aus den Herzen des Volkes hinwegfegen und das Volk gewaltsam in die Arme der Sozialdemokraten treiben. Wollen Ew. Eminenz diese Verantwortung übernehmen? Und wir sollten nicht einmal den Schein von Recht haben zu behaupten, dass wir im Interesse der Kirche handeln? Wir versichern Ew. Eminenz, dass wir die Verantwortung für unsere Stellungnahme voll und ganz auf unser priesterliches Gewissen nehmen!

Ew. Eminenz sprechen weiter von „Verwirrung der Gemüter“. An der Verwirrung der Gemüter sind wir nicht schuld. Das Zentrum hat diese Verwirrung ins Volk hineingetragen. Die oberschlesische Zentrums- presse hat aus Zentrum und Katholizismus identische Begriffe gemacht und dem Volke vorgeredet, dass, wer nicht fürs Zentrum stimmt, aufhört, ein Katholik zu sein. Das offizielle Zentrum verwarht sich aber dagegen, eine konfessionelle Partei zu sein, und betont, dass es nur eine national- deutsche Partei sei, in welcher selbst Protestanten Aufnahme finden können. Das polnische Volk will nun einmal von einer deutschen Zentrums- partei nichts mehr wissen, es stimmt, wie die letzten Wahlen beweisen, fürs „Kolo Polskie“ und stellt sich dadurch in Gegensatz zur Zentrums- geistlichkeit. Daraus entsteht im Volke die Verwirrung der Gewissen. Diese beklagenswerte Verwirrung wollen gerade wir polnischen Geistlichen im Interesse der Kirche beseitigen, indem wir mit der Unwahrheit, dass Zentrum = Katholizismus sei, aufräumen und dem irreführten Volke zeigen, dass es wohl für einen Kandidaten des „Kolo Polskie“ stimmen kann, ohne mit seinem Katholizismus in Gewissenskonflikt zu geraten.

Meinen aber Ew. Eminenz unter „Verwirrung der Gemüter“ den beklagenswerten Umstand, dass in einzelnen Kreisen sich Geistliche als Kandidaten gegenüberstehen, so müssen wir auch hier jegliche Schuld dem Zentrum beimessen. Wir haben vor der Aufstellung unserer Kandi- daturen ausdrücklich erklärt, dass wir unter keinen Umständen in einem Wahlkreise kandidieren wollten, in welchem schon ein Zentrumsgeistlicher aufgestellt ist. Unsere Kandidaturen waren eher proklamiert, als die der

Zentrumspartei. Das Zentrum hat mit voller Absicht uns polnischen Geistlichen ihre geistlichen Zentrumsandidaturen entgegengestellt und muss nun folgerichtig auch die Verantwortung an der daraus entstandenen „Verwirrung der Gemüter“ übernehmen.

Was Ew. Eminenz unter „Störung der Ordnung in der Diözese“ verstehen, ist uns nicht näher bekannt. Jedenfalls sind wir überzeugt, dass auch Ew. Eminenz ein Interesse daran haben müssen, die nächsten Wahlen abzuwarten, um ein klares, durch keine Beeinflussung getrübttes Bild von der wahren Stimmung im katholischen Volke zu gewinnen und darnach die neue Ordnung zu bestimmen. Mit der Zentrumsordnung scheint es nun einmal unwiderruflich vorbei zu sein.

Wenn Ew. Eminenz unter „Schädigung der oberschlesischen Interessen“ etwa einen bevorstehenden Kulturkampf oder Ausnahmegesetze verstehen, so wollen wir diesem Übel lieber in Einigkeit mit dem Volke getrost entgegensehen, als uns in völligem Zerwürfnisse mit dem Volke von denselben überraschen zu lassen. Die preussische Regierung lässt sich in ihrer Polenpolitik nicht von sentimentalen Stimmungen, sondern nur von einer unerbittlich konsequenten Staatsraison leiten. Wenn bis jetzt keine Opfer von Seiten der Polen die Regierung zu erweichen vermochten, so würde auch eine Verzichtleistung auf unsere Kandidaturen von der Regierung nur als Schwäche des polnischen Volkes aufgefasst werden. Die ganze Politik der preussischen Regierung in den Ostmarken läuft darauf hinaus, den Klerus auf ihre Seite zu ziehen, mit dem Volke zu entzweien und dadurch um so schneller den Widerstand der Polen gegen die Germanisationsbestrebungen zu brechen. Daher wollen wir nach dem Beispiel des irländischen Klerus die Einigkeit mit dem Volke pflegen.

Ew. Eminenz! Wir sind nur schwache, gebrechliche Menschen, welche noch dazu unter der Aufregung vor den Wahlen unendlich leiden; sollten wir in unserer freimütigen Aussprache irgendwie gegen die Ew. Eminenz zukommende Ehrfurcht verstossen haben, so versichern wir Ew. Eminenz, dass wir dies selbst aufs tiefste bedauern würden. Nur die Besorgnis um Ew. Eminenz Ansehen im Volke, um die Liebe zur katholischen Kirche und das Interesse unseres braven, treuen polnischen Volkes, für das wir unser Herzblut hingeben wollen, hat uns die Worte in die Feder diktiert.

Gott ist unser Zeuge. *Deus noster — refugium et virtus, adiutor in tribulationibus, quae invenerunt nos nimis: propterea non temebimus, dum turbabitur terra* (Ps. 45).

In tiefster Ehrfurcht verharren

Ew. Eminenz

gehorsamste

S k o w r o ń s k i, Pfarrer. J a n k o w s k i, Pfarrer.

ZAŁĄCZNIK IX.

Przedwyborcze przemówienie ks. Skowrońskiego z roku 1906.

(Ponieważ w całym powiecie pszczyńskim nie było można uzyskać lokalu, więc przedwyborczy odbył się w „Reichshali” w Katowicach.)

W i a r u s y !

Oto stoję przed wami! Komitet Wyborczy postawił mnie jako kandydata do „Koła Polskiego” w okręgu Pszczyńsko-Rybnickim. Zналиście mnie dotąd tylko z nazwiska, zналиście mnie z gazet jako obrońcę ludu polskiego, dzisiaj mamy się poznać twarzą w twarz, dzisiaj już nie gazety mają pośredniczyć między nami, ale bezpośrednio mają płynąć uczucia wzajemnej miłości od serca do serca. Dzisiaj ma się zawiązać węzeł miłości między mną i wami. Wy macie mi ślubować, że w nadchodzącej walce wyborczej waszemi piersiami mnie zasłaniać będziecie, a ja wam będę przyrzekał, że wiernie, gorliwie i wytrwale chcę w parlamencie bronić waszych idealnych i materyalnych dóbr.

Gdy jeden zbliża się do drugiego i podaje mu dłoń przyjaźni, to równocześnie wyłuszcza przyczynę, powody, dlaczego to czyni. Dlaczego więc ja zbliżam się do was, dlaczego wy ofiarujecie mi mandat do Koła polskiego? Jest to pytanie bardzo ważne, pytanie, na które tylko serca zbliżających się wzajemnie odpowiedź wyczerpującą dać mogą. Tem więcej dziwić się trzeba, że centrowcy bez namysłu dają światu natychmiast gotową odpowiedź, odpowiedź lekkomyślną, która ich płytkie pojmowanie sprawy dobitnie charakteryzuje. Oto centrowcy zarzucają nam: „My nie chcemy duchownym kandydatom z łaski Korfanteo i Napieralskiego odmówić dobrej wiary — ale że na przyjęcie kandydatury wpłynęła także próżność zostania posłem, „Wahleitelkeit”, na to jest więcej aniżeli jeden dowód.”

A więc próżność, pycha nas skłoniła do ubiegania się o mandat!

O płytkie, marne duchy, niezdolne wzruszyć się myślą wielkich rzeczy, niezdolne pojąć, że do tak stanowczego i odważnego kroku nas księży polskich mogły spowodować li tylko szlachetne i idealne pobudki!

Znając grzeczność centrowców śląskich, nie dziwiłbym się, gdyby nam nawet zarzucali, że dla chciwości, dla dyet poselskich chcemy posłować. Wszak wobec nas, księży polskich, myślą, że im wszystko wolno. Wszak nas już przedtem zrównali z rewolucjonistami, z księżmi rządowymi z czasów walki kulturalnej, a nawet nazwali nas grabarzami Kościoła. („Neisser Ztg.”) — a są to ci sami, którzy krzyczą retę — gwałtu, gdy polskie gazety zaczepią jakiego księdza germanizatora. Dwojaka miara!

Nas atoli takie podłe oszczerstwa nie irytują, bo one pochodzą od ludzi zacofanych, zaślepionych, upartych, skazanych na śmierć polityczną — od ludzi minionej epoki. Do nich można zastosować słowa naszego wieszcz-proroka: „Ludzie epoki przeszłej, ludzie z duszą wyschłą i niezdolną do zapалу, używają wszelkich sposobów, żeby zatrzymać tych, co postępują naprzód. Czynią to z kurczem ręki, podobnym do chwytania się konającego, który uczepia się stojących przy nim, jak gdyby chciał ich z sobą pociągnąć do grobu.”

Grób otwiera się przed partją centrową na Górnym Śląsku! Centrowcy skazani na śmierć, nie mogą pojąć, że w piersiach młodej gwardyi bije jeszcze żywo serce, które się rwie do życia, do czynu i zapału. Jak konający, chcieliby się konwulsywnie ucześcić młodszej generacyi księży, aby ją razem z sobą wciągnąć do grobu politycznej nicości.

Lecz daremne wasze konwulsyjne drgnięcia. Umierajcie, jeżeli tak koniecznie chcecie — ale pozwólcie, aby na waszych ruinach zakwitło nowe życie! My chcemy żyć i pracować. Nie w grobie politycznego niedoświadczenia nasze miejsce, lecz na czele naszego ludu. Nasze hasło jest hasłem życia. Bóg i my! Naprzód, w imię Boga przez lud dla ludu! *Morituri te salutant* — wołają centrowcy na Górnym Śląsku. Młoda gwardya polska zaś woła: *Resurrecturi! per aspera — ad astra!*

Przeciwnicy widocznie nie zadali sobie nawet tyle pracy, aby z rozważą przeczytać naszą odezwę, bo inaczej nie byliby nam zarzucili próżności zostania posłem. Tam powiedzieliśmy wyraźnie, że przyłączamy się do ruchu ludowego z szczerą intencją i z czystym zamiarem służenia sprawie Kościoła i ludu.

Tak, wiarusy, przyjmując z rąk waszych mandat do „Koła Polskiego”, nie chcę służyć własnej pysze i próżności, lecz Kościołowi i ludowi. Żyjemy w nader groźnych i dla Kościoła niebezpiecznych czasach. Do czegoż dzisiaj doszedł Kościół katolicki? Oto wszędzie bywa prześladowany. Wskazują tylko na Francję, gdzie zamykają klasztory, odbierają Kościołowi domy Boże i wyrzucają biskupów z ich domów. I skąd to przyszło? Oto lud zobojętniał dla Kościoła i księży, bo duchowieństwo straciło czucie z ludem, niezrozumiałwszy doniosłości napomnienia Ojca św.: „Idźcie w lud”. Znadto bawiono się w dyplomacyę, mając ciągle i nade wszystko na widoku kwestye rządowe, a nie zważano na to, jak powoli usuwał się pod nogami duchowieństwa fundament, którym jest lud. Dyplomatyżujący Kościół dostanie się zawsze na pochyłą równię. „Dzisiaj księża powinni brać udział w ruchu wewnętrznym narodu, czerpać życia w masie narodowej, żyć życiem mas, oddychać powietrzem, które ożywia narody, bo inaczej wszystko około nich wzniesie się im nad głowę” (Mickiewicz). Zrozumiał to dobrze ś. p. arcybiskup Stablewski, zerwał z systemem dyplomatycznym i stanął w ostatnim okólniku stanowczo po stronie ludu — zrozumiał to dobrze i ks. arcybiskup Teodorowicz i dlatego niedawno wznosił toast na pomyślność polskiej partyi ludowej. I my księża polscy musimy trzymać z ludem, z nim razem cierpieć, walczyć, a da Bóg, zwyciężać. Z powodu rozwiązania parlamentu wre walka wyborcza w każdym zakątku G. Śląska. Lud nasz gotuje się do walnej bitwy z centrowcami, rządowcami i socyaldemokratami. Gdybyśmy my księża polscy w tej przełomowej chwili lud polski zostawili bez jawnej i odważnej pomocy, odwróciłby się słusznie od duchowieństwa a stąd sprawa katolicka zostałaby na szwank wystawiona. Dlatego zdecydowaliśmy się na stanowczy krok w kierunku zbliżenia się do ludu i przyjęliśmy kandydatury do „Koła Polskiego!” Niestety na samym początku walki legł na polu jeden ksiądz, padł ofiarą dusznych mąk i potężnych wpływów zewnętrznych. Wiecie, kogo mam na myśli, jest nim ks. proboszcz Kapica. Nie sprzeniewierzył on się naszej sprawie, lecz

został złamany na ciele i duszy, gdyż nasza akcja nie wypływa z próżności i pychy, lecz z tego, co wewnętrznosci nasze szarpie, cò serce krwawi. Ks. Kapica padł — ale sztandar narodowy pochwycił w tym samym momencie inny ksiądz śmiałą ręką, a mogę was zapewnić, że choćby miał jeszcze nie jeden kapłan paść pod brzemieniem boleści, ten sztandar, któryśmy księży publicznie poraz pierwszy rozwinęli, będzie powiewał nad głowami waszemi tak długo, aż Górny Śląsk stanie się jednym obozem, w którym wszyscy księży polscy z całym ludem polskim wspólnie będą bronili wiary i narodowości. Daleko nam jeszcze do tego tryumfu radosnego. Obecnie udziałem naszym jest prześladowanie i ból. Lecz nasz wieszcz mówi: „Siła rodzi się tylko z bólu. Gdyby duchowieństwo podzielało boleść narodu, wtedy Kościół urzędowy znalazłby słowo zdolne wzruszyć całe chrześcijaństwo.” Niestety dotąd Kościół urzędowy nie jest po naszej stronie. Lecz miejmy nadzieję. Duchowieństwo poczyna podzielać z ludem ból, a ból zrodzi siłę — a siła wyjedna nam uznanie i Kościół urzędowego. Walczmy, aż świat, nasz morderca, sam klęknie i wyzna: „Że Bóg i ojczyzna narodów sumieniem”.

Bóg i my! Naprzód! Przez lud dla ludu!

A teraz po tem ogólnem uzasadnieniu stanowiska księży przy obecnych wyborach, pozwólcie, abym w krótkości zaznaczył moje zapatrywania wobec trzech w okręgu Pszczyńsko-Rybnickim w grę wchodzących partyi, a mianowicie wobec centrum, rządowców i socyalnych demokratów.

Czemuż nie chcę posłować dla partyi centrowej, a czemuż wy nie chcecie głosować na centrowca? Oto, bo tak ja, jak wy jesteśmy Polakami, partya centrowa zaś wybitnie narodowo-niemiecka, jak to sama przy każdej sposobności z naciskiem podkreśla. W partyi niemieckiej nie może być miejsca dla Polaków. Dawniej było inaczej. Gdy we walce kulturalnej chodziło głównie o naszą wiarę, wybieraliśmy posłów do partyi centrowej, i dobrze tak było. Gdy atoli walka kulturalna się skończyła, wilka ciągnęło do lasu. Centrum poczęło się przymilać rządowi, temu samemu rządowi, który na nas Polaków wymyślał coraz to ostrzejsze prawa wyjątkowe. Naturalnie Polacy musieli się stać kulą u nóg partyi centrowej, gdyż z nią złączeni tamowali jej przystęp do łaski rządowej. Centrum poczęło więc coraz to więcej oddalać się od ludu polskiego. Lud polski nie miał powodów przymilać się rządowi pruskiemu, bo dobrze widział, że walka kulturalna skończyła się tylko dla niemieckich katolików, trwała zaś nadal przeciw Polakom. Tedy Górnoślązacy zaczęli się samodzielnie ruszać, aby bronić swej narodowości, lecz to nie podobало się centrowcom, którzy poglądali zawsze krzywo na wszelki ruch, na wszelki znak życia narodowego, piętnując go nazwą wielkopolskiej agitacji, chociaż żaden rozsądny człowiek nie myśli o oderwaniu Górnego Śląska od państwa niemieckiego. Obrona naszej narodowości odbywa się zupełnie legalnie i w ramach konstytucji pruskiej! Trzeba choć tylko pobieżnie przypatrzeć się działalności centrowej na Śląsku, aby poznać, że centrum śląskie po walce kulturalnej to nie obrońca, ale przeciwnik ludu polskiego.

Dawniej za czasów walki kulturalnej urządzało centrum wiece katolickie na Górnym Śląsku, w których i lud polski z swoimi księżmi na czele brał czynny udział. Po walce kulturalnej ustały te wiece. Ostatni wiec

w Raciborzu odbył się z urągawiskiem ludu polskiego. Centrowcy nie postarali się ani o wybitnych mówców polskich. Oprócz krótkiej ale treściwej mowy górnośląskiego robotnika Labusa z Załęża lud polski zbyto wierutną gadaniną. O tym wiecu pisze p. major Szmula w liście do ks. Engla: „Gdzież to pod słońcem jest kraj, w którym wyborców tak traktują na wiecach, jak na G. Śląsku. Lud prosi o pokarm duchowy, jak o kawałek chleba, a wyznacza się dla niego jakiś półdzionek.” Odbył się przed laty ogólny wiec katolicki w Nysie; spodziewano się, że dla miliona ludności polskiej, stojącej w obozie centrowym, wyznaczą przynajmniej jedną godzinkę z mową polską — lecz i tego nam odmówiono. Czyż to nie jest traktowanie Polaków jako paryasów? Koło polskie urządza dla ludu wiec za wiecem, gdyż coraz to ostrzejsze prawa krępują wolność obywatelską Polaków, centrum od lat piętnastu nie zwołało żadnego wieca na Górnym Śląsku, aby naradzać się z ludem nad obroną. A gdyśmy księża polscy zwołali wiec do Katowic, aby bronić pacierza polskiego, to właśnie prasa centrowa w bezwstydnym sposobie rzuciła się na nas, obrzucając nas błotem. Osądźcież sami, czyż śląska partya centrowa może rościć sobie prawa do obrony naszej? Nigdy, przenigdy!

Dalej, jak obchodzi się centrum śląskie z naszymi gazetami! Gazeta to nasza broń, nasza tarcza, to głos narodu. Lud w gazetach wyraża swe dążności, wypowiada swe życzenia, wygłasza swe skargi i bóle. Odbierzcie narodowi gazety, a on stanie się jak kaleka, ślepy, głuchy, niemym. Ma oczy, a nie widzi grożącej zagłady, ma uszy, a nie słyszy huku pocisków nieprzyjacielskich, przeciwko niemu skierowanych, czuje wielki ból, a nie może wydać ni jęku, nie może wołać o ratunek. Lud polski na Górnym Śląsku ma dzięki Bogu gazety niezależne od nikogo, które mężnie, wytrwale i z bezprzykładnem poświęceniem bronią ludu uciśnionego. Redaktorzy płacą setki i tysiące marek kary za tak zwane przestępstwa prasowe, nieustannie cierpią w więzieniach pruskich, a cierpią w obronie ludu polskiego. Tymczasem co się dzieje? Partya centrowa, która chce być obrońcielką i opiekunką ludu polskiego, ta partya obrzuca redaktorów polskich błotem, odsądza ich od czci i wiary, denuncjuje ich prokuratorowi i wszelkimi środkami godziwymi i niegodziwymi stara się ubić prasę polską. Powiedzcie mi, którąż prawdziwie polską gazetę nie chciało centrum śląskie już zniszczyć. Nie mówcie, że gazety polskie występują przeciw centrowcom, a więc centrowcy słusznie je zwalczają — bo „Katolik”, „Dziennik”, „Gazeta Opolska” i „Nowiny Raciborskie” służyły długie lata wiernie partyi centrowej, a mimo to sypały się odezwy przeciw nim, aby je ubić. Powód tej zapalczywości centrowej przeciw gazetom polskim tkwi w tej okoliczności, że gazety polskie szczerze bronią polskości ludu, podczas gdy centrum śląskie jest zwolennikiem powolnej germanizacji. W partyi, która chce ubić prasę polską i przez to zagłuszyć sumienie narodowe ludu, w takiej partyi nie ma dla mnie miejsca, i nie ma go też dla ludu polskiego.

A jeszcze w jaskrawszem świetle przedstawi wam się ta mniemana życzliwość partyi centrowej dla polskiego ludu, gdy sobie uprzytomnicie, jak postępowało sobie centrum przy postawieniu kandydatur poselskich. Zasadą ogólnie uznaną jest: Swoją do swojego, bo Niemca może

tylko Niemiec, a Polaka tylko Polak skutecznie bronić. Według statutów swoich zobowiązała się śląska partya centrowa stawiać na Górnym Śląsku już nie Polaków, ale przynajmniej mężów, umiejących mówić po polsku, boć to każdy uznaje, że obrońca musi się umieć porozumieć z swymi klientami w ich języku ojczystym. Ale i tej okruczności nie chciała partya centrowa z stołu pańskiego rzucić zgłodniałemu ludowi. Lud polski zebrał o chleb a centrum rzuciło mu kamień. Oto w czysto polskim okręgu Pszczyńsko-Rybnickim postawiło centrum przed laty kutego Niemca barona Huenego, w Prudnickiem Mittmanna, w Kozielskiem Hagera, w Gliwickiem Heisiga, w Opolskiem przeciw Szmuli — Vogta. Historia kandydatury p. majora Szmuli jest wogóle znamieną dla ducha wrogiego partyi centrowej przeciw ludowi polskiemu. Pana majora Szmulę od roku 1893 nieustannie centrum zwalczało, ponieważ był ulubieńcem ludu polskiego i dzielnie go bronił. Przy każdych wyborach usiłowano go poselstwa pozbawić, ale dopiero w roku 1903 to się udało. A w jaki sposób? Oto centrowcy zawarli kompromis z żydowsko-protestanckim, konserwatywno-liberalnym miszmaszem, a gdy obalili kandydaturę p. Szmuli, gdy zdeptali wierny lud polski, zaśpiewali sobie razem z żydami i protestantami: „Deutschland, Deutschland über Alles!” Wtenczas pisalem oburzony w „Gazecie Opolskiej” do zdradzieckich centrowców: „Gdy za 5 lat przy wyborach zaintonuje im pastor pieśń: „Eine feste Burg ist unser Gott” — to przyjdzie im może skromnie wysłuchać pieśni protestanckiej, aby tylko wszędzie z hakatystami i protestantami przeprowadzić choć jednego „Deutschen Mann”. Zapłata za tę zdradę centrowców przyszła jeszcze prędzej aniżeli za 5 lat. Bo gdy w tych dniach udał się redaktor Pohl do tego samego miszmaszu, aby prosić o pomoc dla ks. Wolnego, to mimo, że wskazywał na order na piersiach księdza Wolnego i nazywał go „einen deutschen Mann”, pokazali mu drzwi. Tak zdrajcom bywał „Katolik” pisał wtenczas o tej zdradzie: „Tego lud polski nie może zapamiętać nigdy”.

Ponieważ partya centrowa tak postąpiła, dlatego sama dla siebie wykopała grób. Partya, która wierny lud polski opuszcza, co więcej, która ewangelikom i żydom ręce podaje, aby polskich katolików bić, utraciła zaufanie ich na zawsze.

Tak to sobie postępowała partya centrowa przy postawianiu posłów na Górnym Śląsku dla ludu polskiego. A teraz osądźcie sami, czy może ona nas nadal jeszcze w parlamencie zastępować? Przez zdradzieckie swe postępowanie wykopała sobie sama grób — pochowajmy ją przy tych wyborach w nim!

Ale, może odezwie się gdzieś jakiś zacofaniec centrowy, chory na nieuleczalną ślepotę ducha, partya centrowa poprawiła się teraz. Oto postawiła księży z ludu, ks. Lossa, Skowronka, Chrzęszcza i Wolnego, czyż stąd nie wynika, że partya centrowa ma jeszcze miłość do ludu? Nie, odpowiadam na to, to nie miłość, to stara sztuka Niemców, to wypróbowane hasło ciemiężców: *Divide et impera* — wytwarzaj kłótnię i panuj nad kłócącymi się. W Brandenburgii i nad rzeką Łabą mieszkali niegdyś szczepy słowiańskie. Niemcy powaśnili te szczepy między sobą, a gdy one w bratobójczej walce się osłabiły, tedy przyszedł Niemiec i położył

swoją stopę na karkach osłabionych i wytepił ich. Dziś cmentarzysko słowiańskie sięga już aż ku Opolu. Oto niemieckie centrum postawiło umyślnie przeciw nam księży centrowych z ludu pochodzących, abyśmy się w bratobójczej walce sami zagryźli i tak cmentarzysko słowiańskie posunęli aż ku Krakowu. Ludu polski, jest to chwila przelomowa dla twego bytu narodowego, obudź się z uśpienia i poznaj, że centrowcom chodzi tylko o złamanie polskiego ducha, nie oddawaj ani jednego głosu na kandydatów centrowych. Niech im się sztuka rozdwojenia ludu polskiego i jego narodowego osłabienia nie uda. Wobec eksterminacyjnego systemu pruskiego Polacy muszą zwalczać rozdwojenie, skądkolwiek ono pochodzi, i wszyscy stanąć jak jeden mąż w karnym obozie polskim!

Z wywodów moich poznaliście dobitnie, że centrum śląskie nie ma miłości do ludu polskiego, jak ono same aż do przesytu, aby się przypodobać rządowi, w swoich gazetach ciągle pisze. Często można czytać: My chcemy bronić słusznych praw Polaków, ale nie z miłości, tylko z sprawiedliwości, bo na miłość Polacy nie zasługują. A więc miłości nie mają centrowcy do nas, i my, chcąc być sprawiedliwymi, tej miłości też od nich żądać nie możemy, bo nasze przysłowie mówi: Jak świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Cóż atoli mówi Pismo św. o braku miłości? Oto: „Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzęmiący”. Niemieckie centrum jest rzeczywiście taką miedzią brząkającą; dla polskiego ludu ma tylko słówka — nic więcej; jest cymbałem brzęmiącym, nic nie czyniącym. I tak np. w pięknych słówkach ułożyli centrowcy w Nysie rezolucję, że naukę religii trzeba udzielać w języku ojczystym, — a gdyśmy księża chcieli poruszyć tę sprawę na wiecu w Katowicach, to nas wszelkimi sposobami zwalczali a podpisanego ks. Kapicę nawet wyrzucili z partii centrowej. W Kędzierzynie nawet jeden ksiądz rzekł, że wielu podpisuje piękne petycje — a w domu i kościele kwitnie germanizacya. Zaiste centrum — to miedź brząkająca — nie masz w niem prawdziwej miłości do ludu polskiego.

Dokąd więc ma się lud polski udać, gdzie szukać obrony swej narodowości i swego pacierza polskiego? Oto tam, gdzie jest miłość, a miłość prawdziwa dla ludu polskiego jest tylko w Kościele polskim, gdyż w niem zasiadają nie Niemcy, lecz Polacy, a więc bracia nasi. Tylko brat i rodak może najlepiej odczuć nasze bóle i krzywdy, naszą niedolę i nędzę. Serce posła Polaka jest połączone złotemi strunami miłości z sercem ludu. Jeżeli lud polski z bólu zajęknie, tedy jego jęki znajdują oddźwięk w sercu posła Polaka i pobudzą go do prawdziwej obrony ludu. Dlatego ja chcę, jeżeli mnie wybieriecie, wstąpić do Koła polskiego, a was zachęcam, abyście tylko kandydatom Koła polskiego oddali głosy wasze przy nadchodzących wyborach. Swoją do swojego — lud polski na Górnym Śląsku należy do Koła polskiego.

Lecz opuśćmy już centrum, wszak lud polski na własnej skórze odczuł dobrodziejstwa tej partii, która go wyklinała z Kościoła a w domu nieznośnemi podatkami obarczała. Gdy lud zrzuci jarzmo centrowe, dopiero wtenczas uczuje się prawdziwie wolnym i szczęśliwym. Precz z centrum!

Teraz zwróćmy się do partii rządowców, która w Pszczyńsko-Rybnickiem także postawiła kandydata i zaleca go ludowi. Dotąd mówiłem do was poważnie, lecz teraz pozwolicie, abym się też w żartobliwy sposób odezwał do was. Bo czyżto nie trzeba się śmiać, śmiać do rozpuku, jeżeli się widzi, że taki rządowiec i „schulinspektor” Rzesnitzek przedstawia się jako gorący przyjaciel ludu polskiego? Rzeźnik czyli rzeźniczka znaczy tyle co masarz. Wyobraźcie sobie, że cieleta udają się do masarza i proszą go, aby ich bronił. I cóż myślicie — czy ich przytuli do serca swego? Naturalnie, on ich przygarnie lewą ręką do siebie — a prawą ręką uzbrojoną w ostry nóż pogłaska ich tak — pod gardłem. Tak samo robi p. schulinspektor Rzesnitzek z ludem polskim, jeżeli on odda głosy swoje na niego. Pan Rzesnitzek należy do partii wolno-konserwatywnej. Ten odłam konserwatystów umizguje się do liberałów i pielęgnuje ducha bismarkowego, wrogiego Kościołowi katolickiemu. Partya konserwatystów jest ową partią, która się kieruje tak zwanym „beschränkter Unterthanenverstand”, która bez namysłu godzi się na wszystko, czego rząd pruski żąda, a szczególnie zgadza się na wszystkie prawa wyjątkowe, które rząd chce przeprowadzić przeciw Polakom. Jeżeli komisya kolonizacyjna wykupuje dobra polskie i osiedla na nich lutrów, jeżeli prawo osadnicze nie dozwala Polakowi wybudować dla siebie domu na własnym zagonie, jakieście się to przekonali z krwawego zajścia z Chrószczem pod Pszowem, jeżeli nasz język ojczysty jest wykluczony z każdego urzędu i z każdej szkoły, jeżeli nawet w nauce religii świętej posługują się obcym językiem wbrew przepisom Kościoła katolickiego, jeżeli coraz to nowe i cięższe podatki zwalają na biedny lud roboczy — to jest to wyłączną zasługą tej partii rządowej, do której p. schulinspektor Rzesnitzek należy. Ta partya zgodzi się nawet na to, gdyby rząd zażądał, aby nowonarodzone dziatki topić w stawie jak szczeniątka, aby ucinać narodowi polskiemu język przez zakaz polskiej mowy na zebraniach i w gazetach. Strzeżcie się, oddać głos wasz na pana Rzesnitzka, bo ten pan gdyby został wybrany, gotów w sejmie, do którego już należy, powiedzieć, że otwarcie granicy dla bydła nie jest potrzebne, gdyż w Pszczyńsko-Rybnickiem są tysiące cieląt, które oddały głos na rzeźnika, a więc drożyzna mięsa musi wkrótce ustąpić.

Lecz skończmy z żartami. Przystępuję do omówienia mego stanowiska do trzeciej partii, która postawiła kandydata w moim okręgu wyborczym, do socjalnej-demokracji. Tu muszę, a czynię to chętnie, mówić o mojem pochodzeniu. Oto jestem synem robotnika, górnika i nigdy nie wstydzilem się tego, owszem byłem dumny z tego, że biedny robotnik swoim krwawym potem umożliwił mi wyższe wykształcenie. Dlatego też zawsze trzymałem z biednym uciśnionym ludem. Gdyby tak duch mego ojca zmarłego stanął przedemną i zapytałby się mnie: „Synu, masz większe wykształcenie odemnie, powiedz mi, czy robotnik może się spodziewać zbawienia od socjalnej demokracji?” — tedy odrzekłbym: „Ojcze, nigdy, przenigdy!” Ojcze, wychowałeś mnie na *Polaka*, Polak zaś nigdy nie może się bratać z socjalistycznymi demokratami, bo oni są międzynarodowi i zwalczają narodowość. Ojcze, wychowałeś mnie na *katolika*. Pamiętaj, jak w walce kulturalnej mimo niebezpieczeństwa utraty zarobku od-

daleś głos mężnie na ks. Edlera, ponieważ chodziło o naszą wiarę katolicką. Katolik-Polak nie może głosować na socjalnego demokratę, bo socjaliści zwalczają Boga i wiarę. Ojczy, pamiętasz, jakżeś przyniósłszy „geldtag”, zapłatę, razem z nami dziećmi przed obrazem Matki Boskiej dziękował Bogu za zdrowie i siły, które ci umożliwiły zarobek na ten szczupły „geldtag”. — Oto ojczy, Matka Boska jest naszą królową, myśmy jej wierni poddani. Socjaliści drwią sobie z Matki Boskiej, my z nimi trzymać nie możemy. — Socjaliści zwalczają nasze najświętsze dobra — wiarę i narodowość — a jeszcze żadne prawo, dążące do polepszenia doli robotników, nie zostało przyjęte za pomocą socjalnych demokratów. Lud katolicki, lud polski z wszystkich sił musi zwalczać socjalizm jako szkodnika społeczeństwa. Ja zaś jako syn robotnika bronić będę zawsze interesów biednego ludu.

Ale i dola rolników jest mi znana. Od 14 lat pracuję już jako ksiądz w czysto rolniczych stronach. Przy kołędzie byłem w najuboższych chatkach i widziałem na własne oczy nędzę rolników, wiem z mojej parafii, że grunta rolników są nieomal do połowy wartości zadłużone, tak, że połowa zysku z roli idzie na zapłacenie uroków, podatków i przeróżnych danin. Wiem, że rolnik z żoną i dziećmi musi w pocie czoła uprawiać rolę swoją, gdyż nie starczy mu na utrzymanie siebie do pomocy parobka lub służącej. Wiem to wszystko, dlatego zawsze bronić będę małych biednych posiadzieli gruntów i sprzeciwiać się będę wszelkim prawom i podatkom, któreby nędzę i niedolę rolników jeszcze powiększyć mogły.

Ale i sprawa rzemieślników i drobnych przemysłowców dozna odemnie obrony. Gdy kandydatura moja została ogłoszona, Towarzystwo Górnośląskich Przemysłowców w Bytomiu pospieszyło się, aby mi jednogłośnie wyrazić piśmiennie swoją szczerą i serdeczną wdzięczność i dziecięce przywiązanie za ten czyn obywatelski. „Radość i wdzięczność nasza, tak brzmi jeden ustęp dosłownie, jest wielką, skoro teraz wiemy napewno, iż nie jesteśmy opuszczeni w walce o nasze najdroższe skarby i prawa ludu polskiego, iż liczyć możemy na życzliwe poparcie naszych przewielebnych księży.”

Z tego listu i z głosów, z Pszczyńsko-Rybnickiego umieszczonych tak licznie w naszych polskich gazetach, przekonałem się, że mogę liczyć na poparcie mej kandydatury z strony ludu. Wiercie mi, że przyjęcie kandydatury kosztowało mnie dużo twardej wewnętrznej walki i poświęcenia. Jak w skałę w morzu zewsząd uderzają rozpienione bałwany, tak lud polski ze wszystkich stron otaczają nieprzyjaciele, a ich zatrute pociski godzą przedewszystkiem w serca tych, co podnieśli wysoko sztandar narodowy i mężnie piersią swoją zastaniają lud. W tej walce zawziętej tylko wtenczas możemy liczyć na zwycięstwo, jeżeli między przywódcami a ludem panuje wzajemne zaufanie, miłość, zgoda i karność.

Ludu śląski! Oto ślubuję Tobie, że jak dotąd tak i nadal będę wiernie, mężnie, nicustraszenie i gorliwie bronił naszych idei religijnych, narodowych, politycznych, kulturalnych i społecznych — Ty zaś, polski ludu, pokaż dnia 25-go stycznia, że zrozumiałwszy, iż tu chodzi o Twój byt, umiesz zasłonić piersiami każdego wiernego Twojego obrońcę.

RODOWÓD ŚREDNIOWIECZNYCH GRYFITÓW ŚLĄSKICH

Rzecz niniejsza jest streszczeniem wyników badań źródłowych, zamieszczonych w jednym z rozdziałów niedrukowanej pracy tej samej autorki p. t. „*Genealogia Gryfitów polskich XII i XIII stulecia*”.

Wśród osobistości, wymienianych w dokumentach polskich z środka XII wieku jako dobrodziejów klasztorów męskich, istniejących w owej epoce dziejowej w Wielkopolsce, na Śląsku i w Małopolsce, odznacza się chlubnie niejaki „*Andrzej*”, z którego daru posiadli w r. 1149 Benedyktyni, mieszkający naonczas przy kościele św. Wincentego w Wrocławiu, wieś Wawrzyńczyce, następnie — około r. 1155 — Benedyktyni w Mogilnie wieś Gocunowo, a w r. 1162 Kanonicy regularni, zwani „*Stróżami Grobu Chrystusowego*” w Miechowie, wieś Bawół. Benefaktor ów był bratankiem Janisława Wincentowicza, członka linii rodu Gryfitów zwanej „*Świebodzicami*”, biskupa wrocławskiego (1147—1149), fundatora klasztoru Cystersów w Brzeźnicy w Małopolsce, a jednym z czterech synów *Klemensa (vel Klimunta) Wincentowicza*, młodszego brata tegoż biskupa wrocławskiego Janisława. Jest rzeczą dosyć możliwą, że Andrzej ów osiadł na stałe na Śląsku w r. 1163, t. j. w porze, gdy ówczesny książę krakowski, Bolesław Kędzierzawy, obawiając się, aby synowie Władysława Wygnańca nie dochodzili orężnie praw swoich do dzielnicy seniorackiej, pozostawił w kilku grodach śląskich swoich urzędników i swoje załogi.

Z synów rzezonego *Andrzeja Klimuntowicza* znani są ze źródeł śląskich dwaj, mianowicie *Andrzej Andrzejowicz*, kasztelan głogowski z lat 1201, 1202 i 1203, tudzież *Stefan Andrzejowicz*, kasztelan lignicki z lat 1201—1208¹⁾.

¹⁾ Razem występują oni m. i. w przywileju Bolesława Wysokiego, księcia śląskiego, wystawionym: „*III idus Novembris 1201*”, zwracającym klasztorowi

I.

Starszym z tych dwóch wnuków Klemensa Wincentowicza wydaje się być *Andrzej*, imiennik ojca. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ożeniony był tenże kasztelan głogowski z jedną z dwóch córek małopolskiego wielmoży, Jaksy z Miechowa, fundatora klasztoru Bożogrobców w tej miejscowości²); wskazują bowiem na to — jak przekonamy się poniżej — po pierwsze, powtarzające się kilkakrotnie w tej odnodze rodu gryfickiego imię „Jaksa”, a po wtóre stosunki, jakie potomkowie tegoż kasztelana głogowskiego Andrzeja (tudzież potomkowie brata jego Stefana), aż po rok 1278, t. j. przez przeciąg lat bez mała stu, z Bożogrobcami miechowskimi utrzymywali.

Synów miał nasz Andrzej Andrzejowicz czterech. Z tych najstarszy *Klemens*, imiennik pradziadka, piastował w r. 1241 godność wojewody głogowskiego, w którym to roku poległ pod Lignicą, zasłaniając osobą swoją, osaczonego przez czerni tatarską Henryka Pobożnego, księcia krakowskiego i śląskiego.

Drugi z kolei, przytoczony jest jako: „*Comes Stephanus Magnus, castellanus de Boleslauec*” w przywileju Henryka Brodatego, wystawionym w dniu 10 maja 1209 r. dla klasztoru Augustianów na Piasku pod Wrocławiem³). Tenże kasztelan

Cystersów w Lubiążu tysiąc łanów ziemi, leżących na pograniczu Moraw: „...attestantibus probis et fide dignis viris, videlicet dominus Cypriano episcopo Wratislaviensa et canonicis eius... *Item Andrea castellano glogoniense, Naukero castellano de Boleslauec, Stephano castellano de Legniz, Ingrammo castellano de wratislauec...* etc.” (Boczek, Cod. dipl. Moraviae II, Nr VIII).

²) Jedyny, małoletni jeszcze, nieznany z imienia syn Jaksy, wzięty przez ces. Fryderyka Rudobrodego jako zakładnik Bolesława Kędzierzawego po porażce krzyszkowskiej i więziony wraz z innymi zakładnikami do (leżącego w Bawarii) Würzburga, zmarł w Pradze czeskiej w październiku 1257 r. Na nim wygasło męskie potomstwo Jaksy z Miechowa. Istniały jednak dwie córki tegoż Jaksy, z których jedna była Norbertanką na Zwierzyncu pod Krakowem i zmarła w r. 1191; na ślad drugiej naprowadzają fakta, o jakich w tekście jest mowa.

³) On to widnieje jako „*Stephanus Andreyowicz*” w przywileju Władysława Odonica, naówczas księcia kaliskiego, wystawionym w dniu Bożego Narodzenia 1209 r. przy okazji chrzcin Władysława, syna Henryka Brodatego w Głogowie na Śląsku, a nadającym wieś Lubogowcze i część jeziora Tuchno klasztorowi Cystersów w Lubiążu, tudzież jako: „*Stephanus Ondreyovich*” w przywileju tegoż samego Odonicza, wystawionym również w Głogowie w dniu 25 grudnia 1209 r., a nadającym wsie Pyszczyn i Poraciszewo kościołowi św. Bartłomie-

bolesławiecki Stefan świadcuje na przywileju Henryka Brodatego z 1222 r., mocą którego synowie niejakiemu Dethlewa, tudzież synowie niejakiemu Vincemera, nadają klasztorowi św. Bartłomieja w Naumburgu nad Bobrem patronat nad kościołem N. M. Panny w Bytomiu. W dniu 5 sierpnia tegoż 1222 roku występuje on, wspólnie z trzema innymi znakomitymi Gryfitami polskimi (Markiem I, wojewodą krakowskim, Teodorem alias Czadrem, kasztelanem kruszwickim i Klemensem, kasztelanem płockim) na zjeździe w Łowiczu na Mazowszu, zwołanym w sprawie ziemi chełmińskiej. W roku następnym (1223) widzimy go w Wierdelewie na Śląsku, gdzie na dokumencie, wystawionym przez biskupa krakowskiego Iwona dla komesa Wisława Odrowąża, podpisują się, tuż obok siebie jako świadkowie: „Henricus dux de Slezia” i nasz: „*Stephanus castellanus de Boleslauec, filius Andree*”. W przywileju tegoż księcia Henryka z 1226 r., nadającym kolonistom augustiańskiego klasztoru na Piasku pod Wrocławiem prawo niemieckie, przytoczony on jest powtórnie jako „*Comes Stephanus Magnus, castellanus de Boleslauec*”. Z tą samą godnością wymienia go przywilej Henryka z dnia 14 września 1230 r., wystawiony w Krośnie (na Śląsku) dla klasztoru Cystersów w Lubiążu, tudzież przywilej Władysława Odonica, księcia wielkopolskiego, z dnia 24 lutego 1231 r. dla kościoła katedralnego wrocławskiego, gdzie nazwany on jest: „*Stephanus cancellarius ducis (Henrici)*”. Znany jest poza tym z Kodeksu dypl. małopolskiego przywilej Henryka Brodatego, wystawiony na zjeździe pod Skaryszowem dnia 31 października 1232 r., stwierdzający, że komes Pakosław Lasocic (członek blisko w tym czasie z Gryfitami „po kądzieli” spokrewnionego rodu Awdańców) nadał wieś Udorz klasztorowi miechowskiemu, gdzie Ślązak nasz występuje znowu jako: „*Stephanus filius Andree, castellanus de Boleslauec*”. Znany jest wreszcie z tego samego źródła inny dokument Henryka Brodatego, wystawiony w Gieczu (w Wielkopolsce) w 1237 r., stwierdzający, że palatyn krakowski Teodor (były kasztelan kruszwicki) nabył podtatrzańską wieś Rogo-

ja w Trzebnicy. (Kod. dypl. Wielkop. I, r. 64 i 65). W tych samych dwóch dyplomatach, będących według Schultego falsyfikatami, pojawia się także pomiędzy świadkami imię stryja tego Stefana Andrzejowicza, a mianowicie Stefana (z Wierzbna pod Świdnicą), kasztelana lignickiego (z lat 1201—1208), o którym niżej.

źnik od bratanka swojego, Jana, gdzie nasz kasztelan bolesławiecki rozpoczyna szereg świadków jako: „*Comes Stephanus, filius Andree*”⁴).

Syn jego przytoczony jest jako: „*Johannes filius Stephani Magni*” pomiędzy świadkami w dyplomacie z r. 1250, w którym Henryk III, książę śląski, zatwierdza pewne nadanie, uczynione przez brata swojego, księcia Bolesława, dla szpitala Św. Ducha w Wrocławiu. Był ten Jan zapewne ojcem osobistości, występującej jako: „*Comes Stephanus in Ziernik*” w dokumencie, wystawionym przez się w Gliwicach dnia 11 listopada 1279 r., a wymienionej jako: „*Comes Stephanus subvenator noster*” w przywileju Władysława, księcia opolskiego, wystawionym w Raciborzu dnia 3 sierpnia 1274 r. — „*Miles noster Stephanus*” nazywa go ten sam książę Władysław w przywileju, wystawionym w Gołkowicach dnia 5 lipca 1278 r., upoważniającym go do ulokowania wsi Ziernicy na prawie niemieckim.

Braćmi wojewody głogowskiego Klemensa Andrzejowicza i kasztelana bolesławieckiego Stefana, byli dwaj świadkowie: *Andrzej kasztelan mikułowski* i *Jaksa kasztelan siewierski*, przytoczeni wspólnie w przywileju Henryka Brodatego, wystawionym w Opolu dnia 6 października 1232 r. dla klasztoru miechowskiego. Pierwszy z nich wymieniony został już w roku 1228 jako: „*Andreas castellanus de Michulo*” w przywileju Kazimierza I, księcia opolskiego, nadającym wieś Niemodlin ówczesnemu palatynowi opolskiemu Klemensowi⁵). Zdaje się, że on to świadczy potem jako: „*Andreas, castellanus de Opol*”, na dyplomacie księcia Mieszka Kazimie-

⁴) Przy ostatnio wzmiankowanym dokumencie z 1237 r. dochowała się pieczęć, wyobrażająca „starożytną kameę z głową imperatora w koronie promienistej” z napisem w otoku: „*Sigillum Stephani*”; pieczęć ta reprodukowana jest przez Fr. Pickosińskiego w dziele „*Rycerstwo polskie wieków średnich*”, t. III, str. 79.

⁵) Ow Klemens, opolski palatyn Kazimierza I, późniejszy kasztelan krakowski († 1241 pod Chmielnikiem) był potomkiem Klemensa, drugiego z czterech synów Klimunta Wincentowicza, a najstarszym synem Klemensa, kasztelana plockiego, świadka na dyplomacie Iwona biskupa krakowskiego, wystawionym w 1223 r. w Wiederlewie na Śląsku dla Wisława Odrowąża. Młodszymi braćmi jego byli: Andrzej biskup plocki, Wierzbietta prepozyt Panien Benedyktynek w Staniątkach i Janko, kasztelan cieszyński.

rzowicza z 1239 r., stwierdzającym nadanie, uczynione dla Joanitów makowskich przez niejakiego Gosława.

Co się zaś tyczy Jaksy, kasztelana siewierskiego z roku 1232, figuruje on również jako: „*Jaxa castellanus de Seur*” w dyplomie z 1234 r., mocą którego Henryk Brodaty, opiekun synów Kazimierza I, księcia opolskiego, i wdowa po tymże Kazimierzu Viola, zatwierdzają wszystkie posiadłości i prawa klasztoru Panien Norbertanek, przeniesionego z Rybnika do Czarnowąza, gdzie równocześnie z nim świadkuje brat jego, Andrzej kasztelan mikułowski. W roku 1242 jest nasz *Jaksa Andrzejowicz kasztelanem głogowskim*.

Synem jego był imiennik jego: „*Comes Jaxa castellanus de Nimchi*” z roku 1250, a wrocławski z lat 1252 i 1253. Z dotychczas rozpoznanych jego regestów, chronologicznie najwcześniejszym jest wymienienie go jako: „*Comes Jaxo*” pomiędzy świadkami w dyplomie Kazimierza I, księcia opolskiego, wystawionym w Opolu w 1228 r., tyczącym się wspomnianego przed chwilą przeniesienia rybnickiego klasztoru Panien Norbertanek do miejscowości zwanej „Boży dom”, t. j. do Czarnowąza pod Opolem. Jako: „*Comes Jaxo*” świadkuje on razem z dwoma szwaagrami swoimi: Klemensem kasztelanem krakowskim i Ottonem, późniejszym podkomorzym książęcym, na dokumencie, wystawionym w Odmuchowie w 1235 r., w którym wspólny ich teść: „*Sbroslaus comes in Smesch*”, nadaje za zgodą żony swojej i córek miasteczko Stynawę kościołowi katedralnemu wrocławskiemu. Jako: „*Comes Jaxa*” przytoczony on jest nadto w pewnym przywileju Henryka III, wystawionym dnia 26 czerwca 1249 r. dla kościoła św. Idziego w Wrocławiu. O wsi jego, przytykającej do lasu biskupa wrocławskiego Tomasza, jest mowa w przywileju tegoż biskupa, wystawionym w Wrocławiu dnia 25 października 1249 r., tyczącym się kolonizacji rzeczzonego lasu. Jako: „*Comes Jaxa*” świadkuje on również na przywileju księcia Henryka, wystawionym w Frankenbergu z początkiem 1250 r., upoważniającym sołtysa Henryka de Reichenbach do osadzenia miasteczka Wysoki Brzeg na prawie niemieckim. W tymże roku 1250 występuje nasz *Jaksa* jako kasztelan niemiecki w dyplomie Henryka III, wystawionym dnia 22 kwietnia w Nissie, stwierdzającym, że dziedzice Skalic odstąpili wszystkie prawa swoje do tej posiadłości klasztorowi cysterskiemu w Henrykowie. Wkrót-

ce jednak po tym terminie zostaje on kasztelanem wrocławskim, dowodem czego jest m. in. przywilej Henryka III, wystawiony w Ziębicach (Münsterberg) dnia 31 lipca 1253 r., zatwierdzający zamianę części wsi Brukalice, będącej dotychczas własnością synów niejakiego Raclawa, na wieś klasztoru henrykowskiego, zwaną Ochla, w którym świadkuje on jako: „*Comes Jaxa castellanus Wratislaviensis*”.

Wrocławski kasztelan ten był ojcem owego: „kanonika krakowskiego i wrocławskiego, *Zbrostawa*”, który: „za jednomyślną wolą i zgodą braci swoich, komesów *Wincentego, Pełki i Janusza*”, nadał w dniu 11 maja 1278 r. Bożogrobcom miechowskim dziedziczną posiadłość Szczepanowice, leżącą w kasztelanii krakowskiej, powyżej Goszczyc⁶⁾. Drugi ze wzmiankowanych tu komesów przytoczony jest jako: „*Vincencius Jaxic*” w przywileju Władysława, księcia opolskiego, wystawionym w Gołkowicach d. 5 lipca 1278 r., upoważniającym „rycerza Stefana” (o którym powyżej była mowa) do osadzenia wsi Ziernicy na prawie niemieckim. Tego „*Wincentego Jaksicza*” odróżnić jednak trzeba od starszej o jedno pokolenie osobistości, świadkującej jako: „*Vincencius filius Jaxe*” na przywileju Władysława, księcia opolskiego w roku 1247 dla wrocławskiego klasztoru św. Wincentego. Starszy ów: *Wincenty, syn Jaksy*, był prawdopodobnie stryjem młodszego swego imiennika, a synem Jaksy, kasztelana zrazu siewierskiego (1232, 1234), a następnie głogowskiego (1242).

II.

Drugi wnuk Andrzeja Klimuntowicza, a prawnuk Klimunta Wincentowicza, współfundatora klasztoru Cystersów w Brzeźnicy: *Stefan kasztelan lignicki z 1201—1208* przytoczony jest w dniu 10 maja 1209 r. jako: „*Comes Stephanus de Verbno*” w przywileju Henryka Brodatego, wydanym dla klasztoru Augustianów na Piasku pod Wrocławiem, a jako: „*Comes Stephanus*” w przywileju tegoż księcia, wydanym dla klasztoru św. Wincentego. Z jego i innych panów śląskich porady, upoważnienia Henryk w 1217 r. wójtów Tomasza i Hartliba do ulokowania miasteczka Lwowa na prawie niemieckim. Jako: „*Comes Step-*

⁶⁾ Rysunek pieczęci tego kanonika, wyobrażającej: „strzałę w słup, żelźcem na dół, pierzem do góry zwróconą”, podaje Piekosiński, Rycerstwo III, s. 208.

nus de Wirbno” występuje on w przywileju tegoż księcia, wydanym w 1229 r. w Niemcu dla klasztoru trzebnickiego. O nim to czytamy w przywileju Henryka II (Pobożnego), wystawionym w Wrocławiu dnia 26 marca 1239 r. dla klasztoru henrykowskiego: „*Interfuerunt et alii nostri barones, inter quos principales erant: Comes Stephanus de Wirbno*” (i paru innych). W niespełna dwa lata później poległ starzec ten — razem z synem swoim Andrzejem — jako jeden z bohaterów wiekopomnej bitwy pod Lignicą. Wspólnie z innymi zabitymi wówczas przez Tatarów Gryfitami pochowani zostali obydwaj w franciszkańskim kościele św. Jakuba w Wrocławiu, obok księcia Henryka Pobożnego.

Rzeczony komes, wspomniany przez Długosza pod rokiem 1241 również jako: „*Stefan z Wierzbna*”, miał kilku synów, z których trzej: *Stefan, Andrzej i Franciszek* są (jak skądinąd wiadomo) fundatorami najdawniejszego na ziemiach polskich klasztoru franciszkańskiego przy kościele Najśw. Maryi Panny w Świdnicy.

a) Pierwszy z wzmiankowanych co dopiero Stefanowiczów, występuje zrazu jako: „*Stephanus castellanus de Bythom*” w owym dokumencie z r. 1222, w którym synowie Dethleva i synowie Vincemera nadają kościołowi św. Bartłomieja w Naumburgu nad Bobrem patronat nad kościołem Najśw. Maryi Panny, jest również pomiędzy świadkami w przywileju Henryka Brodatego, wystawionym w Wierdelewie dnia 2 lipca 1223 r. dla klasztoru Panien Cystersek w Trzebnicy. Jako: „*Stephanus de Wirbno, castellanus de Nempis*” (t. j. jako kasztelan niemiecki⁷⁾) figuruje on następnie w przywileju henrykowym, wystawionym dnia 30 sierpnia 1228 r. dla miasteczka Paleśnicy, dalej w przywileju z 1229 r., wystawionym w Niemcu dla klasztoru henrykowskiego (gdzie tytułowany jest po raz pierwszy „*k o m e s e m*”), tudzież w kilku innych przywilejach owego „księcia śląskiego, krakowskiego i polskiego” z lat 1234 do 1239, do których dołączyć należy dokument (podobno fałszywy), wystawiony jakoby w Lesznie pod Wrocławiem dnia 22

⁷⁾ Jest to ten sam „Stefan z Wierzbna kasztelan niemiecki”, o którego pieczęci, przedstawiającej „strzałę półtora raza przekrzyżowaną”, wiszącej u pewnego (nie oznaczonego nigdy bliżej) „dokumentu śląskiego z r. 1226” pisze Piekosiński w kilku swoich pracach, poświęconych sfragistyce średniowiecznej.

maja 1224 r., mocą którego Henryk Brodaty zatwierdza, na prośbę rycerza swojego Stefana de Richenboc, nadanie leżącej w dzielnicy wrocławskiej wsi Gorzelice, uczynionej przez tegoż dla B o z o g r o b c ó w m i e c h o w s k i c h, w którym to dokumencie m. in. nasz Stefan kasztelan niemczyński jako świadek jest wymieniony. W r. 1238 świadczy on na przywileju Violi, księżnej kaliskiej, wystawionym w Bobrowniku dla kasztelana krakowskiego Klemensa. On to również powołany został, razem z żyjącym jeszcze naówczas ojcem swoim, Stefanem Andrzejowiczem z Wierzbna („*Stephanus de Verbene et Stephanus filius eiusdem*”) na świadka w dyplomie Henryka Brodatego, wystawionym „in burgo Nieumarche” (t. j. w Środzie) dnia 21 listopada 1234 r., roborującym nadanie wsi Gościchów pod fundację opactwa cysterskiego „Paradyż”, dokonane przez palatyna poznańskiego Bronisza i brata tegoż, Sędziwoja.

Syn będącego w mowie kasztelana niemczyńskiego Stefana Stefanowicza, widnieje jako: „*Magister Johannes, filius eiusdem Stephani*” obok ojca swojego w przywileju Henryka II (Pobożnego), wydanym w 1239 r. dla klasztoru henrykowskiego. Jest on członkiem Zakonu Kaznodziejskiego, oraz jego Generałem i zatwierdza jako: „*Magister Johannes*” w dniu 2 lutego 1244 r., podczas kapituły obradującej w Bononii, niejakiego „brata Marcina z Sandomierza” na urzędzie przeora Dominikanów sandomierskich. W roku 1248 potwierdza bawiący wówczas w Pradze czeskiej Gryfita nasz, jako: „*Johannes Magister generalis*”, wybór studiującego w Perudży „brata Mikuła” (syna Miłostawa Szawłowicza Odrowąża, a stryjecznego brata Czesława i Jacka Odrowążów) na urząd prowincjała, z którego składa go jednak w rok później, podczas kapituły zgromadzonej w Gracu, a wysyła go na dalsze studia do Kolonii. W dniu 28 stycznia 1249 r. występuje on jako: „*Magister Johannes*” pomiędzy duchownymi, podpisującymi się na dokumencie, wystawionym w Lignicy, w którym Bolesław Łysy, książę wrocławski, dla uzyskania zdjęcia klątwy ze siebie i ze swojego księstwa, przyrzeka naprawić wszystkie szkody i zniszczenia, wyrządzone przez się kościołom i klasztorom diecezji wrocławskiej. W 1250 r. uczestniczy ten sam: „*Magister Johannes*” w kapitule Dominikanów polskich, odbywającej się w Wrocławiu i zatwierdza wybór dotychczasowego lektora, Brata Szymona, na urząd prowincjała.

Jeden z braci jego, świadkujący jako: „*Andreas filius Stephani*” na przywileju Mieszka księcia opolskiego, wydanym w r. 1239 dla klasztoru lubiąskiego, identyczny jest prawdopodobnie z osobistością, o której zapisano w nekrologu wrocławskiego klasztoru św. Wincentego: „*Andreas comes de Zuerbna qui dedit XXX marcas*”, pod dniem 7 maja bez podania roku śmierci⁸⁾.

Drugi brat Magistra Jana, figurujący jako: „*Comes Stephanus de Wirbno*” pomiędzy świadkami w przywileju Henryka III z 1248 r., zatwierdzającym pewien układ celny pomiędzy bratem swoim, księciem Bolesławem, a wójtem wrocławskim Henrykiem, był może ojcem późniejszych od niego o lat kilkadziesiąt: „*Stefana z Wierzbna*” (1283) i „*komesa Henryka z Wierzbna*” (1289).

Synem ostatnio wzmiankowanego komesa był niezawodnie imiennik jego, Henryk z Wierzbna, *osiemnasty biskup wrocławski* (1302—1319)⁹⁾.

b) Średni spośród trzech fundatorów franciszkańskiego klasztoru w Świdnicy z r. 1220, świadkuje jako: „*Andreas castellanus de Bythom*” na przywileju Kazimierza I księcia opolskiego, wystawionym w Koźlu w 1222 r., upoważniającym biskupa wrocławskiego Wawrzyńca do osadzenia wsi Ujazd na

⁸⁾ Komes ten był zapewne ojcem owego „*Andrzeja z Wierzbna, marszałka księcia Henryka IV*”, o którego pieczęci z napisem „*Sigillum Andrei de Wirbin*” przywieszanej do jakiegoś (nieoznaczonego) „dyplomatu z r. 1282” wspomina A. Małecki, *Studia heraldyczne*, II, str. 11.

⁹⁾ Na pieczęci tego biskupa wrocławskiego (reprodukowanej m. in. w *Sprawozd. Kom. do badania historii sztuki w Polsce*, t. VII, 1906, str. XCIV), widnieje, po lewej stronie wyobrażonej tam postaci, jedno z najstarszych godła gryfickich, a mianowicie strzała dwukrotnie przekrzyżowana, grotem ku górze wzniesiona. Godło to utrzymywało się na Śląsku jeszcze w ciągu dalszych kilku stuleci, w pewnej odnodze rodu „komesów z Wierzbna” zamieszkałej w księstwie opolskim. (Czyt. artykuł Ludwika Fournier p. t. *Les armoiries de Wierzbna*, tamże, kol. XCII—XCV), względnie zob. J. Liebmachera *Wappenbuch* VI, 8 (Nürnberg 1887) str. 120, oraz Tablice 87 i 88, tamże. — W Małopolsce posługiwała się godłem tym, zwanym pierwotnie „Mzura” lub „Bzura”, jedna z czterech głównych linii gryfickich, która pod koniec XIII w. tutaj nazwę „Lisów” otrzymała. — Imiona: Wincenty, Andrzej, Klemens i Stefan, tak często powtarzające się u osobistości śląskich, których rodowodem w artykule niniejszym się zajmujemy, są imionami notorycznie gryfickimi. Pojawiające się w średniowiecznych dokumentach śląskich nazwy miejscowości takie jak: Greifenstein, Greifenburg etc., również na Gryfów jako założycieli swoich wskazują. (Zob. I. G. Knic, *Alfab.-statist. Uebersicht der Provinz Schlesien, Breslau 1845*, str. 180).

prawie niemieckim. Jako: „*Andreas filius Stephani, castellanus de Bitom*”, wymieniony on jest na pierwszym miejscu wśród świadków w przywileju tegoż księcia, wystawionym dnia 1 sierpnia 1228 r. dla kasztelana krakowskiego Klemensa. Jest to ów Długoszowy „*Jędrzej z Wierzbna*”, który (jak słyszeliśmy poprzednio) poległ w 1241 r. razem z sędziwym ojcem swoim Stefanem pod Lignicą.

c) Wzmiankowany również już powyżej: *komes Jan Stefanowicz z Wierzbna*, świadkujący razem z ojcem swoim, tudzież z (trzecim) bratem swoim Mikołajem na przywileju Henryka Brodatego, wystawionym dnia 10 maja 1209 r. dla klasztoru Augustianów na Piasku pod Wrocławiem, przytoczony jest jako: „*Joannes castellanus de Bythom*” wśród świadków w przywileju tegoż Henryka (tytułującego się tu: „*Dei gracia dux Cracouie, simul et Slezie*”), wystawionym w Opolu dnia 2 października 1232 r., ratyfikującym swobody i immunitety, nadane „*a ducibus Polonie Boleslao et Mescone*” mi e c h o w s k i e m u k l a s z t o r o w i B o ż o g r o b c ó w¹⁰⁾. Tenże: „*Joannes castellanus de Bitom*” występuje również w 1234 r. jako świadek w dyplomacie tegoż księcia, wydanym dla klasztoru Panien Norbertanek, przeniesionego z Rybnika do Czarnowąza.

Syn i imiennik jego *Jan*, upoważnia jako: „*Comes Joannes de Wirbna*”, dokumentem przez się w 1243 r. wystawionym, sołtysa Arnolda do osadzenia wsi swojej „*Weizenrode*” pod Świdnicą na prawie niemieckim. W (nieautentycznym) przywileju Henryka III z dnia 21 września 1246 r., nadającym Wawrzyńcowi, dziekanowi wrocławskiemu, grunta we wsi Czyrne pod Wrocławiem, nazwany on jest „notariuszem książęcym”. Bez tego tytułu jednak, figuruje on między świadkami w dwóch dyplomatach tegoż Henryka III, a mianowicie w owym przywileju, wystawionym w Frankenbergu, tyczącym się osadzenia miasteczka „*Alta ripa*”, czyli Wysoki Brzeg, na prawie niemieckim, o jakim już była mowa, tudzież na przywileju wystawionym dnia 21 sierpnia 1250 r., stwierdzającym, że niejaki Dymitr syn Bartosza sprzedał wieś swoją Polanowice kanonikowi wrocławskiemu, Leonardowi. W tym samym 1250 r. świadkuje on również jako: „*Johannes comes de Wirbna*”

¹⁰⁾ Przywilej ten wystawiony został dla klasztoru miechowskiego: „*Presentibus... Joanne de Bythom, Andrea de Michulo, Iaxa de Seviore castellanis*”.

na przywileju, w którym książęta Bolesław i Henryk stwierdzają na prośbę niejkiej Magny i jej dwóch zięciów kupno wsi Magnice przez (nieznaną z imienia) wdowę po Stefanie, zwanym „Mezwadko”. Jan ten prawdopodobnie identyczny jest z owym: „*komesem Janem z Wierzbna z roku 1261*”, o którego pieczęci jest wzmianka w Studiach heraldycznych Małeckiego, a zapewne także z osobistością, zapisaną jako: „*Joannes miles de Uerbno*” w nekrologu wrocławskiego klasztoru św. Wincen-tego pod dniem 3 marca, między latami 1260 a 1270.

d) Ostatni spośród synów Stefana Andrzejowicza, kasztelana lignickiego z lat 1201—1208, a trzeci spośród fundatorów franciszkańskiego klasztoru w Świdnicy z r. 1220: „*Franciszek*”. identyczny jest zapewne z osobistością nazwaną „*Mikołajem*” w dyplomie Henryka Brodatego, wystawionym w maju 1209 r. dla augustiańskiego klasztoru na Piasku pod Wrocławiem, gdzie ów „Mikołaj” świadkuje wspólnie z „ojcem” swoim „Stefanem z Wierzbna” i „z bratem swym, Janem z Wierzbna”. Nieużywane jeszcze wówczas w Polsce imię *Franciszek* przybrał nasz Mikołaj widocznie dopiero po przywdzianiu habitu Minorytów świdnickich.

Synchronistyczne ugrupowanie potomków Andrzeja Klimuntowicza, protoplasty Gryfitów śląskich,
doprowadza do poniższej tabelki genealogicznej:

Andrzej Klimuntowicz
1149, 1155, 1162.

Andrzej Andrzejowicz kasztelan głogowski 1201, 1202, 1203.				Stefan Andrzejowicz z Wierzbna kasztelan lignicki 1201—1208; † (jako starzec) pod Lignicą 1241.			
Klemens wojewoda głogowski: † 1241 pod Lignicą.	Stefan Magnus kasztelan bolesławiecki 1222—1237.	Andrzej kasztelan mikułowski 1228—1234; opolski 1239.	Jaksa kasztelan siewierski 1232, 1234; głogowski 1242.	Stefan z Wierzbna kasztelan bytomski 1222; niemczyński 1228—1234.	Andrzej z Wierzbna kasztelan bytomski 1222, 1228. † 1241 pod Lignicą.	Jan z Wierzbna kasztelan bytomski 1232, 1234,	Mikołaj z Wierzbna 1209; (Franciszek Minoryta 1220).
	„Joannes filius Stephani Magni“ 1250.	„Vincencius filius Jaxe“ 1247.	Jaksa kasztelan niemczyński 1250; wrocławski 1252, 1253.	„Joannes Magister O.Praed.“ 1239, 1248, 1249, 1250.	„Andreas Stephani“ 1239; „Comes de Zuerbno“ † około 1250.	„Comes Stephanus de Wierz- bno“ 1248.	„Joannes miles de Uerbno“ † między 1260 a 1270.
	„Stephanus comes in Ziernik“ 1274, 1278, 1279.	Zbrosław kanonik krakow. i wrocław. 1274, 1278.	Komes Wincenty 1278; „Vincen- tius Jaxic“ 1287.	Komes Pelka 1278.	Komes Janusz 1278.	Komes Andrzej z Wierzbna marszałek ks. Henr. IV. 1274, 1282.	Stefan z Wierzbna 1282.
							Henryk z Wierzbna biskup wrocławski 1302 †, 1319.

STOSUNKI HANDLOWE ŚLĄSKO-POLSKIE ZA KAZIMIERZA WIELKIEGO

I. WSTĘP

Stosunki handlowe, opracowane w monografiach różnych miast, uzupełniając się wzajemnie, mogą dać ogólny obraz dziejów handlu w Polsce.

Zasadniczo jednak opracowania posługują się okresem rządów Kazimierza Wielkiego tylko jako nawiązaniem do tematu, obejmującego zwykle czas rozkwitu handlu, t. j. od końca XIV w., wieki XV, XVI. Możliwe, że obfitość źródeł dopiero od XV w. zachęcała do opracowań lat późniejszych.

Celem naszej pracy jest przedstawienie stosunków handlowych śląsko-polskich za Kazimierza Wielkiego i znaczenia dróg polskich z zachodu na wschód.

Materiał źródłowy, odnoszący się do naszego tematu, jest fragmentaryczny, rozrzucony w zbiorach przeważnie obcych, mniej polskich. Akty treści handlowej zajmują miejsca drugorzędne w wydawnictwach źródeł średniowiecznych. Najwymowniejszym dowodem stosunków handlowych są rachunki i korespondencja miast. Śląsk jest w szczęśliwszym położeniu od innych prowincji polskich — zdołał bowiem zachować więcej dokumentów do okresu rządów Kazimierza Wielkiego, a przede wszystkim rachunki i korespondencje Wrocławia. Polski materiał źródłowy dostarczył nam ustawy i przywileje m. Krakowa, otrzymane od Kazimierza Wielkiego. Ponadto źródła obce, odnoszące się do dziejów Hanzy, handlu czeskiego, przyczyniają się niejednokrotnie do wyświetlenia kwestii handlowych śląsko-polskich. W pracy naszej zwracaliśmy uwagę na źródła i opracowania, odnoszące się do dziejów przemysłu, ponieważ pozwalały nam nieraz udowodnić korzystanie w przemyśle śląskim z surowców polskich, rodzimych czy tranzytowych. Szereg

źródeł do dziejów miast poszczególnych oraz monografii uzupełniały materiał.

Aby zrozumieć politykę handlową Kazimierza Wielkiego w stosunku do kupców śląskich, zamykanie lub otwieranie dróg polskich na wschód, trzeba poznać stosunki polityczne na Śląsku za Kazimierza Wielkiego. Nie przedstawiamy jednak w pracy naszej walk na terenie Śląska ani warunków, które zmuszały Kazimierza Wielkiego do prowadzenia zmiennej polityki w stosunku do królów czeskich, występujących w roli protektorów książąt śląskich, ani warunków, w jakich poszczególni książęta piastowscy stawali się lennikami czeskimi. Kwestie te bowiem są przedstawione wyczerpująco, według najnowszych badań, przez prof. J. Dąbrowskiego¹). Szczegółowe nakreślenie dróg nastęrczało trudności ze względu na niepewne i nie zawsze jasne informacje źródłowe. Trzeba było posługiwać się uzupełniającymi się wiadomościami fragmentarycznymi, wcześniejszymi lub późniejszymi, na których można było oprzeć badania naszego okresu.

Rozdział o opłatach celnych jest tylko próbą przedstawienia, na podstawie szczupłych źródeł, sposobu pojmowania opłat w komorach celnych za Kazimierza Wielkiego. O cłach w takim znaczeniu, jak się mówi w następnym już wieku, w naszym okresie jeszcze w ogóle myśleć nie można. Nawet różnorodności taryf celnych, ustanawianych dowolnie przez panującego, nie możemy szczegółowo przedstawić ze względu na brak odpowiedniej ilości dokumentów do tego celu.

W kreśleniu organizacji handlowej i jej form, obowiązujących za Kazimierza Wielkiego, opieraliśmy się prawie wyłącznie na dowodach źródłowych śląskich i polskich z naszego okresu. Rozdziały, traktujące o wymianie towarów rodzimych i tranzytowych śląsko-polskich, wykażą wzajemną zależność tych krajów ze względu na różnorodność towarów charakterystycznych dla dwu różnych światów. Stosunki handlowe z Polską przynosiły Śląskowi korzyść nie tylko ze względu na towary tranzytowe wschodnie, ale i rodzime polskie, które w naszym okresie zaczynają systematycznie opanowywać rynek śląski.

¹) Dzieje polityczne Śląska w latach 1290—1402. (Historia Śląska od najdawniejszych czasów do r. 1400, tom I pod redakcją St. Kutrzeby, Kraków 1933.) Wyd. P. Akademii Umiejętności.

Może wywóz tych towarów był nierównomierny w różnych latach, ale na Śląsku napewno pożądanym. Dlatego też nie można zgodzić się z opinią niemiecką, głoszącą bezwzględną zależność handlu polskiego od śląskiego, opinią, uznającą rolę Polski w handlu tylko jako terenu ekspansji śląskiej na wschód²⁾. Również twierdzenie, jakoby kupcy polscy „zawsze winni częstym sporom” musieli ustępować, „weil sie Schlesien unentbehrlich brauchten”³⁾, nie może znaleźć potwierdzenia, jak wykazuje ruch handlowy ze Śląska na wschód. Jeżeli weźmiemy pod uwagę handel towarami wschodnimi, stanowiący podstawę bogactwa kupca krakowskiego, jak i wrocławskiego, a temu ostatniemu dostępny jedynie przez Polskę, to możemy śmiało przyjąć wręcz odwrotny stosunek tej zależności. Nie polscy kupcy zależni byli od śląskich, ale śląscy od polskich. Wprawdzie możliwe było połączenie Śląska z koloniami nad Morzem Czarnym przez Węgry i kraje wołoskie, ale w naszym okresie były one zamknięte dla kupców śląskich.

Stosunki handlowe kupiectwa polskiego z miastami zachodnimi poza Śląskiem, jakkolwiek wybiegają poza ramy tematu naszego, uwzględniliśmy jednak dlatego, aby wykazać, że kupiectwu polskiemu drogi handlowe na zachód, czy pół-zachód poza Śląskiem nie były obce już za czasów Kazimierza Wielkiego.

II. DROGI HANDLOWE ŚLĄSKO-POLSKIE

Polska jako kraj tranzytowy przecięta była w średniowieczu siecią dróg, rozchodzących się w różnych kierunkach. Łączyły one odległe środowiska handlowe na wschodzie — Kijów, na półd.-wsch. kolonie genueńskie nad Morzem Czarnym, z krajami zachodnimi — Śląskiem, Czechami, Niemcami a częściowo i Flandrią. Handel Zachodu, szczególnie Śląska, o który nam specjalnie chodzi, ożywia się w XIV w., szuka dróg, możliwie najdogodniejszych i najkrótszych, z zachodu przez południowe ziemie Polski nad Morze Czarne i na południe na Węgry. Miasta małopolskie, głównie Sącz, Kraków i Sandomierz,

²⁾ Jekel, *Polens Handelsgeschichte* t. I.

³⁾ Klose, *Dokumentirte Geschichte u. Beschreibung von Breslau in Briefen*, t. II, cz. 2, str. 356.

pośredniczyły w eksporcie węgierskich bogactw naturalnych na zachód i północ. Śląsk był łącznikiem między przemysłowym Zachodem a — przez Polskę — krajami wschodnimi, odległymi od siebie, różnymi pod względem bogactw ziemi, warunków bytu człowieka, jego pracy, zwyczajów, kultury itd. Królowie polscy, świadomi znaczenia dróg swoich, posługiwali się nimi jako narzędziem w polityce. Dlatego też ze zmianą stosunków polsko-czeskich następowało zamykanie lub otwieranie dróg polskich, z których drogi, idące przez południową Polskę, były przedmiotem szczególniejszych zabiegów ze strony Śląska. Wskutek zamykania dróg polskich kupcy śląscy reagowali represjami i zamykaniem dróg na zachód, a z drugiej strony mimo gróźb zabiegali u króla polskiego o otwarcie dostępu na wschód.

Ekspansja Śląska w stronę Polski ujawnia się zasadniczo w dwu kierunkach, które za punkt wyjścia obrały Wrocław, położony na skrzyżowaniu dróg nad środkowym biegiem Odry. Drogi szły w kierunku wschodnio-północnym przez Wielkopolskę, ziemie Zakonu, Morze Bałtyckie do Flandrii i w drugim kierunku, południowo-wschodnim przez Małopolskę, Ruś do Włodzimierza i Lwowa, a stąd do kolonii genueńskich nad Morzem Czarnym.

Rzuciwszy okiem na mapę, możemy zauważyć kilka szlaków w jednym kierunku. Na drogach śląsko-wielkopolskich są w użyciu za czasów Kazimierza Wielkiego aż cztery szlaki, a wszystkie zbiegają się na granicy prusko-polskiej, w Toruniu. Każdy z tych szlaków omówimy z osobna. Stara droga⁴⁾ wychodziła z Krosna na Śląsku i łączyła miasta niemieckie za pośrednictwem Gubina z miastami pruskimi przez Wielkopolskę. Gubin nad Nissą łużycką, leżący na głównej drodze handlowej w targu solnym, był ostatnim etapem dla kupców polskich i pruskich, zmuszonych do wymiany towarów z powodu trudnego przejścia rzeki, szerokiej w tym miejscu. Z Gubina granicznego szła droga przez Krosno ku granicy śląsko-wielko-

⁴⁾ Maleczyński, Najstarsze targi w Polsce, str. 200 i mapa. Droga ta znana w XIII w. szła z odchyleniami na naszej drodze „a Wladislavia versus Gubin“. Groth, Handel Poznania, str. 341. Wurke, Die Besorgung Schlesiens mit Salz, str. 238.

polskiej, następnie przez Zbąszyń, Poznań, Gniezno, Inowrocław do Torunia⁵⁾. Droga ta, zwana „wielkopolską”, była uważana za najgłówniejszą aż do XV w. i uczęszczaną nie tylko w celach handlowych, ale i wojskowych⁶⁾. Była ona jednak niezbyt dogodną dla kupców wrocławskich, ponieważ narażała na uzależnianie się od miasta, które mogło być wzbogacić się i wybić kosztem Wrocławia. Droga do Krosna prowadziła Odrą⁷⁾ przez Głogów⁸⁾, który tak jak Krosno mógł być niebezpieczny dla Wrocławia. Zresztą za daleko było do Krosna, aby nie starać się o krótsze połączenie z drogami wielkopolskimi do Prus. I zdobywa Wrocław dogodniejsze połączenie, a zmiany szlaków zależały od woli króla polskiego, kierującego nimi tak, aby zapewnić sobie zyski z ceł. Kazimierz Wielki nakazuje iść z Wrocławia przez Poniec, Śrem (der Strym)⁹⁾, Poznań, a stąd znaną „drogą wielkopolską” do Torunia¹⁰⁾. Drogą tą chodzili kupcy do końca XIV w., a może i później, lecz z przerwami. Istniała też inna droga, o której źródła mówią „via antiqua”¹¹⁾. Idzie ona z Wrocławia przez Milicz¹²⁾, Koźmin (Hurle)¹³⁾, Pleszew (Kessilberg), Żerków (Sirkowe), Pyzdry (Pyser), Powidz (Povedist), Strzelno (Strolyn), Inowrocław (Leslov) do Torunia. Kiedy powstała, nie wiadomo dokładnie.

⁵⁾ Ibidem. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 320. Koczy, Handel Poznania, str. 197. Groth, o. c. str. 341. Maleczyński, o. c. str. 200. Wutke, Städtebuch d. Land. Posen, str. 209.

⁶⁾ Groth, o. c. str. 341.

⁷⁾ Częste rozporządzenia królewskie, nakazujące usuwać tamy na Odrze od Brzega do Krosna, świadczą o żegludze na Odrze. Vide niżej, przy omawianiu drogi wodnej.

⁸⁾ Wutke, Die Besorgung Schlesiens mit Salz während des Mittelalters, str. 261-3. W Głogowie zaopatrywała się w sól halską część Polski w XIII w.

⁹⁾ Podajemy w nawiasach tylko te nazwy, które mają charakterystyczne brzmienie.

¹⁰⁾ Kod. dypl. Wkp. III, nr 1988 r. 1398 — Jagiello potwierdza drogę używaną za Kazimierza Wielkiego. Wutke, Städtebuch d. Landes Posen, str. 209. Warschauer, Archiv f. Provinz Posen, str. 201, 239. Eckstein, Dzieje Ponieca, str. 113. Koczy, Handel Poznania, str. 200.

¹¹⁾ Hansisches Urkundenbuch III, nr 559, str. 314, r. (c. 1350—1360).

¹²⁾ Milicz nie wspomniany w źródle, lecz wynika z położenia geograficznego i wspomina o nim Pol, Jahrbücher der Stadt Breslau, t. I, str. 110.

¹³⁾ Hurle — nazwa Koźmina, występująca w źródłach średniowiecznych. Warschauer, Archiv f. Provinz Posen, str. 96. Błędnie podane jako Orla przez wydawcę Hans. Urk., t. III, nr 559.

Była uczęszczana przez kupców za czasów Kazimierza Wielkiego obok innych i to mimo wyraźnego skierowania kupców na nową drogę przez starostę kujawskiego w 1349¹⁴). Nową drogę starano się omijać z obawy przed nieznanymi opłatami celnymi w nowych komorach. To też wspomniany starosta upomina kupców, że jeżeli nie zechcą chodzić wskazanymi drogami, to cła jednak nie ominą, bo każe je ściągać w Strzelnie, które było jednym z etapów starej drogi, wyżej wspomnianej (et si qui per dictas civitates transire noluerint in Strelno statuimus theloneum ab eis extorqueri¹⁵). Ta droga, o której dokument wspomina „per dictas civitates”, była ustanowiona w 1349 r. przez Kazimierza Wielkiego i szła przez Ostrzeszów (Schilburg)¹⁶), Ołobok (Molbog)¹⁷), Kalisz, Konin, Radziejów (Raczewia, Radzey, Redeov) do Torunia. Cztery wspomniane szlaki wielkopolskie odgrywały ważną rolę w połączeniu śląsko-pruskim, rzucając światło gęstą siecią na intensywność ruchu handlowego na tych ziemiach.

Główny handel Wrocławia zwracał się w kierunku wschodnim na Kraków, aby stąd skierować kupców swoich częściowo na południe, na Węgry, z którym to krajem droga przez Polskę była prawie jedynym połączeniem w celach handlowych w XIV w.¹⁸). Przede wszystkim jednak chodziło kupcom śląskim o drogę z Krakowa na Ruś, a stąd do kolonii czarnomorskich jako głównego źródła towarów wschodnich. Droga ta, zapewne bardziej ożywiona od wielkopolskiej, szła z Wrocławia przez Olawę¹⁹), Brzeg, Odrą do Opola, gdzie przekraczała rzekę i kierowała się na Toszek²⁰), Bytom, Będzin na granicy

¹⁴) Hans. Urk. III, nr 674, r. 1349.

¹⁵) Ibidem.

¹⁶) Hans. Urk. III, nr 674, r. 1349, 147 — r. 1349 — wydawca błędnie oznacza Ostrzeszów koło Kruszwicy. Kod. dypl. Wkp. II, nr 1289, r. 1349. Cod. dipl. Prusic III, nr 59, r. 1349. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 320. Janowski, Polska a Hanza, str. 415-6.

¹⁷) Hans. Urk. III, nr 558 r. 1350, nr 559 r. (c. 1350—1360).

¹⁸) Wendt, Schlesien u. Orient, str. 54.

¹⁹) W 1310 każdy kto szedł z Olawy do Nissy lub z Nissy, Szurgoszcz do Wrocławia, musiał jechać przez Brzeg. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 317-8. Schoenbern, Gesch. d. Stadt u. Fürstent. Brieg, str. 47.

²⁰) Kudera, Toszek, der Name der Stadt Tost, str. 13—14.



DRÓGI HANDLOWE ŚLĄSKO-POLSKIE ZA KAZIMIERZA WIELKIEGO

śląsko-polskiej, potem na Olkusz²¹⁾ do Krakowa²²⁾. Stąd jedna droga szła na południe do Węgier przez Bochnię, Czychów, Nowy i Stary Sącz, Popradem w górę, przekraczając granicę, kierowała się do Koszyc²³⁾. Druga droga z Krakowa szła lewym brzegiem Wisły przez Opatowice, Wiślicę, Pacanów, Połaniec, Tursko, Osiek, Koprzywnicę do Sandomierza²⁴⁾, idąc dalej na północ w stronę Lublina, a potem na wschód przez Krasnystaw, Horodło do Włodzimierza²⁵⁾. Ze Sandomierza drugi szlak prowadził przez Gorzyce, Turbię, Raclawice, Kopki i tu, przekroczywszy San, znowu dzieli się na dwie drogi: Krzeszów, Lubaczów, Gródek Jagielloński, Lwów i drugą nieco późniejszą, powstałą około roku 1350—1360, z Kopek lewym brzegiem Sanu, przez Jarosław, Przemyśl do Gródka Jagiellońskiego, gdzie łączyła się z poprzednią drogą z Lubaczowa²⁶⁾.

O krótszej drodze na Bochnię, Tarnów, Rzeszów, Jarosław, znanej w XIV w., nie było mowy za Kazimierza Wielkiego, o czym świadczy fakt, że kupcy krakowscy chodzą pod koniec panowania Kazimierza Wielkiego na Krzeszów, Lubaczów²⁷⁾, a więc tym bardziej dla obcych, śląskich nie było innej drogi. Ze Lwowa, który po zajęciu Rusi przez Kazimierza Wielkiego starał się prześcignąć Włodzimierz, droga szła także w dwu kierunkach do jednego celu. Jeden kierunek przez Halicz, Kołomyję, Śniatyn²⁸⁾, dalej prawdopodobnie przez Suczawę, Jassy, Białogród do kolonii czarnomorskich — Kaffy i Tany, a drugi kierunek przez Trembowłę, Kamieniec Podolski do Suczawy,

²¹⁾ Kod. dypl. krak. I, nr 156, r. 1453. Droga z Będzina przez Olkusz wynika z położenia. Ponadto Olkusz wspomniany jest w dokumencie z r. 1453 jako od dawna odwiedzany przez kupców w drodze z Krakowa na Śląsk — versus Slesiam transierunt ab antiquo mercatores... super Ilkus... versus Wratislaviam.

²²⁾ Najst. księgi krak., str. 290 r. 1390. Klose v. Breslau, Dokumentirte Gesch. u. Beschreibung in Briefen II, cz. 2, str. 358, krt. 57, r. 1438. Wutke, Die Besorgung Schlesiens m. Salz, str. 284-7.

²³⁾ Wendt, Schles. u. Orient, str. 54.

²⁴⁾ Kod. dypl. Krak. I, nr 79, r. 1393 — Jagielło powołuje się na drogi z czasów Kazimierza Wielkiego. A. G. Z. nr 41, r. 1427. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 320. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 13—15.

²⁵⁾ Kod. dypl. Wkp. II, nr 1289, r. 1349. Hans. Urk. III, nr 559, r. (c. 1350—1360).

²⁶⁾ Hans. Urk. III, nr 559. Kod. dypl. Krak. I, nr 33, r. 1360. Kutrzeba, Handel Polski ze Wschodem, str. 200-7, 464 i n.

²⁷⁾ Kod. dypl. Krak. I, nr 33, r. 1360.

²⁸⁾ Caro, Gesch. Pol. II, str. 284-6. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 481.

skąd wspólną drogą do celu²⁹). Droga przez Lwów na wschód, określana w źródłach ogólnie „in Thartarie partes, ad Thartarorum partes”, znana była za Kazimierza Wielkiego obok drogi na Włodzimierz. W jednym i drugim wypadku nie było innego połączenia jak przez Kraków, któreży Kazimierz Wielki kazał chodzić tak swoim jak i obcym „in terram Russiae versus Lublin... Vladimiriám... Lemburgam in Thartariae partes”³⁰).

Specjalny charakter miały drogi z Polski na Śląsk, obejmujące ziemie nad górną Odrą. Ruch na tych drogach miał znaczenie głównie dla targu solnego. Droga szła z Bochni i Wieliczki z ominięciem Krakowa³¹) (jeśli chodziło o wywóz soli przez prasołów) na Zator, Oświęcim, skąd rozchodziła się w dwu kierunkach, jak wynika z położenia geograficznego. Jedna do Żor i o biegu tej drogi wiemy ogólnie, że szła w stronę Opola — zapewne o niej mówią rajcy krakowscy, że kupcy chodzili tą drogą „versus Sleziam ab antiquo”³²). Kierunek drugiej drogi jest już ściślej określony — z Oświęcimia do Kęt (Canthy), Cieszyna, Opawy (Troppau, Oppavia), Raciborza (Reczybor), Głupczyc (Leobschütz, Lewczyc)³³), a dalej przez Prądnik do Nissy. Stąd droga szła przez Szurgoszcz (Schurgast) do Brzeża³⁴), Olawy, lub przez Kładzko, Świdnicę na rynek wrocławski³⁵). Okolice bliższe Wrocławowi musiałyby być niewątpliwie zaopatrywane w sól przez kupców wrocławskich, a nie obcych.

²⁹) Kod. dypl. Krak. I, nr 54, r. 1379. — Ludwik węg. wyznacza drogę przez Lwów „ad Thartarie partes“ powołując się na ten szlak z czasów Kazimierza Wielkiego, nr 58, r. 1380, nr 104, r. 1403, nr 108, r. 1406. Kutrzeba, Handel Polski ze Wschodem, str. 48r. Charewiczowa, Handel średn. Lwowa, str. 31-2.

³⁰) Kod. dypl. Krak. I, nr 32, r. 1358, nr. 33, r. 1360.

³¹) Helcel, Starod. prawa pol. pomn. I, ordynacja z 1368 r.

³²) Kod. dypl. Krak. I, nr 156 z r. 1453.

³³) Helcel, o. c. I, str. 225. Cod. dipl. Sil. XXII, nr 5072, r. 1333—1370. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 132-7. Wendt, o. c., str. 52-3. Tymieniecki, Znaczenie Śląska w dziej. Polski, str. 15—16. Opawa znana była już w XII w. jako stacja celna na drodze prowadzącej do Polski.

³⁴) Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 17. Schoenborn, Gesch. d. Stadt u. Fürst. Brieg, str. 47.

³⁵) Po drodze kupcy soli zatrzymywali się poza głównym szlakiem, w głębi księstwa, np. w księstwie ziembickim, wolno im było sprzedawać sól w okolicach Strzelna z ominięciem samego miasta. Tzschoppe-Stenzel, Urkundensammlung zur Gesch. d. Städte in Schles., nr 165, str. 567, r. 1350.

Na końcu wspomniemy jeszcze o drogach przez Śląsk prowadzących, do krajów czeskich i niemieckich.

Z Krakowa do Wrocławia prowadziła znana nam już droga, a stąd przez Środę (Neumarkt)³⁶⁾, Lignicę, Zgorzelec, Schönberg, Seidenberg (Sydenberg), Żytawę do Pragi, która była połączona drogą handlową z Norymbergą³⁷⁾. Zgorzelec odgrywał ważną rolę w drodze tak do Czech, jak i do miast niemieckich, skąd również było połączenie do Norymbergi. O tym, że znane były te drogi kupcom polskim, świadczą rozporządzenia królów czeskich³⁸⁾. Oprócz tej drogi znane było za czasów Kazimierza Wielkiego jeszcze inne połączenie z krajami zachodnimi. Z Wrocławia na Morawy i Czechy szła droga przez Świdnicę, Kładzko, Nisę³⁹⁾, Prądnik (Neustadt)⁴⁰⁾, Raciborz, Opawę, Ołomuniec, Berno, a stąd przez Kutną Horę (Kuttenberg) do Pragi⁴¹⁾. W Opawie droga ta schodziła się z drugą zdążającą do tego samego celu, z Krakowa przez Oświęcim, Zator, Kęty, Bielsko, Żywiec, Cieszyn, Opawę, przez granicę śląsko-morawską do Berna, który posiadał połączenie z krajami austriackimi⁴²⁾.

Jakkolwiek nie wiemy, jak często kupcy z Polski odwiedzali kraje na zachód od Śląska, to jednak możemy stwierdzić, że drogi te nie były obce kupcom polskim już za czasów Kazimierza Wielkiego.

Dla uzupełnienia wiadomości o komunikacji handlowej śląsko-polskiej za Kazimierza Wielkiego pozostaje nam jeszcze wspomnieć o roli rzek.

Opierając się na powszechnej opinii o drogach wodnych, że są one najtańsze i pociągają najmniejsze koszty przez częste używanie, należałoby się spodziewać, że i u nas odegrają one

³⁶⁾ Wutke, Die Besorgung Schlesiens m. Salz, str. 201-3.

³⁷⁾ Emler, Regesta Bohemiae et Moraviae IV, nr 920, r. 1341. Wutke, o. c., str. 261-3.

³⁸⁾ Vide rozdział „Związek handl. Polski z miastami zach. w zależności od dróg śląskich“.

³⁹⁾ Wynika z położenia na tej drodze.

⁴⁰⁾ Huber, o. c. nr 1321, r. 1350. SS. rer. Sil. XIII, nr 305. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 317-8. Koczy, o. c. str. 442.

⁴¹⁾ Ibidem.

⁴²⁾ Kod. dypl. Krak. I, str. LXXIII. Wutke, o. c., str. 278. Wendt, o. c., str. 52-3. Szujski, Opow. i roztrząsania hist., str. 275.

większą rolę niż lądowe, tym bardziej, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że stacje handlowe były z reguły położone nad rzekami większymi czy mniejszymi. Źródła jednak nie określają wyraźnie, czy drogi w pobliżu rzek leżące idą lądem czy wodą.

Z polskich rzek największych — Wisła miała wprawdzie już wcześniej zastosowanie jako droga handlowa, lecz nie można było z niej korzystać w handlu śląsko-polskim. Jedną wzmiankę posiadamy w naszym okresie, odnoszącą się do żeglugi na Prośnie. W 1362 r. nadaje Kazimierz Wielki miastu Kaliszowi wieś Tyniec, pod warunkiem, że miasto zbuduje drogę, zdatną do żeglugi na przestrzeni mili. Miała ona być zbudowana „ultra coenobium Olobok usque ad civitatem Kalisiensem”⁴³). Obowiązek naprawy drogi miał spoczywać na mieszkańcach Kalisza. Poza tym nie słyszymy o zarządzeniach, wydawanych odnośnie do rzek polskich, które miałyby odegrać poważniejszą rolę w handlu śląsko-polskim.

Nieco lepiej przedstawia się sprawa żeglugi na Odrze, o której wiemy, że odgrywała dużą rolę w handlu Wrocławia od najdawniejszych czasów⁴⁴). Rzeki były regalami książęcymi, ale sąsiedzi żeglownych rzek posługiwali się nimi do swoich prywatnych celów, stawiając jazy dla młynów lub dla rybołówstwa, co utrudniało żeglugę. Jeśli który kupiec odważył się przewieźć towary swoje i uczynił szkodę, to musiał złożyć opłatę⁴⁵). Aby zapewnić wolny przejazd na rzekach, panujący wydają szereg rozporządzeń, nakazujących usuwać wszystkie przeszkody (obstacula vulgariter „wuer” dicta). Często spotykamy w źródłach dowody, świadczące o dbałości panujących o stan rzeki, około której obracał się główny handel Śląska. Królowie czescy wydawali rozporządzenia, aby rozszerzyć koryto Odry od Brzegą aż do Krosna dla dogodniejszego przejazdu statków (Schiffe)⁴⁶). Takie zarządzenia powtarzają się bardzo często⁴⁷), widocznie nie przestrzegano ich, nawet mimo

⁴³) Kod. dypl. Wkp. III, nr 1463, r. 1362.

⁴⁴) Cod. dipl. Sil. XVII (D. schlesische Oderschiffahrt), str. 4. Pfeifer, Breslauer Patriziat, str. 70.

⁴⁵) Schmidt, Zur Gesch. d. Wartheverkehrs, str. 85-6.

⁴⁶) Cod. dipl. Sil. IX (Urk. d. St. Brieg), nr 101, r. 1337, nr 141, r. 1355. Korn, o. c. nr 211, r. 1355. Pol, o. c. I, str. 126.

⁴⁷) Korn, o. c. nr 195, r. 1349, nr 211, r. 1355. Cod. dipl. Sil. XVII, str. 7, r. 1349. Pol, o. c. I, str. 126. Klose v. Breslau II, cz. 1, list 47, str. 185, r.

dozoru wykonywanego przez Radę miejską z polecenia królewskiego⁴⁸). Odrą szły towary z Polski przez Opole, Brzeg do Wrocławia, a stąd do Krosna. Dzięki położeniu swemu miasta te posiadały znaczenie poważnych stacji handlowych⁴⁹) i ubiegały się u panujących o pozwolenie budowania mostów, aby uzyskać możność pobierania ceł⁵⁰). Kupcy, zmuszeni iść wytkniętą drogą, zapewniali miastom dochody, które też pilnie strzegły przymusu drożnego, wykorzystując swoje położenie. Naprawa mostów należała do obowiązków miasta, jak świadczą o tym rachunki miejskie Wrocławia⁵¹). Najwięcej rozporządzeń w związku z żeglugą zachowało się na Śląsku. Nie brak wprawdzie i w polskich źródłach dowodów interesowania się sprawami rzek, ale żegluga na nich miała znaczenie lokalne albo dla handlu polsko-pruskiego.

III. CHARAKTER DRÓG ŚREDNIOWIECZNYCH

(Przymus drożny, niebezpieczeństwa)

Kwestia dróg handlowych w średniowieczu oraz ich kierunek posiada znaczenie tak dla interesów miast, położonych przy tych drogach, jak wreszcie dla samego panującego.

Zmiana dróg decyduje często o upadku miast, ruchu handlowego oraz o zubożeniu kupiectwa miejscowego. Ponieważ wszelkie zmiany dróg zależały wyłącznie od woli panującego, więc używał tej władzy nie tylko jako narzędzia w polityce zagranicznej, lecz i wewnętrznej, w stosunku do miast, które mogły mu być pomocne — czy to jeśli chodziło o zaciągnięcie pożyczki u bogatych mieszczan, czy to o pozyskanie ich jako oparcia przeciw innej warstwie społecznej.

Utrzymywanie dróg należało do miast, położonych przy danym szlaku handlowym. Miały one dbać o stan dróg, budo-

1349, list 48, str. 203, r. 1354. Stenzel, *Gesch. Schl.* I, str. 320. Mendl, *Regesta Boh. et Mor. Pars. VI. Fasc. I*, nr 147, r. 1355.

⁴⁸) Pol, o. c. I, str. 126. Mendl, *Reg. Boh. et Mor. Pars. VI. Fasc. I*, nr 147, r. 1355.

⁴⁹) Cod. dipl. Sil. IX, nr 101, r. 1337, nr 141, r. 1355. Korn, o. c. nr 211, r. 1355. Pol, o. c., str. 126. Stenzel, *Gesch. Schles.* I, str. 317-8. Wendt, o. c. str. 10-11.

⁵⁰) Tzschoppe-Stenzel, o. c., nr 159, r. 1348.

⁵¹) Rach. Wrocl., str. 67, r. 1341, str. 78, r. 1351, str. 86, r. 1356, str. 72-3, r. 1347.

wać nowe, naprawiać stare, stawiać mosty na rzekach, sypać groble, uważać, aby rzeki nie były używane do celów przemysłowych ze szkodą dla żeglugi. Miasta otrzymywały nawet specjalne polecenia królewskie, aby budowane przeszkody na drogach wodnych usuwać i w ogóle nie dopuszczać do budowy, zaś nieposłusznych karać⁵²). Do budowy dróg lądowych używano kamienia lub drzewa⁵³). Miasta przeznaczały na ten cel znaczne sumy, o czym świadczą wydatki w rachunkach miasta Wrocławia „ad aedificia pontium, viarum... stratoribus... ad frangendum obstacula⁵⁴). Te koszta opłacały się jednak miastom, gdyż otrzymywały często zezwolenia na pobieranie ceł przydrożnych, które w zasadzie były regalami książęcymi.

W związku z drogami pozostaje przymus drogowy i ściśle z nim łączące się prawo składu, które obowiązywało przejeżdżającego kupca do zatrzymania się w mieście na czas, przepisany przywilejem, który miasto uzyskało. Rodzaje towarów, wystawianych na sprzedaż, oraz formę prawną składu określał również przywilej składowy⁵⁵). W zamian za ten przymus, zapewniający korzyść miastu, otrzymywał kupiec ze strony panującego zapewnienie ochrony życia i mienia na drogach wskazanych. Te zapewnienia miały raczej formę prawną. Wobec wadliwej administracji średniowiecznej, nie pozwalającej rozciągnąć ścisłego nadzoru na większą odległość, kupiec obcy nie mógł spodziewać się zupełnego bezpieczeństwa. Kupcy starali się przemycać towary swoje bocznymi drogami⁵⁶), unikając ceł, choć połączone to było z ryzykiem, bo panujący wyraźnie zabraniał unikania komór celnych „sub priuacione personarum et rerum suarum mercimonialium⁵⁷). Przymusu drożnego, skierowanego przeciw obcym kupcom zagranicznym, strzegły pilnie miasta, upatrując w tym swój interes, licząc na cła i zysk z towarów obcych.

Już w parę miesięcy po wydaniu aktu Kazimierza Wielkiego, wyznaczającego drogi w handlu śląsko-pruskim przez

⁵²) Pol, o. c. I, str. 106, 126.

⁵³) Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 101.

⁵⁴) Rach. Wrocl., str. 67, r. 1341, str. 68, r. 1343, str. 78, r. 1351, str. 86, r. 1356.

⁵⁵) Patrz rozdział „Organizacja handlu“.

⁵⁶) Lewicki, Drogi handl. w Polsce, str. 12—14.

⁵⁷) Kod. dypl. Krak. I, nr 42, r. 1372. Rausprich, Bresl. Handelslage, s. 8-9.

Wielkopolskę na Kalisz-Konin-Radziejów, zwraca się zarządca kujawski Mikołaj do kupców toruńskich, obiecując nie stawiać żadnych przeszkód na wspomnianej drodze⁵⁸). A że wiadome było ogólnie, że kupcy zawsze chętniej trzymali się dróg starych, nie wiedząc jak wysokie cła wyznaczą nowe komory celne, więc z góry ostrzega wspomniany zarządca, że nie unikną opłat, jeżeli nawet będą starali się ominąć nową drogę. Nie pomagały jednak ostrzeżenia. Obcy kupcy chodzili nadal starą drogą, co zmusza kaliszzan do wydania (na rozkaz króla) upomnienia — zresztą w bardzo łagodnej formie, — aby jednak nowej drogi nie unikali, bo narażą się na szkody⁵⁹). Chociaż upomnienie to jest zwrócone wyraźnie przeciw kupcom pruskim, to jednak należy przypuszczać, że musiało się odnosić także do śląskich (może osobno było skierowane?), bo korzystali z tych samych dróg wielkopolskich, co i kupcy pruscy.

Mówiąc o handlu śląsko-polskim w łączności z drogami handlowymi, uważamy, że większa była zależność kupców śląskich od dróg polskich, niż polskich kupców od dróg śląskich. Handel śląski większe ciągnął zyski ze stosunków handlowych ze wschodem za pośrednictwem Polski, aniżeli kupiectwo polskie z handlu zachodniego. Może też dlatego Kazimierz Wielki, zdając sobie sprawę z roli dróg polskich jako łącznika Zachodu ze Wschodem, zażądał zmiany kierunków dróg, jak i zupełne ich zamykanie. Oczywiście tego rodzaju niekorzystne zarządzenia wywołują ze strony kupców śląskich niepokój, groźby odwetu, interwencję u sąsiadów, z którymi Polska pozostawała w stosunkach handlowych, a w rezultacie prośby i starania u króla polskiego o otwarcie dróg⁶⁰) — dowód, jak ważną rolę w handlu odgrywały drogi polskie.

Przymus drożny skierowany bywał przede wszystkim przeciw kupcom zagranicznym, ale czasem i krajowym dla wyróżnienia i zapewnienia korzyści uprzywilejowanemu miastu. Z dokumentu Kazimierza Wielkiego z 1358 r. dowiadujemy się, jakimi drogami mieli iść kupcy z Nowego Sącza i zagraniczni, węgierscy, w celach handlowych na zachód „versus Sleziam,

⁵⁸) Hans. Urk. III, nr 674, rok 1349.

⁵⁹) Hans. Urk. III, nr 558. Akt wydany torunianom w 1360.

⁶⁰) Patrz obszerniej rozdział „Walki handlowe Wrocławia o drogę in Thartariam“.

Boemiam uel Moraviam... nullas vias extraneis uel inconuetis cum suis mercibus... nisi per ciuitatem Cracouiensem"⁶¹).

Drogi średniowieczne cechowały niebezpieczeństwa ze strony rozbójników, których w naszym okresie było pełno dzięki sprzyjającym warunkom dla nich. Okres, poprzedzający panowanie Kazimierza Wielkiego, oraz walki tegoż króla na Śląsku, na północy zaś ciągłe niepokoje ze strony Zakonu, dały duże sposobności do wytworzenia się niespokojnego elementu. W ukryciu oczekiwali rozbójnicy sposobności, aby napaść na wędrującego kupca i ograbić jego mienie. Brak odpowiednio zorganizowanej administracji utrudniał roztoczenie opieki na dalszą odległość.

Szereg dokumentów, dotyczących dróg czy handlu, zawiera wzmianki o niebezpieczeństwach dróg, grabieży mienia, nieprzewidzianych napadach, nawet na drogach, na których zapewniano kupcom bezpieczeństwo⁶²). Zwracali się przeto kupcy (toruńscy) do króla polskiego z prośbą o „oczyszczenie” dróg, aby mogli iść dalej bezpiecznie (das dy strassen gereynegit, gefriet... das der kowffman... undergedrucket nicht werde)⁶³). Nie brak ze strony społeczeństwa i władców odpowiednich kroków dla przeciwdziałania niebezpieczeństwu i zapewnienia kupcom obiecywanej na drogach „plenam securitatem”⁶⁴). Walka była jednak trudna tak na terenie Śląska, jak i Polski. Kongres wyszehradzki w sprawie śląskiej doprowadził do skutku umowę z dnia 19 listopada, odnoszącą się między innymi do tępienia rozboju, niszczenia zamków rozbójników na granicach śląsko-polskich⁶⁵). Łączą się miasta dla wspólnej obrony, otrzymują od króla prawo karania i dowolnego postępowania wobec złoczyńców⁶⁶). Łączyły się miasta polskie ze śląskimi dla wspólnej obrony swoich kupców. W 1337 r. Jan Luksemburski i Kazimierz Wielki wydają rozporządzenie, aby w ziemiach im podległych ludność miejscowa pomagała ścigać złoczyńców,

⁶¹) Kod. dypl. Krak. I, nr 32, r. 1358.

⁶²) Hans. Urk. III, nr 533, r. 1360.

⁶³) Ibidem.

⁶⁴) Ibidem III, nr 159, r. 1349, nr 533, r. 1360; II, nr 59, r. 1345, nr 690, r. 1341.

⁶⁵) Dąbrowski, Dzieje pol. Śląska, str. 416.

⁶⁶) Pol, o. c. I, str. 106. Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 66.

zbiegłych poza granicę z łupami lub bez nich⁶⁷). W 1343 r. król czeski poleca rajcom wrocławskim, aby karali rabusiów, w obrębie miasta przebywających⁶⁸). W 1349 r. Kazimierz Wielki czyni prawomocnymi umowy, zawarte między jego miastami a Wrocławiem celem tępienia rozbójników, i nadaje Kaliszowi prawo karania przestępców⁶⁹). Powstają też związki w Polsce między miastami polskimi i na Śląsku między śląskimi, a z ich starań nad bezpieczeństwem dróg korzystali też kupcy zagraniczni. W 1350 r. miasta wielkopolskie, Poznań, Kalisz, Puzdry, Gniezno wznawiają zawarty poprzednio (w 1302 r.) związek w sprawie obrony przed podpalaczami i rozbójnikami⁷⁰). Nie wolno było na własną rękę godzić się żadnemu miastu, lecz wspólnie miały ścigać sędownie złoczyńców któregośkolwiek z tych miast związkowych⁷¹). Takie same związki spotyka się wśród miast śląskich, łączących się „contra maleficos” z początkiem XIV w.⁷²). W 1363 r. Wrocław odnawia związek, zawarty wcześniej⁷³) z miastami śląskimi i łużyckimi w celu wzajemnej obrony przed napadami, morderstwami itp.⁷⁴) Ani niewygody podróży, ani niebezpieczeństwa, zagrażające nie tylko mieniu, ale i życiu kupca, nie odstraszały go od podróży handlowych do dalekich krajów, i nie pozbawiały chęci wzbogacenia się.

IV. OPŁATY CELNE I DROGOWE

Do szeregu trudności, które spotykały kupca średniowiecznego na drodze handlowej, dołączały się jeszcze opłaty celne.

Były one tym uciążliwsze, że, odmiennie w każdej komorze celnej i zależnie od woli panującego podnoszone, były niejednokrotnie przykrymi niespodziankami dla kupców⁷⁵). Nieprzewidziana wysokość opłat odstraszała najwięcej, bo mogła wpłynąć niekorzystnie na obliczane zyski. Z drugiej strony takie uciekanie kupców daje powód do ciągłych upomnień ze strony panujących, skierowywanych przeważnie do zagranicznych kup-

⁶⁷) Emler, o. c. IV, nr 397, r. 1337.

⁶⁸) Ibidem, nr 1346, r. 1343.

⁶⁹) Korn o. c., nr 193, r. 1349; Janowski, o. c., str. 417.

⁷⁰) Ptaśnik, Miasta w Polsce, str. 99.

⁷¹) Ibidem.

⁷²) Ibidem.

⁷³) Korn, o. c. nr 163.

⁷⁴) Ibidem, nr 254, r. 1363.

⁷⁵) Rutkowski, Zarys gosp. dziejów Polski, str. 88.

ców, którzy nie byli nigdy zwalniani z opłat celnych, co natomiast zdarzało się krajowym, uprzywilejowanym miastom⁷⁶). Dawniejsze komory celne nie leżały tylko na granicach, lecz wyznaczały szlaki handlowe, biegnące do jakiegoś celu. Najkorzystniejsze miejsce dla komór celnych to przejścia rzek, skrzyżowania dróg, gdzie żywy ruch handlowy zapewniał liczne opłaty. Rozmieszczenie ich nie było równomierne. Gdzie spodziewano się żywszego ruchu handlowego i dogodniejszej drogi, a zarazem niemożliwej do ominięcia, zaraz stawiano na drodze przeszkody dla kupców w postaci komór celnych. Omijanie stacji celnych w konsekwencji pociągało za sobą pościg poborców celnych za kupcami. Kupiec mógł być aresztowany, a towar jego ulegał konfiskacie. Połowa przypadała skarbowi królewskiemu, a druga temu, który kupca przytrzymał⁷⁷).

Ze względu na korzyść poborcy w konfiskacie towarów możemy przypuszczać, że czujność swą skierowywali w pierwszym rzędzie na boczne drogi. Nie brakowało przy tej okazji nadużyć, co zmuszało panujących do wyraźnego czasem zapewnienia obrony kupcom⁷⁸). Obowiązki celne były zawsze uciążliwe dla kupców, zwłaszcza za granicą. Dlatego z radością donoszą kupcy wrocławscy Karolowi IV, że będą mogli korzystać z drogi na Ruś przez ziemie Zakonu i to bez żadnych obowiązków⁷⁹). Ponieważ każda komora celna miała odmienną taryfę, więc od tych samych towarów jako przewozowych inaczej płacono. Niektóre towary nie podlegały cłu. Płacono często w naturze⁸⁰), ale częściej w pieniądzu. Wszystkie opłaty mają charakter cła przewozowego, t. zn. nie pobierano opłaty za wywóz czy przywóz czy wartość towaru, ale za samo przewiezienie przez komorę celną, leżącą na drodze. O zasadniczych miarach i danych, którymi kierowano się przy wyznaczaniu wysokości ceł, nie można w naszym okresie mówić. Pobierano od konia, wozu próżnego (*de curru vacuo*, *diselwayn*), wozu ładowanego (*de curru onerato*, *oyniczwayn*), od wozu zaprzężonego w konia lub popychanego przez człowieka (*Karren*), od rodzaju

⁷⁶) Patrz obszerniej „Kraków jako środowisko handlowe i jego rola w drodze na Wschód“.

⁷⁷) Groth, o. c., str. 113.

⁷⁸) Hans. Urk. II, nr 371, r. 1320.

⁷⁹) Ibidem III, nr 347, r. 1355.

⁸⁰) Hans. Urk. III, nr 559, r. [c. 1350—1360].

towarów, od naczyń, beczek (de vase), od worka (de sacco), od pewnej stałej miary materiałów (de 100 uluis), a wreszcie od koni, obciążonych pewnym, określonym rodzajem materiału⁸¹). Czasem stosowano pewnego rodzaju ulgi w oczeniu, np. od konia płacono 1 gr, ale od trzech koni nie 3 gr, lecz 2 gr; bywało jednak i przeciwnie, kiedy od jednego konia płacono 1 gr, ale od trzech 4 gr. Wszystko zależało od taryfy celnej, obowiązującej w danej komorze. Jedne miały szczegółowsze, inne ogólniejsze taryfy, np. komory celne na „via nova” z Wrocławia do Torunia miały dokładniejsze taryfy, niż na „via antiqua”⁸²). Jeżeli porównamy cła komór na wspomnianych drogach wielkopolskich, to zauważymy, że wszystkie komory na „via antiqua” pobierały zgodnie opłatę od konia w wysokości 1 gr, gdy na „via nova” podwyższone były od 1—2 gr⁸³). Brak bliższych szczegółów w taryfach starej drogi nie pozwala nam przeprowadzić porównań co do innych opłat na tej drodze. Cła te wspomniane obowiązywały kupców śląskich na drodze wielkopolskiej.

Jak przedstawiała się kwestia ceł na drogach handlowych ze Śląska na Ruś, tego nie można przedstawić z powodu braku odpowiednich źródeł. Sądzymy jednak, że kupcy śląscy na drodze od Sandomierza, gdzie schodziły się drogi z zachodu i północy, aby zdążyć jednym szlakiem na Ruś, do Włodzimierza czy Lwowa, płacili te same cła, które ustanowione były tu dla kupców toruńskich. Opłaty celne są tu różne, albo bardzo małe, albo bardzo wielkie. Płaci się od konia $\frac{1}{2}$ —1 gr jak w Gorzycach, Krzeszowicach, Racławicach, Turbii, Kopkach, Lubaczowie, lub też stosunkowo bardzo wysokie, bo 4—8 gr, jak w Horodle, Lublinie, Przemyślu⁸⁴). Oprócz wspomnianych opłat celnych na drogach lądowych, pobierano także cła mostowe, wodne, za przejście, czy przewóz towarów. Nie wiemy jednak, jak wysokie one były, bo rachunki miasta Wrocławia wspominają o nich ogólnie⁸⁵). O cła mostowym w Sandomierzu wiemy, że wynosiło $2\frac{1}{2}$ gr pro ponte⁸⁶).

⁸¹) Ibidem.

⁸²) Ibidem.

⁸³) Ibidem.

⁸⁴) Ibidem.

⁸⁵) Rach. Wrocl., str. 72, r. 1347, str. 79, r. 1352, str. 81, r. 1353.

⁸⁶) Hans. Urk. III, nr 559, r. [c. 1350—1360].

Czasem określano ogólnie opłatę celną, nie podając rodzaju towaru, jak np. w Ołoboku „... pro theloneo Molbog 1½ gr...”⁸⁷). Do jakich opłat celnych obowiązani byli kupcy polscy na Śląsku, tego przedstawić nie można, bo nie dochowały się żadne dokumenty z XIV w., które pozwoliłyby przedstawić, choćby ogólnie, różnicę stosunków celnych w Polsce a na Śląsku.

V. ORGANIZACJA HANDLU

(kupiectwo, formy handlowe, obrona ludności miejscowej przed współzawodnictwem „obcych”)

Kupcy, którzy prowadzili handel zagraniczny w wiekach średnich, tworzyli odrębną klasę patrycjatu miejskiego i zajmowali uprzywilejowane stanowiska. Odsunęli od siebie mniejszych kupców, kramarzy, których zaliczono do niższej klasy rzemieślniczej, zorganizowanej w cechy, dbające o obronę i interesy swoich członków. Grosiści nie byli zorganizowani w żaden prawny związek, który by musiał bronić ich praw, bo robiła to za nich złożona z nich samych, lub ich krewnych rada miejska, do której należało regulowanie na wewnątrz i reprezentowanie na zewnątrz interesów handlowych miasta. Rada miejska też wyłączenie prowadzi bardzo kosztowne niekiedy starania o uwolnienie od ceł i podatków, co wywołuje często niezadowolenie i sprzeciwy ogółu mieszczaństwa. Kupcy monopolizowali handel sukieniczny, który był jednym z najgłówniejszych przedmiotów obrotu handlowego w średniowieczu i przynosił znaczne zyski. Kupcom przysługiwało wyłączne prawo sprzedaży sukna „en détail”, to też nazwa kupca była często identyfikowana i zastępowana przez nazwę „gewand-schneider, pannicida, krojownik lub krojczy”. Tylko „gewand-schneider” mógł ciąć materie na łokcie, a nie mógł nim być kto inny, jak tylko kupiec, sprzedający „en gros”. Ponadto nie można było nigdzie ciąć, jak tylko „in cameris pannorum”⁸⁸), „an den Kammern unter den Kaufhause”⁸⁹). Jeżeli mówimy o kupiectwie ogólnie, nie odróżniając kupiectwa śląskiego od pol-

⁸⁷) Hans. Urk. III, nr 559, str. 314. Ołobok na pd. od Kalisza.

⁸⁸) Kod. dypl. Krak. II, nr 260, r. 1342.

⁸⁹) Cod. dipl. Sil. VIII (Schles. Urk. zur Gesch. d. Gewerbrechts), str. XXIV—XXVII. Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 62.

skiego, to dlatego, że o rodzimym kupiectwie, prowadzącym handel na większą skalę, nie może być mowy za czasów Kazimierza Wielkiego. Kupiectwo polskie, przede wszystkim krakowskie, reprezentujące w naszym okresie ogół kupiectwa, składało się z napływowej ludności obcej, szczególnie niemieckiej, która przyniosła ze sobą formy handlowe z zachodu. Z form handlowych obchodzą nas przede wszystkim te, które obowiązywały w handlu zewnętrznym. W naszym okresie były one jeszcze bardzo skromne. Nie słyszy się wtedy o poważnych i na wielką skalę zakrojonych przedsiębiorstwach, kompaniach, opartych na wielkich kapitałach, jak w wiekach następnych. Zasadniczo kupiec handluje sam i na własne ryzyko — przedsiębiorca indywidualny jednostkowy⁹⁰⁾. Jeżeli chodziło o dalekie podróże, wtedy łączyli się kupcy w karawany, bo tego wymagały niebezpieczeństwa, czyhające na kupców na dalekich drogach. Sprowadzano też dlatego towary tylko „en gros”, zaopatrując nimi większe miasta, skąd drobniejsi kupcy rozwozili po kraju.

Spółki handlowe nie były w niczym podobne do dzisiejszych. Trwały one krótko i miały charakter jednorazowego przedsięwzięcia handlowego. Były one wcześniejsze na zachodzie i częstsze w użyciu, niż u nas. W Krakowie spotyka się taką spółkę handlową dopiero z końcem XIV w.⁹¹⁾ — być może, że istniały już wcześniej, lecz brak dowodów. Natomiast możemy stwierdzić udział najwybitniejszej postaci bogatego mieszczaństwa krakowskiego z czasów Kazimierza Wielkiego, Mikołaja Wierzyńka, w spółce handlowej⁹²⁾ wraz z kupcami śląskimi. Przedmiotem transakcji było srebro. W spółce tej Wierzynek został oszukany na dostawie przez spółników — Thomelina z Kuttenerberga i przez drugiego, który pochodził z Iglawy (Ilauer)⁹³⁾. Strata musiała być znaczna, bo skarga Wierzyńka znalazła się aż w kancelarii królewskiej Karola IV⁹⁴⁾.

⁹⁰⁾ Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kupiectwa krakowskiego, str. 19. Groth, Handel Poznania, str. 364. Rutkowski, Zarys gospod. dziejów Polski, s. 90.

⁹¹⁾ Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 159.

⁹²⁾ Rach. Wrocl., str. 68, r. 1343. Mosbach, Wiadomości z arch. prow. śląsk., str. 80, 82. Grünhagen, Die Herren von Reste, str. 35.

⁹³⁾ Iglaua (Iglau) na granicy czesko-morawsk. u ujścia rz. Iglawy do Sazawy. Huber, o. c., nr 3179, str. 260, r. 1360.

⁹⁴⁾ Ibidem.

Bogactwo Wierzyneków i ich kapitał były gwarancją dla spółników w transakcjach handlowych. Jeden z synów jego — Jan tworzy spółkę handlową z Łukaszem Dompningiem, poważnym kupcem wrocławskim, któremu Wierzynek obowiązuje się dostarczyć towaru z Krakowa na własne ryzyko⁹⁵).

Ci wielcy kupcy-grosiści nie wozili sami swoich towarów, lecz posługiwali się specjalną kategorią ludzi, zwanych w źródłach przewoźnikami („vectores”, „fuhrleute”). Byli to samodzielni przedsiębiorcy transportowi, którzy obok swego towaru rozwozili obcy do wskazanych miejsc, w oznaczonym terminie, za określoną opłatą, wynoszącą zwykle czwartą część zysku⁹⁶). Należy od nich odróżnić prasołów, którzy trudnili się wyłącznie rozwożeniem soli. Ci „vectores” są jeszcze jednym dla nas dowodem istnienia handlu „en gros” między Śląskiem a Polską. Na rynku krakowskim spotykamy „vectores de alienis partibus venientes”⁹⁷), wśród których niewątpliwie musieli przeważać śląscy. I przeciwnie „vectores” kupców krakowskich wędrowali po drogach śląskich. Spotykamy ich w okolicach, leżących poza głównymi szlakami handlowymi. W księstwie ziembickim mają sprzedawać sól w okolicach Strzelna z omińnięciem samego miasta (*nec forum civitatis nominatae visitarent prout tamen ab antiquo est consuetum...*)⁹⁸). „Fuhrleute aus Polen” znachodzili się za Kazimierza Wielkiego nie tylko na drogach śląskich, ale i czeskich⁹⁹).

Z organizacją handlu przyszły do miast polskich za pośrednictwem Wrocławia formy prawa składu, organizacja jarmarków i sposób handlowania. Cała polityka średniowiecznego miasta polegała na zdobyciu prawa składu, na przestrzeganiu go, na utrzymaniu dróg przymusowych, pozostających w ścisłym związku z tym prawem, dalej na sprowadzaniu surowców z najodleglejszych stron, wprost z samego źródła, a z drugiej strony na rozprzedaży przedmiotów tych za pośrednictwem

⁹⁵) Pfeiffer, Bresl. Patriziat, str. 146-7, wiadomość odnosi się do ostatnich lat XIV w.

⁹⁶) Koczy, o. c., str. 464-5; Rutkowski, o. c., str. 90.

⁹⁷) Helcel, o. c. I, str. 219, r. 1368.

⁹⁸) Tzschoppe-Stenzel, o. c., nr 165, str. 567, r. 1350.

⁹⁹) Emler, o. c. IV, nr 920, r. 1341. Heller, D. Handelswege, str. 11.

swego rynku. I zobaczymy niżej, że główne miasta jako ogniska handlowe, tak Wrocław na Śląsku jak i Kraków w Polsce, będą walczyły o zrealizowanie swych zasad handlowych i będą zagradzały sobie drogi do bezpośrednich źródeł zakupu i zbytu. Wzajemnie ograniczać będą handel obcy na swoich rynkach, uciekając się do różnych sposobów. Jednym z najstarszych sposobów obrony przed handlem obcym było prawo składu. Obydwie formy tak: a) względnego prawa składu, polegającego na wolności wywozu towarów, niesprzedanych w mieście składowym, jak i b) bezwzględnego prawa, zmuszającego do całkowitej wysprzedaży w określonym czasie i miejscu¹⁰⁰), spotykamy w miastach śląskich i polskich. Prawem składu mogły być objęte wszystkie towary i zwykle wtedy nie wyszczególniano ich imiennie, jak jest np. w przywileju składowym miasta Wrocławia¹⁰¹), lub też tylko niektóre towary podlegały temu prawu. Świdnica otrzymała względne prawo składu na barwniki tekstylne¹⁰²). Rozporządzenie magistratu wrocławskiego z r. 1370, zakazujące wywóz chmielu poza miasto, posiada formę składu bezwzględnego¹⁰³). Czas zatrzymywania towarów w mieście był różny i nie zawsze w ogóle określony, np. dla Wrocławia i Krakowa termin nie był oznaczony. W Świdnicy obowiązywało prawo składu aż 6 tygodni¹⁰⁴), we Lwowie 14 dni¹⁰⁵). Wszystkie te przywileje składowe ograniczały handel do połowy XV w., lecz nie złamały go¹⁰⁶).

W walce z „obcymi”, których źródła nazywają „gast”, „hospes”, „us fremdin landin”, uciekano się do różnych sposobów ograniczenia ich w handlu. Najuciążliwsze dla obcego kupca było prawo, które nakazywało sprzedawać swoje towary tylko kupcom krajowym i od nich jedynie kupować. Ten zakaz wzajemnego handlu między „obcymi” był szeroko praktykowany po miastach śląskich jak i polskich. Kupiec obcy, przybywający na Śląsk, musiał sprzedawać towar swój miejscowemu

¹⁰⁰) Lewicki, Prawo składu, str. 34.

¹⁰¹) Korn, o. c., nr 43, r. 1274. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 317. Lewicki, Prawo składu, str. 34.

¹⁰²) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 12, § 13, 17, r. 1355.

¹⁰³) Korn, o. c., nr 262, r. 1370.

¹⁰⁴) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 12, r. 1355.

¹⁰⁵) Katal. Arch. Krak. I, nr 68, r. 1379.

¹⁰⁶) Wendt, o. c., str. 24.

kupcowi, a ten dopiero mógł sprzedawać innym (kein fremder gast soll kaufen kaufmanschaft wieder einen andern fremden gast, sondern ein bürger mag kaufen wieder einem fremdin gast)¹⁰⁷⁾. Towary zaś kramne wschodnie miały być odsprzedawane kramarzom miejscowym i to tak, jak je obcy kupiec przywiózł (nicht einzelin sundir bi deme sacke vorkoufen)¹⁰⁸⁾. Te przepisy o sprzedaży towarów w większej ilości (sammelkawffs)¹⁰⁹⁾ mają zastosowanie w czasie trwania jarmarków, podczas których wspomniany wyżej bezwzględny zakaz handlu między obcymi nie posiadał mocy obowiązującej. Była to jedyna w roku okazja do swobodnej wymiany między obcymi. Miejscowa ludność starała się ograniczyć zyski ich w inny sposób i uciekała się do zakazu sprzedaży detalicznej. Ten sam sposób obrony, zapewne jako rewanż, znalazł oddźwięk i na rynku krakowskim. Najpierw pojawił się zakaz Kazimierza Wielkiego w 1342 r. o sprzedaży sukna między obcymi, który musiał być wydany z myślą o kupcach śląskich, opierających handel swój rodzimy na towarach suknienniczych¹¹⁰⁾. Do tego dołączył się jeszcze zakaz sprzedaży detalicznej i sukna obcego. Kupiec mógł sprzedawać tylko sukna swojego wyrobu (propria... non aliena)¹¹¹⁾. W parę lat później król obostrzył to rozporządzenie zakazem jakiegokolwiek porozumiewania handlowego w wymianie towarów w ogólności¹¹²⁾. Różne ograniczenia handlowe i trudności, stawiane przez ludność miejscową, rozporządzenia królewskie czy Rady miejskiej, nie zniechęcały kupca średnio-wiecznego, lecz zmuszały go do szukania sposobów w celu ominięcia tych przeszkód. Należy do nich nabywanie pozornie obywatelstwa miejskiego przez obcych kupców, co udawało się zasadniczo łatwiej po mniejszych miastach, niż w większych, jak Kraków. W większych częściej praktykowano rodzaj spółki z kupcami miejscowymi, którzy sprzedawali towar obcy jako swój. Były one jednak zakazywane ostro, ze względu na straty

¹⁰⁷⁾ Meinardus, Das Neumarkter Rechtsbuch u. and. Neumarkt. Rechtsquellen, nr 38, str. 242, § 9, r. 1356. Cod. dipl. Sil. VIII, nr 34, r. 1360.

¹⁰⁸⁾ Rach. Wrocl., str. 96, r. 1327. Meinardus, o. c., str. 242, § 1, r. 1356.

¹⁰⁹⁾ Kod. dypl. Krak. II, nr 309, § 6, sine anno. Kutrzeba-Praśnik, Dzieje handl. i kup. Krakowa, str. 12.

¹¹⁰⁾ Kod. dypl. Krak. II, nr 260, r. 1342.

¹¹¹⁾ Ibidem.

¹¹²⁾ Ibidem I, nr 29, r. 1354. Kat. Arch. Krak. I, nr 34, r. 1354.

kupiectwa miejscowego¹¹³). Trudno jednak było wykryć je, tym bardziej jeżeli weźmiemy pod uwagę, że istniały związki rodzinne między kupcami wrocławskimi czy też innych miast śląskich, a kupcami krakowskimi, którzy rekrutowali się z elementu niemieckiego, przeważnie śląskiego. Ci kupcy krakowscy, którzy pochodzili ze Śląska, trudnili się w Krakowie przeważnie handlem sukieniczym, jak np. wcześniej osiedlona rodzina Pawła z Brzeża¹¹⁴), Sydlina z Głogowa¹¹⁵) i inni. Mogli więc krewni ich ze Śląska liczyć na pomoc i sprzedaż towarów w krakowskich sklepach sukienicznych. W innych wypadkach kupiec uciekał się do przekupstwa¹¹⁶), charakterystycznego dla średniowiecznego handlu, mimo dozoru urzędników miejskich.

Wśród kupców w Krakowie przeważali kupcy zachodni, we Lwowie zaś wschodni. Dokument lokacyjny miasta Lwowa z 1356 r. daje prawo handlowania we Lwowie „Ormenis, Judeis, Saracenis, Ruthenis et alys gentibus”¹¹⁷). Przychodzili oni też do Krakowa, ożywiając targ miejscowy różnorodnością i bogactwem swoich towarów, zawsze pożądanym na zachodzie. Roilo się w miastach polskich od różnych kupców zagranicznych. Zdarzało się też, że nieubłaganym prawem śmierci zostawał kupiec na obcej ziemi, a wtedy majątek jego przechodził w połowie na rzecz państwa, a w połowie oddawano miastu, w którym handlował. Oczywiście działało się tak w wypadku, jeżeli kupiec nie pozostawił legalnego sukcesora¹¹⁸).

VI. WROCŁAW JAKO OGNISKO HANDLOWE I ŁĄCZNIK MIĘDZY ZACHODEM A WSCHODEM

Przewodniczące stanowisko Wrocławia w głównym handlu między krajami zachodnimi a wschodnimi powstało dzięki sprzyjającym warunkom geograficznym i zdolnościom handlo-

¹¹³) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 22, 23, § 15, bez daty. Meinardus, o. c., nr 38, § 6, r. 1356. Ptaśnik, Miasta w Polsce, str. 103. Kutrzeba, Handel Krak., str. 178-9.

¹¹⁴) Najstarsze księgi i rach. m. Krakowa I, nr 43, r. 1316, nr. 600, r. 1320, nr 711, r. 1340, nr 1654, r. 1353.

¹¹⁵) Ibidem, nr 1251, r. 1338, nr 1397, r. 1341.

¹¹⁶) Ptaśnik, Miasta w Pol., str. 103.

¹¹⁷) A. G. Z. III, nr 5, r. 1356.

¹¹⁸) Kod. dypl. Krak. I, nr 23, r. 1358.

wym mieszczaństwa wrocławskiego. Potrafiło ono ruchliwością swoją i ekspansją w jak najodleglejsze okolice ująć w swoje ręce handel główny i uzależnić obcych kupców od swojej polityki handlowej i swego rynku. Wrocław, położony nad Odrą, w środkowej części Śląska, panował na głównych szlakach handlowych, prowadzących w różnych kierunkach. Mając ustrój wzorowany na prawie niemieckim, ściągnął rychło obcych kupców w swoje mury, nawiązał kontakt z większymi miastami, stwarzając sieć stacji handlowych dla swoich kupców i towarów. Wschód nęcił kupców zachodnich perspektywą znacznych korzyści i możliwością wzbogacenia się na dostawie surowców wschodnich. Lecz aby dotrzeć do źródła, trzeba było oprócz nasuwających się trudności dróg średniowiecznych pokonać opór miast, leżących na tych drogach. Spośród nich zawsze jakieś wybijało się na centrum handlowe i wykształcało kupiectwo miejscowe, które w obronie swoich interesów stawiało przeszkody kupiectwu obcemu w postaci różnych przywilejów, a przede wszystkim tak zwane prawa składu. W zrozumieniu swego wyjątkowego położenia taką zaporę postawił Wrocław¹¹⁹⁾, z jednej strony dla kupców z krajów zachodnich, a z drugiej dla wschodnich, wśród których znaleźli się i kupcy polscy. Wrocław zatrzymywał na swoim rynku kupców różnej narodowości i kazał im pozbywać się towarów przeważnie za pośrednictwem miejscowych kupców. Wstrzymując z jednej strony kupców miast niemieckich w ich ekspansji handlowej na wschód, z drugiej strony sam rozwijał żywą działalność handlową w tym kierunku, przez ziemie polskie i ruskie do kolonii czarnomorskich. O wczesnym ruchu handlowym Wrocławia dowiadujemy się z jego udziału w targach kijowskich już w 1245¹²⁰⁾, a o intensywności ruchu, wzmożonego w XIV w., świadczą walki o „viam in Thartariam”. Taryfy celne wrocławskie z 1327 r. wspominają towary „wschodnie” i „heidnische ochsin”, pod którymi należy rozumieć woły tatarskie i wołoskie¹²¹⁾. Towary wschodnie najwięcej zysku przynosiły kupcom wrocławskim, ponieważ rozwozili je sami na zachód, szczególnie pożądane korzenie, lub pozwalali zaopatrywać się

¹¹⁹⁾ Korn, o. c., nr 43, r. 1274.

¹²⁰⁾ Wendt, o. c., str. 6.

¹²¹⁾ Korn, o. c., nr 122, r. 1327.

tylko na swoim rynku. Wrocławianie pozostawali w żywych stosunkach z najbliższymi sąsiadami swoimi na wschodzie, t. j. kupcami polskimi i ruskimi. Nazwa jednej z najgłówniejszych ulic Wrocławia, „vicus Russiacus”, na którą zajeżdżali kupcy „ex Russia et Polonia” ze swoimi towarami¹²²), świadczy o wymianie towarów między kupcami wschodnimi a wrocławskimi. Stosunki handlowe ze Wschodem za pośrednictwem Włodzimierza czy Lwowa uważali wrocławianie za podstawową część swego handlu i przebijali się nawet przez prawo składu miasta Krakowa, najgłówniejszego w drodze na Ruś. Najgorszym dla Wrocławia był brak wyraźnego przywileju, zezwalającego na przejście przez ziemie południowej Polski na wschód, przywileju takiego, jaki otrzymała Świdnica od Kazimierza Wielkiego w 1345¹²³). Mimo to, powołując się na stary zwyczaj korzystania z dróg polskich, starali się wrocławianie zawsze sami dotrzeć do bezpośredniego źródła zbytu, na rynek wschodni. Kupcy zachodni oddziaływali wyższą swoją kulturą na wschodnich, którzy w zamian dawali im możliwość wzbogacania się u siebie, poznania ich zapotrzebowania, odmiennej kultury i warunków życiowych. Towary przemysłowe, czy jako ich własne wyroby wiezione, czy jako towar tranzytowy, cieszyły się populem na wschodzie u ludności, która w zamian zbywała surowce, płody swojej ziemi, oraz różne towary obce przemysłowemu Zachodowi.

Jak wszystkie miasta śląskie, tak i Wrocław ciążył ku Czechom, za co Luksemburgowie, mając ułatwioną działalność polityczną na Śląsku, otaczali miasto szczególniejszą opieką. Od poddania się Śląska Czechom Wrocław datuje swój okres świetności handlowej. Szczególnie pod rządami przychylnego Karola IV miasto dochodzi do szczytu rozwoju. Za pośrednictwem tego władcy sięgają wrocławianie na podstawie zdobytego przywileju do Węgier, pragnąc pozbyć się pośrednictwa Krakowa w handlu węgierskim¹²⁴). Stale dążą wrocławianie do

¹²²) Rach. Wrocl., str. 9, przypis.

¹²³) Kazimierz W. otwiera drogę wyłącznie dla kupców świdnickich, przez Kraków, Sandomierz, na Ruś. Dokument ten ważny, ogłoszony przez Schmidta S. (*Geschichte d. Stadt Schweidnitz — Świdnica 1846*) oraz *Schlesische Provinzialblätter* z r. 1843, cytuje dosłownie J. Dąbrowski, *Dzieje polit. Śląska* (*Historia Śląska*, t. I), str. 454. Ponadto wspominają o tym przywileju Stenzel, *Gesch. Schles. I*, str. 320. Wendt, o. c., str. 27. Grünhagen, *Breslau u. Piasten*, str. 81-2.

¹²⁴) Korn, o. c., nr 243, r. 1365. Pol, o. c. I, str. 131.

uzyskania dostępu do bezpośredniego źródła zbytu i zakupu oraz ujęcia pośrednictwa w swoje ręce. Stojąc na straży dróg, prowadzących na wschód, przez Polskę, wstrzymywał Wrocław kupców niemieckich, czeskich, starając się dostarczyć im towarów wschodnich na swoim rynku.

Cała sieć dróg, prowadzących na zachód, wskazuje na szeroko rozgałęziony handel wrocławski i jego stosunki z miastami zachodnimi. Najlepsze warunki sprzyjały Wrocławowi w Pradze, gdzie miał poręczenie wolności handlowej od samego Karola IV¹²⁵⁾. Nie obce były Wrocławowi miasta saskie i dolno-niemieckie. Utrzymywał stosunki z Norymbergą i dostarczał na rynek polski towarów „norymberskich”. Żywe stosunki handlowe łączyły Wrocław z odległą Flandrią, skąd kupcy wrocławscy przywozili sukna, a dokąd wywozili korzenie, częściowo przez Frankfurt nad Odrą, a częściowo przez drogi wielkopolskie, do miast pruskich, a stąd Morzem Bałtyckim. Miasta morawskie, a za ich pośrednictwem austriackie, przede wszystkim zaś Wiedeń, wysyłały towary swoje na główny rynek wrocławski. Za pośrednictwem miast austriackich rynek śląski zaopatrywał się w niewielkiej ilości w towary wschodnie, których handel lewantyński dostarczał przez Wenecję do Austrii. Ale ruch handlowy Wrocławia przez Austrię w XIV w. był tak słaby, że za podstawę musimy przyjąć połączenie Śląska ze Wschodem przez Polskę¹²⁶⁾. W sieci dróg, otaczających Wrocław, spotykali się kupcy różnej narodowości — kupcy niemieccy, czescy, austriaccy, pruscy, polscy, rusczy i wschodni, wśród których przeważali Ormianie. Przywilej składowy Wrocławia wstrzymywał zasadniczo wszystkich kupców w tym głównym ośrodku handlowym, lecz prawa tego nie zawsze ściśle przestrzegano, a często sami kupcy próbowali omijać je. Kupców polskich spotykamy na drogach czeskich, w podróży do Pragi i na drogach do miast niemieckich¹²⁷⁾. Drogi te zamykano lub otwierano zależnie od napięcia stosunków politycznych czy handlowych, i wtedy Wrocław przypominał różne swoje przywileje, które ograniczały handel obcych. Mając możliwość poznać, za pośrednictwem różnych głównych

¹²⁵⁾ Koczy, o. c., str. 442.

¹²⁶⁾ Wendt, o. c., str. 47—51.

¹²⁷⁾ Huber, o. c., nr 1321, str. 105-6, r. 1350. Heller, o. c., str. 131.

środków handlowych, zapotrzebowania odległych rynków, starał się Wrocław zaspokoić je odpowiednio, dostarczając przetworów przemysłowych rodzimych, czy tranzytowych, lub towarów wschodnich. Tak rozległy handel Wrocławia, przy sprzyjających warunkach, musiał wpłynąć w krótkim czasie na rozwój miasta, bogactwo mieszkańców, spośród których kupiectwo miało możność wybić się na uprzywilejowaną klasę w społeczeństwie.

VII. KRAKÓW JAKO ŚRODOWISKO HANDLOWE I JEGO ROLA W DRODZE NA WSCHÓD

Takie znaczenie handlowe, jakie posiadał Wrocław na Śląsku, w Polsce posiadał Kraków. I z jednym i z drugim miastem liczone się w ogólnym handlu, jako najpoważniejszymi środowiskami i reprezentantami kupiectwa krajowego.

Sprzyjające położenie geograficzne pozwoliło Krakowowi ująć w swoje ręce główny handel w Polsce i stanąć na straży dróg, prowadzących na południe, do Węgier i na wschód, na Ruś. Dzięki korzystnym warunkom wzbogaciło się mieszczaństwo krakowskie i ściągnęło na swój rynek kupców „de diuersis climatibus”¹²⁸⁾, którzy wpłynęli dodatnio na rozwój i ożywienie handlu krakowskiego. Ziemie południowej Polski, przez które prowadziły drogi na Węgry i Ruś, były silniej zaludnione i zagospodarowane od innych okolic, co pozostaje w związku z ruchem handlowym. Prócz naturalnego położenia geograficznego Krakowa, skierowanie odpowiednio dróg handlowych, ustanowienie prawa składu¹²⁹⁾, przygotowało grunt do stanowiska, jakie zajmie miasto przy poparciu Kazimierza Wielkiego. Kraków był głównym składem tak dla towarów wschodnich, jak i zachodnich, które przyniosły bogactwo kupcom miejscowym. Dzięki sprzyjającym warunkom wybili się oni na reprezentantów kupiectwa krajowego. Korzystanie Śląska z dróg handlowych, strzeżonych przez Kraków, na mniej lub więcej korzystnych warunkach, zależało od chwilowego stanowiska tego miasta wobec kupców obcych, od stosunków politycznych czesko-

¹²⁸⁾ Kod. dypl. Krak. I, nr 1, r. 1257.

¹²⁹⁾ Ibidem, nr 4. W 1306 r. ustanowiono prawo składu dla Krakowa przez Łokietka.

polских, a wreszcie od powoływania się Krakowa na prawo składu, które jak wszędzie, w innych miastach, nie było przestrzegane bez przerwy. Czasy Kazimierza Wielkiego w Polsce kończą okres supremacji handlu wrocławskiego w drodze na wschód, na korzyść Krakowa. Wprawdzie pierwsze lata rządów Kazimierza Wielkiego nie wykazują zbyt troskliwej uwagi króla o stanowiska Krakowa w handlu, oraz chęci podniesienia go do tym większego znaczenia jako najgłówniejszego miasta polskiego, ale już sama zmienna polityka tego króla wobec Śląska nie dawała Wrocławowi widoków trwałych na korzyść w handlu wschodnim. Nie słyhać o potwierdzeniu krakowskiego prawa składu, obchodzonego przez obcych, co narażało miasto na straty, ani nie słyhać w pierwszych latach rządów królewskich o nadaniu jakiegokolwiek korzystnego przywileju dla Krakowa. Wprawdzie panujący zasadniczo nie dbali specjalnie o miasta a ich zarządzenia handlowe były wynikiem dążeń i zapobiegliwości mieszczaństwa¹³⁰⁾, ale też trudno pomyśleć, aby Kraków przez długie lata milczał i nie czynił żadnych starań u króla w tak ważnej sprawie, związanej z życiem handlowym miasta. To milczenie ze strony króla można tłumaczyć częściowo pamięcią na nieprzychylnie stanowisko miasta w sprawie ojca¹³¹⁾, a częściowo zajęciem się sprawami politycznymi. Na ten niepomysłny okres dla Krakowa przypada fakt nadania toruniom wolnego handlu sukniem w 1345 r.¹³²⁾, oraz skierowania w 1349 drogi na Węgry, przez Sandomierz z ominięciem Krakowa¹³³⁾.

Z drugiej strony i handel Wrocławia w tym okresie musiał niewątpliwie doznawać pewnych trudności, choćby ze względu na swoją politykę, sprzyjającą Czechom w czasie walk na Śląsku. Na rok 1345 przypada wydanie przywileju handlowego, otwierającego mieszczenom świdnickim wolną drogę przez Kraków-Sandomierz na Ruś, o którą to drogę tak bardzo zabiegali wrocławianie¹³⁴⁾. Akt ten mógł przyczynić się do podkopania stanowiska handlowego Wrocławia. Kraków leżał na drodze handlowej, prowadzącej nie tylko na wschód, ale i na

¹³⁰⁾ Kutrzeba, *Handel Krakowa*, str. 75-6.

¹³¹⁾ Kutrzeba-Ptaśnik, *Dzieje handlu i kup. krak.*, str. 14.

¹³²⁾ Voigt, o. c. III, nr 50, str. 74, r. 1345.

¹³³⁾ *Ibidem*, nr 60, str. 82, r. 1349.

¹³⁴⁾ Dąbrowski, *Dzieje polit. Śląska*, str. 454. Stenzel, *Gesch. Schl. I*, str. 320.

południe, na Węgry, z których towarów korzystał Śląsk. Drogi te jednak nie miały dla kupców śląskich tak doniosłego znaczenia jak wschodnie i nie słyszy się o żadnych walkach, czy nieporozumieniach na tle dróg węgierskich. Widocznie kupcy śląscy godzili się z pośrednictwem rynku krakowskiego, a jeżeli sami chodzili na Węgry, to ruch ten musiał być słaby stosunkowo, nie przynoszący szkody handlowi krakowskiemu. Epokowym rokiem dla dziejów handlu Krakowa był rok 1354, w którym król otwiera to miasto, którego „fama longe lateque per orbem ubilibet commendabiliter predicatur...” dla kupców obcych (*extraneis quibuscumque venientes*)¹³⁵). Równocześnie z tym rozporządzeniem łączy się zakaz wzajemnego handlu między obcymi (*declaramus... ut mercatores ab aliunde mercimonia sua inter se vendere aut emere nullatenus presumant sub penis... sed Merces suas fidelibus nostris Ciuibus Cracouviensibus... vendant et emant ab eisdem...*)¹³⁶).

Zaczynają się dla tego miasta lepsze czasy w okresie panowania Kazimierza Wielkiego. W cztery lata później otrzymuje Kraków wielki dyplom królewski, odnawiający i pomnażający prawa i przywileje miasta, który będzie potwierdzeniem stanowiska Krakowa, jako miasta składowego. Król nakazuje kupcom sądeckim i węgierskim iść w stronę Śląska, Czech, Moraw... *nullas vias extraneas vel inconsuetas... nisi per... ciuitatem cracouviensem...*¹³⁷). W tym samym przywileju otrzymuje Kraków zwolnienie od wszelkich ceł wewnątrz państwa¹³⁸). Otwarcie Krakowa dla obcych, przymus drożny, zakaz wzajemnego handlu między obcymi i zwolnienie od ciężarów celnych, dało Krakowowi odpowiednie warunki do zajęcia poważnego stanowiska wobec handlu zagranicznego i wzbogacenia miejscowego kupiectwa.

To zainteresowanie się i wyraźne zwrócenie uwagi Kazimierza Wielkiego na Kraków i jego handel, po długim milczeniu, pozostaje w łączności z polityką króla na Śląsku, która w tym czasie przybiera charakter pokojowy, oraz pozostaje w związku z zagospodarowaniem ziem ruskich. Z przyłączeniem Rusi do

¹³⁵) Najst. księgi i rach. Krak., str. XXXII (wstęp). Kod. dypl. Krak. I, nr 29, r. 1354. Kat. Arch. Krak. I, nr 34, r. 1354. Janowski, o. c., str. 416.

¹³⁶) Ibidem.

¹³⁷) Kod. dypl. Krak. I, nr 32, r. 1358.

¹³⁸) Ibidem.

Polski powstała u Kazimierza Wielkiego koncepcja stworzenia z Krakowa głównego emporium dla handlu wschodniego, z wykluczeniem obcych kupców. Drogi otwarte dla Krakowa przez Ruś, stanowiącą rozszerzenie granic polskich w kierunku wschodnim, nie nasuwały żadnych trudności, a na podstawie wspomnianego wyżej zwolnienia celnego mógł Kraków liczyć na tym większe zyski z towarów wschodnich. Jak reagował na to Wrocław w tych latach pomyślnych dla Krakowa, to zobaczymy niżej¹³⁹⁾. I jeszcze jedno zwolnienie celne w 1360 r. dla kupców krakowskich, w drodze handlowej na wschód, przez Krzeszów i Lubaczów¹⁴⁰⁾, zapewni im większe zyski. W tymże roku pospieszy Kazimierz Wielki mieszczaństwu krakowskiemu z pomocą, gdy Zakon zamknie mu drogę przez Prusy do Flandrii¹⁴¹⁾. Lecz nie na tym koniec troskliwości królewskiej o dobro swego kupiectwa i sympatii, o której Kazimierz Wielki sam zapewnia Kraków. W 1363 r. ustanawia król w Krakowie prawo składu na sierść kozią, idącą z Rusi (*Ciuitatem Cracoviensem et Incolas... gracia prosequimur et fauore speciali... damus depositum... Nyderlage... De omnibus Pylis Caprarum, wlgariter dictis Cygehor de terra nostra Russye et presertim de Ciuitate Lemburgensi... dictos pilos emendi... vendendi... deponendi...*)¹⁴²⁾. Mimo tych przywilejów w ostatnich latach Kazimierza Wielkiego widać rozprężenie w stosunkach handlowych. Słabnie moc prawa składu, przepisy drogowe nie są przestrzegane w praktyce¹⁴³⁾, skład miedzi i żelaza węgierskiego w Bochni a nie w Krakowie¹⁴⁴⁾. W memoriale z 1369 r. skarżą się mieszczaństwo krakowscy królowi na ciężkie warunki, nie mogą kupcy handlować za granicą, ani obcy u nich... *nisi cum dispendio satis gravi...* z powodu lichej monety (*propter monetam quartensium*), która narażała kupców na straty¹⁴⁵⁾. Krótki był okres, pełen jak najpomyślniejszych warunków dla handlu polskiego, warunków odpowiednich do wykazania tężyzny i żywotności handlu specjalnie krakowskiego, który swymi wpływami sięgał tak nad

139) Patrz „Walki Wrocławia o drogę „in Tartariam“.

140) Kod. dypl. Krak. I, nr 33, r. 1360.

141) Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kup. Krak., str. 14.

142) Kod. dypl. Krak. I, nr 35, r. 1363.

143) Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kup. Krak., str. 14.

144) Najstarsze księgi i rach. Krak. f. 44 v., str. 24-5, r. 1369.

145) Najst. księgi i rach. Krak. II, str. 24-5, fol. 44 v., r. 1369.

Morze Czarne, do Węgier, chwilowo do Austrii, jak i na Śląsk, Morawy, Czechy, do Niemiec, a nawet na rynek ogólny, międzynarodowy, do Flandrii. Nagle następuje zwrot niepomysłny, pogrąża handel krakowski w ostatnich latach panowania Kazimierza. Nie długo jednak trwa ten stan, gdyż po śmierci króla budzi się kupiectwo do żywszej akcji, wykorzystując odpowiedniejszą sytuację, t. j. wstąpienie na tron nowego władcy, który potwierdza Krakowowi prawo składu, jako podstawę rozwoju handlowego miasta¹⁴⁶).

VIII. WALKI HANDLOWE WROCŁAWIA O DROGĘ „IN THATARIAM”

Walka o drogę tatarską, prowadzącą do kolonii czarnomorskich, głównego rynku towarów wschodnich, rozgrywała się między dwoma środowiskami handlowymi, t. j. Wrocławiem ze strony Śląska i Krakowem ze strony Polski.

Na straży dróg wschodnich stał Kraków, ujmując w swoje ręce pośrednictwo między Wschodem a Zachodem. Kupcy zachodni, przede wszystkim śląscy, pragnęli uniknąć tego pośrednictwa, dążąc do stworzenia z Wrocławia takiego głównego rynku dla towarów wschodnich, jaki chciał stworzyć u siebie Kraków.

Drogi, prowadzące na wschód, przez Ruś, były zmienne w różnych okresach. Królowie polscy kierowali nimi odpowiednio do stosunków politycznych i zmian na dalekim wschodzie. Gdy w początkach XIV w. handel wschodni przez Syrię i Egipt do Wenecji i Genui został wstrzymany przez Turków, wtedy kolonie genueńskie nad Morzem Czarnym wysyłały towary swoje do Polski „drogą tatarską”¹⁴⁷). Następstwem tego był upadek Kijowa, którego spadkobiercą stał się Włodzimierz wołyński, stacja handlowa na Rusi, która była celem szczególniejszych zabiegów kupców zachodnich. Włodzimierz utrzymywał się do końca XIV w., choć w drugiej połowie tego wieku prześciga go Lwów, dzięki wcieleniu Rusi do Polski i dzięki gospodarczej polityce Kazimierza Wielkiego na tej ziemi.

¹⁴⁶) Voigt, o. c. III, nr 105, r. 1372. Kod. dypl. Krak. I, nr 41, r. 1372.

¹⁴⁷) Wendt, o. c., str. 19.

Drogi wschodnie należały do najniebezpieczniejszych, szły bowiem w naszym okresie przez okolice, pozbawione gęściej rozłożonych osiedli ludzkich. Walki na Rusi, trwające szereg lat, od 1340—1366¹⁴⁸⁾ przyczyniały się do rozruchów i niebezpieczeństw na drogach ruskich. Z chwilą zajęcia Rusi i zamknięcia dostępu dla obcych na drogę tatarską przez Ruś, musiał Kazimierz Wielki pomyśleć i o korzyściach, płynących dla handlu krajowego. Polityka handlowa króla polskiego zaczyna wykazywać dążność do zmonopolizowania handlu towarami wschodnimi w ręku krajowego kupiectwa. Pierwszym krokiem ze strony króla, mającym na celu utrudnić handel obcym kupcom na polskich drogach, było ustanowienie nowych ceł. Tego rodzaju rozporządzenia wywoływały niepokój i niezadowolenie wśród kupców, oraz starania o zniesienie tych ceł. Około 1348 r. rajcy wrocławscy proszą w liście do Karola IV, ażeby przy sposobności uzyskał od króla polskiego pozwolenie na przejście przez Ruś, dla kupców wrocławskich z towarami „sine novi theloni et aliis gravaminibus inconsuetis”¹⁴⁹⁾. Lecz jakby niepewni byli korzystnej odpowiedzi króla polskiego, szukają na wszelki wypadek innego wyjścia. Proszą wrocławianie równocześnie, aby cesarz niemiecki a zarazem król czeski postarał się w traktatach z margrabią brandenburskim i braćmi swoimi o bezpieczne przejście dla kupców, „quia per Polonia non presumunt transire...”¹⁵⁰⁾. Sposobność do spełnienia prośby mieszczan wrocławskich nadarzyła się w tym samym roku z racji zawarcia pokoju namysłowskiego. Nie wiadomo jednak, czy Karol IV poruszał sprawę, związaną z prośbą wrocławian, bo o cofnięciu rozporządzenia Kazimierza Wielkiego czy złagodzeniu nic nie słyhać. Fakt, że w następnym roku z wiosną znowu przypominają wrocławianie listownie sprawę „de transitu Russiae”¹⁵¹⁾. Jak bardzo im zależało na tej zamkniętej drodze, świadczy fakt, że sami zapewniają listownie króla polskiego o bezpiecznych przejściach dla kupców jego w drodze na zachód¹⁵²⁾. Tej samej treści list wysyłają też do Zakonu, aby zapewnić sobie drogę na wypadek możliwego porozumienia z Li-

¹⁴⁸⁾ Dąbrowski, Dzieje Polski II, str. 344.

¹⁴⁹⁾ Korn, o. c., nr 189, str. 169, r. 1348. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 320.

¹⁵⁰⁾ Korn, o. c., nr 189, str. 169, r. 1348.

¹⁵¹⁾ Korn, o. c., nr 189, str. 169, 27 III 1349.

¹⁵²⁾ Ibidem.

twą¹⁵³). Z pozwolenia wrocławian musieli niewątpliwie korzystać kupcy polscy, lecz nie długo, bo już w 1350 r. Karol IV wydała wszystkich kupców polskich ze swoich krajów¹⁵⁴), może zrażony uporem króla polskiego. Równocześnie jakby dla usprawiedliwienia swego kroku wobec polskich kupców zapewnia Kazimierza o swej opiece nad kupcami polskimi, ale za cenę odpowiedniego stosunku do kupców śląskich i czeskich w Polsce. To zapewnienie bezpieczeństwa kupcom polskim na zachodzie nie zrobiło na Kazimierzu Wielkim żadnego wrażenia, bo zarządzeń swoich nie cofa.

Ale mimo tych zakazów kupcy wzajemnie odwiedzali swoje kraje, zapewne pokryjому, przekradając się przez drogi handlowe z narażeniem mienia i życia. Odpowiedzią na to są nowe rozporządzenia ze strony króla czeskiego w 1352 r., zarządzające represje... occupandi, arestandi et detinendi rebus et personis... in omnibus partibus nostre dicionis... imperio... et regno Boemie subiectis...¹⁵⁵), — jeżeli kupcy wrocławscy doznają przeszkód, czy trudności ze strony urzędników króla polskiego, w drodze do Polski, na Ruś, czy do Prus. Zarządzenie takie było wydane jako przejściowe, zależnie od traktowania kupców zachodnich w Polsce, gdyż wyraźnie zaznacza król — donec vobis et vestrum cui libet iniuriam... patientium fuerit satisfactum¹⁵⁶). Rozporządzenia te znane były wszystkim urzędnikom królewskim, których pomocy mogli spodziewać się wrocławianie (presidio quorumlibet officialium nostrorum occupandi...)¹⁵⁷). W dwa miesiące później, t. j. w kwietniu 1352 r., powtarzają się zarządzenia królewskie tej samej treści, wywołane widocznie niezmiennym postępowaniem władz polskich¹⁵⁸). Nie pomogły jednak ani prośby ani groźby wrocławian, bo król polski dążył wytrwale do zmuszenia obcych, aby korzystali jedynie z pośrednictwa targu krakowskiego. Już w 1353 lub w pierwszych dniach 1354 r. Kazimierz Wielki zamyka całkowicie dostęp na Ruś wszystkim obcym, o czym wrocławianie donoszą

¹⁵³) Ibidem.

¹⁵⁴) Stenzel, *Gesch. Schles.* I, str. 321.

¹⁵⁵) Korn, o. c., nr 208, 22 II 1352. Mosbach, o. c., str. 79, 24 II 1352.

¹⁵⁶) Ibidem.

¹⁵⁷) Ibidem; Huber, o. c., nr 1465, str. 116, r. 1352.

¹⁵⁸) Klose v. Breslau, o. c. t. II, cz. 1, list 48, str. 198, 22 IV 1352 r. Huber, o. c., nr 1465, str. 116, 20 IV 1352, nr 1466, 22 IV 1352 r. Pol, o. c. I, str. 124. Jekel, o. c. I, str. 178.

ze skargą Karolowi IV¹⁵⁹). Z listów wrocławian dowiadujemy się o oświadczeniach Kazimierza Wielkiego, że wszystkie „strate et vie publice” w stronę Rusi są zamknięte dla obcych kupców, co według wrocławian jest „niesłuszne”¹⁶⁰). Wrocławianie musieli pytać króla polskiego o powód tak ostrych zarządzeń, bo donoszą Karolowi IV o odpowiedzi Kazimierza Wielkiego, że „se terram Russye propriis suis hominibus expugnasse, et quod illa via solum suis hominibus et mercatoribus patere deberent”¹⁶¹). Stanowisko Kazimierza Wielkiego wobec obcych kupców wywołało oburzenie na Śląsku i postanowiono jak najdalej posunąć represje wobec kupców polskich, zatrzymywać ich, nie puszczając dalej a towarów nie pozwolić nawet rozpakować (co-gere debeamus ipsos non sinendo res ipsorum apud nos dissolvere, religere aut vendere aut quaslibet alias negociaciones exhercere...) ¹⁶²). Co więcej, wrocławianie proszą Karola IV nie tylko o wykluczenie kupców polskich z Wrocławia, ale i o wydanie surowych przeciw nim zarządzeń także i na ziemiach pruskich, na co król odpowiada przychylnie (dirigeret litteras magistro generali et preceptoribus terre Prussye, virtute quarum cives et mercatores regis Poloniae impedire valerent...¹⁶³). Do jeszcze większego zaostrzenia stosunków handlowych śląsko-polskich przyczyniło się nowe zarządzenie Kazimierza Wielkiego w 1354 r., że „gość” z „gościem” nie może wchodzić w żadne porozumienie handlowe¹⁶⁴). Wskutek tak utrudnionych warunków handlowych nie pozostawało Wrocławowi nic innego, jak powrócić do podjętego już dawniej pomysłu okrażenia Polski przez Prusy i Litwę na Ruś, o co już pertraktowano kilkakrotnie, bez definitywnego załatwienia. Omawiając ciągle plan dróg przez Prusy, Litwę na Ruś, z ominięciem granic Polski i obowiązków celnych, wrocławianie zdawali relacje Karolowi IV¹⁶⁵) i w jednym z listów donoszą z radością, że będą ko-

¹⁵⁹) Huber, o. c., nr 1466, str. 117, r. 1352. Klose v. Breslau, o. c., t. II, cz. 1, 48, str. 199, 24 IV 1352.

¹⁶⁰) Korn, o. c., nr 189, str. 170, 19 II 1354 r.

¹⁶¹) Ibidem. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 321.

¹⁶²) Korn, o. c., nr 189, str. 170, 19 II 1354 r.

¹⁶³) Ibidem. Hans. Urk. III, nr 287, 2 III 1354 r.

¹⁶⁴) Kod. dypl. Krak. I, nr 29, r. 1354.

¹⁶⁵) Korn, o. c., nr 189, str. 172, 2 III 1354 r., 20 XI 1355. Hans. Urk. III, nr 347, r. 1355. Mendl, Reg. Boh. et Moraviae Pars VI, Fasc. I, nr 167, 20 IX 1355 r.

rzystać z dróg Zakonu „ohne Zollpflicht”¹⁶⁶). Nie miało to jednak praktycznej wartości, bo była to droga 3—4 razy dłuższa niż przez Polskę, a nadto przez terytorium litewskie trudniejsza, z powodu jego lesistości i bagnistości. W okresie porozumienia śląsko-pruskiego, stosunki handlowe z Polską stoją nadal pod znakiem represji¹⁶⁷). Wynika to z korespondencji Karola IV z Radą miasta Frankfurtu, w której król donosi, że przeszkody handlowe są zwrócone tylko jako odwet przeciw królowi polskiemu (in Prag verordnete handelsperre nur eine represalie die von dem Könige von Ungarn und von Krakau... angelegte spere sei und dass er seinerseits zur wiederstellung gegenseitiger handelsfreiheit gern bereit wäre...¹⁶⁸). Wreszcie w 1360 r. Zakon zamyka drogę przez Prusy do Flandrii dla kupców polskich, prawdopodobnie w odwet za stanowisko Kazimierza Wielkiego wobec kupców obcych¹⁶⁹). Ten fakt, jak i porozumienie śląsko-pruskie w sprawie dróg przez Litwę na Ruś tak zaniepokoiły Kazimierza Wielkiego, że zwrócił się o pomoc do samego papieża. Na skutek prośby króla polskiego upomina papież Zakon, aby kupcy szli... ad Tartarorum et Russie partes... przez ziemie Kazimierza Wielkiego¹⁷⁰), który zapewne zdecydował się już otworzyć dostęp do swoich dróg. Papież każe Zakonowi ...predictos pontes diruere, passus tollere et mercatorum transitum ad iter solitum reducere...¹⁷¹). Na 1364 r. urywają się wiadomości źródłowe, ilustrujące stosunki handlowe śląsko-polskie za Kazimierza Wielkiego. Możemy przypuszczać, wobec interwencji Kazimierza Wielkiego u papieża, że król zgodził się sam na otwarcie dróg swoich a wrocławianie napewno skwapliwie wykorzystali sytuację. Droga przez Prusy i Litwę była zbyt okrężną i nastroczała jeszcze więcej trudności przez kraj pogański, niż drogi polskie. Ponadto stosunki Zakonu z pogańską Litwą nie mogły być nigdy trwałe ani pożądane przez samą Litwę. Trudno przypuszczać, aby Wrocław wahał się w wyborze.

¹⁶⁶) Ibidem.

¹⁶⁷) Huber, o. c., nr 2896, str. 236, 25 I 1359 r.

¹⁶⁸) Ibidem.

¹⁶⁹) Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kup. krak., str. 15. Kazimierz W. zamknął drogę na Ruś w 1353 r. także i dla kupców pruskich — stąd silniejsze połączenie Zakonu z Wrocławiem w sprawie dróg na Ruś.

¹⁷⁰) Theiner, Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae, nr 845, r. 1364.

¹⁷¹) Ibidem.

IX. RODZAJE TOWARÓW W OBROTCIE MIĘDZY POLSKĄ A ŚLĄSKIEM

a) Towary rodzime wywożone z Polski na Śląsk

Podstawą eksportu polskiego na Śląsk była sól z żup krakowskich. Ze względu na znaczenie tego produktu w wywozie, zajmujemy się nim obszerniej.

Zapotrzebowanie soli w życiu codziennym, gospodarczym skłoniło do poszukiwań na Śląsku za pokładami soli, nie uwieczonych jednak żadnym realnym skutkiem¹⁷²). Korzystały z tego sąsiednie kraje, znajdując rynek zbytu dla swej soli i ubiegając się wzajemnie w dostawie. Sól polska z Bochni i Wieliczki dostawała się przeważnie za pośrednictwem kupców krakowskich na Śląsk już w XIII w.¹⁷³), a za Kazimierza Wielkiego opanowuje już systematycznie rynek śląski, rywalizując z solą halską i lüneburską¹⁷⁴). Sól przywożono do miasta i składano w osobnym budynku, przeznaczonym na przechowanie tego artykułu (Salzhaus). Budynek ten mieścił się zwykle obok ratusza¹⁷⁵). Sól sprzedawano na osobnym rynku solnym („in foro Salinario"). Dla kupców z Polski i Rusi przeznaczono w Wrocławiu ulicę, która wcześniej otrzymała nazwę „vicus Rusiacus"¹⁷⁶). Tu zajeżdżali kupcy ze swoimi towarami, rywalizując na rynku solnym z solą niemiecką. W taryfie celnej Henryka VI z 1327 r. występuje w Wrocławiu obok soli halskiej sól z Krakowa, od której opłata wynosi 1½ ćwiertni soli od konia... (welch gast her brengit salcz von Cracou der gibt von dem pferde andirhalb virtel salcz)¹⁷⁷). Księgi rachunkowe Wrocławia w zamknięciach rocznych wspominają do 1354 r. ogólnie dochody „de sale", zasadniczo pod ogólną sumą dochodów¹⁷⁸).

¹⁷²) Skibiński, Handel solny we wczesn. średn. pol., str. 453.

¹⁷³) Kutrzeba, Handel Krak., str. 81-2.

¹⁷⁴) Ibidem. Wutke, Besorgung Schlesiens mit Salz, str. 238.

¹⁷⁵) Tzschoppe u Stenzel, o. c., str. 198-9.

¹⁷⁶) Rach. Wrocl., str. 9, przypis.

¹⁷⁷) Korn, o. c., nr 122, § 27, r. 1327. Wutke, Besorg. Schl. m. Salz, str. 282-3. Grünhagen, Breslau u. Piasten. str. 104, autor odmiennie interpretuje tekst. Słowo „andirhalb" odnosi do zapłaty pieniężnej na podstawie tekstu odnoszącego się do soli halskiej... welch gast brengit salcz von Halle der shal gebin ein halb lot von dem pferde und ein halb viertel Salcz... Tłumaczenie takie uważamy za błędne.

¹⁷⁸) Rach. Wrocl., str. 69, r. 1344, str. 72-3, r. 1347, str. 75-6, r. 1349, str. 78, r. 1351, str. 79—80, r. 1352, str. 81, r. 1353, str. 82, r. 1354. Te dochody po-

W następnych latach spotykamy określenie „de salc utroque”¹⁷⁹⁾, pod którą to nazwą rozumiano sól z Halle i Krakowa¹⁸⁰⁾. Powodzenie soli krakowskiej, jak i lüneburskiej, a szczególnie halskiej, która cieszyła się bardzo dobrą opinią, nie musiało być stale jednakowe. Dużo zależało od ceny i gatunku. Z czasem sól krakowska zdobywa powodzenie na rynku wrocławskim. Wskazują na to rachunki z 1387 r., gdzie sól krakowska przewyższa przywozem trzykrotnie sól halską¹⁸¹⁾. Dochody miasta z soli musiały być znaczne, jak wskazują nieliczne wzmianki. W 1348 r. wynoszą one 327¹/₈ Mk (¹/₈ Mk = 6 gr¹⁸²⁾, a w 1349 r. 310 Mk 36 gr¹⁸³⁾. W stosunku do ogólnych dochodów, wynoszących razem sumę najwyżej dwukrotnie większą, widzimy, że sama sól przewyższała dochodami swymi inne opłaty i musiano też dużo jej przywozić. Oczywiście nie wszystko zostawało w Wrocławiu. Wywożono też dalej, za złożeniem poprzednio opłaty należnej miastu¹⁸⁴⁾. Na rynku wrocławskim spotykamy sól polską dwojakiego rodzaju: a) drobną (sal minutum, centenariatum)¹⁸⁵⁾, sprzedawaną na miary, ćwiertnie (mensura), lub w beczkach (sal tunnatus)¹⁸⁶⁾ i b) sól w sztukach dużych, zwanych bałwanami (sal bancatum)¹⁸⁷⁾. Wyraźne dowody istnienia na rynku śląskim tej pierwszej soli mamy w wspomnianej taryfie celnej wrocławskiej, zaś o drugiej wspomina ordynacja salinarna Kazimierza Wielkiego (sal bancatum quod datur Vratislaviam)¹⁸⁸⁾. Bałwany soli bywały różnej wielkości, w różnych czasach, np. za Kazimierza Wielkiego bałwan soli miał osiem centnarów¹⁸⁹⁾. Król wydał też rozporządzenia co

chodzą najprawdopodobniej z monopolowej sprzedaży soli. Miasto otrzymuje w 1336 r. wyłączne prawo sprzedaży soli. Bresl. Urk., nr 151.

¹⁷⁹⁾ Rach. Wrocl., str. 83, r. 1355, str. 85, r. 1356, str. 87, r. 1357, str. 88, r. 1358. Wutke, o. c., str. 283.

¹⁸⁰⁾ Ibidem, str. 131, rachunki z r. 1387.

¹⁸¹⁾ Rach. Wrocl., str. 131, r. 1387.

¹⁸²⁾ Ibidem, str. 75, przyp. 8, r. 1349.

¹⁸³⁾ Ibidem, str. 76, r. 1349. Tzschoppe u. Stenzel, o. c., str. 198.

¹⁸⁴⁾ Korn, o. c., nr 122, § 27, r. 1327.

¹⁸⁵⁾ Helcel, o. c. I, str. 225.

¹⁸⁶⁾ Kutrzeba, Handel Krak., str. 137-8. Grabowski, Kraków i jego okolice, str. 285.

¹⁸⁷⁾ Cod. dipl. Sil. XXII (Reg. zur schles. Gesch.), nr 5072, dok. po 1332, a przed 1370 r.

¹⁸⁸⁾ Helcel, o. c. I, str. 223, ordynacja z 1368 r.

¹⁸⁹⁾ Ibidem, str. 221.

do ceny, jaką żupnicy mieli nakładać na bałwan soli dla kupców krajowych (*mercatoribus... regnicolis*) i dla obcych (*extraneis hominibus... de terris alienis supradictis*), wśród których wymienia i śląskich. Zagraniczni oczywiście mieli płacić drożej¹⁹⁰). Jak płacili oni za sól drobną, nie wiemy — może tak jak krajowi, a może i drożej, bo źródło podaje nam ogólnie... *in minuto sale quilibet lapis per sex grossos*¹⁹¹). Głównym składem soli jak i wszystkich towarów dla kupców śląskich był Kraków, który starał się zmonopolizować handel solny. Z tego powodu musieli cierpieć i doznawać pewnych przeszkód prasołowie z Wieliczki i Bochni, trudniący się rozwożeniem soli. Kazimierz Wielki nadaje im pełne prawo wożenia soli na Śląsk (*sal mundum ad alienas partes... Russiam, Sleziam*), oraz do Krakowa sól dla piekarzy i dla kupców obcych (*sal commune ad depositorium Cracoviense, propter pistores panum et etiam propter vectores, de alienis partibus venientes*)¹⁹²). Prasołowie otrzymują pozwolenie na wożenie soli w bałwanach do Oświęcimia, Żor, Raciborza, Opawy, Głupczyc i gdziekolwiek zechcą bez przeszkody (*sine impedimento*)¹⁹³). Na rynki te nie wolno było przywozić tańszej soli drobnej, aby nie psuć interesu prasołom (*sal centenariatum non debent ire ad Oswynczyn, nec ad Zator neque ad civitatem, que dicitur Canthy, quia forum salsatoribus destruerentur*)¹⁹⁴). Równocześnie zabroniono obcemu kupcowi iść po sól gdzie indziej, jak do wspomnianych składów, pod karą konfiskaty towaru przez solarzy¹⁹⁵). W ten sposób solarze chcieli zmusić do kupowania u siebie, oczywiście hurtownie, bo drobna sprzedaż pozostawała w ręku kramarzy¹⁹⁶). Z miejscowości składowych wymienionych, Oświęcim otrzymał skład soli już dawniej¹⁹⁷) (1291 r.), ale kupcy zawsze dążyli do zakupów wprost u źródła, to też zakazy panujących były bezskuteczne, lub na krótko zyskiwały znaczenie w praktyce. Te wspomniane „depositoria” mogły mieć znaczenie dla

¹⁹⁰) Ibidem.

¹⁹¹) Helcel, o. c. I, str. 220, r. 1368.

¹⁹²) Ibidem, str. 219.

¹⁹³) Ibidem, str. 225.

¹⁹⁴) Helcel, o. c. I, str. 225. Cod. dipl. Sil. XXII, nr 5072, str. 139, r. 1332—1370.

¹⁹⁵) Helcel, o. c. I, str. 225, r. 1368.

¹⁹⁶) Kutrzeba, *Finanse Krakowa*, str. 99.

¹⁹⁷) Jekel, o. c., str. 223.

najbliższych miejscowości, w których kupcy drobniejsi kupowali u solarzy, aby potem sprzedawać w swoich kramach detalicznie. Kupcy wrocławscy omijali Oświęcim a zaopatrywali się na rynku krakowskim sami, lub nabywali u siebie od kupców krakowskich. Sprzedaż soli była początkowo prawem książęcym, ale z czasem przeszła na miasta, które musiały zabiegać o pozyskanie tego prawa¹⁹⁸). W 1336 r. miasto Wrocław otrzymuje od Jana Luksemburskiego prawo kupna i sprzedaży wszelkiej soli (*sal quodcumque ad ciuitatem perduci contingerit, undecumque deductam liceat vobis dumtaxat emere libere et vendere perpetuo in ciuitate vestra et non aliis hominum aut persone...*¹⁹⁹). Prawo to potwierdza Karol IV w 1352 r. z dodatkiem, że obejmuje ono sól każdego gatunku, przywiezionego do Wrocławia (*cuuscunque speciei consistat*)²⁰⁰). Jeżeli panujący pozbywał się dochodów tak poważnych, to czynił to albo dla jakiegoś interesu, albo dla wynagrodzenia zasług miasta, jak np. uczynił to Karol IV za wierność dla Luksemburgów. Lignica otrzymała prawo sprzedaży soli za uwolnienie kraju od długów²⁰¹). Czasem panujący dawał prawo sprzedaży soli z zastrzeżeniem dostarczania pewnej ilości soli rocznie dla niego²⁰²). Obok soli wywoził kupiec krakowski na Śląsk wino, ołów, воск, czerwiec i inne towary, które były częściowo rodzimymi a częściowo tranzytowymi. Towary te jednak nie mają takiego znaczenia w handlu wywozowym Polski jak ma sól. „De vino Polonicali”, jako artykuły eksportowym polskim, czytamy w taryfie celnej miasta Wrocławia²⁰³). Ołów olkuski w dużej mierze znachodzi zapotrzebowanie na Śląsku²⁰⁴). Już w XIII w. musiano dostarczać go w dużej ilości, bo Wrocław otrzymał specjalną wagę „pensa plumbi”²⁰⁵). Ołów szedł jako towar do

¹⁹⁸) Tzschoppe u. Stenzel, o. c., str. 198-9.

¹⁹⁹) Korn, o. c., nr 151, r. 1336.

²⁰⁰) Pol, o. c., str. 224. Klose v. Breslau II, cz. 1, list 48, str. 197-8, r. 1352, cz. 2, list 87, str. 350, r. 1352. Wutke, o. c., str. 283.

²⁰¹) Schiermacher, Urkundenbuch d. Stadt Liegnitz u. ihres Weichbildes, str. 129, r. 1342. Tzschoppe u. Stenzel, o. c., str. 198-9, r. 1342.

²⁰²) Ibidem.

²⁰³) Rach. Wrocl., str. 95, dok. bez daty. Grünhagen odnosi go do r. 1327, Bresl. u. Piast. Mosbach, o. c., str. 193. Stenzel, Gesch. Schl. I, str. 316.

²⁰⁴) Korn, o. c., str. 122, § 10, r. 1327. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 25. Jckel, o. c. I, str. 182-3.

²⁰⁵) Korn, o. c., nr 122, § 10.

miast hanzeatyckich, gdzie musiał być pożądanym, bo kupcy niemieccy pytają o niego u kupców wrocławskich, lignickich i krakowskich²⁰⁶). Polska dostarczała też wosku rodzimego, obok obcego, który szedł już w 1317 drogą wodną do Wrocławia²⁰⁷). Sprzedawano go w dużych ilościach na centnary²⁰⁸). Ustawa handlowa z 1360 r. zabrania sprzedaży wosku, przywiezionego na targ wrocławski, obcemu kupcowi. Wosk ma być sprzedany tylko kupcowi miejscowemu²⁰⁹). Ze względu na wielkie zapotrzebowanie wosku w wyrobie świec dla celów kościelnych czy domowych miał on zapewniony zbyt. Wśród towarów różnych wosk miał swoją specjalną wartość, tak jak pieprz. Woskiem płacono często zamiast monetą, w pewnej ilości funtów, albo kamieni²¹⁰). Z woskiem szedł na Śląsk miód²¹¹), sprzedawany na naczynia o oznaczonej pewnej wielkości (mestin)²¹²). Chmiel, używany w rozwiniętym przemyśle piwowarskim, pochodził prawdopodobnie również z Polski²¹³). Ponieważ przy sprzedaży chmielu dopuszczano się pewnych nadużyć, sprzedając chmiel zepsuty za dobry, wobec tego władze miejskie wydały specjalne zarządzenia w 1370²¹⁴). Odtąd nie wolno było sprzedawać go po okresie 14 dni, w którym to czasie chmiel mógł dawać gwarancję stanu odpowiedniego do użycia. Gdyby się psuł, to miał go kupiec oczyścić do 8 dni, zaś nieoczyszczonego nie można było sprzedawać „nach der hoppfener messin”. Nieprzestrzeżenie przepisów pociągało za sobą zakaz przywożenia chmielu na targ, oraz wywozu na zachód, poza Wrocław. Znacznym powodzeniem cieszył się na Śląsku barwik (weide), cenny dla farbiarzy sukna, a pochodził częściowo jako towar rodzimy Polski, częściowo zaś jako tranzytowy z Rusi, a przede wszyst-

²⁰⁶) Maciejowski, Hist. miast i mieszcz. w krajach dawn. państwa pol. od najd. czas. do XIX w., str. 231.

²⁰⁷) Korn, o. c., nr 122, § 14. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 322. Ptaśnik, Miasta w Polsce, str. 105. Wendt, o. c. str. 9.

²⁰⁸) Korn, o. c., nr 122, r. 1327.

²⁰⁹) Korn, o. c., nr 226, r. 1360. Cod. dipl. Sil. VIII, nr 34, r. 1360.

²¹⁰) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 12, r. 1335, nr 28, r. 1352, nr 79 i 86 bez daty. Wendt, o. c., str. 31.

²¹¹) Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 322.

²¹²) Grünhagen określa „mestin” jako „ein rundliches, tiefes Gefäß im Frankfurt/Main” w Breslau u. Piasten, str. 103.

²¹³) Korn, o. c., nr 122, § 34, r. 1327. Jekel, o. c., str. 50.

²¹⁴) Korn, o. c., nr 262, r. 1370. Cod. dipl. Sil. VIII, nr 45, r. 1370.

kim z Rosji²¹⁵). Musiał on dochodzić na rynek w jakiś sposób fałszowany, bo słychać o zakazach kupowania niewypróbowanego (unvorsuchten weyt der do sicht brocht vs andern landen)²¹⁶). Sami farbiarze dopuszczali się nadużyć, wykorzystując kilkakrotnie barwik, co wywołało z czasem odpowiednie ostrzeżenie „welcher (webir) weyt vorsucht der sal nicht me dor vs verbin...“²¹⁷). Oprócz barwików obcych używano na Śląsku jeszcze jakiegoś krajowego „lant weyt“²¹⁸). Barwiki cieszyły się powodzeniem nie tylko na Śląsku, ale i w innych miastach na zachodzie, dokąd go wywożono. Zapewne dla tego powodu Świdnica postarała się o względne prawo składu w 1335 r., które nakazywało zatrzymywać się w tym mieście na 6 tygodni z towarem²¹⁹). Jak zwykle musiano obchodzić to prawo, bo w 1356 Świdnica stara się o potwierdzenie go²²⁰). Na koniec wypada wspomnieć o jeszcze jednym artykule wywozowym handlu polskiego, pochodzącym z tej dzielnicy Polski, która nie brała tak żywego udziału w handlu eksportowym Polski, jak ziemie południowe. Sukno z Wielkopolski, kaliskie, jest wspomniane w taryfie wrocławskiej z 1327 r. między innymi suknam, sprowadzanymi do miasta (gewant von Steincalish)²²¹). Były to niewątpliwie materiały tanie, które mogły cieszyć się pokupem u niższych warstw ludności, gdyż lepsze sam Śląsk eksportował jako rodzime. Najprawdopodobniej musiało to być to same sukno szare, tanie, eksportowane z Wielkopolski do Czech już za Wacławów²²²). Chociaż na ogół przemysł tkacki polski nie stał jeszcze w naszym okresie tak wysoko, aby eksportował swoje wyroby na uprzemysłowiony Śląsk, to jednak silniej nieco rozwinięty przemysł lokalny, przypadający na dzielnicę wielkopolską w pierwszej połowie XIV w.²²³) mógł dostarczyć nieco swoich wyrobów.

²¹⁵) Ptaśnik, Miasta w Polsce, str. 105. Koczy, o. c., str. 536-7.

²¹⁶) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 12, § 12, r. 1335.

²¹⁷) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 12, § 7, r. 1335.

²¹⁸) Ibidem, nr 12, § 18, 21.

²¹⁹) Ibidem, nr 12, § 13, 17.

²²⁰) Ibidem, nr 30, r. 1356.

²²¹) Korn, o. c., nr 122, § 1, r. 1327. Grünhagen tłumaczy Steincalish jako Kalisz Wkp., zaś Stein = Kamień pod Kaliszem, Breslau u. Piasten, str. 119.

²²²) Koczy, o. c., str. 441.

²²³) O rozwijającym się przemyśle tkackim w Wielkopolsce, w Kaliszu, Poznaniu, świadczą dokumenty Kazimierza W. dla tkaczy tych miast w Kod. dypl. Wkp. III, nr 133, r. 1344. Warschauer, Die älteste großpolnische Innungsurkunde.

b) *Towary rodzime wywożone ze Śląska do Polski.*

Śląsk, rozwijający usilnie przemysł sukienniczy, dostarczał swoich wyrobów, jako głównych produktów rodzimych w handlu eksportowym na wschód.

Rozwijający się przemysł tekstylny już wcześniej naśladował cenione powszechnie w średniowieczu sukna flandryjskie, naśladowując je nawet w nazwach. Wśród spotykanych w księgach rachunkowych nazw sukien „yperner, genter” (Tuch)²²⁴), należy dopatrywać się wyrobów rodzimych. Pierwsza wzmianka źródłowa pochodzi z 1305 r., kiedy wrocławskim sukiennikom zabroniono sprzedawać produktów swoich „en detail” i tu noszą one wspomniane nazwy²²⁵). Wyroby te musiały szukać zbytu w Polsce, gdzie jako imitacje mogły liczyć na zadowolenie średniej warstwy ludności i posiadały zapewne niższą cenę od prawdziwych flandryjskich. Suknom śląskim rodzimym nadawano także nazwy od miejscowości, w których je wyrabiano, np. sukna świdnickie, wrocławskie, górowskie i inne. Pod koniec XIV w. eksport sukna świdnickiego był już bardzo znaczny²²⁶). Sukna wrocławskie, koloru białego i szarego, były sprzedawane albo na rynku krakowskim, albo wrocławskim wprost kupcom polskim²²⁷). Należy pamiętać, że średniowieczny wytwórca sam mógł wywozić swoje towary a konsument zaopatrywać się bez pośrednictwa u wytwórcy²²⁸). Częściowym potwierdzeniem obrotu białego sukna wrocławskiego na rynku krakowskim jest dokument Kazimierza Wielkiego z 1354 r.²²⁹). Król każe białe tkaniny (tela alba undecumque ab extra venerit) mierzyć osobną miarą „vlna longa”, w odróżnieniu do krajowej (tela nigra terrestis). Nie mamy wprawdzie wyraźnie określonego pochodzenia tej białej tkaniny, ale wiemy, że było sukno nie krajowe i nie flandryjskie, bo to ostatnie miało zawsze swoją określoną nazwę. Polska sprowadzała sukna jedynie z zagranicy, ze Śląska. Obok wrocławskiego i świdnickiego spotykało się na rynku polskim sukna opawskie, które

²²⁴) Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 109.

²²⁵) Ibidem.

²²⁶) Kutrzeba-Praśnik, Dzieje handlu i kup. krak., str. 3. Kutrzeba, Handel Krak., str. 85.

²²⁷) Korn, o. c., nr 90, r. 1310.

²²⁸) Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 17.

²²⁹) Kod. dypl. Krak. I, nr 29, r. 1354 i str. LXXIV.

w następnym wieku dadzą się stwierdzić już w wielkiej ilości²³⁰). Możliwe, że i za naszych czasów wysyłano do Polski te sukna, gdyż nie można stwierdzić, od kiedy dokładniej datuje się wywóz sukna opawskiego, jak i kozuchowskiego i górowskiego. Przemysł sukieniczny w Kozuchowie (Freistadt) i Górowie (Guhrau) rozwijał się już w pierwszych latach XIV w.²³¹). Sukna śląskie cieszyły się dobrą opinią i nieraz zapewne wskutek identycznych nazw z flandryjskimi były za takie sprzedawane. Handel suknem przynosił duże dochody i dlatego kupiec miejscowy dążył do ograniczenia w sprzedaży detalicznej kupca obcego. W Krakowie nie wolno było sprzedawać mniej jak 6 postawów flandryjskich i to tylko kupcowi miejscowemu²³²). Wyjątek stanowiły dni targowe, w które także ograniczono sprzedaż kupca do wyrobu jego własnego („sua propria... non aliena”)²³³). Obok sukna wywoził kupiec śląski na wschód wyroby własnego przemysłu skórzanego i metalurgicznego. Szły gotowe pasy, które stanowiły nieodłączną część stroju w średnich wiekach, buty, kapelusze, noże itp., noszące ogólną nazwę „kramarstwa” (cromerey)²³⁴). Towary te musiały zapewne natrafiać na przeszkody ze strony miejscowych cechów, których wyroby stały niżej. Wywożono do Polski piwo wrocławskie, świdnickie, a szczególnie to drugie cieszyło się bardzo dobrą opinią²³⁵). Współzawodniczyły z nimi browary krakowskie, lecz nie wytrzymały konkurencji²³⁶). Sprzedawano je w Krakowie w piwnicy, pod ratuszem, która brała swoją nazwę od piwa świdnickiego; sprzedaż była zmonopolizowana przez miasto²³⁷). Nie wiadomo, w którym roku pierwszy raz sprowadzono piwa śląskie. Obok piwa sprowadzano do Polski i wina²³⁸). Smakowano w różnych gatunkach napojów. Widzimy na rynku krakowskim wina śląskie obok węgierskich, morawskich, a i na rynku wrocławskim nie brak i win pol-

²³⁰) Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 84.

²³¹) Croon, Ein Tuchmacherprivileg von Guhrau, str. 255.

²³²) Kod. dypl. krak. I, nr 29, r. 1354.

²³³) Kod. dypl. Krak. I, nr 29, r. 1354.

²³⁴) Kutrzeba, Handel Polski ze Wschodem, str. 473.

²³⁵) Tenże, Handel Krak., str. 85. Rutkowski, o. c., str. 79.

²³⁶) Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kup. krak., str. 3.

²³⁷) Kutrzeba, Finanse Krakowa, str. 50.

²³⁸) Jekel, o. c. I, str. 50.

skich²³⁹). Śląsk eksportował wyroby ze złota i srebra. Złotnictwo śląskie stało wyżej niż polskie, a o bogactwie złotników słyszy się już w XIII w.²⁴⁰).

c) Towary tranzytowe wywożone z Polski na Śląsk

Bogate jedwabie wschodnie, jak i towary korzenne, były przedmiotem szczególniejszych zabiegów kupców zachodnich. Zdobywanie tych towarów otwierało widoki na osiągnięcie zysków i zapewniało zbyt, ściągając zawsze chętnych nabywców. Ziemia południowej Polski, Rusi, leżące w niedalekim sąsiedztwie kolonii genueńskich nad Morzem Czarnym, zyskiwały przez tę bliskość na znaczeniu handlowym. Kupiec polski przez pośrednictwo między kupcami zachodnimi a wschodnimi zdobył sobie rolę regulatora ruchu tranzytowego ze wschodu na zachód.

O rodzajach towarów wschodnich i ich wartości dowiadujemy się ze źródeł śląskich XIV w. Na pierwszym miejscu wymienione są te, które ogólnie nazywano „spezerie, gekrude...” Zaliczono tu na naczelnym miejscu pieprz (pfeffir), imbir (ingebir), cukier (cukir), szafran (safferan), muszkatelową gałkę (muskatin), migdały (mandil), lukrecję (lacicze), oliwę, cytwar, goździki, cynamon²⁴¹). Wśród nich wyliczano także ałun, pochodzący z Małej Azji, mający zastosowanie w przemyśle sukienniczym²⁴²). Z korzeni najbardziej ceniony był pieprz; obcy kramarz miał płacić w czasie jarmarku w Wrocławiu od swego kramu 1 szkojec, lub ½ ft. pieprzu²⁴³). Jedwabne materiały wschodnie o różnych odmianach szły przez Polskę na Śląsk razem z korzeniami. Były półjedwabne (czindal), jedwabie (syden) i specjalne materiały z Bagdadu (baldekin), złote borty (guldine borten), atlas i jakiś drogi materiał, zwany „Koftir”²⁴⁴) i szkarłat²⁴⁵), a wszystkie ogólnie określono „cromgewant”²⁴⁶). Zaliczono do „cromgewant” jeszcze inne,

²³⁹) Ibidem. Rach. Wrocł., str. 95 bez daty. Stenzel, *Gesch. Schles.* I, str. 316. Mosbach, o. c., str. 193.

²⁴⁰) Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 111.

²⁴¹) Korn, o. c., nr 122, § 5, 7, 8, r. 1327. Rach. Wrocł., str. 96-7, r. 1327. Stenzel, *Gesch. Schles.* I, str. 245. Wendt, o. c., str. 32.

²⁴²) Rach. Wrocł., str. 96-7, r. 1327.

²⁴³) Korn, o. c., nr 122, § 21, r. 1327.

²⁴⁴) Kutrzeba, *Handel Polski ze Wschodem*, str. 473.

²⁴⁵) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 78, bez daty.

²⁴⁶) Korn, o. c., nr 122, § 4, r. 1327.

choć nie jedwabne, ale również pochodzące ze Wschodu. Były to tkaniny bawełniane (czenthir), barchany (parchan) i jakiś „lesh”²⁴⁷). Sprzedaż detaliczna tych towarów na podstawie rozporządzenia Rady wrocławskiej była na rynku wrocławskim monopolem kupców miejscowych²⁴⁸). Obcy, przywożący do miasta towar wschodni w większej ilości „unbeslagit gwt in seckin” jak ałun, kmin, lukrecję, miał go sprzedać tak jak go kupił i przywiózł kramarzowi miejscowemu, a ten dopiero mógł sprzedawać „en detail”. Również oliwę obcy ma sprzedawać nie na mniejszą miarę niż w beczkach, bez względu na ich wielkość (vas oley is si, cleine adir gros). Ryż i migdały powinny być sprzedawane na centnary, zaś towarów kramnych, czy to z korzeni, czy materiałów łokciowych (guet das man mit der elin snidit) niżej wartości 2 Mk sprzedawać nie można było²⁴⁹). Tym towarom wschodnim Kraków i Lwów zawdzięczały głównie swój dobrobyt. Polska dostarczała także jako towaru tranzytowego ze wschodu, łącząc z nim trochę rodzimego, różnego rodzaju skór w stanie surowym, lub gotowych do użytku. Były to skóry różnej wielkości (grossis ledirs i cleine huette)²⁵⁰), skóry jagnięce (smashin) i małe zajęcze (hasinbalge)²⁵¹ i bogate, wyborowe (schönis werckis)²⁵² sobolowe, futra północy, a także całkiem małe chomicze, kunie, wiewiórcze²⁵³). Skóry w średniowiecznych ubiorach odgrywały poważną rolę i można było dlatego liczyć zawsze na zbyt każdego rodzaju skóry. Sprzedawano je na beczki, lub soroki, t. j. 40 sztuk²⁵⁴). Łączyły się z nimi transporty sierści koziej, idącej z Rusi²⁵⁵). Szło przez Polskę dużo wosku jako towaru tranzytowego z południowo-wschodnich ziem²⁵⁶). Szły także na zachód przez Polskę woły tatarskie i wołoskie (heidnische ochsin), i węgierskie (ungarische ochsin), wraz z końmi oraz trzodą (cleinin vye das uslendisch

²⁴⁷) Ibidem, nr 122, § 5, r. 1327.

²⁴⁸) Rach. Wrocl., str. 96, r. 1327.

²⁴⁹) Ibidem.

²⁵⁰) Korn, o. c., nr 122, § 15, 17, 19, r. 1327.

²⁵¹) Ibidem.

²⁵²) Ibidem, § 16.

²⁵³) Wendt, o. c., str. 30.

²⁵⁴) Pawiński, Notatki kupca krak. w podróży do Flandrii, str. 63-9.

²⁵⁵) Kod. dypl. Krak. I, nr 35, r. 1363. Charewiczowa, Handel średn. Lwowa, str. 93-4.

²⁵⁶) Kutrzeba, o. c., str. 107, 474. Wendt, o. c., str. 32.

kumt)²⁵⁷). Zaliczano tu nierogaciznę, owce, kozły, kozy (alse swin, shaß, böcke unde czigin)²⁵⁸), idące z rynku wrocławskiego dalej na zachód. Towar ten sprzedawano na sztuki lub głowy (houbette).

Oprócz towarów wschodnich jako tranzytowych szły inne o mniejszym lub większym znaczeniu, a były to węgierskie wina, воск, oliwa, wartościowa miedź, żelazo i trochę futer²⁵⁹). Towary węgierskie nabywał kupiec krakowski od węgierskiego na swoim rynku, lub sam jeździł po nie na Węgry. Czasem i kupiec śląski szedł z Krakowa na Węgry, ale krakowski kupiec ograniczał kupców zachodnich w tych wyprawach na południe, zasłaniając się przywilejem składowym swego miasta. Prawdopodobnie ekspansja handlowa Śląska na Węgry nie była wtedy znaczna.

Towary wschodnie zostawały częściowo w Polsce, ale w znacznej części szły na rynek wrocławski, skąd rozchodziły się po kraju, oraz szły dalej, do miast niemieckich. Na ruchliwym rynku wrocławskim kupcy polscy próbowali unikać pośrednictwa wrocławskich kupców, a sprzedawać towary wschodnie bezpośrednio dalszym kupcom niemieckim. Wywołało to ograniczenie, wydane przez Radę miejską w 1360 r., które zakazywało wzajemnego porozumienia handlowego między kupcami obcymi, aby nie pozbawiać kupiectwa miejscowego większych zysków²⁶⁰). Ten zakaz krępował kupca obcego w targach codziennych, wyjąwszy jarmarki, w czasie których kupiec polski mógł porozumiewać się z obcymi (wsgenomen czwene iarmerkte di sullin vrye sin, als sy von alder gewest sin)²⁶¹).

d) Towary tranzytowe wywożone ze Śląska do Polski

Główny handel śląski opierał się na wywozie towarów przemysłowych, przede wszystkim sukienicznych wyrobów rodzimych, jak i obcych. Kupiec śląski wioził je do Polski, a stąd dalej na wschód, o czym dowiadujemy się bardzo wcześnie²⁶²).

²⁵⁷) Korn, o. c., nr 122, § 28. Cod. dipl. Sil. VIII, nr 34, r. 1360.

²⁵⁸) Korn, o. c., nr 122, § 28, r. 1327. Cod. dipl. Sil. VIII, nr 34, r. 1360. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 59.

²⁵⁹) Rach. Wrocl., str. 95 bez daty. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 316. Kutrzeba, o. c., str. 64-6.

²⁶⁰) Cod. dipl. Sil. VIII, nr 34, § 4, II, r. 1360.

²⁶¹) Ibidem.

²⁶²) Jekcl, o. c. I, str. 48.

Na rynku wrocławskim roiło się od różnorodnych materiałów, zwożonych zewsząd z miast niemieckich, czeskich, morawskich, flandryjskich, które kupiec śląski wiózł jako towar tranzytowy na wschód. Sukna z najbliższych Śląskowi środowisk przemysłu sukienniczego, jak np. ze Zgorzelic (von Görnitz) cieszyły się bardzo dobrą opinią i były najdroższe²⁶³). Najlepsze sukna były koloru białego²⁶⁴). Szły sukna żytańskie, o których wzmianki wyraźnej w naszym okresie nie mamy, ale z końcem XIV w. były one w Polsce w użyciu²⁶⁵). Z morawskich sukien na rynku wrocławskim spotykamy berneńskie (Brunner)²⁶⁶). Wielką rolę odgrywały sukna flandryjskie, które dostawały się na rynek polski za pośrednictwem miast pruskich, jak i śląskich. Wprawdzie droga do Flandrii nie była obca kupcowi krakowskiemu²⁶⁷), ale za Kazimierza Wielkiego korzystano raczej z pośrednictwa. Sukna flandryjskie były nieprześcignione i były wszystkie inne. Pochodziły one z różnych miejscowości, od których brały swoją nazwę (gent, ypern, yprisch, Eyperisch), Poperinge (poperish), Brügge (Brwkesch), Mechel (Mechlesch), Ghistelles (gistlich), Löwen (Louvain), Thuin (Herntalesh) oraz cienkie (tuch an yrish... Arras)²⁶⁸). Brak dowodów dla wykazania stopnia intensywności przywozu tych sukien, oraz odróżnienia przywożonych za pośrednictwem Wrocławia a innych miast. Jak ważnym był handel sukniem nie tylko dla Wrocławia, ale i Krakowa, świadczą różne ograniczenia, jak zakaz sprzedaży detalicznej oraz obowiązek sprzedaży i nie gdzie indziej jak „in Cameris pannorum”, narzucanie miar materiałom zagranicznym, opłaty celne itp.²⁶⁹). Płótna w lepszym gatunku nie skąd inąd szły do Polski, jak ze Śląska, który sprowadzał je z Norymbergi, krajów nadreńskich i Niderlandów²⁷⁰). Już w 1327 r. czytamy w taryfie celnej wrocławskiej o płótnie, które „gast infürit odir wsfürit” do Wrocławia i da-

²⁶³) Korn, o. c., nr 122, § 2, r. 1327. Kutrzeba-Ptaśnik, Dzieje handlu i kup. krak., str. 3 i n.

²⁶⁴) Koczy, o. c., str. 83.

²⁶⁵) Ibidem, str. 85. Kod. dypl. Krak. I, str. LXXIV, wstęp.

²⁶⁶) Korn, o. c., nr 122, § 3, r. 1327.

²⁶⁷) Pawiński, Notatki kup. krak. do Flandrii. Wendt, o. c., str. 13.

²⁶⁸) Korn, o. c., nr 122, § 2. Kod. dypl. Krak. II, nr 242, § 5, r. 1364. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 25-7. Wendt, o. c., str. 12, 13.

²⁶⁹) Kod. dypl. Krak. I, nr 29, r. 1354, II, nr 260, r. 1342.

²⁷⁰) Wendt, o. c., str. 30.

lej²⁷¹). Z obcymi płótnami łączyły się i rodzime płótna śląskie, bo już w początkach XIV w. wyrabiano je na Śląsku²⁷²). Obok tych wspomnianych towarów, podstawowych dla handlu tranzytowego śląskiego, wywoził kupiec towary, które określano „cromerie”. Są to kosy (sensin), kotły (kessil), patelnie, panwie (pfannen) i zapewne wiele innych, które kryją się pod tą ogólną nazwą²⁷³). Noże, miecze, dzwony. oraz różne wyroby ze stali, której Polska nie posiadała, sprowadzano ze Śląska, a ten zaś z Czech i Norymbergi. Wyroby drobne, jak igły, guziki, klamry, sakiewki, rękawiczki itp. należały w części do towarów tranzytowych Śląska, częściowo zaś do krajowych²⁷⁴).

Drogą wodną szły do Polski suszone ryby, solone śledzie, które sam Wrocław otrzymywał Odrą z Morza Północnego²⁷⁵). Wielka ilość różnego gatunku wina, na rynku śląskim spotykana, napewno stąd musiała iść do piwnic polskich. Nie brak było win austriackich (ostir), reńskich (reinal), łużyckich z Gubina²⁷⁶) i morawskich²⁷⁷), nie licząc polskich i węgierskich. Żadne z tych win nie jest wyraźnie wymienione w wywozie do Polski. Wiemy tylko, że śląski kupiec wiózł wino przez Wielkopolskę²⁷⁸), a napewno musiało się znaleźć ono i na rynku krakowskim. Ponieważ drogi handlowe ze Śląska szły w dwu kierunkach, jak już wspominaliśmy, przez: a) Małopolskę na wschód i b) Wielkopolskę na pñ.-wschód do miast pruskich, więc kupiec śląski, wioząc towary do Prus, zostawiał w Wielkopolsce część towarów rodzimych polskich lub tranzytowych, jako swoje tranzytowe, np. oliwę, chmiel, korzenie²⁷⁹). Wielkopolska odsunięta od handlu wschodniego, przez swoje geograficzne położenie musiała korzystać z towarów wschodnich za pośrednictwem rynku wrocławskiego, lub częściowo miast pruskich. Kupiec śląski pośredniczył w dostawie ważnego artykułu, jakim była sól. Szła ona jako towar tranzytowy z Halle i Lüneburga (gdyż kra-

²⁷¹) Korn, o. c., nr 122, § 3, r. 1327.

²⁷²) Klose v. Breslau, o. c. II, cz. 1, list 40, str. 65.

²⁷³) Korn, o. c., nr 122, § 9, 12, 13, r. 1327.

²⁷⁴) Wendt, o. c., str. 30.

²⁷⁵) Ibidem. Rutkowski, o. c., str. 79.

²⁷⁶) Rach. Wrocl., str. 96. Korn, o. c., nr 122, § 19, r. 1327. Grünhagen, Breslau u. Piasten, str. 97. Stenzel, Gesch. Schles. I, str. 245.

²⁷⁷) Ibidem.

²⁷⁸) Hans. Urk. III, nr 559, str. 314, r. [c. 1350—1360].

²⁷⁹) Hans. Urk. III, nr 559, str. 314, r. [c. 1350—1360].

kowska długo nie mogła zdobyć rynku wielkopolskiego), częściowo za pośrednictwem Wrocławia, ale głównie przez Gubin, główny magazyn soli halskiej²⁸⁰), a stąd znaną, starą drogą na Krosno do Wielkopolski²⁸¹).

X. ZWIĄZEK HANDLOWY POLSKI Z MIASTAMI ZACHODNIMI W ZALEŻNOŚCI OD DRÓG ŚLĄSKICH

W końcu uważamy za stosowne wspomnieć o związku handlu polskiego z tymi krajami zachodnimi, do których droga handlowa prowadziła przez Śląsk. Wprawdzie stosunki handlowe z tymi krajami nie były w naszym okresie na tyle ożywione, aby mogły stanowić przedmiot szerszego opracowania, ale mogą posłużyć do wykazania zainteresowania kupiectwa polskiego handlem poza Śląskiem już za Kazimierza Wielkiego. Wspomnieliśmy już raz, że każde pociągnięcie na polu polityki czesko-polskiej wywoływało odpowiednie zarządzenie handlowe. Ponieważ król czeski już od chwili poddania się większości księstw śląskich występował jako władca Śląska, więc każde zarządzenie jego, utrudniające dostęp do dróg śląskich, miało taką samą moc obowiązującą na drogach czeskich, morawskich i niemieckich. O tym, że drogi te nie były obce kupcom polskim, świadczą rozporządzenia królewskie, wspominające wyraźnie kupców polskich, czeskich, śląskich. W 1341 r. Jan Luksemburski każe kupcom z Saksonii, Polski i innych krajów omijać boczną drogę przez Brylant (Fridland), a iść przez Zgorzelec, Schönberg, Seidenberg (Sydenberg) i Żytawę²⁸²). Za następcy jego Karola IV dowiadujemy się, że w 1350 r. kupcy polscy (aus Krakau und anderen polnischen städten) mają być zatrzymywani w podróżach swoich przez miasta Wrocław, Kuttenberg (Kutna Hora), Pragę, jak i Kłodzko (Glatz), Prądnik (Neustadt), Ołomuniec (Olmütz) i Berno (Brünn), w odwet za zamknięcie dróg polskich na Ruś i Prusy dla kupców „aus Böhmen und Mähren”²⁸³). Oczywiście te ostre za-

²⁸⁰) Skibiński, o. c., str. 459. Koczy, o. c., str. 489. Wutke, Besorgung Schlesiens m. Salz, str. 254—261. Rauprich, o. c., str. 3 i n.

²⁸¹) Ibidem.

²⁸²) Emler, o. c. IV, nr 90, r. 1341. Heller, o. c., str. 11.

²⁸³) Huber, o. c., nr 1321, str. 105-6, r. 1350.

rzędzenia były, jak wszystkie, przejściowe, bo w 1373 drogi te były już oficjalnie otwarte za zwyczajną opłatą (als das von alters herkommen ist)²⁸⁴). Dokument Kazimierza Wielkiego z 1358 r. stwierdza również istnienie stosunków z krajami czeskimi. Król nakazuje iść „versus Sleziam Morauiam et Boemiam” przez Kraków, a nie innymi drogami²⁸⁵). Gdy przyszło do porozumienia handlowego polsko-czeskiego za Wacławów, wówczas znalazły się w importowanych towarach do Czech sukna polskie zapewne wielkopolskie, za pośrednictwem Wrocławia²⁸⁶). Szarą swą barwą przypominały samodziały czeskie, cieszące się pokupem u ludności wiejskiej z powodu niskiej ceny²⁸⁷). Po zawiązaniu zaś stosunków czesko-pruskich za Ottokara i Karola IV stała się Wielkopolska terenem tranzytowym między tymi krajami²⁸⁸). W zamian szło trochę sukien czeskich do Polski, które zapewne gubiły się wśród konkurencyjnych śląskich, oraz wyroby kramne, również za pośrednictwem rynku wrocławskiego. Nie obce były kupcowi polskiemu miasta niemieckie, których nazw więcej poza Norymbergą nie znamy ze współczesnych źródeł. Droga najdogodniejsza do Norymbergi prowadziła przez Pragę. Za podstawę stosunków z Norymbergą przyjmuje się dokument z 1365 r. Kazimierza Wielkiego, otwierający drogę kupcom norymberskim przez Kraków aż do Lwowa (de Nuremberg... mercatoribus... mercari volentibus... per omnia loca regni nostri et maxime per civitatem cracouiensem ad terras Russie usque ad Lemburgam transeundi, standi, mercandi... concedimus omnimodam facultatem...)²⁸⁹). Mimo tego otwartego przywileju o żywszym ruchu handlowym nie słyhać. Może powodem tego było zastrzeżenie królewskie, nakazujące przyjmować monetę krajową, która wtedy była bardzo licha, jak wynika ze skarg samych krakowian²⁹⁰). Jeszcze mniejsze znaczenie miał w praktyce przywilej Kazimierza Wielkiego i ks. austriackiego Rudolfa IV z 1362 r., zapewniający wolność handlową:

²⁸⁴) Korn, o. c., nr 286, r. 1373. Klose v. Breslau II, cz. 1, str. 260, list 50, r. 1373. Jekel, o. c. I, str. 179.

²⁸⁵) Kod. dypl. Krak. I, nr 32, r. 1358.

²⁸⁶) Koczy, o. c., str. 442.

²⁸⁷) Ibidem.

²⁸⁸) Ibidem.

²⁸⁹) Praśnik, Akta norymb., str. 294. Tenże, Studia nad patrycjatem, str. 294. Kutrzeba, Handel Krak., str. 88. Tenże, Handel Polski ze Wschodem, s. 466.

²⁹⁰) Najst. księgi i rach. Krak. II, str. 25, r. 1369.

kupcom swoich krajów²⁹¹). Kupiec polski miał iść do Austrii jak i do innych krajów na zachodzie przez ziemie południowe Śląska. Nie ma jednak dowodów źródłowych, stwierdzających, czy skorzystano z tych przywilejów choć chwilowo. W każdym razie istniała łączność między Polską a Zachodem i kupiectwo polskie wykazało zainteresowanie miastami poza Śląskiem, nie ograniczając się do zbycia tylko towarów na rynku wrocławskim, jak twierdzi Jekel²⁹²). Kupiectwo polskie z czasów Kazimierza Wielkiego, będące gałęzią kupiectwa niemieckiego oraz w drobnej części włoskiego, stara się dorównać kupiectwu na Zachodzie i wykazuje znaczną żywotność i przedsiębiorczość.

ZRÓDŁA

Acta scabinalia cracoviensia 1365—1376 et 1390—1397, ed. St. Krzyżanowski (Archiwum Akt Dawnych m. Krakowa), Kraków 1904.

Akta grodzkie i ziemskie, wyd. Galic. Wydziału Krajowego, t. III, V, Lwów 1872, 1875.

Archiv Koruny České. Katalog Listin z let 1158—1346, wyd. Dr R. Koss, Praga 1928.

Akta norymberskie do dziejów handlu z Polską w XV w., wyd. J. Ptaśnik (Archiwum Komisji Histor. Ak. Um., t. XI), Kraków 1909—1913.

Breslauer Urkundenbuch, hrsg. G. Korn, Breslau 1870.

Codex diplomaticus Silesiae, t. III, H. Pauper, Rechnungen der Stadt Breslau von 1299—1358, und d. ältesten Breslauer Statuten, hrsg. C. Grünhagen, Breslau 1860.

Codex diplomaticus Silesiae, t. VIII, Schlesische Urkunden zur Geschichte des Gewerbrechts... aus der Zeit von 1400, hrsg. G. Korn, Breslau 1867.

Codex diplomaticus Silesiae, t. IX. Urkunden der Stadt Brieg, hrsg. C. Grünhagen. Breslau 1870.

Codex diplomaticus Silesiac, t. XVII, Die schlesische Oderschiffahrt, hrsg. K. Wutke, Breslau 1896.

Codex diplomaticus Silesiac, t. XXII, Regesten zur schles. Geschichte 1327—1333, hrsg. C. Grünhagen — K. Wutke, Breslau 1903.

Codex diplomaticus Silesiac, t. XXIX, Regesten zur schles. Geschichte 1334—1337, hrsg. K. Wutke, Breslau 1923.

Codex diplomaticus civitatis Cracoviensis 1257—1506, pars. I, II, ed. Fr. Piekosiński (Monum. medii aevii hist., t. V, VII), Kraków 1879—1882.

²⁹¹) Kod. dypl. Krak. I, nr 34, r. 1362. Kutrzeba, Handel Krakowa, str. 86-7. Piekosiński, Stary Kraków, str. 55.

²⁹²) Poln. Handelsgeschichte, str. 182-3. Według Kutrzeby Kraków nie miał prawie żadnych stosunków z Czechami przez Śląsk. Handel Krakowa, str. 87.

Codex diplomaticus Poloniae Minoris, t. I, r. 1178—1386, t. III. 1333—1386, ed. Fr. Piekosiński (Monum. medii aevii hist., t. III, X), Kraków 1876, 1887.

Codex diplomaticus Maioris Poloniae, t. II, 1288—1349, III 1350—1399, wyd. Tow. Przyj. Nauk Poznańskich, Poznań 1870—1879.

Codex diplomaticus Maioris Poloniae 1136—1597, wyd. E. Raczyński, Poznań 1870.

Codex diplomaticus Prusiens., t. III, ed. J. Voigt, Königsberg 1848.

Dokumentirte Geschichte u. Beschreibung von Breslau in Briefen, t. I, II, hrsg. Klose, Breslau 1781.

Hansisches Urkundenbuch, t. II, III, IV, hrsg. K. Höhlbaum, Halle 1879—1896.

Jahrbücher der Stadt Breslau von Nicol Pol., t. I, hrsg. Büsching, Breslau 1813.

Katalog Archiwum Akt Dawnych m. Krakowa, t. I. (Archiwum Akt m. Krakowa, t. III), Kraków 1907.

Monumenta Poloniae Historica, t. II, III, ed. A. Bielowski, Lwów 1872, 1878.

Najstarsze księgi i rachunki m. Krakowa od r. 1300—1400. Pars. I, II, wyd. Fr. Piekosiński — J. Szujski (Monum. medii aevi hist., t. IV), Kraków 1878.

Das Neumarkter Rechtsbuch u. andere Neumarkter Rechtsquellen, hrsg. O. Meinardus (Darstel. u. Quellen zur schles. Gesch., t. II), Breslau 1906.

Regesta Bohemiae et Moraviae, t. III, r. 1311—1333, IV, r. 1334—1346, ed. J. Eimler, Praga 1890.

Regesta Bohemiae et Moraviae Pars. V, r. 1346—1355, VI r. 1355—1363. Fasc. I, II, ed. B. Mendl, Praga 1928-9.

Die Regesten des Kaiserreichs unter Kaiser Karl IV, r. 1346—1378, hrsg. A. Huber (Regesta imperii, t. VIII, Fr. J. Böhmer), Innsbruck 1877.

Scriptores rerum Silesiacarum, t. I, XIII, hrsg. A. Stenzel, Breslau 1835.

Starodawne prawa pol. pomniki, t. I, wyd. Z. A. Helcel, Warszawa 1856.

Städtebuch des Landes Posen, hrsg. St. Wutke, Leipzig 1864.

Die Städtischen Archive in der Provinz Posen, hrsg. A. Warschauer, Leipzig 1901.

Urkundenbuch der Stadt Liegnitz und ihres Weichbildes bis zum Jahre 1455, hrsg. Schiermacher, Liegnitz 1866.

Urkunden Herzog Ludwig I von Brieg, R. Rössler (Zeitschr. d. Vereins f. Gesch. u. Alterth. Schles. t. XXVI), Breslau 1892.

Urkundensammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte in Schlesien und der Ober-Lausitz, hrsg. G. Stenzel — G. Tzschoppe, Hamburg 1832.

Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae, t. I, 1277—1409, ed. A. Theiner, Romae 1860.

Wiadomości do dziejów Śląska z Archiwum prowincji śląskiej, wyd. A. Mosbach, Wrocław 1860.

LITERATURA

Baliński M., Lipiński T., Starożytna Polska pod względem histor.-geograficznym opisana, t. II, cz. 1. Warszawa 1844. Wyd. II, 1885.

Biermann G., Geschichte des Herzogtums Teschen, Cieszyn 1894.

Caro J., Geschichte Polens, t. I, II, Gotha 1863.

- Charewiczowa Ł., Handel średniowiecznego Lwowa, Lwów 1923.
- Croon G., Ein Tuchmacherprivileg f. Guhrau vom J. 1304 (Zeitschr. d. Vereins f. Gesch. u. Alterth. Schles., t. XLIV). Breslau 1910.
- Czerny B., Ogólna geografia handlowa, Kraków 1863.
- Dąbrowski J., Dzieje polit. Śląska w latach 1290—1402. (Historia Śląska od najdawniejszych czasów do 1400. Pod redakcją St. Kutrzeby, t. I.) Kraków 1933.
- Eckstein A., Dzieje Ponieca do poł. XVI w. (Rocz. histor., t. II), Poznań 1920. Rec. Bieniasz, Rocz. dziej. społ. i gosp., t. I, Lwów 1931.
- Gloger Z., Geografia historyczna ziem dawnej Polski, Kraków 1903.
- Grabowski A., Kraków i jego okolice. Kraków 1836. Wyd. VII, 1905.
- Grodecki R., Zachorowski St., Dąbrowski J., Dzieje Polski średniowiecznej, Kraków 1926.
- Groth P., Handel Poznania w wiek. średn. (Kronika m. Poznania, Rocznik V), Poznań 1927.
- Grünhagen C., Breslau unter den Piasten, Breslau 1861.
- Grünhagen C., Geschichte Schlesiens, t. I, II. Gotha 1884—1886.
- Grünhagen C., Die Herren von Reste. Ein Beitrag zur Geschichte des Breslauer Patriziats im XIV Jhd. (Zeitschrift d. Ver. f. Gesch. Schles., t. VII, cz. 1). Breslau 1866.
- Grünhagen C., Schlesien unter Kaiser-Karl IV (Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schles., t. XVIII).
- Hegel K., Städte und Gilden der Germanischen Völker im Mittelalter, t. II, Leipzig 1891.
- Heller Fr., Die Handelswege Inner-Deutschlands im XVI, XVII, XVIII Jhd. und ihre Beziehung zu Leipzig, Dresden 1884.
- Herquet, Beiträge zum Itinerar Karls IV und zu seinem Aufenthalt in Schlesien mit dem König von Cypern im Jahre 1364 (Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schles., t. XIV, zesz. 2), Breslau 1878.
- Jakubski W., Czerwiec polski, t. I, II, Warszawa 1934.
- Janowski B., Polska a Hanza do 1411 r. (Przegląd Polski, t. 143-4), Kraków 1902.
- Koczy L., Handel Poznania do poł. XVI w. (Prace Kom. Hist., t. VI), Poznań 1930. Rec. J. Rutkowski, Rocz. dziej. społ. i gosp., t. I, Lwów 1931.
- Kudera J., Toszek, der Name der Stadt Tost. (Oberschlesische Heimat, t. V, zesz. 1) Oppeln 1909.
- Kutrzeba St., Handel Krakowa w wiekach średnich na tle stosunków handlowych Polski. (Rozprawy Ak. Um. wydz. hist.-fil., t. 44.) Kraków 1903.
- Kutrzeba St., Handel Polski ze Wschodem w wiekach średnich. (Przegląd Polski, t. 148.) Kraków 1903 i odbitka.
- Kutrzeba St., Finanse Krakowa w wiekach średnich. (Rocznik Krakowski, t. III) Kraków 1900.
- Kutrzeba St., Historia rodziny Wierzyńków (Rocznik Krakowski, t. II), Kraków 1899.
- Kutrzeba St., Żeglarstwo wiślane, Warszawa 1920.
- Kutrzeba St. — Ptaśnik J., Dzieje handlu i kupiectwa krakowskiego (Rocznik Krakowski, t. XIV), Kraków 1910.
- Kutrzeba St., Taryfy celne i polityka celna w Polsce od XIII do XV w. (Ekonomista, t. I, II), Warszawa 1902.

Ladenberger T., Zaludnienie Polski na początku panowania Kazimierza Wielkiego, Lwów 1930.

Lewicki St., Prawo składu w Polsce, Lwów 1910.

Lewicki St., Drogi handlowe w Polsce w wiekach średnich. (Sprawozdania z posiedzeń Ak. Um. wydz. hist.-fil. — październik) Kraków 1906.

Maciejowski W. A., Historia miast i mieszczan w krajach dawnego państwa pol. od czasów najdawniejszych aż do poł. XIX w. (Roczn. Przyj. Nauk Pozn., t. XVII, cz. 2), Poznań 1890.

Maleczyński K., Najstarsze targi w Polsce (Studia nad Hist. Prawa Pol.), Lwów 1926.

Markgraff H., Zur Geschichte d. Breslauer Kaufhauses (Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schles., t. XXII), Breslau 1888.

Moritz H., Geschichte Fraustadts im Mittelalter (Zeitschr. d. histor. Gesel. f. Prov. Posen, t. XIX), Posen 1904.

Partsch J., Geographic des Welthandels, Breslau 1927.

Pawiński A., Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandrii w 1401—1402 (Biblioteka Warszawska, t. III, s. 58—73 i 314), Warszawa 1872 i odbitka.

Pfeifer G., Das Breslauer Patriziat im Mittelalter (Darstel. u. Quel. zur schles. Gesch., t. XXX), Breslau 1929.

Popiołek Fr., Dzieje Śląska austriackiego. Zesz. I, II, III, Cieszyn 1913.

Popiołek Fr., Miasta na Śląsku (Sprawozd. c. k. Gimnazjum w Cieszynie za rok szkolny 1905-6), Cieszyn 1906.

Popiołek Fr., Szkice z dziejów kultury Śląska, Cieszyn 1905 r.

Ptaśnik J., Miasta w Polsce, Lwów 1922.

Ptaśnik J., Studia nad patrycjatem krakowskim w wiekach średnich (Rocznik Krakowski, t. XV) 1913.

Ptaśnik J., Denar św. Piotra obrońcą jedności politycznej i kościelnej w Polsce, Kraków 1908.

Rauprich M., Breslaus Handelslage im Ausgange d. Mittelalters (Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schl., t. XXVI), Breslau 1892.

Rutkowski J., Zarys gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych, Poznań 1923.

Rybarski R., Handel i polityka handlowa Polski w XVI w., t. I, II, Poznań 1928-9.

Sapper K., Allgemeine Wirtschafts- und Verkehrsgeographie — 2 Aufl., Leipzig 1930.

Schleese K., Die Handelsbeziehungen Oberdeutschlands, insbes. Nürnbergs zu Posen im Ausgange des Mittelalters (Zeitschr. d. histor. Gesel. f. Prov. Posen, t. XXIX, zesz. 1), Posen 1915.

Schmidt E., Zur Geschichte des Wartheverkehrs in der polnischen Zeit (Histor. Monatsblätter f. Prov. Posen, t. I), Posen 1900.

Schoenborn H., Geschichte der Stadt und des Fürstentums Brieg, Brieg 1907.

Schulte W., Zur Geschichte der Lostrennung des Bistums Breslau von d. polnischen Metropolitansprengel (Oberschl. Heimat, t. III, z. 4), Oppeln 1907.

Schwarzer O., Stadt und Fürstentum Breslau in ihrer politischer Umwelt im Mittelalter (Zeitschr. d. Ver. f. Gesch. Schlesiens, t. LXV), Breslau 1931.

Skibiński Fr., Handel solny we wczesnym średn. polskim (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 25-lecia działalności prof. Handelsmanna), Warszawa 1929.

Stenzel G., Geschichte Schlesiens, t. I, Breslau 1853.

Szajnocha K., Jadwiga i Jagiełło, t. I—VII, Warszawa 1902.

Szelągowski A., Najstarsze drogi z Polski na Wschód w okresie bizantyńsko-arabskim, Kraków 1909.

Szujski J. — Piekosiński Fr., Stary Kraków, Kraków 1901.

Szujski J., Opowiadania i roztrząsania historyczne, Warszawa 1882.

Tymieniecki K., Znaczenie Śląska w dziejach Polski, Warszawa 1919.

Warschauer A., Die mittelalterlichen Innungen zu Posen (Zeitschr. d. histor. Gesel. f. d. Prov. Posen, t. XII), Posen 1897.

Warschauer A., Geschichte der Stadt Gnesen (Zeitschr. d. histor. Gesel. f. d. Prov. Posen, t. XXX), Posen 1918.

Warschauer A., Die älteste großpolnische Innungs-Urkunde (Zeitschrift d. histor. Gesel. f. Prov. Posen, t. V), Posen 1890.

Wendt H., Schlesien und der Orient (Darstel. u. Quellen zur schlesischen Geschichte, t. XXI), Breslau 1916.

Wutke K., Die Besorgung Schlesiens mit Salz während des Mittelalters (Zeitschrift d. Ver. f. Gesch. Schles., t. XXVII), Breslau 1893.

Praca niniejsza została wykonana w Zakładzie historii społecznej i gospodarczej, U. J. K. we Lwowie, pod kierunkiem prof. dra Franciszka Bujała.

DZIKIE KOPALNICTWO WĘGLA NA GÓRNYM ŚLĄSKU

Praca niniejsza stanowi rozszerzenie opartego na źródłowym materiale artykułu, zamieszczonego w półurzędowym wydawnictwie, niedostępnym dla szerszej publiczności.

WSTĘP

Dnia 23 sierpnia 1932 r. tuż pod Katowicami na polach, graniczących z Chorzowem, rozegrała się orężna walka między mieszkańcami Wełnowca, jako stroną atakującą i mieszkańcami Załęża i Dębu o pole węglowe. W bitwie tej wzięło udział około 200 osób, uzbrojonych w cegły, kilofy, łopaty itd. Na placu boju pozostało 8 rannych, jeden z nich ciężko. Bitwie tej przyglądało się około 2000 ludzi, których sympatie podzielone były między dwa walczące obozy. Szybka interwencja policji położyła kres tej dramatycznej rozprawie. W sercu przemysłu polskiego, w dzielnicy, stojącej kulturalnie bardzo wysoko, przyszło do walk, jakie miały miejsce w Klondike, gdy to awanturnicy z całego świata w poszukiwaniu złotych pól zdobywali sobie prawo ich posiadania krwawą walką.

Rezultatem naszej walki był kompromis: podział pola, liczącego kilka hektarów, między zwaśnione strony, powołanie organów nadzorczych, baczących nad uczciwym wykonaniem umowy.

W ten sposób powstał największy ośrodek dzikiego kopalnictwa, który wykształcił swe formy organizacyjne i techniczne, stając się typowym przykładem tego nielegalnego przemysłu, który wywołał z jednej strony jako niebezpieczny konkurent wielkiego przemysłu tyle protestów, a z drugiej strony był jakby naturalnym ujściem dla energii śląskiego górnika, trwającego w przymusowym bezrobociu, a walczącego o prawo do życia.

Miesiące sierpień i wrzesień, to okres kulminacyjnego rozwoju i upadku dzikiego kopalnictwa. W tym błyskawicznym jak na te stosunki skrócie przesunęły się przed nami zjawiska eko-

onomiczne i socjalne, które w innych warunkach potrzebowałyby dziesiątków lat. Dosłownie w przeciągu kilkunastu dni dziki kopalnictwo z fazy przemysłu dla własnej potrzeby przeszło do formy kapitalistycznej o rozwiniętych warsztatach pracy i szerokim handlu i w przeciągu następnych kilkunastu dni zostało wciśnięte w swe pierwotne formy — tajnego nielegalnego przemysłu.

Zadaniem niniejszej pracy jest uchwycenie tego zjawiska i utrwalenie go, stanowiło ono bowiem w życiu ludności przemysłowej Górnego Śląska epizod wagi pierwszorzędnej. Gdy jednego z górników zapytano, czy pamięta, aby na Górnym Śląsku dziki kopalnictwo tak się rozwinęło jak obecnie, odpowiedział, że owszem zaraz po III powstaniu też była „wolność”. W jego języku znaczyło to, że ludzie mogli sobie korzystać z węgla, którego wielki przemysł nigdy eksploatować nie będzie, jako małowartościowego, a który, wychodząc z gleby czarnymi grzebieniami, lub chowając się tuż pod powierzchnią, dla biednej ludności, a zwłaszcza bezrobotnej, jest przedmiotem wiecznego pożądania.

WARUNKI GEOLOGICZNE

Zagłębie polsko-śląskie zajmuje jedno z pierwszych miejsc na świecie pod względem ilości i grubości pokładów węgla. W zachodniej jego części istnieje 472 pokładów ogólnej grubości 272 metrów, w tym 124 pokładów zdatnych do eksploatacji, ogólnej grubości 172 metrów. Stopniowo ilość ta zmniejsza się ku wschodowi, gdzie jest 105 pokładów ogólnej grubości 100 m, w tym zdatnych do eksploatacji 30 pokładów o ogólnej grubości 60 metrów.

Pod względem tektonicznym zagłębie polsko-śląskie przedstawia się jako wielka kotlina, ciągnąca z zachodu na wschód. Po brzegach tej kotliny wychodzą t. zw. warstwy podredenowskie, które są pofałdowane i poprzecinane uskokami. Główne siodło (fałda) ciągnie się od Zabrza przez Królewską Hutę i Sosnowiec pasem długości około 12 km.

Dziki kopalnictwo, inaczej nazwane „biedaszybami”, mogło usadowić się jedynie tam, gdzie dostęp do węgla nie jest trudny, t. j. gdzie się znajduje on na powierzchni lub też pod powierzchnią na głębokości maksimum 30 metrów. Otóż, jak wynika z opisu geologicznego, taki węgiel znajduje się w po-

stacji wychodów na siodle, biegnącym od Zabrzeża ku Sosnowcowi, następnie jako wychód pokładów nadredenowskich w okolicy Kosztów z Orzesza i Mikołowa na południu. Tam też usadowiło się dzikie kopalnictwo.

Trzeba zaznaczyć, że węgiel ten jest na ogół mniej wartościowy od węgla, wydobywanego z głębokich pokładów o około 30%, a to dlatego, że ma do niego dostęp powietrze czy to bezpośrednio, czy też wraz z podskórną wodą, które rozkłada go powoli przy pomocy tlenu. Dlatego też węgiel ten jest bardziej kruchy i częściowo spalony. Jedynie w głębszych szybach 20—30 m głębokich, gdzie węgiel jest izolowany często skałą grubości 5 m, jak np. w Bogucicach lub Jaśkowicach, gdzie na głębokości 5 m zaczyna się skała 5-metrowej grubości, a pod nią znajduje się warstwa węgla, węgiel ten jest gatunkowo zbliżony do węgla z głębokich pokładów, eksploatowanych przez wielki przemysł.

PRZYCZYNY ROZWOJU

Łatwość dostępu do tego węgla i masa energii, zawarta w rzeszach bezrobotnych, szukających zarobku w pierwszym rzędzie, wywołały pęd ku eksploatacji tego węgla.

Węgiel ten jest jakby bezpański; wprawdzie leży on na terenach, gdzie przeważnie wielki przemysł posiada nadania górnicze, jednak faktycznie przez swych prawnych właścicieli nigdy eksploatowany nie był i nie będzie. Stąd też ludność traktuje węgiel ten raczej jako rzecz niczyją, nie widząc ze strony wielkiego przemysłu użytkowania swego prawa, co dopiero dobitnie tłumaczyłoby i uzasadniało prawo własności. Oprócz bezrobocia i takiego właśnie stanu prawnego na rozwój biedaszybów oddziaływało jeszcze wiele innych czynników, a najważniejszym z nich jest cena rynkowa węgla opałowego, która wynosiła około 40 zł za tonę loco kopalnia. Wielki przemysł trzyma się kurczowo tych cen, traktując je jako premie wywozowe; cena węgla eksportowanego wynosiła około 9 zł loco kopalnia a nawet mniej, a koszty własne wydobywania jednej tony węgla wahają się mniej więcej od 11 zł do 19 zł. Oczywiście różnice między kosztami produkcji a ceną eksportowaną pokrywa konsument krajowy. Stan taki oczywiście usposabia nieprzychylnie całe społeczeństwo (konsumentów) do wielkiego przemysłu, a sympatie jego kierują się ku bezrobotnemu górnikowi,

sprzedającemu węgiel z biedaszybu po cenie o 70% niższej. Ta różnica ceny, to potęga, która otwiera dla dzikiego kopalnictwa wspaniałe perspektywy łatwego zbytu. Ta łatwość zbytu rozwija handel, który występuje jako samodzielny czynnik, uwalniający producenta od kłopotów kupieckich, i umożliwia mu zajęcie się całkowicie produkcją.

W okresie koniunktury węglowej w 1927 i 1928 r. dzikie kopalnictwo ograniczało się do niewielkich rozmiarów. Skrajna biedota odszukiwała porzucone szybiki lub też wydobywała węgiel, będący tuż pod powierzchnią, lub wreszcie wybierała węgiel, znajdujący się na zwałach (hałdach), węgiel odpadkowy.

Górnicy zaś, zatrudnieni w kopalniach, mają węgiel deputowy, a następnie nie mają ani czasu ani potrzeby szukania zarobku w inny sposób. Natomiast w okresie bezrobocia uwaga dziesiątków tysięcy górników zwraca się ku możliwości zarobkowania przez eksploatację płytkich pokładów węgla; nie potrzeba tutaj prawie żadnych kosztownych urządzeń, a wystarczy doświadczenie górnicze. Poczucie naruszenia prawa własności ze względów wyżej wspomnianych jest bardzo osłabione. Stąd też przeciętny bezrobotny nie musi bardzo walczyć ze swoim sumieniem, przeciwnie, zdaniem jego, raczej jest karygodne marnowanie tyłu darów bożych. To też w okresie największego rozwoju dzikiego kopalnictwa koniec sierpnia i początek września widzimy błyskawiczny jego rozrost, ciągłe poszukiwanie nowych terenów i przyływ coraz większej ilości sił roboczych, których tak obficie dostarcza bezrobocie. W rozmaity sposób obniża się zapomogi dla bezrobotnych, a często wypłaty zapomóg nie mogą być wykonywane w oznaczonych terminach. Poza tym agitacja komunistyczna skrzętnie wykorzystuje każdą okazję, aby pobudzić do wystąpień antyrządowych. W takich warunkach dzikie kopalnictwo, które w okresie swego maksymalnego rozwoju zatrudniało około 10.000 ludzi i stanowiło naturalne ujęcie dla energii, jako substytut normalnego zarobkowania było zjawiskiem korzystnym, gdyż osłabiało drażliwość mas i ich wrażliwość na agitację komunistyczną.

Można powiedzieć, że ludność śląska na ogół przestrzega praw obowiązujących i nie jest zbyt skłonna do anarchistycznych wystąpień, ale życzliwa neutralność władz komunalnych, które nie tylko zaopatrywały się w węgiel z biedaszybów, ale kilka gmin, jak np. Wełnowiec, nałożyły podatek od wydoby-

tego nielegalnie węgla na rzecz bezrobotnych po 50 gr od furmanki, spowodowało, że utarło się przekonanie, że dzikie kopalnie są całkiem legalne, ten stan zachęcił nawet ludzi bardzo solidnych i uczciwych, którzy zaczęli „fedrować” (kopanie szybu).

ZBYT

Ciekawym jest, jak ukształtowała się cena węgla z biedaszybów. Cena ta na całym terenie była prawie jednakową, a ewentualna różnica albo zależała od gatunku węgla, albo od dokładności sortowania. Na koszt produkcji składała się wyłącznie prawie praca górnika, ponieważ narzędzia jak łopaty, kilofy, wiadra i urządzenia jak kołowroty, liny, budulec, używany do obudowy ścian szybu, nie kosztowały nic, albo prawie nic, pochodziły bowiem z bardzo taniego kupna starego łomu żelaznego, albo też po prostu z kradzieży, jak np. drzewo, gdy biedaszyby budowano w lasach lub w ich sąsiedztwie. Zresztą urządzenia te są tak prymitywne, że można, popełniając minimalny błąd, usunąć amortyzację ich z kalkulacji. Poza tym nie dochodzą do kosztów produkcji ani podatki, ani ubezpieczenia socjalne, ani wysokie wydatki administracyjne. Mamy tutaj jakby idealny przykład dla hipotezy Adama Smith'a, jednego z ojców ekonomii, który powiada: „ceną rzeczywistą każdego przedmiotu, t. j. to, ile każda rzecz kosztuje, jest wysiłek i praca, potrzebna do jego zdobycia. Praca jest tedy miarą rzeczywistą wartości zamiennej wszystkich dóbr.”

Cena jednej tony węgla loco biedaszyb, która ukształtowała się mniej więcej na poziomie 10 zł, znajduje swe uzasadnienie w tym, żeby zarobek jednego robotnika, pracującego w biedaszybie, odpowiadał mniej więcej jego zarobkowi w kopalni, t. j. około 5 zł dziennie. Oczywiście rębacze (hajerzy) brali więcej, wyciągacze, sortownicy i pomocnicy brali mniej. Jak wszędzie, tak i tutaj były wahania koniunkturalne; gdy wzrastało się zapotrzebowanie, ceny szły w górę, innym razem konkurencja wzrosła, ceny szły w dół. Granica wahań leży między 7 a 15 zł. W końcu po zastosowaniu represji wobec dzikiego kopalnictwa sprzedawano jedną tonę węgla za 10 zł z dostawą do domu.

Na szczególne podkreślenie zasługuje handel wymienny z włościanami na produkty rolne, jak kartofle, kapustę itd.

Poprzednio zaznaczone zostało, że łatwość zbytu odegrała pierwszorzędą rolę w rozwoju dzikiego kopalnictwa.

Otóż dzikie kopalnictwo powstało wśród ludności ubogiej, grzebiącej na hałdach i w ziemi w poszukiwaniu węgla. Węgiel ten szedł wyłącznie na własne potrzeby. Bezrobocie dało popęd do wydobywania węgla płytko położonego, a ponieważ trafiano na pokłady dość obfite (np. z jednego szybika można było wydobyć niekiedy ogółem około 150 ton), więc wytworzyła się nadwyżka węgla, którą oczywiście trzeba było sprzedać. Stąd powstał pierwszy drobny handel. Należy pominąć tu bezdomnych, którzy taki handel uprawiają zawsze; powszechny widok na Śląsku, to są małe ręczne wózki, naładowane węglem, pochodzącym z hałd lub też wydobytym tuż spod powierzchni ziemi.

Powoli tereny eksploatacyjne zaczęły się zaludniać, poczęto kopać szybiki jeden obok drugiego, zaczęła się wytwarzać współpraca. Kilku sąsiadów wynajęło jedną furmankę, która zmieściła około 2 tony węgla, jeden z nich objął funkcję handlowca, wyjeżdżał do najbliższego miasta i tam szukał nabywcy, ewent. wystawał na szosach i proponował przejeżdżającym furmankom zakup węgla. Nieco później taki łapacz został nazwany agentem i nic więcej nie robił. Nabywca węgla znajdował się bardzo szybko, gdyż cena 18 zł loco piwnica zamiast 45 zł była aż nadto kusząca. Łatwość zbytu zachęcała do produkcji, do poszukiwania nowych terenów; zaczęto sobie przypominać dawne porzucone szybiki i budować nowe. I rzeczywiście udało się domorosłym geologom wyszukać nowe tereny eksploatacyjne, jak np. między Mysłowicami a Giszowcem, trafiając na obfite pokłady węgla. Sława taniego węgla szybko rozeszła się po okolicznych wsiach i powiatach i już w początkach roku 1932 widzimy np. w Kosztowach i okolicy dość ożywiony handel głównie wymienny między biedaszybami a wsią. Władze nieco ukróciły ten pierwszy rozrost w roku 1932, jednak całkowicie go nie stłumiły. Prawie żadna furmanka, która przywiozła produkty na targ do Mysłowic z powiatu chrzanowskiego, bialskiego, pszczyńskiego, nie wracała próżna, a zawsze naładowana węglem z początku na własne potrzeby użytkowanym, a następnie przeznaczonym na sprzedaż; przy czym handlarzem był albo bardziej przedsiębiorczy włościanin, właściciel furmanki, albo był on tylko transporterem, wynajętym przez

handlarzy lub konsumenta. W tym samym czasie spostrzegamy pojawienie się handlarzy, którzy rekrutowali się przeważnie z żydów, pochodzących z województwa krakowskiego. Handel ten jednak był dość nieśmiały i krępowany przez policję. Dopiero w miesiącach sierpniu i wrześniu powstały nowe tereny eksploatacyjne w okolicy Katowic i najobfitsze pola na granicy Wełnowca, Chorzowa i Dębu, o których mowa na samym wstępie. Wtedy to handel masowy niekrępowany ruszył na całym terenie. Sznury furmanek z odległych powiatów rolniczych zaczęły do „kopalń”.

Pierwszym organizatorem tego handlu na większą skalę był niejaki Noglik, właściciel małej kopalni węgla w Małej Dąbrówce. Wpadł on w trudności finansowe i podatkowe i przerzucił się na handel węglem z biedaszybów. Noglik znał dobrze najbliższe rynki zbytu i miał już poprzednio nawiązane kontakty handlowe. Skupywał więc węgiel z biedaszybów, magazynował go i następnie wagonami ekspediował do b. Kongresówki. Dobry przykład znajduje niezłocznie naśladowców; zaraz zjawili się żydzi z Sosnowca i Będzina, w tej chwili zorganizowali handel na większą skalę. Węgiel z biedaszybów trafił do Krakowa. Tempo zaczęło gwałtownie wzrastać, produkcja się zwiększała, kopano szybiki jeden obok drugiego, na polach węglowych zaczęło się robić ciasno. Coraz to nowi ludzie przychodzili i kopali — zapanowała całkowita „wolność”. Usłudni handlarze zabierali wszystko, co zostało wyprodukowane. Ruch i praca wrzały. Nie tylko górnicy brali się do pracy, ale i inni robotnicy, niefachowcy zachęcenі niezłym zarobkiem, rzucili się do „fedrowania”. To samo w handlu już nie zawodowi handlarze ale laicy, którzy mieli własne lub wypożyczone pieniądze, rzucali się na ten handel. Znany jest np. wypadek, że jeden z takich laików wpadł niemiłosiernie i stracił cały swój majątek (około 1000 zł), ponieważ zbyt późno wziął się do spekulacji i policja skonfiskowała mu kilka wagonów węgla na stacji kolejowej w Krakowie, gdzie miał już zapewnionych odbiorców.

Swobodny rozwój handlu uwarunkowany był między innymi dobrymi szlakami komunikacyjnymi i odległością miejsca produkcji od tych szlaków. Na ogół na Śląsku ten warunek dopisuje dzikiemu kopalnictwu w zupełności. Pola węglowe leżą w pobliżu stacji kolejowych, nie ma kłopotu z transportem. Je-



Bieda-szyby w Welnowcu pod Katowicami



Bieda-szyb z wentylatorem i schronem dla ludzi.



Bieda-szyb w Kolonii Agaty pod Mysłowicami

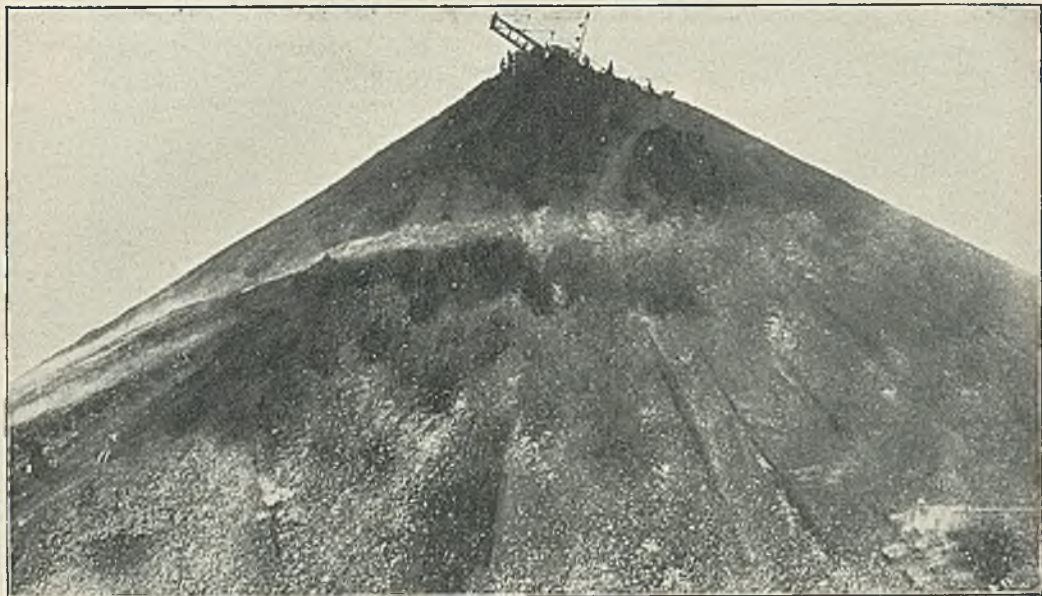




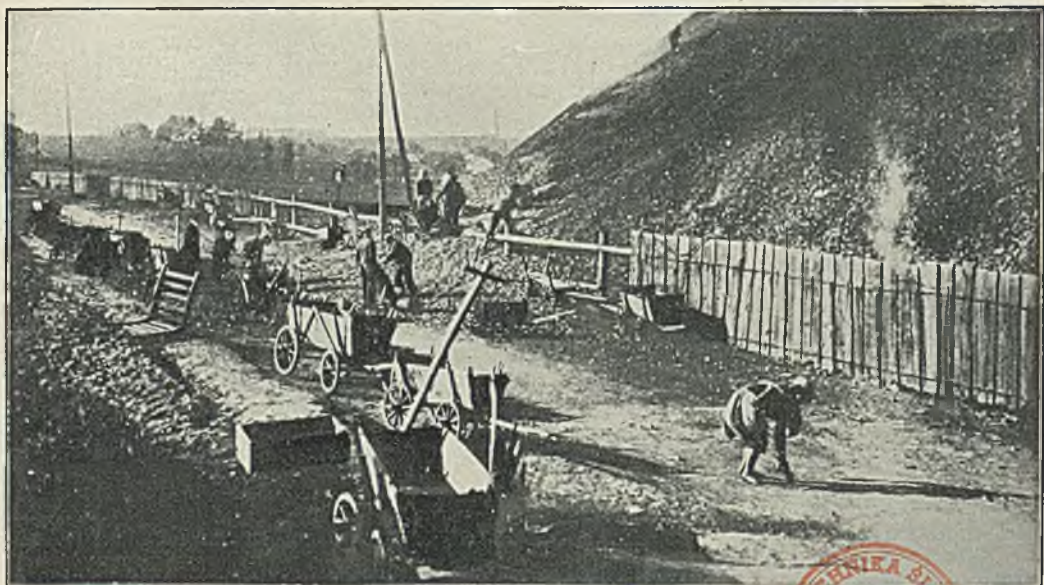
Wnętrze bieda-szybu (kolonia Agaty)



Chodnik (kolonia Agaty)



Zbieranie węgla na hałdzie kopalni Hoym (pow. rybnicki)

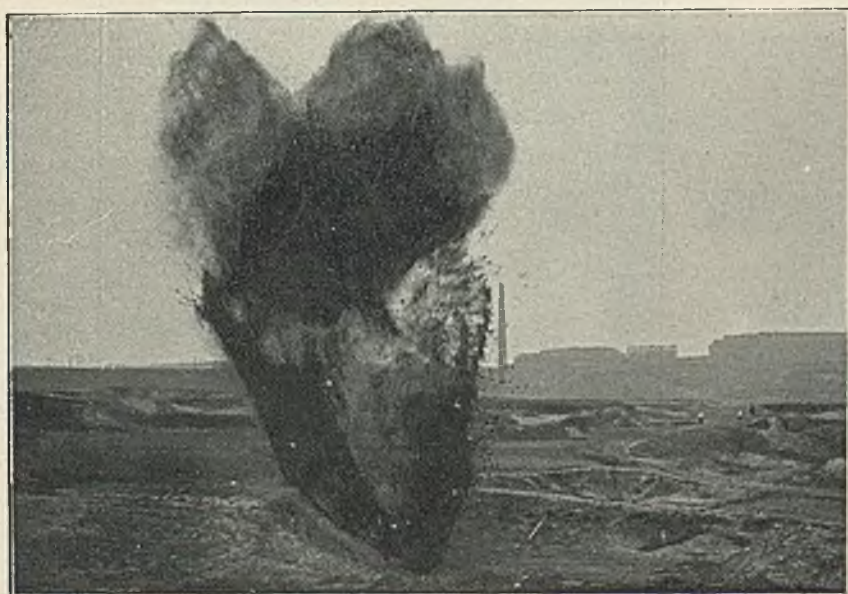


Zbieranie węgla na hałdzie kopalni Hoym (powiat rybnicki)





Zasypywanie bieda-szybu



Wysadzenie bieda-szybu w powietrze



Bieda-szyby w Welnowcu po likwidacji

dynie w okolicach Orzesza, gdzie pola węglowe są odległe od szosy o kilka kilometrów i znajdują się w lesie, a w porze wiosennej i jesiennej dostęp wozem jest tam niezmiernie utrudniony, rozwinął się inny system, a mianowicie węgiel zwożono do składów na wsiach na wózkach, a stamtąd zabierano na wozy. Węgiel ten jest dość dobry, twardy i wytrzymuje kilkakrotne przeładowanie. Jednak ta okoliczność wpłynęła, że handel węglem w tej okolicy nie przybrał tak zorganizowanych form, jak pod Katowicami, gdzie ułatwienia komunikacyjne były znaczne. Handlarzy prawie tam nie ma, a producenci sprzedają swój węgiel prawie w całości konsumentowi, który własną lub pożyczaną furmanką po niego przyjeżdża, najwyżej korzystano z usług agenta. Pośrednik-handlarz jest zjawiskiem dość rzadkim, chociaż i te okolice przeżyły swój złoty wiek. Świadczy o tym teren podziurawiony setkami szybów, dziś już całkowicie wyeksploatowany i naokoło wycięty młody las. Węgiel z biedaszybów wypierał z powodzeniem z rynku wewnętrznego węgiel kopalni i tak np. kopalnia „Eminencja” sprzedawała detalicznie w okresie rozwoju dzikiego kopalnictwa o 60% mniej węgla, ulegając szczęśliwemu konkurentowi, który swe zagony wypuszczał daleko pod Częstochowę, Kraków, Lubliniec, Bielsko, Żywiec.

ZAROBKI

Te rozwinięte formy wprowadziły różniczkowanie z punktu widzenia zarobków. Dopóki nie prowadzono handlu „en gros”, a tylko ręcznymi wózkami i furmankami, wysokość zarobków była dosyć równa, a zależała jedynie od czynności, jakie spełniał dany osobnik przy wydobywaniu węgla. Najlepiej zarabiali t. zw. „hajerzy”, którzy pracowali na dole i kilofami i łomami kruszyli pokład węgla. Oczywiście duży wpływ miała i wydajność szybu. Jeżeli dostęp do węgla był łatwy, nie trzeba było dużej podbudówki, wysokość pokładu znaczna (około 2 m), a można było pracować stojąc, nie było takich trudności, jak gazy trujące, no i częste wizyty organów policji, wtedy oczywiście zarobki wynosiły więcej. Często po prostu dzielono między sobą węgiel, a miarą podziału były kubły, którymi węgiel wyciągano i na powierzchni układano według przynależności. Każdy z robotników następnie sprzedawał swoją kupę węgla bezpośrednio kupcowi. Częstym widokiem było kilka kup węgla różnej wielkości, ułożonych naokoło szybu, a każda z tych kup

miała innego właściciela. Okres dobrej koniunktury spowodował wzrost ceny, na krótko wprowadzie, 15 złotych za tonę. Wzmogło to produkcję i zarobki, górnicy, którzy pracowali przy pomocy członków swych rodzin, osiągnęli nawet dość wysokie zyski, jak np. w Wełnowcu „bezrobotni” Bochynek i Rajwa w miesiącu sierpniu zarobili po 1300 zł, a zarobki wielu innych sięgały 1000 zł miesięcznie. Oczywiście tym szczęśliwcom dopisały warunki wydobywania i zbytu. Skala zarobków była bardzo rozpięta, niekiedy musiano się zadowolić 2 zł dziennie, przeciętnie jednak dochód dzienny na jednego pracującego na powierzchni wynosił około 5 zł, a pracującego na dole w szybie (rębacz) 8—10 zł. Gdy pracowała cała rodzina, zarobki były 3 do 4 razy większe. Oczywiście zarabiano tylko wtedy, gdy wydobywano węgiel, a było bardzo wiele wypadków, że poświęcono tygodnie pracy, aby dojść do węgla, tymczasem natrafiano albo na skały nie do przebycia, albo na uskoki i cała praca szła na marne.

Pomimo to wiodło się producentom nieźle, można było zauważyć libacje i zabawy i częste odwiedzanie restauracji. Np. jeden z „bezrobotnych” kupił swemu przyszłemu zięciowi smoking i wynajął młodej parze karetkę do ślubu.

TECHNIKA

Węgiel, eksploatowany w biedaszybach, jest przeważnie ułożony mniej więcej równolegle do powierzchni ziemi. Bardzo pochyłych i pionowych warstw węgla nie eksploatowano. W nielicznych tylko wypadkach mamy do czynienia z dużymi pochyleniami lub też z wychodami na powierzchnię. Im węgiel leży głębiej pod powierzchnią, tym jest większe prawdopodobieństwo, że jest lepszej jakości. Oczywiście naszym producentom chodzi o lepszy gatunek węgla, aby osiągnąć lepszą cenę. Stąd też kładzie się dużo wysiłku na wyszukiwanie lepszych pokładów. Niekiedy ma się do czynienia po prostu z heroicznymi pracami, popartymi gruntownym doświadczeniem.

Przekrój szybiku zależy od jego głębokości. Jeżeli węgiel jest niegłęboko, najwyżej do 10 m, to wtenczas przekrój szybu robi się szerszy, gdyż osiągnięcie tej głębokości nie zabiera więcej jak 20 godzin pracy dla dwóch ludzi; jeżeli ściany szybiku są dość mocne, np. stwardniała glina z piaskiem lub kamieniami, to nie zachodzi potrzeba obudowania szybu, gwarancją przeciw oberwaniu się jest dość znaczny przekrój $1\frac{1}{2}$ m² do

4 m². Natomiast gdy węgiel jest na znaczniejszej głębokości, na przykład na 20 m, wtedy kopanie szybu o dużym przekroju byłoby nieekonomiczne, trzeba by było zbyt wiele ziemi wydobywać na zewnątrz, dlatego też przekrój jest znacznie mniejszy, np. 0,8×1 m. Ale za to wymagane jest oszalowanie boków szybu, zabezpieczające przed zasypaniem. Oszalowanie robi się z desek o długości mniej więcej 1½ m kładzionych wzdłuż ścian szybu pionowo i przytrzymywanych 4 poprzecznymi palami na każdej ścianie szybu. Pale układa się w miejscach, gdzie jedna deska zachodzi na drugą; w ten sposób tworzy się dość silną konstrukcję do samego dołu. Szyb taki robi wrażenie wąskiej i głębokiej studni, której dna nie widać.

Po dojściu do warstwy węgla robi się chodniki, z których wybiera się węgiel. Chodniki robi się w 3 kierunkach prostopadłych do siebie, czwarty kierunek przeważnie zostawia się, aby mieć coś w rodzaju kolumny, podtrzymującej strop. Długość chodnika dochodzi do 12 m. Chodniki są podparte stemplami przeciw zawaleniu się.

Szyb buduje się przy pomocy łopat i kilofów. Gdy się natrafia na twardsze warstwy gliny, kamienia lub skały, do łupania węgla używa się kilofu. Samo łupanie odbywa się w ten sposób, że u dołu podcina się warstwę węgla, a później się ją „szramuje”, t. j. robi się podłużne nacięcia, w ten sposób można obrywać kawały i zapobiega się zbytniemu rozdrabnianiu.

Węgiel wydobywa się na powierzchnię przy pomocy zwykłego kołowrotka, podobnego do wiejskiej studni i liny drucianej, do końca której przyczepia się kubeł z węglem i wyciąga przy pomocy kołowrotka na zewnątrz. Bardzo często kołowrotek zaopatrzone jest w prymitywny hamulec.

Niebezpiecznymi wrogami górnika w kopalni są gazy trujące; nie są od nich wolne i biedaszyby. Na głębokości poniżej 20 m powietrze chociaż nawet może być wolne od gazu, jest ciężkie i nasycone wyziewami, zachodzi więc konieczność wentylacji, która jest tym bardziej konieczną w razie stwierdzenia istnienia gazu. Górnicy bardzo często, zanim spuszcza się do biedaszybu, opuszczają w pierw zapalone lampki karbidowe dla skonstatowania obecności wystarczającej ilości tlenu do oddychania. Wentylację robi się przy pomocy specjalnie skonstruowanych wentylatorów, przymocowanych do rur i uruchamianych ręcznie przy pomocy koła, wentylatorami wciąga się po-

wietrze z góry, często przegradza się szyb wzdłuż płachtami i w ten sposób wywołuje się ożywiony ruch powietrza. Również łączy się chodniki sąsiednich szybów; w ten sposób tworzy się ciąg powietrza z jednego szybu do drugiego. Ten ostatni sposób nie zawsze może być stosowany, gdyż techniczne warunki nie zawsze sprzyjają.

Osiewanie i sortowanie węgla odbywa się na górze przy pomocy sit, zrobionych z siatki drucianej, a większe kawały odkłada się rękami.

Schodzenie do szybów odbywa się albo po drabinach, albo po oszalowaniach, a często górnik oparty nogami i rękami o dwie przeciwległe ściany szybu opuszcza się na 20—30 m w dół. Najczęściej jednak górnicy spuszczają się na dół w kuble.

Pomimo ich zręczności i doświadczenia tyle czyha na górnika niebezpieczeństw; wypadki są zjawiskiem bardzo częstym, czy to gazy, czy też oberwania się ziemi lub skały, czy wreszcie brak zręczności lub nieostrożność, i kończą się przeważnie śmiercią lub kalectwem.

ORGANIZACJA

Można powiedzieć, że na ogół produkcja w dzikich kopalniach nie była zorganizowaną i miała charakter dowolności. Przyszedł jeden bezrobotny i zaczął kopać, za nim następny i tak dalej, nie przeszkadzali sobie nawzajem, każdy starał się jak najwięcej wydobyć i wiedział, że znajdzie chętnego nabywcę. Nie trzeba było żadnych karteli, dzielących rynek zbytu i ograniczających produkcję. Jedynie na polach, gdzie pracowały masy i gdzie praca była niebezpieczna, znalazł się ktoś autorytatywny, który zabraniał np. budowania szybów w nieodpowiednim miejscu, lub też doradzał, jak należy postępować w trudniejszym wypadku. Pracę prowadzili przeważnie doświadczeni górnicy, którzy doskonale znali swój fach i dlatego też konfliktów prawie nie było. Władza, jaką sprawowali na największych polach nadzorcy, wypływała ze stanowiska danego osobnika, jakie zajmował w kopalni, ale zakres jego działalności był dość szczupły; zresztą interesy nie zahaczały zbyt o siebie i każdy mógł pracować przy swoim warsztacie, nie uciekając się do interwencji jakiegoś wyższego organu. Dlatego też określenie tego kopalnictwa jako dzikie z punktu widzenia i prawnego i organizacyjnego jest uzasadnione. Terenów nie brak, wszyscy mogli kopać, zbyt był zapewniony, a więc i zgoda pa-

nowała powszechnie. Nie zachodziła potrzeba wytworzenia wyższego czynnika koordynującego, gdyż istniała w całym tego słowa znaczeniu „wolność”. Wolno było kopać, wolno było pracować jak się komu podoba i wolno było sprzedawać komu się chciało po dość dobrej cenie.

Przy większych ośrodkach było ciągle zapotrzebowanie na narzędzia: kilofy, łopaty, wentylatory i korby itp., które trzeba było albo nabywać albo reparować. Znaleźli się więc kowale, którzy na jednym z pól założyli kuźnię polową, co oczywiście było ułatwieniem dla producentów. Pola węglowe były pełne ruchu, a naokoło stały stragany z jedzeniem i napojami.

Wygląda to na sielankę. W epoce trustów i karteli, kryzysu i bezrobocia, ta sielanka jednak wnosila w stosunki prawne i ekonomiczne tyle wstrząsów, że władze postanowiły przejść do radykalnej likwidacji dzikiego kopalnictwa.

LIKwidACJA

Przede wszystkim wzmożła się ilość nieszczęśliwych wypadków. Od 1 stycznia 1932 r. zanotowano ogółem 26 wypadków śmiertelnych, z tego połowa przypada na lipiec i sierpień. Na wypadki składało się wiele okoliczności i niebezpieczeństw związanych z pracą górników. Ale szczególnie duży kontyngent ofiar stał się udziałem tych, którzy nieodpowiednio przygotowani do trudnej pracy zapragnęli łatwego zarobku.

Prasa codziennie przepełniona była wiadomościami o tych wypadkach. Władze były w dość trudnym położeniu, gdyż ze względów prawnych nie można było zorganizować bezpieczeństwa z urzędu, nie można było powołać organów, które by czuwały nad bezpieczeństwem biedaszybów, byłoby to niejako zalegalizowanie nielegalnego stanu. Tymczasem zbliżająca się zima i popyt na węgiel zapowiadały dalszą wzmożoną produkcję, a więc należało przewidywać większą ilość wypadków. Opinia publiczna zaczęła wyrażać swoje zaniepokojenie, a prasa codzienna, będąca zresztą odbiciem przychylnych nastrojów dla dzikiego kopalnictwa, ze szczególnym naciskiem i upodobaniem zajmowała się tymi rzeczami, które miały posmak nowości i aktualności. Poza tym do władz zaczęły napływać skargi czy to właścicieli lasów na wyrąb lasów (np. w Jaśkowicach wyrządzono szkód leśnych na około 8000 zł), czy też poszczególnych kopalń, których sprzedaż detaliczna zmniejszyła się wy-

datnie, czy wreszcie skargi poszczególnych obywateli, że im bezrobotni wchodzą na prywatne pola, czy wreszcie wypadki podkopania dróg i torów kolejowych.

Ale, co najważniejsze, zanikały powody rozgraniczenia własności, naruszało się powoli podstawy prawne. Równocześnie z eksploatacją węgla kradziono w dużych ilościach drzewo z lasów, a od tego już tylko jeden krok do kopania cudzych kartofli na polach (i taki wypadek już zanotowano). Najbliższy rozruch mógł przynieść zwykłe w tych wypadkach zjawisko rabowania składów i sklepów. „Wolność” przeradzała się w samowolę.

Jasnym się stawało, że należy stanowczo ukrócić dzikie kopalnictwo, chodziło tylko o wybór taktyki i środków.

Dotychczas walka miała charakter lokalny i ograniczała się do bezpośredniego przeszkadzania w pracy i niedopuszczania do kopania nowych szybów. W tym celu zanieczyszczano szyby lub je zasypywano. Jeżeli właścicielem terenu była kopalnia, to niekiedy dostarczała ona środków wybuchowych i personelu do wysadzania w powietrze biedaszybów. Ta akcja dawała jednak nikłe rezultaty, gdyż natrafiano na zdecydowany opór i jego stłumienie musiałyby się skończyć rozlewem krwi, a następnie łatwość, z jaką budowano biedaszyby, pozwalała na konstruowanie nowego szybu w przeciągu kilkunastu godzin. Zabieranie węgla było utrudnione, gdyż bezrobotni konwojowali go dość daleko i stawiali wszelki opór w razie konfiskat. Wobec takiego stanu rzeczy niektóre kopalnie odmówiły pomocy, uważając wysadzanie szybów w powietrze za akcję zbyt kosztowną i nieskuteczną.

Sądy karały doniesionych kilkuzłotową grzywną lub 1—2 dni aresztem, co oczywiście prawie żadnego znaczenia w walce z biedaszybami nie miało. Wobec ogromnego rozszerzenia się dzikiego kopalnictwa na całym terenie bezpośrednio nie obeśzłoby się bez rannych i trupów, a następnie wątpliwym było, czy siły, jakimi władze rozporządzają, wystarczyłyby na równoczesne działanie na całym terenie.

Już wyżej było zaznaczone, że handel najbardziej przyczyniał się do rozwoju dzikiego kopalnictwa, a więc walka z nielegalnym handlem miała zadać mu śmiertelny cios.

Dnia 13 września 1932 r. wydano całej Policji Wojew. Śląskiego zarządzenia konfiskowania węgla, który został już

zapłacony i właścicielem jego stał się albo handlarz albo konsument. Producent już nie był zainteresowany bezpośrednio taką konfiskatą, gdyż nie godziła ona w jego interes, zresztą pracował nad wydobyciem jak największej ilości węgla i nie troszczył się o zabezpieczenie transportu, który już do niego nie należał. W ten sposób policja miała do czynienia z elementem nieradykalnym (konsument, handlarz, dla którego zresztą konfiskata węgla nie stanowiła kwestii bytu, jak to było z bezrobotnymi). To też konfiskaty prawie odbywały się bez oporu. Zabierano węgiel w pobliżu z góry wyznaczanych składów zbiorowych (gmin, komitetów pomocy dla bezrobotnych itd.) tak, aby nie potrzeba było zbyt daleko wozić tego węgla i nie wywoływać protestów ze strony furmanów, no i nie tracić niepotrzebnie czasu. Wielką ilość furmanek, zdążających po węgiel do biedaszybów, zatrzymywano i cofano. Każdą furę węgla sprawdzano, czy posiada kwit lub rachunek. W porozumieniu z władzami kolejowymi konfiskowano wagony węgla, przeznaczonego do dalszych miejscowości jak Kraków i Częstochowa.

Rezultat był nieoczekiwanie szybki. W przeciągu 10 dni większe ośrodki przestały funkcjonować, zostały mniejsze ogniska, gdzie można było wystąpić radykalnie, a mianowicie obsadzić teren policją i wysadzić szyby w powietrze.

Charakterystycznym jest, że ośrodki największe, gdzie zbyt przejął całkowicie w swoje ręce handel, t. j. gdzie nastąpiła wyraźna granica między produkcją a handlem, te ośrodki upadły natychmiast, natomiast wszędzie tam, gdzie dzikie kopalnictwo nie osiągnęło tej wysokości organizacyjnej, gdzie funkcja producenta i handlarza jeszcze się z sobą splata, tam się trafia na opór większy i likwidacja jest powolniejsza, a to dlatego, że przy konfiskacie zawsze uderza się jeszcze w producenta bezpośrednio.

Jednym z najbardziej opornych ośrodków były Kosztowy, na nim też skoncentrowano ostatnio uwagę i 20 października 1932 r. zniszczono większość szybów w tej okolicy.

Obecnie dzikie kopalnictwo zostało wtłoczone w swe pierwotne ramy — małego tajnego przez biedotę uprawianego przemysłu. Handel węglem tym jest bardzo szczupły, a w porównaniu do okresu rozkwitu, prawie żaden. W ten sposób skończył się i ten okres „wolności”.

Statystyka dzikiego kopalnictwa w 1932 r.

MIEJSCOWOŚĆ	Ilość szybików	Ilość robotników.	Ogólna produkcja ton	Ilość wypadk. śmierteln.
<i>Powiat Pszczyński:</i>				
Jaśkowice	300	1.500	8.000	—
Mikołów	150	500	2.500	—
Piotrowice	16	60	800	—
Wyry	30	100	200	—
Lędziny	3	20	50	1
Łaziska Górne	12	120	1.000	—
Murcki	300	800	6.000	2
Kosztowy	40	600	4.000	1
Razem	851	3.700	22.550	4
<i>Pow. Świętochłowicki:</i>				
Lipiny	50	250	2.000	1
Zgoda	20	80	2.000	2
Czarny Las	12	40	300	—
Karol Emanuel	20	100	200	—
Chropaczów	5	50	500	—
Razem	107	520	5.000	3
<i>Powiat Katowicki:</i>				
Dąb	152	850	7.000	1
Załęska Hałda	50	250	500	—
Siemianowice Śl.	60	400	2.000	—
Mysłowice	10	50	600	—
Szopienice	50	250	1.000	4
Chorzów	116	976	12.000	2
Nowa Wieś	36	80	500	1
Janów	14	60	1.000	—
Brzezinka	102	368	4.000	1
Mysłowice Janów miejski	250	1.500	3.000	—
Kochłowice	135	1.000	6.000	—
Wielowiec	150	1.000	15.000	3
Mała Dąbrówka	13	60	200	1
Zawodzie	86	500	3.500	2
Katowice III. Kom.	90	120	2.100	2
Katowice II. Kom.	20	60	500	—
Razem	1.334	7.524	58.900	17

Zestawienie:

Powiat	Ilość szybków	Ilość robotników	Ogólna produkcja ton	Ilość wypadk. śmierteln.
Pszczyński	851	3.700	22.550	4
Świętochłowicki	107	520	5.000	3
Katowicki	1.334	7.524	58.900	17
Chorzów (Król. Huta)	60	400	864	2
Ogółem*)	2.352	12.144	87.314	26

*) Liczby te oparte są na danych przybliżonych. Przeprowadzenie dokładnej statystyki jest niemożliwe.

Statystyka dzikiego kopalnictwa w latach 1933 i 1934

	Powiat	Ilość szybków	Ilość robotników	Ogólna ilość dotąd zniszczonych szybków na zarządzenie władz
31. XII. 1933 r.	Katowicki	179	639	2.774
	Pszczyński	80	489	1.107
	Świętochłowicki	50	210	523
	Chorzów	3	10	40
	Rybnicki	—	—	4
	Ogółem	312	1.348	4.448
31. XII. 1934 r.	Katowicki	79	404	—
	Pszczyński	111	725	—
	Świętochłowicki	60	332	—
	Chorzów	6	19	—
	Rybnicki	12	46	—
	Ogółem	268	1.526	—

Z tabelki powyższej wynika, że największe nasilenie dzikiego kopalnictwa jest w zimie, oraz w czasie, w którym policyjna służba prewencyjna z tych czy innych względów jest słabsza. Ten stan utrzymuje się na jednakowym poziomie, a do rozszerzania się nie dopuszczają organa policyjne.

Stan dzikiego kopalnictwa w roku 1935 przedstawiał się następująco:

M i e s i ą c	Czynnych szybików	Zatrudnio- nych osób	Zajęto furma- nek węgla
styczeń	301	1.217	355
luty	185	875	401
marzec	191	823	262
kwiecień	86	300	199
maj	210	980	209
czerwiec	50	240	96
lipiec	93	350	71
sierpień	217	800	73
wrzesień	180	500	95
październik	166	900	196
listopad	191	1.090	233
grudzień	215	1.000	177

Po energicznej akcji policji w 1933 r. dzikie kopalnictwo zredukowane zostało do 10—12% stanu z 1932 r. przeciętnie z małymi zmianami; zależnie od pory roku czynnych jest około 250 szybików, zatrudniających około 1200 osób. Stan taki bywa do dziś.

Wielki przemysł energicznie domaga się zupełnej likwidacji, natomiast u ogółu ludności dzikie kopalnictwo znajduje dużo sympatii, co znajduje nawet wyraz w prasie (katowickie dzienniki „Polonia”, „7 groszy”). Na ogół walka z dzikim kopalnictwem jest niepopularna. Szkody, o jakich mówi przemysł, są przesadzone, produkcja bowiem nie jest tak wielką, aby mogła się stać poważną konkurencją dla kopalń.

Technika dzikiego kopalnictwa wobec stałej akcji policji spadła znacznie. Szybiki są wykopywane i nieobudowane a wydobywanie odbywa się jedynie przy pomocy wiader i lin. Bardzo wiele urządzeń technicznych policja zniszczyła, wobec czego biedaszybowcy, nie chcąc narazić się na straty, ograniczają środki techniczne do koniecznego minimum, co ma ten skutek, że szybiki źle zabezpieczone stają się częściej powodem śmierci i okaleczeń robotników.

Pewne zahamowanie w działaniu policji spowodowało orzeczenie Sądu Najwyższego z 1933 r., że kupno węgla, pochodzącego z dzikiego kopalnictwa, nie jest paserstwem, dlatego też walka z handlem i przewozem tego węgla napotykała na trud-

ności prawne. W styczniu 1935 roku zostało jednakże orzeczenie to zmienione i sądy mają podstawę do karania handlarzy jako paserów, co ułatwia akcję policji.

Zupełne zlikwidowanie dzikiego kopalnictwa byłoby możliwe jedynie przez obsadzenie policją wszystkich terenów, co wymagałoby znacznych ilości policji i naraziłoby całość bezpieczeństwa na poważny szwank. Z drugiej strony wobec agresywności bezrobotnych przychodziłoby często do użycia broni ze strony policji i do ofiar śmiertelnych. Oczywiście takie środki stłumiłyby całkowicie dzikie kopalnictwo, lecz spowodować by mogły poruszenie mas. Ewentualne skutki takich represji nie stałyby w żadnym stosunku do przestępstwa.

Obecny stan dzikiego kopalnictwa należy uważać za ustabilizowany.¹⁾

ZAKOŃCZENIE

Dzikie kopalnictwo jest jednym ze skutków dzisiejszego kryzysu. Pomimo całej sympatii społeczeństwa do biedaszybów, sympatii zresztą niebezinteresownej, gdyż homo economicus zawsze chce kupić taniej, dopuszczenie do swobodnego rozwoju tego przemysłu podważyłoby nie tylko stan prawny, ale wywołałoby zamęt w życiu gospodarczym i wytworzyłoby nowe formy prawdopodobnie mało odbiegające od obecnych form kapitalistycznych, a które, nie mając cech trwałych rozwiązań na przyszłość, naruszyłyby poważniej istniejący stan rzeczy. Ryzyko zbyt wielkie, aby można sobie było na nie pozwolić. Od czasu do czasu przychodzi okres „wolności”, wywołanej czy to większymi przesileniami politycznymi czy to gospodarczymi, okres ten zawsze jest krótki. Ale w umysłach mas ciągle kiełkuje pytanie: dlaczego? Dlaczego nie wolno człowiekowi, walczącemu o prawo do życia, wziąć sobie tego, z czego nikt nie korzysta?

Może nadchodząca przebudowa gospodarcza świata uwolni nas od odpowiadania na te niepokojące pytania.

Katowice

JÓZEF ŻOLTASZEK

¹⁾ Nic nowego do opisu tego stanu nie wnosi artykuł Ksawerego Müllera pt. „Die Notschächte Ostoberschlesiens“ w wydawnictwie Osteuropa-Institut „Ostraum-Berichte“ r. 1936, z. 3-4.

WIECZORY DYSKUSYJNE TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLĄSKU

ROK PIERWSZY: 1935-36

Okres współczesny w życiu kulturalnym odznacza się mnogością przemian i w związku z tym bogactwem nąsujających się zagadnień. Tym, którzy pracują na polu nauki i zajmują się kwestiami wiedzy, okres dzisiejszy stawia specjalne zadania: wymaga, by nauka nie zamykała się w granicach badań specjalnych, lecz by była zdolną podchodzić do żywych zjawisk kultury, oświetlać je, rozważać krytycznie i wydobywać z nich to, co w nich jest twórcze i pozytywne.

Na Śląsku wiele zagadnień życia współczesnego, chociażby na tle stosunków społeczno-ekonomicznych, występuje z szczególną wyrazistością; ma też Śląsk swoje specyficzne problemy na tle życia kultury Polski, które wymagają osobnych rozważań. Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku na kilku swoich posiedzeniach zastanawiał się nad sprawą utworzenia ośrodka, w którym mogłaby rozwinąć się i skoncentrować wymiana myśli i dyskusja poświęcona tym tak żywotnym dzisiaj problemom. Wymagało to wyjścia poza sferę czysto regionalnych zainteresowań i przełamania na ten sposób dotychczasowej tradycji. Niemniej zdecydowano się na to i postanowiono zainicjować wieczory dyskusyjne, w których obok członków Towarzystwa mogliby wziąć również udział inni przedstawiciele inteligencji i ludzie interesujący się życiem kulturalnym. Dyskusja miała się zgrupować w dwu cyklach, w jednym poświęconym zagadnieniom kultury współczesnej, w drugim poświęconym specjalnie problemom regionalnym.

W roku 1935-36 zrealizowano część tego planu, mianowicie urządzono cykl czterech wieczorów dyskusyjnych, poświęconych zagadnieniom ogólnokulturalnym. Wieczór śląski był tylko jeden, bardzo jednak żywy i żywo dyskutowany. Wszystkie wieczory, które odbywały się w gościnie użyczonej Towarzystwu miłej sali Polskiego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników woj. śląskiego w Katowicach, skupiały liczne grono uczestników (zwykle 50—100 osób) i wytworzyły korzystniejszą, niż się spodziewano, atmosferę dyskusyjną.

Cykl poświęcony zagadnieniom kultury współczesnej, a z nim i wieczory dyskusyjne w ogóle rozpoczęły się w dniu 29 listopada 1935 r. Po zagajeniu przez Prezesa Towarzystwa ks. dra Emila Szramka, który wyjaśnił zebrany charakter i cel wieczorów, przystąpiono do pierwszych referatów i dyskusji.

Tematem tego pierwszego, wstępnego, wieczoru były: Podstawy dyskusji o kulturze współczesnej.

Zagał rozważania referatem na ten temat dr Paweł Rybicki. Oto w streszczeniu jego wywody:

Od kilkunastu lat w intelektualnych kołach toczy się dyskusja na temat kryzysu współczesnej kultury zachodnio-europejskiej. Dyskusja ta występuje i powraca pod różnymi formami; spotykamy ujęcia zagadnienia różne i rozbieżne. Wszystkie one wyrażają przecież jedno: wielki niepokój kulturalny. Niepokój o to, co dzieje się w kulturze współczesnej, o to, co jej grozi i co ma się w niej dokonać.

Utrzymujące się szereg lat i rosące raczej w swym natężeniu zjawisko takiego niepokoju nie da się wytłumaczyć tylko przez stosunek do jakichś specjalnych wytworów kulturalnych lub poszczególnych form życia. Ażeby je zrozumieć, musimy sięgnąć do ogólniejszej koncepcji kierunków życia. Bo życie nie jest nigdy zbiorem niezwiązanych czynności i tworców, ale tworzy raczej zespoły łączących się ze sobą zjawisk, które występują na pewnych określonych torach i posuwają się po pewnych określonych liniach. To są właśnie te ogólne kierunki życia, o które nam chodzi.

Dzisiejsze życie kulturalne przeciwstawia się życiu przedwojennemu, które w swych cechach istotnych reprezentuje kończąca się epokę XIX stulecia. W zestawieniu też z okresem XIX wieku najłatwiej możemy zrozumieć pewne przeobrażenia dzisiejszego momentu dziejowego. Życie XIX wieku, bogate i różnorodne, skupia się wokół pewnych punktów widzenia i idei zasadniczych, rozeznąć w nim można dominujące linie kierunkowe. Dla wyznaczenia ich wydają się nam najważniejsze następujące punkty:

1. racjonalizm w znaczeniu stanowiska, które uważa rozum za zasadniczą dyspozycję życia psychicznego i przyjmuje teoretyczną i praktyczną podległość świata racjonalistycznemu ujęciu;

2. stosunek do techniki materialnej i przekształceń techniczno-gospodarczych, nacechowany wiarą w nieograniczone postępy świata pod tym względem i w bezwzględną korzystność tego postępu dla ludzkości;

3. indywidualizm społeczny, polegający na wyodrębnianiu jednostki z ograniczających ją małych kręgów społecznych — indywidualizm, prowadzący w rezultatach do zwierania życia społecznego w jednostkach i wielkich zbiorowościach i ustawicznej antytezy tych czynników;

4. stosunek do religii, znany najbardziej pod postacią t. zw. indyferentyzmu religijnego, który całe życie kulturalne stawia poza sferą wartości i wpływu religii.

Są to oczywiście tylko pewne punkty zasadnicze, nie wyczerpujące całej treści kulturalnej okresu. Nie są one żadną inowacją wieku XIX, raczej są kontynuacją wielkich kierunków myślowych i ideowych, które rozwinęły się w Europie od humanizmu poprzez renesans i oświecenie.

Zestawiając z tymi liniami kierunkowymi minionego wieku życie współczesne, nie możemy powiedzieć, ażeby te kierunki przynajmniej w praktycznej rzeczywistości życia współczesnego skończyły się. Postępy techniki, rozwój opartych o nie form gospodarczych, konflikty jednostki i zbiorowości posuwają nas dalej po tych liniach ku zjawiskom coraz skrajniejszym. Indyferentyzm religijny znajduje kontynuację w ateizmie i świadomym bezbożnictwie. Wreszcie racjonalizm wciska się w dziedziny życia, dawniej nie ujmowane, jak w sfery życia erotycznego, tworząc koncepcje człowieka oderwanego od podłoża instynktów i wyrobionych nastawień psychicznych.

Uległo jednak i ulega zmianie coś bardzo istotnego — nasz stosunek do tych wszystkich zjawisk. Nie odczuwamy bowiem przejawiających się kierunków życia jako naturalnego i błogosławionego biegu rzeczy, lecz o wiele częściej jako rodzaj ciężącego fatalnie układu sił, które trzymają i uciskają życie; wiara w dobro tego układu ustępuje niepokoju i wątpieniu. Najłatwiej dostrzec to w stosunku do techniki materialnej i związanych z nią przemian gospodarczych. Rola maszyny jest tu przykładem; maszyna zabiera ludziom chleb i środki do życia. Inny przykład to technika zbrojeń. Odpowiada jej lęk przed prowadzącą do zniszczenia wynalazczością ludzką.

W zakresie życia społecznego świat, przesiąknięty ideami o indywidualistycznym i kolektywistycznym charakterze, nie może znaleźć równowagi, a w związku z tym załamuje się wiara w doktrynalne podstawy układu społecznego.

Najgłębiej jednak sięgają zjawiska, które wiążą się ze sferą moralności. Nowoczesny powojenny świat w pewnej mierze wskutek wstrząsów, którym podlegała tradycyjna obyczajowość, stanął jakby w nowej sytuacji wobec zagadnień moralnych. Dyskusja około tych zagadnień była żywo prowadzona i różne dawała wyniki. Ujawniła ona pewne zjawiska rozprzężenia moralnego, pewne ogólne obniżenie poziomu i stylu życia, ale najistotniejszym okazało się doświadczenie, że cała wielka ewolucja nauk, techniki, form gospodarczych i społecznych odbyła się jakby poza człowiekiem, nie obejmując jego instynktów i nie dając ani podtrzymania ani wyrazu najgłębszym duchowym, moralnym i religijnym potrzebom osobowości ludzkiej.

W związku z tym doświadczeniem, nieraz jeszcze słabo uświadomianym, kształtuje się w myśli współczesnej wzmożone poczucie zależności od sił irracjonalnych. Jest rzeczą ciekawą, że równocześnie, gdy dokonywają się te procesy, zaszły i zachodzą ogromnej doniosłości przeobrażenia w nauce teoretycznej, bardzo odległej od wszystkich tych spraw moralno-kulturalnych, a mianowicie w fizyce. Chodzi nam tu o dokonane w szczególności w związku z teoriami atomistycznymi zachwianie poglądu deterministycznego w fizyce i przypuszczenie możliwości inde-

terministycznego ujęcia zjawisk fizykalnych. Jeśli zdajemy sobie sprawę, jak olbrzymie znaczenie dla nauki, filozofii a pośrednio dla całego życia myślowego wieku XIX posiadało stanowisko deterministyczne nauk przyrodniczych, a zwłaszcza fizyki, można domniemywać się, iż przeobrażenia, jakim podlega fizyka współczesna, niezależnie od ukształtowania się ostatecznego ich wyników będą miały dla myśli nowoczesnej prawdziwą doniosłość.

W dziedzinie teorii mamy do czynienia z przewyciężeniem pewnych punktów widzenia. W życiu praktycznym nie tyle przewyciężenie, ile przeciwieństwa występują z wielką wyrazistością. Tak więc obok dalszej ewolucji techniki pojawiają się idee reakcyjne, przeciwko niej zwrócone. Postęp gospodarczy spotyka się coraz częściej z praktycznymi ograniczeniami i przeciwdziałającą mu normalizacją. W sferze życia społecznego należy tu przytoczyć ideę korporacjonizmu — ideę bezwzględnie obcą duchowi społecznemu XIX stulecia, w której też zaczynają się pewni myśliciele doszukiwać możliwości przewyciężenia wytworzonego przez poprzednie kierunki chaosu społecznego. I wreszcie jako najważniejsze zjawisko: odrodzenie zainteresowań religijnych. Postacie jego są różne; jedną np. jest ruch neopogański w Niemczech. Ale obok niego występują rozliczne inne przejawy, wśród których szczególnie wydobywa się wzrost i odnowienie znaczenia katolicyzmu i jego ingerencji w życiu kulturalnym.

Tym wszystkim przemianom towarzyszą niektóre charakterystyczne zjawiska, zwłaszcza w stosunku starszego i młodszego pokolenia, jak zanik idei liberalnych w młodym pokoleniu i objawiający się w niektórych kołach młodzieży surowy w formach, lecz spontaniczny nawrót do przeżyć i przekonań moralnych. W obrazie świata kulturalnego, zaznaczonym tymi ogólnymi i z konieczności ogólnikowymi rysami, uwidacznia się coś, co momentowi współczesnemu nadaje zniamię wyjątkowości. Jeżeli bowiem pokrótce dana charakterystyka niektórych przeobrażeń życia współczesnego jest słuszna, to w takim razie mamy dzisiaj przed sobą coś innego, aniżeli przejście z jednego okresu kulturalnego w drugi, takie jakie dokonywa się prawie zawsze z pokolenia na pokolenie. Nie chodzi bowiem tylko o wprowadzenie pewnych inowacji do życia, o dodanie mu jakichś nowych wartości, chodzi przeciwnie o rewizję i zmianę tych punktów widzenia, tych podstaw duchowych, z których wyrastało i kształtowało się życie europejskie przy wszystkich przejściach i przeobrażeniach w ciągu kilku minionych stuleci. To, co się dzisiaj dokonywa w niespokojnej myśli europejskiej, sięga do podstaw stosunku do życia. Z tego punktu widzenia teoria powrotu do średniowiecza, o której słyszeliśmy niejednokrotnie w latach ostatnich, ujawnia swoje istotne znaczenie. Idzie o dokonanie się zasadniczego zwrotu w kierunku życia, takiego zwrotu, jaki kultura jest zdolna przejść tylko w rzadkich, wiekami dzielonych momentach. Linie tego zwrotu zaledwie zarysowują się, a przeciwdziała im całą ciężącą siłą wyrobionych nastawień i instytucji kultura miniona i kończąca się. Żyjąc w epoce zmagania się dawnych i nowych czynników i uświadamiając je sobie, jesteśmy już jednak u progu wielkiego zwrotu.

Z kolei zabrał głos korreferent dr Wacław Olszewicz. Korreferent zaznaczył na wstępie, że zadaniem jego wywodów będzie dać uzupełnienie historyczne do referatu dra Rybickiego.

Trzeba — mówił korreferent — sięgnąć do humanizmu XV wieku, żeby znaleźć jedno z głównych źródeł myśli współczesnej. Humanisci ówczesni, „to ludzkość nowa i interesująca, odkrycie świata, odkrycie człowieka” (Michelet); zmienia się wówczas zasadniczo kierunek zainteresowań. Humanisci nowocześni, to szereg pisarzy, głównie Anglosasów, jak More, Mercier, Babbitt, przed nim Schiller, przed nim Arnold, czy Ruskin czy Spencer. Historyczne znaczenie posiada „Plea for liberty” (1891) zbiorowe dzieło pod redakcją Spencera, zwrócone przeciwko socjalizmowi; współzawodnictwo zostało tu podniesione do roli naczelnego hasła w życiu społecznym, zgodnie z doktryną liberalizmu. Wyraza „idea praw człowieka, człowieka wyolbrzymionego w króla, w suwerena, którego zwierzchnictwo nie zna innych granic jak zwierzchnictwo innych ludzi” (Clemenceau). Ubóstwianie człowieka, jego walki o byt nie pozostawia miejsca dla pierwiastków irracjonalnych. Genealogia wielu kierunków filozoficznych i społecznych wywodzi się z humanizmu: wymienić tu można naturalizm, scientyzm, koncepcję „człowieka-maszyny”, lecz także idealizm w rodzaju Hegla, kierunek zapoczątkowany przez J. J. Rousseau, romantyzm, pragmatyzm, bergsonizm. Nic to, że „wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia w miarę, jak widzeń krąg się rozprzestrzenia, wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie” (Asnyk). Kult wiedzy, kult człowieka rozprzestrzeniają się. Przeciwności osamotnieniu człowieka w życiu materialnym występuje socjalizm, czerpiący obficie z pism Darwina i Spencera(!). W życiu politycznym zwolennicy tego kultu niszczą resztki ówczesnego ustroju, tkwiącego jeszcze w średniowieczu (rewolucja francuska 1789, deklaracja praw człowieka i obywatela 1791).

Ale jak w górach potok kryje się pod kamieniem i tworzy „suchą wodę”, tak przez ostatnie wieki przepływa drugi nurt myśli. Nie bez wpływu J. J. Rousseau daje mu wyraz Chateaubriand (*Le Génie du Christianisme* 1802). Nurtowi temu odpowiada romantyzm patetyczny, odpowiada mu twórczość Mickiewicza. Pod wpływem tego nurtu rośnie zamilowanie do gotyku i wczesnego malarstwa, zainteresowanie Dantem i kult św. Franciszka z Asyżu. W Anglii malarze stają na czele akcji nad podniesieniem rzemiosła (prerafaelicy), odradza się sztuka stosowana; w świecie rodzi się prąd przeciw maszynizmowi, występują idee socjalne, postępowe, ale z pierwiastkiem irracjonalnym.

Encyklika „*Rerum Novarum*” jest niemal równoczesna z ruchem ludzi najbardziej postępowych, zwolenników ideifikacji człowieka, rozumiejących przy tym niemożność pozostawienia społeczeństwa w stanie atomizacji. Potomkowie ideowi tych, którzy zniszczyli pozostałości dawnego ustroju, wywalczają w Francji prawo zrzeszania się robotników (syndykaty robotnicze 1884). W walce klas współzawodnictwu coraz silniej i coraz z innej strony przeciwstawia się współdziałanie. Sorel kładzie podwaliny syndykalizmu, Gide — solidaryzmu. Spółdzielczość znajduje ideologów w rodzaju Edwarda Abramowskiego, którzy w niej

widzą nie tylko pierwiastki materialne, ale i duchowe, odradzające ludzkość.

Po wielkiej wojnie przejawia się silne poszukiwanie form zorganizowanego współżycia: bolszewizm, faszyzm, hitleryzm, korporacjonizm. Nawracając do zasadniczej myśli czasów przedrenesansowych, do takiej czy innej organicznej więzi w życiu społecznym, nie umieją twórcy nowych ustrojów zachować zdobyczy rewolucji francuskiej, wolności i równości, czy może po prostu równej wolności, której idea już przeniknęła do mas. Ale tak samo własnością mas stała się myśl Arystotelesa o człowieku jako o stworzeniu uspołecznionym. Znaczenie życia zbiorowego ogromnie po wojnie wzrasta. Wielką wychowawczą rolę zaczyna odgrywać kultura muzyczna, już nie jednostek, ale zbiorowisk ludzkich, co tak pięknie wytłumaczył w jednym odczycie Karol Szymanowski. Pięknym przejawem dążenia młodzieży do współżycia jest harcerstwo. Tkwią w nim idee demokratyczne, ale równocześnie ustrój jego jest oparty na ścisłej hierarchii. To jest przeciwstawienie tej niwelacji, która jest następstwem demokratyzmu i ideału jednostki przeciętnej, a którą referent dr Rybicki przedstawił w swej pracy „Demokratyzm i kultura” (1934). Podniesienie poziomu człowieka-jednostki i równoczesne znalezienie formy organizacyjnej społeczeństwa, zbiorowości — oto problemat, dziś najbardziej istotny, najbardziej niepokojący świat intelektualny. Życie zbiorowe, zorganizowane według nowych zasad jeszcze niezalezionych, stworzy warunki współdziałania wolnych ludzi dla „pracy wspólnej w jasności dnia”.

W dyskusji, która rozwinęła się po referacie i korreferacie, znalazły wyraz rozmaite poglądy i punkty widzenia. Pierwszy mówca dr L a c h podkreśla znaczenie, jakie mogłoby mieć stanowisko fenomologiczne dla ustalenia podstaw dyskusji o kulturze współczesnej. Podnosi też znaczenie pojęć tradycji i mody w rozważaniach nad kulturą i wskazuje charakterystyczną, szczególnie przez amerykańskich uczonych podkreślaną, cechę zmienności życia współczesnego. Z kolei przedmiotem dyskusji stała się charakterystyka XIX wieku, dana w referacie i korreferacie, oraz kwestia słuszności pojmowania kryzysu kulturalnego w sposób, w jaki ujął go referent. Dr L u t m a n o w a zaznacza, iż na terenie wieku XIX istniały i ścierały się rozmaite prądy kulturalne. Charakterystyka, podana przez dra Rybickiego, może odnosić się jedynie do okresu pozytywistycznego. Niemniej przeciwstawienie chwili obecnej okresowi poprzedniemu, którego źródła tkwią w renesansie, wydaje się rzeczą trafną. Istnieje obecnie zwiększona potrzeba autorytetu, która zbliża nas do średniowiecza. Dr K o r o w i c z, zgadzając się z głównymi liniami wywodów obu prelegentów, uzupełnia ich rozważania, podkreślając w charakterystyce XIX stulecia rozwój i realizację idei liberalnych, demokratycznych i humanitarnych. W okresie obecnym zaznacza się odwrót od tych idei i wydo-
bywa się biegunowa przeciwność światopoglądów, przy czym nowe tworzące się światy idei nie szukają porozumienia ze sobą, lecz dążą nawzajem do zniszczenia. Dr L u t m a n przeczy tezie, jakoby kryzys

przeżywany obecnie miał być zupełnie wyjątkowym. Każda epoka przeżyła swój kryzys na tle antagonizmu pomiędzy generacjami. Dzięki tym kryzysom, dzięki zmianom nastawień kulturalnych istnieje rozwój kulturalny. Mowca podkreśla dalej paralelizm zjawisk kryzysowych w rozmaitych dziedzinach życia i zastanawia się wreszcie nad tym, kto przeżywa kryzys współczesny. Kryzys ten, jego zdaniem, przeżywa specjalnie pokolenie przejściowe, wyczuwa go i rozumie świat intelektualny. Do zagadnienia, kto przeżywa kryzys, nawiązuje jeden z późniejszych mowców dyskusji p. M a r s z a ł e k, który określając stosunek młodzieży do kryzysu, stwierdza, że młodzież wyczuwa i przeżywa kryzys kulturalny i że cierpi na tym, iż nie znajduje w tym przeżyciu i w sytuacji współczesnej dość jasnych i wyraźnych punktów orientacyjnych.

Dalszy ciąg dyskusji dążył do rozszerzenia rozważań i znalezienia odpowiedzi na wysunięte zagadnienia. Mgr K o r a s z e w s k i, dopatrując się pewnej sprzeczności między wywodami referenta i korreferenta, pragnie rozwinąć poruszone w dyskusji zagadnienia, wysuwa problem harmonii czyli równowagi treści i formy i w zakłóceniu tej harmonii wskazuje jedno ze źródeł kryzysu. Tak samo prof. P i e r n i k a r c z y k mówi, że kryzys kultury współczesnej łączy się z rozdźwiękiem między władzami w duszy człowieka i wskazuje potrzebę powrotu do harmonii wewnętrznej, podkreślając głębię zasad chrześcijańskich. Sprzeciwia się ograniczeniu dyskusji nad kryzysem do kręgu kultury zachodnio-europejskiej. Już wcześniej jeden z mowców p. H o j k a podnosi, że tylko powrót do Chrystusowej zasady miłości bliźniego może przezwyciężyć kryzys i ilustruje tę myśl przykładami z życia społecznego.

Ku końcowi dyskusji ks. dr K o m i n e k wskazuje na potrzebę odwołania się do pojęcia natury ludzkiej, ażeby zagadnienie kryzysu kultury współczesnej w pełni zrozumieć i móc postąpić ku jego rozwiązaniu. Wreszcie prezes ks. dr S z r a m e k, całą dyskusję prowadzący, podkreśla pewne jej wyniki i wykazuje konieczność pozostania w obrębie kręgu kultury zachodnio-europejskiej przy rozważaniu teraźniejszego kryzysu. Dalej określa, że kryzys, jak okazują wszystkie rozważania, nie polega tylko na pewnych zaburzeniach w zewnętrznym układzie stosunków, ale właściwe początki swoje ma w kierunkach myśli ludzkiej. Referenci dr Olszewicz i dr Rybicki w przemówieniach końcowych wyjaśniają kilka punktów spornych i uzupełniają w oparciu o dyskusję poprzednie wywody.

Jakkolwiek nie wolna od rozbieżności i niezupełnie jednolita w swym poziomie okazała dyskusja pierwszego wieczoru wymownie, jak żywy oddźwięk znajdują zagadnienia kultury współczesnej i jej przeobrażeń.

Drugi z kolei wieczór tego cyklu, który odbył się dnia 13 stycznia 1936 r., został poświęcony zagadnieniu nauki. Obradom przewodniczył dr Tadeusz D o b r o w o l s k i. Dyskusję zagała dr Maria L u t m a n -

Kokoszyńska referatem na temat: Rola nauki we współczesnym poglądzie na świat. Oto referat ten w streszczeniu:

Na początku XX wieku człowiek stanął w obliczu większego może nasilenia różnych kierunków i zapatrywań, niż kiedykolwiek indziej. Materializm, spirytualizm, idealizmy i realizmy wszelkiego rodzaju walczyły ze sobą na dobre. Szukając wyjścia z chaosu kierunków filozoficznych, które narzucały się jako punkt wyjścia poglądu na świat, człowiek mimowoli zaczął zwracać coraz większą uwagę na dziedzinę, która wprawdzie również modyfikacjom podlega, ale w której ryzyko błędu jest — jakby się wydawało — najmniejsze a możliwość kontroli przed każdym się otwiera. Tą dziedziną była nauka, ogromnie wzbogacona przez zdobycze końca wieku XX, zwłaszcza na terenie wiedzy przyrodniczej. W ten sposób zaczęła się budzić wyraźnie się zaznaczająca w dzisiejszym życiu kulturalnym tendencja do oparcia poglądu na świat na nauce jako na najważniejszej, a nawet — w mnicmaniu niektórych — jedynej podstawie. Najradykałniej reprezentuje dzisiaj tę tendencję t. zw. Koło Wiedeńskie, mające sympatyków na całym świecie, a hołdujące logicznemu empiryzmowi. Schlick, Carnap, Neurath — oto nazwiska czołowych przewódców tego kierunku.

Kierunek filozoficzny Koła Wiedeńskiego można scharakteryzować przy pomocy czterech haseł: 1. jednolitość wiedzy, 2. walka z metafizyką, 3. empiryzm, 4. analiza logiczna.

Dążność do stworzenia jednolitej wiedzy pozostaje w Kole Wiedeńskim w ścisłym związku z tendencją, by oprzeć pogląd na świat na nauce. Wiedza, która jest rozbita na różne dziedziny, różniące się zarówno terminologią, jak założeniami i metodami badań, nie nadaje się na punkt wyjścia dla poglądu na świat. Aby uczynić ją do tego celu przydatną, Koło Wiedeńskie pragnie przede wszystkim uzgodnić założenia, przyjmowane przez różne nauki na temat tych samych przedmiotów (np. człowieka), tak, by nie było różnicy pod tym względem między psychologią a fizyką, biologią a chemią, socjologią a ekonomią. Do nadania wiedzy jednolitej postaci ma się poza tym przyczynić ustalanie związków między różnymi dziedzinami naukowymi w sposób, który pozwoliłby w rozumowaniach, jakie przeprowadzamy, korzystać z wszelkich twierdzeń, odkrytych przez naukę, zarazem, jak tego wymaga życie codzienne i praktyka naukowa.

W gmachu wiedzy, uzgodnionej w swoich fragmentach i scementowanej w jedną całość, nie śmie — zdaniem Koła Wiedeńskiego — być obecna ta część filozofii, która, zgodnie z tradycją, nosi miano metafizyki. Nie ma dla niej miejsca ani w logice, ani też w dziedzinie myśli, która rozszerza ludzkie poznanie. Twierdzenia metafizyki, to wedle logicznych empirystów twierdzenia, roszczące sobie pretensję do zdawania sprawy z rzeczywistości, a niedostępne weryfikacji. Jako przykłady tych twierdzeń przytacza się takie enuncjacje, jak słynne Schopenhauerowskie „świat jest wola” lub też „das Nichts nichtet” Heideggera. Gdy przypatrzeć im się bliżej — mówią zwolennicy Koła — okazuje się, iż nie mają zrozumiałego sensu, gdyż — bądź zawierają słowa,

które pozbawiono znaczenia potocznego, a którym nie nadano nowego (tak jest np. z terminem „wola” w przytoczonym twierdzeniu) lub też są nieuprawnionym zestawieniem wyrazów o znaczeniu potocznym („nichts” nie może np. być podmiotem w zdaniu). Twierdzenia metafizyczne, to zatem — wedle Koła — twierdzenia pozorne: w gruncie rzeczy niczego nie mówią i jako takie nie są twierdzeniami, lecz wyrażeniami, wręcz sensu pozbawionymi.

Empiryzm Koła biegnie równoległe z jego niechęcią do metafizyki. Polega on przede wszystkim na tendencji, by spośród twierdzeń, mówiących coś o świecie, przyjmować wyłącznie twierdzenia już sprawdzone, lub takie, o których wiadomo, w jaki sposób będzie je można kiedyś rozstrzygnąć. Empiryzm ten różni się od innych — np. od empiryzmu J. S. Milla — tym, że apriorycznej części naszej wiedzy, do której należy logika i matematyka, nie przypisuje charakteru uogólnień z doświadczenia, lecz skłania się raczej do tego, by w prawach owych nauk dopatrywać się umów, dotyczących sposobu posługiwania się pewnymi wyrazami, a zatem umów, określających znaczenie, jakie postanowiliśmy łączyć z wyrazami. Cała wiedza formalna, to — zdaniem Koła — jeden wielki system tautologii, wydobywający ze znaczeń wyrazów jedynie to, co w te znaczenia przez odpowiednie skonstruowanie języka z góry włożono.

Jako znakomity środek, pozwalający zdać sobie sprawę, które twierdzenia i pojęcia mają charakter empiryczny, a które jako niedostępne weryfikacji trzeba z naszej wiedzy o świecie wyeliminować, uchodzi w oczach logicznych empirystów analiza logiczna. Polega ona w pierwszym rzędzie na wysnuwaniu z twierdzeń, które poddaje się badaniu, konsekwencji w sposób zgodny z przepisami logiki formalnej, aż do chwili, w której dojdzie się do jakichś zdań elementarnych, których empiryczny charakter już wątpliwościom nie podlega, lub też do zdań, które będzie można przy pomocy takich twierdzeń elementarnych obalić. W związku z tym Koło Wiedeńskie ceni wysoko znajomość logiki formalnej: dostarczając wiedzy o prawach, rządzących naszym rozumowaniem, logika ułatwia przecież w dużym stopniu przeprowadzanie analizy logicznej w poszczególnych wypadkach. Logika współczesna cieszy się jednak mirem wśród zwolenników tego kierunku nie tylko jako środek do wykrywania sensu empirycznego twierdzeń resp. jego braku. Dzięki matematycznej szacie, jaką w ciągu ostatniego półwiecza przybrała, tworzy ona wzór języka ścisłego i przejrzystego, w którym wiadomo, co się twierdzi i jak należy to, co się twierdzi, uzasadniać. Na niej też pragną logiczni empiryści po uwzględnieniu koniecznych odchyleń wzorować się przy budowaniu języka wiedzy jednolitej, do której dążą.

Kierunek reprezentowany przez Koło Wiedeńskie ma charakter pozytywistyczny, gdyż zmierza — poza prawdami matematycznymi i logicznymi — wyłącznie do prawd, opartych na doświadczeniu, których by można każdemu udzielić i które każdy mógłby skontrolować. W tym dążeniu do intersubiektywności poznania przejawia się tendencja spo-

teczna i antyindywidualistyczna Koła; znajduje ona również wyraz w zapatrywaniach z zakresu etyki, głoszonych przez niektórych zwolenników Koła, które kulminują w przekonaniu, że najwięcej szczęścia zdolne jest człowiekowi zagwarantować działanie, oparte na popędach społecznych. Koło Wiedeńskie, wyrzekające się wszelkiej metafizyki, nie ma — wbrew spotykanym czasem opiniom — zabarwienia materialistycznego: tezę materializmu, iż wszystko jest materią, uważa za bezsens i eliminuje ją z rzędu swoich przekonań.

Krytyczny rzut oka na przedstawione poglądy pozwala stwierdzić, iż brak im jest w niejednym punkcie oparcia. I tak np. nie przekonuje stanowisko Koła, w myśl którego wszelkie twierdzenia, które nie należą do logiki ani matematyki a nie mają treści empirycznej (zatem t. zw. metafizyka) w gruncie rzeczy zdaniem nie są i jako takie nie wyrażają prawdy ani fałszu. Wykluczając tego rodzaju wyrażenia z zakresu zdań, Koło Wiedeńskie podąża za szlachetną tendencją, by usunąć przyczyny rozlicznych, nie kończących się nigdy, a głęboko ludzi między sobą różniących sporów na tematy, wykraczające poza sferę doświadczenia i niedostępne naukowemu rozstrzygnięciu. Wydaje się jednak, że sporów takich możnaby uniknąć, nie sięgając aż do tak radykalnych środków, jakie proponują logiczni empiryści: przecież już sama świadomość, że przekonania, wykraczających poza granice logiki i doświadczenia, nie można w sposób intersubiektywny uzasadnić i rodząca się z tej świadomości wzajemna tolerancja mogłaby zapobiec konfliktom.

Jeżeli zatem nawet przyznalibyśmy słuszność zapatrywaniu, że wyłączną podstawą poglądu na świat jest nauka, przynajmniej o ile idzie o podstawę dla wszystkich dostępną i wszystkich obowiązującą (intersubiektywną), to trudno byłoby odmówić człowiekowi prawa do uzupełniania naukowych punktów widzenia przekonaniami, które już poza zakres nauki wychodzą, a do których skłaniają jednostkę nie względy rozumowe, ale emocjonalne lub potrzeby charakteru. Należałoby jednak podkreślić subiektywny charakter owych przekonań oraz potrzebę wzajemnej lojalności między ludźmi, których pozanaukowe przekonania znacznie się różnią.

Następnie dr Stanisław Kubisz wygłosił korreferat, którego główne wywody były następujące:

Dążność do oparcia poglądu na świat jedynie na poznaniu naukowym, a zwłaszcza przyrodniczym, nie wydaje się możliwa do utrzymania. Możliwe są bowiem i istnieją typy poznania, jak np. estetyczne i religijne, w których myślenie i czysty rozum nie muszą bynajmniej odgrywać tej zasadniczej roli, jaką postuluje tamta szkoła. Istnieje wreszcie pierwotny wprawdzie, ale bardzo rozpowszechniony, magiczny sposób ujmowania rzeczywistości. Jest rzeczą oczywistą, że ten ostatni nie ma wartości poznawczej w ścisłym znaczeniu; przenika on jednak na tyle sposób myślenia jednostki nawet kulturalnej, a daje przy tym pewne naświetlenie naszego zagadnienia, że warto mu w tym związku poświęcić kilka uwag.

Sfery wiedzy, magii i religii nie są w świadomości człowieka pierwotnego wyodrębnione, nie mniej dziki ma zasób praktycznej wiedzy, różny od świata magii i różny od zakresu religijnego kultu i wierzeń. Oto jaki jest stosunek jego wiedzy do magii: Budując „canoe” tj. łódź, stosuje on wiedzę, opartą na doświadczeniu, zna i umie stosować prawa wytrzymałości materiału, hydrodynamiki, dalej np. prawo dźwigni i równowagi, oczywiście w zakresie bardzo elementarnym. Niemniej zabezpiecza on zbudowaną łódź czarami przed wrogimi siłami, którym nie jest w stanie sprostać. To samo odnosi się do rybołówstwa: tam, gdzie jest ono bezpieczne, nie ma magii, ale na otwartym morzu, gdzie może grozić niebezpieczeństwo, stosuje się obok doświadczenia także magię. Oczywiście nie ma u dzikich mowy o jakimkolwiek ogólnym zainteresowaniu naukowym, wiedza ich wytwarza się nieświadomie, a w lwiej części jest dziedzictwem tradycji. Niemniej wytrzymuje ona próbę eksperymentu i krytyki rozumu. W każdym razie ma ona charakter wyraźnie świecki, „profane” i „naturalny”.

„Naturalna” nie jest natomiast siła magiczna. I ona jest dziedzictwem tradycji i to skrajnie rygorystycznej, „zawsze była”, a nie „powstała”. Istniała zawsze tylko u ludzi i odnosi się też zasadniczo do ludzkich spraw jak polowanie, uprawa roli, miłosne zabiegi, choroba. Siła magiczna nie jest produktem przyrody ani znajomością jej praw, lecz czymś specyficznym, n a d n a t u r a l n y m, jakkolwiek mieszkającym w człowieku i z nim związanym. Działa ona tylko pod warunkiem spełnienia ściśle określonego ceremoniału i wypełnienia przez maga pewnych warunków. Jest jakby przedłużeniem „naturalnych” ludzkich możliwości i służy ludzkim praktycznym celom — jest zawsze utylitarna.

I tym m. in. różni się obrzęd magiczny od religijnego, który zawsze jest celem w sobie. Cel tkwi tu w samej ceremonii, ziszczca się w samym dopełnianiu aktu. Obrzędy i wierzenia religijne nawiązują zawsze do momentów przełomowych w życiu jednostki czy społeczności, jak narodziny, inicjacja, zawarcie małżeństwa, śmierć; służą do wyrażenia ich par excellence nadprzyrodzonego charakteru. Są po prostu wyrazem czci i uwielbienia wobec cudownego faktu żyźności i płodności przyrody i człowieka, wobec świętości samego życia, sił, które stanowią podstawę życia społecznego i kultury. Tu należą ofiary pierwocin, obrzędy żniwowe, obrzędy, odnoszące się do pór roku. Idea dawania, wymiany darów jest tu bardzo istotna, posiada jednak sens głębszy od jedynie utylitarnego. Dzielać swój pokarm w akcie ofiary z bóstwami, człowiek zaznacza niejako przez to swoje z nimi powinowactwo, swój udział w dobrodziejstwie tajemniczych mocy opatrności, niejasno przeczuwanej. W postawie duchowej ofiarującego dominują motywy wdzięczności i czci, tj. elementy bezinteresowności, znamionujące wszelkie przeżycia religijne.

Nie podobna tu pominąć nieodłącznego od tej niskiej postaci religii oraz od wyższych form magii zjawiska, jakim jest „tabu”. I ono ma charakter w najwyższym stopniu nadnaturalny i bezwzględnie irracjonalny. „Tabu” są wszelkie przedmioty czci religijnej i związane z nimi stany, oraz miejsca i czasy. Budzą one najgłębszą a nieokreśloną grozę,

a ich naruszenie nieodwołalnie sprowadza nieobliczalne, a straszliwe w swej tajemniczości klęski — nie tylko na ciało i duszę winnej jednostki, lecz na całe społeczeństwo i przyrodę, wśród której ono żyje. Bowiem naruszenie „tabu”, jako naruszenie jakowejś mocy nadprzyrodzonej, automatycznie wprawia w ruch ślepią machinę niweczenia.

Tak więc zarówno magia jak religia pierwotna — obok istotnych różnic, które je dzielą — mają jedną zasadniczą cechę wspólną: podstawą ich jest wiara w nadprzyrodzonosć, a nie wiedza i doświadczenie, obie obracają się w sferze cudowności, objawień sił cudotwórczych. Zaś owa cudownosć jest w swej istocie postacią czegoś, co przyjmuje się jako wartość ostateczną i bezwzględną, absolutną. Religijność człowieka pierwotnego jest stosunkiem do tej wartości, przeżyciem, wyrażającym się w pewnych wierzeniach, uczuciach i obrzędach i — *sit venia verbo* — pewnym poglądzie na świat.

Otóż nowoczesna psychologia religii wykazuje, że przeżycie religijne jednostki kulturalnej jest w swej istocie również przeżyciem wartości — i to wartości absolutnej. Treść tego przeżycia we wszelkich jej aspektach wartościuje doznająca jednostka jako bezwzględnie prawdziwą, przyświadcza jej z głębi wiary — że użyję tu terminu kardynała J. H. Newmana, a niezgodne z nią elementy odrzuca. Wartość, o której tu mowa, jest czymś żywotnym i decydującym dla doznającego, staje się dla jego „ja” jedynie właściwą wartością, stąd jej autoratywny i normatywny charakter we wszelkich zakresach życia, a zatem i w poglądzie na świat.

Oparty na takim przeżyciu, wzgl. przeżyciach pogląd na świat jest ze względów zasadniczych sprzeczny z ową racjonalistyczną filozofią, opartą jedynie na nauce. Ta ostatnia filozofia opiera się przede wszystkim na doświadczeniu i to typu przyrodniczego. Zarzuci ona tamtemu poglądowi na świat niesprawdzalność jej twierdzeń i odmówi doznaniu religijnemu waloru doświadczenia. Jakież są jednak szanse tych dwóch kierunków w świetle idealistycznej teorii poznania? Angielski uczony i myśliciel John Oman rozpatruje to pytanie (w swej książce pt. „*The Natural and the Supernatural*” i w innych rozprawach) w sposób następujący: Według Kanta umysł nasz jest niezdolny do bezpośredniego ujmowania „rzeczy w sobie”. Rzeczywistość ujmujemy według niego jedynie za pomocą kategorii naszego umysłu, bezpośrednio nie jesteśmy w stanie jej uchwycić. Ten zasadniczy fakt zapoznaje nauka, której stanowisko należy wobec tego — według Omana — określić jako naiwny realizm, gdyż badaną rzeczywistość przyjmuje jako „rzecz w sobie”, podczas gdy wszelkie jej fakty są jedynie faktami naszej świadomości. Jeden jest tylko rodzaj faktów, które ujmujemy „w sobie”, a mianowicie treści naszej świadomości. Takim właśnie faktem naszej świadomości jest m. i. treść przeżycia religijnego.

Jeżeli zatem nauka i oparta na niej filozofia rości sobie pretensje do wyłączności w poznawaniu rzeczywistości, odmawiając zarazem wszelkiej racji bytu poznaniu religijnemu, to jest to tylko wynikiem jej naiwnego realizmu w ujmowaniu rzeczywistości. Nie ma ona natomiast

podstawy do kwestionowania faktów świadomości religijnej i opartego na niej poglądu na świat, który właśnie posiada wszelkie cechy bezpośrednio ujętej rzeczywistości. Według Omana zatem w kontrowersji tej silniejsze argumenty teoriopoznawcze mieć będzie w ręku filozofia religii, a nie tamta filozofia, oparta o nauki ścisłe.

Dyskusja, która wywiązała się po referatach dr Lutmanowej i dra Kubisza, była zwięźlejsza i bardziej zwarta niż na pierwszym wieczorze. Podajemy tu tylko jej ważniejsze punkty. Przedmiotem zainteresowania były przede wszystkim koncepcje Koła wiedeńskiego w związku z zagadnieniem „naukowego” poglądu na świat. Dr Zieleniewski rozważa pierwszy krytycznie tendencję całkowitego wyeliminowania metafizyki i to rozgraniczenie metafizyki i nauki, jakie proponuje grupa wiedeńskich uczonych. Mowca wskazuje, że każdej nauce są właściwe pewne założenia ogólne, które przyjmuje się i w oparciu o które możliwa jest dopiero budowa nauki empirycznej. Ks. dr Szramek z uznaniem podkreśla postulat jedności wiedzy, wskazując, że postulat ten realizowała filozofia i teologia w średniowieczu. Dzisiaj, po wiekach ewolucji myślowej, największą przeszkodą dla uzyskania syntetycznej jednolitej wiedzy jest rozbieżność stanowisk badawczych, niemożność uzyskania porozumienia w ich obrębie. Dr Lutman nie zgadza się z tą pesymistyczną oceną teraźniejszego stanu wiedzy, uważając, że w wielości nauk wyraża się wzbogacenie naszego poznania. Następnie dr Lutman krytykuje koncepcję Koła wiedeńskiego, wedle której twierdzenia, nie dające się uzasadnić, należałoby odrzucać jako bezsensowne. Dr Rybicki charakteryzuje przedstawione przez dr Lutmanową kierunek jako schyłkowy prąd racjonalistyczny. W rzeczywistości wśród przemian kulturalnych i społecznych wzmaga się u ludzi poczucie znaczenia pierwiastka irracjonalnego; kierunki naukowe tego typu, o jakim mówił korreferent dr Kubisz, wyróżniają się przez uwzględnienie właśnie elementu irracjonalnego. Wreszcie inż. Michajda podnosi znaczenie tolerancji w sprawie poglądu na świat. W zakończeniu dyskusji dr Lutmanowa sprzeciwiła się ujęciu prac Koła wiedeńskiego jako kierunku schyłkowego, uważając, że kierunek ten posiada dzisiaj w filozofii znaczną żywotność; poza tym podkreśliła raz jeszcze, że nie powinno się temu kierunkowi przypisywać stanowiska materialistycznego.

Wieczór trzeci odbył się dnia 17 lutego 1936 r. i był poświęcony krytycznemu oświetleniu istniejących teorii na temat upadku cywilizacji zachodniej. Przewodniczył dr Paweł Rybicki. Na wstępie dr Roman Lutman wygłosił referat pod tytułem: Współczesne poglądy na kryzys i upadek cywilizacji zachodniej. Oto treść:

Gdy mówimy o kryzysie lub upadku cywilizacji zachodniej, mamy na myśli przeżywany przez warstwy intelektualne stan przesilenia w uznawanych przez nie dotąd poglądach na świat, stan, który rodzi w nich subiektywne przekonanie, że społeczeństwa zachodnie zamknęły lub zamykają już jeden okres cywilizacyjny i wchodzą w inny okres, różniący się jakimiś zasadniczymi cechami od poprzedniego okresu. Koń-

czący się okres cywilizacyjny nazywa się zwykle okresem cywilizacji XIX wieku, jakkolwiek chronologicznie okres ten sięga poza wiek XIX i obejmuje również pierwsze dwa dziesiątki wieku XX aż do końca wojny światowej.

Za najbardziej istotne cechy cywilizacji XIX wieku uważa się powszechnie rozwój nauki (zwłaszcza nauk przyrodniczych i filozofii), oraz techniki. Z tego powodu H. S. Chamberlain nazwał wiek XIX „wiekiem metody”. Rozwój nauki i techniki wywołał głębokie przeobrażenia struktury społeczeństw zachodnich we wszystkich dziedzinach życia publicznego. W dziedzinie gospodarczej dominującym poglądem był liberalizm, wysuwający na czoło zasadę swobody jednostki w układaniu warunków życia gospodarczego. Układ stosunków gospodarczych na zasadzie liberalizmu wytworzył w dziedzinie stosunków społecznych ustrój kapitalistyczny, opierający się na zasadzie przywileju posiadania (w przeciwieństwie do ustroju przedkapitalistycznego, opierającego się na zasadzie przywileju urodzenia). W dziedzinie politycznej wiek XIX był okresem demokracji parlamentarnej, opartej na formalnej zasadzie równości wszystkich obywateli wobec prawa.

Wytworem pochodnym demokracji jest nacjonalizm, który jednak w tym okresie nie osiągnął swej pełni, jakkolwiek był ważnym czynnikiem rozwoju ówczesnych stosunków. U podstaw światopoglądu XIX wieku była wiara w nieograniczony postęp techniki, która ma być w możności zapewnić człowiekowi dobrobyt, oraz wiara w człowieka i jego siły intelektualne. Ideałem społecznym i politycznym była równowaga społeczna i polityczna oraz osiągnięcie powszechnego dobrobytu.

Wszystkie te czynniki, które tworzyły cywilizację XIX wieku, nie były jednak w stanie wytworzyć harmonii, gdyż zawierały w sobie zarodek konfliktu, które miały dopiero dojrzeć po kataklizmie światowej wojny. Jeden zarodek konfliktu tkwił u podstaw liberalizmu i demokracji. Liberalizm głosił zasadę wolności indywidualnej, nieograniczonej swobody w układaniu stosunków gospodarczych bez brania względu na jednostki słabsze. W konsekwencji musiał prowadzić do ucisku słabszych ekonomicznie przez silniejszych, czego wyrazem był ustrój kapitalistyczny. Demokracja zaś wysuwała hasło równości wszystkich jednostek. Na razie równość ta pojmowana była formalnie jako równość wobec prawa. Ale w następstwie musiało się zrodzić żądanie równości w innych dziedzinach. W ten sposób zrodził się konflikt społeczny, który miał po wojnie światowej doprowadzić do ogólnego kryzysu dotychczasowej struktury społeczno-politycznej. Liberalizm opierał się na kulcie jednostki — indywiduum, demokracja żądała niwelacji praw indywiduum na rzecz przeciętnej, szarej masy społecznej. Liberalizm i demokracja znalazły wspólny teren w parlamentaryzmie. Rozwój wypadków musiał jednak prowadzić i na tym terenie do konfliktów między nimi. Parlamentaryzm, oparty na doktrynie demokratycznej, dawał formalne uprawnienie masie społecznej, której przeciwstawiły się interesy potężnych warstw gospodarczych, czerpiących swe soki żywotne w liberalizmie. Demokracja dzięki temu, że dopuściła do głosu najszerze warstwy spo-

leczeństw, stała się mimowolną rodzicielką nacjonalizmu jako szerokich ruchów społecznych, nadając konfliktom politycznym niezwyklej ostrości. Nacjonalizmowi zaś przeciwstawiał się imperializm, zrodzony z liberalizmu. — Wreszcie liberalizm i kapitalizm, opierający się na przywileju posiadania, wytwarzały konflikty społeczne, znajdujące swe oparcie w demokracji, która powstała na tle walki z przywilejami urodzenia. Zrodziły się więc przeciwieństwa klasowe.

Tym konfliktem towarzyszyły rodzące się konflikty w dziedzinie kulturalnej. Demokracja wysuwała hasła humanitaryzmu, które musiały walczyć z zasadą siły i przemocy, wyznawaną przez indywidualistyczny liberalizm. Rozwój nauk przyrodniczych i technicznych oraz ekonomiczne doktryny liberalizmu stworzyły podstawę dla światopoglądów materialistycznych i antyreligijnych.

Nie brak więc było w cywilizacji XIX wieku materiałów palnych. Jak długo jednak istniał okres materialnego dobrobytu, tak długo konflikty były w stanie drzemającym. Gdy jednak skutek wojny światowej, wywołanej nieopatrznie przez liberalne czynniki kapitalistyczne, dobrobyt został zrujnowany i społeczeństwa zachodnie stanęły w obliczu katastrofy ekonomicznej, zrodziło się w świadomości intelektualnych warstw społecznych zagadnienie kryzysu i upadku cywilizacji zachodniej.

Samo określenie „upadek Europy” jest wcześniejsze. Pierwszym, który użył tego określenia, był — zdaje się — Stefan Buszczyński w głośniejszej, swego czasu anonimowo wydanej książce pt. „La décadence de l'Europe” (1867, drugie wydanie 1916). Dla Buszczyńskiego jednak zagadnienie upadku Europy nie jest zagadnieniem cywilizacji czy kultury, lecz jedynie zagadnieniem politycznym, zagadnieniem demokracji i wolności narodów. Określenie „upadek Europy” nie ma u Buszczyńskiego uzasadnienia w samych wywodach. Bo dla ludzi XIX wieku zagadnienie to nie istniało. Słynna książka H. S. Chamberlaina (*Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts*, 1898 r.) pełna jest wiary i optymizmu w przyszłość Europy.

Ale dopiero pogłębiające się w świecie powojennym konflikty, naprzód społeczne, następnie również gospodarcze, zaktualizowały to zagadnienie zarówno w literaturze naukowej, jak i w większej jeszcze mierze w publicystyce. W omawianej tu literaturze można rozróżnić trzy grupy. Do pierwszej grupy zaliczyć należy autorów, dających w swych książkach pewne oryginalne konstrukcje historiozoficzne, osnute na założeniach o upadku współczesnej cywilizacji zachodniej. Do tych autorów należą Oskar Spengler i Mikołaj Bierdiajew. Do drugiej grupy zaliczymy pisarzy, zajmujących się rozważaniami z pogranicza historiozofii i socjologii na temat kryzysu współczesnej cywilizacji. Poświęcimy tu więc uwagę włoskim pisarzom G. Ferrero i B. Croce, oraz polskiemu socjologowi F. Znanieckiemu. Wreszcie w trzeciej grupie znajdują się pisarze, szukający rozwiązania problemu kryzysu naszej cywilizacji ze stanowiska pewnej z góry przyjętej doktryny. Takimi są G. de Reynold, oraz polscy pisarze: H. Romanowski, X. A. Krzesiński i Wł. Spasowski.

1) Oskar Spengler dał w swym dziele „Der Untergang des Abendlandes” (I tom 1917, II tom 1920) najbardziej konsekwentną konstrukcję historiozoficzną. Konstrukcja ta zasadza się na pojmowaniu kultury jako organizmu, obdarzonego własnym życiem od samego powstania poprzez rozwój aż do upadku, zamarcia i ustąpienia miejsca innej kulturze. Każda kultura posiada własny styl i własny cel (Schicksal) do spełnienia. Każda kultura trwa około tysiąc lat. Ostatni jej okres — okres upadku — jest okresem cywilizacji. Spengler rozróżnia cały szereg kultur (egipska, hinduska, arabska, antyczna, nazwaną apollińską, arabska, nazwaną magiczną). Współczesną kulturę nazywa kulturą faustowską. Obecnie żyjemy w ostatnim okresie kultury faustowskiej, w okresie cywilizacji zachodniej, której cechą jest maszynizm, upadek wolności człowieka, rezygnacja ze swobód obywatelskich, cezaryzm. Dla Spenglera więc upadek kultury zachodniej jest rzeczą nieuchronną, wynika z założenia historiozoficznego, że każda kultura podobnie jak każdy organizm musi umrzeć i ustąpić miejsca innej rodzącej się kulturze.

Mikołaj Bierdiajew w swym podstawowym dziele (Un nouveau moyen âge 1927) nie daje takiej ogólnoludzkiej syntezy historiozoficznej. Zainteresowania jego dotyczą wyłącznie współczesnego kręgu cywilizacyjnego. Istotą jego poglądu jest zasada rytmicznej zmiany w rozwoju kultur. Żyjemy w okresie zamierania jednej epoki kulturalnej, która korzeniami swymi tkwi w renesansie i humanizmie, wysuwającym hasło wolności człowieka. Stopniowo jednak człowiek zachodni oddala się od pierwotnych żywotnych założeń renesansu, który posiadał strukturę organiczną życia, opartą na hierarchii i wszedł w okres mechanizmu, negacji indywidualizmu. Jest to oznaka dekadencji. Rodzi się więc reakcja przeciw dekadencji. Społeczeństwa zachodnie wchodzą w nowy okres, który Bierdiajew nazywa „nowym średniowieczem”. Nowy okres nie jest zwykłym ewolucyjnym przejściem z jednego okresu kulturalnego w drugi, lecz oderwaniem się od poprzedniego okresu i nawrotem rytmicznym do okresu, poprzedzającego okres modernizmu, do dawnego średniowiecza. Nie znaczy to, że nowy okres ma negować cały dorobek współczesnej cywilizacji. „Nowe średniowiecze” przejmie doświadczenia wolności i pozytywne dorobki nauki i sztuki. Ale poza tym oprze się na nowych zasadach, nawiązujących do zasad średniowiecza. Zasadami tymi są: rozwój jednostki w zespole, przewyciężenie narodowej ekskluzywności, uniwersalizm i kolektywizm, teonomia, uznawanie autorytetu i zasady wodzostwa, wreszcie nawrót do chrystianizmu.

Bierdiajew uznaje więc zasadę rytmiki w dziejach ludzkości. Ostatecznym celem rozwoju historycznego jest spełnienie przez ludzkość swego losu, którym jest osiągnięcie wiecznego, absolutnego życia przez przejście ziemskiej historii w historię nieba. Tragizm historii polega na tym, że rozwiązanie jej znajduje się nie wewnątrz historii, lecz poza nią (Der Sinn der Geschichte 1925).

2) Do drugiej grupy zaliczyliśmy pisarzy, którzy nie dają żadnej zwartej konstrukcji historiozoficznej, lecz rozważają niektóre zagadnienia, związane z problemem kryzysu współczesnej epoki.

Benedetto Croce (Antyhistoryzm — 1930, tłumaczenie polskie: Marchot 1935) widzi źródło współczesnego kryzysu intelektualnego w szerzącym się światopoglądzie, opartym na antyhistoryzmie. Istnieją dwie formy antyhistoryzmu: pierwszą formą jest futuryzm, lekceważący w imię nierozsądnego aktywizmu wszystko, co ma jakiś związek z przeszłością; druga forma dąży do absolutu, stałości, jedności i pewności przez przewyżczenie historyzmu. Formę tę reprezentuje katolicyzm. Tymczasem kultura jest wytworem historii, podobnie jak i wszystkie wartości są wytworem procesu dziejowego. Rozwój ludzkości musi więc reprezentować ciągłość historyczną i opierać się o zdobyte wartości. Podstawą rozwoju bowiem jest wiara w człowieka.

Florian Znaniecki w swej pierwszej pracy (Upadek cywilizacji zachodniej 1921) daje wyraz swemu optymizmowi wobec głosów o grożącym upadku zachodniej cywilizacji. Widzi wprawdzie jej słabe strony, które są przyczyną kryzysu. Są to: wzrost materializmu, ochłokracji, imperializmu rasowego (żydowskiego), wreszcie bolszewizm. Ale te przejawy nie usprawiedliwiają sądów o całkowitej dekadencji naszej kultury, której istotne cechy są trwalsze. Do tych cech zaliczyć należy: obok nierówności klas wewnątrz społeczeństw pozytywne ideały panowania nad przyrodą, bogactwa indywidualnego i społecznego, ideał narodowy, ideał przewyciężenia cierpień przez poprawę moralną. Niebezpieczeństwo upadku cywilizacji może być uchylone przez świadomy, twórczy, bezinteresowny i solidarny wysilek całej współczesnej arystokracji ducha.

Dalszy swój pogląd na cywilizację rozwija Znaniecki w późniejszej swej pracy (Ludzie teraźniejszości a cywilizacja przyszłości, 1935). Przyszła cywilizacja będzie wszechludzka i zawierać będzie wszystkie najcenniejsze pierwiastki cywilizacji narodowych, będzie humanistyczna (w tym znaczeniu, że kultura duchowa będzie mieć przewagę nad cywilizacją materialną), będzie dalej społecznie harmonijna, wolna od konfliktów dzisiejszych, wreszcie płynna o równowadze dynamicznej, t. zn. że twórczość będzie normalną funkcją kulturalną jednostek i grup ludzkich. Stworzenie przyszłej cywilizacji jest problemem wychowania ludzi. Nowa cywilizacja musi powstać jako wynik działalności konkretnego, realnego zespołu światowego wszystkich ludzi „mądrych a dobrych”.

Zupełnie inny charakter mają rozważania Guglielmo Ferrera. W szeregu szkiców (po polsku ukazały się: „Między przeszłością a tym, co nas czeka”, 1927, „Przemowy do głuchych” b. r.) rozważa on zagadnienia kryzysu świata zachodniego głównie ze stanowiska polityczno-ekonomicznego. Wiek XIX posiadał wiarę w złoto i widział cel życia w zabawie. Pracę traktowano jako trud. Wskutek tego świat stracił spistość. Przerost wartości pieniądza doprowadził do dyktatury. Nie państwo silne winno być celem, ale państwo rozumne, sprawiedliwe, przezorne. Ideałem winna być jedność i solidarność świata. I niewątpliwie świat dąży do tego ideału poprzez wielkie cierpienia i kryzysy. Istnieją dwie cywilizacje: ilościowa, opierająca się na postępie, i jakościowa, opierająca się na doskonałości. Ludzkość musi wyjść i wychodzi na poszukiwanie tej doskonałości.

Wszyscy przytoczeni tu autorowie mimo różne punkty wyjścia dochodzą do tej samej konkluzji, którą jest optymizm i wiara w człowieka.

3) Trzecia grupa pisarzy rozpatruje zagadnienie kryzysu i upadku cywilizacji z pewnego z góry przyjętego założenia. Pogląd ich na to zagadnienie jest uproszczony. Przyczynę kryzysu widzą w sprzeniewierzeniu się ideałom, głoszonym przez wyznawaną przez nich doktrynę, ratunek zaś widzą w uznaniu tych ideałów. Do tej grupy należą pisarze katolicycy: G. de Reynold (*L'Europe tragique*, 1934) oraz polscy pisarze: ks. A. Krzesiński (*Kultura nowoczesna i jej tragizm*, 1934) i H. Romanowski (*Filozofia cywilizacji*, 1934). Doktrynę zaś socjalistyczną reprezentuje Wł. Spasowski (*Wyzwolenie człowieka*, 1933). Najciekawszym pisarzem jest niewątpliwie de Reynold, który daje wnikliwą analizę współczesnego kryzysu cywilizacji europejskiej. Tragedią współczesnego człowieka jest antropocentryzm, który doprowadził do upadku ducha i zaniku twórczości człowieka w relatywizmie i kolektywizmie. Ratunkiem dla współczesnej cywilizacji jest nawrót do idei Boga jako jedności: Jeden Bóg, jedna ludzkość, jedna moralność, jedno prawo, jeden kościół, jedność duchowa — oto wynik rozważań tego pisarza. Do podobnej koncepcji jedności ludzkości dochodzi również Spasowski, tylko jedność tę upatruje w realizacji zasad socjalistycznych, opartych na zasadzie pracy społecznej.

U wspomnianych pisarzy katolickich spotykamy się z wyraźnic określonym pojęciem upadku cywilizacji zachodniej. Rozważania ich cechuje pesymizm w ocenie możliwości rozwojowych człowieka i ludzkości. W przeciwieństwie do Spasowskiego, którego poglądy odznaczają się optymistyczną wiarą w człowieka i przyszłość ludzkości, pisarze katolicycy nie wierzą w możliwość ratunku własnymi siłami człowieka, lecz w nawrocie do Boga i katolicyzmu. Nie ma u nich wiary w ciągłość historycznego rozwoju: są oni przedstawicielami antyhistoryzmu, który zwalczał Croce.

Rozważono tu poglądy pewnych pisarzy na temat kryzysu i upadku cywilizacji zachodniej. Jedni pisarze ujmują zagadnienie kryzysu lub upadku cywilizacji w formę pewnych konstrukcji filozoficznych (Spengler, Bierdiajew). Inni oceniają to zagadnienie ze stanowiska pewnej doktryny religijnej czy społecznej (de Reynold, Krzesiński, Romanowski — Spasowski). Poglądy pierwszych pojawiły się jeszcze w czasie wojny i w okresie powojennym, ale jeszcze przed światowym kryzysem gospodarczym. Drugie poglądy pojawiły się już po wybuchu kryzysu. Można wysunąć twierdzenie, że właśnie kryzys ekonomiczny, upadek „prosperity”, niemożność znalezienia wyjścia z tego kryzysu, skłoniła ludzi do szukania ratunku w snuciu różnych poglądów metafizycznych w oparciu o pewne rozpowszechnione doktryny.

Wśród pisarzy okresu „kryzysowego” znajdujemy pisarzy, których poglądy nacechowane są optymizmem i wiarą w człowieka oraz przyszłość ludzkości (Ferrero, Croce, Znaniecki, Spasowski), oraz pisarzy o nastawieniu pesymistycznym (pisarze katolicycy). Pierwsi są niewątpliwie epigonami dawnej epoki demokratyczno-liberalnej. Ostatni właśnie

wprowadzają i rozpowszechniają określenia o tragizmie kultury i upadku cywilizacji. Ci pisarze (podobnie jak Bierdiajew) ratunek widzą w nawrocie do religii i Boga.

Ostatecznie jest to zresztą kwestią osobistego przekonania, czy zechce się szukać rozwiązania w wierze w człowieka i ludzkość oraz w skuteczność odpowiednich metod wychowawczych, czy też w rezygnacji z wiary w człowieka i w nawrocie do religii. Nie są to bowiem, zdaje się, przekonania przeciwstawne. Może można połączyć wiarę w człowieka i jego wartości z wiarą w istnienie sił pozaludzkich. Na tej drodze doszłoby się może do ustalenia roli człowieka w rozwoju ludzkości.

Z kolei mgr Tadeusz R o m e r wygłosił korreferat do odczytu dra Lutmana. Korreferent zaznaczył na wstępie, że nie zamierza omawiać całości tematu, oświetlonego przez referenta, lecz pragnie podejść do kwestii kryzysu kultury z jednej specjalnej strony, a mianowicie ze strony zagadnienia osobowości ludzkiej.

Kultura — mówił korreferent — jej zmiany i dzieje są wytworem twórczości ludzkiej, kierowanej przez intelekt i wolę człowieka. Zagadnienie „upadku kultury” stoi w związku z poglądem na cele kultury ludzkiej. Upadek polega na trwałej niezdolności systemu kulturalnego do realizacji tych celów.

U podstaw zagadnień kultury leży problem światopoglądu; zawiera on m. i. problem osobowości człowieka, wartości człowieka jako jednostki i jako podmiotu życia duchowego. Tą podmiotowością życia duchowego różni się osoba od indywiduum. Zapoznanie wartości i celu człowieka jako jednostki i osobowości prowadzić musi do obniżenia poziomu kultury duchowej. Z drugiej strony w życiu zbiorowym podstawowym łącznikiem pomiędzy ludźmi jest jedność natury ludzkiej i błędem jest zapoznawanie tej najistotniejszej ogólnoludzkiej więzi kosztem wyłącznego podkreślenia innych więzi.

Nowoczesna kultura europejska jest — a przynajmniej była do niedawna — kulturą indywidualistyczną w odróżnieniu od kultury Wschodu. Kultura zachodnia, zwłaszcza od czasu rewolucji francuskiej, posuwała się w tym kierunku ku nieuzasadnionej skrajności. Liberalizm i demokracja — sprzeczne zresztą niejednokrotnie pomiędzy sobą — doszły w najnowszych czasach do przesilenia, budząc gwałtowną reakcję zarówno na polu gospodarczym jak i ustrojowo-politycznym (fasyzm, hitlerizm, a z drugiej strony bolszewizm). Reakcja ta pozostaje oczywiście w związku z fatalnymi skutkami, wywołanymi przez skrajny liberalizm w dziedzinie życia gospodarczego i politycznego. Prądy niwelacyjne, nurtujące obecnie kulturę europejską, zdają się wskazywać na rozpoczęcie nowego okresu kulturalnego, u którego progu obserwujemy niepokojące objawy nastawienia skrajnie anti-indywidualistycznego, zagrażającego pozbawieniem osobowości ludzkiej, należnej jej roli i miejsca w rozwoju ludzkości.

Jednym z wysoce ujemnych rysów współczesnej kultury jest powierzchowność i płytkość. Objawia się ona m. i. w zaniku prymatu myśli

na korzyść przesadnego kultu czynu zewnętrznego (ujemną jest oczywiście tylko przesada, a nie racjonalny szacunek dla działania objawionego zewnętrznym czynem). Innym przykładem z tej dziedziny jest płytkość wrażeń, których dostarcza współczesne życie w ogromnej ilości i w zawrotnym tempie, co utrudnia ich wewnętrzne „przetrawienie”, niezbędne dla ukształtowania osobowości. Rekompensatę częściową tylko stanowi zwiększona w życiu przeciętnej jednostki wszechstronność wrażeń.

Jednym z zagadnień związanych z kwestią osobowości człowieka jest problem twórczości indywidualnej i wartości pracy. Postawienie tego zagadnienia jest jednym z najcięższych błędów naszej współczesnej kultury. W dużej mierze została zapoznana właściwa wartość pracy i jej godność jako wytworu duchowo-cieleśnej natury człowieka. Praca stała się przeważnie tylko towarem sprzedawanym i kupowanym na rynku według zasad popytu i podaży. Z drugiej strony odjęto pracy w wielu przypadkach piętno indywidualnej twórczości, zastępując je mechanizacją i szablonem. Widoczne to jest w dziedzinie rzemiosła, które w wielkiej części zatraciło charakter pracy twórczej i artystycznej, jaki posiadało w wiekach średnich.

Najbardziej jednak ujemną cechą współczesnej kultury jest jej zmaterializowanie, tj. zwichnięcie równowagi na korzyść czynnika materialnego kosztem pierwiastka duchowego natury ludzkiej. W tym właśnie punkcie można by z dużą słuszością mówić o pewnego rodzaju „upadku kultury”. Kolosalny postęp kultury materialnej nie szedł w parze z równoległym bodaj w przybliżeniu rozwojem kultury duchowej. Stąd cały ten imponujący rozwój kultury materialnej za mało przyczynił się do wszechstronnego rozwoju osobowości człowieka, co m. i. stało się przyczyną tragicznego zjawiska zwracania się zdobywczy kultury przeciw samemu jej rozwojowi (nowoczesna wojna!).

Epoka, którą przeżywamy, jest niewątpliwie przełomową w dziejach kultury. Stwierdzają to zgodnie przedstawiciele skądinąd rozbieżnych kierunków myśli i światopoglądów. Część ich mówi o upadku kultury współczesnej, inni przewidują jej niedalekie może nawet odrodzenie, uważając okres obecny jedynie za stan przemijającego kryzysu. Z punktu widzenia tu przedstawionego podstawą optymistycznego spojrzenia w przyszłość jest przekonanie o nieprzemijających i bezwzględnych wartościach, tkwiących w osobowościach ludzkich i wiara w ostateczne tych wartości zwycięstwo.

W dyskusji pierwszy zabrał głos inż. Bohdanowicz. Mowca krytykuje poglądy Spenglera. Nie rozwój techniki jest przyczyną kryzysu cywilizacji, lecz kierunek ekonomiczny, w którego ramach nie dokonywa się właściwy podział dóbr. Technika jest tylko dziedziną twórczości ludzkiej. Zadaniem obecnego wieku powinno być właściwe spożytkowanie zdobyczy techniki i dokonanie tego, czego nie potrafiła dokonać epoka liberalizmu, t. zn. sprawiedliwego rozdziału dóbr.

Zagadnienia terminologiczne poruszył p. C u r k o w s k i, omawiając pojęcia cywilizacji i kultury. Należałoby ustalić kryteria dla oceny roz-

kwitu i upadku cywilizacji. Obecnie przeżywamy nie upadek, lecz złoty wiek cywilizacji materialnej, a kryzys ekonomiczny jest tylko cieniem tego rozwoju. Mowca wypowiada dalej pogląd, że cywilizacja obecna jest w okresie syntezy cywilizacji zachodniej i innych cywilizacji, a wreszcie omawia możliwości ujęcia i przewyciężenia tych problemów i trudności, które mianem kryzysu są dziś w różnych teoriach ujmowane.

W dalszym toku dyskusji ks. dr Szramek podkreślił, że dzisiejszy pozornie złoty wiek cywilizacji zachodniej faktycznie przedstawia fazę poprzedzającą upadek. Wyrazem tego są m. i. wielkie rozbieżności myślowe, które widzimy u filozofów i uczonych współczesnych. To też musimy dążyć do syntezy wiedzy i poglądów w rodzaju średniowiecznej „Summy”. Syntezę taką może dać tylko myśl chrześcijańska.

Również inni mowcy afirmując istnienie kryzysu, zastanawiali się nad jego czynnikami, w szczególności czynnikami natury moralnej. Dr Zahorski podniósł ujemny wpływ życia nowoczesnego i cechującego jej mnogości wrażeń na pogłębienie umysłu ludzkiego. Dr Zubrzycki wypowiedział pogląd, że nie myśl, lecz wola tworzy kulturę i oświadczył się za większym uwzględnieniem elementu woluntarystycznego w rozważanym zagadnieniu. Dr Fall przeprowadzał analogię między walką dobra i zła i walką jednostki i gromady. Od tego, które pierwiastki zwyciężają, zależy rozkwit lub upadek kultury. Teraz w życiu jednostki zwycięża pierwiastek zła, w życiu społecznym zwycięża gromada nad jednostką. Cywilizacja zachodnia jest dziełem liberalizmu, który tworzył warunki dla rozwoju jednostki. Obecnie zaczynają ciężać wpływy Wschodu, który reprezentuje pierwiastki zła i gromady. Stąd powstał chaos światopoglądowy.

W ten sposób dyskusja dotyczyła przeważnie nie samych teorii kryzysu, ale raczej zjawisk będących ich przedmiotem. Do charakterystyki samych teorii powraca jeszcze pod koniec wieczoru dr Rybicki, zastanawiając się, w jakiej mierze są one teoriami upadku, a w jakiej przelomu kulturalnego. Mgr Romer i dr Lutman w finalnych wywodach odpowiadają na poruszone kwestie i uzupełniają niektóre ich punkty. Dr Lutman zaznacza przy tym, że nie powinno się mówić o upadku, lecz o kryzysie cywilizacji. Dyskusja na ten temat powstała w wyniku kryzysu ekonomicznego, jaki ogarnął świat. Niewątpliwie istnieje związek między tymi dwoma zjawiskami. Gdyby w dalszym ciągu trwał okres „prosperity” — nie zastanawiano by się nad tym, czy cywilizacja upada. Dopiero kryzys zmusił ludzi do zastanawiania się nad tymi kwestiami, szukania przyczyn i w konsekwencji zaczęto tworzyć różne teorie, hipotezy i poglądy.

Czwarty i ostatni w roku 1935-36 wieczór z cyklu poświęconym zagadnieniom kultury współczesnej odbył się dnia 17 marca 1936 r. Tematem tego wieczoru było zagadnienie postępu. Posiedzeniu przewodniczył dr Roman Lutman. Zagaił je przybyły na zaproszenie Zarządu Towarzystwa z Warszawy docent Uniw. Warsz. dr Bogdan Suchodolski referatem, który podajemy poniżej w streszczeniu:

Wiara w postęp jest wiarą kultury nowożytnej. Ani starożytność, ani średniowiecze nie żywiło takich przekonań. W starożytności wierzono chętnie w to, iż wiek złoty istniał w przeszłości, a czasy, które nadchodzą, będą coraz gorsze. Starożytność miała inne niż my zapatrywania na pojęcie czasu i doskonałości. Sądzono, iż czas niszczy wartość rzeczy, bowiem prawdziwa doskonałość polega na niezmienności. Inaczej też rozumiano rolę człowieka. Jego dążenia ku polepszeniu losu rodzaju ludzkiego, jako całości, nie budziły wiary entuzjastycznej. Mit o Prometeuszu jest symbolem przeświadczenia, iż bogowie nie życzą sobie takiego „postępu” ludzkości. Intensywność życia i twórczości kulturalnej nie były wcale osłabione przez to, iż Grecy i Rzymianie nie wyznawali wiary w postęp. Ich doktryny o degeneracji, o wieku złotym, który istniał w dalekiej przeszłości, ich wiara w cykliczny powrót zjawisk nie przeszkadzały im żyć i tworzyć.

W średniowieczu obywano się również bez tej wiary w postęp, która nowoczesnemu człowiekowi wydaje się czymś nieuchronnie potrzebnym. Nie trzeba dać się zwieść fałszywym analogiom i nie wolno zestawiać średniowiecznej idei królestwa bożego, które nadejdzie, z doktryną postępu. Jest to zupełnie coś innego. Według przekonań średniowiecznych trwała i wiadomą granicą wszelkiej doskonałości jest Bóg, a Nieliczne jednostki ludzkie — święci — poziom ten osiągną bez względu na epokę, w której żyją. Czas, który upływa, nie jest wcale narastaniem nowych dóbr. I jeśli wierzy się w przyszłe królestwo boże na ziemi, wierzy się w coś, co od wieków już jest określone i od wieków w pewnych jednostkach realizowane. Zmieniać się może tylko ilość wiernych. — Zupełnie inaczej według doktryny postępu. W przyszłości są ukryte i jeszcze nieznanne wartości. Nikt ich dziś osiągnąć nie może. Upływający czas i wspólne wysiłki podnoszą całą ludzkość na coraz wyższe poziomy, niedostępne nikomu w przeszłości.

Dopiero gdy wygasły średniowieczne pojęcia religijne, gdy coraz silniej oddano się ziemskim troskom i zamiarom, poczęła się rodzic doktryna postępu. Miała ona zastąpić dawną ideę opatrności, czuwającej nad światem. Miała ona wzbudzić zaufanie do życia i wiarę w trwałe powodzenie czynności świeckich i utylitarnych. Miała ona, odrzucając dawny indywidualizm, podkreślić rolę kooperacji, uwydatnić znaczenie idei ludzkości. Epoka oświecenia, epoka wiary w racjonalizm i w poprawność planowania na daleką metę, budowała tę doktrynę, która opanowała umysły ludzi wieku XIX. Nie daje się ona wszakże uzasadnić naukowo, bowiem, aby oceniać co jest, a co nie jest postępem, trzeba by wiedzieć, jakie są ostateczne kryteria wartości i celów ludzkiego życia. Jako wiara zaś naukowo niepewna prowadzi często do zajmowania niewłaściwej postawy wobec przeszłości i terażniejszości. Według doktryny postępu czasy minione są niewątpliwie pod każdym względem gorsze niż te, które nadejdą. Postęp jest czymś prostolinijnym, układa się jak szczeble drabiny. Może jest to słuszne dla techniki, z pewnością nie jest słuszne dla sztuki. Stosunek nasz do terażniejszości winien mieć pełną odpowiedzialność aktualną, doktryna postępu zaś uczy traktować chwilę bieżącą

jako drogę do przyszłości i usprawiedliwia nadzieją na przyszłość wiele zaniedbań teraźniejszych. Dlatego wiara w przyszłość łączy się często z moralnym kwietyzmem. Ze stanowiska zaś surowej moralności odpowiedzialni jesteśmy za każdą chwilę naszego życia w sposób ostateczny i jedyny.

Kultura i etyka wymagają istnienia wartości trwałych, takich, których upływający czas ani niszczyć ani poprawiać nie może. Na zbliżaniu się do tych idealnych wartości polega doskonałość. Z każdej epoki i z każdego miejsca może człowiek do niej sięgać. Średniowieczna zasada, iż wartości są trwałe i dostępne bez względu na czas, jest dla kultury i moralności cenniejsza niż hasła doktryny postępu, rozkładające doskonałość na etapy, z których każdy następny likwiduje znaczenie poprzedniego.

Wywody dr. Suchodolskiego wywołały ożywioną dyskusję. Otwierając ją, przewodniczący poddał rozważeniu kilka punktów zasadniczych, z referatu wynikających. Na pierwsze miejsce wysunęło się zagadnienie, czy i jak można uzasadnić istnienie postępu. W tej kwestii pierwszy zabiera głos dr Filasiewicz, który sądzi, że istnienie postępu da się wykazać i uzasadnić w dziedzinie cywilizacji materialnej, zwłaszcza techniki, wreszcie wszystkiego, co jest zależne od człowieka. Natomiast w dziedzinach, w których postęp miałby obejmować samego człowieka, nie może być mowy o naukowym uzasadnieniu takiej koncepcji. Dr Szczepański zgadza się z przedmowcą i zaznacza, że wiara w postęp wypłynęła na tle rozwoju nauk przyrodniczych i była odpowiednikiem pojęcia ewolucji. W Polsce dołączał się do tego czynnik polityczny: z powodu stanu niewoli wyrobiła się wiara w rozwój stosunków, które przyniosą lepszą przyszłość. Okres obecny zachwiał w świecie w poważny sposób wiarę w postęp w zakresie zjawisk społecznych. Tutaj linia biegnie zygzakowato. To też ogólnie można mówić o postępie w dziedzinie cywilizacji, lecz nie w dziedzinie kultury. — Kryteria ujęcia postępu omawiają dr Lutman i dr Gołembski. Dr Lutman podnosi, że wiara w postęp, to wiara w realizowanie świadomym wysiłkiem czegoś lepszego ze względu na pewne cele (idee). Przy rozważaniu zagadnienia postępu należy rozróżnić trzy elementy: pierwsze, porównanie stanu obecnego z przeszłym, drugie, ustalenie wartości (kryterium oceny), trzecie, przyjęcie kierunku rozwoju w przyszłości. Wiara w postęp opiera się o stałe dyspozycje ludzkie i tendencje ulepszania i udoskonalenia stanu aktualnego. Krytycznemu naświetleniu poddaje koncepcje referenta dr Gołembski, który zaznacza, że koncepcja postępu może być rozważana tylko w związku z określonymi ideami. Samą ideę postępu w przeciwieństwie do idei wieczności, właściwej kulturze greckiej, wniosło chrześcijaństwo. Idea postępu była już mocno zarysowana w wiekach średnich. Postęp w duchu koncepcji Oświecenia jest zaprzeczeniem postępu. By uzyskać właściwe oświetlenie zagadnienia postępu dla teraźniejszej ludzkości, trzeba by wziąć ideę grecką i ideę chrześcijańską i zanalizować, o ile zbliżyliśmy się do jednej, o ile do drugiej.

Dalszym zagadnieniem poruszonym w dyskusji była kwestia stosunku idei postępu do wartości moralnej. Dr Fall zastanawiał się, o ile możemy mówić o postępie w człowieku samym, o stopniowym zwyciężaniu wartości idealnych. Mówca sądził, że widzimy wiele zjawisk, zaprzeczających postępowi w tej mierze, można jednak wierzyć, że człowiek zwolna podnosi się. Dr Rybicki omawiał w związku z referatem stosunek koncepcji postępu do zagadnienia osobowości ludzkiej i wykazywał rozbieżność między tą koncepcją, a ideałem doskonałości moralnej.

W przemówieniu końcowym referent docent dr Suchodolski podkreślił, że uzasadnienie postępu naukowe należy w ogóle uważać za niemożliwe. Wiek XIX uważał, że osiągnął nieosiągnięte dotąd wyzyny, lecz ta wiara w własną doskonałość wydaje nam się podejrzana. To, co dzisiaj znamy jako ideę postępu, wiąże się z Oświeceniem. Pod tym względem chrześcijaństwo było bliższe starożytności. Chrześcijaństwo dało pojęcie opatrności boskiej i ludzkiej wspólnoty. Chrześcijaństwo, jak myśl grecka, wierzy w wartości stałe i niezmiennie, ponad czas wzniesione; w ścisłej łączności z tym pozostaje chrześcijańska koncepcja życia jednostkowego. Natomiast chrześcijaństwo przyniosło pojęcie dziejów jako czegoś jednokrotnego i w tym zawiera się rola chrześcijaństwa dla późniejszej doktryny postępu.

Poza czterema wieczorami, których przebieg streściliśmy wyżej, odbył się jeszcze jeden — w kolejności ogólnej drugi wieczór dyskusyjny, który zainaugurował czekającą na razie na dalszą realizację serię posiedzeń o tematach regionalnych. Wieczór ten odbył się dnia 16 grudnia 1935 r. pod przewodnictwem wiceprezesa dra Wacława Olszewicza, osiągając maksymalną frekwencję uczestników. Dyskusję zagał prezes Towarzystwa ks. dr Emil Szramek na temat: *Pojęcie Ślązaka*. Podajemy tylko w bardzo zwięzłym streszczeniu tok wywodów prelegenta i momenty dyskusji.

Tok wywodów: Pojęcie — obraz myślowy (*ens in intellectu*); w rzeczywistości nie ma pojęć, są tylko rzeczy (*ens in re*). Nauka o pojęciach stanowi część logiki. Nader ważną zasadą logiczną jest: im więcej treści, tym ciaśniejszy jest zakres pojęcia, np. człowiek — Murzyn — Piłsudski.

Pojęcie „Ślązak” jest pojęciem: a) złożonym, bo wielość znamion, b) konkretnym, bo treść doświadczalna, c) zbiorowym. Istotne części składowe pojęcia „Ślązak” są: 1) człowiek, 2) związek ze Śląskiem. Śląsk — region geograficzny, o ile chodzi o pojęcie stałe, inne bowiem definicje dotyczą treści zmiennej np. region administracyjno-polityczny. — Jaki związek czyni człowieka Ślązakiem? Trzy tezy: 1) pochodzenie z dziada-pradziada (wtedy by nie był Ślązakiem taki ks. Skowroński, a byłiby Ślązakami potomkowie emigrantów śląskich w Texasie), 2) narodzenie (wtedy mógłby być Ślązakiem cygan, narodzony tu przypadkiem), 3) zamieszkanie i praca (wtedy mógłby być Ślązakiem Szwajcar Calonder, prezydent Komisji Mieszanej dla Górnego Śląska). Związek musi być nie tylko fizyczny i zewnętrzny, ale psychiczny i wewnętrzny, czyli oparty

o uczucie i wolę. — Ślązakiem byłby więc człowiek, związany ze Śląskiem jako regionem geograficznym przez pochodzenie z dziada, pradiada albo przez narodzenie albo przynajmniej przez stale tu zamieszkanie oraz uczuciem miłości i wolę.

Wywody ks. dra S. wywołały „istną burzę dyskusji”, w której wzięło udział 17 mówców, do czego potem jeszcze doszły jeden list i jeden artykuł (Kuźnica, I, 10). Silnie zaznaczała się tendencja do zacieśnienia zakresu pojęcia przez dodanie znamion konkretnych (mgr G l e n s k i, dr G r a b s k i, ks. S z c z e r b o w s k i). Nad całą dyskusją ciążył podświadomy wstręt do filozofii esencjalnej a pęd do filozofii egzystencjalnej. — Dr L u t m a n uważa definicje prelegenta za mało sprecyzowane. Podobnie dr O l s z e w i c z wolałby mówić o pojęciu „Górnoślązak”, bo w pojęciu „Ślązak” czuje coś obcego. Dr S z c z e p a ń s k i charakteryzuje Ślązaka jako gatunek Polaka i podkreśla, że Ślązak a Schlesier, to pojęcia odrębne. — Ks. dr K o m i n e k próbuje dojść do celu po linii: człowiek, Słowianin, Polak, Ślązak, wnosząc potem konsekwentnie, że Ślązacy ziemczeni, to trupy śląskie. — Mgr K o r a s z e w s k i zwraca uwagę na analogię pomiędzy Śląskiem a Pomorzem. — P. Z u b r z y c k i, urodzony na Podolu a wykształcony w Krakowie, podkreśla, że czuje się mimo to Ślązakiem. P. H e j n a r przestrzega przed „narodowością śląską”, wskazując na założyciela ślązakowców Koźdonia w Cieszynie i na redaktora „Głosu Górnego Śląska” Kustosza w Katowicach. — P. K i p t a zauważa, że Ślązak się zmienia w kole młyńskim, jakim jest historia. Podobnie wskazuje p. P i e r n i k a r c z y k na mieszaninę rasową na Śląsku. — Dr F a l l przeciwstawia Ślązakowi przyjaciela Śląska i ma wrażenie, że do pojęcia „Ślązak” należą znamiona ludowy i wyznaniowy. — P. P a w e ł M u s i o ł uważa za jedyne kryterium poczucie odrębności regionalnej, przy czym podkreśla, że: a) sam region jest tu bardzo urozmaicony, b) Śląszczyzna nawarstwiła się przez kilka wieków historii poza Polską. — P. S t e b ł o w s k i wskazuje na możliwość czysto materialistycznej interpretacji zbyt ogólnikowego określenia pojęcia np. przez żyda, który kieruje się zasadą: ubi bene, ibi patria. — Odrzuca tę możliwość p. M a r s z a ł e k, domagając się związku idealnego. — P. J ę d r u s i k proponuje (listownie) taką definicję: Ślązak, to człowiek o pierwiastku regionalnym, zajmujący pewne miejsce w naturalnym rozwoju Śląska pod względem historycznym, kulturalnym, gospodarczym lub politycznym. — Za najogólniejszą (socjologiczną) definicją oświadcza się dr R y b i c k i: Ślązak, to członek osobnej grupy społecznej.

W ostatnim słowie referent przypomina, że pojęcie jest niezmiennie jak formułka H_2O dla wody, lecz konkretna treść pojęcia jest płynna jak woda sama. Czy się zaś powie woda czy Wasser, treść pozostaje ta sama; tak też identyczne są pojęcia Ślązak — Schlesier — Silésien.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

DR MED. BOGUSŁAW PARCZEWSKI

Radę Opiekuńczą Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku stanowią: każdorazowy wojewoda śląski, każdorazowy marszałek sejmiku śląskiego, każdorazowy biskup katowicki i byli prezesowie Towarzystwa. Z tego ostatniego tytułu należał do niej także śp. dr med. Bogusław Parczewski.

Bogusław Parczewski urodził się dnia 14 sierpnia 1869 roku w Belnie (pow. świecki) na Pomorzu jako drugi z rzędu z pięciu synów wybitnego obywatela ziemskiego Erazma Parczewskiego, pierwszego posła polskiego do parlamentu niemieckiego z powiatu świeckiego w latach 1874—1876, i małżonki Tekli z Wolszlegierów. Początkowe nauki pobierał w rodzinnym Belnie, następnie w progimnazjum w Świeciu nad Wisłą, wreszcie w gimnazjum ad sanctam Mariam Magdalenam w Poznaniu, gdzie w 1888 r. złożył maturę. W październiku 1888 roku zapisał się jako słuchacz na fakultecie medycznym uniwersytetu we Wrocławiu, a kontynuował studia w Lipsku. W lutym 1894 r. złożył tam egzamin państwowy, a w lipcu 1894 r. uzyskał tamże stopień doktora medycyny, napisawszy pracę pod tytułem: *Ein Beitrag zur Casuistik der Hysteria Virilis*. Początki praktyki lekarskiej odbywał w Poznaniu w różnych szpitalach ginekologicznych, a od maja 1898 do końca lipca 1898 hospitał w klinice prof. dra Pavlika uniwersytetu czeskiego w Pradze. W grudniu 1898 r. osiedlił się jako specjalista-ginekolog w Bytomiu. Z pracy tej wyrwała go wojna, podczas której od sierpnia 1915 pełnił jako lekarz pospolitego ruszenia przez 3 lata służbę pierwotnie w kraju, później w Rumunii, gdzie zapadł na płamisty tyfus. Na 1 maja 1918 puszczono go do domu, ponieważ odnośny rocznik pospolitego ruszenia jako najstarszy już rozpuszczono.

Wróciwszy do domu, rozpoczął znów praktykę lekarską. Podczas 3. powstania śląskiego pełnił służbę lekarską w punkcie opatrunkowym w Rozbarku i równocześnie prowadził szpitale powstańcze w Szarleju i Miechowicach. Po przyznaniu Polsce wschodniej części Górnego Śląska przeprowadził się 2 stycznia 1922 r. z Bytomia do Katowic, gdzie pracował jako lekarz-ginekolog do swej śmierci, która zaskoczyła go w mieszkaniu dnia 4 września 1935 r. Żonatym nie był.

Oto suche daty z życia człowieka, który poświęcił się pracy, nauce i niesieniu pomocy cierpiącej ludzkości. Wiedzę fachową, nieprzeciętną, pogłębiał on do ostatnich chwil życia, idąc z czasem i nowymi zdobyczami nauki. To zaleta, lecz także obowiązek lekarza-specjalisty. Jeśli przeto śp. dr Bogusław Parczewski cieszył się wyjątkowym zaufaniem pacjentek, zawdzięczał to nie tylko swej wiedzy fachowej, lecz poza tym przymiotom serca i wysokiemu poczuciu obowiązku. Każda chora miała wrażenie, że jest jedyną lub przynajmniej uprzywilejowaną pacjentką jego. Bez różnicy stanu, bez względów na honorarium, śp. dr Bogusław Parczewski traktował każdy wypadek indywidualnie, do każdego wypadku wnosił nie tylko całą swą wiedzę fachową, lecz poza tym upartą chęć pomocy za wszelką cenę. Zalety te do ostatnich zachował chwil. Wiek poważny, szwankujące pod koniec zdrowie, nocna spóźniona pora, słota i niepogoda nie wchodziły dlań w rachubę, gdy rozchodziło się o niesienie pomocy lekarskiej. Ilekroć pacjentka wymagała specjalnej pomocy, mawialiśmy o nim żartem: „Bogus ma odwach”, bo już wtedy mowy nie było o tym, by go wyciągnąć czy to na przechadzkę, czy jakieś zebranie przyjacielskie lub towarzyskie. Pilnował przebiegu choroby na miejscu lub nie opuszczał swego mieszkania, by każdej chwili móc podążyć z pomocą na wezwanie telefoniczne. W tym względzie obowiązkowość jego była nieledwie pedanterią, lecz jakże zbawienną dla danej pacjentki. To też dziś jeszcze nad jego grobem nieraz spotyka się osoby w gorącej pogrążone modlitwie za jego duszę lub składające kwiaty nad mogiłą tego, który za życia był ich lekarzem-przyjacielem!

Charakter i życie śp. dra Bogusława Parczewskiego pozbawione były cech błyskotliwych, chęci wybicia się nad innych, imponowania wiedzą lub zaletami, był to raczej człowiek skromny. Jednak nie łaknąc zaszczytów, nie dążąc do sławy, wyjątkową cieszył się opinią człowieka prawego, gentelmana bez skazy o kryształowym sercu, o spizowym charakterze. Albowiem miał wybitnie wyrobione poczucie obowiązku. Obowiązków nie dzielił na wielkie i małe; wszystkie traktował poważnie. Jeśli był czymś lekarzem, to leczył i starał się pomóc całą duszą. Jeśli był przyjacielem, to żył szczęściem i nieszczęściem tego, którego przyjacią zaszczycił, odczuwał przyjaciela przeżycia więcej i głębiej niż własne, a pewnie nieraz głębiej niż dany przyjaciel. Cieszył się zaszczytami, gdy spadały na przyjaciela, zaszczytami, jakich dla siebie nie pragnął. Nieoceniony i chętny do rady i pomocy, nie wahał się wypowiedzieć choćby przykre verba veritatis; bywało, że zrzędził i gderał, bo uważał to za wskazane.

Jeśli przejął obowiązek publiczny lub społeczny, to rzadko kto umiał urząd taki traktować poważniej i sumienniej. Znane i niezapomniane są zalety śp. Bogusława Parczewskiego jego towarzysom pracy społecznej i politycznej na terenie Bytomia czy to w Banku Ludowym, w którym przez pewien czas był członkiem rady nadzorczej, czy to w tak zwanej „bibliotece rumuńskiej” czy też w komitecie wyborczym. Fakt, że okres jego prezesury w Tow. Literackim (1902—1920) nie zaznaczał się ruchliwością w dziedzinie naukowej, tłumaczy się przyczynami, od dra

Parczewskiego niezależnymi, zwłaszcza rozpętanem namiętnej walki politycznej, która pochłaniała całą uwagę nielicznej przecież inteligencji polskiej, a tamowała inne poczynania choćby najwznioślejsze (cfr. RTPN I, 3—8, III, 16).

W czasie powstań i plebiscytu dr Parczewski raczej służył radą, kieszenią i wiedzą fachową, aniżeli sięgał po stanowiska kierownicze.

Już w wolnej Polsce na terenie Katowic w Sokole przez długie lata był członkiem rady dzielnicowej i bodaj jednego nie opuścił posiedzenia; Towarzystwa Lekarzy-Polaków na Śląsku był członkiem-założycielem, a długoletnim przewodniczącym Sądu Honorowego. Zarząd Oddziału Górnośląskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego nazywa go w klepsydrze pośmiertnej byłym prezesem Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid” za czasów zaborczych, współzałożycielem i byłym prezesem Oddziału Górnośląskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w wolnej Polsce oraz członkiem honorowym tegoż oddziału. Sierocińca im. dra Mieleckiego był dr Parczewski jałmużnikiem, fundatorem, opiekunem do chwil ostatnich i długoletnim przewodniczącym Rady Opiekuńczej. Przeszło dwa lata pracował jako niepłatny radca miejski w Katowicach.

We wszystkich powyższych organizacjach ceniono go wysoce i lubiano. Liczne swe obowiązki wypełniał sumiennie i wzorowo. Surowy dla siebie, pobłażliwy dla innych, posiadał dość odwagi cywilnej, by bez ogródek i zastrzeżeń wypowiedzieć swe zapatrywanie, gdyż będąc na wskroś prawym i prostolinijnym, „nie znał żadnych z obłudą sojuszków”, a w życiu całym i wypełnianiu obowiązków tak zawodowych jak społecznych kierował się bezwzględną prawdą, prawością i unikaniem kompromisów.

Dr Parczewski nie rzucał pieniędzy na prawo i lewo bez badania celowości datków, lecz tam, gdzie przekonał się, że zachodzi potrzeba, wspierał i dawał szczerą ręką bez rozgłosu. Instytucje i towarzystwa charytatywne czy to dawniej w Bytomiu, czy później w Katowicach miały w nim hojnego ofiarodawcę. Czy chodziło o potrzeby lokalne, czy też o budowę kościoła na kresach, gdzie wiara i narodowość były zagrożone, czy też o kupno cennej książki albo obrazu początkującego zdolnego malarza, czy też wreszcie o Macierz Szkolną w Gdańsku, śp. Bogusław Parczewski dawał, dawał dużo, gdy jeszcze miał znaczniejszy majątek, dawał stosunkowo jeszcze więcej na schyłku życia, kiedy przez ostatnie 6 lat odmawiał sobie wyjazdu na niezbędną kurację, a kiedy zawsze jeszcze musiało starczyć, by nieść pomoc nędzy i potrzebie.

Śp. dr Bogusław Parczewski nie był rodowitym Górnoślązakiem, lecz od blisko 40 lat osiadły na Śląsku zrosł się z krajem i ludem. Serce mając na bóle ludzkie wrażliwe, odczuwał ludu górnośląskiego bóle i krzywdy, lud ten szczerze pokochał, dla ludu tego pracował i był szczerze przezeń kochanym. Z spuścizny po sobie to, co najcenniejsze, mianowicie ukochaną swą bibliotekę, przekazał dla Śląska, dzieląc ją pomiędzy Towarzystwo Lekarzy-Polaków na Śląsku i Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Katowicach.

Odszedł od nas przedwcześnie człowiek sprawiedliwy, prawy i szlachetny; człowiek skromny w swych wymaganiach, prostolinijny w swych zapatrywaniach i czynach, a pan z panów tam, gdzie chodziło o utarcie łez cierpiącej ludzkości i pomoc ojczyźnie i ojców wierze. Zwłoki jego spoczywają na katolickim cmentarzu w Katowicach przy ul. Gliwickiej.

Cześć jego pamięci!

K a t o w i c e

Stanisław Kobyliński

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA

PRACE NAUKOWE, POSWIĘCONE SZTUCE ŚLĄSKIEJ
(1933—1936)

Wśród nowszych wydawnictw poświęconych historii sztuki śląskiej wysuwa się na pierwsze miejsce III tom monumentalnej Historii Śląska (do roku 1400), wydany nakładem P. A. U. w r. 1936. Zawiera on trzy prace z zakresu dziejów sztuki śląskiej, a mianowicie M. Gębarowicza, T. Dobrowolskiego i W. Podlacha oraz obszernie rozdziały M. Gumowskiego i S. Mikuckiego, odnoszące się do sfragistyki, numizmatyki i heraldyki śląskiej. Z prac tych omówi się po krótko na tym miejscu trzy pierwsze, przy czym poświęci się nieco uwag również innym badaczom, którzy albo zajęli się sztuką śląską jako głównym tematem swoich prac, albo o sztukę tę przynajmniej zahaczyli w związku z innymi problemami. Odnośne prace uwzględni się w porządku chronologicznym i alfabetycznym (w granicach jednego roku według nazwisk autorów) z tym, że poszczególne sprawozdania będą posiadały nie tyle formę wyczerpującej i krytycznej recenzji, ile rzeczowego omówienia i to w miarę możliwości zwięzłego. Jeśli autorowi tego przeglądu nasuną się jakieś uwagi krytyczne, to sformułuje je od czasu do czasu, jednakże bez specjalnych studiów w kierunku ich pogłębienia, gdyż nie pozwala mu na to nadmiar bieżących zajęć. Prócz prac polskich, których ilość wskazuje na coraz silniejsze zainteresowanie się nauki polskiej problemami śląskimi — weźmie się też pod uwagę w drugiej części sprawozdania niektóre wydawnictwa niemieckie.

Michał Walicki, *Ze studiów nad plastyką XIV w. w Polsce*, Biuletyn Historii Sztuki i Kultury, Warszawa, 1933, Nr 1, od str. 23 do 34. W rozprawie tej, poświęconej kilku zabytkom rzeźby pomor-

skiej i wielkopolskiej, z których na czoło wysuwają się dobrze już dzisiaj znane — krucyfiks ze Starogardu i Tronująca Madonna z Ołoboku koło Kalisza (obydwie figury z początku XIV w.) omawia tu autor dwa drewniane posążki Madonny z kręgu „Mistrza Madonn na Lwie”, a mianowicie z Obozina oraz z okolic Kalisza (obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie). Jak wiadomo, znany jest szereg Madonn tego typu na Pomorzu, w Wielkopolsce, Małopolsce, a zwłaszcza na Śląsku, wobec czego odnośny warsztat próbowano umiejscowić właśnie nad Odrą. Walicki przypomina jednak, że podobna do śląskich figura znalazła się też w Salzburgu, w związku z czym powołuje się na Kieslingera „Die mittelalterliche Plastik in Oesterreich, Wien, 1926” (dodać tu można, że inną jeszcze Madonnę opublikował na kartach pocztowych Salzburški Związek Muzealny). W rezultacie pierwowzoru tego typu szuka autor w Czechach i Austrii, podkreślając seryjny charakter odnośnej produkcji. Z drugiej strony stwierdzić wypadnie, że jak dotychczas, zabytki tego rodzaju najczęściej trafiają się na Śląsku, czego w szukaniu ich źródła pominąć nie podobna. Przy tym ilość znanych obiektów odnośnego gatunku wciąż tutaj wzrasta; niedawno np. udało się podpisanemu odnaleźć w powiecie rybnickim figurę „Zmartwychwstałego Chrystusa” z roku około 1390, przynależną właśnie do opisanego kręgu rzeźbiarskiego. Nie od rzeczy będzie też zwrócić uwagę na fakt, że Madonna w Muzeum Salzburškim najbliższa może jest Madonnie z Miasteczka w katowickim Muzeum Śląskim. Wobec znamiennej obfitości na Śląsku podobnych zabytków, przypisanie Austrii czy Czechom pierwszeństwa w wytworzeniu tego typu wydaje się przedwczesne. Co do innych wyników pracy Walickiego, to trzeba je uznać za zupełnie trafne. Podobnie jak w innych pracach tego autora uderza i tutaj polot wyobraźni w połączeniu z bystrością obserwacji.

T. Dobrowolski, *Tryptyk z Jasienicy w Muzeum Śląskim*, — tenże, *Zaślubiny św. Katarzyny, obraz deskowy ze Śląska Cieszyńskiego w Muzeum Śląskim*, — tenże, *Zamek w Dziegielowie, pow. cieszyński*, Biuletyn j. w. 1934, Nr 3, str. 226—229. W trzech krótkich notatkach przynosi autor wiadomość o dwóch zabytkach śląskiego malarstwa XVI w. oraz o murowanym zamku szlacheckim Goczałkowskich. Odnośnie do tryptyku z Jasienicy, którego datę dzięki napisom zachowanym na odwrocie deski ustalono na rok 1553, musi się przyznać autor wymienionej notatki a równocześnie obecnej recenzji, że po bliższym przyjrzeniu się temu tryptykowi, trudno mu uwierzyć w tę datę, gdyż cechy stylistyczne zabytku wskazują co najwyżej na koniec XV w. Może zatem rzekomy fundator ołtarza Mateusz Proso (?), kantor bielski, uwiecznił na nim swoje nazwisko (w r. 1552) w związku z zakupem starszego dzieła, a malarz Hanko czy Henko z r. 1553 poprzestał na domalowaniu dwóch scen na rzadziej widocznej stronie skrzydeł. W notatce na temat zamku w Dziegielowie z XVII i XVIII w. należy sprostować opis sytuacji budynku przez stwierdzenie, że jego skrzydło frontowe z bramą

wjazdową z r. 1766 jest zwrócone w kierunku zachodnim, co pozwoli na skorygowanie układu reszty skrzydeł czworoboku.

Michał Walicki, *Późnogotycka plastyka w Kościanie*, Biuletyn j. w. 1934, Nr 2, str. 103—117. W rozprawie tej autor omawia rzeźby późnogotyckie włączone z czasem w barokowy ołtarz wielki kościoła parafialnego w Kościanie, z kolei ołtarz boczny „Zesłania Ducha Św.”, figury na belce tęczowej oraz posąжки św. Anny i św. Walentego. Podkreślając ścisły związek tych zabytków z plastyką śląską, dąży równocześnie do wykazania, że obiekty te można jednakże przypisać produkcji miejscowej (wielkopolskiej). W związku z analogiami, jakie łączą reliefy wielkiego ołtarza z śląskimi tryptykami w Lampersdorfie, Thiemendorfie i Górze a ołtarz „Zesłania Ducha Św.” z warsztatem Mistrza z Giessmannsdorfu, budzą się nieraz wątpliwości, czy zabytki te mimo wszystko nie są pochodzenia śląskiego? Podobieństwa reliefów wielkiego ołtarza kościańskiego do płaskorzeźb ołtarza w Thiemendorfie są bowiem istotnie zastanawiające. Trudno też „a limine” odrzucić przypuszczenie, że malowane skrzydła tryptyku „Zesłania Ducha Św.”, wzorowane, jak wiadomo, na ołtarzu kaliskim Mistrza z Giessmannsdorfu, stanowią replikę tego ołtarza, wykonaną w warsztacie mistrza przez uczniów, ile że wytwórczość tego warsztatu była bardzo obfita i miała dość „komercyjny” charakter. Co do figur św. Walentego i św. Anny Samotrzeciej, to pierwszą z nich można zestawić z św. Mikołajem z Sobótki (Braune u. Wiese, Schles. Malerei u. Plastik, Nr 104) a drugą z podobnymi rzeźbami z Brzegu (tamże, Nr 113 i 114). Twierdzeniu autora, że św. Anna z Kościana nie posiada bliższych analogij z produkcją pogranicznych warsztatów, można by przeciwstawić zatem wymienioną św. Annę z Brzegu (Nr 113), którą także cechuje „silna muskulatura” wyraźnie zaznaczonych nóg, jako współczynnik wczesnego, północnego renesansu. Powyższych spostrzeżeń nie należy uważać za coś w rodzaju definitywnych sprostowań wnikliwej i cennej pracy warszawskiego uczonego, gdyż mają one tylko charakter dyskusyjny i stanowią dowód trudności, jakie budzą się zawsze w związku z potrzebą umiejscowienia dzieła sztuki i wyprowadzenia należytych wniosków z faktu zbliżeń formalnych między zabytkami. Autor tego sprawozdania musi się przyznać, że w dzisiejszym stanie wiedzy i metod badawczych nie mógłby z czystym sumieniem rozstrzygnąć, czy opisane zabytki plastyki kościańskiej są pochodzenia śląskiego, czy też powstały na miejscu, pod silnym wpływem sztuki śląskiej?

Witold Dalbor, *Nieznane późnogotyckie zabytki rzeźby i malarstwa w Wielkopolsce*, Biuletyn... j. w., 1935, Nr 3, str. 238—252. Wśród zabytków publikowanych w cyt. rozprawie znajduje się kilka bliskich sztuce śląskiej; zaliczyłbym do nich trzy figury z Gostynia (Madonna między św. Agnieszką i Agatą), — figury św. Willibalda (?) i Barbary z Proszowa, posąg św. Barbary z Wyszanowa, oraz malowane skrzydła z Grębanina w powiecie kępińskim, które autor słusznie łączy

z epitafium Behra († 1513) w Oleśnicy na Śląsku. Jak się zdaje, można by jednak dla wszystkich wymienionych zabytków odnaleźć analogie na Śląsku; do zauważonych przez Dalbora możemy np. dodać jeszcze łączność św. Willibalda z Proszowa z niepublikowanym posązkiem biskupa w Łagiewnikach Wielkich w powiecie lublinieckim. Mimo stwierdzenia szeregu zbliżeń między plastyką południowej części Wielkopolski a sąsiedniego Śląska popiera autor tezę o rodzimej twórczości dzielnicy wielkopolskiej w ślad za badaczami, którzy w przeciwieństwie do Brosiga propagują koncepcję autonomicznych wartości sztuki wielkopolskiej i jej bujnego rozwoju w XV w. Istotnie, nie ulega dzisiaj wątpliwości, że istniały w Wielkopolsce, przede wszystkim zaś w Poznaniu warsztaty malarskie, a zatem i snycerskie, bo udowodniły to archiwalia, ogłoszone przez Kaczmarczyka; z drugiej strony wiadomo też, że miał też miejsce import ze Śląska a zapewne i z Małopolski. Wobec tego nie powinno się popadać w inną od Brosiga ostateczność i wszystko, co się na terenie Wielkopolski odkryje, przypisywać twórczości miejscowej. A taka właśnie tendencja cechuje ostatnie prace na temat sztuki wielkopolskiej.

Przy sposobności warto zwrócić uwagę na sprawę wprowadzie nie zasadniczą, lecz nie pozbawioną wagi. Otóż zarówno Dalbor, jak inni młodzi historycy sztuki (Dutkiewicz, Walicki, Chmarzyński) cytują śląskie nazwy miejscowe w transkrypcji niemieckiej, mimo że chodzi nieraz o nazwy odwiecznie polskie, na ogół uwzględnione zresztą w Słowniku Geograficznym. Lepiej przecież pisać Góra zamiast Guhrau, Sobótka zamiast Zobten, Zgorzelec zamiast Görlitz itd. itd.

Tadeusz Dobrowolski, *Wystawa polskiej sztuki gotyckiej w Warszawie*, Rocznik Krakowski, 1935 (T. XXVI), nadbitka str. 25. W sprawozdaniu z wystawy, urządzonej w Warszawskim I. P. S. omawia autor katalog wystawy pióra M. Walickiego, przy czym wśród zabytków zebranych z różnych stron Polski odnajduje dzieła formalnej proveniencji śląskiej. Wśród nich należy wymienić takie dzieła rzeźbiarskie, jak: „Opłakiwanie Chrystusa” z Gościeszyna z r. około 1420-30 (Nr katalogu wystawy 37) o wyraźnym związku z śląskim mistrzem kaplicy Dumlosych (co zauważył Walicki), fragmenty z Nowej Wsi z końca XIV w. (Tronująca Madonna i apostołowie z banderolami), które nawiązują do typu Madonn na lwie, Koronację M. Boskiej z Wielunia (Nr 125) i dwie figury nieznanymi świętych z Dobrcza z r. około 1500, które Walicki uważa słusznie za import śląski (Nr 94—95). Z Śląskiem również łączą się takie zabytki malarstwa, jak: epitafium Jana Kota u św. Jana w Toruniu (z r. około 1454), które należy niewątpliwie do kręgu Mistrza św. Barbary w Wrocławiu, ołtarz z Kościana z r. 1507 (wymieniony już w sprawozdaniu z pracy Walickiego „Późnogotycka plastyka w Kościanie”), skrzydła z Grębanina (wymienione w związku z pracą Dalbora) oraz znane „Opłakiwanie Chrystusa” z Chomranic w województwie krakowskim o pewnych zbieżnościach z wrocławskim ołtarzem św. Barbary z r. 1447.

Jerzy Frankenstein, *Działalność budowlana rodu Łabędziów na Śląsku i Kujawach*, Biuletyn... j. w., 1935, Nr 4, str. 345—364. Interesująca rozprawa zajmuje się tematem niejednokrotnie poruszonym w polskiej literaturze naukowej (ostatnio Semkowicz i Gębarowicz, por. III tom nin. Roczników, str. 293—298). Wyniki autora dotyczące działalności budowlanej Piotra Własta i jego rodziny w ciągu XII w. można streścić, jak następuje: w r. około 1090 zaczyna się dzięki protoplaście rodu Łabędziów Piotrowi (dziadowi Piotra ze Skrzywna, palatyna Bolesława Krzywoustego) budowę kościoła na Górze Sobótce, obok którego powstaje nieco później opactwo Kanoników Regularnych z Arrovaize (istniało już w r. 1125). Kościół zburzono dopiero około r. 1470. Opactwo zaś istniało w każdym razie jeszcze koło r. 1150 (według Semkowicza zburzenie opactwa i kościółka nastąpiło już w latach 1132—1194, zaś fundatorem ich był Piotr Włast, palatyn Bolesława). Koło r. 1123 rozpoczął budowę kościoła św. Michała na terenie późniejszego benedyktyńskiego opactwa św. Wincentego zięć wymienionego Piotra Jaksza Miechowita a dokończyła ją jego żona Agafia. Tympanon portalowy tej świątyni, znany z rysunku, objaśnia autor inaczej od swoich poprzedników, widząc w jednej z jego postaci nie Bolesława Kędzierzawego lecz Krzywoustego z synem Lestkiem. — Samo opactwo i kościół św. Wincentego, fundację Piotra ze Skrzywna i zapewne Jaksy rozpoczęto przed r. 1139. Koło r. 1170 zastąpili w nim Benedyktynów Premonstranci z Kalisza. W zachowanym, wspaniałym portalu tego kościoła, obecnie wmurowanym w ścianę kościoła św. Magdaleny, dostrzega autor wpływy akwitańskie i motywy pochodzenia wschodniego, a dwie głowy w czapkach książęcych, wyrzeźbione na słupach portalu, interpretuje jako podobizny Piotra i Jaksy. — Wreszcie w latach 1175 do 1190 wdowa po Piotrze (synu Piotra ze Skrzywna) Maria z synem Świętosławem funduje klasztor i kościół Panny Marii na Piasku we Wrocławiu, do którego przenoszą się mnisi z Góry Sobótki. Tympanon zachowany z tego kościoła cechuje ikonografia pochodzenia włoskiego, przyjęta w południowych Niemczech (Parma, Salzburg, Bamberg), co na ogół zgadza się z wynikami Wiesego i Gębarowicza, którzy wymieniają jeszcze Madonnę würzburską. Podobnie jak tympanon kościoła św. Michała, również z rysunku tylko znany grobowiec Piotra oraz wymienionej już jego żony Marii w kościele św. Wincentego datuje autor na rok około 1290 i stwierdza w nim oddziaływanie rzeźby naumburskiej.

Podobne do śląskich pod względem dekoracji plastycznej budowle strzelnieńskie fundowała mazowiecka linia rodu: rotundę wieżową św. Prokopa wznosił wojewoda kujawski Piotr Magnus z siostrą Anną koło r. 1160, po czym za jej namową wystawił około r. 1180 klasztor i kościół Norbertanek pod wezwaniem N. Maryi Panny i św. Trójcy. To też na tympanonie u św. Prokopa stoją po obu bokach Chrystusa Piotr Magnus i Anna, podobnie na tympanonie kościoła św. Trójcy, który w pośrodku zawiera jednak nie św. Annę, lecz Madonnę z Dzieciątkiem.

Praca Frankensteina, której rezultatem jest rozróżnienie trzech a łącznie ze Strzelnem nawet czterech Piotrów, traktowanych dawniej jako jedna postać, i uporządkowanie skomplikowanych dziejów rodowych fundacji Łabędziów nie pokrywa się z wynikami innych badaczy. Nie można też uważać jej za ostatnie słowo w kwestii wspomnianego rodu, bo pomija szereg spraw spornych i nie przeprowadza wyczerpującej dyskusji z poglądami poprzedników. Nie wiemy np., jaki jest stosunek autora do monografii rodu pióra M. Friedberga, której nawet nie cytuje? Należy się zatem spodziewać, że na temat rozprawy Frankensteina wypowiedzą się znawcy genealogii rycerskich rodów polskich. Przy sposobności należy podkreślić, że wszyscy ostatni badacze fundacyj Włostowiczów pomijają z reguły publikowany już przez Łuszczkiewicza słup drogowy, ustawiony obok kościoła parafialnego w Koninie (nie-daleko Kalisza), który, jak wynika choćby z jego napisów, wolno wiązać z działalnością tego rodu.

Mieczysław Gębarowicz, *Stosunki artystyczne Śląska z innymi dzielnicami polskimi*, Katowice 1935, str. 26. Wydana przez Instytut Śląski książeczka posiada wprawdzie charakter popularny, niemniej zawiera sporo nowych myśli a przede wszystkim w zwięzły i rzeczowy sposób informuje o zasadniczych cechach łączności artystycznej Śląska z resztą Polski. Na uwypuklenie zasługuje treść rozdziału I na temat bierności Śląska w polskim życiu kulturalnym, co przejawia się w fakcie, że takie ośrodki, jak Kraków czy Gniezno wyprzedzają Śląsk znacznie np. na polu architektury (relikty budownictwa kamiennego w wymienionych miastach pochodzą już z X w., podczas gdy na Śląsku najstarsze ślady tego rodzaju datują dopiero z pierwszej ćwierci XII w.; zdaniem cyt. Frankensteina budowle Sobótki zaczęto wznosić jednak już z końcem XI w.). Wspomniana bierność Śląska pochodzi z braku (w pierwszym wieku łączności Śląska z polskim organizmem państwowym) czynnika inicjatywy, jaki reprezentował dwór panujący. Sytuacja poprawia się natomiast wyraźnie po podziale państwa w r. 1138 i powstaniu na Śląsku książęcych dworów. Zdaniem Gębarowicza o charakterze związków kulturalnych decydują bowiem nie tyle momenty geograficzne, ile świadoma, organizująca wola ludzka. — Z kolei zestawia autor romanizm wrocławski ze strzelnieńskim, wrocławską katedrę biskupa Waltera z katedrą plocką wystawioną przez jego brata biskupa Aleksandra, omawia budownictwo zakonne, porównując dominikański kościół krakowski z wrocławskim (fryz z lilij heraldycznych), analizuje też ceglany gotyk krakowski i śląski, przy czym podkreśla jego obcość w stosunku do ceglano-budownictwa bliskiej Brandenburgii. Tym relacjom negatywnym przeciwstawia natomiast analogie z Bawarią i Tulużą. Po przedstawieniu kwestii „sklepienia piastowskiego” (dziwiewięciopolewego), przyjętego przez Wrocław pod wpływem Krakowa, poświęca autor resztę ustępów rzeźbie i malarstwu, np. sztuce Stwosza i jej oddziaływaniu na snycerzy śląskich. Dzieje śląsko-polskiej kultury artystycznej doprowadza do w. XVII, kiedy to drogi Śląska i reszty Polski rozchodzą się ostatecznie. — W związku z zagadnieniem, omó-

wionym przez Gębarowicza, nie od rzeczy będzie przypomnieć zbieżność malarstwa Małopolski z malarstwem obecnego województwa śląskie w ciągu całego prawie XV w., o czym świadczą wyraźnie zabytki cechowe, zebrane w Muzeum Śląskim w Katowicach. Albowiem niemal dla każdego z nich można odszukać identyczny prawie odpowiednik wśród zabytków Małopolski. Zjawisko to jest tym bardziej interesujące, że rzeźby pochodzące z tego samego obszaru ciągną raczej do Wrocławia. Fakt ten podkreśla niewąznicznie atrakcyjność krakowskiego malarstwa w okresie rządów Kazimierza Jagiellończyka.

Marian Gumowski, *Grobowiec Henryka IV*, Zaranie Śląskie, 1935, zeszyt 3 i 4, str. 148—159, 229—238. Wyczerpująca praca Gumowskiego zajmuje się tematem, który znechęcił już niejednego badacza (ostatnio Gündla w r. 1926 i Wiesego w r. 1927; literaturę zresztą podaje autor). Wchodzi tu przecież w grę pierwszy grobowiec książęcy, o jakieś 30 lat tylko późniejszy od romańskiej jeszcze tumbi Piotra z rodu Łabędziów i Marii w kościele św. Wincentego, przy tym znakomity pod względem artystycznym zbytek rzeźby gotyckiej o pewnych reminiscencjach romańskich, który zainicjował cały szereg znanych grobowców książąt śląskich, a nawet pomników krakowskich. Autor przeprowadza bardzo gruntowną analizę tego grobowca, ustawionego w wrocławskim kościele św. Krzyża, fundacji przedstawionej na grobowcu księcia († 1290), identyfikuje wszystkie figury w arkadach bocznych ścian tumbi (jako członków rodu zmarłego oraz przedstawicieli duchowieństwa) i w przeciwieństwie do swoich poprzedników ustala czas jego powstania dopiero na rok około 1315. Co do jego cech stylistycznych stwierdza, że są one wynikiem pracy trzech kamieniarzy i wpływów francusko-niemieckich z przewagą ostatnich. W szczególności reminiscencje francuskie przejawiają się w kompozycji bocznych ścian grobowca, które przypominają żywo francuski motyw orszaku pogrzebowego w formie figur, wypełniających arkady ścian. Natomiast postać księcia z obliczem o specyficznym, archaicznym uśmiechu nawiązuje do rzeźby niemieckiej, jakiej klasycznym przykładem są figury naumburskie z około połowy XIII w. (wymienione już na tym miejscu w związku z grobowcem Włostowiczów, uwzględnionym w pracy Frankensteina). Francuskie naloty śląskiego zabytku wyjaśnia zdaniem autora jeszcze silniejszy współczynnik francuski w marburskich grobowcach landgrałów turyngskich z początku XIV w., które pod niejednym względem przypominają pomnik śląski. Powyższe analogie pogłębia jeszcze podobieństwo wrocławskiego kościoła św. Krzyża do kościoła św. Elżbiety w Marburgu, ukończonego w r. 1283, a więc na 5 lat przed rozpoczęciem budowy świątyni śląskiej, oraz łączność stylistyczna postaci duchownych na tumbie wrocławskiej z figurami wielkiego ołtarza w wymienionym kościele marburskim. Oddziaływanie Turyngii na Śląsk wyjaśnia autor związkami dynastycznymi Piastów śląskich z landgrafami turyngskimi, co należy uznać za zupełnie możliwe. Wspomniane francuskie elementy formalne pozwalają autorowi na postawienie tezy, że zarówno grobowce marburskie, jak i wrocławski wykonała grupa

wędrownych „lapicidów” pochodzenia brabanckiego (w Lowanium bowiem zachował się grobowiec Henryka III brabanckiego [† 1261] bardzo bliski jednemu z sarkofagów marburskich). Dodać należy, że Gumowski nie poprzestaje na opracowaniu samego nagrobka Henryka IV, lecz omawia przy sposobności późniejsze pomniki grobowe śląskich Piastów, wzorowane na wrocławskim. Kilka słów poświęca też wawelskiemu sarkofagowi Łokietka. Praca znanego numizmatyka i heraldyka odznacza się bardzo skrupulatną i drobiazgową analizą, zwłaszcza w swej części ikonograficznej, dążącej do zidentyfikowania licznych figur grobowca. Czy wszystkie te rozpoznania, osiągnięte przy pomocy czasem już zbyt talmudycznej analizy, są trafne, trudno rozstrzygnąć. W każdym razie studium Gumowskiego z dotychczasowych opracowań na ten sam temat trzeba uznać za najbardziej pracowite i najbardziej obfite w wyniki.

Michał Walicki, *Polska sztuka gotycka (Wystawa zorganizowana przez Two Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie)*, Warszawa 1935, str. 57, tablic 104. Starannie opracowany i wydany katalog Walickiego, opatrzone niemal w wszystkie reprodukcje wystawionych zabytków, zawiera między innymi szereg rycin dzieł malarstwa i rzeźby, których łączność ze Śląskiem podkreślił podpisany w recenzji, uwzględnionej jako 5. pozycja obecnego sprawozdania.

Mieczysław Gębarowicz, *Architektura i rzeźba na Śląsku do schyłku XIX wieku (Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400, tom III)*, Kraków 1936, str. 84, tablic 20. Praca lwowskiego uczonego (ogłoszona w odbitce już w r. 1934) pogłębia znakomicie problemy, które już dawniej były przedmiotem jego zainteresowań. Na szczególną uwagę zasługuje „wstęp” rozprawy, w którym autor precyzuje swój pogląd na mechanizm rozwoju kulturalnego, objaśniając go na przykładzie Śląska i w ogóle Polski, dla której przyjęcie nowej i absolutnie obcej cywilizacji łacińskiej musiało mieć charakter rewolucyjny. W związku z zagadnieniem percepcji kulturalnej kładzie autor nacisk nie tyle na czynniki geograficzne, ile na kształtującą, świadomą celu wolę, w tym wypadku reprezentowaną przede wszystkim przez dynastię Piastów (por. omówienie cytowanej już pracy tego samego badacza pt. *Stosunki artystyczne Śląska...*). Wbrew mechanistycznym poglądom, jakoby głównym źródłem romanizmu polskiego były sąsiednie kraje Czechy i Saksonia, wykazał Gębarowicz, że jego genezy trzeba szukać głównie na pograniczach włosko-niemieckim i niemiecko-francuskim, co wyjaśnił podstawowym prawem każdej ekspansji kulturalnej, a mianowicie faktem, że bywa ona następstwem nadmiaru sił. Trudno zaś w IX i X w. szukać na wschodnich rubieżach Niemiec nadprodukcji wartości kulturalnych. O drugorzędym znaczeniu momentów geograficznych świadczy też pewne zacofanie Śląska w stosunku do innych dzielnic Polski, spowodowane brakiem tak zasadniczego czynnika kierowniczego, jak dwór książęcy. Pewną mozaikowość i niejednorodność kulturalnego obrazu wczesnohistorycznej Polski wyjaśnia przypadko-

wością i różnorodnością impulsów, płynących z rozmaitych i odległych nieraz środowisk, w związku z czym jednak nie była Polska nigdy domeną jakiegoś jednego kierunku i mogła zachować sporą dozę niezależności. Analiza znaczenia kolonizacji niemieckiej oraz przypomnienie roli Kościoła jako przedstawiciela polskiej racji stanu i poczucia narodowego stanowią zakończenie „wstępu”. W związku z wyrażonym w tym „wstępie” poglądem autora, że przyjęcie przez Polskę chrześcijaństwa było równoczesne z wydaniem wyroku śmierci na kulturę rodzimą, warto sobie uświadomić, że wyrok ten na szczęście nie został wykonany całkowicie. Tradycje pierwotne przetrwały bowiem w kulturze ludowej, czego dowodzą np. analogie między pomnikami ciesiolki przed- i wczesnohistorycznej (Opole, Biskupin) a wiejskim budownictwem współczesnym oraz między zdobnictwem epoki wędrówek ludów a współczesną ornamentyką w drzewie, jak również niektóre typy wytworów ceramicznych i długi szereg zjawisk w zakresie kultury materialnej i duchowej (przeżytki zabiegów magicznych). W części szczegółowej poświęca autor najwięcej miejsca architekturze, z kolei rzeźbie monumentalnej, w mniejszym zaś stopniu snycerstwu. Do najlepszych należą tu ustępy o romanizmie śląskim, o analogiach między katedrą krakowską a wrocławską, o twórczej roli Krakowa w ukształtowaniu „sklepienia piastowskiego”, o budownictwie zakonnym i powstaniu grobowca Henryka IV. Do starannie przemyślanych uwag i wniosków Gębarowicza nie łatwo będzie coś dodać. Chyba, że ułatwią to nowe odkrycia, jak miało to miejsce ostatnio w Trzebnicy, gdzie wydobyto spod tynku wspaniały tympanon romański z Dawidem i Batsebą, ogłoszony przez Freya (omówimy go w jednym z następnych ustępów). Co do wątpliwości związanych z kaplicą zamkową w Cieszynie, a usprawiedliwionych warunkowym charakterem wniosków podpisanego (w książce „Sztuka województwa śląskiego”), na których oparł się autor, sprawa zdaje się wyjaśniać w tym kierunku, że kaplica ta została wzniesiona z początkiem XIII w. i należy do epoki romańskiej. Podpisany konserwator przeprowadził przy niej dalsze prace odkrywcze, które wykazały, że wątkiem jej murów są dość drobne ciosy kamienne oraz że budynek został w znacznej części zasypany na skutek podniesienia się terenu. Wysokość kaplicy była zatem istotnie znaczna, co godzi się z jej rycinami z XVII w. — Jeśli chodzi o kompozycję cennej pracy Gębarowicza, to trudno mieć tu jakieś poważniejsze zastrzeżenia; może jednak zbyt zwięźle potraktował autor drewnianą rzeźbę XIV w. (nie uwzględnił np. mistycznego krucyfiksu w Muzeum Diecezjalnym i w ogóle znanej grupy krucyfiksów wrocławskich). Podobnie wśród rycin nie znalazła się ani jedna poświęcona snycerstwu.

Tadeusz Dobrowolski, *Śląskie malarstwo ścienne i sztalugowe do początku XV w. (Historia Śląska, j. w.)*, Kraków 1936. (Odbitka z r. 1935), str. 100, tablic 37. Po krótkim wstępie na temat genezy malarstwa gotyckiego oraz scharakteryzowaniu malarstwa czeskiego (z uwagi na jego znaczenie dla sztuki śląskiej) i przedstawieniu cechowych organizacji malarskich łącznie z kwestią ich składu osobowego

poświęcił autor najdłuższe rozdziały samym zabytkom, grupując je w porządku chronologicznym według ich zasadniczych cech stylowych; pracą swą zamyka okres od r. około 1350 do r. 1447, tj. do powstania wrocławskiego ołtarza św. Barbary, pierwszego na Śląsku zabytku stylu „łamanego”. Dążeniem pracy było przedstawienie całego dostępnego materiału zabytkowego, w związku z czym niektóre malowidła fotografował autor i publikował po raz pierwszy; w szczególności zaś dotyczy to malarstwa ściennego. Ponieważ przed wyciągnięciem ogólnych wniosków z różnych poszczególnych zjawisk trzeba było uporządkować naprzód materiał pod względem chronologicznym i genetyczno-formalnym, wynikiem tego postępowania jest analityczno-syntetyczny charakter całości. Punktem wyjścia dla badań jest tu zawsze formalny aspekt przedmiotu, a celem wykrycie i zróżniczkowanie tych elementów, które z jednej strony decydują o odrębności dzieła sztuki, z drugiej o jego przynależności do grupy stylistycznej. Jeśli chodzi o zagadnienie takich zespołów zabytkowych, to między innymi próbuje autor ustalić zespół górnośląskich malowideł ściennych z końca XIV w. o wielu cechach wspólnych (Świątów, Kalków, Stare Bielsko) oraz wyodrębnić najbardziej stosunkowo samodzielną grupę obrazów sztalugowych z lat 1420—30, skupionych koło znanego „Zaśnięcia N. Marii Panny” z Długiej Wsi. Ten kierunek malarstwa śląskiego, powstały pod wpływem czeskim, zdaje się posiadać najwięcej cech, potwierdzających koncepcję o istnieniu „szkoły śląskiej”. Podłożem, na jakim się ona rozwinęła, były nie tylko oddziaływania Czech, lecz także impulsy z dalszego Zachodu i Południa (por. rozdział o składzie osobowym malarzkiego cechu wrocławskiego), jak również od strony Małopolski, bez której uwzględnienia trudno by było wyjaśnić genezę wspomnianego już ołtarza św. Barbary. Pełne przedstawienie tej „rodzimej” w pewnym sensie sztuki nie jest niestety możliwe wobec dokonanej dewastacji zabytków. Z setek i tysięcy malowideł, jakie zdobiły kościoły śląskie na przestrzeni blisko stu pięćdziesięciu lat, pozostało bowiem zaledwie około czterdziestu. O zachowaniu tych relikwów decydował przy tym zwykły przypadek. To też nic dziwnego, że konstrukcje naukowe, oparte na tym, jakże szczupłym materiale wciąż ulegają zmianie, nawet jeśli się go mnoży przy pomocy liczniejszych zabytków czeskich. Charakterystycznie przedstawia się tu np. proces datowania wrocławskiego obrazu t. zw. Madonny Przeclawowskiej (tabl. XLIII), repliki czeskiej Madonny Wyszobrodzkiej, którą wiązano pierwotnie z biskupem Przeclawem z Pogorzeli i stąd datowano na rok około 1370, później na początek XV w., potem (ostrożniej) na rok około 1400, w omawianej pracy na rok około 1410, wreszcie w nowszej rozprawie L. Baldassa (*Eine südböhmische Malerwerkstatt aus 1420*, *Zeitschrift f. Kunstgeschichte*, 1935, Heft 5-6) aż na rok około 1420. Tej ostatniej daty nie można wprawdzie wykluczyć, niemniej autor jest zdania, że i koło r. 1410 mógł powstać obraz tego typu, jeśli uzna się za słuszne kryteria wspólnie obowiązującego systemu chronologicznego.

Władysław Podlacha, *Miniatury śląskie do końca XIV w.* (Historia Śląska j. w.), Kraków 1936, str. 60, tablic 25. Opracowanie miniatury malarstwa śląskiego, podjęte przez prof. Podlachę, jest poza przestarzałą i niekompletną pracą Schultza (r. 1860) pierwszą próbą całkowitego przedstawienia przedmiotu i to próbą chyba w zupełności udaną. Po omówieniu literatury iluminatorstwa śląskiego i wyczerpującym opisie technik miniaturskich (przy czym dowiadujemy się, że dawne dzieła w tym zakresie wzbogaca też polska książka Haura z r. 1693) zajmuje się autor poszczególnymi zabytkami, przeprowadzając ich analizę z właściwą sobie subtelnością i znajomością rzeczy. Szczególnie dużo miejsca poświęca najstarszemu na Śląsku Psalterzowi Trzebnickiemu z początku XIII w., przynależnemu do szkoły sasko-turyńskiej. Inne zabytki z r. około 1300 i początku XIV w., jak Psalteria per hebdomadę nawiązują do miniatur francuskich i włoskich, z tym, że należą jednak do niemieckiej prowincji artystycznej, podczas gdy kodeksy z drugiej połowy XIV w. oraz z początków następnego stulecia wykazują zależność od sztuki czeskiej. Cechy stylu czeskiego noszą np. kodeksy: Missale z kościoła wrocławskiego Marii Magdaleny z r. 1372 (tu np. piękne całostronicowe „Ukrzyżowanie”, tabl. LXXV), inne Missale z początku XV w. w Muzeum Przemysłu Artystycznego we Wrocławiu również ze sceną Ukrzyżowania (tabl. LXXVI), tak samo Missale w wrocławskiej Bibliotece Miejskiej (tabl. LXXIV) ze sceną Ukrzyżowania, całkowicie wzorowaną na znanej miniaturze Laurina z Kłatowy z r. 1409. O eklektycznym charakterze śląskiego miniaturstwa świadczy natomiast fakt, że w tym samym Missale obok miniatury opartej na wzorze Laurina znajduje się podobizna Madonny w typie Assumpty, zdaniem Podlachy zbliżona do kreacji szkoły norwimberskiej. — Szczególnie interesujące są wiadomości o iluminacjach mistrzów, pochodzących z innych dzielnic Polski, jak Mikołaja z Krakowa (viaticus z r. 1412), Jana z Połańca (mszał z r. 1415) i Piotra Knowfa z Poznania (mszał z r. 1421). Znaczenie przeciętnych nieraz pod względem artystycznym zabytków śląskich podnosi fakt, że wiele z nich posiada szczegółowe i pewne daty.

W zakończeniu stwierdza autor, że „skład etniczny Śląska nie zaważył na stronie formalnej miniatur...; zaznaczył on swój wpływ jedynie w obrębie ikonografii, wnosząc rozszerzenie kultu na śś. Wojciecha, Stanisława, Wacława i Jadwigę śląską”. Z kolei podkreśla eklektyzm i konserwatyzm tej sztuki, jak wreszcie jej znaczenie dla badań porównawczych nad miniaturstwem polskim, zwłaszcza zaś późno-gotyckim.

Tadeusz Dobrowolski, „Piękna Madonna” z *Knurowa*, odbitka z „Zarania Śląskiego”, 1936, XII, stron 4. Rozprawka ta jest poświęcona najpiękniejszemu zabytkowi plastyki gotyckiej w katowickim Muzeum Śląskim; zestawia się ją z Madonną z śląskiego Goldbergu i datuje na rok około 1420. W związku z zagadnieniem ewolucji, której

rezultatem była przemiana form pochodzenia zachodniego na styl „Pięknych Madonn”, charakterystyczny w początkach XV wieku dla wschodniej części Europy centralnej, przypomina autor, że „wschodnia część Europy środkowej, to — — — — — ziemie zamieszkałe przez element słowiański, którego udział w powstaniu np. sztuki czeskiej — — — — — dostrzegła nawet nauka niemiecka. Gdyby zaś w ślad za poglądami tej nauki przyjąć, że cechami słowiańskiego poczucia formy były miękkość i nieco rozlewna płynność mas, a uczuciowość słowiańska pokrywała się z nastrojem łagodnej melancholii i liryzmu, to można by spojrzeć na zjawisko Pięknej Madonny od strony dość nieoczekiwanej i — — — — — nowej.”

Karol Estreicher, *Tryptyk św. Trójcy w katedrze na Wawelu*, osobne odbicie z „Rocznika Krakowskiego” XXVII, Kraków 1936, str. 82. W związku z szczegółowym omówieniem znanego ołtarza krakowskiego z r. 1467 poświęca autor nieco uwag plastyce i malarstwu śląskiemu (na str. 62—64) z uwagi na pewne zbliżenia stylistyczne między zabytkiem krakowskim a sztuką śląską. W stosunku do całości tej gruntownej i obszernej pracy odnośny ustęp posiada jednak znaczenie uboczne.

Mieczysław Gębarowicz, *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w zakresie historii sztuki*, odbitka z wydawnictwa „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku” (Pamiętnik Instytutu Śląskiego, tom I), Katowice 1936, str. 20. Napisany przez Gębarowicza rozdział cyt. obszerniejszej książki dowodzi głębokiej znajomości przedmiotu, czego zresztą należało się spodziewać po autorze szeregu poważnych prac o sztuce śląskiej, częściowo omówionych już na tym miejscu. Rozprawa ta nie ogranicza się do scharakteryzowania wydawnictw polskich i niemieckich poświęconych sztuce śląskiej, lecz przedstawia istotną problematykę zagadnień, związanych z tematem. Dowodzą tego takie rozdziały, jak: Zagadnienie społecznej funkcji sztuki, Znaczenie sztuki prowincjonalnej, Historia sztuki a prehistoria, Procesy historyczne a oblicze śląskiej sztuki. Zakończeniem pracy jest rozdział pt. Postulaty, który precyzuje dalsze obowiązki nauki polskiej wobec sztuki Śląska. Prze-czytanie tej pracy, niewielkiej pod względem objętości, lecz ważkiej pod względem treści, jest obowiązkiem każdego, kto pracuje aktywnie nad śląską sztuką.

Jadwiga Skórkowska Smolarska, *Gotyckie złotnictwo kościelne województwa śląskiego*, Katowice 1936 (Wydawnictwa Muzeum Śląskiego w Katowicach, tom V), str. 36, 16 tablic. Jak wynika z tej publikacji, zachowało się w województwie śląskim niewiele zabytków gotyckiego złotnictwa, bo trzynaście kielichów, trzy monstrancje i jeden pacyfikał. Materiał ten, złożony przy tym z okazów raczej prowincjonalnych i to dość późnych, bo datujących przeważnie z początku XVI w., opracowała autorka przy użyciu metody typologicznej, ograniczając się zatem do ustalenia typów i wyodrębnienia wariantów śląskich w stosunku do produkcji zagranicznej. Zastosowanie tej metody

przyniosło wprawdzie dobre wyniki odnośnie do ogólnej klasyfikacji zabytków, równocześnie jednak sprawiło, że wartościowsze pod względem formalnym obiekty nie „wyszły” w sposób dostatecznie plastyczny. Szkoda np., że autorka pominęła interesujące nieraz grawirunki figuralne i podobne ozdoby plastyczne kielichów. Niewątpliwą zasługą dziełka jest natomiast wykrycie zależności górnośląskiego złotnictwa od Krakowa, co pokrywa się z wynikami, osiągniętymi przez naukę w dziedzinie innych rodzajów sztuki. W związku z ustaleniem pewnego typu kielicha krakowskiego z początku XVI w., przyjętego również na obszarze obecnego Śląska polskiego (tabl. I), wypadnie dodać, że jest on wariantem typu, szczególnie popularnego w Flandrii (por. Catalogue of chalices, Victoria and Albert Museum, London 1922, np. Plate 18) a znanego także w Wrocławiu, że wymieni się piękny kielich Oswalda Rothe-go z r. 1518. Z pracy Smolarskiej nie wynika, jaki jest jej stosunek do wym. zabytków? Jest to jednak sprawa drugorzędna wobec faktu, że wyniki jej mimo to wydają się przekonywujące.

Walter Krause, *Grundriss eines Lexikons Bildender Künstler und Kunsthandwerker in Oberschlesien, Oppeln* 1933 (2 tomy), str. 247 + 223. Pożyteczne to wydawnictwo, owoc dziewięcioletniej pracy, zawiera w I tomie prócz wstępu spisy (w porządku alfabetycznym) architektów i murarzy, budowniczych i cieśli, rzeźbiarzy, kamieniarzy, snycerzy i sztukatorów, malarzy i szycharzy oraz organistrów, w II zaś spisy odlewników i giserów, złotników, cynowników itp., jak również przedstawicieli produkcji ceramicznej, szklarskiej i tekstylnej. W leksykonie tym, obejmującym przeszło 3000 pozycji, przeważają nazwiska niemieckie, niemniej dość często trafiają się i polskie. Zdaniem autora największy udział tubylców przypada na ciesiołkę i snycerstwo. Mimo sumiennego opracowania tego wykazu artystów i rzemieślników trafiają się w nim braki, że wymienimy np. nieuwzględnionych tu malarzy Austena Neyser, a więc zapewne z Nysy (wym. w r. 1493), Jacobusa Sorera (1446—84) oraz Hansa von Sorau (1519). Ci artyści żorscy mogli wprawdzie pochodzić z Sorau koło Żegania, lecz także i z rybnickich Żorów. Autor nie zna też dobrze literatury polskiej, w związku z czym trafiają mu się przeoczenia. Do materiałów Krausego można by dorzucić nazwiska cieśli Tomasza i Andrzeja z Pisarzewic, budowniczych kościoła w Łaziskach koło Godowa (r. 1559), Jana Oźgi, budowniczego wieży kościoła w Leszczynach (r. 1606), Mateusza Pindura z Chudowa, zatrudnionego przy kościele gieraltowickim w r. 1844, oraz L. Szendziny, modeliera w ceramicznej wytwórni gliwickiej (nazwiska te podaje autor recenzji w swojej „Sztuce województwa śląskiego”). Ostatnio odkrył jeszcze autor na drewnianym łożysku dzwonu w kościele knurowskim podpis G. Brzóska (r. 1755) a na belce tęczowej kościoła w Łagiewnikach Wielkich (pow. lubliniecki) napis: Joanes Nikolaides (Jan Mikołajczyk?) 1691. — Nie wiadomo też, dlaczego praca o kościele w Małej Wiśle koło Pszczyny, drukowana w III tomie Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, na którą powo-

luje się Krause w związku z cieślami Laską i Kaszturą oraz szeregiem innych rzemieślników, została przypisana E. Boidolowi, skoro opublikował ją podpisany?

Deutsche Kulturdenkmäler in Oberschlesien, Jahrbuch der oberschles. Denkmalpflege, Breslau 1934, str. 208. Prócz sprawozdania konserwatorskiego zawiera wymieniony rocznik dziesięć prac z zakresu historii sztuki i kultury a mianowicie: E. Wiesego o zabytkach plastyki na Górnym Śląsku, W. Grundmanna o górnośląskich nagrobkach figuralnych z XVI—XVII stulecia, F. Borkowskiego Średniowieczne portale kościelne na G. Śląsku, G. Weissera Parafialny kościół św. Jakuba w Nysie, najbardziej na wschód wysunięty przykład późnogotyckiego kościoła halowego z obejściem, F. Volkkoła o piastowskim zamku w Opolu w XIII i XIV stuleciu, A. Steinerta o wymienionym zamku w latach 1532—1928, G. Raschkego o budownictwie drewnianym w wczesnośredniowiecznym Opolu, E. Mückeego o pomnikach kultury technicznej w okręgu wielostrzeleckim, E. Bimlera Architektoniczny rozwój i upadek Karlsruhe na G. Śląsku, oraz A. Hadelta Średniowieczne malowidła ściennie w Kalkowie i Świętowie. Z rozpraw tych zwróciły uwagę sprawozdawcy przede wszystkim prace Wiesego, Raschkego i Hadelta, gdyż dotyczą one zagadnień, ważnych dla nauki polskiej. Wiese publikuje szereg rzeźb gotyckich, nieznanych mu w okresie wrocławskiej wystawy sztuki gotyckiej, przy czym uwzględnia w części zabytki zachowane w Muzeum Śląskim w Katowicach. Jego determinacje schodzą się na ogół z określeniami podpisanego w „Sztuce województwa śląskiego”, która Wiesemu nie była znana, chociaż wyszła rok wcześniej od cytowanego rocznika. Wśród dzieł publikowanych w pracy niemieckiego uczonego zasługują na szczególną uwagę brązowe figurki apostołów w Nysie ze względu na ich pewną datę 1419, krucyfiks w Byczynie w związku z swym pochodzeniem z t. zw. „ciemnego okresu” sztuki (koło r. 1460) oraz popiersia świętych dziewic z kościoła św. Marii Magdaleny w Wrocławiu z powodu ich niemal identyczności z popiersiem św. Katarzyny ze Skrzyszowa w powiecie rybnickim, obecnie w Muzeum Śląskim. — Praca Raschkego dotyczy wykopalisk opolskich, niezmiernie ważnych dla problemu wczesnohistorycznej cieszni polskiej (sygnalizowanych w swoim czasie przez Jakimowicza i Żurowskiego) a rozprawa Hadelta zajmuje się malowidłami ściennymi, opisanymi też przez recenzenta w III tomie Historii Śląska. Malowidła te są bardzo bliskie polichromii starobielskiej.

38 *Jahresbericht des Kunst- und Altertumsvereins . Neisse 1935*, str. 57. Trzydziestyósmo rocznik ruchliwego Towarzystwa nyskiego, będący równocześnie organem Muzeum w Nysie, przynosi sprawozdanie z działalności Muzeum, pióra jego kierownika B o m b y, artykuł G. Raschkego o wczesnośredniowiecznych kopcach zamkowych w okręgu nyskim, zestawienie wiadomości źródłowych o kościele w Niemieckiej Kamienicy (Deutschkamitz), A. Müllera, szkic J. F. Priemera o obronnym kościele w Paczkowie (Patschkau) i dwie krótkie

prace G. Weissera: o wczesnorenesansowych zabytkach plastyki w ziemi nyskiej oraz o zabytkach z epoki kamiennej, odnalezionych w obrębie samego miasta. W krótkim szkicu wyjaśnia wreszcie wymieniony już A. Müller w związku z pięćsetletnim jubileuszem kilku kościelnych dzwonów w okolicy Nysy pojęcie „Kirchturmspolitik” (coś jak polityka zaściankowa) stosunkami prawno-kościelnymi średniowiecza, tj. ciężącym na gminie obowiązkiem opieki nad wieżą kościelną (utrzymaniem nawy miał się zajmować sam patron). Do szczególnie interesujących należą fundacyjne i pamiątkowe płaskorzeźby kamienne, publikowane w wymienionym wyżej artykule Weissera z uwagi na to, że wszystkie są opatrzone datami, co ułatwi zgrupowanie wokół nich innych, podobnych zabytków. Jak wynika z tych dat, w okresie od r. 1505 do 1513 górują w owych płytach to pierwiastki późnogotyckie, to znowu renesansowe. Późniejsze tablice mają już charakter wyłącznie renesansowy. Naukowe zużytkowanie tego materiału mogłoby zatem naświetlić wydatnie tak symptomatyczne dla początku XVI w. zjawisko, jak zmierzch tradycyjnych form gotyckich, zanikających coraz szybciej, choć nie bez znamion oporu, pod działaniem nowego stylu. — Roczniki nyskie zasługują jeszcze na uznanie z tego względu, że ich autorzy reprezentują sferę miłośników nauki i sztuki, których praca naukowa dokonywa się niejako na marginesie zajęć zawodowych. Przenikanie zaś zamiłowań naukowych w szerokie sfery społeczne jest miarą kultury ogólnej.

Dagobert Frey, *Ein neu entdecktes romanisches Tympanon-relief*, Zeitschrift des deutschen Vereins f. Kunstwissenschaft, Berlin 1935, Heft 8, str. 496—518. W czasie przeprowadzania ostatniej restauracji kościoła cysterek w Trzebnicy udało się odsłonić spod późniejszych obmurowań znakomicie zakonserwowany romański tympanon północnego portalu, zamkniętego już ostrołukiem, podobnie jak znany portal nawy poprzecznej z „Adoracją M. Boskiej”. Tympanon z wyraźnymi śladami polichromii, ujęty w delikatne a równocześnie bogate sploty roślinne, zawiera trzy płaskorzeźbione postacie, a mianowicie, jak wynika z napisów: Dawida grającego na harfie, Batsębę i stojącą za nią służebną. Swobodna, pełna wytworności poza siedzącego na tronie Dawida, pochYLENIE jego głowy (o semickich rysach), właściwy figurom rytm dość niespokojnych fałdów draperii o łyżkowatych formach, to znowu wykreślonych falistą, ruchliwą linią, składają się na żywą i wartościową artystycznie całość. W stylu draperii rozpoznaje autor dalekie echa bizantyńskich reliefów w kości słoniowej, w koronach gotycki kontur heraldycznej lilii (pod wpływem francuskim), w szatach cechy współczesnej mody, a w kanonic figuralnym wczesnogotycką masywność. Z kolei wyjaśnia dworsko-feodalny styl kompozycji, który kojarzy się z jej treścią teologiczno-symboliczną, gdyż Dawid stanowi typologiczny odpowiednik Chrystusa, Batsęba Ecclesii, a całość symbolizuje Zaślubiny Chrystusa z Kościołem. W związku z tym autor przypuszcza, że po południowej stronie nawy musiało być wyobrażenie Salomona i Saby. Zestawiając opisany tympanon z odkrytymi uprzednio

w Trzebnicy fragmentami rzeźby dochodzi do wniosku, że tympanon ten łącznie z fragmentem Męczeństwa nieznanego świętego stanowi starszą grupę trzebnickiej rzeźby z 3. dziesięciolecia XIII w., podczas gdy znany już dawniej tympanon z Adoracją M. Boskiej oraz figury dwóch apostołów, ilustrujące dalszy rozwój późnoromańskiego (barokowego) stylu pochodzą z 4. dziesięciolecia wieku. Analizę stylistyczną opiera autor w dużej mierze na drobiazgowym badaniu stylu szat, w związku z czym podkreśla wybitnie niespokojne, zygzakowo łamane fałdy, lub faliste spłoty draperii, właściwe rzeźbom późniejszej grupy. Zabytki tego zespołu wiążą się zdaniem autora (i dawniejszych badaczy) z Saksonią i Westfalią (Magdeburg, Wechselburg). Dotyczy to w pewnej mierze również tympanonu z Dawidem, który łączy się z sztuką westfalsko-nadreńską (można by tu przypomnieć np. Madonnę w portalu katedry w Paderborn z r. około 1240, co potwierdziłoby przypuszczenie Freya); ogólniej, genezy rzeźb trzebnickich szuka Frey w południowo-zachodnich Niemczech oraz we Francji z tym, że plastykę francuską mógł znać rzeźbiarz śląski najwyżej z drugiej ręki. Jak się zdaje, autor nie zna prac Gębarowicza na interesujący go temat, bo nie zwrócił uwagi na analogie między Apostołami trzebnickimi a figurami w Odilienburgu w Holandii, o których wspomina polski historyk sztuki.

Podkreślić należy, że mocną stroną pracy Freya jest ciągle i bardzo skrupulatne zestawianie badanych zabytków z innymi, zwłaszcza pod kątem treści ikonograficznych, wyczerpujące omówienie realiów oraz wszechstronne wyzyskanie literatury teologicznej i teologiczno-moralnej, na skutek czego łączność zabytków sztuki z religijno-społeczną kulturą średniowiecza uwydatnia się w sposób wyjątkowo plastyczny. W porównaniu z tą częścią pracy kwestię analogii formalnych (w ścisłym znaczeniu słowa) potraktował autor dość pobieżnie. Zagadnienie proveniencji stylistycznej rzeźb trzebnickich a także i innych zabytków śląskiej plastyki romańskiej wciąż jeszcze jest aktualne, bo dotychczasowych wyników nauki nie można uznać za ostatnie słowo w tej mierze.

Dagobert Frey, *Der Mystiker-Kruzifixus im Breslauer Diözesanmuseum*, osobne odbicie z *Denkmalpflege* 1936, str. 18. Już Wiesie związał ten czołowy zabytek czternastowiecznej rzeźby śląskiej z dolnoreńskimi (kolońskimi) krucyfikami mistycznymi, jednakże nie zdeterminował go w sposób przekonywujący. Określenie jego czasu powstania na rok około 1400 nie mogło zadowolić, choćby przez zestawienie tego zabytku ze znanym krucyfiksem w kolońskim kościele Panny Marii na Kapitolu, zapewne z r. 1304. Celem pracy profesora wrocławskiego uniwersytetu było zatem przeprowadzenie dokładnej analizy zabytku, należyte umiejscowienie go wśród dość licznych krucyfiksów śląskich, ustalenie jego stosunku do Nadrenii oraz krajów wschodniej części Europy środkowej, np. Austrii, Spisza i w pewnej mierze Pomorza. Krótka ta, lecz cenna praca odznacza się szerokością perspektyw i umiejętnością uogólniania spostrzeżeń, z których zainteresuje nas np. to co się odnosi do stylu draperii w plastyce wyżej wymienionego obszaru: jako

ich szczególną cechą wymienia bowiem autor zwisające po bokach perizonium wąskie, jak gdyby sznurowato skręcone fałdki, znane również w kręgu „Madenn na lwie”, tak typowym dla środkowo-wschodniej Europy. Co do krucyfików śląskich można by w świetle rozprawy Freya i wyników Wiesego przyjąć następującą kolejność ich powstania: 1. krucyfix w kościele św. Marcina (typu dolnosaskiego) z r. 1322 (?), 2. krucyfix mistyczny, będący przedmiotem omawianej pracy, z pierwszej połowy XIV w., 3. krucyfix z kościoła św. Barbary (Wiese, 23) z r. około 1360-70, 4. krucyfix z Goldbergu (Wiese, 73) z początku XV w., 5. krucyfix z kościoła Bożego Ciała w Wrocławiu (Wiese, 74) z r. około 1420. Dodać jednak trzeba, że moje datowanie krucyfixu z kościoła św. Barbary (ad 3) niezupełnie jest zgodne z determinacją Freya. Umieszcza on go bowiem między badanym krucyfixem mistycznym z 1. połowy XIV w. a znaną Pietà z Lubiąża, która jego zdaniem pochodzi z czasu około 1370, w związku z czym krucyfix powinien był powstać koło r. 1350. Wydaje się jednak, że jest raczej przeciwnie: Pietà lubiąska jest bowiem bardzo zbliżona do popularnej Pietà z Bonn z roku zapewne około 1350, wobec czego i ją można na ten sam czas datować. Natomiast Ukrzyżowany z kościoła św. Barbary o długim, wciętym w taliu jak gdyby „lentnerowym” korpusie, reprezentując już inny, postępowszy ideał piękna, zdaje się pochodzić z drugiej połowy stulecia, może właśnie z lat około 1360—70. Jak trudno jeszcze datować zabytki plastyki gotyckiej, dowodzą tego np. dzieje chronologii owej Pietà z Bonn: Pinder datuje ją bowiem na czas zaraz po połowie XIV w., Hamann w r. 1926 próbował odnieść ją do początku tego stulecia, wreszcie Witte w r. 1932 ustala jej czas powstania na rok około 1350, co wydaje się najbliższe prawdy.

W sprawozdaniu tym nie uwzględniono wszystkich prac odnoszących się do sztuki śląskiej, wydanych od r. 1933. Pominięto np. L. Burgemeistra, *Die Kunstdenkmäler der Stadt Breslau*, I—III Teil (Die Kunstdenkmäler der Provinz Niederschlesien, B. I), Breslau 1930—1934, bo omówienie trzech sporych tomów odkłada się do innej okazji. Tak samo zasługiwałaby na rzeczową krytykę wydana przez Korna w Wrocławiu publikacja H. Frankego „*Ostdeutsche Holzbaukultur*”, która jednak należy raczej do dziedziny etnografii. Z tych samych powodów, z jakich pominięto na razie tę pracę, nie uwzględniono także książki L. Malickiego, *Zarys kultury materialnej górali śląskich*, wydanej przez Muzeum Śląskie w r. 1936, ani pracy Agnieszki i Tadeusza Dobrowolskich, *Strój, haft i koronka w województwie śląskim* (nakładem P. A. U.), r. 1936. W każdym razie już z powyższego zestawienia wydawnictw polskich i niemieckich, poświęconych sztuce śląskiej, wynika, że nauka polska w zrozumieniu swego obowiązku dąży coraz energiczniej do odrobienia zaległości, jakie miała w stosunku do Śląska, jednej z najstarszych dzielnic piastowskiego państwa.

Badania prehistoryczne w województwie Śląskim w r. 1933. Polska Akademia Umiejętności — Wydawnictwa Śląskie — Prace prehistoryczne Nr 1. Włodzimierz Antoniewicz, Roman Jakimowicz, Józef Kostrzewski i Józef Żurowski. (Z 29 rycinami w tekście, 15 tablicami i 1 mapą). Kraków 1935. 4^o, str. 3 nl. + 88 + tabl. 15 + mapa. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności.

Prof. J. Żurowski w rozdziale pierwszym przedstawił program badań prehistorycznych na Śląsku, który przedłożył w lutym 1933 r. Komitetowi Wydawnictw Śląskich. W planie tym na pierwszy etap wysuwa się badanie i inwentaryzacja grodzisk śląskich. Prócz tego przewidywane były wycieczki terenowe i badanie innych stanowisk poza grodziskami. Do tych celów udało się pozyskać najlepsze siły naukowe prof. Wł. Antoniewicza, dra R. Jakimowicza i prof. J. Kostrzewskiego. Prócz prehistoryków w badaniach wzięli udział inż. Fr. Kucharski i kartograf A. Launer, którzy podjęli się technicznego wykonania planów i pomiarów. W rękach samego prof. J. Żurowskiego pozostało kierownictwo tychże pomiarów ze stanowiska archeologicznego. Pod uwagę wzięto 13 obiektów, 11 na Górnym i 2 na Cieszyńskim Śląsku. Wszystkie obiekty zdjęto pod względem sytuacyjnym i wysokościowym z nawiązaniem do stałych punktów mapy katastralnej. Wynikiem tychże pomiarów było wykonanie licznych planów sytuacyjnych, mierniczych i warstwicowych z przekrojami. Autor przedstawił wyniki inwentaryzacyjnego przeglądu tych zabytkowych obiektów, dołączając krótki opis i uwagi. Badania wykazały, że z 13 obiektów trzy okazały się mylne i nie nadające się do zaplanowania, trzy przedstawiają typ t. zw. grodzisk pierścieniowatych, wśród nich grodzisko w Lubonii pow. Rybnik, które zostało wybrane do badań szczegółowych, prowadzonych przez dr. R. Jakimowicza, dalej cztery kopce, jeden umocniony naturalny szczyt wzgórza, prócz tego dwa inne obiekty. Na końcu zamieszczono krótkie zestawienie informacji, jakie przy okazji przeglądu planowanych stanowisk zebrano. Przed wykonaniem planów, z inicjatywy prof. dra Wł. Semkowicza, zwrócono się do „Arbeitsgemeinschaft für die Erforschung der Vor- und Frühgeschichte des deutschen Ostens”, z projektem uzgodnienia pod względem technicznego wykonania planów grodzisk polskich i niemieckich; projekt ten aprobowano i uzgodnienia dokonano. Wykonane plany w ilości 35 arkuszy złożono w archiwum Komitetu. Jest to praca podstawowa, dająca możliwość wciągnięcia obiektów do Inwentarza Zabytków i rozciągnięcia nad nimi prawnej opieki staraniem Konserwatora. Z potrzeby zorganizowania przeglądu podobnych obiektów w innych województwach Rzplitej zdawano sobie sprawę i niejednokrotnie ze strony prehistoryków czyniono usiłowania, nigdzie jednak nie zdołano uzyskać odpowiednich funduszków, by pracę tę wykonać w sposób tak dokładny i metodyczny. Inwentaryzacja ta jest kamieniem węgielnym dla badań wczesnohistorycznych.

W ścisłym z nimi związku jest drugi rozdział omawianej publikacji, a mianowicie praca dyr. R. Jakimowicza pt. „Badania wstępne na grodzisku w Kuchelniańskim Lesie w Grabówce w pow. rybnickim”.

Badania terenowe na powyższym stanowisku prowadzone były dla uzyskania odpowiedzi na zagadnienie, jaki był sposób umocnienia wałów i krawędzi wewnętrznej wyniosłości grodu? Czy istniało wewnątrz osadnictwo i jaki miało charakter? Kiedy gród był zbudowany? W jakim okresie i jak długo używany był jako forteca? Przez kogo mógł być zbudowany? Czy przed jego zbudowaniem istniały w tym miejscu osiedla i groby i jaki był ich do grodu stosunek, a wreszcie dalsze losy tego stanowiska po zburzeniu grodu? Czy istniało tu osiedle mogące później spowodować zmiany w ukształtowaniu się powierzchni?

Badania nie są jeszcze ukończone i nie na wszystkie pytania można oczekiwać wyczerpujących odpowiedzi. Jednak już obecne wyniki dają tak ciekawy materiał, że warto z nim bliżej się zapoznać. Jak sam autor objaśnia, elementy obronne składają się z wału głównego i dwu fos, zewnętrznej i wewnętrznej, podgrodzia i wałów skrzydłowych. Badania wykazały, że na brzegu wewnętrznej wyniosłości grodu zbudowany był „mur” drewniano-ziemny; od wschodu przylegają podgrodzia, z których jedno duże, dorównuje prawie wielkości samego grodziska, drugie małe, prawdopodobnie dla obrony bramy wejściowej. Las z bujnym podszyciem utrudniał orientowanie się w terenie i wybór punktów do badań. Celem dokonanych przekopów było wyjaśnienie sposobu budowy poszczególnych elementów obronnych dawnego grodu i ich dalszych losów. Na podstawie dokonanych badań autor dochodzi do wniosku, że na brzegu wewnętrznej wyniosłości grodu stał mur, który był zbudowany z kłoców drewnianych w kształcie izbic czworobocznych, ustawionych jedna obok drugiej wieńcem dokoła krawędzi. Izbice były ustawione w pewnej odległości od samej krawędzi, tak, że między nimi i krawędzią stworzona była nieduża platforma, biegnąca wzdłuż wewnętrznej strony muru, tj. zamurze czyli t. zw. „berma”. W glinie wypełniającej wnętrze izbic natrafiono na nieliczne fragmenty ceramiki przy budowie tychże naniesione, pozwalające określić, że budowa nie mogła być starsza od naniesionej ceramiki. Przepuszczalna wysokość muru sięgała do przeszło 3 m. Udało się stwierdzić, że konstrukcja drewniano-ziemna uległa pożarowi. Wśród szczegółowych obserwacji na specjalne wyróżnienie zasługują profile fosy, które prowadzą do wniosku, że albo gród ten został zburzony wkrótce po zbudowaniu, albo też na krótko przed zburzeniem fosy zostały odnowione; że gród po zdobyciu został częściowo zrównany z ziemią, przy czym usunięto resztki murów i fosę w znacznej mierze zasypano. Różne szczegóły wykazują planowość w robocie przy budowie grodu. Na krawędzi wewnętrznej wyniosłości grodu znajdowała się budowla drewniana, przypuszczalnie izbica niewykończona, tj. nie wypełniona całkowicie gliną, bądź też budynek o innym przeznaczeniu. Pod koniec badań w r. 1933 odkryto szczątki drewnianego oblicowania wału obwodowego w postaci śladów słupów pionowo ustawionych w jednym rzędzie; dolne końce słupów nie były zastrzone, a więc nie były wbijane, tylko obsypywane ziemią. Słupy te były obciosywane, o przekroju wydłużonego czworoboku o wymiarach 20×15 cm, ustawiane w odległości 2 do 3 cm jeden

od drugiego. Prócz tego zewnętrznego rzędu słupów, zachowały się szczątki rzędu drugiego, na poziomie wyższym o 50 cm, bezpośrednio w tyle za rzędem pierwszym.

Poza pracami nad konstrukcją umocnień obronnych tego grodziska, przeprowadzono badania dla stwierdzenia charakteru osadnictwa wewnątrz grodu. Ślady w postaci niedużych ciemnych plam jako pozostałości po słupach odtwarzają zarysy domostw; większe plamy o konturach zaokrąglonych to zarysy jam odpadkowych, wypełnionych czarną tłustą ziemią, a często z zawartością fragmentów ceramiki i co dziwne i na razie niewytłumaczone, z pełnym brakiem kości zwierzęcych. Na badanym odcinku odkryto zarysy 14 jam i 57 plam od słupów.

Na podstawie zebranych materiałów i obserwacji, autor w ostatecznej konkluzji dochodzi do wniosku, że grodzisko zostało zbudowane w pierwszej połowie X wieku, że należy do starszej fazy kultury grodowej czasów wczesnohistorycznych; ponieważ zaś najmłodsze zabytki znalezione na tym grodzisku nie przekraczają XI wieku, można przyjąć, że gród istniał około 100 lat. Można przypuszczać ze względu na jego chronologię i dość licznie w pozostałościach kulturowych reprezentowane elementy o charakterze północno-polskim, że był on placówką ekspansji tworzącego się na terenie Wielkopolski państwa piastowskiego w zaraniach historii w czasach, z których poza zabytkami kultury materialnej tak słabe mamy źródła historyczne. Gród ten, strażnica na ważnym szlaku Bramy Morawskiej, zapewne ważną odegrał rolę w czasach Mieszka II, a zburzenie jego nastąpiło w związku z wypadkami, które miały miejsce pod koniec panowania tegoż władcy.

Streszczone powyżej wyniki badań są w tej pracy ilustrowane 12 zdjęciami fotograficznymi na tablicach i 7 rysunkami profilów i planów oraz dwoma zdjęciami z prac dra J. Żurowskiego. Dotąd ogłoszone wyniki jako pierwsza tego rodzaju opublikowana praca w Polsce o jednej z najstarszych polskich fortyfikacji budzą pełne zaufanie do metody prehistorycznej, ścisłości i sumiennosci autora, znanego pioniera badań okresu wczesnohistorycznego. Praca ta spotka się niewątpliwie z uznaniem w szerokich kołach zainteresowanych archeologów, historyków, kół wojskowych, i wiele nauczy.

Jako trzeci rozdział publikacji pomieszczona jest praca prof. J. Kostrzewskiego pt. „Wyniki badań prehistorycznych w powiatach tarnogórskim, pszczyńskim, świętochłowickim i katowickim na Górnym Śląsku”.

Autor, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, jedna z czołowych postaci nauki prehistorii w Polsce, należy do ludzi najlepiej obeznanych z terenem i materiałem prehistorycznym polskiego Śląska. Znany z prac, ruchliwości i inicjatywy, niejednokrotnie wskazywał na potrzebę poważniejszych badań, większego zainteresowania się władz kompetentnych prehistorią Śląska. Jemu zawdzięcza Muzeum Śląskie w Katowicach zaczątek prehistorycznych zbiorów. Prof. J. Kostrzewski niejednokrotnie już przeprowadzał wycieczki archeologiczne na Śląsku, wycho-

dząc ze słusznego założenia, że teren ten szereg nici łączy z województwem poznańskim i w interesie nauki leży. poznanie go lepsze pod względem archeologicznym. Rezultaty wycieczek archeologicznych i wyniki badań, prowadzonych w r. 1935 przez 30 dni, dają szereg nowych stanowisk i obserwacji, a mianowicie w pow. tarnogórskim w Rybnej Kolonii, odkrycie stanowiska z środkowej epoki kamiennej, osady kultury łużyckiej i osady z późnego okresu wpływów rzymskich. Szczególnie odkrycie tej ostatniej jest ważne, jest to bowiem po raz pierwszy odkryta na terenie obszaru województwa śląskiego osada z IV w. po Chr. Stanowisko to wypełnia lukę terytorialną pomiędzy z jednej strony podobnymi osadami, znanymi od kilku lat w niemieckiej części Górnego Śląska i na Śląsku Dolnym, a z drugiej licznymi osiedlami w Małopolsce Zachodniej, Wschodniej i na Ukrainie.

W pow. tarnogórskim w Repecku badano osady epoki kamiennej i osadę łużycką z wczesnego okresu żelaza, stwierdzając znaczną gęstość osadnictwa łużyckiego w tym okresie przez odkrycie trzech osad współczesnych na obszarze dzisiejszej wsi, a zarazem powiększając wiadomości o sposobie budowy chat ludności kultury „łużyckiej” na Śląsku. Chata bowiem odkryta w Repecku reprezentuje w najczystszej formie typ chat słupowych z podsieniami, znany w Wielkopolsce i Brandenburgii, a na terenie województwa śląskiego po raz pierwszy stwierdzony. W powiecie tarnogórskim w Sowicach odkryto stanowiska prehistoryczne skąpo przez luźne materiały reprezentowane.

Obfitsze natomiast są ślady w pow. pszczyńskim; mianowicie w Jazdzie stwierdzono osadę z środkowej i młodszej epoki kamiennej, osadę kultury łużyckiej, kopiec w lesie przy leśniczówce, osadę z epoki kamiennej na stoku Gąsiorowej Góry i w tymże też miejscu osadę kultury łużyckiej; w lesie Podłęże kopce nieokreślonego wieku, osady z epoki kamiennej i kultury łużyckiej; takież same osady w Jamnicach; dwa stanowiska osad epoki kamiennej w Chelmie Wielkim, wreszcie w miejscowości Gamrot stanowisko osady mezolitycznej i neolitycznej.

Powiat świętochłowski dał odkrycie stanowisk prehistorycznych w Piekarach, w Kamieniu, w Młynie Opara i w Młynie Dąbrówka.

W powiecie katowickim w Przełajce znaleziono luźnie dwie skrupy wczesnohistoryczn. Odkrycia te wydatnie powiększają skąpe dotąd materiały i wiadomości o stanowiskach prehistorycznych i będą niewątpliwie orientującymi wskazówkami przy późniejszych poszukiwaniach. Rezultaty poszukiwań są ilustrowane 19 rycinami, dobrymi planami i 6 tablicami.

Treść nr 1 Prac prehistorycznych zamyka jako czwarty rozdział sprawozdanie z wycieczki wywiadowczej prof. Włodz. Antoniewicza pt. „Poszukiwania wywiadowcze w pow. lublinieckim, tarnogórskim, świętochłowskim i katowickim”. Autor podaje rezultaty poszukiwań, osiągniętych z udziałem 8 uczniów, którzy w czterech grupach wedle ustalonego przez kierownika planu, przeważnie pieszo, przeszli oznaczony teren w ciągu dwunastodniowych poszukiwań. Wyniki były, jak autor stwierdza, stosunkowo ubogie ze względu na wielkie uprzemy-

słowienie tej części Śląska i słusznie prof. Antoniewicz podkreśla, że na razie byłoby nie celowym skierowywać na te obszary dalsze wyprawy archeologiczne o charakterze rekognoscyjnym, gdyż nie mogą one w obecnym stanie zadrzewienia i przeobrażenia przez działania przemysłowe powierzchni ziemi, dać bardziej pozytywnych rezultatów w zakresie stanowisk prehistorycznych, podkreśla natomiast potrzebę planowej opieki konserwatorskiej. Jest to dezyderat, wysuwany już kilkakrotnie przez polskich prehistoryków, którego wypełnienie pociąga za sobą zaangażowanie prehistoryka jako stałego pracownika przy Muzeum Śląskim. To niedomaganie b. przykro odbija wobec stanu rzeczy na niemieckiej części Śląska, gdzie cała armia prehistoryków stale jest zatrudniona. Spodziewać się jednak należy, że przy tak pięknie zapowiadającym się ruchu naukowym na polu prehistorii Śląska, którego wyrazem jest omawiane powyżej wydawnictwo, i to niedomaganie zostanie usunięte. Należy jeszcze nadmienić, że prace opatrzone są strezczkami francuskimi (na 16 stronicach), zaś pod względem formatu, papieru, tablic, druku, publikacja ta przedstawia się nadzwyczaj starannie i estetycznie, tak iż poza dużym dorobkiem naukowym i pod tym względem stanowi b. dobrą pozycję w bibliografii prehistorii Śląska.

Komitet Wydawnictw Śląskich dziełem tym dobrze się zasłużył nauce polskiej.

K r a k ó w

Dr Tadeusz Reyman

Z d z i s i ą w S t u g l i k, Materiały do poznania fauny motyli Śląska (Maerolepidoptera). 5 tablic i mapka. Nakł. Muzeum Śląskiego w Katowicach 1934 r.

Praca ta opiera się na materiale, zebranych przez autora dla Muzeum Śląskiego w latach 1930—33, w okolicach Ustronia, Cieszyna, Katowic, Mysłowic i Oświęcimia; prócz tego autor wykorzystał zbiory motyli, znajdujące się w Muzeum Śląskim, nabyte od ks. Wycisły i pochodzące z okolic Chwałowic, Łazisk Górnych, Lubonii i Pogrzebenia, i zbiory p. A. Drozdy z okolic Ligoty Tworkowskiej, Bukowa, Brzezia i Syryni. Jest to katalog motyli, poprzedzony krótkim wstępem — w którym autor opisuje metody, jakich używał przy chwytaniu motyli i dzięki którym potrafił zebrać 710 gatunków i ponad 10.000 okazów. Udało mu się zebrać wiele gatunków i odmian nowych dla Śląska, bo gdy dawniejsi badacze podawali dla całego Śląska 748 gatunków i 325 odmian (przy czym na Górny Śląsk wypadało 740 gatunków), to autor uzupełnił ten wykaz 82 nowymi gatunkami i 130 odmianami.

Badany przez siebie obszar podzielił autor — ze względu na gatunki i odmiany motyli tam najczęściej występujące na 4 rejony; obszary zaliczane do jednego rejonu są często znacznie od siebie oddalone, a także różnią się pod innymi względami, jak podłoże, roślinność. Rejony te są następujące: 1) okolice Ustronia (szczególnie Równica 883 m): podłoże stanowią piaskowce i łupki, charakterystyczny brak wapienia; motyle występują tu, są to gatunki i formy przeważnie górskie, jak *Crymodes rubrivena* Fr., *Euxae birivie* Schiff., *Anaitis praeformata* Hbn. i *Cidaria minorata* Tr. 2) Rejon drugi obejmuje wyżynę cieszyńską

(szczególnie górę Tuł 621 m i jej okolice) a także nad Odrą położone okolice Lubomi. Wspólne gatunki lokalne występujące na tych obszarach są: *Ptychopada pallidata* Schiff., *Epithecia denotata* Hbn. i *E. tripunctaria* H. Schäff. Oba te obszary różnią się nie tylko podłożem — w okolicach Tułu wapiennym, a koło Lubomii gliniastym — i roślinnością, ale też większym bogactwem i różnorodnością form motyli, właściwym dla wyżyny cieszyńskiej. 3) Górny Śląsk (okolice Katowic, Mysłowic i Chwałowic) o podłożu piaszczystym i gliniastym, miejscami podmokłym i torfiastym, na którym przeważają sosny z domieszką świerka, brzozy, osiki i dębu. Fauna motyli jest tu bardzo bogata, charakterystyczne gatunki są następujące: *Colias palaeus* L. v. *europae* Esp., *Phyparia purpurata* L., *Cerastis sobrina* Bsd., *Lithophane lambda* F. v. *somniolosa* Hering i in. 4) Czwarty rejon obejmuje dolinę Wisły od N. Bierunia do ujścia Przemszy, okolice Oświęcimia i dolinę rzeki Odry w okolicy Ligoty Tworowskiej i Bukowa. Najwięcej obszaru zajmują tu łąki, pola i gospodarstwa rybne, a brzegi rzek zarosnięte wikliną, wśród której rosną pojedynczo topole, wierzby, olchy i in.; stawy i pobrzeża zarastają trzciny i szuwały. Pospolite są tu: *Chrysophanus phlaeas* L. ab. *alba* Tutt., *Lycena euphemus* Hbn., *Lyc. arcas* Rott., *Pelosia muscerda* Hufn., *Metachrostis rapticula* Hbn. i in.

Rejony pierwszy i trzeci wykazują ponadto pewną ilość form wspólnych i „silną tendencję do ściemniania skrzydeł u pewnych gatunków”. Na uwagę zasługuje *Catocala puerpera* Giorne, którą autor schwycił w 1930 r. w okolicach Mysłowic, gatunek południowo-europejski, którego granica zasięgu dochodzi na Północ do Austrii i Węgier.

Po „wykazie systematycznym” motyli złowionych przez autora, następuje „spis gatunków motyli wykazanych ze Śląska przez Raebła i Skalę” a przez autora nie złapanych i spis „gatunków motyli, wykazanych ze Śląska Cieszyńskiego przez braci Mańkowskich”, a których występowanie wydaje się p. Stuglikowi wątpliwe. Wreszcie załącza autor „mapkę Śląska z miejscowościami opracowanymi pod względem lepidopterologicznym”, na której nie zaznaczył niestety granic rejonów przez siebie wydzielenych, co byłoby mu może nastręczało pewne wątpliwości co do podziału.

Jeśli chodzi o nowe gatunki wykazane przez autora, to na ich liczbę 82 na całym Śląsku występuje nowych 19 gatunków. Tylko na Górnym Śląsku 10, na Śląsku Cieszyńskim 34; na Górnym Śl. i w okolicach Oświęcimia 8, na Śląsku Cieszyńskim i okolicach 2, tylko w okolicach Oświęcimia 9, a więc nowych dla Górnego Śląska jest 37 gatunków (nie jak podaje autor 49), a dla Śląska Cieszyńskiego 55 gatunków.

Lista ta zmniejszyłaby się jeszcze nieznacznie, gdyby autor uwzględnił wykazane przez Raebła motyle, znalezione na pograniczu niemieckiej i polskiej części Śląska, jak *Roeselia* (*Nola*) *albula* Schiff., którą Kuntze jun. złapał w 1930 r. w miejscowości „Hanussek”.

W. N e c h a y, Śląsk jako region geograficzny. Katowice 1935, str. 51. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego.

Dwie zasadnicze tezy postawił autor, których rozwinięcie i wielostronne umotywowanie składa się na treść pracy. Pierwsza to, że Śląsk jako całość ma wszelkie cechy regionu geograficznego o zdecydowanej indywidualności. Druga — że jeśli chodzi o przynależność do jednostek geograficznych wyższego rzędu, Śląsk wiąże się wyraźnie z Polską, stanowiąc jedną z typowych jej części.

Analizuje więc autor położenie Śląska, podkreślając jego węzłowość i walory komunikacyjne, które tak wielki wpływ wywarły na dzieje tej ziemi. Podając szkic ukształtowania powierzchni w oparciu o geologię, autor przeprowadza podział Śląska na drobniejsze jednostki krajobrazowe i wykazuje, że morfologia, podobnie jak i hydrografia, szczególnie podkreślają związek Śląska z resztą ziem Polski. Przy omawianiu klimatu znajdujemy podkreślenie jego przejściowości i pewnych lokalnych cech, związanych z bliskością Bramy Morawskiej. Regiony roślinne wykazują również analogie do stosunków w Polsce.

Na podłożu warunków naturalnych omawia wreszcie autor krótko stosunki Śląska jako regionu gospodarczego, przytaczając racje, dla których zarówno rolnictwo, jak i przemysł śląski mają najlepsze widoki w związku z Polską.

Kilka drobnych usterek, jakie wkradły się w treść pracy, nie umniejsza jej wartości: Śląsk niemiecki nie stanowi jednej prowincji, lecz dwie — Śląsk Górny i Dolny. Nieścisłym jest twierdzenie, jakoby Opole było równie odległe od Bałtyku jak od Adriatyku; do Adriatyku jest stąd znacznie dalej. Mówiąc o zasięgu modrzewia, należało zaznaczyć, o który modrzew chodzi, polski czy europejski. Niewłaściwym wreszcie jest stosowanie przesadnie spolszczonego terminu „kwesta”. Hiszpański wyraz „cuesta”, oznaczający zbocze, przyjęto używać w terminologii międzynarodowej na oznaczenie progu denudacyjnego, a w polskim języku używa się go w transkrypcji „kwesta”. Przerabianie tej formy na „kwesta” może spowodować nieporozumienia.

A. Wrzosek

Wirtschafts- und verkehrsgeographischer Atlas von Schlesien, herausgegeben von Prof. Dr. Walter Geisler. Breslau 1932, M. u. H. Marcus. Stron VI + 29 + 50 tablic z mapami.

Atlas Śląska, opracowany pod kierunkiem Geislera, jest wydawnictwem o tak wielkim dla Śląska znaczeniu, że nie wahamy się poświęcić mu dłuższego omówienia. Atlas wymagał ogromnego nakładu pracy, nic więc dziwnego, że oprócz inicjatora i kierownika wydawnictwa, prof. Geislera z Wrocławia, w opracowaniu wzięło udział 23 pracowników naukowych. Atlas zawiera krótki tekst wyjaśniający oraz właściwą treść kartograficzną, obejmującą na 50 arkuszach 119 map i szereg wykresów. Wszystkie niemal mapy i wykresy są wielobarwne. Treść kartograficzna dzieli się na 4 części, z których pierwsza poświęcona jest przeglądowi ogólnych podstaw gospodarki i obejmuje 34 mapy

na 13 arkuszach, druga przedstawia stosunki rolnicze na 15 arkuszach i 44 mapach, trzecia poświęcona jest zagadnieniom górnictwa i przemysłu, obejmując 27 map na 12 arkuszach, czwarta część wreszcie ilustruje handel i komunikacje w oparciu o 14 map na 10 arkuszach.

Ogólne postawy gospodarki Śląska. Pierwsza, wstępna mapa odtwarza rzeźbę terenu Śląska w rysunku warstwicowym. Dokładne poprowadzenie poziomicy i niewielka ilość napisów powodują wyraźne występowanie szczegółów rzeźby, zwłaszcza w górach. Boczny kartogram, przedstawiający zaplecze gospodarcze Śląska, ma wybitną tendencję polityczną.

Na tablicy drugiej mamy obraz wysokości względnych Śląska. Mapa jest bardzo pouczająca, gdyż doskonale oddaje urozmaicenie rzeźby niezależnie od wzniesień nad poziom morza i może być ważna dla rolnictwa i komunikacji. Co prawda oparcie obliczeń na regularnych czworobokach (1/9 arkusza zdjęcia stolikowego) daje obraz nieco sztuczny. Boczna mapka zawiera przegląd regionów gospodarczych Śląska, które są podstawą konstrukcyjną dla szeregu dalszych map.

Na tablicy 3 umieszczono orientacyjną mapę gleb, pomijając słusznie szczegółowy podział pedologiczny, który utrudniałby geografowi orientację. Jako dobre gleby można na Śląsku przyjąć czarnoziemy, lessy i glinę zwałową, pozostałe są mierne lub słabe. Niezbyt trafne rozmieszczenie gleb na terenie woj. śląskiego (less!) osłabia zaufanie do dokładności tej mapy. Boczna mapka stanowi przegląd zasadniczych typów gleb.

Mapa użycia ziemi, zamieszczona na tabl. 4, przedstawia rozmieszczenie lasów szpilkowych, liściastych, formacji trawiastych, ról i stawów. Może to mieć znaczenie dla leśnictwa, myślistwa i gospodarki rybnej. Nie oznaczono natomiast wcale nieużytków, których kosztem powiększony został obszar ról. Boczny kartogram przedstawia rozpowszechnienie drzew owocowych. Wszystkie wymienione dotąd mapy obejmują prócz Śląska niemieckiego górnośląską część woj. śląskiego, która na dalszych mapach nie jest już uwzględniana (z wyj. tabl. 5 i 50).

Tablice od 5—9 poświęcono zilustrowaniu stosunków klimatycznych Śląska. Mamy tu więc mapę średniej wysokości opadów za okres 35-letni, mapę rocznych izoterm na poziomie rzeczywistym, dalej mapy czasu trwania zimy. Wielką wartość dla rolnictwa mają mapy czasu trwania okresu wegetacyjnego, umieszczone na tablicy 7. Część klimatyczną atlasu uzupełniają mapy czasu trwania temperatur ponad 15° C i ponad 10° C, mapy charakterystycznych maksimum i minimum miesięcznych opadów oraz kartogramy elementów zdrowotności klimatu.

Tablice od 10—12 obejmują stosunki ludnościowe. Mamy więc naprzód piękną mapę gęstości zaludnienia w granicach poszczególnych regionów gospodarczych, uzupełnioną na bocznym obrazie takąż mapką ujętą powiatami. Różnice między obu mapkami świadczą wyraźnie o wartości wydzielenia regionów, które dopiero dają właściwy obraz rozmieszczenia ludności, zatarty na mapie ujętej powiatami. O strukturze demograficznej pouczają dalej mapy przyrostu naturalnego, przyrostu

rzeczywistego i bilansu migracyjnego za okres 1910—1925 r., mapka wyznaniowa, wreszcie mapy struktury zawodowej (odsetki ludności rolniczej, przemysłowej i handlowej). Wszystkie te mapy opracowano powiatami według spisu z r. 1925. Wstępną część atlasu zamyka mapa przeglądowa struktury gospodarczej Śląska na tabl. 13, obrazująca elementy użycia ziemi, ważniejszych upraw, okręgi hodowlane, rozmieszczenie ośrodków przemysłowych i najważniejsze drogi. Na boku dodano mapkę o wybitnie politycznej tendencji, mającą ilustrować „rozdarcie dróg” przez nową granicę między Leszmem a Rychtalem.

Rolnictwo. Część rolnicza rozpoczyna się przedstawieniem na tabl. 14 rozmiarów gospodarstw wiejskich. Cztery mapki obrazują udział wielkich, średnich, drobnych i karłowatych gospodarstw w poszczególnych powiatach w odsetkach użytków rolnych. W identyczny sposób przedstawiono na tabl. 15 udział łąsów, użytków rolnych, łąk oraz gruntów ornych powiatami. Tablica 16 ma ilustrować ogólny poziom kultury rolnej. Przedstawiono tu powiatami bonitację gleby i zużycie potasu; osobny kartogram daje porównanie dochodowości w różnych prowincjach Niemiec. Mapkę zużycia azotu, ujętą tylko regencjami, szkoda było naszym zdaniem zamieszczać, gdyż daje obraz zbyt ogólnikowy. Treścią następną tablicy są kartogramy, ilustrujące gospodarkę mleczną Śląska.

Szereg dalszych tablic (18—23) poświęcono zagadnieniom uprawy i plonów najważniejszych ziemiopłodów. Dla pszenicy i żyta odpowiednie mapy opracowano powiatami oraz regionami gospodarczymi (plony na mapach powiatowych według wartości średniej za 5 lat, zasiewy i plony ujęte regionami — według wartości z jednego roku). Dla jęczmienia, owsa, ziemniaków i buraków cukrowych mapy są opracowane tylko powiatami. Oczywiście i tu opracowania regionami, wymagające co prawda olbrzymiego mozolu, dają obraz bez porównania lepszy od map powiatowych.

Tablice 24—27 ilustrują wysokość produkcji najważniejszych ziemiopłodów w stosunku do spożycia. I te mapy opracowano zarówno regionami, jak powiatami, przy czym jasny sposób ujęcia graficznego ułatwia ich czytelność. Przeciwwstawiają się wyraźnie obszary nadwyżek i niedoborów produkcji: charakterystyczne są niedobory pszenicy na obszarach gleb lichych, niedobory żyta w górach, ziemniaków w górach i na żyznych gruntach pszenno-buraczanych, niedobory wszystkich ziemiopłodów w ośrodkach przemysłowych i miastach.

O hodowli poucza tablica 28, gdzie zamieszczono opracowane powiatami mapki ilości koni, bydła, świń i owiec, przypadającej na 100 ha użytków rolnych w r. 1929.

Przemysł. Część poświęconą przemysłowi otwierają dwie tablice, obejmujące mapy występowania wszelkich kopalni i skał użytecznych, z podziałem na kategorie wartości gospodarczej, z oznaczeniem złóż eksploatowanych i ze spisem nazw miejscowości. Uwydatnia się tu doskonale bogactwo świata mineralnego gór sudeckich.

Tablica 31 zapoznaje nas z gospodarką wodną Śląska. Umieszczono na niej działy wodne, sieć wodną, porty, zakłady wodno-elektryczne, zapory, pola irygacyjne, siedziby towarzystw melioracyjnych itp. Następną tablicą przerzuca czytelnika w dziedzinę zagadnień gospodarki energetycznej. Na głównej mapie przedstawiono stan elektryfikacji w r. 1929-30 z wyszczególnieniem central, ich wydajności, sieci przewodów i zelektryfikowanych linii kolejowych, boczna mapka natomiast ilustruje zaopatrzenie w gaz.

Tablice 33—38 obejmują szereg map, przedstawiających lokalizację różnych gałęzi przemysłu z uwzględnieniem liczby zatrudnionych w r. 1929. Jest więc przemysł górniczy, mineralny, metalowy, maszynowy, chemiczny, tekstylny, papierniczy, drzewny, skórzany i rolny. Mapy odznaczają się wybitną przejrzystością. Kartogramy ilustrujące życie gospodarcze Wrocławia składają się na treść tablicy 39, a wreszcie ostatnia tablica tej części atlasu zawiera mapy liczby bezrobotnych za rok 1929 w promillach ogółu ludności, ujęte okręgami urzędów pracy.

H a n d e l i k o m u n i k a c j e. Stosunkom handlowym poświęcono dwie tablice. Na pierwszej z nich mamy szereg kartogramów, przedstawiających metodą Thiessena import i eksport jedenastu najważniejszych produktów handlowych Śląska. Druga tablica zawiera kartogramy ruchu towarowego na kolejach; nie brak im pewnej tendencji politycznej, gdyż postarano się o jaskrawe uwydatnienie zmian zaszłych w handlu Śląska od czasów przedwojennych.

Tablice od 43—50 ilustrują zagadnienia komunikacyjne. Bardzo pouczająca i przejrzysta jest mapa ruchu towarowego na wszystkich stacjach kolejowych, z której można się zorientować w znaczeniu stacji i ich charakterze importowym, czy też eksportowym. Niemniej ważną jest mapa obciążenia kolei i głównych dróg ruchem towarowym oraz następna mapa ruchu osobowego na wszystkich stacjach kolejowych. Mniej geograficznymi są już kartogramy z tablic 46—48, wyobrażające ruch osobowy największych dworców kolejowych. Doskonale natomiast zamknięcie atlasu tworzą dwie ostatnie tablice, na których umieszczono mapy częstotliwości ruchu osobowego dla kolei i autobusów, ekwidystanty stacji kolejowych, gęstość linii kolejowych, a wreszcie dużą mapę izochron Wrocławia z uwzględnieniem kolei i ruchu autobusowego. Nie możemy pominąć uwagi, że na terenie woj. śląskiego, objętego tą mapą, izochrony przebiegają wręcz fantastycznie (np. Brzezinka znajduje się w odległości godziny jazdy od Szopienic!).

Wyrażając ogólną ocenę atlasu trzeba przyznać, że ilustruje on doskonale wiele przejawów życia i gospodarki człowieka na Śląsku, choć nie jest wolny od błędów. Dodatnią stroną sposobu opracowania jest w szczególności zarzucenie operowania jednostkami powiatowymi i wydzielenie regionów gospodarczych na podstawie analizy najdrobniejszych jednostek administracyjnych, jakimi są gminy. Jeśli uwzględnić fakt, że na Śląsku jest ok. 4600 gmin, że dla uzyskania wartości cyfrowych dla regionów trzeba było przeprowadzać różne działania matematyczne z wielką ilością cyfr gminnych, będziemy mogli zdać sobie

sprawę z ogromu trudu, włożonego w opracowanie. Można się co prawda spierać co do szczegółów granic wydzielonych regionów, ale z tym spotkamy się zawsze przy ustalaniu podziałów regionalnych, bo łatwo przecież jest wyróżnić typowe indywidualności regionalne, ale trudno poprowadzić ściśle granice między nimi. Ponieważ zaś głównym celem geografii jest regionalizacja kraju, trzeba stwierdzić, że atlas ten cel spełnia. Zaletą atlasu jest także konsekwentny dobór spokojnych barw oraz stosowanie jednolitych podziałek, których jest zasadniczo w atlasie tylko 3, a wszystkie mapy główne mają podziałkę 1 : 750.000.

Atlas Geislera winien pobudzić geografię polską do stworzenia podobnej syntezy kartograficznej dla województwa śląskiego.

Antoni Wrzosek

Zur Wirtschaftsgeographie des deutschen Ostens. Untersuchungen und Darstellungen herausgegeben von Walter Geisler. Volk und Reich Verlag. Band 4. G. v. Geldern Crispendorf, Die Grundsteuerreinerträge des Ackerlandes in Schlesien. 1933. Band 5. A. Haase, H. Briese, A. Krinner, Die landwirtschaftlichen Einheitswerte der Provinzen Nieder- und Oberschlesien 133. Band 7. G. v. Geldern Crispendorf, Die wirtschaftsgeographische Struktur der Landwirtschaft Schlesiens 1934.

Trzy wymienione tomy z serii „Zur Wirtschaftsgeographie des deutschen Ostens”, zapoczątkowanej we Wrocławiu przez prof. Geislera, a przejętej później przez wydawnictwo „Volk und Reich” w Berlinie, przynoszą bardzo ciekawe materiały do znajomości życia gospodarczego Śląska. Wszystkie trzy prace są jakby rozszerzeniem i udokumentowaniem rolniczej części atlasu Śląska Geislera i przynoszą prócz tekstu bogaty materiał kartograficzny.

Zrębem pierwszej z prac jest mapa średnich stawek podatku gruntowego dla wszystkich gmin niegdyś pruskiego Śląska (1 : 750.000) oraz analogiczna mniejsza mapka dla powiatów. Podstawą wymiaru tego podatku była ustawa z r. 1861 i późniejsza nieco klasyfikacja gruntów, a choć od dawna już nie pobierany, podatek ten jest do dziś dobrym miernikiem wartości ziemi w poszczególnych częściach Śląska. To też mapa uwydatnia doskonale wartość rolniczą Śląska sprzed 60 lat. Od tego czasu zaszły niektóre zmiany, wzrosła np. wartość czarnoziemów okolicy Wrocławia w związku z rozwojem uprawy buraków cukrowych. Krótki i jasny tekst jest doskonałym komentarzem dla zrozumienia obrazu, jaki daje mapa.

Druga praca przynosi na podobnych mapach obraz średniej wartości dochodowej hektara gospodarstw rolnych dla wszystkich gmin Śląska niemieckiego w oparciu o klasyfikację dochodowości gospodarstw rolnych, przeprowadzaną według ustawy z r. 1925. Obraz jest podobny do poprzedniego, ale bardziej aktualny i kontrastowy, chodzi tu bowiem nie tylko o wartość samej ziemi, ale także inwentarza, budynków, melioracji itd. W tekście wyjaśniono dokładnie istotę i metody klasyfikacji oraz przeprowadzono analizę obrazu, jaki daje mapa.

Trzecia rozprawa, objętościowo znacznie większa (164 stron), była pracą habilitacyjną autora i jest pierwszą częścią geograficznej monografii gospodarki Śląska. Mamy tu przed sobą wzorowo rozplanowany opis stosunków rolnych na Śląsku, nawiązujący do map części rolniczej atlasu Geislera. Pomijając parę wyskoków o zabarwieniu politycznym (ocena stosunków narodowościowych, urągliwy sąd o „polskich” stosunkach), dzieło napisane jest bardzo poważnie i ciekawie. Składa się z czterech części. We wstępnej autor słusznie pominął wszystko, co nie wiąże się ściśle z rolnictwem, dał więc tylko krótki podział na regiony gospodarcze i omówił stosunki ludnościowe. Część druga wyluszcza podstawy rozwojowe rolnictwa, więc gleby, klimat, bonitację ziemi, wielkość i rozmieszczenie gospodarstw. W części trzeciej przedstawiono użycie ziemi, omówiono szczegółowo samo rolnictwo (plody uprawiane, wysokość plonów, systemy uprawy, rozmieszczenie upraw) oraz hodowlę bydła, drobiu i ryb. Czwarta część wreszcie poświęcona jest kwestii nadwyżek i niedoborów poszczególnych produktów rolnych na Śląsku.

Całość zainteresować musi żywo zarówno każdego geografa jak rolnika-ekonomistę.

Antoni Wrzosek

St. K o m a r, *Rozwój stosunków narodowościowych na Górnym Śląsku*. Katowice 1935. 32^o, str. 14 (odb. z „Powstańca Śląskiego” z dn. 3 maja 1935, str. 44—46).

Krótką tą rozprawką zawiera bardzo cenny rzut oka na stosunki narodowościowe na Górnym Śląsku i wskazuje na ich tendencje rozwojowe. W odpowiedzi na zarzuty niemieckie przeciw ostatniemu spisowi ludności z r. 1931 z powodu nieuwzględniania w tym spisie rubryki narodowości, autor stwierdza, że spisy niemieckie zarówno przedwojenne, jak i powojenne również takiej rubryki nie zawierają, co nie przeszkadza im w wyciąganiu odpowiednich wniosków ze swych spisów. Liczbę Niemców w górnośląskiej części województwa podaje autor na 75.000 osób. Liczba ta znajduje potwierdzenie nie tylko w spisie ludności z r. 1931, ale również w statystyce szkolnej i w liczbie członków niemieckich organizacji narodowych. Autor wyjaśnia przyczyny rozbieżności tej cyfry ze statystykami wyborczymi, które wykazują większy odsetek głosów niemieckich. Przyczyny te tkwią w kryzysie gospodarczym i w nieuświadomieniu narodowym pewnej rzeszy ludności górnośląskiej oraz w roli Konwencji Genewskiej. Niemniej stosunki narodowościowe na Górnym Śląsku coraz bardziej ulegają stabilizacji, a rola polityczna niemieczyny coraz bardziej zbliża się do norm, odpowiadających procentowemu stosunkowi ludności niemieckiej.

R. Lutman

William John Rose, *The Drama of Upper Silesia. A regional Study*. Brattleboro, Vermont 1935, Stephen Daye Press. Str. 349.

Autorem książki jest Kanadyjczyk, który 17 lat przeżył na europejskim kontynencie, z tego 6 wśród Niemców, 11 wśród Polaków. Do-

skonałe opanował języki polski i niemiecki, zapoznał się z literaturą, wszechstronnie zbadał stosunki społeczne i narodowościowe Śląska w powiązaniu z jego życiem gospodarczym. Dał studium socjologiczne poważne, źródłowe, wielostronne. Czytelnika uprzedził, że znajdzie w książce „więcej frasunku niż radości”. Ale czarnych kolorów nie nadużył, starał się o obiektywne przedstawienie prawdy i cel swój osiągnął.

Celem tym było przedstawienie obecnej sytuacji Górnego Śląska, a podejście do tematu — historyczne. Znaliliśmy autora jako wytrawnego historyka; erudycji swej dał wyraz w pracy doktorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim z r. 1925, ogłoszonej w r. 1928, a poświęconej reformie szkolnej Konarskiego. W książce o Górnym Śląsku sięgnął do zdobywczycy wojen Fryderyka Wielkiego (krótko wspomniawszy o czasach dawniejszych), przedstawił początki wielkiego przemysłu na przełomie XVIII i XIX w., ucisk chłopów, ruch ludowy w r. 1848, walkę kulturową, rozkwit wielkiego przemysłu po r. 1870, problemat robotniczy, a równoległe dał nam obraz zmian w strukturze narodowej, do czego powód mu dały stosunki i w rolnictwie i w przemyśle. Poeta Eichendorff i powieściopisarz Freytag, obaj urodzeni na terenie Górnego Śląska, znaleźli się tu jako przedstawiciele kultury niemieckiej, kultury t. zw. warstw wyższych, a Lompa, Miarka, Bonczyk i inni — jako przedstawiciele szarej masy robotników. Autor jest pełen uznania dla gospodarczej działalności przybyszów z Niemiec i pełen szacunku dla miejscowego polskiego ludu. W kilku bardzo interesujących rozdziałach opisuje, jak z biegiem lat niemieckie zarządy latyfundiów coraz więcej ciążyły nad polskim chłopem, niemieckie dyrekcje kopalń i hut — nad polskim robotnikiem. W ten sposób ułatwia autor cudzoziemskiemu czytelnikowi zrozumienie atmosfery przedwojennej i wojennej, atmosfery walki z polskością, a która zarazem była walką kapitału z robotnikiem. Równocześnie daje to klucz do zrozumienia wybuchu powstań górnośląskich i całej ostrości akcji plebiscytowej. To są najpiękniejsze rozdziały książki.

Bardzo interesujący jest też rozdział o twardych rządach Bismarcka, który swym „Kulturkampfem” zgębić chciał za jednym zamachem i katolicyzm i polskość. Dzieje tych kilkunastu lat to jedno pasmo narodowych i kościelnych prześladowań, a równocześnie okres zbliżenia pomiędzy duchowieństwem i ludem. Polityka Bismarcka chybiła zamierzonego celu. Przypomniało to autorowi stare alzackie przysłowie: „Wenn etwas zu scharf ist, dann schneidet es nicht”. Polskość Górnego Śląska zamiast zniknąć — wzmocniła się, a chłop i robotnik stali się czynnikiem pierwszorzędnej wagi w każdej akcji wyborczej do Reichstagu niemieckiego i do Landtagu pruskiego. Katolickie Centrum niejednego posła zawdzięczało polskim wyborcom. Ale gdy ci — równoległe do postępów uprzemysłowienia Śląska — pogłębiali swe uczucia narodowe, duchowieństwo przeważnie nie dotrzymywało im kroku. Na próżno światlejsze jednostki, jak ksiądz Skowroński, nawoływali swych konfratrów do objęcia przewodnictwa w walce ludu polskiego na Śląsku o uznanie przyrodzonych praw do macierzystego języka. Rozłam między nie chcącą praw tych uznać partią Centrum i ludem stał się nieunikniony; jego posłowie od

1903 r. wchodzi nie do Centrum, ale do Koła Polskiego, a z tą datą znakomicie się wzmaga i świadomość narodowa, świadomość przynależności do społeczeństwa polskiego i jedności z Krakowem, Poznaniem i Warszawą. Autor, który stosunki przedwojenne zna z autopsji, przypomina trzy olbrzymie wieże ku czci Bismarcka, wzniesione nad Odrą, w Katowicach oraz u zbiegu granic trzech cesarstw nad Przemszą. Jak się stało, że w dziesięć lat później, gdy trzy cesarstwa już nie istniały, terytorium musiało przypaść Polsce, to dzieło „o tragedii Górnego Śląska” stara się obiektywnie przedstawić.

Połowę dzieła W. J. Rose poświęca okresowi współczesnemu od plebiscytu. Opisuje ludzi i sytuację ze znajomością rzeczy bezpośredniego obserwatora. Być może, że w niektórych szczegółach sąd Polaka wypadłby inaczej, niż sąd Kanadyjczyka. Ale właśnie sąd cudzoziemca tak wykształconego i krytycznego, jak W. J. Rose, bardzo jest interesujący i pouczający. Wystarczy zobaczyć, co on pisze o sprawach wyznaniowych, zwłaszcza o konflikcie na terenie ewangelickim.

Drugim, jeszcze ważniejszym — bo obejmującym setki tysięcy Polaków i katolików i ewangelików — terenem walki narodowej jest górnictwo i przemysł hutniczy. Znow z autopsją opisuje W. J. Rose „kaptowanie” robotnika-Polaka do niemieckich związków, kierowanie jego dziecka do niemieckiej szkoły, choć ono po niemiecku nie umie i choć to grozi kompromitacją czynników wpływowych niemieckich wobec instancji międzynarodowych.

Strukturę ludności W. J. Rose analizuje szczegółowo. Stwierdza, że spis ludności w Polsce dokonany był w r. 1931 tak dobrze, że niewiele tylko wzbudził krytyk. Dane tego spisu przyjmuje jako punkt wyjścia dla dalszych swych rozważań co do województwa śląskiego: 92,3 procent mówiących polskim językiem jako macierzystym i 7,7 procent — niemieckim. Na 101.161 tych, co zgłosili język niemiecki, znaczna część przypada na Śląsk Cieszyński. Na Górnym Śląsku jest to element napływowy, związany przede wszystkim z życiem gospodarczym, zajmujący w nim jeszcze sporo stanowisk inżynierów, szttygarów i majstrów. Ale i pod tym względem następuje zmiana, gdyż te stanowiska coraz silniej obsadzone są przez Polaków, dzięki czemu przemysł w woj. śląskim nabiera jednolitego charakteru i pozbywa się wstrząsów na tle narodowym, nieuniknionych dawniej między jednostkami kierowniczymi niemieckimi i olbrzymią masą szczerze polskich robotników. Ale tej jednolitości nie ma nadal na Śląsku, pozostałym w Rzeszy Niemieckiej, gdzie robotnik jest takim samym Polakiem, a całe kierownictwo i kapitał są w ręku nacjonalistów niemieckich. Źródło to nieustannego niepokoju nie tylko na terenie Śląska, ale dla całego stosunku dwóch państw, Polski i Rzeszy i dwóch narodów, polskiego i niemieckiego.

Streszcza dzieło Rose'a to znaczy streszczać socjalne dzieje Górnego Śląska, co nie może być przedmiotem recenzji. Jej celem było (amicus Plato, sed magis amica veritas) stwierdzić wiarogodność i naukową wartość książki. Jedna i druga jest niewątpliwa. A podnieść trzeba jej istotne i literackie walory, dzięki którym praca socjograficzna objęto-

ści 20 arkuszy druku nie nuży, ale pociąga, stwarza zainteresowanie, budzi czujność świata anglosaskiego w kierunku konfliktu polsko-niemieckiego, konfliktu między plutokracją niemiecką i polskim ludem, konfliktu, bez którego rozwiązania nie widzi autor zapewnionego pokoju Europy, pokoju świata.

Siemianowice Śląskie

W. Olszewicz

Feliks Steuer, *Dialekt Sulkowski*, Kraków 1934, Polska Akademia Umiejętności, wydawnictwa śląskie, prace językowe, nr 1, str. 150.

Dr Feliks Steuer, *Branické Podřeči* (z rękopisu preložil dr Jos. Vašica), Ołomuniec 1932, str. 40, odbitka z časopisu vlasteneckého spolku musejního w Olomuci, rocznik XLV, nr 1—2.

F. Res (Feliks Steuer), *Ostatní gwojźdźaurz*, Katowice 1935, druk Księgarni i Drukarni Katolickiej, nakład autora, str. 16.

F. Res (Feliks Steuer), *Z naszej žymjy šlůnskej*, Katowice 1935, druk i nakład jak poprzednio, str. 20.

Sulków jest starą wioską w powiecie głubczyckim na Śląsku Opolskim, która należy do parafii Baborów a pod względem diecezjalnym do Ołomuńca; sąsiednia wieś Dzieńmorowy, skąd pochodził sławny biskup pelpliński Sedlag, już należy do diecezji wrocławskiej. Branice są również położone w powiecie głubczyckim. W tym powiecie jest pewnego rodzaju trójkąt językowy, w którym stykają się odwieczne obszary trzech języków: morawskiego, niemieckiego, polskiego. Autor, który się urodził w Sulkowie a w młodości sam mówił wyłącznie gwara tamtejszą, przewiduje jednak, że pod naporem germanizacji najpóźniej po dwu pokoleniach język polski w Sulkowie a język morawski w Branicach zniknie ostatecznie; zaznacza to w przedmowie do obu swych prac naukowych a wyraża także wierszem „Na Kyrchowje”, gdyż widok dwu kobiet, podlewających kwiaty na grobach baborowskich, nastęrcza mu myśl: Š hny mi szumny czasy słowjańszczyzny minūm — Rzecz i naszzy zwyky w ćmawej nocy zginūm.

Dr Steuer uczył się slawistyki u profesora Dielsa we Wrocławiu w latach 1911—1914 tylko ubocznie, lecz z zamiłowaniem i gruntownie, jak widać teraz z jego prac gwaroznawczych. Oprócz drukowanych i wymienionych powyżej dwu monografii ma jeszcze gotową pracę podobną o narzeczu miasteczka Baborowa. Dla polskiej nauki posiadają jego publikacje znaczenie podwójne, raz jako pierwsze śląskie monografie językoznawcze, przedmiotowo ograniczone do jednej wsi, a po drugie jako trwałe słupy graniczne, które się ostoją w groźnym zalewie germanizacji.

Autor daje w obu monografiach 1) gramatykę z częścią fonetyczną i częścią morfologiczną, 2) teksty pod względem etnograficznym umiejętnie dobrane, nie pomijając nawet pieśni z nutami, 3) słownik. Przy tym podkreśla, że co do Sulkowa, podane właściwości językowe i ludoznawcze mają charakter autentyczny, skoro przeważnie zna osobiście materiał przytoczony. Dwa małe zeszyty, wydane 1935 r. w Katowiu-

cach, stanowią jakoby ciąg dalszy tekstów sulkowski, a to „Ostatni gwojźdźcaur” prozą, „Z naszej żymjy ślůnskej” poezją, która ujmuje prostą styl.

Porównane z dawniejszymi pracami językoznawczymi o Śląsku (Malinowski, Nickel, Nitsch), odznaczają się prace dra Steuera obfitością materiału, zebranego na małym obszarze jednej wsi. Ponieważ ten materiał jest opracowany fachowo bez zarzutu a jednak ciekawie, byłoby pożądanym, aby dr Steuer, który jest dyrektorem miejskiego gimnazjum męskiego w Katowicach, znalazł warunki odpowiednie dla dalszych badań gwarowych na terenie Śląska. Zając się tym powinny sfery urzędowe i szersze koła inteligencji. Pracującym zaś naukowo w tej samej dziedzinie. służyć musi monografia o dialekcie sulkowskim jako wzór.
S.

Dr Eugeniusz Trzaska: „Gwara i wpływy obce w języku uczniów szkół śląskich”, str. 54 + nłb. — Katowice 1935. Wydawnictwo Instytutu Pedagogicznego w Katowicach¹⁾.

W niewielkiej tej książeczce zajmuje się autor błędami²⁾, istniejącymi w języku uczniów szkół średnich na Śląsku. Ogłaszając wyniki swych spostrzeżeń, pragnie w ten sposób przyjść z pomocą licznej rzeszy nauczycieli, dla których kwestia poprawności mowy w szkole nigdy nie może być obojętna.

Na Śląsku cechy gwarowe trzymają się bardzo silnie³⁾. Nadto sprawę komplikują wpływy niemieckie (głównie w zakresie słownictwa). To też zadaniem nauczycieli jest zwrócić szczególną uwagę na stronę językową uczniów. By temu sprostać, muszą się oni orientować, co z języka młodzieży należy od razu i bezwzględnie usuwać, jako element obcy, a co do czasu tolerować jako twory gwarowe, rodzime, które w miarę postępu nauki powinny ustępować w cień wobec coraz głębszej znajomości języka ogólnopolskiego.

Takiego przewodnika odnośnie do Śląska dotąd nie było. Praca dra Trzaski, jako pierwsza próba, podjęta w tym kierunku, ma wypełnić tę poważną lukę w szeregu książek pomocniczych dla nauczycieli.

Jednakże sposób ujęcia zagadnienia i objaśnienia niektórych faktów budzą wiele zastrzeżeń, których uzasadnienie szczegółowe odkłada się do innej sposobności.

Książeczka przedstawia wartość jako próba (choćby niezbyt udana) zgromadzenia i systematyki materiału, odnoszącego się do bardzo ważnego zagadnienia. Dla nauczycieli pewne znaczenie będą mieć wskazówki metodyczne. Autor stara się w nich znaleźć drogę wyjścia z trudnej sy-

¹⁾ Materiału do części zatytułowanej: „Właściwości językowe uczniów szkół cieszyńsko-śląskich“ (str. 42—49) dostarczył autorowi p. R. Kubalok, profesor Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie.

²⁾ Rozpraw z tej dziedziny jest już w polskiej literaturze językoznawczej kilka. Szczegółowe ich omówienie odkładam do innej sposobności.

³⁾ Niektóre z nich można zauważyć nawet w języku inteligencji, posiadającej nieraz uniwersyteckie wykształcenie.

tuacji, by — nie naruszając i nie obniżając wartości dialektu, który na Śląsku ma szczególne dla polskości znaczenie — wyprzec naleciałości niemieckie, a wszczepić znajomość i miłość języka ogólnopolskiego. Przestrzega przy tym przed nowymi błędami (str. 34 i nn.), które niejako wytwarza szkoła.

Spełniając trudne obowiązki nauczycielskie w szkole, autor starał się dać z siebie coś więcej ponad obowiązkową pracę zawodową; to trzeba z uznaniem podkreślić.

Na uwagę zasługuje także bezwzględne stanowisko, jakie zajmuje on w stosunku do germanizmów (jawnych i ukrytych). Równocześnie z jego poglądem na rolę i znaczenie rdzennej, rodzimej gwary zgodzi się każdy nauczyciel, bez względu na to, czy pracuje na Śląsku, czy w innej części Polski.

Mikołów, w maju 1936 r.

Stanisław Bąk

Jerzy W. Massalski, *Udział robocizny w kosztach produkcji węgla*. Kraków 1935. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności (Wydawnictwa śląskie), str. 46 (ze streszczeniem w jęz. francuskim).

Praca powyższa obejmuje 2 części; w cz. I autor podaje wykresy i wzory obliczania kosztów w ogóle, a kosztów robocizny w szczególności na jednej z górnośląskich kopalń węgla i porównuje je z przeciętnymi kosztami wszystkich kopalń węgla w Polsce.

W części ogólnej autor poświęca dużo miejsca regresywności i progresywności kosztów proporcjonalnych wedle wzoru: $S = K + p_1 T_1 + p_2 (T_2 - T_1) + \dots + p_n (T_n - T_{n-1})$; jeżeli jednak chodzi o kalkulację wstępną, to nie ma on praktycznego znaczenia, skoro nieznane są nam dalsze czynniki proporcjonalności; zaznaczyć należy, iż o regresji lub progresji proporcjonalnej mówić można tylko wówczas, gdy nie zmieniamy zasadniczych urządzeń lub systemu produkcji i że oznaką niedostatecznego wyzyskania urządzeń nie jest regresywność kosztów proporcjonalnych, ale regresywność kosztów w ogóle.

W części szczegółowej autor, analizując kosztą kopalni górnośląskiej (kop. „W”), dochodzi do wniosku, iż przy całkowitych kosztach 13 zł 54 pro t koszt robocizny wynosi 48.52 procent, przy czym kosztą ubezpieczeń społecznych wynoszą 25 proc. robocizny; niestety nie podaje, z jakiego okresu czasu pochodzą te daty, a oczywiście nie wiemy także, w jakich warunkach powyższa kopalnia pracuje. Wprawdzie autor stwierdza na podstawie tabl. XVIII, iż kopalnię „W” można uważać za statystycznie reprezentatywną, albowiem wykazuje w latach 1928—32 dużą zbieżność kosztów robocizny w porównaniu z analogicznymi przeciętnymi dla całej Polski (wedle Inst. Badania Koniunktur i Cen), ale dane dotyczące kopalni „W” odbiegają od danych, dotyczących tej samej kopalni, zawartych w tabl. VI; dane zawarte w tabl. XVIII oznaczone są raz jako zarobek pro t, to znów jako robocizna pro t; jeżeli to są pojęcia różnorodne, to nie można ich porównywać.

W ogóle materiał porównawczy jest bardzo niejednorodny, co daje powód do wielu nieporozumień. I tak tabl. IX podaje nam koszt całej

robocizny kop. „W” na 7 zł 60 gr pro t, a tabl. X na 6 zł 57 gr; ta sama tablica podaje całkowite koszty kop. „W” na 13 zł 54 gr (okres niewiadomy), ale w tab. XII za żaden okres identycznej cyfry nie znajdujemy; tab. XII zawiera dane nieporównalne, tj. koszty całkowite kop. „W” (bez procentów, podatków i amortyzacji) obok kosztów przeciętnych robocizny, administracji, drzewa i węgla dla kopalń całej Polski. Porównanie przeciętnych zarobków pro t dla całej Polski zawartych w tab. XVIII z takimiż przeciętnymi zawartymi w tab. XX dotyczącymi wydajności pro t i przeciętnymi zarobkami na dniówkę zawartymi w tab. XXI wykazuje daleko idącą niezgodność.

Rozumiemy, iż dane statystyczne pozostawiają niejednokrotnie wiele do życzenia, ale zdaniem naszym, skoro autor przyjął kopalnię „W” jako reprezentatywną, to już analizę kop. „W” należało ściśle dostosować do tych danych, tak aby materiał porównawczy był zupełnie jednolity; temu, jak się zdaje, stało na przeszkodzie dążenie do zachowania tajemnicy kosztów kopalni „W”. W „resumé” autor wiąże wzrost kosztów robocizny w r. 1929 z nieproporcjonalnym do wydobywania zwiększeniem ilości robotników i wyższą płac; dalszy wzrost w r. 1930 spadkiem wydobywania, a spadek kosztów w r. 1931 i 1932 redukcją ilości robotników silniejszą aniżeli spadek produkcji wzgl. niższą płac w r. 1931, co nie ulega wątpliwości, gdyż koszt robocizny pozostaną zawsze funkcją produkcji w stosunku do ilości robotników oraz wysokości ich płac. Ubocznie autor zajmuje się pozostałymi kosztami; tak np. wyższą kosztów administracji pro t w r. 1929 spowodowała podwyżka pensji urzędników, a w r. 1930 i 1931 spadek wydobywania; niższą w r. 1932 obniżka pensji i redukcja urzędników; nie wiemy jednak, w jakim stosunku koszty te pozostają do następnie omawianych kosztów „Zarządu głównego” i „Ogólnych kosztów kopalni”; nie są to przecież pozycje nie budzące wątpliwości co do swej treści.

Inż. R. Brzeski

Halina Kraheńska, Stefan Pruss, *Życie bezrobotnych. Badania ankietowe. Instytut Spraw Społecznych. Warszawa 1935, s. X + 110.*

Kiedy wziętem do ręki pracę Haliny Kraheńskiej i Stefana Prussa „Życie bezrobotnych”, przypomniały mi się słowa jednego z profesorów ekonomii politycznej, który zwykł mówić, że zjawiska społeczne są trudne do badania. „Społeczeństwa nie da się — mawiał — wsadzić pod kloz, by robić eksperymenty.” Trudności w badaniu zjawisk społecznych odczuli niewątpliwie autorowie dziełka. Daje się to wyczuć z każdej kolumny cyfr, zestawionych aż w 53 tablicach w tekście pracy.

Życie bezrobotnych rzuca się w oczy każdego, kto chodzi po świecie i nie zjada chleba w oderwaniu od życia. Życie bezrobotnych to problem, którym zajmują się nie tylko urzędy pośrednictwa pracy. Skupia on gros zainteresowań czynników samorządowych i władz admini-

stracyjnych. Życie bezrobotnych to ciemna strona układu gospodarczego dzisiejszej ludzkości. Jednak kwestia ta jest nie tylko niesłychanie ważna jako zagrażająca spokojowi publicznemu, ale jest ona ponadto drażliwa, gdyż na drodze do jej załatwienia leży sprawa niesprawiedliwego podziału dóbr ekonomicznych.

Pomimo to sprawami bezrobocia zajmuje się u nas tylko niewielu publicystów. Ten stan rzeczy jest częściowo usprawiedliwiony. Kto staje dziś po stronie robotnika, bezrobotnego, nędzarza, jest przez przedstawicieli wyzysku odsądzany od czci i wiary jako komunista lub co najmniej antypaństwowiec. Stawianie diagnozy, wyciąganie wniosków ze zjawisk dzisiejszego życia społecznego może zaszkodzić autorowi a przynajmniej go narazić.

Stąd też „Życie Bezrobotnych” należy uznać za cenny przyczynek w literaturze polskiej z zakresu bezrobocia. Z drugiej strony trzeba stwierdzić, że autorowie nie postawili kropki nad i, kończąc swą pracę. Żadnej syntezy, żadnego wniosku. Zbyt pochopnie odesłali manuskrypt do drukarni.

Wydaje się, że przynajmniej współautorkę H. Krahelską byłoby stać na wyciągnięcie końcowej konsekwencji z jej żmudnej pracy.

„Życie Bezrobotnych” to dziełko niewielkie, lecz żmudne. Autorowie posługiwali się danymi cyfrowymi z różnych źródeł. Materiały do pracy dostarczyły im Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, władze szkolne, magistraty miast Warszawy i Łodzi i inne. Najwięcej jednak materiału zdobyli autorowie drogą rozpisania ankiet.

Praca jest ciekawym źródłem informacji o położeniu bezrobotnych w niektórych okolicach Polski.

Jednak pomimo swej wartości nie ma niestety walorów, których się wymaga od podobnych prac naukowych. Zastosowano bowiem niewłaściwą metodę zbierania materiału. Autorowie nie liczyli się z tym, że ażeby z liczb statystycznych otrzymać zjawisko symptomatyczne dla tak rozległego zagadnienia, jak bezrobocie choćby tylko w zachodniej i centralnej Polsce, trzeba się oprzeć na dostatecznie licznych wypadkach badanych. Ponadto dobrali autorowie zupełnie dowolnie tylko niektóre punkty w Polsce, jak Łódź, Ozorków, Warszawa, Siedlce, Toruń, Grudziądz i Ruda na Śląsku. Pytamy się, gdzie zostały choćby Kraków, Chrzanów, Lwów czy Częstochowa? Wszak po ich uwzględnieniu obraz naszkicowany w „Życiu Bezrobotnych” byłby już w 1933 roku wypadł zgoła inaczej.

Również sprawa kwestionariusza korespondentów społecznych, na którym się głównie przy pisaniu pracy oparto, nie jest sprawą jasną. Na 1385 badanych wypadków odpowiedziało na 6 pytań mniej niż 150 osób, na 7 pytań poniżej 500, na 5 pytań poniżej 1000 osób. Zaledwie na jedno pytanie odpowiedzieli wszyscy badani bezrobotni w liczbie 1385 osób, zaś w drugim wypadku 1277 osób. Taki był plon ankiety, na której się między innymi oparli autorowie.

Śląsk jako teren najbardziej nasilony w Polsce bezrobociem zasłużył na lepsze uwzględnienie w pracy, nawet obok Warszawy i Ło-

dzi. Nic więc mówiąca liczba 143 bezrobotnych, wziętych ze Śląska i to z jednego tylko ośrodka (Ruda), nie może dać nawet przybliżonego pojęcia o skutkach bezrobocia na Śląsku.

Autorowie „Życia Bezrobotnych” powinni byli ograniczyć się do opracowania w swym cennym dziełku stosunków wśród bezrobotnych tylko w okręgu przemysłowym warszawsko-lódzkim. Dysponowali bowiem właściwie tylko w tym zakresie odpowiednim materiałem. Opis życia bezrobotnych zyskałby przez to jeszcze na swej wartości.

Dr Ludwik Kohutek

K. P r u s, *Z przeszłości miasta Mikołowa i jego okolicy. Mikołów — 1932 (VII + 458 + nl. 6 stron, 2 plany miasta i liczne fotografie.)* Monografie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku. t. II.

Każde, nawet najmniejsze miasto na zachodzie Polski, jest zmniejszoną kopią miast dużych, t. zn. że można w nim odnaleźć niemal wszystkie zasadnicze urządzenia i całą tę różnorodność przejawów, jakie się składają na mozaikowy obraz życia obywateli w dawnych wielkich miastach; to wszystko oczywiście w miniaturze. Stąd też dla autora tego rodzaju monografii wynika trudne zadanie uporania się z tą różnorodnością w taki sposób, aby i dokładność i kompletność nie doznały uszczerbku, czytelnik nie gubił się w morzu pojedynczych zagadnień.

Nie dało się uniknąć rozbicia na poszczególne drobne zagadnienia, kolejno omawiane w monografii Mikołowa, a to ze względu na istotne nastawienie masy czytelników, dla których wydawnictwo w pierwszym rzędzie jest przeznaczone; pragną oni bowiem przede wszystkim dowiedzieć się o początkach tych urządzeń i przejawów życia społecznego, z którymi się dziś jeszcze spotykają, przy czym nie zadowolają się ogólnikami, ale raczej interesują ich szczegóły. Lud, sięgając w przeszłość, chciałby otrzymać wyjaśnienia i odpowiedzi na wszystkie te pytania, jakie ujęto w „pięknym” heksametrze: „Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando?” — a zwłaszcza owo „quando” stanowi dla historyka miejscowości nieraz wielkie utrapienie zwłaszcza gdy źródła tak skąpo płyną, jak w wypadku miasta Mikołowa.

Trzeba autorowi przyznać, że uczynił wszystko, aby zadowolając odpowiadając na możliwe pytania swych czytelników; wywiązał się z tego zadania doskonale. Czytelnik może się istotnie zaznajomić z dziejami danego urządzenia w mieście, może poznać przejawy dawnego życia obywatelstwa w poszczególnych etapach dziejowego rozwoju.

Wielkie odczytanie autora w literaturze fachowej zdradzają nadzwyczaj licznie przytaczane dane, świadczące poza tym o gruntownym wykorzystaniu wszelkich dostępnych wiadomości dla tematu, jak w ogóle są świadectwem ogromnej erudycji autora. Poszczególnym zagadnieniom daje autor szeroko podmalowane tło, przy czym często sięga do porównań z sąsiednimi miastami i dalszą okolicą; cenne są zwłaszcza liczne biograficzne dane w tym dziele.

Autor już tak wiele pisywał dla ludu śląskiego, że i w niniejszej historycznej monografii miasta Mikołowa od razu poznajemy pisarza dla

ludu. Może niejednego ów „ludowy” styl w tego rodzaju wydawnictwie nieco zastanowi; jest to jednakże w sam raz wskazany sposób, aby u czytelnika osiągnąć pełne zrozumienie rzeczy, zresztą i rzesze inteligencji tracą wszelką pewność siebie, gdy mają opuścić aktualność, a zdawać sobie sprawę z dziejowego rozwoju urzędów, przejawów życia itp. w dziedzinach, leżących poza ich specjalnością zawodową; więc i tu wyjaśniające wywody nie są wcale zbyteczne. Autor przecież w tym względzie miejscami przesadził, wpadając w ton gawędziarski, kiedy można było daną rzecz również dobrze powiedzieć krócej. Także niektóre objaśnienia zdają się być zbyteczne (np. długie tłumaczenie, co to jest confirmacja u ewangelików).

Zbyt mocno też przebija w wielu miejscach nuta osobista, indywidualnie światopoglądowa, która tam, gdzie autor zabiera się do oceny wypadków i przejawów lub też pobudek działania osób, może wzbudzić silne zastrzeżenia u czytelnika. Mam na myśli dziedzinę wyznaniową i narodową. Byłoby lepiej, gdyby autor był poprzestał na samym przedstawieniu faktów, a sąd o nich i ocenę, czy co było dobre czy złe, czy godziwe czy nie, pozostawił czytelnikowi.

Mógł też autor odstąpić od różnych przestarzałych wyjaśnień, np. w dziedzinie etymologii (Gliwice od „chlewisk”), a także uwzględnić krytykę dokumentów, jak w wypadku rzekomego pierwszego wzmiankowania wsi Suszca już w r. 1254, kiedy przecież dokument ten już dawno uznano za fałszyfikat XVI w. Bardzo by się też był przydał spis źródeł pisanych i drukowanych.

Uwagi te jednak nie uszczuplają istotnej wartości pracy. Cierpkie nieraz zdanie autora w stosunku do rządów pruskich wypływa z przeżyć tego starego bojownika o polskość Śląska, które to rządy i jemu dały się w znaki. Autor w podeszłym już wieku życia i obok pełnych zajęć zawodowych stworzył rzecz wielce pożyteczną o trwałej wartości, zapelniając dotkliwą lukę w szeregu monograficznych opracowań historycznych miast śląskich, za co mu się należy pełne uznanie i wdzięczność.

L. Musiol

K s. J a n K u d e r a, *Historia parafii myśłowickiej.* (Bez podania nakładu i miejsca.) 1934. Str. 269 oraz ilustracje.

K s. J a n K u d e r a, *Księża, pochodzący z parafii myśłowickiej* (bez podania nakładu i miejsca) 1936, str. 24.

Po „rzucie oka na historię miasta Mysłowic” autor przedstawia na podstawie materiału źródłowego początki, wyposażenie i rozwój parafii myśłowickiej, tudzież dzieje poszczególnych kościołów w Mysłowicach. Wiele miejsca zajmują życiorysy duchownych przy kościele myśłowickim. Wreszcie urządzenia kościelne i religijne, jak kaplice i cmentarze, szkoła, szpitale, bractwa i zakłady zakonne składają się na całokształt historii parafii myśłowickiej. Alfabetycznym spisem nazwisk kończy autor

swe dzieło, zaopatrzone licznymi ilustracjami. W dwa lata później uzupełnił je biograficznym dodatkiem o księżach, pochodzących z parafii myślowickiej.

Pracę autora cechuje bogata treść, obfita w mało dotąd znane lub całkiem nieznanne szczegóły, zwłaszcza w dziale biograficznym. Po raz pierwszy autor wykorzystuje źródłową wzmiankę o proboszczu myślowickim Hunoldzie, z r. 1308, przesuając tym samym znane dotąd pierwsze wzmiankowanie Myśłowic (dotąd uchodził rok 1360 za najwcześniejszą pewną datę istnienia tego miasta) — o przeszło pół wieku wstecz. Twierdzenie autora o pierwotności kościoła św. Krzyża w Myśłowicach jest trafne i ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo. Kościół parafialny, o jakim dowiadujemy się z opisu z r. 1397, jest budynkiem nowszym, którego powstanie związane jest ściśle z osadzeniem nowego miasta Myśłowic na prawie niemieckim.

Nie można godzić się ze zdaniem autora, jakoby bractwo różańcowe w Myśłowicach było najstarsze, gdyż bractwa te dopiero w XVIII w. zaczynają się silniej krzewić w miastach i miasteczkach górnośląskich; natomiast przy tutejszych miejskich kościołach już w wiekach średnich nieomal wszędzie spotyka się bractwa Najśw. Panny Maryi, więc to samo należy przyjąć i w Myśłowicach. Szkoda też, że autor nie wykorzystał w pełni ważnego dokumentu z r. 1397, dotyczącego procesu o patronat kościoła parafialnego w Myśłowicach. Jest w nim bowiem dwukrotnie wzmianka również o szkole myślowickiej, co jest ważnym wypełnieniem luki w dotychczasowych wiadomościach o średniowiecznym szkolnictwie w miastach górnośląskich. Skoregować trzeba również mniemanie autora, że wspomniana w powyższym dokumencie „Kuźnica” jest Kuźnicą Roździeńską. Roździeńska kuźnica nie istniała bowiem jeszcze w r. 1397, a dopiero 1546 ją założono w miejscu skupionego sołectwa roździeńskiego. (Zachował się dokument założenia tej kuźnicy.) Wspomniana w r. 1397 kuźnica jest to kuźnica bogucka, w miejscu późniejszych Katowic. Że dokument z r. 1397 nie wymienia Bogucic jako należących do parafii myślowickiej, to nie jest kontrargumentem, kuźnice bowiem uchodziły za samodzielne twory osadnicze na równi z innymi osadami; mogła zatem sama tylko kuźnica bogucka należeć do parafii myślowickiej, a Bogucice-wieś, o ile tam nie było wówczas własnego kościoła parafialnego, mogły należeć (tak jak np. Dąb w XV w.) do kościoła parafialnego w Michałkowicach, istniejącego już w początku XIV w. Niejasna jest wątpliwość autora (na str. 155) co do kompetencji pszczyńskiego dziekana przy wprowadzeniu w urząd administratora chełmskiego w r. 1828. Przecież w tym roku Chełm prawnie należał do dekanatu pszczyńskiego, a „dziekana mikołowskiego” przed rokiem 1847 być nie mogło.

Powyższe i może dalsze jeszcze nieścisłości i omyłki (odnoszące się przeważnie do dziedziny toponomastyki) nie uszczuplają jednak wartości pracy autora.

Autor pisał tę pracę dla „szerszego ogółu”, jak zaznacza w przedmowie. Jeżeli miejscami wykracza poza ramy ściśle popularnego przedstawienia zagadnień objętych tematem, to nie widzę w tym znowu tak wielkiej ujemy. O ile bowiem dla uznania pracy za „naukową” istnieją ściśle wymogi, których przestrzeganie przez autora jest nieodzowne, to dla popularnej szaty opracowań nie istnieją takie ramy, a swoboda autora w tym wypadku jest duża, żadnym schematem nie skrupowana. Miejsc takich, przy których „szerszy ogół” mógłby się słusznie domagać od autora przystępniejszego przedstawienia, jest w niniejszej pracy niewiele. Zaliczyć tu należy głównie brak przekładu na język polski cytatów łacińskich. (Np. długi łaciński tekst tablicy pamiątkowej Mieroszowskich w Krakowie przytacza autor bez przekładu na polski, str. 93.) Za to z uwagi na przeznaczenie pracy podnieść należy zaletę książki: dzieło pisał szczerzy i gorący patriota polski, nie znający w tej dziedzinie kompromisu. Z podniesienia godną otwartością darzy ostrą krytyką zabiegi germanizatorskie, wobec których zaznaczały się od połowy XIX w. ustępstwa również wśród duchowieństwa miejscowego.

Mnóstwo momentów narodowych, przez niemieckich autorów dotąd celowo przemilczanych, autor wydobywa na światło dzienne, podnosząc przez to wartość pracy w tym kierunku.

Praca stanowi prawdziwe wzbogacenie dorobku polskiego dziejopisarstwa na Śląsku.

L. Musiol

Ks. Roch Scheitza S. V. D., *Kronika Parafii Wielko-Dobrzyńskiej w zarysie*. Czcionkami „Schlesische Volkszeitung” w Wrocławiu 1934, 8°, str. 84, ilustracji 5.

Skromne to dziełko, aczkolwiek napisane popularnie, jest oparte na źródłowych studiach autora i stanowi piękny dokument pietyzmu dla wsi rodzinnej. Dobrzyń leży w powiecie opolskim i znajdował się przez długi czas aż do sekularyzacji (1810) pod jurysdykcją klasztoru norbertanek w Czarnowasach (cfr. RTPN III, 401—402). Obok murwanego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Katarzyny znajduje się tam drewniany kościółek pod wezwaniem św. Rocha. Dzieje parafii są przedstawione ciekawie i dosyć szczegółowo, choć miejscami zanadto migawkowo. Uwzględniono też szkolnictwo, przy czym dowiadujemy się, że w roku 1929 istniała w Dobrzyniu katolicka szkoła mniejszościowa z 21 uczniami obok trzech katolickich szkół niemieckich z 597 uczniami. Plebiscyt jest całkiem pominięty; wiadomo skądinąd, że dał w tej okolicy większość za Niemcami. Jeżeli się zważy, że autor nie zaznał szkoły polskiej, trzeba tym więcej uznać jego zasługę, że wzbogacając wiedzę historyczną o Górnym Śląsku, obdarzył swych rodaków kroniką parafialną w ich języku ojczystym.

S.

Jan Mirocha, *Dzieje Parafii w Zarzeczcu*. Cieszyn 1935, 8^o, str. 16, nakładem autora.

Jest to chwalebna próba kroniki parafialnej. Zadanie nie było trudne, skoro parafia Zarzeczce, należąca do dekanatu strumińskiego, istnieje dopiero od 1785 r. Trzeba było jednak więcej uwzględnić stosunki szkolne i podać obok spisu księży także spis nauczycieli miejscowych. Że autor nie zwrócił uwagi na organiczny z początku związek szkoły z kościołem (cfr. RTPN I, 59—61) i nie przedstawił ciekawego procesu rozdzielenia szkoły w Zarzeczcu od tamtejszego kościoła, uważać należy za brak poważny. S.

Hoffmann Hermann, *Die Jesuiten in Opeln*. Wrocław, 1934, str. 441.

Znany i zasłużony historyk Kościoła, a przede wszystkim jezuitów na Śląsku, ks. Hoffmann, szereg swoich prac o kolegiach śląskich zamknął obszernym studium o kolegium w Opolu ze złączonymi z nim misjami.

Henryk Barycz w Zaraniu Śląskim (XI, str. 273—283) scharakteryzował nowe dzieło ks. H. jako ważny ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku, przedstawiający wszechstronnie i szczegółowo działalność tego ruchliwego zakonu, który z głównego ośrodka swego w Opolu i pomniejszych rezydencji i misji w Głogówku, Ziemęcicach, Tarnowskich Górach, Piekarach, zasięgiem pracy duszpasterskiej, katechetycznej, apologetycznej, wreszcie nauczycielsko-szkolnej ogarnął całe terytorium górnośląskie, wyciskając na jego życiu religijnym wyraźne i nieprzemijające znamię. Dla polskiego czytelnika jest dzieło ks. H. — według H. Barycza — może jeszcze cenniejsze jako pierwszorzędny, niezwykle interesujący i bodajże dotychczas jedyny większy fragment z życia religijnego i intelektualnego masy polskiej na Górnym Śląsku w XVII i XVIII stuleciu. Przy tym podnosi Barycz „obiektywny i spokojny ton” ks. H., wykluczający możliwość jakichkolwiek narodowych zadrażnień.

Prace ks. H. mają swoje wielkie zalety, ale mają i wady. Do zalet należy, oprócz źródłowości, oparcie na bogatym, przeważnie zupełnym materiale źródłowym, przede wszystkim bezstronność, tak rzadka u historyków niemieckich. Autor, przyjaciel Polski i Polaków, jeden z inicjatorów zbliżenia polsko-niemieckiego wtedy, kiedy o oficjalnym zbliżeniu polsko-niemieckim nikt jeszcze nie myślał, w pracach swoich stara się o jak największą bezstronność w ujęciu i oświetleniu faktów, nierzadko trudnych do obiektywnego przedstawienia. Największą zaś wadą prac Hoffmanna jest przestarzała, trochę niedołączna konstrukcja. Autor opowiada nawet żywo i interesująco, jednak nie umie wprowadzić koniecznej perspektywy, w której tak postacie, jak i zdarzenia mogłyby nabrać właściwego oświetlenia. Zewnętrznie brak ten objawia się niewydziałaniem od właściwego tekstu opowiadania dodatkowych zestawień i wycień osób, faktów, danych statystycznych, a więc tych wszystkich fragmentów pracy, dla których najodpowiedniejszym miej-

scem są noty lub dodatki. Te wtręty zacierają przejrzystość i jednolitość opowiadania, psują perspektywę. Daje się również odczuwać, zwłaszcza w rozdziale o szkołach, brak należyte zarysowanego tła i pewnej linii rozwojowej. Z wywodów Hoffmanna niewiele dowie się czytelnik o przeobrażeniu i zmianach jezuickiego szkolnictwa w w. XVII i XVIII. Było by bardzo interesującym dowiedzieć się, w jakim stopniu w kolegiach śląskich zaznaczyło się rozszerzenie programu nauczania, jaki był udział jezuitów śląskich w ruchu naukowym i literackim. Autor przytacza moc sporadycznych faktów, ale nie są one odpowiednio ujęte i nie dają obrazu. Wolelibyśmy również, aby odsyłacze do źródeł były liczniejsze: dokładny wykaz źródeł, podany na początku książki, nie wydaje nam się być dostatecznie wystarczający. Mimo jednak tych braków, właśnie dzięki zaletom, wartość prac ks. Hoffmanna jest wielka i nieprzemijająca.

Że zadanie, jakiego się autor podjął, było trudne i ze względów narodowościowych niewdzięczne, mam dowód w niezasłużonym ataku dra W. Dzięgiela, ogłoszonym najpierw w *11 Komunikacie Instytutu Śląskiego w Katowicach*, a potem skwapliwie przedrukowanym przez niektóre pisma. Recenzent zarzucił ks. H. stronniczość, płynącą z pobudek nacjonalistycznych. „Autor — utrzymuje Dzięgiel — pisze bezcerebralnie o wszystkim, co nawet z punktu widzenia interesu niemieckiego należałoby pominąć milczeniem. Nie umie się rumienić, wyznaje maksymę, że im bezwzględniejsza była germanizacja, tym większy tytuł do chwały dla jej autorów... Autor książki o jezuitach górnośląskich stara się bez obsłonek przedstawić działalność germanizacyjną tego zakonu, atoli dziwnie wstydliwie wypowiada się o tych wszystkich zjawiskach, które dowodziły niezbitości polskości ludu śląskiego... Książka Hoffmanna jest, wbrew woli autora, jeszcze jednym, tym razem nawet bardzo jaskrawym świadectwem polskości Śląska...”

Dziwnej metody naukowej zwolennikiem jest dr Dzięgiel. Widać uczył się jej na jakimś nie polskim uniwersytecie. W Polsce bowiem profesorowie uczą swych słuchaczy, że najwyższym ideałem historyka ma być prawda, że nie wolno mu niczego, nawet dla względów interesu narodowego, pomijać milczeniem, choćby przyszło mu się rumienić za czyny opisywanych osób. Tymczasem dr D. zarzuca ks. H., że nie pomija milczeniem tego, co winien pominąć z punktu widzenia nacjonalistycznych interesów. Oto jasno sformułowana zasada przykrawania i naciągania historii od z góry powziętych przekonań i poglądów! Oto pierwsze zastrzeżenie, jakie budzi recenzja p. D.

Należy nam jednak iść krok dalej i zapytać się, czy rzeczywiście ks. H. germanizację śląskich jezuitów uważa za tytuł ich chwały i czy wreszcie naprawdę jezuitę na Śląsku germanizowali. Otóż w imię prawdy dziejowej należy stwierdzić, że wszystkie zarzuty dra D. są nieuzasadnione, niesłuszne i krzywdzące. Ks. H. niezliczone razy stwierdza, że lud śląski był polski, że po niemiecku nie rozumiał, że kazania trzeba było mówić doń po polsku, że modlił się po polsku. Stwierdzając ten

fakt, podnosi niejednokrotnie trudność i skomplikowanie sytuacji, jaka się wytworzyła przez to, że w części Śląska, należącej do diecezji krakowskiej, pracowali nie polscy jezuiti ale jezuiti prowincji czeskiej, a więc Czesi lub Niemcy. Jeśli więc ci jezuiti czesko-niemieccy germanizowali Górnoślązaków, to obowiązkiem autora jako historyka było przedstawienie bez obślonek germanizatorskiej działalności tych jezuitów (oczywiście nie zakonu, jak mówi p. D., bo zakon jako taki i jako cały nie pracował na Śląsku!). Więc zarzut stronnictwa, pochodzącej z pobudek nacjonalistycznych, postawiony ks. H., należy uznać za niesłuszny i pozbawiony podstaw.

Podobnie nieuzasadniony jest zarzut germanizacji. O świadomej germanizacji mowy być nie mogło w w. XVII. Tego też p. D. nie potrafił udowodnić. Przeciwnie, należałoby z uznaniem podnieść, że jezuiti czesko-niemieccy nie opuszczają Ślązaków zapomnianych i zaniedbanych przez Polskę, przez biskupów krakowskich, ale uczą się po polsku, by do nich po polsku mówić kazania, po polsku się z nimi modlić. Przewyciężenie trudności językowych nie było łatwe, stąd też nic dziwnego, że, idąc po linii najmniejszego oporu, woleli mówić po niemiecku i siłą faktu zmuszać Ślązaków do słuchania kazań niemieckich, uczenia się po niemiecku i powolnego germanizowania. Aż do przejścia Śląska pod panowanie Prus można by mówić najwyżej tylko o mimowolnej germanizacji ze strony Kościoła. Zresztą wiadomo, że ten Kościół właśnie był najsilniejszym czynnikiem, paraliżującym świadome wpływy germanizacyjne mieszczaństwa, szlachty i dworów książęcych.

Mówić zaś o germanizacyjnej działalności kolegów, czyli szkół średnich jezuickich, to zdradzać zupełną ignorancję historii i organizacji szkół jezuickich. Skupiały one prawie wyłącznie młodzież szlachecką, lub zamożniejszego mieszczaństwa, a tak jedna jak i druga na Śląsku były już w w. XVII i XVIII w większości niemieckie. Chociaż i tutaj jezuiti dali dowód wielkiej bezstronności, ucząc w najniższych klasach równomiernie z nauką języka łacińskiego także i obu języków: niemieckiego i polskiego. Już wtedy język polski był uważany na Śląsku za język ludu, a język niemiecki, na równi z łacińskim, uchodził za język warstw wyższych. Przedstawienia teatralne wygłaszane były wedle przepisów Ordynacji Studiów tylko w języku łacińskim; że programy na te przedstawienia drukowano po niemiecku to bardzo proste; dramatów i komedii szkolnych nie słuchał lud, ale ówczesna inteligencja. Dopiero w w. XVIII języki narodowe zdobywają zwycięsko także i sceny szkolne.

Dziwna to jednak musiała być germanizacja śląskich jezuitów, skoro po zajęciu Śląska przez Prusy komisja, wysłana przez pruski rząd na roczne egzamina do kolegium opolskiego, zarzuciła jezuitom ni mniej ni więcej jak polonizację (str. 145 i 146). Dr D. w recenzji swej ten tak ważny szczegół pomija, więc albo książki nie czytał, albo świadomie postępuje nierzetelnie, zatajając w myśl swej zasady metodycznej niewygodne sobie szczegóły. Nie wspomniał również recen-

zent, że poprzednicy ks. H., piszący o działalności jezuitów na Śląsku, także zarzucali im polonizację czy zaniedbanie germanizacji.

Najostrzejsze gromy potępienia wywołuje u dra D. sprawa Piekar. Jezuiti, chcąc odwrócić lud śląski od Częstochowy, zlikwidować do niej pielgrzymki, uniemożliwić wpływ polskości i zagarnąć dla siebie dochody z ofiar, składanych na Jasnej Górze, stworzyli sztucznie przez kłamstwa i oszustwa, przez podburzanie ludu kult obrazu Matki Boskiej w Piekarach; potępieni przez biskupa krakowskiego, przecież nie ustali, aż cel swój uwieńczyli pomyślnym skutkiem. Tak w ujęciu dra D. przedstawia się sprawa Piekar. Tu znowu występuje jaskrawie swoista metoda recenzenta. Oszczerstwo, rzucone na jezuitów śląskich przez paulinów częstochowskich i ich przyjaciół, zatwierdzone przez stronnicy komisję biskupią, dr D. ogłasza jako prawdę historyczną, pomijając milczeniem fakt, że biskup krakowski, poinformowany później o faktycznym stanie sprawy, wyroki swoje cofnął i na kult obrazu Matki Bożej w Piekarach, kult, jak wszystkie inne kultury, zrodzony samorzutnie, pozwolił. Pielgrzymki piekarskie nie usunęły pielgrzymek częstochowskich, a nowy ośrodek kultu mariańskiego stał się jeszcze jednym ogniwem, łączącym jeszcze silniej lud śląski z Kościołem i polskością. Książka Hoffmanna jest, ale nie wbrew woli autora, jak utrzymuje dr D., ale z jego woli „jaskrawym świadectwem polskości Śląska”. Ks. H. nie pisał swej książki po to, by udowodniać tę polskość, pisał historię jezuitów śląskich, szukał prawdy dziejowej, a że ubocznie dał nam bezstronny dowód polskości ludu śląskiego, winniśmy mu być za to wdzięczni, a nie niedźwiedzią łapą zrażać sobie ludzi życzliwych.

K r a k ó w

Ks. St. Bednarski T. J.

Ludwik Musioł, *Z ruchu pietystycznego na Śląsku w XVIII wieku.* (Minerwa Polska, Organ Komisji Historycznej Naukowego Tow. Pedagogicznego, Lwów, 1930, rok II, str. 55—76.)

Pietyzm protestancki był reakcją religijną na zeświecczenie ewangelików wobec gorszących kłótni ich przywódców o „czystość” nauki oraz wskutek moralnych spustoszeń wojny 30-letniej. Drukowane 1675 r. *Pia desideria* Spenera, predykanta w Frankfurcie nad Menem, uchodzą za początek tego ruchu, który zdążył do pogłębienia życia religijnego przez popularyzację apostoelskiej idei o kapłaństwie powszechnym i urządził w tym celu pobożne schadzki z czytankami biblijnymi poza naukami kościelnymi. Dla tych konwentyklów prześladowany przez współwyznawców i władze świeckie, przeniósł się Spener z Frankfurtu do Drezna, skąd zapalił dla swej idei docenta Augusta Hermanna Franckego w Lipsku. Lecz i Francke wywołał swymi collegia philiblica sensację i nie ostał się wobec gromadnego sprzeciwu reszty profesorów; przyjął tedy zaproszenie elektora brandenburskiego na profesurę przy nowo założonej wszechnicy w Hali (1691), gdzie odtąd było główne gniazdo pietyzmu.

Kiedy 1709 r. z łaski cesarskiej powstał w Cieszynie kościół protestancki z szkołą, chociaż w samym mieście było tylko sześciu zwolenników t. zw. reformacji (str. 71), urządzono nową szkołę w Cieszynie jako seminarium protestantyzmu na całą okolicę, tj. cały ówczesny Górny Śląsk, i powołano na profesorów przeważnie uczniów Franckiego w Hali. Wynikły z tego spór pomiędzy pastorami starego kierunku Hentschelem i Schmidtem z jednej a pastorami nowego kierunku Steinmetzem i Muthmannem oraz diakonem Sassadiusem z drugiej strony przerodził się 1721 r. w przewlekły proces pietystyczny, który się skończył dopiero edyktem cesarskim z 21 stycznia 1730 r. treści takiej: Adam Steinmetz założył bez pozwolenia cesarskiego szkołę i dom sierocy (alumnium), on i jego koleźdy Muthmann i Sassadius urządzali konwentykle, nawet po zagrożeniu karą stu dukatów i powoływali nauczycieli pietystycznych; przeto ci trzej pastrowie a razem z nimi rektor Jerichovius i konrektor Sarganek mają natychmiast złożyć swój urząd a w przeciągu sześciu miesięcy opuścić kraje habsburskie. Aby przeszkodzić dalszemu rozsięwaniu błędów sekciarskich, ma ich władza odprowadzić aż do granicy (łużyckiej). Zarządcy zboru cieszyńskiego mają przedłożyć pisma, które wysłali do Jeny i Witembergi (o opinię tamtejszych wydziałów teologii protestanckiej). Alumnium jest rozwiązane, a 90 wychowankom nie wolno już mieszkać wspólnie, wolno ich tylko umieścić po różnych domach. Konsystoria w Lignicy, Brzegu i Wolawie powinny donieść, którym nowym kandydatom dały pozwolenie na odprawianie nabożeństw. Konsystorze mają pomyśleć, jakby zaradzić dalszemu rozszerzaniu się pietyzmu.

Autor odnalazł luźne akta procesowe w książęcym archiwum w Pszczynie, uporządkował je tam i ogłosił ich streszczenie w *Minerwie Polskiej*, nie zważając na to, że cały proces już był dosyć obszernie i jasno przedstawiony w *Dziejach Kościoła Ewangelickiego w Księstwie Cieszyńskim Karola Michejdy* (Cieszyn 1909, str. 141—160). Z faktu, że autor wymienia dzieła Fuchsa i Biermanna a nie wspomina o Michejdzie, trzeba wnioskować, że tego ostatniego całkiem przeoczył. Ogłosił jednak z odnalezionych akt procesowych tyle nowych szczegółów z wewnętrznego życia protestanckiej gminy cieszyńskiej, która wtedy wszak obejmowała cały Górny Śląsk, że oryginalnie opracowany artykuł uznać należy za przyczynek ciekawy i godny uwagi. S.

L u d w i k M u s i o ł, *Dzieje szkół parafialnych w dawnym dekanacie pszczyńskim*. Katowice 1933 r. Stron XII + 263.

Książka napisana z dużym nakładem pracy, daje dokładny obraz szkolnictwa parafialnego w byłym dekanacie pszczyńskim od średniowiecza po wiek XIX; obraz ścisły i rzetelny, opracowany sumiennie. Pracę oparł autor głównie na materiałach, zebranych w archiwum książęcym w Pszczynie i m. Pszczyny, sięgał jednak również do Archiwum Kapitulnego w Krakowie i archiwów odnośnych parafii. Materiały źródłowe, którymi autor rozporządzał, odnoszą się przeważnie do historii organizacji Kościoła katolickiego i poszczególnych parafii w b. dekanacie pszczyńskim, to też z uznaniem należy podnieść, że autor dzięki inten-

sywnej i powiedzmy od razu trafnej interpretacji tyle cennych wiadomości potrafił z nich wydobyć dla przedstawienia dziejów szkolnictwa parafialnego.

Literaturę przedmiotu wyzyskał autor przeważnie starannie, jakkolwiek nie brak tu poważnych pominięć, zwłaszcza o ile chodzi o naukową literaturę polską. Poza archiwami dekanatu pszczyńskiego i krakowskimi nie sięgał autor do żadnych innych. Czy jednak nie znalazłoby się sporo w archiwach wrocławskich i praskich? Sądzę, że uwzględnienie tych archiwów byłoby umożliwiło autorowi zajęcie samodzielnego stanowiska tam, gdzie idzie za Klemensem i ks. Londzinem.

Przechodząc do treści książki, uważam, że autor ostatecznie wyjaśnił sprawę pełnienia przez nauczycieli aż do ostatnich czasów funkcji organistów i kościelnych i że ta sprawa — kamień obrazu dla nauczycielstwa szkół powszechnych, ma swoją bardzo dawną i bardzo interesującą historię (cfr. RTPN I, 58—68).

Sprawa wynagrodzenia żaków (str. 16) mimo widocznych wysiłków autora, nie wystąpiła dosyć jasno.

Ceny artykułów żywności w wieku XVII (str. 16) niewiele mówi, jeżeli się nie zestawi ich z cenami dzisiejszymi, biorąc oczywiście pod uwagę wartość monety ówczesnej i dzisiejszej.

Niedostatecznie również moim zdaniem została wyjaśniona poruszona przez autora parokrotnie (str. 34, 36, 42) rola żaków-organistów w dobie reformacji. Odnosi się wrażenie, że rola ich była daleko poważniejsza i że oni to właśnie nie sporadycznie ale często, obejmowali funkcje pastorów.

Przechodzenie dawnego szkolnictwa parafialnego, uzależnionego od Kościoła, w szkolnictwo nowoczesne, uzależnione przede wszystkim od państwa od czasów reformy z 1765, wymaga osobnego opracowania, ze względu na zasadniczo inne niż dotąd podejście do zagadnień szkolnych przez państwo pruskie.

Pierwszym objawem i — moim zdaniem — najbardziej podważającym dotychczasową organizację szkolnictwa był fakt, że nowe szkoły powstawały również w miejscowościach, nie posiadających kościołów parafialnych. Liczba szkół od reformy z 1765 r. widocznie się powiększa i to należało podkreślić. W omawianiu reformy z 1765 r. należało również omówić sprawę metody zegańskiej, skoro autor wielokrotnie o niej (str. 88, 90, 91, 92, 93) wspomina, zwłaszcza, że po całych wiekach trwania szkolnictwa parafialnego była to pierwsza próba uporządkowania w nich sposobu nauczania.

Nauczycielstwo parafialne odgrywało dużą rolę społeczną, co zresztą autor szczegółowo przedstawił. Pominął tu jednak autor sprawę stosunku nauczycieli parafialnych do hr. Promnitzów i ks. Pszczyńskich, co może pogłębiłoby zrozumienie roli, jaką odegrało nauczycielstwo na G. Śląsku w XIX w., kiedy było zdecydowanie uzależnione od rządu pruskiego, który je opłacał.

Osobnego opracowania wymaga również sprawa stosunku biskupów krakowskich w zakresie zagadnień szkolnych do tych dekanatów bi-

skupstwa krakowskiego, które wchodziły w skład najprzód Państwa Czeskiego, później Austriackiego, wreszcie Pruskiego. Być może wyjaśni to a w każdym razie pogłębi poznanie genezy odrodzenia narodowego na Śląsku na przełomie XVIII i XIX w. jak i sprawy zwycięstwa kontrreformacji na G. Śląsku.

Granice diecezjalne odgrywały w Polsce średniowiecznej dużą rolę. Szkoda, że autor nie dołączył do książki mapki z zaznaczeniem granic dekanatu pszczyńskiego, zachodnie granice tego dekanatu bowiem były zarazem granicami diecezji krakowskiej. Przydałoby się, by na mapce takiej oznaczano kościoły parafialne, szkoły parafialne i szkoły, utworzone po reformie 1765 r.

Książkę p. Musioła uważam za udaną i wartościową próbę opracowania dziejów szkolnictwa na G. Śląsku. Za tą pierwszą monografią winny pójść następne, które by dały obraz szkolnictwa parafialnego na obszarze całego województwa śląskiego, organizacji Kościoła katolickiego łącznie z dziejami poszczególnych klasztorów, jak i kościoła ewangelickiego, to bowiem dopiero dałoby właściwy i naturalny podkład do dziejów kultury na Śląsku w okresie najmniej znanym, bo od XV do XIX wieku.

W a r s z a w a

Dr Ludwik Ręgorowicz

D o p i s e k. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław K o t, który pracę L. Musioła czytał 1932 r. w manuskrypcie, podkreślił w ocenie, że „materiał źródłowy został wyzyskany w sposób wzorowy według wszelkich wymagań metody naukowej z krytycyzmem, nie spotykam wprost u samouka... Podnieść należy, że źródła, to wyłącznie archiwalia, wyszukane przez autora i niezwykle sumiennie wybadane, jak to potrafi zrobić tylko prawdziwie zamilowany w swym temacie badacz.”

Ks. J. B i e n i e k, Szkoła katolicka na Górnym Śląsku w oświetleniu historyczno-prawnym. Katowice 1933, czionkami Księgarni i Drukarni Katolickiej, str. 280.

Ustrój szkolnictwa polskiego na Górnym Śląsku wyrósł organicznie z fundamentu, układanego przez wieki. W chwili zmiany suwerenności (1922) były tu szkoły powszechne z reguły wyznaniowe. Ponieważ w innych częściach Rzeczypospolitej szkolnictwo powszechne tego charakteru wyznaniowego jeszcze nie posiada, ujawniły się przy państwowym tendencjach unifikacyjnych na Górnym Śląsku w dziedzinie szkolnej trudności administracyjne, które czasem groziły konfliktem z ludnością i sprawiały władzom niemałe zakłopotanie. Pozostanie zasługą autora, który jest kanclerzem kurii diecezjalnej w Katowicach, iż zestawił najważniejsze ustawy i rozporządzenia szkolne dla Śląska, o ile dotyczą spraw wyznaniowych i religijnych, by ułatwić społeczeństwu polskiemu zaznajomienie się z kwestią nader ważną, zawiłą i trudną, a przy tym wciąż aktualną.

Pierwszy rozdział jest poświęcony szkolnictwu śląskiemu w okresie przedpruskim. Potem autor wylicza i omawia w rozdziałach II—IX

ustawy i rozporządzenia, wydane w przedmiocie szkolnictwa śląskiego przez władze pruskie aż do zmiany suwerenności (1922); rozdział X obejmuje pierwsze dziesięciolecie polskiej administracji szkolnej na Górnym Śląsku, a rozdział XI omawia podstawy i kierunek ustawodawstwa szkolnego na Śląsku w przyszłości. Obszerny spis przytoczonych ustaw i rozporządzeń oraz indeks zamykają to dzieło pożyteczne, które aczkolwiek powstało z doraźnej potrzeby praktycznej, jest opracowane gruntownie, umiejętnie i wyczerpująco.

Ze względu na jej walor naukowy została praca ks. B. wyszczególniona pochwałą ś. p. ks. profesora Jana Fijałka w Krakowie, a ówczesny dziekan wydziału teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego zaproponował autorowi natychmiastowe ubieganie się na jej podstawie o stopień naukowy. Autor dla pełnego zajęcia urzędowego nie skorzystał z tak zaszczytnej propozycji. Niestety nie zdołał też jeszcze wywiązać się z przyrzeczenia, danego w przedmowie, że nieuwzględnionymi w tej rozprawie szkołami organistowskimi (cfr. RTPN I, 58—68) zajmie się w osobnej broszurze.

S.

Ks. J. Bieniek, *Parafia t. zw. starokatolicka w Katowicach w oświetleniu historyczno-prawnym*. Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka w Katowicach 1934, str. 48.

Parafia t. zw. starokatolicka w Katowicach jest zabytkiem prawnym z pruskiej walki kulturalnej. Według dekretu erekcyjnego z 3 XI 1874 jest to „parafia katolicka pod nazwą starokatolicka”. W Prusiech bowiem starokatolicy nie posiadali samoistności kościelnej, jak np. w Austrii, lecz traktowano ich prawnie jako katolików i wydano w tym sensie osobną ustawę z dnia 4 VII 1874. Bismarck chciał przez takie zaszczerpienie nowej sekty w organizm Kościoła katolickiego rozsadzić ten organizm od wewnątrz, co mu się jednak nie powiodło. To też i w Katowicach powstało pozbawione treści curiosum prawne, dotychczas nie zlikwidowane formalnie.

Ponieważ prawny twór parafii katolickiej w Katowicach, która się tylko nazywa starokatolicką, powstał jednostronnym aktem państwa pruskiego bez kanonicznego udziału Kościoła, wynikają stąd konsekwencje, których ostateczne wyciągnięcie autor chce swoją monografią ułatwić. Oświetlając całokształt stanu prawnego tej ciekawej parafii bez kompetentnej władzy kościelnej, uwzględnia ks. B., jak to wynika z przedmiotu, jedynie prawo świeckie a prawo kanoniczne tylko o tyle, o ile zarazem jest przez prawo świeckie jako prawo obowiązujące uznane. Omawia stan prawny za czasów pruskich a następnie za czasów polskich, wykazuje prywatne prawa kościoła Najśw. Maryi Panny w Katowicach do pewnej części obecnego kościoła t. zw. starokatolickiego, bada stan prawny ustanawiania duchownych w parafii t. zw. starokatolickiej i reasumuje swe wywody ośmiu jasnymi tezami, które się poniekąd streszczają w tezie 5: jurysdykcja nad parafią t. zw. starokatolicką w Katowic-

cach przeszła z dniem 1. VII. 1923 albo przynajmniej z dniem wejścia w życie Konkordatu na ordynariusza diecezji katowickiej.

Chronologiczny spis ustaw, rozporządzeń, wyroków sądowych itd. zamyka zwięzłą pracę, która poza praktycznym znaczeniem ma wielką wartość naukową, historyczną i teoretyczno-prawną.

S.

Ziemia Rybnicka. Organ Związku Przyjaciół Przeszłości Rybnika i Okolicy. Rok I. Numer 1—3. Rybnik 1934. Stron 72. Redaktor O. Drobny.

Budzenie zainteresowania przeszłością własnej okolicy — to może jedna z najbardziej pożądaných form działalności pracowników prowincjonalnych. Z drobnych, często na pozór mało znaczących szczegółów powstaje stopniowo obraz, który stanowi ważne dopełnienie systematycznych prac naukowych. Czasopismo „Ziemia Rybnicka” podjęło się takiego zadania w odniesieniu do ziemi rybnickiej o przeszłości historycznej bogatej, lecz mało znanej. W trzech zeszytach, które się ukazały, spotykamy wiele interesujących rozpraw i przyczynków historycznych. Znajdujemy w nich więc rozprawkę O. Drobnego pt. „Husyci na śląskiej ziemi”, w której w sposób popularny i nieraz jednostronny przedstawia autor ten okres dziejów ziemi śląskiej. Poza tym znajdują się różne drobne przyczynki, jak: Franciszka Hubnera „Ruch narodowy w Krzyżkowicach” i szereg artykułów O. Drobnego („Wizytacja szkół powszechnych w drugiej połowie XVII wieku na terenie księstwa raciborsko-rybnickiego”, „Kościołek św. Katarzyny w Rybniku”, „Nabożeństwa w kościele parafialnym w Rybniku w XIX wieku”, „Zbór protestancki w Maruszu” itp.). Poza tym znajdujemy tu liczne Miscellanea, z których zasługuje na uwagę opis jednego z najstarszych mszałów na ziemi śląskiej z r. 1519. Wszystkie te artykuły i notatki poza nielicznymi wyjątkami wyszły spod pióra redaktora O. Drobnego. Widać, że tego rodzaju wydawnictwa prowincjonalne stoją pracą i wolą jednego człowieka. Szkoda, że pożyteczne to wydawnictwo skończyło tak szybko swój żywot. Niewątpliwie bowiem przyczyniło się ono do wzbudzenia wśród mieszkańców ziemi rybnickiej większego zainteresowania przeszłością okolicy.

R. L.

Franciszek Ksawery Latinik, Walka o Śląsk Cieszyński w r. 1919. Cieszyn 1934. Nakładem i drukiem P. Miłtręgi w Cieszynie.

Trudno laikowi wyrokować o rozprawie wojskowej, dotyczącej operacji i posunięć taktycznych. Nie zamierzam też wcale podważać wysnutych przez autora pewników i wniosków strategicznych. Chcę wypowiedzieć jedynie refleksje, jakie nasuwają się w związku z lekturą jego książki. Będą to po prostu rozmyślenia czytelnika, który własnymi oczyma patrzył na zdarzenia i wypadki styczniowe na Śląsku, żył przez dłuższy czas entuzjazmem i rozczarowaniami jego mieszkańców.

Książka Latinika nie spotkała się na ogół z przychylną krytyką. Działał tu, obok pewnych sugestji natury osobistej i ten fakt, że na dwa lata przed ukazaniem się opracowania ówczesnego dowódcy frontu śląskiego dostała się do rąk czytelników wyczerpująca rozprawka majora Adama Przybylskiego, omawiająca niezmiernie krytycznie i obiektywnie ówczesną sytuację na Śląsku Cieszyńskim. Ponadto utarło się pewnego rodzaju przekonanie, że generał Latinik jako współodpowiedzialny za przebieg styczniowych wypadków z racji swego dowództwa nad ówczesnymi siłami wojskowymi będzie starał się wybielić z wysuwanych przeciwko niemu słusznych czy niesłusznych zarzutów.

Czytelnikowi podrażnionemu przez ostatnie publikacje o kwestii cieszyńskiej nasuwa się zasadnicze pytanie: Kto zawinił? Kto ponosi odpowiedzialność? Czy przyczyna politycznej i wojskowej porażki leży na zewnątrz — czy wewnątrz nas? Zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że zaprzepaściliśmy na czas dłuższy sprawę, którą mogliśmy wygrać. Mieliliśmy wszystkie dane po temu. Zabrakło wśród ówczesnych miarodajnych czynników miejscowych ludzi, jasno i trzeźwo oceniających sytuację, zdolnych do samodzielnego rozstrzygnięcia większych posunięć na swoim odcinku z świadomością wyjątkowego momentu dziejowego, który nie powtarza się często... Zmorą, która zaciążyła nad umysłami członków ówczesnej Rady Narodowej oraz decydujących czynników wojskowych, była umowa polsko-czeska z dnia 5 listopada 1918 r. Mimo konkretnych danych, że Czesi nie mają najmniejszego zamiaru respektować postanowień umowy, przekonanie u nas o jej stałości tak głęboko zapadło w umysłach, że wszelkie ostrzegawcze głosy lekceważono w najoczywistszy sposób. To, co nastąpiło, było jedynie konsekwencją raz zajętego stanowiska. Napad był zaskoczeniem ówczesnych czynników decydujących, a na sposób ich myślenia rzuca charakterystyczne światło operetkowy fragment z domniemanymi oficerami alianckimi. Twierdzić, że czyniono jakiegokolwiek przygotowania do obrony na wypadek ataku — byłoby śmiesznie. Można natomiast z całym prawdopodobieństwem forsować tezę, że dobrze przygotowana obrona byłaby zaoszczędziła krwawych wypadków. Kadry obronne, zabezpieczające pewność umowy, byłyby niewątpliwie skłoniły niespokojnego sąsiada do obrania innej drogi dla załagodzenia konfliktu. Z góry należy podkreślić, że organizowanie obrony w ówczesnych warunkach nie było rzeczą łatwą.

Z trzech części książki gen. Latinika najbardziej zainteresować może czytelnika część druga, przedstawiająca opis działań wojennych. Potwierdza ona w zupełności wysunięty przeze mnie wniosek o zaskoczeniu. Pierwsze godziny walk wykazały popłoch, dezorientację, brak planu działania. Wycofywano się bezapelacyjnie. Zresztą nie było innego wyjścia. Podjęcie walki było beznadziejne wobec przeważających liczbowo i technicznie sił. Ze odwrot nie przybrał form paniki, przypisać należy jedynie hiperostrożności posuwających się kolumn czeskich, które poruszały się naprzód iście żółwim krokiem. W pojedynczych utarczkach, tak żywo opisanych w publikacji gen. Latinika, wykazała

szczupła garstka obrońców wiele ofiarności, poświęcenia, bohaterstwa, sytuacja jednak ze względu na wspomnianą już dysproporcję sił była beznadziejna. Autor cytuje wszystkie wydane przez siebie rozkazy — nadaje swoim wywodom wybitny charakter planowości i systematyczności, której brakło w istocie w decydujących momentach pierwszych dni styczniowej rozgrywki polsko-czeskiej. Najtragiczniejszym fragmentem wypadków — to porażka grupy Cezarego Hallera i jego bohater-ska śmierć.

Na podstawie zeznań naocznych świadków niefortunnej bitwy i zgodnie z opinią autora skonstatować wypada, iż obydwa oddziały zarówno w Małych Kończycach jak i Zebrzydowicach padły ofiarą błędnej taktyki dowódców i niedoświadczenia wojennego żołnierzy.

Pierwszy opór stawily wzmocnione siły polskie dopiero na linii Wisły. Szczegółowy przebieg bitwy w dniu 30 stycznia podaje autor na str. 74—80. Po raz pierwszy od rozpoczęcia działań wojennych można mówić o obronie na serio. Skoncentrowane, planowo rozmieszczone oddziały, pewniejsze siebie na widok napływających (wprawdzie bardzo skąpo) posiłków nie pozwoliły wyprzeć się atakującym w ciągu dnia formacjom czeskim i opanowały sytuację. Bilans wytrzymanego naporu ujawnia autor jako ówczesny dowódca. Do chwilowego sukcesu byłby jego zdaniem wystarczył jeden batalion, czy jednak mogła być mowa o wejście w fazę regularnej kontrofensywy na całym odcinku? Zarzuca się powszechnie gen. Latinikowi, że tego przeciwnatarcia nie rozpoczął. Zdajmy sobie sprawę z tego, że w ówczesnych warunkach było to niemożliwe. Faktem pozostanie, że dzień 30 stycznia był ostatnim dniem działań wojskowych w ogóle. Rozpoczął się okres dyplomatycznych negocjacji.

Tok wypadków potoczył się w taki sposób, że o ostatecznym wyniku nie mogła już zdecydować postawa wojska. Sytuację uratować mógł jedynie plebiscyt, przeprowadzony bezstronnie i sprawiedliwie. Przyjąć można jako pewnik, że w najniepomyślniejszych dla nas warunkach przeprowadzony plebiscyt wypadłby dla nas korzystniej od decyzji Rady Ambasadorów, która przeszła najgorsze oczekiwania. „Żyliśmy nadzieją sprawiedliwości koalicjantów — pisze w zakończeniu autor — i ta nadzieja zawiodła.” Zastanawiając się nad przyczynami klęski, która po dziś dzień chodzi po kościołach naszym rodakom za Olzą, wymienia gen. Latinik najróżniejsze powody. Nie ze wszystkimi można się zgodzić. Jeden niewątpliwie jest słuszny. „Brakło nam odpowiednich sił wojskowych, by poprzeć nimi nasze żądania...” Ironia.

W pamiętnikach ludzi wojny nie zwykło się zwracać zbyt wiele uwagi na styl i formę; zajmuje nas przede wszystkim treść; chodzi o wypadki i czyny wielkiej wagi. Gdybyśmy jednak niedyskretnie przyrzeli się stylistycznej stronie „Walki o Śląsk Cieszyński” — z przykrością stwierdzilibyśmy rażąco niedopatrzania autora.

Cieszyn

Franciszek Czapla

Ks. Józef Londzin, Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim. Z pośmiertnych zapisków autora przejrzał, uzupełnił i do dru-

ku przygotował ks. R. Tomanek. Cieszyn 1932, nakład i druk „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra”, 8^o, str. 428 z podobizną autora i 27 ilustracjami.

Jest to według wydawcy pozgonny pomnik gorącego zamiłowania ks. Londzina w przeszłości kraju rodzinnego i w zabytkach dawnej artystycznej architektury kościelnej. Biograf ś. p. autora ks. Em. Grim wspomina o tej pracy, która wtedy drukowała się w felietonach „Gwiazdki Cieszyńskie”, jako o Historii kościołów drewnianych (cfr. RTPN II, 92) i przyznać trzeba, że ten tytuł jest więcej odpowiedni aniżeli tytuł, nadany dziełku przez wydawcę. Albowiem o drewnianym budownictwie kościelnym jest mowa tylko w wstępie, który właśnie pod tytułem: Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim — był najprzód drukowany w pierwszym tomie naszych Roczników, o czym wydawca nie wspomina. Cała reszta jest poświęcona historii 48 kościołów, po wielkiej części już nie istniejących, tak że się wiadomości urywają, gdy kościół zniknął. Nie chodziło ks. L. tymczasem ani o studium z historii sztuki ani o historię danej parafii, lecz o historyczne notatki o drewnianych świątyniach samych, choć oczywiście sporo między tymi zapiskami jest wiadomości o parafiach lub proboszczach i patronach.

Skoro ś. p. ks. Londzin nie zdążył już zaokrąglić i wykończyć tej pracy, z wielkiego naprawdę umiłowania poczętej, dobrze zrobił ks. Tomanek, wydając ją jako materiał nader obfity i pożyteczny dla historyków regionalnych.

S.

Andreas Wackwitz, Die deutsche Sprachinsel Anhalt-Gatsch in Oberschlesien in ihrer geschichtlichen Entwicklung. Verlag Günther Wolff, Plauen im Vogtland 1932, str. 290, z ilustracjami i jedną mapą.

Holdunów w powiecie pszczyńskim, po niemiecku Anhalt, jest jedyną niemiecką wyspą językową na obszarze województwa śląskiego. Historia tej osady jest nader ciekawa, gdyż przodkowie holdunowian, tkacze i rolnicy, zostali w roku 1770 podstępnie i pod eskortą szwadronu pruskich huzarów na własną prośbę przeniesieni, a — że byli pod pańszczyzną — właściwie wykradzeni z Polski, mianowicie z Kóz pod Białą na teren pruski, gdzie poszukiwano wtedy kolonistów. Pomysł był wykonalny tylko dlatego, że chodziło o starych osadników niemieckich i niekatolickich, którzy ukradkiem od dawna uczęszczali do Pszczyzny na nabożeństwa ewangelickie a znaleźli w pruskim pastarze wojskowym obrządku reformowanego Schleiermacherze z Wrocławia wpływowego opiekuna. Dyplomatyczne protesty dawnej Polski spełzły na niczym wobec następujących niebawem jej rozbiorów.

Nowa kolonia fryderycjańska z wykradzionymi Polsce Niemcami osadnikami — było ich od razu kilkuset — rozwijała się szybko pod względem gospodarczym zapomocą przywileju pruskiego a pod względem kościelnym za pomocą kolekty wewnątrz kraju. Pastor Schleiermacher umiał uruchomić finansową pomoc nawet w Szwajcarii, Holandii i Anglii. Patronat nad nową gminą kościelną przyjął ówczesny książę pszczyński von Anhalt-Coethen, po którym też została osadzie nazwa Anhalt. Gać stanowi odnogę od Holdunowa. Kościół dla obu gmin pow-

stał w Hołdunowie dopiero 1902 r.; do tego czasu budynek szkolny służył zarazem jako zbór. Wackwitz przedstawia historyczny rozwój kolonii bardzo szczegółowo w 11 rozdziałach. XII jest poświęcony etnografii.

Pomiędzy pastorami Hołdunowa były postacie nie tylko ciekawe, ale i wybitne, zwłaszcza Jan Samuel Richter (1794—1816), który, chociaż w teologii racjonalista, należy do najszlachetniejszych obrońców ludu polskiego na Śląsku; od 1816 do 1838 r. radcą regencyjnym w nowej wtedy regencji opolskiej, napisał niejeden memoriał i niejeden artykuł w obronie poniewieranego języka polskiego na Śląsku. Pod tym względem może uchodzić za poprzednika Kosickiego, Szafranka i Bogedaina.

Ledwie byli hołdunowianie w dzień św. Urbana 1920 r. obchodzili uroczyste 150 rocznicę założenia swej osady, gdy dnia 20 sierpnia 1920 roku spłonęło im doszczętnie czternaście gospodarstw. Miał to być narodowy odwet polskich powstańców śląskich za zamordowanie w trzy dni przedtem dra Andrzeja Mielęckiego w Katowicach przez tłum niemiecki (o tym autor króciutko wspomina) i za podpalenie w ten sam dzień przez tenże tłum siedziby polskiego komitetu plebiscytowego na powiat Katowice (o tym autor nie wspomina). Z pomocą hojnej zapomogi państwowej — Rzesza Niemiecka dała trzy miliony marek — i składek prywatnych — miasto Magdeburg dało 40.000 marek, Kattowitzer Aktiengesellschaft 100.000 marek, książę pszczyński 200.000 marek — odbudowano Hołdunów 1921 r. na nowo. Proces o odszkodowanie, wytoczony siedmiu gminom sąsiednim, skąd pochodzili powstańcy, a prowadzony w Gliwicach, został umorzony po zmianie suwerenności w roku 1922. Wiadomość tę należało zrównoważyć wzmianką, że bez rezultatu pozostały także po drugiej stronie procesy o odszkodowanie i ukaranie sprawców zamachów na hotel Lomnitz w Bytomiu, główną siedzibę polskiego komisariatu plebiscytowego, oraz na Deutsches Haus w Katowicach, gdzie był umieszczony polski komitet plebiscytowy na powiat Katowice.

Autor, Dolnoślązak z pochodzenia, jest od roku 1921 pastorem w Hołdunowie. Swoje dzieło dedykował: *Der evangelisch-reformierten Gemeinde Anhalt in allen ihren Gliedern, Ständen und Ämtern zum Gedächtnis ihrer Kämpfe und Leiden, zur Mahnung, auszuharren in Treue, zum Bekenntnis der Hoffnung*. Wydane w Niemczech, jest więc przeznaczone na pokrzepienie ducha obywateli Polski. Dedykacja z podwójnym składnikiem, religijnym i narodowo-niemieckim, jest nawiązaniem do pożegnalnego kazania, jakie w styczniu 1922 wygłosił w Hołdunowie generalny superintendent Śląska dr Nottebohm z Wrocławia z myślą przewodnią: *Lasset uns halten am Bekenntnis der Hoffnung!* (str. 249).

Tą namacalną tendencją książki, napisanej zresztą gruntownie, tłumaczą się jednostronne zwykle oceny ważniejszych wydarzeń górnośląskich bez uwzględnienia ich współzależności. Autor, który za mało różnicia ogólnoludzki zasięg religii od znacznie ciałniejszych ram narodowych, jest pod względem etyki relatywistą, a pod względem prawa niekonsekwentnym pozytywistą, który neguje implicite prawo przyrodzone a zadowoląć by się chciał pozytywnym prawem niemieckim. Stąd jego

zastrzeżenia względem szlachtetnych zabiegów pastora Richtera w obronie języka polskiego (str. 120) przy równoczesnym powoływaniu się ciągle na obecne prawo mniejszościowe na korzyść Niemców, stąd utrwalenie ogólnikowego zarzutu pod adresem katolickich księży okolicy, że hodowali z ambony szowinizm polski, a ujemne ustosunkowanie się do prób zaprowadzenia w Hołdunowie kazań polskich dla polskich ewangelików okolicy (str. 146, 242), stąd pobłażliwe milczenie o plebiscytowych wybrykach niemieckich a obszerne utyskiwanie na reakcje polskie, stąd też zakończenie historycznej części książki dezcyderatem lojalności polskich władz względem niemieckich holdunowian bez równoczesnej choćby wzmianki o lojalności tychże względem władz. To już trąci podwójną moralnością, której się nie da utrzymać.

W każdym razie ma dzieło pastora Wackwita nie tylko historyczne znaczenie, albowiem na przykładzie Hołdunowa porusza ważne a na ogół mało roztrząsane problemy z etyki społecznej.

S.

Dr Władysław Michejda, *Stosunki w Ewangelickim Kościele unijnym na Polskim Górnym Śląsku — Ein Wort über die Zustände in der Unierten Evangelischen Kirche in Polnisch-Oberschlesien ins Deutsche übertragen.* Katowice 1935, str. 71 i tabl. 1, nl. 1. Nakładem Tow. Polaków Ewangelików na Górnym Śląsku. (Tekst polski i niemiecki.)

W marcu roku 1935 w wydawnictwie „Die evangelische Diaspora” ukazał się artykuł prof. Langer z Lipska, omawiający egzystencję ewangelickiego kościoła unijnego na Górnym Śląsku i broniący stanowiska, zajętego wówczas przez władze tego kościoła.

Na artykuł powyższy odpowiedział długoletni członek i b. prezes katowickiego oddziału, stały prawny radca tegoż, dr Władysław Michejda. Nie mogło stać się lepiej! Michejda — potomek pioniera polskiego ewangelicyzmu na Śląsku — seniora Franciszka Michejdy, ze ścisłością prawnika po dużym i najdokładniejszym odczytaniu w literaturze, spokojnie i rzeczowo, litera po literze zbija wywody niemieckie i przedstawia straszliwe do roku 1935 położenie wszystkich Polaków-ewangelików na Górnym Śląsku. Praca Michejdy zaczyna się od początków reformacji na Śląsku, która szerzyła się od Wrocławia aż po Cieszyn. Lud śląski ewangelicki stanowił pod względem wyznaniowym warstwę jednolitą, gdyż prawie wszystkie zbory bez wyjątku były wyznania luterskiego. Ten stan rzeczy pozostał po podzieleniu Śląska w 1742 r. na część pruską i austriacką. Ewangelicka ludność śląska jest ludnością *zupełnie polską*. Tylko miasta uległy zniemczeniu i to *częściowemu* wskutek kolonizacji. Literaturę religijną stanowią: postylla ks. Dambrowskiego, biblia Królewiecka i t. zw. biblia radziwiłłowska. W połowie XVI wieku posiadał Śląsk na 12 drukarni *11 drukarni ewangelickich*. Z nich największe znaczenie dla polskich wydawnictw odegrała słynna drukarnia w Brzegu, gdzie wydano cały szereg polskich modlitewników, śpiewników i różnych książek do nabożeństwa.

Upadek reformacji w Polsce przyczynił się do przerwania łączności, jaka istniała między ewangelikami na Śląsku i ewangelikami z pozostałych części Polski. Mimo wybitnie silnej fali germanizacyjnej, do końca XIX w. pozostały na całym Śląsku poważne skupienia ewangelików-Polaków. Jeszcze w połowie tego wieku odprawiano we wrocławskim kościele św. Krzysztofa polskie nabożeństwa i śpiewano polskie pieśni. Tak samo się działo w 11 samodzielnych gminach kościelnych Górnego Śląska. Dopiero z biegiem czasu, z powodu osiedlania się przybyłych Niemców — dyrektorów, inżynierów, sztygarów, polsko-ewangelicki stan posiadania zaczyna się kurczyć. Z biegiem czasu przyjezdni goście zajęli miejsca prawowitych gospodarzy. Równoległe dzielne jednostki spośród pastorów, czujących po polsku albo Polaków, stopniowo zanikają. Język polski staje się coraz rzadszym zjawiskiem. Stosunki te nie uległy zmianie po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski. Wśród obecnej ludności górnośląskiej jest 20 tysięcy rodowitych Polaków-ewangelików, którzy często niedostatecznie narodowo uświadomieni, nie posiadają dla koniecznej obsługi duszpasterskiej ani jednego pastora Polaka. Dziwnym również jest fakt, że na 30 pastorów aż 18 wśród nich, pracujących w kościele unijnym, posiada obywatelstwo obce. Jest to wynik art. 87 nieszczęsnej dla nas ewangelików-Polaków Konwencji Genewskiej, który zezwala władzom kościelnym na sprowadzanie księży zza granicy bez żadnego ograniczenia (str. 6). Wobec takiego stanu rzeczy zrozumiałym jest fakt powstania szeregu Towarzystw Polaków-ewangelików, które walczą od pierwszej chwili istnienia jedynie o słuszne prawa. Organem prasowym wymienionych Towarzystw jest tygodnik „Ewangelik Górnośląski”, wychodzący w Katowicach lat 5.

Po takim niejako wstępnym szkicu przechodzi Michejda do meritum sprawy, a mianowicie do uchwały Synodu Krajowego z d. 18 VI 1930 roku. Cóż opowiada ta uchwała? Głosiła ona, że nie należy przyjmować na członków unijnego kościoła tych ewangelików wyznania augsburskiego, którzy przybyli na Górny Śląsk z terenu Konsystorza Augsburskiego w Warszawie. Osób tych nie należy również dopuszczać do udziału w wyborach do Rad Kościelnych i do Zastępstwa Zborowego. Oczywiście, że była to niesławnej pamięci uchwała polityczno-narodowa. Nie chodziło przecież o odcień wyznania lutereckiego czy reformowanego, ale o *polskość*. Ewangelicy-Polacy z b. Kongresówki, Małopolski, Pomorza, Wileńszczyzny nie zostali dopuszczeni do kościołów. Ewangelików-Niemców z tychże okolic przyjmowano bez żadnych zastrzeżeń. Dr Michejda zajmuje stanowisko ściśle prawnicze. W szeregu paragrafów zapytuje, czemu nie przyjmowano *ewangelików-luteran* do kościoła ewangelicko-unijnego na Górnym Śląsku, który to kościół jest *w istocie swej kościołem lutereckim*. Omawia autor szczegółowo i wyczerpująco istotę unii, łącznie z ujęciem jej odpowiednim na Górnym Śląsku, opisuje przynależność kościelną i przynależność do gmin kościelnych, stwierdza wraz z prof. Schoenem, że przystąpienie do unii nie powoduje zmiany wyznania. Zwraca słuszną uwagę na lutereckość unijnego kościoła górnośląskiego, której się dopatruje w tym, że kościół ten uży-

wa przy komunii świętej opłatka (luterskie ujęcie) a nie chleba (kalwińskie ujęcie) (str. 18).

Pastorzy Niemcy-luteranie zostali przyjęci do kościoła unijnego np. pastor Bolek w Chorzowie, pastorem Wagner w Katowicach, Koch w Piasku pod Lublińcem itp. Nawet miejscowi pastory zobowiązywali się głosić nauki według zasad Konfesji Augsburskiej (np. pastor Schwenker w Rybniku — str. 18). Tymczasem pastorów-Polaków do zborów nie przyjmowano i do kościołów nie wpuszczono. Obawiano się bowiem, że duszpasterze ci łącznie z nauczycielstwem będą stanowili bastion polonizacji. W swych jasnych wywodach opiera się Michejda na orzeczeniu Trybunału Administracyjnego z d. 15 V 1908 roku i zbija wroga jego własną bronią. Wyjaśnia, jak błędnie pojmował orzeczenie Trybunału prof. Langer, a jak je właściwie należy interpretować. Ciekawe są zwłaszcza stronicze 40 i 41, na których Michejda pisze tak: „ale gdyby nawet per inconcessum należało uznać tezę prof. Langer... jakby pojęcie to wbrew analogiom przenieść na teren państwa polskiego, bo kościół luterski w Warszawie byłby właśnie jednym z uznanych przez państwo kościołów ewangelickich, a więc byłby jednym z pośród kilku „Landeskirchen”. *W takim razie każdy członek tego kościoła stawalby się nawet według tezy prof. Langer członkiem kościoła unijnego, skoro obralby sobie na terenie tego kościoła swoje stałe miejsce zamieszkania.* W omówieniu stosunku państwa do kościoła, opierając się na wywodach Trybunału Kompetencyjnego z 8 II 1868 i Tryb. Administr. z 15 V 1908, stwierdza autor, że Wojewoda Śląski, jako przedstawiciel władzy państwowej, *był upoważniony do zawieszenia uchwały Synodu, naruszającej prawa członkowskie zborowników.* Jeśli tego Wojewoda nie uczynił — dowodem jest to historycznej tolerancji Polaka i możności swobodnej pracy dla każdego kościoła. Jakże inaczej dzieje się w sprawach kościelnych i wyznaniowych na terenie dzisiejszych Niemiec!? Niech sami Niemcy na to odpowiedzą!

Na stronicach 56 i 60 zamieszczone są skargi Krajowej Rady Kościelnej do Międzynarodowej Komisji Mieszanej w sprawie pastorów-Polaków i Polaków nauczycieli i niezatwierdzenia pastorów Bolka i Prosza. Obaj są przecież odcienia luterskiego, a przyjęci zostali od razu do kościoła unijnego(?!). Gdzież przeto jest jedna miara sprawiedliwości? Słusznie rozumuje Michejda, że i tych pastorów jako luteran powinien również kościół unijny postawić na indeksie zakazanych. Jeśli ich przyjął, to tylko dlatego, że są narodowości niemieckiej. Str. 64 podaje wystarczające omówienie, czemu obaj przez nasze władze nie zostali zatwierdzeni. Praca mecenasa Michejdy kończy się „próbą polubownego załatwienia sporu”. Wszędzie autor jest sobą, zachowuje bezstronność i umiar prawnika. W każdym razie *przyszłość dopiero okaże*, jak władze kościelne będą w praktyce interpretowały i wykonywały uchwałę Synodu i czy uchwała ta przyczyni się do zgodnej współpracy obu stron.

Dr Ludwik Łakomy, Inż. Józef Kiedroń, *Ideał współczesnego Polaka*. Katowice 1933, str. 110, ilustr. 2, nakł. f-my St. Święcki, Dąbrowa Górnicza.

Mieczysław Dereżyński, Jan Karol Maćkowski, *Publicysta i literat wielkopolski*. Bydgoszcz-Inowrocław 1934, str. 34, podobizna 1.

Mgr Mieczysław Tobiasz, Piotr Niedurny. *Monografia*, Katowice 1936, str. 48, podobizna 1, nakł. Wydziału Okręgowego Śląskiego Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego.

Mgr Mieczysław Tobiasz, Nauczyciel Wincenty Janas, *Monografia*. Katowice 1936, str. 47, nakł. Polskiego Związku Zachodniego.

Powyższe cztery prace należy witać jako częściowe spełnienie życzenia ś. p. Teodora Tycy, który w swoim Pamiętniku (cfr. RTPN III, 417—71) wskazał na potrzebę swoistej nauki historyczno-lokalnej na kresach zachodnich. Chociaż ani jedna z powyższych prac nie należy do literatury naukowej, posiadają swoją wartość choćby z tytułu pierwszeństwa odnośnie do osób, o których traktują.

Znany jako entuzjasta śląski dr Ludwik Łakomy (cfr. RTPN IV, 234—41) tak się zachwycił postacią ś. p. inż. Józefa Kiedronia, że już w tytule przedstawia go jako ideał współczesnego Polaka. Ponieważ Kiedroń był protestantem, musi taki podtytuł książki budzić z góry zastrzeżenie u tych, co twierdzą, że Polak a katolik, to jedno. Na podstawie skrzętnie zebranych informacji daje Łakomy wcale piękny obraz życia i pracy tego wybitnego syna ziemi cieszyńskiej, który dzięki zaletom umysłu i serca doszedł po dosyć ciężkiej młodości do wielkiego znaczenia, był naczelnikiem wydziałów górniczego i przemysłowo-handlowego w Polskim Komisariacie Plebiscytowym w Bytomiu, potem w Warszawie ministrem przemysłu i handlu a w końcu prezesem zarządu Hut Królewskiej i Laury w Katowicach. Autor kończy biografię samokrytyczną uwagą, że praca jest niekompletna i niedość wyrazista. Byłaby wypadła o wiele wyrażniej, gdyby autor nie szafował tak hojnie superlatywami, które dla wypuklenia wielkości Kiedronia wcale nie są potrzebne.

S.

Brozura o Maćkowskim pojawiła się w 19 lat po jego śmierci. Dereżyński oparł pracę na bogatym materiale źródłowym i informacyjnym, którego niestety nie umiał czy nie chciał wyczerpać. Stylem dziennikarskim opisał jednak z werwą prace i losy znakomitego męża, który w latach 1889—1894 pracował na Górnym Śląsku, z początku jako redaktor a po dwu latach także jako wydawca „Nowin Raciborskich”. Właśnie ten okres, dający Maćkowskiemu pewnie tytuł do największych zasług narodowych, jest w opisie Dereżyńskiego traktowany bardzo pobieżnie i zawiera miejscami niedokładności i usterki. Autor pisze

np. o ludności na Górnym Śląsku: „Poczucie narodowe twardej „piersonów” powoli słabło” (str. 9); wyrażenie jest niewłaściwe i zawiera ten błąd, że poczucie narodowe ludności polskiej, osobliwie w Raciborskim, nie mogło słabnąć, skoro go tam przed Maćkowskim prawie że wcale nie było. Na tej samej str. jest twierdzenie, że ongi Bolesław Chrobry w rzeczce Cynie pod Raciborzem wbijał żelazne słupy graniczne — co chyba jest czystą fantazją. Wobec zdania Dereżyńskiego, że Maćkowski wraz z drem Rostkiem „Nowiny Raciborskie” założył, trzeba stwierdzić, że założycielem był sam dr Rostek. Maćkowski tylko techniczną stronę załatwił, finansowaną przez dra Rostka. Zignorowany obszerny życiorys dra Rostka (cfr. RTPN II, 142—169), Dereżyński mylnie przedstawia proces narodowego uświadomienia tego współnika pracy Maćkowskiego, przypisując nagle jego przebudzenie narodowe lekturze „Konrada Wallenroda”; tymczasem spolszczyła go książka Józefa Chociszewskiego „Piśmiennictwo Polskie”. Piszącemu te słowa Rostek sam przy różnych sposobnościach swoje nawrócenie w taki właśnie sposób opowiadał. Wyobraźni Dereżyńskiego a nie rzeczywistości odpowiada też twierdzenie, że Maćkowski redagował kalendarze „Nowin Raciborskich”, bogate w treść „i ilustracje”, bo ilustrowane nie były wcale.

Na str. 13 jest mowa o tym, że Maćkowski zamierzał wydawać specjalne pismo dla Morawian, lecz dla braku funduszków i redaktora morawskiego projektu zaniechał — że potem myśl tę podchwyciło duchowieństwo niemieckie i wydawało od października 1893 „Katolische Nowiny”, która to gazetka miała wieść żywot krótki i suchotniczy; tymczasem gazeta dożyła wojny światowej, a 20 z górą lat, to w życiu takich pism ludowych wcale nie mało.

Szkoda, że Dereżyński nie wywiązał się z zadania poważniej. Wszak nie brak mu zdolności po temu.

P.

Tak zwane monografie mgra Tobiasza mają charakter zgoła powiastkowy. „Piotr Niedurny” i „Nauczyciel Wincenty Janas” utrwalają w formie bodaj najodpowiedniejszej pamięć dwóch historycznych postaci z okresu plebiscytowego, które, więcej zacne niż wybitne, nabrały jednak znamion bohaterstwa przez śmierć męczeńską pod pałkami Grenzschutzu (Janas został zamordowany 21 sierpnia 1919 r. — Niedurny 28 stycznia 1920 r.). Praca o Niedurnym zawiera też kilka cennych prób ludowej wymowy plebiscytowej. Przy ewentualnych dalszych nakładach powinien autor zwracać więcej uwagi na ścisłość nazw i tytułów. Ks. Wajda np. nie był proboszczem w Kielcach, lecz w Kielczy; nie było też pisma „Głos nad Odrą”, lecz „Głosy z nad Odry” itd.

Wdzięcznym zadaniem dla mgra Tobiasza byłoby opracowanie podobne dwóch lekarzy-męczenników, dra Andrzeja Mielęckiego, zamordowanego w Katowicach dnia 17 sierpnia 1920, oraz dra Wincentego Styczyńskiego, zamordowanego w Gliwicach dnia 18 kwietnia

1922 r. Gdyby potem jeszcze chciał zwrócić swą uwagę literacką na polityczne mordy, popełnione na kapłanach śląskich: ks. Wincentym Rudzie w Marcinkach pod Bralinem (14 I 1919 r.), ks. Franciszku Marksie w Starym Oleśnie (11 V 1921 r.) i ks. Augustynie Strzybnym w Mozurowie (31 X 1921 r.) — mógłby się poszczycić galerią obrazów, względnie kompletną.

Ks. Karol Kotuła, Jan Śliwka, pionier polskiego szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Odbitka z „Głosu Ewangelickiego”. Warszawa, drukarnia „Głosu Ew.”, 1933. Str. 156.

Jan Śliwka, którego Kotuła bierze w swej pracy za przedmiot dociekań, należy bezsprzecznie do najbardziej zasłużonych pracowników na niwie odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Nie znaczył wprawdzie tyle, co np. Stalmach, nie wysuwał się widomie na czoło ówczesnych narodowych dążeń, lecz niemniej należy go zaliczyć do najbardziej w tej dziedzinie wpływowych pracowników. Nie był wodzem i dlatego czuł się najlepiej w cieniu drugich, aby tym żarliwiej w cichości pracować. Głównym terenem jego działalności była ówczesna szkoła i sprawy bezpośrednio ze szkołą związane, sprawy nauczycielskie. Tu najtrwalsze położył zasługi.

Monografia Kotuły przypomina właśnie tę działalność i zasługi, uwzględniając zwłaszcza, jak to w tytule zaznaczono, szkolnictwo. Bieg życia Śliwki był prosty, bez nadzwyczajnych zdarzeń. Urodził się 5 II 1823 w Ustroniu, jako syn uboższego komornika. Po ukończeniu w Ustroniu szkoły ewangelickiej, dzięki poparciu pastora tamtejszego, Karola Koczego, który się wybitnie uzdolnionym chłopcem zainteresował, udaje się do gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie, gdzie kończy ówczesne cztery klasy. Uzupełniwszy swe studia na kursie dokształcającym nauczycieli i złożony przepisane egzamina, zostaje w 22 roku życia nauczycielem szkoły powszechnej. Pierwszą posadę obejmuje w 1845 roku w Końskiej, niedaleko Trzyńca. Od tej chwili rozpoczęła się dla niego żmudna zawodowa praca, trwająca bez przerwy do końca życia, tj. do dnia 15 V 1874.

Przedstawienie tej pracy stanowi główny trzon publikacji Kotuły. Aby uwypuklić jej przebieg i znaczenie, przedstawia autor w osobnych rozdziałach wiosnę ludów na Śląsku Cieszyńskim i stan szkolnictwa powszechnego około 1848 roku, oraz szkicuje rozwój tego szkolnictwa od 18. wieku. Te ogólne uwagi dotyczące szkolnictwa stanowią cenną część książki, gdyż w syntetycznym skrócie dają przegląd dziejów szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim i mogą posłużyć jako punkt wyjścia i pomoc do dalszych w tej dziedzinie prac.

Śliwka niedługo pozostawał na swojej pierwszej placówce w Końskiej. Przeniósł się bowiem już w 1851 roku do Cieszyna i tu pozostał do śmierci. Przeniesienie to miało dla niego i dla szkolnictwa na Śląsku wielkie znaczenie, gdyż tu właśnie otwarło się przed Śliwką szersze pole pracy oraz były warunki do odegrania i na niwie narodowej znakomitej roli. Śliwka rzuca się z zapałem do pracy i rozwija na różnych po-

iach żywą działalność. Przede wszystkim pracuje w szkole. Jego ruchliwy umysł zaczyna poszukiwać nowych dróg w dziedzinie wychowania i metod nauczania, a wyrazem tego są liczne podręczniki szkolne, jakie Śliwka opracowuje i wydaje. Podręczniki te przyjęły się na dłuższy czas w szkole, a jeszcze dziś można je nierzadko tu i tam spotkać w ręku dziecka szkolnego. Dzisiejsze oficjalne, według współczesnych wymagań opracowane podręczniki, nie zdołały po dzień dzisiejszy wyprzeć całkowicie podręczników Śliwki. Starsze pokolenie przechowuje je w domach swoich pieczołowicie i używa nieoficjalnie dzieciom. Spełniają zatem do dziś swoje zadanie. Świadczy to nie tylko o konserwatyźmie ludu, lecz też i o tym, że podręczniki te musiały być odpowiednio opracowane, zastosowane do potrzeb i zainteresowań ludu, a niemniej jest to najlepszym dowodem, jak wielki wpływ wywarł Śliwka swymi literackimi pracami na szerokie warstwy ewangelickiego ludu na Śląsku. Praca Kotuli zapoznaje szczegółowo w osobnym rozdziale z tą jego w tej dziedzinie działalnością.

Niemalą wpływ wywarł Śliwka i na nauczycielstwo. On to był niestrudzonym propagatorem zakładania bibliotek szkolnych, które też rychło w ewangelickich szkołach powstawać poczęły, a niektóre z nich, jak np. w Wiśle, liczyły tysiąc kilkaset tomów; on był animatorem nauczycielskich związków zawodowych, najpierw wśród nauczycielstwa ewangelickiego, później, po 1861 r., wśród nauczycielstwa w ogóle, bez różnicy wyznania. Jego to głównie zabiegi doprowadziły w 1868 roku do założenia wspólnego stowarzyszenia nauczycieli, w którym przodującą odgrywał rolę.

Osobną kartą działalności Śliwki jest jego praca w zborze cieszyńskim, gdzie starał się o wyzwolenie zboru spod wpływu niemieczyny, która w jego czasach podnosiła głowę. On to właśnie bardzo ważną odegrał rolę w sprowadzeniu do Cieszyna pastora Otto z Warszawy i był jednym z najbliższych jego współpracowników. Tej działalności Śliwki poświęcił autor osobny rozdział, tak samo jak osobno przedstawił stosunek wzajemny Śliwki do pastora Otto.

Nie została pominięta również praca Śliwki na polu społecznym i politycznym, choć, jak wspomniano, nie miał w sobie Śliwka nic z woda, a wołał być cichym ale za to tym żarliwszym pracownikiem. Nie cofał się jednak, gdy trzeba było, przed niczym. Tak np. w 1865 r. nie zawahał się objąć redagowania „Gwiazdki Cieszyńskiej”, gdy Stalmach w więzieniu odsiadywał karę.

Z tym wszystkim, z różnymi przejawami działalności Śliwki, zapoznaje nas praca pastora Kotuli, napisana pięknym, potoczystym językiem na życzenie, jak powiada autor, Jana Kubisza, autora „Pamiętnika starego nauczyciela”, wyrażone przed śmiercią. Książka opatrzona została licznymi ilustracjami, uzupełniającymi wywody autora. Przeczyta ją z pożytkiem i przyjemnością nie tylko historyk, interesujący się przeszłością Śląska Cieszyńskiego, lecz każdy ciekawy spraw tak zdawało by się bardzo odległych, a w rzeczywistości tak bardzo nam bliskich.

H e r m a n E h r e n, Graf Franz von Ballestrem, Ein Lebensbild. Ostdeutsche Verlagsanstalt Breslau 1935, str. 66 i 7 całostronnych ilustracji, na okładce herb.

Książka, w 25 rocznicę śmierci hr. Franciszka Ballestrema (1834—1910) pięknie wydana, świadczy o staranności nakładcy, lecz równocześnie o małej wnikliwości autora, który najwidoczniej nie dorósł zadaniu. Ciekawa postać wielkiego przemysłowca górnośląskiego i społecznika po myśli encykliki „Rerum novarum” a zarazem też czołowego na Śląsku polityka centrowego wychodzi źle, jak figura bez tła, a na figurze samej są poważne niedociągnięcia. Autor np. słówkiem nie wspomina o stosunku hr. Ballestrema do ruchu polskiego na Górnym Śląsku, tak że czytelnik, który nie jest o tym poinformowany skądinąd, nie może się ani domyśleć, że to ten właśnie hr. Ballestrem, do którego były adresowane głośnie swego czasu i aż do plebiscytu doniosłe artykuły „Kuryera Poznańskiego” 1892, nr 229—232 (cfr. str. 97). I popularne kandydatury Szmuli, Strzody i Radwańskiego powstały z opozycji do hr. Ballestrema, który reprezentował wtedy Centrum oficjalne na Śląsku. Autor o tym albo nie wie, albo umyślnie o tym nie pisze. Ma się wrażenie, że Ehren unika samej nazwy Centrum; o wybitnej działalności parlamentarnej hr. Ballestrema — wszak posłował od 1872—1906, a od 1898 był prezydentem parlamentu — mówi tylko jakby mimochodem a to najwięcej w rozdziale, zatytułowanym: Familien-geschichte!

Słowem, praca Ehrena jest ładną pamiątką dla niemieckich lub zniemczonych pracowników zakładów ballestremowskich, ale za biografię uchodzić nie może, najwyżej za prowokację do jej napisania.

S.

Ks. A n t o n i L i e d t k e, Walka księcia Jana Opolskiego „Kropidły” z Krzyżakami w obronie majątkowych praw diecezji wrocławskiej. Tom. 38 Roczników Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Toruń 1932, str. 140.

Jest to dysertacja doktorska, wykonana na teologicznym wydziale uniwersytetu warszawskiego w seminarium historii Kościoła w Polsce pod kierownictwem ś. p. ks. profesora Henryka Likowskiego, a skończona w grudniu 1930 r. Autor miał pierwotnie zamiar napisania biografii księcia Jana „Kropidły”, urodzonego w Opolu na Górnym Śląsku, który zasiadał kolejno na siedmiu stolicach biskupich na przełomie XIV i XV wieku, umarł 1421 r. w Opolu, mieście rodzinnym i tamże spoczywa w kościele podominańskim. Lecz wobec niespodziewanej ilości nowego materiału, jaki się znalazł w pruskim archiwum państwowym w Królewcu, ks. Liedtke ograniczył się tymczasem do zobrazowania walk biskupa Kropidły z Krzyżakami o majątkowe prawa diecezji wrocławskiej, którą powtórnie rządził od 1402—1421 r.

Biskup Jan Kropidło, książę opolski, zażywał u historyków dotąd opinii jak najgorszej. Nie poprawiła się przez to, że Prochaska jeszcze

w roku 1905 poświęcił mu osobną monografię w Kwartalniku Historycznym. Bo i Prochaska ograniczył się do źródeł już znanych i drukowanych; ks. Liedtke zarzuca mu ponadto, że miał pogląd z góry urobiony i pogardził analizą źródeł, która by jedynie mogła podważyć sądy, dotychczas powszechnie przyjęte. Przyznać trzeba, że praca ks. Liedtkego, oparta o niezużytkowany dotąd bogaty materiał archiwalny, pokazuje biskupa kujawskiego w świetle nowym: nie jest to słuzalec Krzyżaków, nie jest to człowiek ambitny, chciwy, wiarołomny i rozpustny, ale pomiędzy dwa wrogie i walczące fronty postawiony i pełny kłopotów ordynariusz diecezji granicznej, który, by uchronić diecezję od spustoszeń wojennych i powojennych aktów zemsty z obu stron, stara się zachować trudną neutralność a nie ubliżyć obowiązkom roztropności i lojalności. Za to z obu stron okrzyczano go zdrajcą. W podobnym położeniu znalazł się znacznie później książę-biskup wrocławski podczas wojen śląskich, a każda wojna nowa i nadal może takie sytuacje wytworzyć.

Dysertacja ks. Liedtkego jest więc poważnym początkiem naukowej rehabilitacji ks. biskupa Jana Kropidły, który, po śmierci sam bezbronny, został osławiony jednostronnie in partem peiorem przez współczesnych i potomnych, a zwłaszcza przez historyków, jak się teraz okazuje, za mało wnikliwych i zbyt pochopnych do sądzenia i potępienia. Życzyć trzeba autorowi, by mógł również gruntownie wykończyć zamierzoną pierwotnie biografię właściwą, rozdzielając sprawiedliwie światła i cienie.

S.

Michał Grażyński, *Gawędy i przemówienia harcerskie*. Katowice 1935, stron 88. *Dokąd zdążamy*. Katowice 1935, str. 46.

„Nikt nie potrafi zorganizować młodzieży, kto zapomniał własnych, młodzieńczych przeżyć” — powiedział Grażyński w jednym ze swoich przemówień. On sam o nich nie zapomniał. Wybrany w roku 1931 Przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego, nie tylko skierował organizację na nowe drogi rozwoju, ale także podbija szybko serca młodzieży, gdyż zna tę młodzież, umie wyczuć jej pragnienia, umie natchnąć ją entuzjazmem i wolą pracy, wskazać jej cele dalekie i bliskie, które jej życiu przyświecać mają. Grażyński chętnie do młodzieży przemawia i chętnie dla niej pisze. Znaczną część tych jego gawęd (stale używać będę tej nazwy, w harcerstwie przyjętej) zebrano w dwóch książkach: „Gawędy i przemówienia harcerskie” i „Dokąd zdążamy”; część ukazała się na łamach dwutygodnika młodzieży harcerskiej „Na tropie”.

Trojaki jest charakter gawęd harcerskich Grażyńskiego. Jedne z nich powstają na marginesie życia codziennego i stosują się do różnych okoliczności i zdarzeń. Znaczna ich część poświęcona jest problemom pracy harcerskiej i potrzebom organizacji. Grażyński podejmuje w nich trud kształtowania rzeczywistości wedle ideologicznych założeń harcerstwa i dostosowania form pracy harcerskiej do aktualnych potrzeb Polski, a wreszcie odmalowuje w nich w sposób sugestywny typ młodego

obywatela, któremu nie obcy jest polot, brawura i żyłka ryzykanctwa, ale wsparte o mocną wolę, umiejętność wykonania zamierzeń, „zaciekłą wytrwałość aż do ostatecznego zwycięstwa”. A ostatecznym celem wszystkich zamierzeń młodego pokolenia ma być dobro narodu i państwa.

Rocznica bitwy pod Płowcami daje Grażyńskiemu sposobność, aby przestrzec młodzież przed wiecznie grożącym od zachodniej granicy niebezpieczeństwem, aby nauczyć ją myśli historycznej: „trzeba ukochać przeszłość narodową i wszystkie w niej zamknięte pokolenia, trzeba urzeczywistnić braterstwo z ducha wśród żyjących i kusić się o lepszą jeszcze niż własna przyszłość dla tych, co z was i po was przyjdą. Pamiętajcie, że bez Śląska i Pomorza nie ma silnej i naprawdę wolnej Polski.” Podobną myśl zawiera również gawęda o Juliuszu Ligoniu.

Najpiękniejsza z nich jednak to gawęda o Marszałku Piłsudskim, nawiązująca do jego przemówienia przy złożeniu prochów Juliusza Słowackiego w krypcie wawelskiej: „...U trumny wieszczca, który czar i potęgę słowa wznosił na niedoścignione wyżyny, stał człowiek, który słowo ziścił...” Zwięzła i prosta, ale przekonująca i głęboka charakterystyka Wodza Narodu, skreślona w tej gawędzie przez Grażyńskiego, czyni postać Marszałka zrozumiałszą i bliższą młodzieży, a Jego czyny i słowa stają się w niej drogowskazem, który wytycza młodszemu pokoleniu kierunek marszu w przyszłość.

Drugą grupę harcerskich gawęd Grażyńskiego stanowią opowiadania o jego wędrownkach i przygodach, od lat dziecięcych poczynając aż po dzień dzisiejszy. Te gawędy najwięcej mają w sobie pierwiastka literackiego. Opisy przyrody dowodzą wielkiej wrażliwości autora na jej piękno, które Grażyński umie odtworzyć subtelnie i wyraziście. Zasłuchany w szum wiatru w smrekowym lesie tatrzańskim, zapatrzony w barwy nieba o zachodzie słońca, w grę świateł na tafli jeziora, autor potrafi zasugerować czytelnikowi piękno natury z rzadko spotykaną mocą. A że pisze dla młodych, stara się ich przekonać, jak bardzo współżycie z przyrodą może życie człowieka wzbogacić. Nic też dziwnego, że Grażyński zabiera głos w dyskusji nad sprawą ochrony przyrody w Polsce, przykazując mówić: „tamnym ludziom z siekierami — wara!”

Ze wszystkich tych gawęd przebija przemożnie żywiolowa miłość ziemi ojczystej: „...Wyrosłem snąc z tej ziemi, jak lipa, dąb i sosna, i dlatego nie mogę zerwać z nią więzów, które zrodziły się w prawiakach tworzenia czy kształtowania się świata. Tęskniłem w młodych latach za gwiazdami, rozsiyanymi na nieskończoności firmamentu. Dziś stopy moje wrosły w grunt ojczysty tak, że jestem „glebae adscriptus”...

Ale każda myśl o ziemi rodzonej splata się zaraz z niepokojem spraw ludzkich: „...Na myśl, że ktoś inny tu był jakiś czas gospodarzem, przejmuję mnie drapieżność uczuć i myśli...”

Troska o losy tej ziemi i żarliwe pragnienie takiego jej zagospodarowania, ażeby Polska „nie tylko na wieki się ostała, ale w pierwszym z innymi narodami szła szeregu”, każe Grażyńskiemu w każdym opowiadaniu kreślić młodemu pokoleniu obraz tego, co niezbędnie

w Polsce trzeba stworzyć, zbudować. Ledwie poddawał się cały nastrojowi cichego, pełnego barw wieczoru nad morzem, a już wyznacza młodym zadania współpracy nad tym, by „z tego skrawka wybrzeża trzeba uczynić niezwalczoną warownię polskiej siły gospodarczej i militarnej”.

Opisując swoje wrażenia z lotów nad Polską, autor snuje plany nad stworzeniem potężnego lotnictwa polskiego.

Zachwycając się pięknem Naroczy, Grażyński widzi już białe żagle harcerskich łodzi, od których zaroi się jezioro, bo przecież trzeba szkolić „wilków morskich” — potrzebni są Polsce.

Osobnego omówienia wymaga cykl gawęd, wydanych w książce pt. „Dokąd zdążamy”. To już nie przemówienia okolicznościowe ani nie nastrojowe opowiadania, tylko wytyczne ideowe Związku Harcerstwa Polskiego. Na ich wstępie autor odmalowuje tło, na którym ruch harcerski w Polsce powstał, wyprowadzając jego rodowód z ruchu niepodległościowego, z obozu walki czynnej. Z walką tą związany był pierwszy okres działalności harcerstwa, której świadectwo dał Marszałek Piłsudski w swoim rozkazie do harcerzy z d. 1 lipca 1921 r. Nawiązując do tej tradycji harcerstwa, Grażyński wyprowadza jego zadania aktualne: „...Budujmy wielkość Polski w pracy — oto hasło, które powinno stać się żywym przykazaniem harcerstwa polskiego, które powinno położyć swe niezatarte stygmaty na całym jego systemie wychowawczym, a stać się wiecznie płonącym ogniem serc harcerskich, ich najbardziej realną rzeczywistością i romantyzmem ich marzeń...”

Na nasuwające się pytanie: do jakiej Polski zdążamy? — pada zaraz odpowiedź: „Polska przyszłości, to Polska ludzi pracy”. Polska mocna, wyposażona w polityczną, kulturalną, wojskową i gospodarczą siłę, maszerująca w pierwszym szeregu narodów świata, budząca u swoich i obcych szacunek dla swego imienia przez samodzielnie i w swobodzie wytworzone wartości. Ale żeby ta Polska nie była tylko „snem ludzi słabych”, trzeba w pierwszym rządzie rozwiązać „problem człowieka”. Dlatego Grażyński wymaga od harcerzy: „...abyście w młodości wczesnej wyrobili w sobie, pogłębili i rozwinęli te wszystkie cechy, które składają się w swej całości na człowieka, zdolnego do stawiania i rozwiązywania zagadnienia jednostkowo lub w świadomym, karnym działaniu zbiorowym, byście nie byli zwykłymi „zjadaczami chleba”, schylonymi nad rolę, ale spoglądającymi ku niebu szermierzami idei...” „...Rzykanctwo, brawura, entuzjazm, mocne pragnienie wielkich przygód i przeżyć, tworzą urok młodości. Nie sprzeciwia się to wcale drugiemu, niemniej ważnemu postulatowi, byście młodość swą wyzyskali w całej pełni dla utrwalenia podstaw swego charakteru, polegającego w swej istocie na prawdziwie waszego życia, na zgodności wierzeń oraz głoszonych i wyznawanych zasad z postępowaniem i działaniem, na zdolności brania odpowiedzialności za własne uczynki...”

Jednym z najdonioślejszych problemów, który rozwiązać ma młode pokolenie, to „zespolenie instynktów szerokich mas z pojęciem Państwa Polskiego. ...Naród musi być organiczną całością, a nie zlepkiem

grup, warstw czy klas. Harcerstwo ma być terenem spotkania, wymiany uczuć i trwałego związania się młodzieży przyjaźnią na gruncie pozytywnej pracy dla ojczyzny..."

Pierwszą część cyklu „Dokąd zdążamy” kończy Grażyński słowami: „Harcerze! ...Niech radość życia zespoli się w naszych szeregach z powagą myśli i czynu. Jesteśmy Młodą Polską idącą do szturm, do zwycięstwa, do walki o wielkość naszej Ojczyzny...” Czyż młodzież może słuchać takich słów obojętnie? Przeniknęły one głęboko w szeregi młodzieży harcerskiej, budząc myśli, uczucia i wolę pracy.

Scharakteryzowanie tych gawęd jest zadaniem bardzo trudnym, gdyż nie można do nich stosować miary ani wyłącznie literackiej ani pedagogicznej ani politycznej. Na umysły młode oddziaływują te gawędy romantyzmem najczystszej wody, sugestywną mocą głębokich odczuwań i przeżyć autora. Trudno jednak przewidzieć dzisiaj, jak obrodzi rola, obsiana tym posiewem myśli i uczuć, który kiełkuje na razie dopiero w młodym pokoleniu. Gawędy Grażyńskiego odtwarzają natomiast wierny obraz człowieka, który je stworzył. Odmalowują całe bogactwo jego natury, śmiałość jego myśli, polot jego marzeń, głębię jego uczuć i siłę jego woli, zjednoczonych w służbie Polski.

M. Kapiszewska

Wacław Olszewicz, O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego. Cieszyn 1934, 16^o, stron 31. (Odbitka z „Zarania Śląskiego”. X. 1934. str. 1—10.)

Autor niniejszej rozprawki nawiązuje do artykułu prof. Semkowicza o polsko-słowackiej współpracy naukowej, zamieszczonego w księdze pamiątkowej ku czci Józefa Škultetego, i wskazuje, że poza Zakopanem i Krakowem Cieszyn powinien stać się trzecim ośrodkiem polsko-słowackiej współpracy. Miasto to bowiem ma już bogatą tradycję stosunków ze Słowacją. Autor przypomina, że Cieszyńscy niejednokrotnie przeprowadzali swe studia w Słowacji w Bratysławie. Wiele również węzłów historycznych łączy Słowację z Polską poprzez Cieszyńskie. Wspomnieć tu należy zwłaszcza dzieje reformacji i historię literatury reformacyjnej. Chlubną kartę w podtrzymywaniu tej łączności polsko-słowackiej posiadają pisma cieszyńskie, jak „Zaranie Śląskie”, „Poseł Ewangelicki”, „Tygodnik Cieszyński”, które zamieszczały szereg cennych rozpraw, dotyczących Słowacji. Badacze polscy również niejednokrotnie zainteresowaniami swymi sięgali do tego kraju. Dlatego autor nawołuje do nawiązania ściślejszego kontaktu między Słowacją i Cieszyńskiem zarówno w dziedzinie naukowej, jak i popularyzatorskiej i turystycznej, co przyczyni się niewątpliwie do bliższego poznania się sąsiednich bratnich narodów. Cieszyn zaś jako miasto o bogatej tradycji naukowej i kulturalnej szczególnie nadaje się na ośrodek takiej pracy nad zbliżeniem i wzajemnym poznaniem się tych narodów.

Roman Lutman

K O N K U R S NA ŻYCIORYS ŚLĄZAKA

W zeszycie 1/2 roczn. IV „Przeglądu Socjologicznego” znajdujemy Sprawozdanie z konkursu na życiorys Ślązaka (podp. S. K.), które powtarzamy w streszczeniu jako ważną informację naukową dla czytelników Rocznika:

Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu, uzyskawszy odpowiednie fundusze z Fundacji Pokoju Carnegie'ego (Carnegie Endowment for International Peace), rozpiisał w roku 1934 konkurs na życiorys Ślązaka na terenie województwa śląskiego.

W konkursie mogli brać udział wszyscy mieszkańcy województwa śląskiego bez różnicy narodowości i przynależności państwowej, tak Polacy jak i Niemcy, wszystkich stanów i zawodów, rolnicy, przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy, urzędnicy(czki), robotnicy(e) i bezrobotni(e), działacze(ki) społeczni(e), politycy i nauczyciele(ki), mężczyźni i kobiety, słowem — każdy powyżej lat 21, o ile mieszkał na terenie województwa śląskiego nie krócej, niż od lat 15. Mogli też brać w nim udział i ci, którzy, mieszkając obecnie poza granicami województwa śląskiego, mieszkali przedtem na terenie województwa co najmniej przez lat 15 i przemieśli się z województwa nie dawniej niż 5 lat temu. Życiorys musiał mieć najmniej 300 stronic wielkości zwykłej ćwiartki papieru. Za najlepsze życiorysy wyznaczono 10 nagród.

Wśród 206 życiorysów, przysłanych na konkurs przez osoby powyżej lat 21, znajdujemy 19 życiorysów pisanych przez niewiasty. Nie wszystkie życiorysy spełniały warunki postawione autorom; niektóre nie były biografiami, nie były opisem przeżyć, choć miały inne wartości. Kilkanaście trzeba było, ze względu na to, że nie spełniały wymogu obszerności (300 stronic), nie uwzględniać przy rozdziale nagród. Bardzo dużo trudu i pracy włożyć musiał komitet powołany przez Polski Instytut Socjologiczny, składający się z socjologów, psychologów, historyków, językoznawców, prawników, literatów, by ocenić obiektywnie wartość życiorysów jako źródła materiału socjologicznego i sprawiedliwie rozdzielić nagrody. Okazało się, że wprowadzić wartość życiorysów jest nierówna, żaden jednak z nich nie jest na tyle doskonały, by usprawiedliwić zbyt wielkie różnice w nagrodach. Dlatego Polski Instytut Socjologiczny dodał jeszcze trzy nagrody po 50 zł, a przewidziane nagrody, korzystając z zastrzeżonego prawa, rozdzielił między większą ilość

uczestników. Mianowicie Władysława Kucharczyka z Wodzisławia nagroził pierwszą nagrodą w kwocie 200 zł, a Tomasza Rottera z Szarleja i Bertholda Skibę z Makoszów (język niemiecki) nagrodami po 125 zł. Poza tym przyznał 6 nagród po 75 zł i 19 nagród po 50 zł. Rozdzielili więc kwotę 1850 zł między 28 uczestników. Poza tym, nie mogąc wszystkich autorów nagrodzić, a uznając niezaprzeczoną wartość ich życiorysów, Polski Instytut Socjologiczny zdecydował się wyróżnić dalsze 26 życiorysów, przyznając ich autorom dyplomy uznania. Każdy bowiem z tych autorów przyczynił się niewątpliwie przez dostarczenie swego życiorysu do postępu nauki polskiej i naukowego opracowania życia społecznego.

Życiorys Władysława Kucharczyka o imponujących rozmiarach, napisany bowiem na 700 i kilkudziesięciu stronach formatu kancelaryjnego, zdaniem komitetu konkursowego, przewyższa życiorys Jakuba Wojciechowskiego; ogłoszenie drukiem tego życiorysu jest bardzo pożądane.

Z życiorysów niewieścich niewątpliwie najlepszym jest życiorys Anny Nowak, służącej; życiorys jej jest nagrodzony. Borykanie się z codziennym, twardym i bezlitosnym życiem opisuje autorka (język niemiecki) w niezmiernie prostych i szczerych słowach.

Równocześnie Polski Instytut Socjologiczny przeprowadził konkurs na życiorys własny mniejszych rozmiarów dla młodzieży śląskiej. Jako rezultat nadesłano 32 życiorysy, posiadające dużą wartość jako źródło materiału socjologicznego. Pochodzą one od ludzi, nie mających lat 21, prawie bez wyjątku uczniów szkolnych. Życiorysy te dają materiał z konieczności jednostronny: zawierają bowiem przeżycia autorów z rodziny, ze szkoły. Jest to bardzo cenny materiał dla badacza, poświęcającego się socjologii wychowania. Polski Instytut Socjologiczny nagroził 14 życiorysów, rozdzielając 420 zł.

Uzyskany przez te konkursy zbiór życiorysów stanowi bezcenną kopalnię dla socjologa, badającego społeczność pogranicza.

Celem opracowania zgromadzonego materiału Polski Instytut Socjologiczny zainicjował zbiorową pracę młodych socjologów, rozdzielając między nich opracowanie takich tematów, jak: „Szkoła jako czynnik germanizacji”, „Świadomość odrębności i świadomość narodowa Ślązaków”, „Poczucie obowiązywania norm moralnych a poczucie obowiązywania norm prawnych”.

Wykorzystanie materiału śląskiego napotyka jednak na poważne trudności z powodu braku dostatecznych funduszy. Niemożliwe jest zorganizowanie planowych, zbiorowych badań. Tymczasem przy opracowaniu życiorysów konieczne są badania terenowe, które by pozwoliły badaczom na bezpośrednie obserwacje i sprawdzenie dotychczas osiągniętych wyników.

SPRAWOZDANIE

TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK NA ŚLASKU ZA LATA 1934—1935

I. WSPÓŁDZIAŁANIE W ORGANIZACJI PRACY NAUKOWEJ

A) Z Komitetem Wydawnictw Śląskich przy Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie (cfr. RTPN IV, 341) pozostaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku w ciągłym kontakcie i bierze przez prezesa udział w jego posiedzeniach. Z całokształtu pracy tego Komitetu zdaje Polska Akademia Umiejętności drukowane sprawozdania (I. od marca 1933 do końca czerwca 1934, II. od 1 lipca 1934 do połowy listopada 1934, III. od połowy listopada 1934 do czerwca 1936), przechodząc kolejno poszczególne działy naukowe.

Ścisłą jest współpraca nasza zwłaszcza nad dalszymi tomami pomnikowego wydawnictwa *Pieśni Ludowe z Polskiego Śląska*, którego redakcję przeniesiono do Katowic, powierzając tu opracowanie drugiego tomu uczniowi profesora Kazimierza Moszyńskiego, mgrowi Józefowi Ligęzie łącznie z dyrektorem Instytutu Muzycznego Stefanem M. Stoińskim. Do redakcji napływa wciąż nowy materiał pieśniowy, który wydawnictwo nadspodziewanie rozszerzy. Sam Jan Tacina, nauczyciel w Ustroniu, nadesłał 350 pieśni z nutami. Równocześnie trzeba jednak ubolewać, że obfity zbiór pieśni z obwodu przemysłowego i spod góry św. Anny, nabyty 1917 r. w Berlinie przez księcia Guidotona Henckel von Donnersmarck na Świerklańcu po zmarłym 1914 r. Ernestie Koszonym z Zaborza a obejmujący podobno około 1000 pieśni w dobrym opracowaniu muzycznym, — został, jak dotąd, zaprzepaszczony i nie może być wciągnięty do wspomnianego wydawnictwa.

B) Miejscowy komitet do współpracy przy wydawnictwie *Polski Słownik Biograficzny* (cfr. RTPN III, 463) czuwa w dalszym ciągu, aby Śląsk został uwzględniony należycie. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku należy do Rady Słownika. Dotychczas wyszedł tom pierwszy: Abakanowicz do Baynart, a drugiego kilka zeszytów.

C) Generalnym sekretarzem Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku jest dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego (cfr. RTPN IV, 192—201). Ten fakt jest dowodem zgodnej współpracy z tak ważnym i pożytecznym ośrodkiem inicjatywy w zakresie badań naukowych nad zagadnieniami śląskimi, jakim okazał się Instytut Śląski. Z drugiej strony należy do Zarządu Instytutu Śląskiego ks. dr Emil Szramek jako przedstawiciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

D) W podobny sposób jest Towarzystwo Przyjaciół Nauk związane z Muzeum Śląskim (cfr. RTPN II, 170—208, 384—385),

którego dyrektor dr Tadeusz Dobrowolski jest członkiem naszego Zarządu, przy równoczesnym zasiadaniu ks. dr. Szramka, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w Radzie Muzealnej.

E) Analogicznie przedstawia się współpraca z Biblioteką Sejmiku Śląskiego, którego dyrektor dr Paweł Rybicki należy do Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

Walne zebranie z dnia 22 maja 1934 uchwaliło na wniosek Zarządu (cfr. RTPN IV, 341) podarować księgozbiór Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku Bibliotece Sejmiku Śląskiego (cfr. RTPN IV, 328—331). Uchwałę niebawem wykonano.

Zgodnie z tym walne zebranie z dnia 21 maja 1935 uchwaliło przekazywać otrzymywane drogą wymiany książki i wydawnictwa (cfr. RTPN II, 417) do Biblioteki Sejmiku Śląskiego jako dar z wyjątkiem wydawnictw, które mogą przydać się podręcznej bibliotece Towarzystwa, oraz z zastrzeżeniem, że Biblioteka Sejmiku Śląskiego ewentualne dublety spośród tych wydawnictw odda do dyspozycji Towarzystwa dla przekazania ich przede wszystkim polskim bibliotekom na Śląsku Polskim.

Podobnie uchwalono dnia 18 X 1935 odstąpić ofiarowany Towarzystwu księgozbiór śp. dra Bogusława Parczewskiego z Katowic Bibliotece Sejmiku Śląskiego z tym, że ewentualne dublety odda do dyspozycji Towarzystwa.

F) Po zlikwidowaniu komisji regionalnej Słownika Geograficznego Państwa Polskiego (cfr. RTPN III, 462; IV, 340) pozostało Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku w kontakcie z główną redakcją w Warszawie przez udział wiceprezesa dra Wacława Olszewicza w zebraniach Rady Słownika.

II. WYDAWNICTWA

Plan nowego wydania epicznych dzieł ks. Norberta Bonczyka został tymczasem w porozumieniu z nami podjęty przez Instytut Śląski, który Bonczykiem (cfr. RTPN II, 1—62; IV, 340) otwiera swoją Bibliotekę Pisarzy Śląskich; na setną rocznicę urodzin poety (ur 6 VI 1837) mają być na półkach księgarskich „Stary Kościół Miechowski” w IV, a „Góra Chełmska” w II wydaniu krytycznym.

W przygotowaniu jest tom II wydawnictwa Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku *F o n t e s*: Staropolskie teksty z protokolarza miasta Woźniki w województwie śląskim 1521—1570, wydał i wstępem opatrzył Ludwik Musioł.

III. BIBLIOTEKA

Biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku została zlikwidowana następującą uchwałą walnego zebrania z dnia 22 maja 1934:

„Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku uchwała na walnym zebraniu w dniu 22 maja 1934 r. złożyć swoją bibliotekę jako dar Bibliotece Sejmiku Śląskiego. Przed oddaniem księgozbioru Zarząd Towarzystwa wydzieli zeń drobną ilość książek, którą Towarzystwo zatrzyma jako swoją bibliotekę podręczną. Następnie Biblioteka Sejmiku Śląskiego

wyłączy z księgozbioru dzieła, które w stosunku do swych zbiorów uzna za dublety; dzieła te Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku przekaze w charakterze daru jednej z bibliotek polskich na Śląsku Opolskim.”

Co do wykonania uchwały, porównaj powyższe sprawozdanie pod E).

IV. KASOWOŚĆ.

Kasowość Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku streszcza się w załączonych rachunkach przychodu i rozchodu oraz bilansach za lata 1934—1935.

Rachunek przychodów i rozchodów za rok 1934.

Odpis od inwentarza		100.—
Zysk na papierach wartościowych	6.626.70	
Składki	1.077.—	
Różne	6.402.—	1.277.91
Odsetki	5.806.66	1.326.17
Administracja		327.59
Saldo (czysty zysk)		16.880.69
razem	19.912.36	19.912.36

Bilans z dnia 31 XII 1934.

Kasa	219.—	
PKO	5.088.03	
Kom. Kasa Oszcz. Lubliniec	2.194.94	
Inwentarz	880.—	
Papiery wartościowe	42.451.20	
Biblioteka podręczna (wartość bilansowa)	1.—	
Muzeum (wartość bilansowa)	1.—	
Wydawnictwa	12.123.35	
Dłużnicy i wierzyciele	14.20	
Fundusz żelazny		601.14
Kapitał		62.074.77
razem	62.675.91	62.675.91

Rachunek przychodów i rozchodów za r. 1935.

Odpis od inwentarza		100.—
Odpis od wydawnictw		7.592.35
Składki członkowskie	1.054.50	
Zysk na pap. wartościowych	2.788.99	
Różne	8.107.32	163.16
Odsetki		447.70
Lokal za czas od 1 VII 1934		
do 31 XII 1935		900.—
Administracja		759.45
Czysty przychód (zysk)		6.464.32
razem	16.426.90	16.426.90

Bilans z dnia 31 XII 1935.

Kasa	0.66	
PKO	2.122.90	
Miejska Kasa Oszcz. w/m	14.519.70	
Inwentarz	818.—	
Wydawnictwa	6.899.—	
Muzeum (wartość bilansowa)	1.—	
Biblioteka podr. (wart. bil.)	1.—	
Dłużnicy i wierzyciele	50.—	64.80
Papiery wartościowe	45.240.19	
Fundusz żelazny		1.048.76
Kapitał		68.539.09
razem	<u>69.652.65</u>	<u>69.652.65</u>

Inż. Konrad Pillich, skarbnik.

Komisja Rewizyjna:

(—) Jan J. Kowalczyk.

(—) Maciejczyk.

Walne zebranie z 21 V. 1935 obniżyło składkę roczną dla członków zwyczajnych na 12 zł, a dla członków czynnych na 9 zł.

V. WŁADZE TOWARZYSTWA (1935).

Rada Opiekuńcza: wojewoda dr Michał Grażyński, marszałek Sejmu Śląskiego Karol Grzesik, biskup śląski Stanisław Adamski, notariusz Bruno Kudera w Mysłowicach.

Kuratorium Biblioteczne: dr Tadeusz Kupczyński, Katowice, notariusz Tadeusz Stark, Mikołów, Konstanty Prus, Katowice.

Zarząd (wybrany 22 maja 1934): ks. dr Emil Szramek, prezes, dr Wacław Olszewicz, wiceprezes, dr Roman Lutman, sekretarz generalny, inż. Konrad Pillich, skarbnik; ławnicy: dyr. dr Tadeusz Dobrowolski, Stefania Hermanówna, dyr. Teodor Glensk, prezydent m. Katowic dr Kocur, ks. dziekan Jan Kudera, dyr. Franciszek Popiołek, dyr. dr Paweł Rybicki, starosta dr Tadeusz Szaliński; zastępcy ławników: ks. radca Augustyn Koźlik, dyr. Stanisław Ligoń, burmistrz Jan Przybyła, dr Maksymilian Wilimowski, ks. radca Maksymilian Wojtas, starosta Jan Wyglenda.

Sąd koleżeński: notariusz dr Włodzimierz Dąbrowski, adwokat Jan Mildner, notariusz Antoni Rostek.

Komisja Rewizyjna: Jan Jakub Kowalczyk, Komisarz Izby Handlowej, Paweł Maciejczyk, radca magistratu, mgr Aleksander Robinson, naczelnik biur Sejmu Śląskiego.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIĄTYM ROCZNIKÓW TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ NAUK NA ŚLĄSKU

Przedmowa	str. 5
---------------------	--------

ROZPRAWY

Sz r a m e k: Ks. Aleksander Skowroński, obraz życia i pracy na tle problematyki kresów zachodnich

Wstęp	7
1. Zewnętrzne warunki życiowe i założenia psychiczne (1863—1908)	8
2. Problematyka ówczesna i jej naświetlenie przez otwarty list ks. Rossochowitza	39
3. Domaganie się nauki religii w języku ojczystym w latach 1872—1900	48
4. Spór o polityczną hegemonię kleru	62
5. W obronie nauki religii w języku polskim	79
6. Widmo agitacji wielkopolskiej	94
7. Emancypacja od Centrum, lecz nie od duchowieństwa (1903—1905)	111
8. Księża na froncie parlamentarnym (1906—1907)	124
9. Na froncie kultury narodowej poprzez wojnę	141
10. Plebiscyt	152
11. Ostatnie lata i śmierć	167

Załączniki:

I. Petycja w sprawie nauki religii w polskim języku z r. 1883	177
II. Dwa poufne okólniki księcia-biskupa wrocławskiego Koppa z roku 1890	179
III. Odezwa z 1893 r. w sprawie „Kuryera Górnoszląskiego“	183
IV. Zasadnicza korespondencja „Katolika“ z ks. kardynałem Koppem z roku 1896	184
V. Przemówienie ks. Skowrońskiego na zjeździe akademickim	190
VI. Petycja kleru górnośląskiego z 1899 r. w sprawie polskiej nauki religii	193
VII. Księża a ruch narodowy (referat ks. Skowrońskiego z 1906 r.)	196
VIII. Przedwyborcza korespondencja ks. Skowrońskiego z ks. kardynałem Koppem (1907)	201
IX. Przedwyborcze przemówienie ks. Skowrońskiego	207
Birkenmajerowa, Rodowód średniowiecznych Gryfitów Śląskich	215
Kalfas-Piotrowska, Stosunki handlowe śląsko-polskie za Kazimierza Wielkiego	
1. Wstęp	227
2. Drogi handlowe śląsko-polskie	229

BIBLIOTEKA
Edmunda Grabianowskiego

Kl. 06(058)

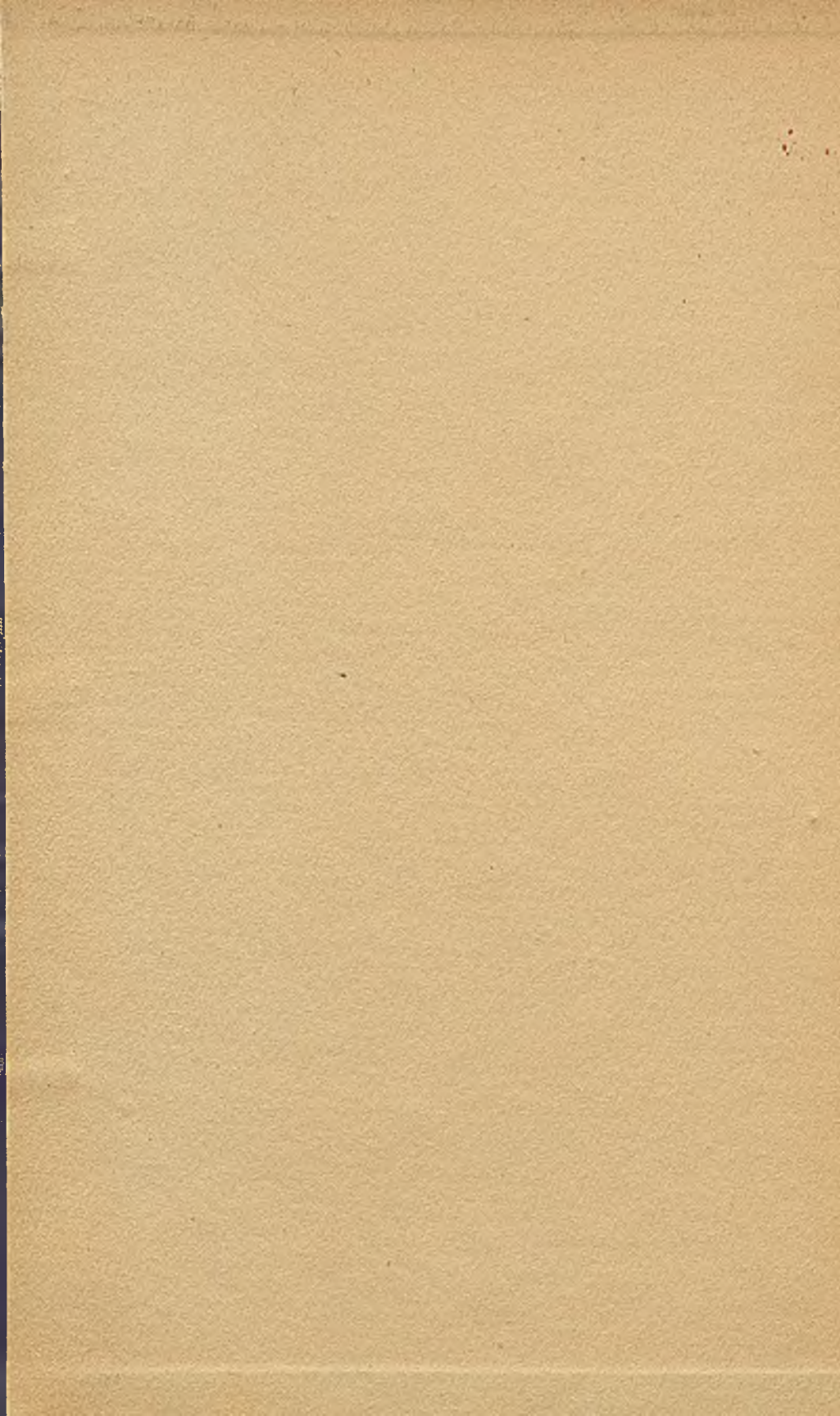
Nr Ks. In. 1795

S. 50

S. 61

S. 62

S. 64



BG Politechniki Śląskiej
nr inw.: 000 - 55516



Dyr.1